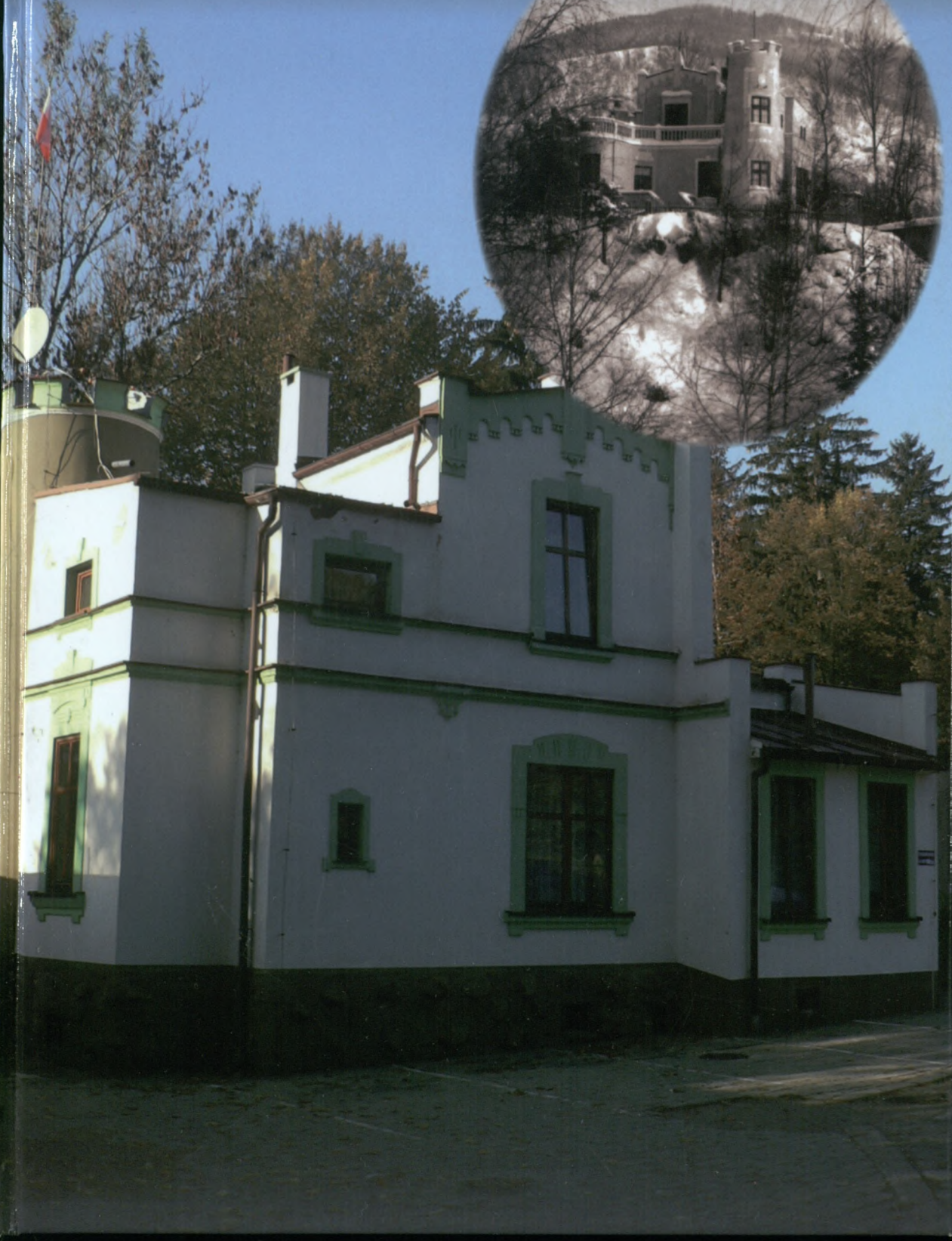


Logotyp 	Nazwa instytucji Muzeum Ustrońskie	
Tytuł jednostki / publikacji / fotografii „Pamiętnik Ustroński” Tom 13		
Ilość stron oryginału 385	Ilość skanów 385	Liczba plików publikacji 773
Autor praca zbiorowa – redaktor	Wydawnictwo / zakład fotograficzny Ustroń	Skan okładki
Miejsce wydania Towarzystwo Miłośników Ustronia	Rok wydania / Data powstania 2007	
Sygnatura ---	Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) 383	
Wymiary (wys x szer) 24,2 x 16,6 cm	Stan zachowania ---	Charakterystyka skanowanego obiektu cykliczna publikacja regionalna dotycząca historii oraz dziedzictwa kulturowego Ustronia i Śląska Cieszyńskiego; bogata ikonografia (archiwalne i współczesne fotografie, dawne dokumenty, rysunki); 35 tekstów 25 autorów
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) od XVIII do XXI w., Ustroń, Śląsk Cieszyński, Bożena Kubiś, Cecylia Zofia Gałczyńska, Przemysław Korcz, Lidia Troszok, Anna Gluza, Michał Pilch, Alicja Michałek, Irena Maliborska, Elżbieta Sikora, prof. Mieczysław Porębski, Otto Winecki-Windholz, Julia Przyboś, Anna Robosz, Lidia Szkaradnik, Grażyna Kubica, ks. Antoni Sapota, Halina Rakowska-Dzierżewicz, Aleksandra Sikora-Tarczałowicz, Leon Mijał, Barbara Żyszkowska, Elżbieta Koźdoń-Buchta, Marian Żyromski, Tomasz Błahut, Paweł Broda, Henryk Słaby, Anna i Rudolf Cholewowie, Karol Hoheisel, Antoni Małecki, Józef Kołder, Józefa i Klemens Drobczyńscy, Anna i Józef Gluzowie, Kazimiera i Wacław Nowosielscy, ks. Karol Kotschy, ks. Paweł Nikodem, Maria Skalicka, Nora i Jan Szczepańscy, Agnieszka Osiecka, Blasbalgowie, Świstunowie, Andrzej Broda, Paweł Koźdoń, Julian Przyboś, Helena i Józef Frąckowiakowie, dr Zygmunt Łysogórski, Emil Hummel, Gertruda Gotfryd, Karol Grelowski, Michał Bożek</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuznia, letnicy itp.) historia Ustronia i Śląska Cieszyńskiego, dziedzictwo kulturowe, ustrońskie wille i pensjonaty, znani ustroniacy, wspomnienia ustroniaków, ustrońskie organizacje, ustrońskie rody, gospodarka, bankowość, szkolnictwo, kościół rzymskokatolicki, kościół ewangelicko-augsburski, poezja, literaci, muzealnictwo</p>		
Prawa autorskie ---		

PAMIĘTNIK USTROŃSKI ^{Nr} 13



Colour Chart #13

DANES PICTA .COM

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8
Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

	Blue	Cyan	Green	Yellow	Red	Magenta	White	3/Color	Black
A 1									
2									
3									
4									
5									
6									
M 8									
9									
10									
11									
12									
13									
14									
15									
16									
B 17									
18									
19									

R G B Grey Scale #13 C M Y K

DANES PICTA .COM

PAMIĘTNIK USTROŃSKI

**TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW USTRONIA
USTROŃ, 2007 R.**

PAMIĘTNIK USTROŃSKI

NUMER 13

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW USTRONIA
USTROŃ, 2007 R.

MUZEUM USTRONIA
im. Jana Jarockiego
w Ustroniu
43-450 Ustroń, ul. Hutnicza 7
tel. 854-29-96, NIP 548-10-117

© Copyright by Towarzystwo Miłośników Ustronia
Ustroń 2007

Redaktor prowadzący
Bożena Kubień

Redakcja
Anna Gluza, Anna Guznar, Elżbieta Sikora

Współpraca
Alicja Cieślak, Halina Rakowska-Dzierżewicz, Michał Pilch, Jan Sztetek

Projekt okładki
Leszek Szczurek

Wykorzystano fotografie autorstwa – Józefa Skory z lat 20. XX w. (ze zbiorów Galerii „Na Gojach”) oraz Michała Pilcha z 2006 r.

Druk
Offsetdruk i Media Sp. z o.o. w Cieszynie

Skład komputerowy
Agata i Kazimierz Heczko – Galeria „Na Gojach” w Ustroniu

ISSN
1643-6504

MUSEUM USTRONIA
ul. Mickiewicza 1
43-450 Ustroń
tel. 034 23 21 22

**Instytucje, osoby i firmy, które współfinansowały wydanie
Pamiętnika Ustrońskiego Nr 13**

- Urząd Miasta Ustroń;
- Parafia Ewangelicko-Augsburska w Ustroniu;
- Rzymsko-Katolicka Parafia św. Klemensa w Ustroniu;
- Anna Gluza z Ustronia, członek TMU;
- Anita Marzena Jurczok z Ustronia;
- Korneliusz Kaporla z Ustronia;
- Władysław Majętny z Ustronia, członek TMU;
- Andrzej Pilch z Ustronia;
- Michał Pilch z Ustronia, członek TMU;
- Paweł Puczek z Katowic, członek TMU;
- Ireneusz Szarzec z Ustronia, członek TMU;
- Jan Sztefek z Ustronia, członek TMU;
- Jan Szwarc z Ustronia, członek TMU;
- Olga i Henryk Wierniewscy;
- Apteka „Pod Najadą” – Lech Kośmider;
- „Carben” Sp. z o.o. – Barbara i Arkadiusz Gawlikowie;
- „Dagra” Sp. jawna – Dariusz i Grzegorz Dawid;
- Firma „Jędrus” – Małgorzata i Piotr Juraszkowie;
- Firma Prywatna – Piotr Szuba;
- Firma Przewozowa „Trans-Bus” – Jerzy Cieślak;
- Gospodarstwo agroturystyczne „Chata na Zakrzosku” – Grażyna i Piotr Gomolowie;
- Hurtownia Lodów, Mrożonek i Opakowań – Eugeniusz Langhamer;
- J. P. Pilch Sp. z o.o. – Jerzy Piotr Pilch;
- Kolej Linowa „Czantoria” Sp. z o.o.
reprezentowana przez Prezesa Czesława Matuszyńskiego;
- „Kosta” Sp. z o.o. – Konrad Owczarek i Krzysztof Stankiewicz;
- Leśny Park Niespodzianek – Małgorzata Machnowska-Kreer i Paweł Machnowski;
- Perrot-Polska Sp. z o.o.;
- Pracownia Projektowa – arch. Zofia Perlega;
- Pracownia Ręcznego Malowania Porcelany „Kamena” – Barbara Majętny;
- Przedsiębiorstwo Budownictwa Inżynieryjno-Hydrrotechnicznego „Inzbud”
Sp. jawna – Ireneusz Sztuka i Marek Wojs;
- Przedsiębiorstwo Handlowo-Usługowe „Orlik” Sp. z o.o.;
- Przedsiębiorstwo Komunalne Sp. z o.o.
reprezentowane przez Prezesa Alojzego Sikorę;
- Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowo-Usługowe „Dwanaście Dębów”
– Barbara Nowak;
- Przedsiębiorstwo Prywatne „Ekochron” – Grażyna i Jerzy Gluzowie;
- Przedsiębiorstwo Techniczno-Handlowe „EMI” Sp. z o.o. – Mirosława Sztefek;
- Service Bud” – Zbigniew Drózd;
- Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna „Jelenica”
reprezentowana przez Prezesa Andrzeja Gluzę;
- Stacja Paliw „Kowalczyk-Petrol” – Halina Kowalczyk;
- TSL „Unitrans” Sp. z o.o. – Emilia Czapka;
- Wytwórnia Naturalnych Wód Mineralnych „Ustronianka” Sp. z o.o. – Michał Bożek;
- Zakład Obróbki Plastycznej Metali – Karol Grelowski;
- Zakład Optyczny – Jacek Fuchs;
- Zakłady Przetwórstwa Mięsnego Henryk Kania S A.

Spis treści

Od redakcji 9

I. WŚRÓD DAWNYCH WILLI I PENSJONATÓW

<i>Bożena Kubień</i> – Willa nad Wisłą – „Zameczek” z innej baśni	13
<i>Cecylia Zofia Gałczyńska</i> – „Zameczek” <i>mon amour</i> oraz inne ustroniana	25
<i>Bożena Kubień</i> – Willa „Tatra” – gniazdo polskości	49
<i>Bożena Kubień</i> – Willa „Olga” i źródło Karola – ustrońska spuścizna Karola Hoheisela	62
<i>Przemysław Korcz</i> – Willa „Antoinette”	71
<i>Bożena Kubień</i> – „Relijanka” – willa słońcem zdobiona	81
<i>Bożena Kubień</i> – Była kiedyś w Ustroniu willa „Jasna”...	88
<i>Lidia Troszok, Anna Gluza</i> – Willa „Hanka” – „Światowid”, czyli dzieje domu rodziny Gluzów z Zawodzia	95
<i>Bożena Kubień</i> – „Basieńka” – dawnej willi wspomnienie	105

II. ZNANI USTRONIACY – Z URODZENIA LUB WYBORU

<i>Michał Pilch</i> – Ksiądz Karol Fryderyk Kotschy	115
<i>Alicja Michalek</i> – Mniej znana działalność księdza Pawła Nikodema	126
<i>Irena Maliborska</i> – Maria Skalicka – jaką chcemy pamiętać	136
<i>Rozmowa Elżbiety Sikory z prof. Mieczysławem Porębskim</i> – Profesor – ustroniak z wyboru	149

III. WSPOMNIENIA

<i>Otto Winecki</i> – <i>Windholz</i> – Fordem-A z Ustronia do... Melbourne	157
<i>Julia Przyboś</i> – Nora i Jan Szczepańscy – moja wakacyjna rodzina	162
<i>Anna Robosz</i> – Agnieszka Osiecka na ziemi cieszyńskiej	165
<i>Lidia Szkaradnik</i> – Jak niegdyś „Pamiętnik Ustroński” opracowywano	169
<i>Grażyna Kubica</i> – Jutrznia	176

IV. USTROŃSKIE ORGANIZACJE

<i>Antoni Sapota</i> – Katolickie Stowarzyszenie Kobiet	183
<i>Halina Rakowska-Dzierżewicz</i> – Gawęda o ustrońskim harcerstwie (Związku Harcerstwa Polskiego) w latach powojennych 1945-1950	198
<i>Aleksandra Sikorzanka-Tarczałowicz</i> – Wspomnienia z wycieczki na Babią Górę	216
<i>Leon Mijał</i> – Koło Łowieckie „Jelenica” w Ustroniu – gospodarka populacjami zwierzyny łownej w latach 1945-2006	219

V. USTROŃSKIE RODY

<i>Barbara Żyszkowska</i> – O Cholewowym rodzie i trzech Blasbalżankach	231
<i>Bożena Kubień</i> – Ustrońskie ślady rodziny Świstunów	249
<i>Bożena Kubień</i> – Szkic do portretu rodzin Brodów i Kożdoniów	263
<i>Elżbieta Koźdoń-Buchta</i> – Życie Gustawa Koźdonia pełne odwagi, pracowitości i szlachetności	284
<i>Marian Żyromski</i> – Cieszyńskie lata Juliana Przybosia	290
<i>Rozmowa Elżbiety Sikory z Julią Przyboś</i> – Córka sławnego ojca	299
<i>Bożena Kubień</i> – „Eleonora” – willa pachnąca ziołami. Saga rodu Frąckowiaków i Łysogórkich	304
<i>Bożena Kubień</i> – Gertruda z Hummlów Gotfrydowa – kobieta w hubertusie . .	328

VI. USTRONIACY A SPRAWY SPOŁECZNO-GOSPODARCZE

<i>Tomasz Błahut</i> – Ustroń w pryzmacie bankowości (1894-2006)	343
<i>Michał Pilch</i> – Ustroniacy w „Bieszczadach”	353
<i>Michał Pilch</i> – Wytwórnia Naturalnych Wód Mineralnych „Ustronianka” Sp. z o.o.	362
<i>Michał Pilch</i> – Zakład Obróbki Plastycznej Metali Karol Grelowski	367
<i>Paweł Broda, Henryk Słaby</i> – Kształcenie dla potrzeb regionu – z historii Zespołu Szkół Policealnych ZDZ w Ustroniu . .	370
 Towarzystwo Miłośników Ustronia – lista członków	375
 Władze Towarzystwa Miłośników Ustronia kadencji 2003-2008	377
 Reklamy	380

(...) *żeby ani dzieje ludzkie z biegiem czasu nie zatarły się w pamięci,
ani wielkie i podziwu godne dzieła nie przebrzmiały bez echa (...)*

Herodot *Dzieje*

Droży Państwo!

Oddajemy do Waszych rąk kolejny, trzynasty numer „Pamiętnika Ustrońskiego”. Opracowaniu tego priorytetowego wydawnictwa Towarzystwa Miłośników Ustronia poświęciliśmy, z wielkim zaangażowaniem, ostatnie dwa lata. Tak oto powstała niniejsza książka – praca zbiorowa dwudziestu pięciu autorów, zawierająca trzydzieści pięć obszernych artykułów, ujętych w sześciu działach.

Z każdym numerem „Pamiętnik” rozwija się, jest bogatszy w treść, przedstawia wiele dotychczas nieznanych i nie publikowanych faktów historycznych i społeczno-obyczajowych z dziejów Ustronia, a co najważniejsze, zawiera szereg bardzo starych i unikatowych fotografii oraz dokumentów, zdobytych z wielkim wysiłkiem.

Zrozumiałe jest, iż prace redakcyjne nie postępowaly bardzo szybko, ponieważ dotarcie do informatorów, często mieszkających w odległych zakątkach świata, nieraz zajmuje naprawdę wiele miesięcy. Dlatego też powstawanie naszego wydawnictwa było procesem bardzo rozciągniętym w czasie, bo od opracowania koncepcji danego artykułu o treści historycznej, zainteresowania tematem żyjących członków rodzin, których tekst dotyczy i nagrania z nimi rozmów – „wywiadów rzek”, po ocyzelowanie, oszlifowanie materiału, aby w sposób rzetelny i wiarygodny oddawał istotę rzeczy, jest bardzo daleka droga. Czasochłonne jest też uściślanie i korygowanie niektórych faktów, dat, ponieważ pamięć informatorów o odległych przodkach bywa zawodna i trzeba dochodzić do źródeł. Czasem wymaga to żmudnej pracy i długotrwałego szukania, a gdy to nie pomoże, pozostaje łut szczęścia.

Tak jak w ubiegłych latach staramy się ocalić od zapomnienia ustrońiaków – tych z urodzenia i tych z wyboru, którzy tworząc historię naszej miejscowości, przyczynili się do jej rozwoju. Jak mawiał Ryszard Kapuściński: *Unikalność, jedyność, niepowtarzalność każdego człowieka, jego losu, jego historii, to może najważniejszy fenomen świata*. A w warunkach ustrońskich jest co przypominać. Miejscowość liczy już bowiem ponad siedemset lat, które to lata skrywają jeszcze niejedną tajemnicę z przeszłości i niejedne dzieje warte spisania. To wszystko stanowi nasze dziedzictwo kulturowe, nieraz zapomniane dziedzictwo, a naszym zadaniem jest przywracanie tych wydarzeń zbiorowej pamięci, ponieważ często znikają wraz z tamtymi ludźmi, stając się niedostępne na zawsze.

Żywimy przekonanie, iż odbiór tej priorytetowej publikacji TMU spotka się z pozytywnym przyjęciem, dostarczy Państwu wielu niezapomnianych emocji i wzruszeń oraz stanie się wśród *ustronianów* cennym egzemplarzem w wielu zbiorach bibliofilskich.

Zespół redakcyjny

**I.
WŚRÓD
DAWNYCH WILLI
I PENSJONATÓW**

Bożena Kubień

Willa nad Wisłą – „Zameczek” z innej baśni

Wyobraź sobie, Drogi Czytelniku, miasteczko niewielkie, czterotysięczne, położone nad rybną rzeką pomiędzy górami. Takich skupisk ludzkich u progu dwudziestego stulecia zapewne było wiele. Najważniejszym placem w miasteczku był rynek z ratuszem, nieopodal zaś, przy głównej ulicy, stało kilka, a może kilkanaście murowanych, piętrowych kamienic ze sklepami na parterze...

Wyobraź sobie, Drogi Czytelniku, miasteczko niewielkie, czterotysięczne, położone nad rzeką Wisłą, pomiędzy świtami na Równicy i zmierzchami na Czantorii Małej. U progu dwudziestego stulecia w Ustroniu był już ratusz na rynku. Przy głównej zaś ulicy stały kamienice ze sklepami i małymi warsztatami usługowymi na parterze. Ważne miejsce w miasteczku zajmowały trzy przybytki boże – kościoły katolicki i ewangelicki oraz dopiero co wzniesiona bóżnica żydowska. Nieco dalej od głównej ulicy, pomiędzy rozległymi polami i łąkami, malowniczą przestrzeń tworzyły małe domki mieszkalne – murowane i drewniane, latem tonące w zieleni. To w nich właśnie tkwił sielski urok tej podgórskiej miejscowości. Ale już wtedy w ten sielski krajobraz miasteczka wrosły obiekty zakładów hutniczych i domy fabryczne, co było związane z rozwojem przemysłu, zapoczątkowanym u schyłku osiemnastego wieku.

Uzupełnieniem ówczesnego pejzażu miasteczka były także budynki szkół powszechnych, dworca kolejowego, hotele, zakład kąpielowy i dom zdrojowy.

Te ostatnie świadczą o długoletnich tradycjach uzdrowiskowych i wczasowych miejscowości. Wzniesiono je wychodząc naprzeciw oczekiwaniom kuracjuszy i letników, szczególnie mieszczaństwa i inteligencji, którzy od połowy XVIII wieku zaczęli licznie przyjeżdżać do Ustronia, kiedy to nastąpiła moda na letnie pobyty w zdrojowiskach.



Pensjonat „Zameczek” usytuowany na wzniesieniu prawego brzegu rzeki Wisły. W tle masyw Skalicy. Lata 20. XX w. – fot. Tadeusz Kubisz, Cieszyn (ze zbiorów Galerii „Na Gojach”)

Zapewne dzisiaj mało znalazłoby się w Ustroniu osób, które mieszkając tutaj, bądź też przyjeżdżając na wypoczynek lub kurację w sanatorium, nie zwróciły uwagi na tajemniczy budynek z basztą, położony nieopodal doliny Gościradowca. Usytuowana w malowniczej okolicy, za mostem na rzece Wiśle prowadzącym na Zawodzie, zawieszona nad urwiskiem willa dziś trochę utonęła w zieleni drzew gęsto obrastających wąwóz, przez co wydaje się być jeszcze bardziej zagadkowa.

Niewątpliwie, obiekt ten o interesującej architekturze łączącej w sobie elementy dawnej willi i warownego zamku, już przeszło sto lat temu wzbudzał podziw i intrygował swoim niecodziennym, utrzymanym w baśniowym klimacie wyglądem. Stanowił też ciekawy motyw do fotografowania i w związku z tym przedstawiany był, w różnych ujęciach, na licznych kartach korespondencyjnych z Ustronia.

W latach międzywojennych ustroniacy przyjęli nazywać tę tajemniczą willę „Zameczkiem” i tak już pozostało do dzisiaj. Dlaczego przylgnęła do niej taka nazwa? Zapewne ze względu na basztę i to pewne usytuowanie obiektu, ... jakby na wzgórze. Tak twierdzą najstarsi mieszkańcy Ustronia.

Faktem jest niezaprzeczalnym, że wspomniana willa była w naszej miejscowości pierwszą prywatną letnią rezydencją – małym pensjonatem i niejako zapoczątkowała modę na ten typ budownictwa uzdrowiskowego, którego apogeum przypało na okres II Rzeczypospolitej.

A „Zameczek” przez te wszystkie lata obrósł już w legendy. Tymczasem jego prawdziwa historia jest w zasadzie nieznaną, aczkolwiek obfituje w wiele ciekawych faktów i wydarzeń, które poniżej postaram się przedstawić.

Na przełomie XIX i XX wieku kolejne sezony kuracyjne w ustroniskim uzdrowisku były bardzo udane, można by dodać, że wręcz ożywione. A to za sprawą znamienitych gości, którzy upodobili sobie ten beskidzki kurort i wraz z rodzinami rokrocznie przyjeżdżali doń z myślą o letnim wypoczynku, kuracjach *żętycowych* oraz kąpielach leczniczych. Jak podaje dr Ryszard Kincel – we wspomnianych sezonach gościło w Ustroniu czterech znanych polskich uczonych z Krakowa i Warszawy: dr Jan Bystron – językoznawca i etnolog, prof. Stanisław Domański – neurolog i specjalista higieny publicznej, dr Ignacy Petelenz – przyrodnik i pionier darwinizmu, a także prof. Paweł Sosnowski – geograf (podróżujący po Ameryce Południowej).

Był to bardzo korzystny okres również pod względem finansowym, bowiem rodzinom wynajmującym kwatery dostarczał upragnionego zarobku.

Popularność i tradycje uzdrowiskowe Ustronia, kurortu zatwierdzonego przez ówczesne, austriackie władze państwowe w 1882 r. sprawiły, że zaczęli tutaj również przyjeżdżać elitarni kuracjusze i letnicy z całej Monarchii Austro-Węgierskiej.

Właśnie z myślą o takich gościach, w 1901 r., na wzniesieniu prawego brzegu rzeki Wisły, za drewnianym mostem na Zawodzie, wybudowana została willa „Haus Nr 341”, później znana jako pensjonat „Zameczek”.

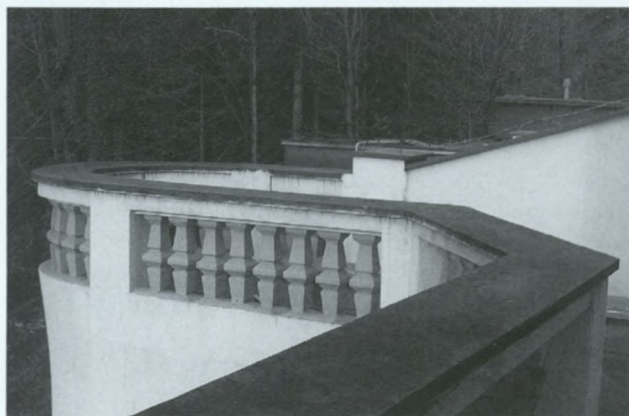
Od chwili swojego zaistnienia w ustroniskim krajobrazie obiekt musiał wzbudzać żywe zainteresowanie, bowiem już w 1902 r. pojawił się na kilku kartach pocztowych, gdzie opisany został jako „Villa Kunz”.

Istotnie, pierwszym właścicielem budynku był **doktor Gottfried Kunz**, który 29 października 1900 r. zakupił od Anny i Jana Malców z Zawodzia Górnego parcelę katastralną nr 769 wraz z przyległymi działkami o nr: 3333, 3332/2 i 3341/2, ujętymi w wykazie hipotecznym (odpowiednik obecnej księgi wieczystej) o liczbie: Lwh 537 gminy katastralnej Ustroń.



Karta pocztowa z 1901 r., a na niej jedno z pierwszych zdjęć willi, wówczas należącej do dr. Gottfrieda Kunza (ze zbiorów Piotra Szuby)

25 kwietnia 1901 r. wspomniany Gottfried Kunz, za pożyczkę zaciągniętą w Banku Żywnościowym dla Czech i Moraw (*Živnostenskim Banku pro Čechy a Morawy*) w Pradze, w kwocie 6 tys. KOH (koron austro-węgierskich), na zakupionej jesienią parceli rozpoczął budowę domu, który nazwał „*Villa Kunz*”. Obiekt, posiadający 7 pomieszczeń o łącznej powierzchni użytkowej 110 m², oddany został do użytku jeszcze w tym samym roku, natomiast od strony prawnej nastąpiło to w pierwszych dniach stycznia 1902 r., kiedy budynek ujęto w wykazie hipotecznym.



Fragment balustrady tralkowej oraz dekoracyjne detale zdobiące elewacje „Zameczku”, 3 lutego 2007 r. (fot. Dominik Konarzewski)

Nie wiadomo, kto zaprojektował tę najstarszą willę w Ustroniu? – tego dotąd nie udało mi się ustalić. Wygląd obiektu, utrzymany w tendencji eklektycznej, stanowi kompilację starych, historycznych wzorców architektonicznych. Historyk sztuki Dominik Konarzewski w ocenie architektury „Zameczku” skłaniałby się ku *połączeniu historyzmu z wyraźnym wpływem secesji, jednakże o widocznych odwołaniach do stylu kastelizującego¹, zwłaszcza w formie i usytuowaniu obiektu (wieża z blankami, taras,*



*Pierwsza ustrońska letnia rezydencja.
Fotografia z okresu, kiedy właścicielem willi był
Isidor Schwarz (ze zbiorów P. Szuby)*

wyniesienie terenowe). Według jego opinii *budowla posiada zróżnicowany pod względem stylistycznym kostium, gdzie w „naklejonych” na lica elewacji dekoracjach, wątki historyzujące przepłatają się z bardzo czytelnymi wątkami secesyjnymi, co wyraźnie wpływa na eklektyczny charakter całości.*

W pierwotnym założeniu obiekt ten miał pełnić funkcję ekskluzywnego, aczkolwiek niewielkiego pensjonatu, przeznaczonego dla ludzi z tzw. wyższych sfer i taką rolę spełniał przez kolejnych kilkadziesiąt lat, niezależnie od tego, kto był wówczas jego właścicielem. A właściciele zmieniali się dosyć często...

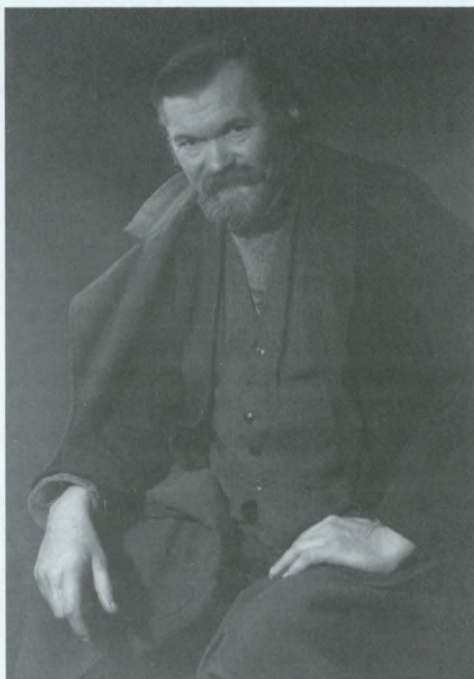
3 marca 1905 r. nowym gospodarzem budynku został **Isidor Schwarz**, na mocy umowy sprzedaży zawartej 21 lutego 1905 r. i pozostawał nim do ostatnich dni rozpadu wielonarodowej Monarchii Austro-Węgierskiej. Wówczas to pensjonat nosił nazwę „*Villa Schwarz*”.

Kolejnymi właścicielami obiektu, już w odrodzonej Rzeczypospolitej, byli – w połowie: **Jan Mamica** i **Jan Goryczka**. Pod względem prawnym sytuacja ta została uregulowana 17 października 1923 r., na podstawie wcześniej podjętych dwóch uchwał: z 30 listopada 1918 r. i 29 kwietnia 1919 r., wpisujących prawo własności na rzecz wspomnianych wyżej osób.

Następnym właścicielem „Zameczku”, od 23 października 1924 r., był **Ludwik Konarzewski senior**. Tego dnia zostało wpisane prawo własności budynku na rzecz znakomitego malarza i rzeźbiarza, na podstawie wcześniejszych ustaleń, to jest: pełnomocnictwa z 30 sierpnia 1922 r. (dotyczącego prawa zastawu dla ceny kupna w kwocie 4 tys. franków szwajcarskich na rzecz Jana Goryczki) oraz kontraktu kupna z 23 września 1924 r.

Wiadomym jest fakt, że Ludwik Konarzewski senior (ur. w 1885 r., zm. w 1954 r.) przez pierwszą połowę lat 20. ubiegłego stulecia związany był z Ustroń. W 1920 r. wraz z żoną – Jadwigą z Wałachów (siostrą Jana Wałacha – znanego artysty z Istebnej) i dwuletnim wówczas synem – Ludwikiem juniorem osiedlił się w naszej miejscowości i zamieszkał w budynku przylegającym do Czytelni Katolickiej. Miało to miejsce bezpośrednio po powrocie z zesłania w głąb Rosji, gdzie młodzi małżonkowie trafili po internowaniu przez władze carskie w 1914 r., z chwilą wybuchu I wojny światowej. W latach 1920-1921 w Czytelni Katolickiej Ludwik Konarzewski senior założył i prowadził Szkołę Artystyczno-Przemysłową, w której miejscową młodzież robotniczą uczył rzeźby i malarstwa. Zajęcia te artysta prowadził bezpłatnie, a pomagali mu – szwagier Jan Wałach oraz żona Jadwiga, ucząc dziewczęta aplikacji

i haftu. Jak podaje dr Lidia Szkaradnik za 13 numerem „Gwiazdki Cieszyńskiej” z 15 lutego 1921 r. „... Liczne interwencje Konarzewskiego w sprawie dotacji na prowadzenie zajęć nie zostały uwzględnione, toteż jesienią 1921 r. ta pożyteczna działalność została zakończona. Wystawa prac uczniów zorganizowana w tym roku budziła wielkie zainteresowanie; podziwiano kunszt powstałych dzieł oraz zaangażowanie organizatora zajęć”. W 1924 r. dla działającego przy Czytelnicy teatru Ludwik Konarzewski senior stworzył kurtynę – obraz o wymiarach 3,70 x 4,50 m, ukazujący alegorię podziału Śląska Cieszyńskiego, który nastąpił 28 lipca 1920 r. Na kurtynie widnieje napis: „Dla Czytelni Katolickiej w Ustroniu Ludwik Konarzewski 16/8 1924 r.”. Wynika z tego, iż po miesiącu od czasu namalowania słynnej kurtyny – stanowiącej malarską apoteozę polskości regionu, Ludwik Konarzewski senior został właścicielem znanego ustrońskiego pensjonatu „Zameczek” na Zawodziu Górnym.



Ludwik Konarzewski senior – właściciel willi „Zameczek” w latach 1924-1927. Zdjęcie wykonało Studio Trocha – Mysłowice w latach 40. XX w. (fot. ze zbiorów rodziny Konarzewskich)



Ludwik Konarzewski senior stoi przy kurtynie namalowanej dla Czytelni Katolickiej w Ustroniu w 1924 r. (fot. ze zbiorów rodziny Konarzewskich)

Czy rodzina Konarzewskich tam mieszkała oraz jaki był powód zakupienia wspomnianego budynku? – tego nie udało mi się ustalić. Wiadomo tylko, że w 1922 r. nabyli w Istebnej Andziołówce ziemię, którą nazwali „Buczniem” – ze względu na rosnące tam wiekowe buki, gdzie, jak podaje prawnuk Dominik Konarzewski, najpierw wybudowali dom z pracownią i kapliczkę (1922-1923 r.), a nieco później pensjonat (ukończony w 1926 r.).

Na tym w zasadzie kończą się powiązania rodziny Konarzewskich z Ustroniem, bowiem pensjonat „Zameczek” 29 marca 1927 r. przeszedł w ręce kolejnego właściciela. Na podstawie kontraktu kupna nowym nabywcą obiektu został restaurator z Katowic – **Szczepan Koppel**. W tym miejscu udało mi się odkryć związki łączące wspomnianego restauratora z poprzednim właścicielem „Zameczku” oraz z ... Ustroniem.

Szczepan Koppel (ur. w 1893 r., zm. w 1957 r.) pochodził z Karwiny, gdzie przyszedł na świat jako trzecie dziecko Karola Koppla i Agnieszki z Jarosińskich. Tam spędził dzieciństwo i wczesną młodość, wychowując się w gronie piątki rodzeństwa – trzech siostr i dwóch młodszych braci.



Około 1910 r. Agnieszka i Karol Koppłowie z dziećmi przed domem rodzinnym w Karwinie. W pierwszym rzędzie od lewej: Helena Kopplówna, Agnieszka Koppel z domu Jarosińska, Karol Koppel, Albina Kopplówna, Eman Koppel. W drugim rzędzie od lewej: Szczepan Koppel (właściciel willi „Zameczek” w latach 1927-1928), Leopold Koppel (późniejszy znany ustroński restaurator, właściciel willi „Oaza”), Maria Kopplówna (fot. z archiwum rodzinnego Urszuli Kopel)

W latach młodzieńczych Szczepan Koppel należał do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Orłowej. W obliczu zbliżającego się wybuchu I wojny światowej, dla członków tejże organizacji prowadzone były zajęcia przygotowawcze w zakresie wojskowości. Z chwilą utworzenia Legionu Śląskiego, latem 1914 r., drużyna „Sokoła” ochotniczo wstąpiła w jego szeregi. Legion Śląski wchodził w skład Legionów Polskich w strukturach armii austriackiej, utworzonych w sierpniu 1914 r. za zgodą Monarchii Austro-Węgierskiej przez Naczelny Komitet Narodowy, zrzeszający polskich posłów do Rady Państwa w Wiedniu.

Po odzyskaniu przez Polskę suwerenności państwowej, Szczepan Koppel wyjechał do Katowic i zamieszkał w kamienicy przy ul. T. Kościuszki 48. Tam, w części parterowej budynku, otworzył restaurację, w której serwował klientom głównie lody, oranżadę oraz piwo.

W latach 20. ubiegłego stulecia zetknął się z Ludwikiem Konarzewskim seniorem i zlecił mu namalowanie portretu swojej małżonki Anny Koppel z domu Krzyżanek².



Fragmety portretów Anny i Szczepana Kopplów namalowane przez Ludwika Konarzewskiego juniora w 1949 r. (fot. D. Konarzewski, lipiec 2007 r.)

Nieco później natomiast, w 1949 r., syn artysty – Ludwik Konarzewski junior (ur. w 1918 r., zm. w 1989 r.) sportretował Szczepana Koppla oraz jego najbliższą rodzinę: małżonkę Annę z domu Krzyżanek, synów – Tadeusza, Mieczysława i Eugeniusza oraz rodziców – Agnieszkę i Karola Kopplów³.

Dzisiaj nie można już dociec, czy spotkanie Ludwika Konarzewskiego seniora ze Szczepanem Koppłem nastąpiło w Katowicach, gdzie zapewne artysta często bywał z racji swoich obowiązków zawodowych, czy też może miało to miejsce w Ustroniu. Tutaj bowiem, od połowy lat 20. XX wieku, mieszkał młodszy brat Szczepana – Leopold Koppel – nieznacznie zmodyfikował on swoje nazwisko – (ur. w 1898 r., zm. w 1978 r.), który przy obecnej ul. M. Grażyńskiego 8 wybudował willę „Oaza”, gdzie uruchomił wytwórnię wód stołowych i rozlewnię piwa, a także otworzył restaurację oraz pensjonat.

Szczepan Koppel z pewnością często odwiedzał wtedy Ustroń, a goszcząc u swojego brata niejednokrotnie zwracał uwagę na oryginalny budynek na przeciwległym brzegu rzeki, jakby górujący nad „Oazą”. Widocznie wtedy Ludwik Konarzewski senior, po przeprowadzce do Istebnej, wystawił „Zameczek” na sprzedaż, a Szczepan wykorzystując okazję kupił dom położony w niedalekiej okolicy od posiadłości Leopolda. Lecz niezbyt długo dane mu było cieszyć się nowym nabytkiem, bowiem w następnym roku również i on postanowił sprzedać willę. Co było przyczyną tak szybkiej decyzji? Nie wiadomo. Być może wysokie koszty remontu, liczącego już ponad ćwierć wieku budynku zniechęcały kolejnych posiadaczy do jego użytkowania.

Nową właścicielką „Zameczku” została **Leonja Hupkowa**, na którą prawo własności obiektu zostało wpisane 26 lipca 1928 r.



Widok z „Zameczkiem” w tle. Na pierwszym planie drewniana ława przez rzekę Wisłę, 1928 r.
(fot. ze zbiorów P. Szuby)

Trzy lata później, 23 listopada 1931 r., opisywany budynek ponownie zmienił właściciela. Jak zapisano w wykazie hipotecznym Lwh 537: *adnotuje się przybicie targu na rzecz Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie i uchwały działowej z 10 września 1932 r. ustala się prawo własności na rzecz Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek, Banku Spółdzielczego z nieograniczoną odpowiedzialnością w Cieszynie.*

Istotnie, od połowy lat 20. XX stulecia, dla założonego w 1873 r. Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie, rozpoczął się pomyślny okres rozwoju, który trwał nieprzerwanie przez kilka następnych lat. Nic więc nie stało na przeszkodzie, aby po wspomnianej Leonji Hupkowej, właścicielką „Zameczku” został właśnie ten bank.

W latach 30. ubiegłego wieku willa nad Wisłą zmieniła nieco swój wygląd, a to za sprawą, dobudowanego nieco poniżej, obiektu kawiarni, jakby „przyklejonej” do opadającego w stronę rzeki Wisły urwiska.

Dziwiącym z kolei właścicielem willi nad Wisłą został inż. **Maksymilian Franke**, który nieruchomością tą nabył 18 czerwca 1938 r., a prawo własności na jego rzecz zostało wpisane 7 sierpnia 1938 r.

Decyzją wojewody śląskiego Józefa Rymera z 8 sierpnia 1922 r. Maksymilian Franke został powołany na stanowisko inspektora przemysłowego w Królewskiej Hucie (Chorzowie), którą to funkcję pełnił do 1928 r. Później sprawował urząd inspektora pracy 49 Obwodu Inspekcji Pracy, także w Królewskiej Hucie. Co skłoniło go do przyjazdu do Ustronia, tego nie podają źródła. Pewne jest, że inż. Franke był ostatnim przed wybuchem II wojny światowej właścicielem „Zameczku”, lecz prawdopodobnie nigdy w nim nie zamieszkał...

Losy i zdarzenia rozgrywane się w tej willi na przestrzeni następnych dwudziestu lat zostały opisane przez dr Cecylię Gałczyńską w artykule „Zameczek” *mon amour oraz inne ustroniana*.

Natomiast w Księgach Wieczystych, po prawie dwóch dekadach „milczenia” karty historii „Zameczku” zapisują się ponownie dopiero w 1957 r.

W tym miejscu należałoby wyjaśnić, iż punktem zwrotnym w dziejach willi nad Wisłą jak również innych, podobnych nieruchomości, okazał się rok 1946, a ściślej mówiąc dekret o majątkach opuszczonych i ponemieckich z 8 marca 1946 r.

Przykład ten dowodzi, iż mienie swoje należy starannie chronić, aby go nie utracić. W tym przypadku, z zapisów w Księgach Wieczystych wynika, że majątek został opuszczony z nieznanymi mi powodów i posiadał kuratora w osobie Józefa Kozła,

wyznaczonego przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach. W sprawie tej zostało wydane postanowienie sądowe z 10 lutego 1958 r., posiadające następujące zapisy: ... *Sąd Powiatowy w Cieszynie, Wydział I Cywilny (...)* po rozpoznaniu (...) na rozprawie sprawy z wniosku Skarbu Państwa, Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, Wydział Finansowy w Katowicach przeciwko nieznanemu z miejsca pobytu Maksymilianowi Franke, działającemu przez kuratora Józefa Kozła, o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie, postanawia stwierdzić, że **Skarb Państwa** przez zasiedzenie nabył prawo własności nieruchomości objętej Lwh 537 gminy katastralnej Ustroń, stanowiącej poprzednio własność Maksymiliana Franke.



Schody wejściowe do pensjonatu „Zameczek” oraz fragment tarasu z ozdobną balustradą. Lata 30. XX w. (fot. z archiwum rodzinnego Haliny Rakowskiej-Dzierżewicz)

Nieruchomość Lwh 537 gminy katastralnej Ustroń, składająca się z parceli budowlanej 769 oraz parcel gruntowych 3333, 3332/2, 3341/2 o obszarze 12 a 31 m², wpisana jest na rzecz Maksymiliana Franke jako właściciela. Opisana nieruchomość położona jest w Ustroniu – Zawodzie nr 78, zaś jak stwierdza oświadczenie z 17 maja 1957 r. Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Ustroniu, pozostaje jako mienie opuszczone w administracji Prezydium, bowiem właściciel Maksymilian Franke utracił posiadanie realności w 1945 r. i jego miejsce pobytu jest nieznanne.

Na podstawie zaświadczenia Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Cieszynie z 30 grudnia 1957 r. stwierdzono stosownie do artykułów 15, 16, 20 dekretu o majątkach opuszczonych i poniemieckich z 8 marca 1946 r. nie został zgłoszony przez osoby uprawnione żaden wniosek o przywrócenie posiadania majątku, zaś z wyjaśnień kuratora oraz z akt sądowych również nie wynika, by w tym kierunku był składany

wniosek lub powództwo, lub by orzeczonej został przepadek majątku na Skarb Państwa. Również kurator nieznanego z miejsca pobytu nie zgłosił żadnych zarzutów, tak, że należało przyjąć, iż przewidziany bieg terminu zasiedzenia nie został niczym przerwany. Skoro nieruchomości została opuszczona przez właściciela i od 1945 r. pozostaje w posiadaniu Skarbu Państwa nieprzerwanie tak, że z dniem 31 grudnia 1955 r. upłynął już 10-letni przewidziany okres zasiedzenia.

W taki oto sposób inż. Maksymilian Franke stracił swój ustroński majątek. Procedura ta dotknęła nie tylko jego. W podobnych okolicznościach własność swą utraciło Towarzystwo Miłośników Ustronia oraz wielu ustrońiaków, którzy po wyzwoleniu nie objęli swych majątków w posiadanie.

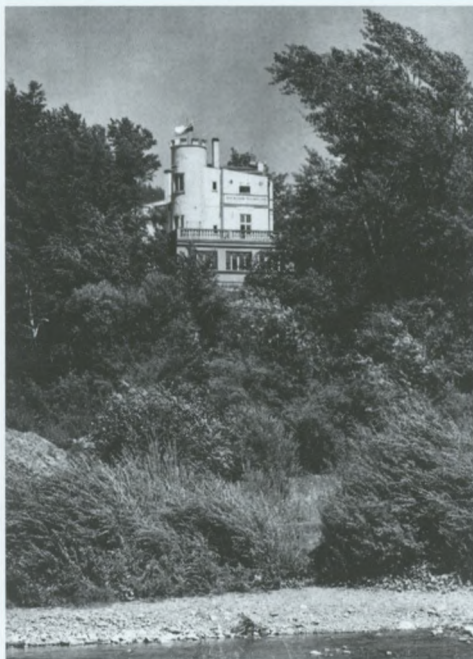
Po wyzwoleniu, w maju 1945 r. przedwojenna nieruchomości inż. Franke objęta została tymczasowym zarządem państwowym. Wspomniany dekret z 8 marca 1946 r. powołał w jego miejsce urzędy likwidacyjne, których zadania, od 1951 r., przejęły wydziały finansowe prezydentów wojewódzkich, powiatowych lub miejskich rad narodowych. W zakres ich kompetencji wchodziło: zabezpieczenie majątku polniemieckiego lub opuszczonego, kontrola i sporządzenie inwentarza, oddawanie nieruchomości w najem lub dzierżawę, sprzedaż majątku ruchomego.

Tak też postąpiło w 1957 r. Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Ustroniu (w osobach: Ludwika Troszoka – przewodniczącego, Karola Chwastka – wiceprzewodniczącego oraz Kazimierza Dustora – sekretarza), które będąc wtedy zarządcą willi „Zameczek” postanowiło na okres 15 lat oddać budynek w dzierżawę Fabryce Palenisk Mechanicznych Przedsiębiorstwo Państwowe w Mikołowie, ul. Reta Przejście II/11. Zawarcie umowy dzierżawy nastąpiło w lutym 1958 r., po cytowanej wyżej rozprawie sądowej i „oficjalnym” wywłaszczeniu nieruchomości, położonej w Ustroniu przy ul. Zawodzie 78 A. Podczas podpisywania protokołu zdawczo – odbiorczego „Zameczku” wspomniane przedsiębiorstwo reprezentowali: Franciszek Duda – kierownik działu ogólnie – administracyjnego, Alojzy Gawlik – budowniczy fabryki i Józef Erm – przewodniczący Rady Zakładowej. W umowie zaznaczono, iż dzierżawa budynku nastąpiła na podstawie decyzji Ministerstwa Gospodarki Komunalnej z 2 grudnia 1957 r. oraz rozporządzenia Rady Ministrów z 2 sierpnia 1949 r. w sprawie przekazywania nieruchomości dla realizacji narodowych planów gospodarczych, z przeznaczeniem jej na ośrodek wczasów niedzielnych i rodzinnych załogi zakładu. Dalej czytamy, że (...) budynek zawierający 8 izb i ubikację pomocniczą uległ w okresie 1945-1956 całkowitej dewastacji, gdyż ówczesny zarządca (Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Ustroniu) nie posiadał odpowiednich funduszy na remont i konserwację i w związku z tym nie może należycie nieruchomością gospodarować. Uważa się więc za celowe przekazanie jej Fabryce Palenisk Mechanicznych, która po przeprowadzeniu kapitalnego remontu przeznaczy budynek na ośrodek wczasowy. (...) Koszta remontu pokryje fundusz zakładowy w Mikołowie. (...) W 1956 r. obiekt nie był ujęty jako zabytkowy, wobec czego Wojewódzki Konserwator Zabytków Józef Gil – kierownik Oddziału Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Cieszynie, nie stawia żadnych przeszkód w jego odbudowaniu. (...).

Istotnie, z chwilą przekazania „Zameczku” Fabryce Palenisk Mechanicznych w Mikołowie, ogólny stopień zużycia budynku oszacowano na 40 %. Nie ma się czemu dziwić, bowiem licząca wtedy 57 lat willa nad Wisłą przeżyła w końcu dwie wojny światowe i dziesięciu właścicieli nie wspominając już o okupacyjnych, a później kwaterunkowych lokatorach.

U schyłku lat 50. ubiegłego stulecia, nowy najemca obejmując w posiadanie nieruchomość o kubaturze około 1000 m³ musiał więc sporo zainwestować, aby doprowadzić ją do stanu używalności, odpowiadającemu ówczesnym wymogom. „Zameczek” nie posiadał wtedy instalacji wodno-kanalizacyjnej, rynien, ubikacji wewnątrz budynku oraz centralnego ogrzewania – niektóre z jego pomieszczeń wyposażone były w piece kaflowe. Kapitałnego remontu wymagał dach i schody drewniane w baszcie. Należało także odnowić fasadę budynku, balustradę balkonową i dokonać gruntownego przeglądu instalacji elektrycznej.

Po dokonaniu niezbędnych napraw i remontów, Fabryka Palenisk Mechanicznych w Mikołowie otwarła dla swoich pracowników dom wczasowy w Ustroniu. Przewidywany w umowie, wstępny, 15. letni okres dzierżawy był sukcesywnie przedłużany, aż do 15 marca 1996 r.



„Dom Wczasów Pracowniczych” Fabryki Palenisk Mechanicznych w Mikołowie, 1966 r.
(widokówka ze zbiorów P. Szuby)

Na marginesie dodam tylko, że w latach 70. XX wieku właścicielem „Zameczku” pozostawał nadal Skarb Państwa, natomiast jako użytkownik figurował Kombinat Produkcji Kotłów i Urządzeń Kotłowych w Raciborzu, bowiem wspomnianą fabrykę w Mikołowie wcielono wtedy do tego przedsiębiorstwa. Po załamaniu się ustroju socjalistycznego w Polsce i wprowadzeniu gospodarki rynkowej, mocą dwóch decyzji wojewody bielskiego z 4 sierpnia 1993 r. oraz 6 marca 1995 r. willa „Zameczek”, posiadająca nowy adres: Ustroń, ul. Gościradowiec 4-6, 15 marca 1996 r. została prawnie własnością **Fabryki Palenisk Mechanicznych Spółka Akcyjna** w Mikołowie, ul. Towarowa 11.

Od 1999 r. opisywaną nieruchomość dzierżawili państwo **Małgorzata i Piotr Juraszkowie**, a w dwa lata później zostali, już dwunastymi z kolei, właścicielami willi na podstawie umowy sprzedaży i oświadczenia o ustanowieniu hipoteki z 28 maja 2001 r.

Historia zatoczyła koło – od Gottfrieda Kunza do Małgorzaty i Piotra Juraszków. Liczący dzisiaj 106 lat „Zameczek” nadal gości w swoich progach turystów i kuracjuszy ustroniańskiego uzdrowiska, z tą tylko różnicą, że na baszcie już nie powiewa jak 100 lat temu flaga obcego mocarstwa, ale polska biało-czerwona.

Obecnie dom wypoczynkowy „Zameczek” to nie tylko dawna willa. Przylega do niego nowszy budynek wczasowy, tzw. pawilon oraz budynek gospodarczy. Całość stanowi swoisty kompleks turystyczny o łącznej kubaturze ponad 1.580 m³. Dysponuje 40 miejscami noclegowymi i zaprasza w swoje progi gości, nie tylko w sezonie letnim, jak to było dawniej, ale przez cały rok.

Tak przedstawiają się fakty z historii willi nad Wisłą – „Zameczku”, tylko że z trochę innej, mniej klasycznej baśni.



Dom wypoczynkowy „Zameczek” państwa Małgorzaty i Piotra Juraszków, 3 lutego 2007 r.
(fot. D. Konarzewski)

¹ Styl kastelizujący (*castellated style, ang.*) – styl w architekturze angielskiej, ukształtowany w XVIII w., który programowo odwoływał się do tradycji średniowiecznej architektury obronnej, poddając ją stylizacji. W pierwszej połowie XIX w. został przeszczepiony na teren Niemiec. W Polsce dobrym przykładem tego stylu jest zamek w Kamieńcu Żąbkowickim (położony na obszarze dawnego zaboru pruskiego), który budowany był w latach 1838–1873, według projektu niemieckiego architekta Karla Friedricha Schinkla (1781–1841), (przyp. B. K.).

² Według relacji U. Kopel i M. Kopla portret Anny Koppel z domu Krzyżanek autorstwa Ludwika Konarzewskiego seniora znajduje się w zbiorach rodzinnych w Niemczech, (przyp. B. K.).

³ Portrety rodziny Koppelów wykonane w 1949 r. przez Ludwika Konarzewskiego juniora znajdują się obecnie w depozycie Muzeum Historii Katowic w Katowicach przy ul. ks. J. Szafranka 9, (przyp. B. K.).

Wykaz źródeł:

Sąd Rejonowy w Cieszynie, Wydział Ksiąg Wieczystych – Lwh 537; KW Nr 8476, 35514, 57641, 55456, 57667;

Postanowienie Sądu Powiatowego w Cieszynie I Ns 585/57 z 10 lutego 1958 r.

R. Kincel: *Bystroniowie w Ustroniu*. „Kalendarz Ustroński 2002”. Ustroń 2001, s. 40-46.

L. Szkaradnik: *Szkolnictwo*. W: Ustroń 1305-2005. T. I. Red. I. Panic. Ustroń 2005, s. 408-409.

A. Świeży-Sobel: *Tradycja, która żyje ...*. „Gość Niedzielny” z 27 XI 2005.

E. Buława: *Lata pierwszej wojny światowej jako kolejny etap na drodze Śląska Cieszyńskiego do Polski*. „Pamiętnik Cieszyński T. 8”. Cieszyn 1994, s. 7-20.

Strony internetowe: www.kc-cieszyn.pl; www.bs.cieszyn.pl; www.katowice.ap.gov.pl; www.katowice.oip.pl; www.zameczek.turystyka-polska.pl.

Informacje udzielone przez: Dominika Konarzewskiego – historyka sztuki, prawnuka Ludwika Konarzewskiego seniora, Marka Kopla – wnuka Szczepana Koppla oraz Urszulę Kopel – bratanicę Szczepana Koppla.



Mgr Bożena Kubień – absolwentka Wydziału Pedagogiczno-Artystycznego Uniwersytetu Śląskiego. Kierownik Biura Promocji i Wystaw Artystycznych w Ustroniu. Od 2000 r. pełni funkcję Prezesa Zarządu Towarzystwa Miłośników Ustronia. Pasjonuje się historią Ustronia oraz badaniem, dokumentowaniem i opisywaniem jego dziejów (szczególnie z okresu międzywojennego).

Cecylia Zofia Gałczyńska

„Zameczek” – *mon amour* oraz inne ustroniana

Do podjęcia poniższych wspomnień zostałam zachęcona przez redakcję „Pamiętnika Ustrońskiego”, jako naoczny świadek, który może do historii tego tak znanego domu dorzucić garść szczegółów, pochodzących z własnych przeżyć i obserwacji.



Karta pocztowa z 1902 r. przedstawiająca widok na jeden z najbardziej znanych ustronkich domów, wtedy nazywanego „Villa Kunz” (ze zbiorów P. Szuby)

Dotyczą one okresu wczesnej wiosny 1941 do połowy roku 1957, w tym bowiem czasie, wraz z rodzicami i bratem, byłam mieszkanką tego domu. W związku z tym mogę się odnieść do stanu zastanego wówczas i do zmian, jakie zobaczyłam tam po wielu latach.

Podkreślenia wymaga przede wszystkim fakt, że obiektu moich wspomnień, w jego postaci z lat 40. ubiegłego wieku, w zasadzie już nie ma. Wszelkie zmiany wizualne, wprowadzone przez kolejnych, późniejszych użytkowników, na różnych etapach (nie mówię o wewnętrznych zmianach funkcjonalnych), pozbawiły ten dom jego pierwotnej urody i elegancji.

Dokonywanie zmian polegało zarówno na ingerencji w pierwotne założenie architektoniczne, jak i na stopniowym pozabawianiu tego obiektu jego elementów dekoracyjnych, tych detali, które decydują o harmonii między funkcją a formą.

Ingerencją w założenie architektoniczne była likwidacja tarasu wejściowego z jego balustradami i zastąpienie go banalnymi schodami. Było nią wyburzenie uroczej przeszklonej werandy, która stanowiła tylne wejście oraz zmiana kształtu niektórych okien z łukowatych na prostokątne. Dekoracyjność zastąpiona została uproszczeniem, okna pozbawiono nie tylko artystycznej stolarki, ale odarto je nawet z pierwotnych obramień. Widać to wyraźnie na przykładzie okien wieży, z których zdjęto również kraty, tak istotne ze względów bezpieczeństwa. Okna od strony ogrodu, z których jedno jest również ową innowacją architektoniczną, mają wprawdzie obramienia, ale oba różne, co jest dowodem na zwycięstwo utylitaryzmu nad wymogami estetyki.

Zamiast mało widzialnego, uroczego komina w formie przypominającej klosz od lampy, umieszczonego nad metalowymi drzwiami z balkonu na strych, wyrósł ceglany komin, wyraźny dysonans w tym miejscu.

Tu nasuwa się nieodparty wniosek o ochronę konserwatorską tych obiektów, które na to zasługują, a nie uległy jeszcze pladze „ulepszeń”.

W czasie, kiedy zamieszkaliśmy w „Zameczku”, był on perełką architektury, wyśmakowaną doskonałością, jedyną w swoim rodzaju, nie tylko na tle miejscowym. Oceniając istniejące jeszcze wówczas elementy – np. drzwi balkonowe z dużego pokoju na piętrze (obecnie zastąpione oknem – co też jest ingerencją w stan pierwotny), wewnętrzne drzwi ówczesnej werandy, mające postać okiennic z kunsztownymi zamknięciami od wewnątrz, można dojść do wniosku, iż w trakcie budowy nie czyniono oszczędności kosztem urody obiektu. Urody tej dodawały mu również artystyczne kraty – krata w wijące się motywy nad drzwiami wejściowymi (obecnie jej brak) i kraty w okienkach piwnicy (zachowane). Powtarzający się w kilku miejscach na murach zewnętrznych motyw dekoracyjny, powtórzony był na drzwiach wejściowych oraz na wszystkich drzwiach wewnątrz budynku. Drzwi wejściowe posiadały również artystyczne okucia wzmacniające ich konstrukcję.



Secesyjne drewniane paneaux we wnętrzach „Zameczku”
(fot. Cecylia Galczyńska, 2000 r.)

Swoistymi i właściwie ostatnimi istniejącymi do teraz świadkami ongisiejszej klasy tego budynku są dwa drewniane *panneaux* we wnętrzu. Jedno w sieni nad drzwiami pokoju naprzeciw drzwi wejściowych, drugie w tejże sieni nad wejściem na kręte schody, które znajdują się w wieży. Pierwszy z tych elementów dekoracyjnych to wypukły relief, przedstawiający stylizowane kwiaty (nenufary?). Drugi to płaskorzeźba z punktem centralnym i rozchodzącymi się na boki stylizowanymi motywami roślinnymi. Przepiękny przykład dekoracji secesyjnej w jej najczystszej wydaniu. Oba te *panneaux* oraz krata i dekoracja drzwi, o której była mowa, są również wyznacznikami czasu, w którym dom ten został zbudowany.

Starsze zdjęcia pokazują, iż wszystkie okna posiadały okiennice. Kiedy się wprowadziliśmy, okiennic już nie było, zapewne nie zmuszały, lecz podzieliły los całego wyposażenia tego domu. Natomiast balustrady tarasu były ku naszej uciechu obite blachą, dzięki czemu nadawały się świetnie do zjeżdżania.

Posesja, na której mieścił się ówczesny „Zameczek”, przeszła również liczne przeobrażenia. Pierwotnie budynek stał w obrębie ogrodu o kształcie wydłużonego trójkąta. Wzdłuż jego prawego ramienia, za drewnianym płotem, przechodziła droga

jezdna, idąca od poziomu terenów nad Wisłą, zboczem wzniesienia i dalej do gospodarstwa rodziny Malców. Teren przynależny do „Zameczku” zakupiony został od tejże rodziny. W prawo od płotu, za wspomnianą drogą, znajdowało się pole uprawne, na którym co roku rosło coś innego, a za nim piękna, wieczniezielona łąka na tle wspaniałych drzew liściastych przebiegającego poniżej parowu. Lewe ramię płotu odgraniczało ogród od spadzistego, zadrzewionego stoku, po którego lewej stronie biegła zygzakowato ścieżka dla pieszych, prowadząca do mostka na Gościradowcu.

Obecnie znajdują się tam schody. Zbocze zostało podkopane, a schody zaopatrzone w nieproporcjonalnie duże poręcze. Teren tego zbocza należał do lat 90. XX wieku do rodziny Szczepańskich i został od nich odkupiony.

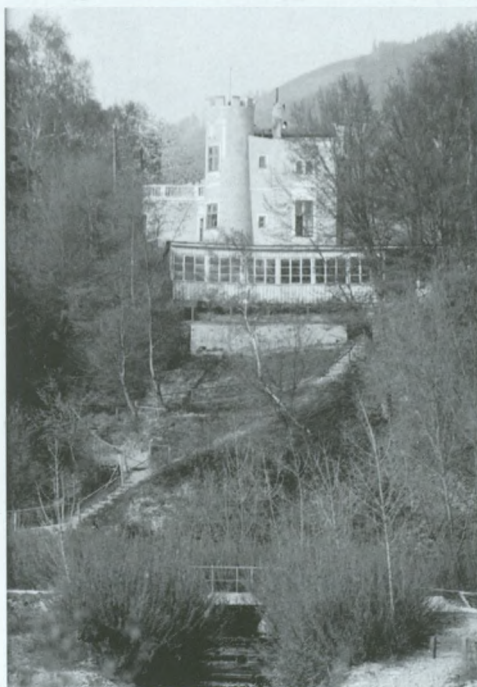
Ogród, taki, jakim go zastaliśmy, przecinała aleja krzewów różowo-żółtych porzeczek. Krzewy te, wysokie i bujne, tworzyły w lecie łukowaty tunel, doskonale nadający się na cieniste miejsce odpoczynku. Tutaj, na ławeczce zbudowanej z kamieni i desek, czytaliśmy książki. Wzdłuż prawego płotu rosły krzaki różnego rodzaju, w tym krzaki czarnego i lila bzu, a ponadto jeden spory już cis. Bliżej domu ogromna, stara czereśnia. Od strony południowej „Zameczek” ocieniony był kilkoma dorodnymi jesionami.

Przestrzeń poza aleją porzeczkową zamieniona została później przez nas na grządki warzywne. Ogród ten, aczkolwiek stosunkowo mały, był znaczną podporą naszego gospodarstwa domowego. Z rozczuleniem wspominam chociażby pachnące pomidory, szczypiorek, ogórki, ogromne dynie (z dyni robiło się wówczas słodką marynatę, cenny przysmak na długie, zimowe wieczory).

Zmiany, jakie dokonały się później wokół „Zameczku” i w jego wnętrzu, nie ominęły również ogrodu. Poprzedni ogród przestał istnieć. Prawy płot (obecnie siatka) został przesunięty o kilkanaście metrów w prawo, droga jezdna, nadal użytkowana, znalazła się wewnątrz posesji i zmierza w kierunku bramy z napisem „Teren prywatny”.

Ogrodzenie z lewej strony również zostało przesunięte na zewnątrz, powstał tu parterowy pawilon z pokojami, mającymi bezpośrednie zejścia do ogrodu. Pojawiły się huśtawki, parasole, miejsce do grillowania i kawiarenka.

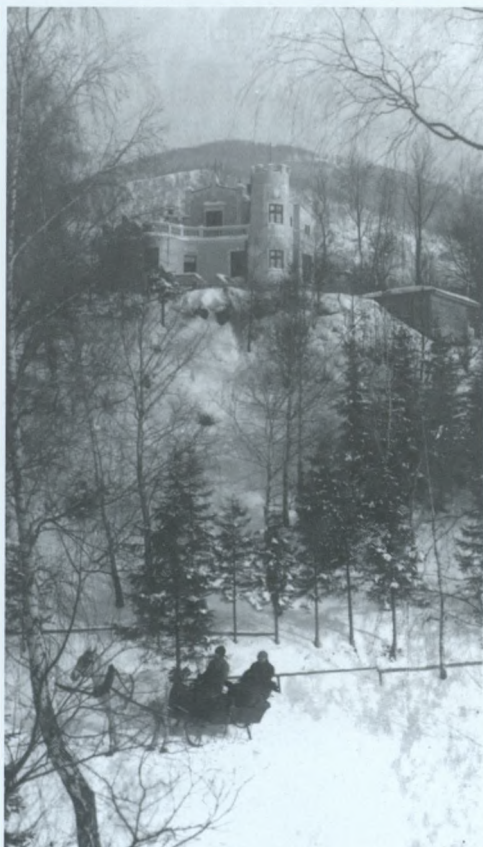
W relacjach na temat „Zameczku” panuje powszechne przekonanie, iż budynek ten został wybudowany w celu prowadzenia tam pensjonatu. Ośmielał się być innego zdania. Dom, złożony z trzech większych i dwóch małych pokoi oraz małej, kilkumetrowej kuchni, nie był z pewnością przewidziany pierwotnie do takiego celu. Pensjonat jest przedsięwzięciem nastawionym na



Dawne schody wiodące do willi.
Lata 30. XX w.
(fot. ze zbiorów Galerii „Na Gojach”)

zysk, a zakładając również obecność stałych mieszkańców, ileż pokoi można byłoby wynajmować dla amortyzacji kosztów budowy, które musiały być znaczne – biorąc pod uwagę wymienioną już dbałość o detal i jakość materiałów. Toteż sędzę, że do przyniesienia zysków przewidziana była kawiarnia.

Stanowiła ona trzeci bok omawianego trójkąta, jego podstawę. Usytuowana była w zboczu, opadającym w stronę rzeki Wisły. Dach kawiarni tworzył przedłużenie terenu wokół domu (na tym samym poziomie) i był dostępny również jako platforma widokowa. Do kawiarni od góry prowadziły schodki z lewej strony tego obiektu, obok dość wysokiego, ceglano-kuchnia jego kuchni. Kawiarnia była wbudowana w stosunkowo stromy w tym miejscu stok i składała się z części murowanej, a w niej obszerna kuchnia z betonowym pojemnikiem na wodę i zaplecze kuchni, oraz z dużej, przeszklonej, drewnianej sali. Oceniając w pamięci wielkość tego obiektu według parametrów jego dachu, wewnątrz musiało mieć minimum ok. 150 m². Od strony Wisły prowadziła do kawiarni własna ścieżka, a zbocze w tym miejscu było przyozdobione małym skwerkiem z kwiatami, krzewami ozdobnymi i ławeczką. Dom i kawiarnia stanowiły optycznie uzupełniającą się całość.



Lata 20. XX w. „Zameczek” zimą
fotografowany przez Józefa Skorę
(ze zbiorów Muzeum Ustrońskiego)

Powyższy opis odpowiada stanowi kawiarni w jej ostatecznej postaci. O ile data budowy domu została już wiarygodnie wyjaśniona, o tyle nie ma pewności co do daty pojawienia się kawiarni. Zachowana dokumentacja fotograficzna pozwala wysunąć wątpliwość co do jednoczesnego pojawienia się obu obiektów. Na zdjęciu ze zbiorów Muzeum Ustrońskiego, reprodukowanym na s. 352 dzieła „Ustroń 1305-2005”. T. 1 (Ustroń 2005), pochodzącym z około 1902 roku, trudno dostrzec chociażby jej zarys. Ponadto widać inny układ ścieżki, prowadzącej od strony Wisły wprost do lewej strony budynku. Na znanej pocztówce, przedstawiającej „Zameczek” zimą, na zboczu widoczny jest mały, dwuokienny budynek, znacznie jednak mniejszy od późniejszego, powszechnie znanego, o sześciu dużych prostokątnych oknach, każde w układzie z dziewięciu szyb.

Wspomniany wyżej betonowy pojemnik na wodę był niestety koniecznością, bowiem jedynym jej źródłem dla budynku zasadniczego i kawiarni była studnia o małej wydajności, na stoku od strony Gościradowca, prawie u jego podnóża, tuż obok ścieżki dla pieszych.

Według relacji sąsiadów, do dostarczania wody ze studni zatrudniony był osobny pracownik. Brak bieżącej wody miał również inne skutki, mianowicie nie było WC w dzisiejszym rozumieniu. Dla mieszkańców domu istniały dwie toalety – na piętrze, obok wieży oraz w tym samym pionie na parterze. Na zewnątrz, zamaskowany krzewami bzu, znajdował się wkopany w ziemię zbiornik, który wymagał od czasu do czasu interwencji „szambonurków”. Dla gości kawiarni przeznaczony był drewniany domek przy końcu ogrodu.

Odpowiedź na pytanie o łazienkę (raczej pokój kąpielowy) w „Zameczku” tamtego czasu nie jest prosta. Oprócz wymienionych pięciu pokoi, gdzie wyobraźnia podsuwa nam na toalecie miednicę i dzbanek na wodę, jedynym pomieszczeniem do celów kąpielowych, mogło być pomieszczenie pod balkonem, na lewo od byłego tarasu. Trudno to pomieszczenie nazwać pokojem ze względu na małe rozmiary. Mogła się w nim mieścić wanna, natomiast brak przewodu kominowego uniemożliwiał instalację jakiegoś piecyka do ogrzewania wody. Wodę musiano więc podgrzewać w kuchni. Brak bieżącej wody i skutki tej sytuacji były podstawowym dysonansem między urodą i doskonałością architektoniczną, a funkcjonalnością tego domu. Można powiedzieć, że dziś, kiedy wszystkie pokoje posiadają autentyczne łazienki, sytuacja jest dokładnie odwrotna.

Mówiąc o „Zameczku” z punktu widzenia własnych przeżyć, wypada wyjaśnić, w jaki sposób staliśmy się jego mieszkańcami.

Ustroń ujrzałam jako dziecko 1 lipca 1939 roku, kiedy to przyjechaliśmy tutaj z Trzebini na wakacje. Mój brat Ryszard ukończył wówczas pierwszą klasę. Przed samym końcem wakacji o naszym dalszym losie zdecydowała – można tak żartobliwie powiedzieć – głównie rafineria w Trzebini. Prawdopodobieństwo jej bombardowania w razie wybuchu wojny było koronnym argumentem mojego ojca przeciwko naszemu powrotowi do domu, podczas kiedy on sam musiał zgłosić się do wojska wobec ogłoszonej pod koniec sierpnia powszechnej mobilizacji. Wojna miała trwać krótko, więc przeczekanie jej w wynajętym pokoju na Poniwcu wydawało się być lepszym wyjściem, niż powrót do przemysłowej Trzebini. „W razie czego” mieliśmy ciotkę w pobliskich Kozakowicach Dolnych, gdzie mój ojciec, Andrzej Kohut urodził się w 1899 roku. Ponadto pewnie wierzył, jak wszyscy w tych stronach, że na wypadek jakiegoś kataklizmu, uchowają się tylko ludzie u źródeł Wisły.

Rafineria istotnie była bombardowana i płonąła, ale wojna niestety nie trwała krótko. Dla nas – mojej mamy Magdaleny z Kowalikowskich, mnie i mojego brata – nastał „okres przedzameczkowy”. Znaleźliśmy się nieoczeki-



*Magdalena Kowalikowska-Kohut, lata 30. XX w.
(fot. z archiwum rodzinnego autorki)*

wanie na obszarze wcielonym do III Rzeszy, podczas gdy nasze miasto rodzinne (i nasze mieszkanie) w Generalnym Gubernatorstwie (GG), dokąd początkowo nie było możliwości wyjazdu. Do czasu powrotu ojca z niewoli (początkowo radzieckiej, potem niemieckiej), pomogło nam w utrzymaniu się przy życiu austriackie wychowanie mojej mamy – a konkretnie dobra znajomość języka niemieckiego, co pozwoliło jej na otrzymanie zajęcia w charakterze tłumaczki w Urzędzie Gminnym. Tam bowiem administrację przejęli natychmiast urzędnicy okupanta – Niemcy i Austriacy.

Dla mnie osobiście rozpoczął się czas uczęszczania do przedszkola, do którego, tak jak inne miejscowe dzieci w odpowiednim wieku, otrzymałam formalną kartę powołania. Pamiętam ten moment i słowa mamy, że tam przynajmniej dostanę jeść. Można z tego wnioskować, że przedszkole było wprawdzie obowiązkowe, ale z pewnością bezpłatne. Mieściło się ono w dużej willi „Basieńka” przy obecnej ulicy M. Reja 5. Zgodnie z planem całkowitej germanizacji ludności, personel złożony był z Niemek czy też Austriaczek. Polkami były jedynie panie pracujące w kuchni. Otrzymywaliśmy w ten sposób bezpłatne lekcje niemieckiego. Do dziś na pytanie, skąd znam tak dobrze ten język, odpowiadam skromnie: z przedszkola. Pamiętam, że mieliśmy dość dużo zabawek i to, że jedna z wychowawczyń zwracała się do mnie *per Mäuschen*. Byłam tym oburzona całkiem serio („Przecież ja nie jestem żadna mysz”).

Mój ojciec powrócił z niewoli w styczniu 1940 roku. W okresie miesięcy, poprzedzających to radosne wydarzenie, nie mieliśmy żadnego kontaktu: my nie wiedzieliśmy, czy mamy jeszcze tatusia, on nie wiedział, czy jednak nie wróciliśmy do domu. Przyjechał jednakże do Ustronia, ponieważ transport uwolnionych z niewoli jeńców odjeżdżał do Katowic o dzień wcześniej niż transport do Krakowa. Wkrótce



Autorka artykułu (w środku) na dachu kawiarni. Na tarasie „Zameczku” stoi jej brat – Ryszard, 1942 r. (fot. z archiwum rodzinnego autorki)

po powrocie z niewoli (po tygodniu lub dwóch), otrzymał polecenie wyjazdu jako robotnik przymusowy do fabryki zbrojeniowej w Stuttgarcie. Pierwsza pocztówka, donosząca o dotarciu na miejsce i podjęciu pracy, pochodzi z 28 stycznia 1940 roku. Dla nas na Poniwcu, gdzie dalej mieszkaliśmy u tego samego gospodarza, nastąpiły – paradoksalnie – lepsze czasy. Otrzymywaliśmy pieniądze, ale najbardziej nas dzieci cieszyły paczki przesyłane ze Stuttgartu, a w nich między innymi zabawki. Lalkę z tamtych czasów mam do dziś.

Ze względu na zły stan zdrowia, do czego przyczynił się walenie pobyt w niewoli, ojciec został zwolniony z robót przymusowych. Powrócił do Ustronia z końcem zimy w 1941 roku. Wkrótce potem wprowadziliśmy się do „Zameczku”. Adres: *Am Weichselhang 78* (na Zawodziu nie było jeszcze wówczas nazw ulic, posługiwano się wyłącznie numerami domów, nie wiem

według jakiego systemu, według kolejności ich powstawania ?). Ojciec podjął prace w fabryce „Brevillier i Ska & A. Urban Synowie” (obecna Kuźnia Polska Sp. Akcyjna w Ustroniu), gdzie mógł zastosować swoją piękną kaligrafię, wyniesioną z cieszyńskiego gimnazjum. Ja zmieniłam na kilka miesięcy przedszkole, które funkcjonuje do dziś na skrzyżowaniu ulic I. Daszyńskiego i Cieszyńskiej.

Pojęcie „wprowadzić się” jest tu wielce nieadekwatne. Kojarzy się ono ze stosami mebli i innych przedmiotów. W naszym przypadku były to jedynie rzeczy osobiste, pościel przywieziona jeszcze z Trzebini, trochę naczyń kuchennych. W mojej pamięci utkwiał na zawsze obraz „Zameczku” z momentu, kiedy pierwszy raz znalazłam się w jego wnętrzu: powybijane szyby, na podłogach szkło, pełno kamieni i zeschłych liści. I kompletnie puste pokoje. Po piecach kaflowych pozostały jedynie ślady. Sądząc po jedynym, jaki się uchował (w małym pokoju na piętrze), musiały to być piece piękne. Na szczęście zachował się piec w kuchni, z bezcennym piecykiem do pieczenia. Mówiąc o kuchni, warto wspomnieć spiżarnię, dziś zamienioną na wnękę istniejącego w miejscu kuchni pokoju. Spiżarnia miała po obu stronach rzędy półek aż po sufit.

Również z wyposażenia kawiarni nie pozostało nic, oprócz kilku małych stołów i kilku krzeseł. Kwieciste tapety z materiału na ścianach były przeważnie pozrywane. Pozostała również ogromna lada barowa z półkami i drzwiczkami. Mieliśmy więc do urządzenia naszego nowego mieszkania stoły i krzesła, a z lady barowej mój pomysły ojciec wyciął trzy segmenty. Dwa służyły nam w charakterze komód, trzeci zastąpił w kuchni kredens. Szafy dorobiliśmy się znacznie później. Obecnie, w przepelnionym mieszkaniu, wspominam z nostalgią tamten dom, w którym były pokoje, do których nie było czego wstawić.

Dom ten został nam przydzielony na mieszkanie przez władze okupacyjne jako, w danym momencie, bezpieczny. Dziś rozumiem, dlaczego nie zasiedlili go, tak jak wiele innych eleganckich domów, sami okupanci. Powodem tego był fatalny stan sanitarny, z brakiem bieżącej wody na czele. W powszechnej opinii dom ten, za przyczyną tragicznego zajścia, jakie tam ongiś miało miejsce, uchodził za nawiedzony.

Jesienią owego 1941 roku rozpoczęłam naukę szkolną w nieistniejącej już szkole przy kościele rzymskokatolickim pw. św. Klemensa (wyburzona po 1996 roku). Szkoła była oczywiście niemiecka. Polskiej szkoły, tak jak w GG, po prostu nie było. Pierwszą naszą nauczycielką była *Fräulein Dietrich aus Wien* (tak nam się przedstawiła). Hobby panny Dietrich, oprócz uczenia nas czytania i pisania, były inscenizacje bajek. Być może taki był program, w każdym razie pamiętam niezliczone przedstawienia Czerwonego Kapturka, Królowy Śnieżki itp. w naszym wykonaniu na podium klasy. Jako lekcje językowe – znakomity pomysł.

Z ówczesnej kadry pedagogicznej (!) pamiętam również uczącego nas w trzeciej lub w czwartej klasie nauczyciela matematyki Scholza, który bił dzieci w twarz. Było to hobby dla nas znacznie mniej przyjemne i miało wpływ odwrotnie proporcjonalny do naszej znajomości tej trudnej nauki.

Sprawa, która ma związek ze szkołą, o tyle, iż miała miejsce na jej terenie, nie daje mi spokoju do dziś: w czwartej (?) klasie – było to w szkole przy Rynku, (obecnie mieści się tam Miejska Biblioteka Publiczna), nie pamiętam pory roku, weszło do klasy w czasie lekcji dwóch mężczyzn, którzy zaczęli nam robić zastrzyki. Dziewczynki dostawały zastrzyk w górną nasadę lewej piersi. Zastrzyk był bardzo bolesny. Nastąpiło po nim zacerwienie. Płakałyśmy, byłyśmy w szoku. Nie pamiętam, czy

zastrzyki te otrzymywali również chłopcy. Nikt nam niczego nie wyjaśnił, odbyło się to oczywiście bez porozumienia z rodzicami. Czy zostaliśmy poddani jakiemś eksperymentowi medycznemu? Zastrzyk nie wydawał się mieć konsekwencji, ale czy aby na pewno? Może ktoś z moich ówczesnych rówieśników wie coś więcej na ten temat. Było to w ewidentny sposób nadużycie, ale w taki właśnie bezpardonowy sposób traktowano podbite społeczeństwo.

Pewnego dnia w szkole pojawił się stos ubrań. Były to chyba głównie płaszczyki zimowe. Powiedziano nam, że dobre niemieckie dzieci podzieliły się z nami swoją odzieżą. Uczniowie podchodzili kolejno, każdy miał prawo wybrać ze stosu jedną sztukę. W tamtej sytuacji, kiedy rośliśmy szybko, a odzież była racjonowana na *Bezugschein* (karta przydziału), był to bardzo pożądany prezent. Znacznie później dotarło do mnie, że była to odzież raczej z niezbyt odległego *Auschwitz*.

Jedna z klas w naszej szkole przy kościele przeznaczona była wyłącznie dla kilkudziesięciu (około trzydziestu) niemieckich chłopców, w wieku od 10–15 lat, którzy do szkoły maszerowali w mundurach *Hitlerjugend*, w zwartym szyku. Na przerwach dystansowali się od polskich dzieci. Zakwaterowani byli w „Brzezince” (obecnie „Jarzębinka” przy ul. M. Grażyńskiego 12), willi rodziny Szczepańskich, na wzgórzu naprzeciw „Zameczku”. Trudno mi dziś ustalić rok, w którym to nastąpiło, natomiast dobrze pamiętam ostatnie zimowe miesiące wojny, kiedy to, nie bacząc na ewentualne zabłąkane pociski z pobliskiego frontu, zjeżdżaliśmy zgodnie na nartach na wąwozowym odcinku obecnej ulicy M. Grażyńskiego, między „Brzezinką” a „Basieńką” (willi przy obecnej ul. M. Grażyńskiego 31. W Ustroniu nazwę „Basieńka” posiadały dwa domy – jeden opisywany w tym miejscu, a drugi wspomniany także w tym tekście, przy obecnej ul. M. Reja 5, przyp. red.). Chłopcy ci zostali ewakuowani tuż przed zakończeniem wojny na naszym terenie. Ku uciesze okolicznej młodzieży, pozostała po nich w „Brzezince” niezliczona ilość nart, których nie zdążyli zabrać ze sobą.

Niemiecki chłopiec pojawił się również w naszej klasie. Było to w roku 1942 lub 1943. W Ustroniu przebywali wówczas Niemcy z Besarabii, przewidziani do kolonizowania gospodarstw po wysiedlonych Polakach. Chłopiec ten, mieszkający wraz z rodziną w przepelnionym pensjonacie nad rzeką (przedwojenna willa Anny z domu Koźdoń i Pawła Michejdów przy obecnej ul. Parkowej 8, przyp. red.), blisko Hotelu Kuracyjnego, był raczej nieśmiały, chyba starszy od naszego rocznika. Przystąpił z nami do komunii św. w 1943 roku.

„Zameczek” czasów mojego dzieciństwa królował na swoim zbocz i był widzialny ze wszystkich stron. Jego wieża, z małą platformą na szczycie, zwieńczona blakami, będąca spektakularnym wyjściem architektonicznym zamiast klatki schodowej, była doskonałym punktem widokowym. Stąd chętnie fotografowano majestatyczną panoramę gór. Na tle tej panoramy, w najbliższej perspektywie widziało się drewniany most na Wiśle, basen kąpielowy, za nim w lewo korty tenisowe, w prawo willę „Oazę” z restauracją, willę „Helga”, „Astra” i „Nel” (obecnie „Neli”). Wyraźnie na wprost widoczny był też ratusz, w prawo wieża kościoła katolickiego, a przed nim kino.

Most na Wiśle był obiektem, który budził powszechną uwagę, zwłaszcza w czasie dorocznych wczesnowiosennych powodzi. Ogromne masy wody ze stopniałych górskich śniegów, z obszarów hen od Baraniej Góry, niosące nie tylko trawy, liście, ale i gałęzie, a także kłody drewniane, uderzały z wielką siłą w filary mostu, często naruszając jego konstrukcję. Każdego chyba roku wymagał on w związku z tym jakichś napraw. W którymś roku, wydaje mi się, że tuż po wojnie, most został na tyle osłabiony,

iż nie nadawał się już do użytkowania. A służył on nie tylko pieszym mieszkańcom, ale również wszelkim ich pojazdom od Skalicy po Dolne Zawodzie, a więc i wozom gospodarskim z różnorakimi ładunkami, tędy też transportowano ogromne, ciężkie pnie drzew z lasów na Równicy. Podjęto więc budowę nowego mostu.



Widok na „Zameczek” z drewnianego mostu przez rzekę Wisłę, 1937 r.
(fot ze zbiorów Galerii „Na Gojach”)



Uszkodzony po powodzi most na rzece Wiśle, 26 czerwca 1958 r.
W tle willa „Zameczek” – wtedy już dzierżawiona przez Fabrykę Palenisk Mechanicznych w Mikołowie
(fot z archiwum rodzinnego Lidii Troczok)

Z budową tego mostu wiąże się ekscytujące przeżycie, kiedy to jeden z jego budowniczych przeprowadził mnie po belce na drugi brzeg. Belka była drewniana, wąska i długa, zamocowana na wysokości chyba większej niż dziesięć metrów ponad lustrem wzburzonej, mętnej wody. Zaoszczędziło mi to dalekiej okrężnej drogi, ale dostarczyło niezapomnianych emocji, na miarę wyczynu w sporcie ekstremalnym.

Zbudowany wówczas most – również drewniany, był dziełem artystycznym swego rodzaju. Z wygodnymi poboczami dla pieszych, stanowił również ważny punkt w życiu towarzyskim, zwłaszcza miejscowej młodzieży. Tutaj umawiano się na spotkania, a czas oczekiwania można było poświęcić na obserwację licznych w tym miejscu (wówczas) pstrągów.

W tamtym czasie most był dla wszystkich oczywistością, okazuje się jednak, że był tą oczywistością od niezbyt odległych czasów. Prof. Jan Szczepański, urodzony w 1913 roku, w swojej książeczce „Korzeniami wrosłem w ziemię” pisze: „*Na Wiśle nie było mostu, były ławy, systematycznie zabierane co roku przez powódź*” (Ustroń 2003, s.19). Zakładając, że wspomnienia te dotyczą wczesnego dzieciństwa, mógł to być czas około 1920 roku. Autor ten również w innym miejscu wspomina o przejeździe brodem przez Wisłę, a sądząc z refleksji po wycieczce na Baranią Górę (s. 105), było to znacznie później – założmy około 1925 roku. Oznacza to, że wszelki transport w okresach podwyższonego stanu wody był całkowicie wykluczony. Nawet przy niskim jej stanie przejazd po kamienistym dnie musiał być nie lada zadaniem dla koni i woźnicy. W taki sposób odbywał się więc również transport materiałów budowlanych dla „Zameczku”. Pojęcie ława, czyli kładka dla pieszych, zachowała się jako nazwa własna dla poprzedniczki obecnego mostu wiszącego, nieco wyżej w górę rzeki.

Nas dzieci, powodzie interesowały również z innego powodu. Wisła była w tym czasie już uregulowana. Zbudowano kamiennieo-drewniane wodospady, rozmieszczone co kilkadziesiąt metrów. Wodospady te osłaniane były na brzegach ogromnymi głowicami, złożonymi z misternie plecionej, grubej siatki drucianej, wypełnione dobranymi i starannie ułożonymi dużymi kamieniami. Dziś zastąpiono je w dużej mierze obrzeżami z betonu, co pozbawiło brzegi tej rzeki jej uprzedniego uroku. O ile uregulowane brzegi w czasie powodzi nie były w zasadzie narażone na podmycie, o tyle samo koryto podlegało bezustannym zmianom. Silny prąd wypłukiwał kamienie w jednym miejscu, osadzając je w innym. Toteż z napięciem upatrywaliśmy, w którym miejscu w danym roku powstanie *plosa*, *głęboczyna*, czyli miejsce dogodne do kąpienia, bo Wisła z zasady w miesiącach letniej suszy jest w Ustroniu rzeką płytką. Czy więc można było nauczyć się w niej pływać? A jednak tak.

Przez kilka lat takie dogodne miejsce, gdzie skupiało się nasze kąpielowo-towarzystwo, znajdowało się u podnóża pierwszego wodospadu za mostem w kierunku biegu rzeki. Woda w tym miejscu sięgała dzieciarni najwyżej po szyję, a długość owego *plosa* nie przekraczała kilkunastu metrów, zresztą tylko pod warunkiem, że zbudowaliśmy zbiorowym wysiłkiem odpowiednią tamę z kamieni. Budowa tamy i jej stałe uzupełnianie było naszym ulubionym zajęciem. W tym właśnie miejscu ja, mój brat i wiele innych dzieci nauczyliśmy się pływać. Metoda była prosta, zaczynało się od ruchów pływackich, podpierając się równocześnie nogą. I nagle – ja płynę.

Z miejscem tym wiąże się dla mnie również postać znanego ustroniaka Gustawa Szczepanka (1892-1982). Szczupły, niezwykle opalony, milczący, siedział zwykle na kamieniach, był jakby stałym symbolem tego miejsca. W oczywisty sposób nie przeszkadzało mu nasze hałaśliwe zachowanie. Dziś ze wzruszeniem patrzę na bezczasowy napis na jego nagrobku na katolickim cmentarzu: „Gustaw Szczepanek. Żył lat 90”. Żył długo, pewnie między innymi dlatego, że pływał w naszym *plosie*.

Inną osobą, która nieco później, bo tuż po wojnie, również upodobała sobie to miejsce, była doktorowa Barbara Grabowska z pobliskiej „Basieńki”. Czarnowłosa, nieprzeciętnej urody, królowała na swoim kocu, podejmując z nami, kilkunastoletni-

mi dziewczynkami rozmowy o modzie, fryzurach i na inne równie fascynujące tematy. W tamtym czasie, również willa „Basieńka” prezentowała swoją urodę z daleka. Urwista skarpa, ponad którą znajduje się ten dom, nie była wówczas zarośnięta. Obecnie, mało widzialna z daleka, kiedy całe zbocze jest zadrzewione, „Basieńka”, ze swoją zamkniętą bramą, może uchodzić za siedzibę rodziny Adamsów.

Brzegi Wisły, nazywane Kamieńcem, były przed laty istotnie kamienniste, z czasów przed regulacją tej rzeki, kiedy to rozlewała się ona na znacznie szerszym obszarze. Podłoże Kamieńca tworzyły otoczaki różnej wielkości, pokryte cienką warstwą gleby. Rosła tu samoistnie, czy też była uprawiana wiklina, tworząca istne dżungle, wycinana co roku dla celów wikliniarskich i do umacniania rowów melioracyjnych.

Rosły tu również kwitnące żółto janowce, sucholubne trawy, zioła, a w najbardziej nasłonecznionych miejscach boskie poziomki. Dziś tereny te, zamienione w trawniki, obsadzone groteskowo wyglądającymi tu krzewami ogrodowymi, przysposobione dla masowej turystyki weekendowej, zatraciły swój oryginalny charakter.

Patrząc z „Zameczku” na wprost, najbliższym sąsiadem za Wisłą był basen kąpielowy. Chwała ówczesnym światłym włodarzom z ratusza za tak wspaniały obiekt. Jego budowa wynikała ze zrozumienia duszy osób przyjezdnych, którym nie wystarczą jedynie najwspanialsze nawet pensjonaty.

Basen nie był już tak swojskim miejscem jak nasze *płosa* u wiślanych wodospadów. Ożywione życie, toczące się latem na jego terenie, obserwowane z okna naszej kuchni, nadawało mu w moich oczach nieopisanego powabu. Dzięki zróżnicowanej głębokości, warunki do kąpieli były wspaniałe nawet dla tych, którzy niezbyt jeszcze radzili sobie z wodą. Ogromne wrażenie robiła kilkumetrowej wysokości trampolina, najprawdziwsze, pachnące drewnem kabiny do przebierania, i szatniarką, która umieszczała nasze ubiory gdzieś w przepastnej głębi zaplecza, kawiarnia ze stolikami na tarasie, a na leżakach panie w pięknych kostiumach kąpielowych. Ten raj wodny oddzielony był od nas wszakże zaporą, jaką stanowiły bilety wstępu. W praktyce bilety te obowiązywały do późnych godzin popołudniowych. Utarł się jednak sympatyczny obyczaj, że miejscowe dzieci wpuszczano w obręb basenu o takiej porze bez tej kłopotliwej formalności (wszyscy byli i tak mniej lub więcej znajomymi królika).

Na powierzchni wody głębszej części basenu, na brzegu której znajdowała się wspomniana trampolina, pływało stale kilkumetrowe koło, zbudowane z drewna korkowego, ujętego w obramowanie z desek. Koło to stanowiło przedmiot uwielbienia dzieciarni. Jego rozmiary pozwalały pomieścić całą gromadę tej dzieciarni, inni, dla których nie starczyło miejsca, przytrzymywali się boków, wszystko to wśród przepy-



Willa „Basieńka” na Zawodziu, 1951 r. – wtedy własność państwa Barbary i Mieczysława Grabowskich z Katowic (fragment widokówki ze zbiorów P. Szuby)

chanek i nieopisanej wrzawy. Kiedyś, w takim właśnie momencie, zostałam z tego koła zepchnięta i znalazłam się nieoczekiwanie pod wodą, która w tym miejscu sięgała kilku metrów. Zdążyłam się już zachłysnąć wodą, kiedy – z całkiem dorosłą przytomnością umysłu – przyszedł mi na pomoc mój kolega szkolny i bliski sąsiad Włodziu Ilski. Dzięki ci Włodziu za ocalenie życia! Dziś mogę tę wdzięczność wyrazić jedynie podziwiając jego nagrobek, najpiękniejszy na całym cmentarzu katolickim.



Okolo 1935 r. Ustroński basen kąpielowy. W tle – z prawej strony willa „Zameczek”, z lewej willa przy obecnej ul. M. Grażyńskiego 29, do okolo 1946 r. będąca własnością pracownika ustrońskiej elektrowni – Gebauera (fot. ze zbiorów Galerii „Na Gojach”)

Miasto Ustroń, utraciwszy w 2004 roku basen, tak wspomniały, ogólnodostępny obiekt, utraciło jedną ze swoich czołowych atrakcji.

W lewo od basenu kąpielowego, tuż za jego plotem, znajdowały się korty tenisowe, gdzie współzawodniczyły z sobą najlepsze rakiety Ustronia, wśród nich moja koleżanka licealna Krysia P. z Hermanic.

W prawo od basenu widać było willę „Oazę”, znaną ongiś z eleganckiej restauracji, obecnie zamienioną w nostalgiczną kawiarnię, z całym urokiem przeszłości. Restauracja ta, w pierwszych latach powojennych, oblegana była zwłaszcza przez tzw. prywatną inicjatywę, również spoza Ustronia. W którymś z tych lat (może w 1947 roku?) obiegnęła Ustroń sensacyjna wiadomość o mającym się tam odbyć występie kabaretu! Bilety i stoliki rezerwowano z wyprzedzeniem, szykowano eleganckie stroje. Podekscytowanie było tak duże, zarówno wśród tych, którzy się tam wybierali, jak i wśród przeciwników takiego jawnego zgorszenia, że jeszcze przed występem głos na ten temat uznał za stosowne zabrać z ambony ksiądz proboszcz od św. Klemensa. (Autentyczne – jestem świadkiem).

Jako koleżanka szkolna córki państwa Koplów właścicieli „Oazy”, byłam zorientowana na bieżąco w stanie przygotowań. Zestaw grona przyszłych widzów dawał wgląd również w struktury stosunków towarzyskich i ewentualnych przyszłych mariaży („Pan X przyjdzie z panną Y. A więc jednak, widziano ich już na spacerze

po mszy”). Dzięki pomysłowi, genialnemu w swej prostocie, jakim było uprzednie zadbanie o szparę w zasłonie okna, mogłyśmy i my obie dojrzeć choć częściowo owo grzeszne widowisko. W trzaskającym mrozie (było to w karnawale), stojąc na krześle na zewnątrz budynku od strony toru kolejowego, zobaczyłam tańczącą parę: mężczyznę w długich, czarnych satynowych spodniach, z gołym torsem i w sombrero, kobieta w czymś, również czarnym, co dziś byśmy nazwali zabudowanym bikini. Łza się w oku kręci. Był to istny wiek niewinności.

Teren na lewo za torem kolejowym, dziś gęsto zadrzewiony, skrywa tajemnicze budowle, w tym willę wojewody Jerzego Ziętka i willę ongisiejszego I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka, był w czasach mojego dzieciństwa najpierw boiskiem piłkarskim, a następnie, tuż po wojnie, został zaorany i zamieniony na podłużne poletki, rozdzielone pomiędzy chętnych do zajęcia się jakimiś uprawami. Były to chyba głównie ziemniaki.



Lata 60. XX w. Wille (od prawej) „Helga”, „Astra” i „Neli” przy obecnej ul. M. Grażyńskiego w Ustroniu (wtedy ul. K. Świerczewskiego, a w okresie okupacji noszącej nazwę – ul. Maxa Regera) (widokówka ze zbiorów Galerii „Na Gojach”)

Naprzeciw boiska wznosiły się trzy wille z okresu międzywojennego – wymienione już „Helga”, „Astra” i „Nel”. Trzecia z nich w okresie wojny zajęta była przez burmistrza Dorotheusa Förstera i jego rodzinę. Piękna obszerna willa, z dobrze utrzymanym ogrodem, z autentyczną służbą – drzwi wejściowe otwierała pokojówka w czarnej sukience, białym czepeczku i w białym, miniaturowym fartuszu – wszystko to nadawało temu domowi z zewnątrz charakteru mieszczańskiego ideału. W rzeczywistości, była to nie tyle jaskinia lwa, ile salon lwa, w którym toczyło się bogate życie towarzyskie – organizacyjne. Gośćmi byli prominentni członkowie struktur organizacyjnych NSDAP i innych organizacji niemieckich działających na terenie Ustronia. Dotyczyło to jednak chyba tylko rodowitych Niemców i Austriaków. Widywano tam również gestapowców.

Helga, córka burmistrza Förstera, który w Ustroniu uchodził za Austriaka, była uczennicą tej samej szkoły podstawowej, do której uczęszczałam. Była dziewczynką w moim wieku, ale styl życia do którego przywykła już wcześniej, a także pozycja

ojca, dodawały jej pewności siebie i czyniły z niej osobę bardziej od nas dorosłą. Na przerwach lubiła otaczać się gronem słuchaczy, przed którymi snuła opowieści o swoich flirtach (miałymy wówczas po około 10 lat!), ale i o życiu domu, wizytach, przyjęciach. Nam, słuchaczkom, imponowały opowieści o flirtach, ale jeszcze bardziej pobudzały naszą wyobraźnię opisy kanapek na podwieczorkach i kołaczy o grubej posypce. W takiej to salonowej atmosferze zapadały zapewne decyzje o tragicznych nieraz losach wielu mieszkańców Ustronia.

W ostatnich miesiącach wojny, kiedy od frontu dzieliło nas zaledwie kilka kilometrów, willa została zamieniona w twierdzę. Reflektory, zainstalowane na wszystkich czterech narożnikach, oświetlały w nocy jaskrawo całą posesję i jej przedpole. Wewnątrz nocowała miejscowa żandarmeria, być może Gestapo i prawdopodobnie inne osoby, które czuły się zagrożone ze strony ruchu oporu. Widok tego oświetlonego budynku, który lepiej było omijać drugą stroną ulicy, pozostał na zawsze w mojej pamięci.

Wspomniałam wyżej, iż z „Zameczku” widać było wówczas wyraźnie wieżę kościoła katolickiego. Kościół i jego otoczenie, były tamtego czasu punktem zbornym, nie tylko w celu wspólnego odprawiania modłów. Wielu osobom, zwłaszcza części młodzieży płci męskiej, wystarczało zupełnie gromadne wystawanie po drugiej stronie ulicy, a nawet bliżej kina „Uciecha”. Wiedli ożywione rozmowy, najprawdopodobniej nie na tematy religijne.

Wnętrze kościoła, dziś diametralnie zmienione, było w czasach mojego dzieciństwa i młodości bardziej kolorowe i przytulne. Obecnie, niby to nowocześniejsze, jest oschłe i nie ma poprzedniej atmosfery. Wówczas ławki, a było ich znacznie więcej, ustawione były w dwóch rzędach, z szerokim środkowym przejściem. Zwyczajowo (czy też był to wówczas wymóg obowiązkowy?), mężczyźni zajmowali prawą stronę, kobiety i małe dzieci stronę lewą. W okresie bożonarodzeniowym w lewej nawie ustawiona była szopka, z panoramą Betlejem w tle i mnóstwem figurek. Murzynek trzymający skarbonkę kiwał głową, jeśli do skarbonki wrzucono monetę.

Jedna z pasterek została szczególnie upamiętniona, kiedy przy organach zasiadł inż. Jan Jarocki. Ku zdumieniu zebranych, popłynęła boska fuga Jana Sebastiana Bacha. Inność tej muzyki, w porównaniu ze zwykłym repertuarem naszego organisty, wywołała ogromne poruszenie, oglądano się i szeptano. Naprzeciw kościoła znajdowało się niezapomniane kino „Uciecha” i w tym samym budynku restauracja państwa Wawrzyczków. Na starszych zdjęciach zamiast kina widnieje tam napis „Czytelnia Katolicka”.

Kino budziło w czasie mojego dzieciństwa wiele emocji, było rodzajem raju zakazanego, do którego dzieci rzadko miały wstęp. Bardzo serio traktowano wówczas barierę wiekową, a filmy były dostępne przeważnie od 18 lat. Moi rodzice uczęszczali do kina chyba co sobotę. Zresztą seanse odbywały się wyłącznie w soboty i niedziele. Znamienne, że w czasie terroru, jaki panował w Ustroniu w czasie wojny, kino nie mogło narzekać na brak frekwencji, nie tylko dlatego, że było ono stosunkowo małe. Oglądanie filmów było chyba psychicznym zacerpnięciem oddechu od okropności dnia codziennego. Dziś zastanawiam się nad ówczesnym repertuarem filmowym, który w czasie okupacji mógł być dopuszczony do wyświetlania. Były to z całą pewnością przede wszystkim filmy niemieckie i austriackie, również filmy nieme, od wprowadzenia dźwięku do filmu nie minęło wówczas jeszcze zbyt wiele lat. Z aktorek, o których była mowa w domu, pamiętam piękną Marikę Röck. Czy na przykład Marlena Dietrich, ze swoją antyfaszystowską postawą była wówczas tolerowana, tego nie wiem, ale z całą pewnością były wyświetlane wszystkie filmy Leni Riefenstahl.

Śladem po wspomnianej Czytelni Katolickiej były szafy, czy też regały przy końcu sali restauracyjnej, graniczącej z salą kinową. Z Hanią, córką właścicieli restauracji, moją długoletnią koleżanką szkolną, dokonałyśmy kiedyś przeglądu pozostałości księgozbioru tej Czytelni. Ku naszemu rozczarowaniu, zamiast romansów, były tam głównie żywoty świętych i podobnie budująca literatura.

Hani W. zawdzięczam również dość niezwykle przeżycie, mianowicie oglądanie filmu od drugiej strony ekranu. Ekran ten oddzielał salę kinową od małej sceny, która znajdowała się za nim. Było to już w okresie powojennym. Film był amerykański, była bariera wieku, ale była i nasza przemożna ciekawość. Pomysł w praktyce okazał się niezbyt udany, ponieważ pomieszczenie, do którego się zakradłyśmy, było ciasne, a więc perspektywa zbyt mała w stosunku do wielkości ekranu, za to głośność zbyt duża, ale co gorsza, nie byłyśmy w stanie odpowiednio szybko czytać odwróconych napisów. Niezależnie od wszystkiego, niewielu dziś może się pochwalić taką przygodą.

Podobnie chyba niewiele osób podróżowało wewnątrz autentycznej lokomotywy parowej. Moim koleżankom i mnie, wówczas już uczennicom wiślańskiego Liceum Ogólnokształcącego, zdarzyła się taka przygoda w karnawale 1950 roku. Zabawy szkolne odbywały się w tamtejszej „Oazie”, która wówczas pełniła rolę czegoś w rodzaju świetlicy szkolnej. Ostatni pociąg z Wisły odjeżdżał we wczesnych godzinach wieczornych, a to oznaczało wczesne opuszczanie tańców. Trzeba dodać, iż w tym czasie prywatne samochody należały głównie jeszcze do sfery marzeń przeciętnego Polaka. Ojciec jednej z koleżanek, inż. Norbert Biłek, dyrektor ustrońskiego tartaku, będący z tytułu swojej funkcji w bliskim kontakcie z miejscową obsługą kolei, wpadł na pomysł, iż przewieźć może nas jedna z lokomotyw, która codziennie w nocy przemierza bez składu trasę z Wisły. Pertraktacje w tej sprawie okazały się skuteczne i w danym dniu, o ściśle określonej godzinie, zjawiliśmy się prosto ze szkolnej imprezy tanecznej na dworcu w Wiśle Centrum w sześciuosobowym składzie. We wnętrzu lokomotywy było bardzo gorąco, wszędzie pełno pyłu węglowego. A prawdziwe oblicze pracy ówczesnego maszynisty ujrzaliśmy, kiedy dokładał węgiel do rozżarzonego paleniska. Stałyśmy zbite w gromadkę, na maleńkiej powierzchni w pobliżu drzwi, w ogłuszającym hałasie, podczas kiedy stalowy kolos pędził do przodu w całkowitych ciemnościach.

Wspomnienie podróży lokomotywą, napędzaną węglem, uświadomiło mi również tło medialne tamtego czasu, a zwłaszcza czasu wojny, tamtego niewyobrażalnego czasu, kiedy nie było jeszcze nie tylko komputerów, internetu, telefonu komórkowego, ale i telewizora, kiedy także zwyczajny telefon stacjonarny w prywatnym domu był niezwykle rzadkością. Istniało już wprawdzie radio, ale w czasie wojny było przez okupantów hitlerowskich konfiskowane.

Ponury czas okupacji stawał się więc jeszcze bardziej ponury przez owo odcięcie od informacji i przymusową ciszę, przy równoczesnej niemieckiej ofensywie propagandowej w kronikach filmowych i w prasie, prasie oczywiście tylko niemieckiej. Muzyki można było posłuchać w kościele, chyba, że ktoś posiadał patefon, lub jakiś instrument muzyczny. Nabierały więc znaczenia, większego niż teraz, bezpośrednie kontakty towarzyskie, jako jedyne źródło nikłych wieści o sytuacji militarnej i innych istotnych sprawach.

Jak więc wyglądało nasze „zameczkowe” życie codzienne w tych warunkach? Patrząc wstecz, można powiedzieć, że żyliśmy w zgodzie z rytmem pór roku i z większą od nich zależnością. Lato było rzeczywistym latem, z upałami, burzami, ulewami, ale i z kąpielami, z łowieniem pstrągów ręką owiniętą w chusteczkę w wodospadzie

powyżej mostu, z podwieczorkami przynoszonymi nam nad Wisłę przez tatusia (mama była blondynką z niebieskimi oczyma i preferowała ogród lub balkon). Było jeszcze chodzenie na jagody, zbieranie grzybów, pomoc przy ratowaniu sąsiedzkiego siana przed deszczem i inne zajęcia dnia. Zima była zimą, z dużymi przeważnie śniegami, często z trzaskającymi mrozami. Było więc zjeżdżanie na sankach lub nartach bliżej domu, lub wyprawy narciarskie na pola, gdzie dziś stoi Sanatorium „Równica” i wyżej, a potem zjazd w dół, koło dębu, który oddzielał włości dwu największych po tej stronie Gościradowca gospodarstw rodzin Steców i Malców.

W międzyczasie przeżywaliśmy, początkowo w roli raczej obserwatorów, regularne piątkowe przeloty samolotów alianckich na podniebnej trasie wzdłuż linii Wisły od Czantorii po Skoczów, życząc im powodzenia, do momentu, kiedy w trakcie któregoś z letnich przelotów spadły na Ustroń bomby. Byliśmy wszakże w Rzeszy. Celem była prawdopodobnie fabryka, ale uszkodzone zostały jakieś budynki mieszkalne w jej okolicy. Inne bomby, nie mam pewności, czy w trakcie tego samego nalotu, spadły w naszej okolicy, gdzieś mniej więcej powyżej obecnego Domu Zdrojowego, wówczas w szczyrim polu. Topografia tamtego terenu była inna, dziś po zabudowie „piramidami” trudno to ustalić dokładnie.

W szkole do tych przelotów, czy też nalotów byliśmy przygotowani przy pomocy uroczego wierszyka: „*Sei stets bereit und denke dran, dass heut der Tommy kommen kann*” („Bądź stale gotów i myśl o tym, że dziś może pojawić się Tommy”). Zwyczajowo mieliśmy książki stale zapakowane w teczkach i na dźwięk syreny alarmowej, bez pytania nauczyciela o zgodę, wszyscy wypadali z klasy i pędzili do domu. Pod koniec wojny owe przeloty, które każdej chwili mogły zamienić się w naloty, odbywały się często również nocą. W tym czasie cała ludność otrzymała maski przeciwgazowe. Na szczęście nigdy nie były nam potrzebne.

Zagospodarowanie chwil wolnych od wszystkich tych ekscytujących zajęć i przeżyć, nie było wbrew pozorom trudne, ponieważ czytaliśmy książki. Czytaliśmy dużo książek. Był to nasz rodzaj emigracji wewnętrznej. Problem polegał jedynie na ich zdobyciu. Istniejący zakaz posługiwania się językiem polskim w urzędach, szkołach, na ulicy, obejmował również zakaz posiadania i upowszechniania polskich książek.

Oprócz „Pana Tadeusza”, na którego egzemplarzu moja mama usiłowała nauczyć mnie czytać, pierwszą własną polską książką było „W pustyni i w puszczy” Henryka Sienkiewicza. Podarował nam ją kuzyn Karol z Trzyńca, który przyszedł do nas do „Zameczku” w odwiedziny piechotą. Poznałam tę książkę najpierw ze słyszenia, bowiem w długie, zimowe wieczory, nasza kuchnia zamieniała się w lektorium. Czołowym lektorem był tatuś. W taki to sposób zapoznaliśmy się również z „Trylogią” Sienkiewicza i jego „*Quo vadis*”, z „Trzema muszkietierami” i „Hrabią Monte Christo” Aleksandra Dumasa, Jamesa Curwooda „Szarą wilczycą”, „Włóczęgami północy”, „Władcą skalnej doliny”. Była i Hermanna Knittela „*Via mala*” (w której czeluście wiele lat później miałam okazję zajrzeć), było również wiele innych.

Zdobywanie w tamtych czasach do czytania polskich książek było aktem odwagi dla obu stron. Na szczęście znajdowali się wspaniali ludzie, którzy nie bacząc na zakazy, podejmowali takie ryzyko. Wśród najbliższych sąsiadów była to przede wszystkim rodzina Szczepańskich. Byłam kurierem do takich poruczeń. Pamiętam głównie siostrę prof. Jana Szczepańskiego – Helenę (zameżną Pawłus, przyp. red.). Profesora poznałam osobiście dopiero tuż po wojnie. Okazją do wypożyczeń była o tyle ułatwiona, że kupowaliśmy w tym gospodarstwie mleko.

Atmosferę, związaną z konspiracyjnym wypożyczaniem polskich książek zilustrować może moje przykre przeżycie: w trakcie, kiedy któregoś dnia odnosiłam książkę, ukrytą starannie w torbie z obierzynami z ziemniaków, na drodze w pobliżu domu Szczepańskich, przechodząca córka leśniczego spod Lipowskiego Gronia Ceglarka, dużo ode mnie starsza, zaczęła mnie obrzucać bryłami zlodowaciałego śniegu, wykrzykując „*Du polnishes Schwein*”. Skuliłam się, chroniąc torbę, na szczęście nie sprawdziła jej zawartości. Rodzina ta, ostentacyjnie proniemiecka, zniknęła wraz z odejściem okupantów.

Mówiąc o czytaniu książek, może niezręcznie się przyznać, ale czytania w języku niemieckim nauczyłam się szybciej, niż w języku polskim. Chodziłam wszakże do szkoły, ale ponadto wśród książek, zdobywanych w opisanych okolicznościach, nie było przede wszystkim polskich książek dla dzieci. Książki dla dzieci były natomiast dostępne w bibliotece gminnej, z oczywistych powodów były to książki niemieckie. Biblioteka znajdowała się w ratuszu, w sali na wysokim parterze, w prawo. Wejście do tego budynku znajdowało się wówczas na jego węższym boku, pod wieżą, tam gdzie obecnie widnieje tablica pamiątkowa.

Biblioteka ta posiadała niewielki księgozbiór, rozmieszczony na kilku regałach. Brak było katalogu, książki były wyszczególnione na kilkunastu stronach maszynopisu. Był on bardzo zaczytany na pierwszej stronie, każda następna wydawała się być coraz mniej używana. O wolnym dostępie do półek nie było wówczas jeszcze mowy. Korzystając z tej biblioteki zapoznałam się z dużym obszarem ówczesnej literatury dziecięcej, w którym królowała wówczas Johanna Spyri i jej „Heidi” oraz bajki braci Grimm. W wieku ok. 10 lat w moim dorobku czytelniczym miałam również kilka romansów Hedwig Courts-Mahler (rodzaj niemieckiej Heleny Mniszkówny) i innych podobnych dzieł. Do ich czytania w ukryciu nadawała się świetnie opisana już bujna aleja porzeczkowa w naszym ogrodzie. Z biblioteki gminnej korzystał również mój brat, miał jednak inne zainteresowania. Po wojnie w bibliotece gminnej – tym razem już z polskim księgozbiorem – panowała pani Julia Tomaszkowa, która często kwestionowała wybrane przeze mnie tytuły, mając na uwadze mój młody wiek. Przez takie traktowanie, „Przeminęło z wiatrem” przeczytałam dopiero w wieku 14 lat!

Od kilku lat, przed zabytkową chatą u początku ul. Ogrodowej, wystawiane są na sprzedaż książki z księgozbiórów domowych. Część z nich w języku niemieckim. Lubię tam myszkować, czasami coś kupuję, ale najciekawsze dla mnie są podpisy dawnych posiadaczy tych książek. Często są to nazwiska osób znanych mi przynajmniej ze słyszenia. Podpis na książce jest czymś w rodzaju dowodu na własne istnienie – czasem może pozostać tym jedynym dowodem.

Moja umiejętność czytania została mi po wojnie wypomniana przez koleżankę z klasy Julkę N. Była to klasa piąta, dla nas pierwsza z językiem polskim. Wychowawczynią była pani Emilia Pilorzówna, grająca znakomicie na skrzypcach. Na jednej z pierwszych lekcji, pragnąc bliżej poznać swoich uczniów, zapytała o nasze zachowanie w czasie wojny. Julka powiedziała wówczas z triumfalną miną: – *A Kohutówna umiała czytać po niemiecku!* Na co ja odparowałam: – *A ty nie umiesz czytać ani po niemiecku ani po polsku.*

Dotyczyło to większości dzieci w klasie. Ponadto, o czym się chyba dziś nie pamięta, polszczyzna, jaką posługiwały się wówczas prawie wszystkie ustrońskie dzieci, była gwarą, gwarą używaną w domu. Do zadań szkoły doszło więc nie tylko

nauczanie poszczególnych przedmiotów ale i uczenie języka literackiego – tylko, że uczenie to należało zacząć od nauki czytania po polsku, czego wcześniej większości dzieci nie zapewnili rodzice.

Do obrazu sytuacji trzeba dodać brak podręczników, brak lektury na odpowiednim poziomie, powszechną powojenną biedę i niedożywienie. Wszystko to uwidoczniło się w szkole w pierwszych latach po wojnie. Przypominam sobie, co dziś może wyglądać humorystycznie, usiłowania dzieci do wyrażania się w polszczyźnie literackiej, polegało to nieraz na przekręcaniu słów gwarowych np. *szkrabać* zamiast *szkrobać*, *bedem* zamiast *bydym* itp. Wynikało to z braków w słownictwie, a braki w słownictwie z braku czytania, które poszerzyłoby zasób słów.

Poziom, nie nauczania, ale możliwości przyswajania tego nauczania wśród uczniów mojej klasy, był bardzo niski. Uczęszczało do tej klasy w roku szkolnym 1945/1946 około trzydzieścioro dzieci, zaś naukę w szkołach średnich ogólnokształcących, po ukończeniu siódmej klasy w 1948 roku, podjęło jedynie 5 osób. Był to sukces na miarę dzisiejszych olimpijczyków. Zanim jednak rozpoczęliśmy uczęszczanie do polskiej szkoły, musieliśmy jeszcze przeżyć wiele ciężkich chwil.

Czym dla Ustronia jest data 9 listopada 1944 roku wiedzą wszyscy. Syn Franciszka Grzesioka, jednego z ustroniaków, rozstrzelanych wówczas przez Niemców, był uczniem tej samej co ja klasy. W tym tragicznym dniu przyszedł mimo wszystko do szkoły, ale nie mógł opanować płaczu. Zajmował miejsce gdzieś przy końcu klasy. Weszła nauczycielka i ostrym głosem zapytała go o powód płaczu. Odparł, że dzisiaj rano został zastrzelony jego ojciec. Nauczycielka powiedziała: – Widocznie twój ojciec był złym człowiekiem. Nie pamiętam nazwiska tej nauczycielki, ale tego zdania nie zapomnę nigdy. Jest ono ponadto świadectwem mentalności przeciętnego Niemca tamtych czasów – przekonania o absolutnej władzy *Übermenschów* nad podbitymi narodami.

Takie zachowania budziły zrozumiały sprzeciw, który ujawniał się m. in. w tzw. ruchu oporu. O ruchu tym w naszych stronach w czasie wojny napisano dość sporo. Zwykle też wymieniane są nazwiska jego uczestników. Czytam te opisy zawsze z uwagą, poszukując nazwiska Władysława Czarnecki. Nigdy się na nie jednak nie natknęłam, co świadczy o tym, iż istnieją jeszcze nieznanne być może już nikomu fakty, dotyczące tej materii lub nie ma zwyczaju wymieniania mniej popularnych członków organizacji, które ten ruch oporu tworzyły.

Mało również mowy o wielu anonimowych wówczas pomocnikach ruchu oporu, a było ich zapewne dużo więcej, niż się dziś przyjmuje. Działania w warunkach wzmagałego się ze strony Niemców zagrożenia, wymagały dużo odwagi cywilnej. W tych kategoriach rozważam również postępowanie moich rodziców. Mój ojciec zgodził się (a może sam zaproponował?) na dwa spotkania jakichś grup czy grupy partyzanckiej w „Zameczku”. Oprócz pytania, kim byli ci ludzie, zastanawiam się również nad logistycznym przebiegiem takich spotkań. Ktoś musiał kogoś zawiadamiać o miejscu i czasie, o uczestnikach, celu spotkania itp. Trudno mi dzisiaj ustalić jakieś dokładniejsze daty, w każdym razie jedno z tych spotkań miało miejsce z początkiem zimy 1942 roku. Wówczas to ojciec zapowiedział, iż zamierza spotkać się z kilkoma osobami, nam natomiast polecił pozostanie w kuchni i nie opuszczanie jej pod żadnym pozorem. Mamy nikogo nie widzieć i nie być widziani. Dziś rozumiem te względy bezpieczeństwa dla obu stron, myślę też o realnym niebezpieczeństwie, w jakim się nie tylko wówczas znajdowaliśmy, na wypadek donosu do Gestapo.

Spotkania odbywały się w dużym pokoju, w którym dziś króluje kopia „Szału” Władysława Podkowińskiego. A jednak poznaliśmy nazwisko jednego z uczestników takiego spotkania. Był nim właśnie Władysław Czarnecki, który pragnąc dać znać mojemu ojcu, iż udało mu się bezpiecznie dotrzeć gdzieś tam, gdzie zamierzał, wysłał pocztówkę z życzeniami na Boże Narodzenie. Mam ją przypadkowo do dziś – „*Glembce 21.XII.42*”, co mój ojciec komentował jako karygodną lekkomyślność, skoro jest poszukiwany, a tytu jest donosicieli. Kim byli inni z uczestników tych spotkań, jakiej byli ewentualnie orientacji politycznej, tego nie wiem. Nie wiem też, czy wizyty mojego ojca u Jana Błaszczyka, znanego ludowca, miały z tymi spotkaniami jakiś związek, czy też były to spotkania krewniaków – bo Jan Błaszczyk był naszym dalszym krewnym. Ojciec zabierał mnie z sobą, pamiętam imponującą postać z wąsami, w butach z cholewami, pokój – gabinet z dużym stołem czy też biurkiem.

Kontakty moich rodziców z ruchem oporu nie ograniczały się chyba tylko do owych opisanych spotkań, ponieważ wiem, że mama moja prznosiła „jakieś papiery” do kogoś na Dolnym Zawodziu. Pamiętam jej opowieść o wstrząsie, jakiego doznała, kiedy zobaczyła kałużę krwi na drodze nad Wisłą (chyba gdzieś w okolicach dolnego mostu) i uświadomiła sobie, jakiego niebezpiecznego zadania się podejmuje. To już było jednak w czasie, kiedy miałam prawie 10 lat i czułam się bardzo dorosła.

Dorośleliśmy rzeczywiście szybko, do czego walnie przyczyniały się hitlerowskie akty terroru i świadomość bezkarności jej sprawców. Zbliżał się na szczęście koniec wojny. W trakcie pierwszych, bardzo śnieżnych miesięcy 1945 roku, podczas kiedy spadały w naszej okolicy sporadycznie zabłąkane pociski z pobliskiego frontu, zjeżdżaliśmy mimo to nadal na nartach. Przestaliśmy chodzić do szkoły, w domu byliśmy przygotowani do ewakuacji, a w zakolu Gościradowca pod „Brzezinką”, aż do mostku, stały ciężarówki kwaterującego w nich niemieckiego wojska. Był to mały oddział *własowców*, czyli jeńców rosyjskich, którzy pozwolili się wcielić do niemieckiego wojska. Oficer zakwaterowany był w willi Niemca Gebauera, pracownika działającej wówczas w Ustroniu elektrowni wodnej, przy stawie naprzeciw hotelu „Kuracyjnego”. Oficer ten był Austriakiem, prowadził długie rozmowy z moim ojcem na temat bezsensu wojny i jej rychłego końca.

Żołnierze z ciężarówek, przeważnie młodzi Rosjanie, w rozmowach nie kryli strachu przed zbliżającą się armią rodaków, mając całkowitą świadomość, że ponowne dostanie się do niewoli – tym razem u swoich – oznacza dla nich wyrok śmierci. Przed wycofaniem się znad Gościradowca przynieśli do nas worek mąki, prosząc o upieczenie im pieczywa na drogę. Pieczywo to nie było zbyt wyszukane, brak było bowiem jajek, tłuszczu, drożdży czy proszku do pieczenia, jak zresztą różnych innych rzeczy do jedzenia. W ramach rewanżu przynieśli ogromny płat końskiego mięsa.

Wspominając o willi Gebauera – pierwszą za mostem na Wisłę w lewo (przy obecnej ul. M. Grażyńskiego 29, przyp. red.) – pragnę dodać gwoli prawdy historycznej, wiadomość o wcielonym do Wehrmachtu Józefie (?) Balcarku, (który poległ około 1943 roku). Pozostała po nim wówczas żona i córeczka Lusia, które tam właśnie mieszkały. Willa Gebauera działała na naszą wyobraźnię, mieszkała tam bowiem również żona właściciela, której nikt z nas nigdy nie widział. Nie widział i nie mógł widzieć, ponieważ była w jakiś sposób niepełnosprawna, zdana całkowicie jedynie na opiekę swojego męża.



*Około 1935 r. Widok na Zawodzie. Z lewej – willa Gebauera. Z prawej – willa „Zameczek”
(fot. ze zbiorów Galerii „Na Gojach”)*



*Autorka artykułu na schodach wejściowych do „Zameczku”, około 2000 r.
(fot. Julian Galczyński)*

Mówiąc o bliskim sąsiedztwie, nie mogę się oprzeć wspomnieniu o emerytowanej pielęgniarce, pani Annie Chorzele. Zamieszkiwała bardzo starą drewnianą chałupę na posesji rodziny Kłapsiów (teraz ul. Gościradowiec 10). Urządzenie jej pokoju wprawiało wszystkich w zdumienie, składało się bowiem z wyposażenia gabinetu lekarskiego i łóżka szpitalnego. Wszystko w kolorze białym, począwszy od płóciennych bielusińskich firaneczek w oknach i w szafce szklanej na narzędzia, zamienionej na szyfonierę. Odchodząc na emeryturę, gdzieś na Górnym Śląsku, otrzymała te meble, ponieważ nie miała mebli własnych.

W kwietniu 1945 roku moja mama została zmuszona do udziału w kopaniu rowów strzeleckich na Poniwcu. Wracała z tych prac bardzo zmęczona. Opinie wśród pracujących tam pod nadzorem uzbrojonych strażników były jednoznaczne – na nic to wszystko, Niemcom już nic nie pomoże.

Ważną osobą w tamtym okresie mojego dzieciństwa była Alka – czyli Alicja Imiela-Wojtaszek, której ojciec, aktor, aresztowany w Ustroniu w 1940 roku, zginął w obozie koncentracyjnym. Nasza znajomość sięgała jeszcze czasów naszego mieszkania na Poniwcu, gdzie na zboczu górował duży, nowy pensjonat jej rodziców. Dla mnie wówczas wielką, ale i przerażającą atrakcją tego pensjonatu był wypchany goryl, stojący na półpiętrze. Pensjonat został przejęty przez Niemców, a rodzina właściciela przekwaterowana do willi „Mon repos” na Zawodziu (przy obecnej ul. Leczniczej 4, przyp. red.).

Wspomniałam już, że w tych przerażających czasach dorosłeliśmy szybko. Ale niektórzy wydorosłeli błyskawicznie. Alka, rok ode mnie starsza, w wieku ośmiu lat przejęła zadania głowy rodziny i odtąd opiekowała się swoją chorą matką – z poświęceniem, ale i z przemyślnością, jakiej wymagały tamte okoliczności. Stosowała np. handel wymienny z sąsiadującymi gospodarstwami: za jedną poszewkę można było dostać kosz ziemniaków. Spędzałyśmy z sobą dużo czasu. Jedną z naszych wymyślnych rozrywek w tamtych głodowych czasach było czytanie książki kucharskiej. Chodziłyśmy również zbierać czarne jagody na zboczach Równicy.

W ostatnim miesiącu wojny na naszym terenie, czyli w kwietniu, pociski przelatywały nad Ustroniem częściej i miały większy zasięg. Jeden z nich omal nie pozbawił Alki i mnie życia. Słyszmy po chleb do piekarni Józefa Kopieczka, aleją wzdłuż basenu. Na dźwięk świstu nadlatującego pocisku rzuciłyśmy się odruchowo na ziemię. Wybuch nastąpił o kilka metrów na drodze przed nami, powodując sporą wyrwę i fontannę kamieni. Na szczęście nie odniosłyśmy żadnych obrażeń. Bez pomocy psychologa, dziś niezbędnego w trudnych okolicznościach, udałyśmy się do kolejki po podstawowe pożywienie.

W przeddzień wycofania się reszty wojsk niemieckich z Ustronia, przeżyliśmy jeszcze wysadzanie linii telegraficznej wzdłuż toru kolejowego. Zaczęło się od rytmicznie powtarzających się wybuchów gdzieś od strony Kuźni. Dźwięki te, coraz głośniejsze, zbliżały się i po pewnym czasie widać było również towarzyszące im błyski. Mój ojciec domyślił się, iż Niemcy wysadzają słupy telegraficzne. Zdziwiająca była – o ile to określenie może pasować do opisywanych wydarzeń – uporczywa systematyczność dzieła zniszczenia. Wszystkie kolejne słupy bez wyjątku, przynajmniej na przestrzeni, którą oglądaliśmy następnego dnia, miały wywiercone otwory na wysokości ok. 1,5 m, w które zakładane były ładunki wybuchowe. Słupy wyglądały jak połamane zapalki. Ponadto wysadzone zostały wszystkie mostki pod torami, wskutek czego trasa była nieczynna jeszcze przez dłuższy czas po wojnie.

Nastąpił wreszcie 1 maja 1945 roku, opisywany w wielu źródłach. „... na ratuszu ponownie załopotą biało-czerwona flaga, którą jako pierwszy zawiesił inwalida z *Wehrmachtu* – Greń...” („Ustroń 1305-2005”. T.1 s. 483). Jest to tylko częściowa prawda, ponieważ załopotąły dwie flagi – a ta druga była czerwona. Widzieliśmy je obie dokładnie. Tu podkreślam bliską odległość między „Zameczkiem” a ratuszem w linii powietrznej. Pamiętam związany z tą czerwoną flagą komentarz mojego ojca socjalisty. Jak długo pozostawała ona na ratuszu, tego nie pamiętam. Była wszelako wyrazem czyichś poglądów.

W kilka, czy kilkanaście dni po 1. maja odbył się na rynku wiec, który utkwil w mojej pamięci szczególnie z powodu mojego deklamatorskiego występu. Recytowałam wówczas wiersz, który zaczynał się od słów „I ty i ja, wszyscy jesteście stróżami jej granic”. Podobno nie ma pewności co do daty tego wiecu. Niektórzy

przypisują go nawet do daty 1. maja, co jest absolutnie nieprawdziwe. Mogło natomiast chodzić o samoistne zgrupowania mieszkańców, powitanie partyzantów w tym dniu. W organizację wiecu był w jakiś sposób zaangażowany mój ojciec, który mnie tego wiersza nauczył, a potem wprowadził moją recytację do programu uroczystości. Nie było to z całą pewnością tego samego dnia, kiedy oglądaliśmy dwie flagi na ratuszu.

W czasie wiecu, mając 10 lat, nie wystawałam zbytnio ponad balustradę ratuszowego balkonu, wobec tego stałam na krześle. Byłam potem rozpoznawana przez mieszkańców Ustronia, a dzieci nazywały mnie „I ty i ja”. Na tymże wiecu wręczała kwiaty jakiemś wyższej rangi oficerowi Halinka Rakowska, moja przyszła przyjaciółka, z którą się wówczas jeszcze nie znałyśmy. Nasza znajomość rozpoczęła się na obozie harcerskim w Klikuszowej koło Nowego Targu. W harcerstwie, w kilka lat później, awansowałam nawet do stopnia drużynowej zuchów. Ale to już inna historia.

Po radosnym wiecu nastąpił okres dość burzliwych dyskusji na temat moralnie nagannych postaw, jakie prezentowane były przez niektórych współmieszkańców w czasie wojny, z donosicielstwem do władz okupacyjnych, mogącym mieć tragiczne skutki, na czele. Powołana została Komisja Rehabilitacyjna do rozpatrywania takich przypadków. Jednym z członków tej komisji był mój ojciec. Jej działalność jest zapewne znana znawcom przedmiotu, natomiast moje prywatne próby uzyskania wiadomości przynajmniej na temat jej pełnego składu, podjęte w 1996 roku spełzły na niczym. Ówczesna pani sekretarz gminy poinformowała mnie, że akta te spłonęły w pożarze ratusza, jaki miał miejsce w 1964 roku. Komentarze innych osób, m.in. pana Józefa Twardzika, sugerowały nawet celowe podpalenie.

Tuż po wojnie, z braku pracy w Ustroniu, mój ojciec podjął pracę w Zarządzie Wodnym w Cieszynie. W związku z pracą ojca mieliśmy w ogrodzie miniaturową stację hydro-meteorologiczną. Składała się ona z wiatromierza, pojemnika na wodę deszczową (przykrytego rodzajem lejka) i termometr. Wszystkie dane z określonej godziny (chodziło chyba o południe lub godzinę trzynastą), należało codziennie nanosić na odpowiednie arkusze. Do czynności odczytowych należało jeszcze podawanie stanu wody na rzece Wiśle. Wodomierz – własnoręczne dzieło mojego ojca – był podziałką z dokładnością do 1 cm, wyglądał jak ogromny termometr z cyframi z blachy i był przymocowany do filaru mostu. Zobowiązani do powyższych odczytów i zapisywania ich wyników w czasie nieobecności ojca w domu, pełniliśmy z bratem nasze obowiązki czasami niestety w sposób mało skrupulatny. Zasiadziawszy się w upalny dzień nad Wisłą, ustalaliśmy np. prawdopodobną temperaturę o określonej godzinie na zasadzie odczuć własnych („chyba było cieplej niż teraz, więc dodajemy parę stopni”). Dane te nie służyły do bieżących prognoz pogody, ale prawdopodobnie do ustalania w odpowiednim instytucie rocznych przebiegów poszczególnych zjawisk pogodowych. Mam nadzieję, że naszym postępowaniem nie przyczyniliśmy się zbytnio do zaćmienia tego obrazu.

Nastał wczesny okres powojenny, z jego rozkwitem prywatnej przedsiębiorczości. Zewnętrznym wyrazem dobrobytu były np. umundurowane *nursy*, wysyłane z niemowlętami do Ustronia. Kilka takich przypadków opalonych niemowląt i ich przystojnych opiekunek budziło powszechne zainteresowanie. Prosperity przeżywały wówczas również restauracje, pensjonaty i hotele, aż do czasu, kiedy to rozpoczęła się „bitwa o handel”. Nastał też czas Funduszu Wczasów Pracowniczych, który mieliśmy możliwość obserwować na przykładzie sąsiedniej „Brzezinki”.

Zmianą w naszym prywatnym życiu była zmiana pracy ojca. Zaprzestał pracy jako pracownik Zarządu Wodnego w Cieszynie i zatrudnił się w połowie 1946 roku w Kuźni, w której pracował już przedtem w czasie wojny, po powrocie z robót przymusowych w Niemczech. Dalej czytaliśmy książki – ironia dziejów polegała jednak na tym, że w czasie, kiedy my z bratem kąpaliśmy się w Wiśle, nasz tatuś czytał niemieckie książki w tych samych krzakach nad brzegiem, w których w czasie wojny czytał potajemnie książki polskie. Niechęć do Niemców rozciągała się także na ich książki, których posiadanie było tuż po wojnie zakazane. Do naszych lektur doszedł już w 1945 roku nieoceniony „Przekrój”, a nieco później „Moda i Życie Praktyczne”.

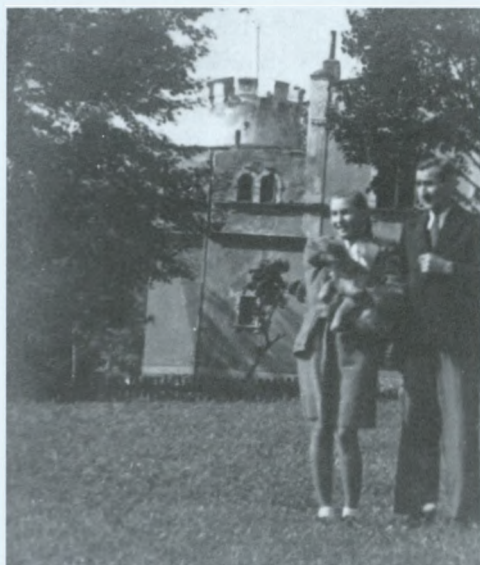
Incydent z tego czasu, który śmieszył nas jeszcze długo, dotyczył Knuta Ham-suna „*Segen der Erde*” („Błogosławieństwo ziemi”), książki, która się gdzieś zapo-działa – albo była za dobrze schowana. Zapytałam: *Tatusiu, szukasz „Piły ziemi”?* Książki niemieckie pochodziły wówczas z księgozbioru pozostawionego przez umundurowanych mieszkańców willi „Biała” przy obecnej ul. Partyzantów 9, gdzie od lat mieści się przedszkole. W pierwszych dniach po wojnie willę tę zajęła jedna z naszych sąsiadek wraz z narzeczonym, który powrócił z partyzantki. Chętnie roz-dzielała niemieckie książki, które i tak były zakazane. Otrzymaliśmy w ten sposób m.in. wspaniałe wydanie Selmy Lagerlöf, a w nim „Cudowną podróż”, dotyczącą legendarnej Vinety.

Pragnę jeszcze dodać, że do załogi „Zameczku” należały również zwierzęta. Przez wiele lat był to ogromny, rudy kocur, zwany *nomen omen* Rudy – który bu-szował wokół domu i jego bliskiej okolicy i miał zwyczaj zniecka wskakiwać komuś z domowników na plecy. Nieco później, już po wojnie, naszym ulubieńcem był pies Sabik, który otrzymał swoje imię na cześć Saby z wiadomej książki. Sabik miał wysoce rozwinięty instynkt łowiecki, który przejawiał się niestety w polowa-niu na małe zajączki z pobliskiego wąwozu, które potem składał na progu kuchni i w oczywisty sposób oczekiwał pochwały. Bywały jeszcze tłusciutkie myszki, któ-re mieszały w norce w schodach wieży, były też szerszenie, które zadomowiły się na strychu, a na ścieżce po deszczu trzeba było omijać kolorowe traszki. Ogród upodobały sobie krety, a naszą czereśnię szpaki.

W 1948 roku rozpoczęłam naukę w wiślańskim ówczesnym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym, zamienionym rychło w Liceum Ogólnokształcące, z maturą w XI klasie. Ustrońskie dzieci miały wówczas do wyboru szkoły średnie w Cieszynie bądź w Wiśle. Cieszyn był miastem szkoły mojego ojca, ale dojazd do Wisły był ła-twiejszy. Byłby zupełnie łatwy, gdyby wówczas istniała stacja kolejowa Ustroń Zdrój (*nota bene*, zaprojektowana wiele lat później przez panią architekt, która ongiś jako mała Halinka wręczała w 1945 roku kwiaty na wiecu).

We wczesnych latach pięćdziesiątych obok „Zameczku” pojawiła się autentycz-na skocznia narciarska, o czym pewnie mało kto już pamięta. Skocznia ta została zbudowana z konstrukcji metalowej i desek, nad drogą dojazdową, w miejscu gdzie dziś znajduje się budynek garażu. Zbok stanowiło zbocze obok istniejącej jeszcze wówczas kawiarni. Zbocze to nie było porośnięte, jak dziś, drzewami. Skocznia nie cieszyła się zbyt dużym powodzeniem i rychło znikła z naszego sąsiedztwa.

Najnowszy sąsiad pojawił się wiele lat później. U podnóża wzniesienia, w zakolu drogi jezdnej do „Zameczku”, powstała obszerna drewniana gospoda, sprowadzo-na z którejś z górskich wiosek, tu ponownie zbudowana. Wypisz, wymaluj, jakby



Autorka artykułu z ojcem Andrzejem Kohutem i psem Sabikiem, wiosna 1950 r. (fot. z archiwum rodzinnego autorki)

stała tu od zawsze, czego nie domyśla się większość gości właściciela Tomasz Brachaczka.

Powracając do losów „Zameczku” jako budynku, można powiedzieć, że do połowy roku 1957 roku nic w jego wyglądzie nie uległo zmianie, od czasu stanu, w jakim go zastaliśmy w 1941 roku. Wspomniałam na początku, że dom uchodził za nawiedzony z powodu tragedii, jaka się tam wydarzyła w głębokich latach przedwojennych. Na czym to nawiedzenie miałoby polegać, tego nam nikt nie wyjaśnił, a my nigdy nie mieliśmy do czynienia z jakimiś zjawiskami nie dającymi się wytłumaczyć. Wprawdzie czasem dawało się słyszeć jakieś jakby skrzypienie schodów w wieży, mimo, że na nich nikogo nie było, ale dom był stary, schody zmurzałe, w dzień nagrzone, w nocy drewno się kurczyło, mogło wydawać jakieś dziwne dźwięki... A może jednak?

Fabryka Palenisk Mechanicznych z Mikołowa, która otrzymała od zarządu gminy prawa do eksploatacji „Zameczku”, rozpoczęła remont z końcem czerwca 1957 roku. Dostaliśmy, wzorem tamtego czasu, przydział innego mieszkania. Był to duży i mały pokój w sąsiedniej willi „Basieńka”. Rodzice nie dożyli już tej przeprowadzki. W „Basieńce” mieszkalam tylko okresowo, faktycznie mieszkał tam tylko mój brat. Ja byłam w tym czasie zajęta pisaniem pracy magisterskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim na temat historii zbioru zabytków antycznych w Muzeum UJ pod kierunkiem prof. Marii Ludwiki Bernhard, wybitnej historyczki sztuki starożytnej. Recenzentami mojej pracy byli prof. Karol Estreicher i prof. Roman Ingarden.

Nie mam informacji, w którym momencie na bazie murów kawiarni zbudowano budynek, który zasłonił bryłę „Zameczku” od strony Wisły. Nie była to zbrodnia. To był błąd. Powiedzenie znane, ale odpowiada sytuacji. O ile dom ten na początku wieku dwudziestego królował nad doliną Wisły, był znaczącym punktem w panoramie Ustronia, o tyle na początku następnego wieku, zasłonięty przez wysokie drzewa, stał się od tej strony niewidzialny. Może jest przez to tym bardziej tajemniczy?



Dr Cecylia Zofia Galczyńska – absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie ze specjalnością archeologia śródziemnomorska. Doktorat na Uniwersytecie Warszawskim. Członkini Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Od wielu lat mieszka w Szczecinie.

Portret autorstwa Iwony Dzierżewicz-Wikarek

Bożena Kubień

Willa „Tatra” – gniazdo polskości

Na południowo-zachodnich rubieżach Polski, tuż nad granicą polsko-czeską, w malowniczej dolinie Górnej Wisły, otoczona wieńcem lesistych Beskidów Zachodnich, leży miejscowość Ustroń. Nadzwyczaj korzystne położenie geograficzne, bardzo pomyślne warunki klimatyczne, oraz bogate pokłady znakomitej borowiny, dostarczającej materiału dla Zakładu Kąpieli Borowinowych, sprawiły, że to ciche, nierozreklamowane ustronie górskie rozwija się coraz silniej i niedaleką jest chwila, gdy stanie się pierwszym, na europejskim poziomie stojącym, uzdrowiskiem śląskim. (...).

Zjeżdżający kuracjusze znajdują pomieszczenie w pensjonatach, hotelach i prywatnych willach. Podkreślić należy, że w Ustroniu w ostatnich latach, w związku ze stale wzrastającą frekwencją, pobudowano szereg komfortowo urządzonych pensjonatów i hoteli, tak, że wybór pomieszczeń jest bardzo duży. Ceny ich są stosunkowo niskie. Dzięki wielkiej podaży nabiału i środków spożywczych przez miejscową i okoliczną ludność rolniczą, kalkuluje się utrzymanie w Ustroniu b. tanio. (...).

Tak w 1931 r., w dziesiątym tomie *Pamiętnika Polskiego Towarzystwa Balneologicznego*, Otton Lazar propagował walory uzdrowiskowe rodzinnej miejscowości.

Na krótko po odzyskaniu niepodległości tych prywatnych pensjonatów było niewiele, kilka większych willi rozsianych w różnych malowniczych zakątkach Ustronia. Prawdziwy rozkwit tego typu budynków nastąpił w latach 1925-1938. Willa „Tatra”, oddana do użytku w 1924 r., była więc jednym z pierwszych domów budowanych właśnie „pod” letników, a pierwszym postawionym w tej części Ustronia, czyli w rejonie zbiegu obecnych ulic: Strażackiej, Ogrodowej i Polnej.

To już blisko 90 lat mija od czasu, kiedy państwo Anna i Rudolf Cholewowie – pierwsi właściciele „Tatry”, podjęli decyzję o budowie piętrowego, dużego domu. Od tego momentu Ustroń bardzo się zmienił. Z małego miasteczka letniskowego przeobraził się w szesnastotysięczne miasto uzdrowiskowe. Na początku lat 20. XX wieku, kiedy rozpoczęto budowę willi, w okolicy stała jeszcze drewniana gospoda Jerzego Prażaka. Sam wygląd domu przez te wszystkie lata niewiele się zmienił – zniknęła tylko napis „Tatra” z zachodniej ściany budynku oraz dzika winorośl bujnie pnąca się po drewnianych drabinkach okalająca willę.

Pewnego jesiennego popołudnia odwiedziłam obecną właścicielkę „Tatry” panią Stefanię Cholewę – emerytowaną nauczycielkę, córkę Anny i Rudolfa Cholewów. Tak poznałam historię domu i jej zasłużonej rodziny – gniazda polskości.

Willa „Tatra” została wybudowana na parceli należącej do dziadków pani Stefanii. Anna i Jerzy Cholewowie pochodzili z Ustronia, mieszkali *na Gojach*. Tam, 2 stycznia 1884 r. przyszedł na świat jej ojciec. Rudolf Cholewa wyuczył się zawodu ślusarza i rozpoczął pracę w hucie trzynieckiej. Nie mógł podjąć zatrudnienia na miejscu, w Ustroniu, ponieważ znaczenie tutejszego przemysłu stopniowo malało, w przeciwieństwie do huty w Trzyńcu, która od lat 70. XIX wieku stała się najważniejszym zakładem tej branży na ziemi cieszyńskiej. W związku z tym początkowo pieszo chodził do pracy w Trzyńcu. Podobny los dotknął wtedy wielu ustrońskich robotników, w tym Jana Wantułę, który w „Kartach z dziejów ludu Śląska Cieszyńskiego”, (Warszawa 1954), tak opisuje tę sytuację: *Po śmierci inż. Kuhlo (1886 r.), jego następcy nie potrafili odpowiednio utrzymać pędu do dalszego koniecznego rozwoju*

hut, od którego zależało istnienie zakładów i dostarczenie zatrudnionym pracy. Organizacja pracy, urzędnicy techniczni, rodzaj wytworów stały indziej w podobnych zakładach na początku XX stulecia daleko wyżej niż w Ustroniu. Były ciągłe kryzysy pracy powodowane brakiem zamówień (...). Ratowały jeszcze Ustroń rozbudowa hut w Trzyńcu i zamówienia państwowe (...).

Jednakże po pewnym czasie sytuacja uległa zmianie – zakład trzyniecki umożliwił ustroniakom zamieszkanie w nowo wybudowanych koloniach robotniczych. Właśnie w Trzyńcu, w 1907 r., Rudolf Cholewa wziął ślub z Anną Kolasa, urodzoną 23 czerwca 1887 r. w Tomicach koło Wadowic.

Niedługo potem jego rodzice sprzedali cały swój dobytek *na Gojach* i zakupili nieruchomość w centrum Ustronia, składającą się ze starego, drewnianego domu oraz zabudowań gospodarczych, w rejonie obecnej ul. Polnej 2. Tam też zamieszkał Rudolf Cholewa z małżonką. Wtedy podjął decyzję o zmianie zawodu i został listonoszem w miejscowym Urzędzie Poczтовым, (który do początku lat 30. XX wieku mieścił się w jednym małym pomieszczeniu, w ratuszu na rynku, przyp. B. K.). W 1910 r. urodziła się im córka – Stefania. Jeszcze przed I wojną światową Rudolf Cholewa przyczynił się do podtrzymania ducha narodowego, poprzez aktywną działalność w Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego – organizacji kultywującej polskość oraz rozszerzającej i wspomagającej szkolnictwo polskie na ziemi cieszyńskiej. Równocześnie, będąc członkiem Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego, walczył o poprawę położenia ekonomicznego robotników oraz popierał działania zmierzające do odbudowy niepodległego państwa polskiego.

Nastał rok 1914. Ostatnie lata Monarchii Austro-Węgierskiej. Tak wspomina ten okres Stefania Cholewa: *I wojna światowa w Ustroniu? Ludzie nawet nie wiedzieli, że była wojna. Podobnie jak większość ustrońskich rodzin przeżyliśmy te lata cało i zdrowo. Mój ojciec nie brał udziału w działaniach wojennych. Z dzieciństwa pamiętam tylko, że były trudności z zaopatrzeniem i konfiskowano trudno dostępne towary, na przykład cukier. Jak ktoś go dużo nagromadził, to przyszła kontrola i zabierała. Istniały w tym czasie tak zwane „kłobuki”, kształtem przypominające stożek, z których odtupywało się odpowiednią ilość cukru. Mieliśmy wtedy w domu kilka takich „kłobuków” i gdy rodzice dowiedzieli się o zbliżającej kontroli, to mama wpadła na pomysł, aby ten cukier ukryć w pobliskim kościele katolickim. Codziennie zabierała ze sobą jeden „kłobuk” cukru, zanosila do kościoła, a następnie chowała w dziurze za zastoną ołtarzyka ze świętym, mieszczącego się w przedśionku świątyni. Kiedy kontrola się skończyła nasze „kłobuki” wróciły do domu.*

Z okresu I wojny światowej zapamiętałam jeszcze inne zdarzenie. Otóż chowaliśmy wtedy świnkę i drób, i potrzebne nam było zboże do wykarmienia tego dobytku. Trzeba więc było jechać gdzieś na wieś, do sąsiednich Kozakowic albo Cisownicy i kupić zapasy na całą zimę. Wtenczas potrzebny był głęboki wózek dziecięcy, do którego kładło się lalkę na poduszkach i zakrywało kolorowymi firaneczkami. W ten oto sposób, całą jesień mama przewoziła zboże ukryte w wózku pod poduszkami. Podczas kontroli mówiła napotkanemu policjantowi, że tam dziecko śpi i jechała dalej. Tak zdobyte zboże rodzice następnie starannie ukrywali w drewni, pod stosem drewna, w specjalnie do tego celu wykopanej dziurze. Żadnej kontroli nie przyszło potem do głowy, że tam mamy schowane zboże.

Podczas I wojny światowej rozpoczęłam naukę w siedmioklasowej Szkole Powszechnej nr 1. Przez pierwsze cztery lata zajęcia odbywały się w budynku przy

kościół katolickim pw. św. Klemensa, a następnie, w piątej klasie, przenieśliśmy się do szkoły przy ustrońskim rynku. Uczęszczałam do jednej klasy z Heleną Szczepańską, która w okresie międzywojennym była właścicielką pensjonatu „Brzezinka” na Zawodziu. Znałam też, młodszego od nas o trzy lata, jej brata Janka, czyli późniejszego prof. Jana Szczepańskiego – światowej sławy socjologa. Do dziś wspominam kierownika szkoły Jana Nowaka, a także nauczycieli – Emeryka Chroboczkę, Leona Morawca, Józefa Zientka.

W naszym sąsiedztwie, do dnia dzisiejszego stoi zabytkowy domek z XIX wieku, w którym przez długie lata mieszkała rodzina Latochów. Panny Latozanki były moimi przyjaciółkami. Ich ciocią była pani Lubojatzka – żona znanego ustrońskiego restauratora Antoniego Lubojatzky'ego (właściciela hotelu „Lubojatzky” („Beskid”) w latach 1883-1916, przyp. B. K.). Państwo Lubojatzky mieli pierwszy w Ustroniu i Wiśle autobus, w którym siedzenia były ustawione amfiteatralnie. Pamiętam z dzieciństwa, że jeszcze podczas I wojny światowej jeździłam tym autobusem z koleżanką.

Minęło kilka miesięcy od pamiętnego listopada 1918 r., kiedy to narodziła się II Rzeczpospolita. Wiosną 1919 r. na powrót zaczęli zjeżdżać do Ustronia kuracjusze i letnicy, którymi zapępiali się nieliczne wtedy hotele i pensjonaty. Większość z nich wynajmowała pokoje w prywatnych domach, a nawet w mieszkaniach fabrycznych familoków. Dla ustrońiaków była to okazja do dodatkowego zarobku. Tak też postąpiła rodzina Cholewów, użyczając kwatery w swoim starym, drewnianym, pięciopokojowym domku, położonym w malowniczej okolicy, niedaleko stacji kolejowej Ustroń Główny. Pierwszymi letnikami, którzy zjawili się u nich po I wojnie światowej byli koszerni Żydzi.

Rozpad wielonarodowej Monarchii Austro-Węgierskiej jesienią 1918 r., a następnie przełomowe rozstrzygnięcia polityczne ostatnich lat drugiej dekady XX wieku, zadecydowały o dalszych losach Śląska Cieszyńskiego, w tym także Ustronia. We wszystkich tych wydarzeniach brał udział również Rudolf Cholewa, walcząc o przynależność ziemi cieszyńskiej do „wolnej, niepodległej, zjednoczonej Polski”.

Najpierw w styczniu 1919 r., kiedy to wojska czeskie najechały na polską część Śląska Cieszyńskiego – administrowaną przez Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego, łamiąc tym samym umowę o tymczasowym rozgraniczeniu.

Następnie, jesienią tegoż samego roku, podczas plebiscytu, kiedy to przywódcy mocarstw zachodnich (Rada Ambasadorów „Wielkiej Piątki”) postanowili w ten właśnie sposób rozstrzygnąć spór o wspomniane wyżej terytorium. W Ustroniu powstał wtedy Okręgowy Komitet Plebiscytowy, obejmujący swoimi kompetencjami także Lipowiec, Górki Małe i Górki Wielkie. Jego przewodniczącym został przedsiębiorca Andrzej Szczepański (ur. w 1869 r., zm. w 1944 r.). Członkami ustrońskiego Komitetu byli także m.in. ksiądz Józef Skudrzyk oraz Florian Skrzypek (ur. w 1889 r., zm. w 1956 r.) – nauczyciel Szkoły Powszechnej w Ustroniu Polanie. Oficjalne stanowisko głównego „agitatora” plebiscytowego piastował Jan Wantuła, a Rudolf Cholewa na równi z nim walczył agitację czechofilską. Ostatecznie Rada Ambasadorów wycofała się z koncepcji plebiscytu i sama wyznaczyła granicę polsko-czechosłowacką na linii rzeki Olzy oraz grzbietem pasma Czantorii i Stożka. Mimo ogromnego zaskoczenia tą decyzją (w jej wyniku 56,2 % spornego terytorium wraz ze 150 tys. mniejszością polską znalazło się w granicach Czechosłowacji) i rozgoryczenia miejscowych Polaków, Rudolf Cholewa nie ustawał. Walczył nadal, tym razem w III Powstaniu Śląskim, w 1921 r., które zakończyło się, korzystniejszą dla Polski, decyzją o podziale Górnego Śląska.



Rudolf Cholewa w mundurze wojskowym, 1932 r.
(fot. z archiwum córki Stefanii Cholewy)

Pani Stefania przechowuje w rodzinnym archiwum dokument świadczący o ogromnym zaangażowaniu jej ojca w obronę polskość, w tak trudnym okresie kształtowania się granic, po odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości. We wspomnianym zaświadczeniu czytamy: „Niżej podpisani stwierdzają, że p. Rudolf CHOLEWA funkcjonariusz pocztowy w USTRONIU tutaj urodzony i przynależny już za rządów zaborczych pracował na korzyść sprawy polskiej, podczas wojny światowej szerzył orientację polską, a po wojnie światowej podczas najazdu czeskiego oddał nam nieraz z narażeniem swego życia wielkie przysługi. W czasie plebiscytu pracował usilnie pod każdym względem zwalczając agitację czechofilską i przyspasabiał obywateli do przyjaznego stosunku wobec naszej Ojczyzny. Ustroń, dnia 10. marca 1932. Podpisani (przyp. B. K.): Jerzy Szczurek (ur. w 1892 r., zm. w 1941 r., przyp. B. K.), kapitan rezerwy, były dowódca Milicji Polskiej

Księstwa Cieszyńskiego; Andrzej Szczepański, były przewodniczący Komitetu Plebiscytowego dla Ustronia i okolicy; ks. Józef Skudrzyk – członek byłego Komitetu plebiscytowego dla Ustronia i okolicy; Florjan Skrzypek – porucznik rezerwy, były członek Okręgowego Komitetu Plebiscytowego w Ustroniu przydzielony z ramienia Władzy Wojskowej, obecnie dyrektor szkoły wydziałowej w Zebrzydowicach. Wymieniony jest członkiem Związku Weteranów i Związku Śląskich Powstańców na Śląsku Cieszyńskim oraz Stowarzyszenia Weteranów Wojennych i Byłych Wojskowych Ziemi Cieszyńskiej Oddział w Ustroniu. Za ochotniczą służbę wojskową na terenie operacyjnym rozkazem D.O.K.V.Nr.43/34 p.1 z dnia 6.XI.1934 r. nadany został jemu Medal Pamiątkowy za wojnę 1918-1921 przez Powiatową Komendę Uzupelnień w Bielsku, dnia 15.XI. 1934. P.K.U. Bielsko/ do Nr. 332-3/8148/Kanc.34, Bielsko, dnia 13 czerwca 1934”.

W okresie międzywojennym Rudolf Cholewa nadal był zatrudniony w ustroniskim Urzędzie Pocztowym, przeniesionym, w pierwszej połowie lat 30. ubiegłego stulecia, z ratusza do kamienicy przy obecnej ul. I. Daszyńskiego 33, gdzie mieści się do dzisiaj. Pracował na stanowisku listonosza, konwojenta, a następnie pełnił funkcję urzędnika pocztowego.

Rudolf Cholewa rozwijał wtedy ponadto aktywną działalność społeczną. Nadal należał do Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska Cieszyńskiego, od 1919 r. – Polskiej Partii Socjalistycznej, będąc niejednokrotnie wybieranym do jej władz. Był także członkiem kilku organizacji kombatanckich (wymienionych w cytacie powyżej). Zasiadał również w Zarządzie Czytelni Katolickiej – najliczniejszej

organizacji katolickiej, która w 1939 r. liczyła 120 osób. Ponadto należy zaznaczyć, że Rudolf Cholewa był, w latach 1923-1941, aktywnym członkiem Towarzystwa Miłośników Ustronia. W 1924 r. pełnił funkcję członka Zarządu TMU, a w 1925 r. – Komisji Rewizyjnej.

A wracając do letników, których państwo Cholewowie gościli zaraz po pierwszej wojnie światowej... Od tego czasu minęło kilka lat. Stary, drewniany domek coraz bardziej chylił się ku zawaleniu, więc gdzieś we wczesnych latach 20. ubiegłego stulecia, Anna i Rudolf Cholewowie podjęli decyzję o budowie nowego, murowanego domu. W tę budowę zainwestowali wszystkie swoje oszczędności pochodzące ze sprzedaży parceli w rejonie obecnego dworca kolejowego „Ustronń Zdrój” i restauracji „Oaza”. W owym czasie Polskie Koleje Państwowe przedłużały linię kolejową z Ustronia Dolnego do Polany i w tym celu wykupywały okoliczne ziemie, w tym również część pola należącą do państwa Cholewów. Pozostałe rodzinne



*Członek Towarzystwa Miłośników Ustronia,
urzędnik pocztowy – Rudolf Cholewa, 1935 r.
(fot. z archiwum S. Cholewy)*

parcele, położone również w tym rejonie Cholewowie sprzedali osobom prywatnym. W latach 1920-1922, w ogrodzie przy ul. Polnej 2, od strony północnej starego domku ruszyła budowa nowego domu, według projektu inżyniera budownictwa Juraszko (lub Juraszka) z Hermanic. Wszystkie prace przy wzniesieniu domu wykonywała również jego prywatna firma. W pierwotnym założeniu nowy dom Cholewów miał być parterowy. Lecz mimo tego, że sprzedali spory kawałek pola, to i tak nie starczyło pieniędzy, aby go wykończyć. Wówczas inżynier Juraszko (Juraszek) doradził Rudolfowi Cholewie, że jako pracownik Poczty Polskiej, a więc urzędnik państwowy może zaciągnąć pożyczkę i postawić większy, trzykondygnacyjny budynek z przeznaczeniem całego piętra na pensjonat dla letników. W ten sposób dom będzie na siebie zarabiał. Tak też zrobiono. Pożyczkę państwową uzyskali w Urzędzie Skarbowym Województwa Śląskiego, którą jeszcze po II wojnie światowej musiała spłacać pani Stefania. W nowym domu Anna i Rudolf Cholewowie zamieszkali w 1924 r., wraz z czternastoletnią córką Stefanią oraz dwuletnim synkiem – Leonem. Wówczas budynek nie był jeszcze całkowicie wykończony, ale spełniał już wtedy podstawowe wymogi, aby mogła w nim zamieszkać czteroosobowa rodzina. Stary, drewniany domek został rozebrany. Pozostały jedynie stodoła, drewnutnia i chlewik. W tym czasie prawie przy każdym domostwie istniały takie zabudowania. Chowano drób, nieraz świnkę, uprawiano warzywnik. Ludzie więc byli samowystarczalni. W następnych latach willa „Tatra”, bo taką nazwę przybrał nowy dom Cholewów, była sukcesywnie wykańczana. Kiedy w drugiej połowie lat 20. ubiegłego stulecia zawitali do niej

pierwsi letnicy, była okazale prezentującym się trzykondygnacyjnym budynkiem z poddaszem użytkowym. Dookoła, po drewnianych drabinkach zawieszonych na elewacjach, pięła się winorośl, z jednej strony szlachetna, z drugiej dzika, ozdobna. Interesująco wyglądały małe szybki w oknach, ułożone na kształt mozaiki oraz białe półkule namalowane nad parterowymi oknami willi. Fasadę domu zdobił drewniany, dekoracyjny element w części szczytowej dachu, pod spodem którego umieszczono tabliczkę z napisem „Willa Tatra”. Skąd się wzięła ta nazwa? – pani Stefania nie pamięta. Kiedyś pytała o to swego ojca, ale zapomniała, co jej odpowiedział.



Willa „Tatra”, lata 30. XX w. Fot. Józef Skora „Foto-Elios”.
W oddali góry: od lewej – Żor (niższa, ciemny zarys), dalej ciągnie się grzbiet Równicy ze schroniskiem na szczycie tej góry (z prawej strony) (fot. z archiwum S. Cholewy)

Jak już wspomniałam wcześniej, „Tatra” była jednym z pierwszych pensjonatów w międzywojennym Ustroniu. Prowadziła go Anna Cholewa, która równocześnie zajmowała się gospodarstwem domowym. Córka Stefania w 1929 r. ukończyła, słynące z ostrej dyscypliny, pięcioletnie seminarium nauczycielskie na Placu Dominikańskim w Cieszynie, pod szalenie wymagającym okiem ówczesnego dyrektora tejże szkoły – dr. Jana Galicza (ur. w 1874 r., zm. w 1939 r.), z pochodzenia Chorwata. Dzisiaj, patrząc z perspektywy czasu, a minęło już blisko 80 lat, pani Stefania z ogromną sympatią wspomina surową wręcz postawę profesora Galicza. Jej zdaniem był to człowiek „na poziomie” i wszystkie swoje uczennice wychował na uczciwych ludzi. Przedwojenny nauczyciel, absolwent takiego seminarium, był przygotowany do nauczania wszystkich przedmiotów w klasach od pierwszej do siódmej szkoły powszechnej. Zaraz po ukończeniu seminarium pani Stefania rozpoczęła pracę w szkole w Pierściu, gdzie uczyła 8 lat. W 1937 r. wyjechała na kurs narciarski do Wisły Głębiec i tam już została podejmując pracę w miejscowej szkole powszechnej. Zarówno w Pierściu jak i później w Wiśle wynajmowała mieszkania na prywatnych kwaterach. W rodzinnym Ustroniu przebywała tylko na okres wakacji letnich, w wolnym czasie pomagając matce w prowadzeniu pensjonatu.



Przed willą „Tatra”, 1928 r. Na schodach stoją od lewej: Stefania Cholewa, wczasowiczka, brat Leon Cholewa, nn, nn, nn, nn. Na balkonie stoją od lewej: nn, sąsiadka – nauczycielka Anna Latocha (fot. z archiwum S. Cholewy)

A w latach 30. XX wieku w uzdrowisku ustrońskim wiele się działo. Zwłaszcza w sezonie, który trwał od 15 maja do 15 października. Pociągami, ale i nierzadko autobusami zjeżdżali wczasowicze, zwani przez miejscową ludność *kapielorzami*. Wsiadali na stacji PKP „Ustroń Główny” lub na dworcu autobusowym przy Hotelu „Beskid” należącym w tamtych czasach do Heleny i Pawła Molinów i czekali na dorożki, które zawoziły ich do wybranych pensjonatów. Willa „Tatra” się nie reklamowała, nie ogłaszała w prasie, bo tego rodzaju promocji wtedy nie potrzebowała. A dlaczego? Ponieważ miała dobrego pośrednika, którego dzisiaj można by określić, jako specjalistę w zakresie: organizacji informacji turystycznej, pośrednictwa wynajmu kwater i transportu wczasowiczów, w jednej osobie. Tym człowiekiem był mieszkaniec tzw. Wielkiego Domu – Adolf Cholewa (ur. w 1888 r., zm. w 1952 r.). Z zawodu tokarz, pracownik fabryki *Brevillier i Ska & A. Urban Synowie* miał takie specyficzne zamiłowanie – chodził na przystanki kolejowe bądź autobusowe o określonych porach, kiedy tylko zjawiali się letnicy, pytał ludzi, w jakim pensjonacie chcą zamieszkać, w jakiej okolicy Ustronia położonym i o jakim standardzie usług, a potem odprowadzał gości na miejsce, lub też wsadzał do dorożki, a Antoni Gross, Ludwik Reichenbaum czy inny ustroński fiakier zawoził ich pod wskazany adres. Adolf Cholewa nie pobierał za tę „pomoc letnikom” żadnej opłaty, po prostu lubił to zajęcie. Pomagał mu w tym kolega z pracy – pan Cichy, mieszkający na ustrońskich Brzegach.

W ten oto sposób do willi „Tatra”, o przedwojennym adresie: Ustroń numer 35 (telefonu wtedy nie posiadała), trafiali goście letniskowi. Dodatkowym atutem zachęcającym do korzystania z kwatery właśnie u Cholewów było dogodne położenie ich willi blisko dworca kolejowego, wtedy jedyne w miasteczku. W latach 30. ubie-

głego stulecia w tej okolicy działały też inne pensjonaty. Były „Belweder” i „Zawodzianka” na Zawodziu Dolnym, a bliżej centrum – właśnie „Tatra”, „Zorza”, „Olga” oraz „Małopolanka”. Jacy ludzie zatrzymywali się w willi „Tatra”? Przede wszystkim Żydzi, kulturalni, nowocześni, nie ortodoksyjni. Anna Cholewa nie prowadziła kuchni koszernej, ponieważ miała też gości chrześcijan. Przyjeżdżały rodziny inteligentne, przeważnie z Bytomia, Chorzowa, Katowic. Ustroń był tam wtedy dobrze reklamowany. Pani Stefania wspomina: *W latach międzywojennych w naszej miejscowości przebywało wielu Żydów, zarówno wczasowiczów jak i miejscowych. Ale żyliśmy z nimi bardzo dobrze. Nie pamiętam żadnych konfliktów. Chodziliśmy do tej samej szkoły. Miałam wśród nich serdeczne koleżanki. Zachowałam jak najlepsze wspomnienia.*

Jak wyglądały pierwsze lata funkcjonowania pensjonatu „Tatra”? Pani Stefania opowiada: *W naszym domu było 9 pokoi – 4 na parterze, 4 na piętrze i 1 w suterrenach. Dwa pokoje w części parterowej służyły jako mieszkanie dla naszej rodziny, pozostałych 7 wynajmowaliśmy letnikom. Ten pokój w suterrenach wynajmowaliśmy tylko wtedy, gdy w pozostałych mieliśmy już komplet gości, albo też w wyjątkowych przypadkach. Mieszkała w nim na przykład matka z synem, który miał złamaną nogę i nie mógł poruszać się po schodach. Pamiętam, że byli z tego bardzo zadowoleni. Jednorazowo „Tatra” mogła przyjąć od 16 do 20 gości. Ale przebywali u nas tylko w miesiącach letnich. Zimą nikt tutaj nie przyjeżdżał. Wiązało się to z brakiem centralnego ogrzewania. A dom ogrzewały wtedy piece kaflowe, wykonane przez zduna Madzię z Hermanic, z kafla pochodzących z fabryki Walentego Gnidzińskiego ze Strumienia. Na parterze, gdzie mieszkała nasza rodzina, takie piece stały w każdym pokoju. Natomiast na piętrze ogrzewany był w ten sposób tylko jeden pokój. W domu była tylko jedna łazienka, na parterze, która służyła tylko naszej rodzinie. Letnicy raczej z niej nie korzystali. Za to każdy pokój przeznaczony dla nich wyposażony był w miednicę, wiadro, dzbanek na wodę oraz stolik i grzejnik elektryczny. Ciepłej wody nie było, każdy musiał podgrzać. W takich warunkach mógł także przygotować sobie drobny posiłek. Duża kuchnia pensjonatowa mieściła się natomiast w suterrenach. Posiłki przygotowywała moja mama wspólnie z pewną kobietą, zatrudnioną jako pomoc kuchenna. Zazwyczaj serwowaliśmy tylko śniadania i kolacje, rzadziej obiady. Pełny posiłek podawaliśmy w wyjątkowych okolicznościach, gdy ktoś z gości chorował, albo był na specjalnej diecie. Nie było takiej potrawy, którą można by określić mianem specjalności kuchni pensjonatu „Tatra”. Za to przygotowywaliśmy dla letników duży wybór mięs. Cielęcina, drób ..., tego było pod dostatkiem. Ale pamiętam też taką sytuację, że mama zachorowała i poszła do szpitala na operację. Zostałyśmy wtenczas same ze służącą do prowadzenia pensjonatu. Podawaliśmy gościom tylko śniadania. Pozostałe posiłki odmówiłam letnikom, z wyjątkiem jednej pani, która była na diecie. Ale nasi goście mogli sobie zejść do suterren i sami przygotować posiłek. Udostępnialiśmy im kuchnię. Było tam też radio, jedyne w domu, które wczasowicze przychodzili słuchać w wolnych chwilach. A jak wtedy letnicy spędzali u nas czas? – spacerowali, chodzili nad rzekę, a gdy padał deszcz – grali w karty, szachy, czytali książki. Prowadzenie pensjonatu przynosiło naszej rodzinie dodatkowy zarobek. Jednakże nie w każdym sezonie trudniliśmy się tym zajęciem, ponieważ cały czas trzeba było być dyspozycyjnym i mieć zatrudnioną jakąś osobę do pomocy. Obecnie to co innego. Czasy się zmieniły. Dzisiaj w Ustroniu oferują wczasowiczom bardzo komfortowe warunki pobytu oraz wiele innych atrakcji na spędzanie wolnego czasu. To nie to samo, co 70, 80 lat temu, ale wtedy też tu było bardzo przyjemnie i podobało się przyjeżdżać ludziom do naszej miejscowości.*

Wraz z wybuchem II wojny światowej pensjonat „Tatra” przestał działać. Z Ustronia pospiesznie zaczęli wyjeżdżać letnicy oraz kuracjusze. Pani Stefania Cholewa przywołuje z pamięci tamten okres i opowiada: *Pamiętam ostatnie dni sierpnia 1939 r., tuż przed wojną. Lato w pełni. Mobilizacja już była ogłoszona na budynku naprzeciwko naszego domu* (należącym wtedy do kupca i restauratora – Natana Goldfingera, w latach 50. XX w. budynek zburzono i postawiono na tym miejscu Remizę Strażacką przy obecnej ul. Strażackiej 5, przyp. B. K.). *Co ciekawe. Bodajże 27 albo 28 sierpnia już wszyscy wiedzieli o zbliżającym się militarnym zagrożeniu ze strony III Rzeszy. Mieszkało u nas wtenczas kilku letników – Żydów, którzy bez przerwy nerwowo nasłuchiwali informacji płynących z radia, a czekali jednak na ostatni moment. Dziwiłam się temu, bo Żyd zwykle wcześniej przewiduje bieg wydarzeń, a oni zostali do końca wakacji. Widocznie myśleli, że ta niebezpieczna sytuacja ucichnie po jakimś czasie, że to wszystko się jakoś rozwieje.*

W przeddzień wybuchu wojny, 31 sierpnia 1939 r., Stefania Cholewa jako zadeklarowana Polka, idąc za przykładem innych uciekła z Ustronia na wschód. Spakowała wszystkie kosztowności i wraz ze swoją koleżanką – nauczycielką Anną Latoszanką udały się do Krakowa. Tam przeżyła pierwsze bombardowania miasta i straciła cały dobytek. Stąd wyciągnęła naukę, że w czasie wojny nie warto ruszać się z domu rodzinnego, bo jesteście wtedy całkiem obcy w świecie. Do Ustronia powróciła jesienią 1939 r.

Polska część międzywojennego Śląska, a więc i Ustroń, została wcielona bezpośrednio do III Rzeszy. Obowiązki pierwszego tymczasowego burmistrza objął kupiec Hubert Machanek, przedwojenny współpracownik niemieckiego wywiadu. Wszyscy nauczyciele zostali wezwani do inspektoratu w Cieszynie, gdzie pytani byli o przynależność narodową i w zależności od podanej odpowiedzi, znajdowano dla nich odpowiednie zajęcie. Wszyscy też obowiązkowo mieli uczyć się języka niemieckiego. Zaczęła się okupacja. Stefania Cholewa codziennie musiała meldować się w ustrońskim Wydziale Gminnym, a jej wówczas siedemnastoletni brat Leon – dwa razy dziennie, do południa i wieczorem.

We wczesnych latach 40. XX w., pod pseudonimem „Żdźbło”, współpracowała z nauczycielską grupą konspiracyjną Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), który w połowie 1942 r. wszedł w skład Armii Krajowej (AK).

Oboje zupełnie zniknęli z Ustronia w 1941 r. Ukrywali się. Leon Cholewa w Koniakowie, a pani Stefania – trochę w Sibicy na Zaolziu, potem w Wiśle. W 1943 r. wyjechała do Wiednia, a stamtąd do Bawarii. Od tamtego czasu, aż do końca II wojny światowej nosiła fałszywe nazwisko – Zuzanna Bujok.

Rudolfa Cholewę aresztowano 21 kwietnia 1940 r. Kilka miesięcy wcześniej, jesienią 1939 r., po powrocie z ewakuacji poczty, nie otrzymał już pracy w Urzędzie Poczтовым w Ustroniu. Po zatrzymaniu więziony był w Cieszynie, skąd skierowano go do obozu koncentracyjnego w Mauthausen Gusen. Zmarł 7 września 1941 r. jako więzień nr 6799 bloku 11. Natomiast Annę Cholewa Niemcy wyrzucili z domu zaraz po aresztowaniu męża. W willi „Tatra” mieszkała wtedy sama, ponieważ córka i syn ukrywali się poza Ustroniem. Okupanci radzili jej, żeby podpisała *Deutsche Volksliste* – wtedy nie zabraliby jej domu. Nie ugięła się. Spakowała swoje rzeczy osobiste (tylko takie było jej wolno) i zamieszkała u sąsiadów – najpierw w domu przy kościele ewangelickim, a następnie u zaprzyjaźnionej rodziny Latochów. W kwietniu 1944 r. Anna Cholewa została aresztowana pod

zarzutem współpracy z ruchem oporu i wywieziona do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie zmarła na dwa miesiące przed zakończeniem wojny, w marcu 1945 r., jako więzień nr 47100 bloku 16.

Wiosną 1941 r. „Tatrę” zajęło dwunastu żołnierzy niemieckich. Pani Stefania do dzisiaj nie może dojść, kto był właścicielem domu w czasie II wojny światowej. Dowiedziała się natomiast, że budynek wywłaszczony został w 1941 r. Zrobił to ówczesny niemiecki burmistrz Ustronia Dorotheus Förster, który następnie przepisał willę na własność gminy Ustroń.

1 maja 1945 r. Ustroń został wyzwolony spod okupacji hitlerowskiej. Na liście mieszkańców – ofiar II wojny światowej znaleźli się także Anna i Rudolf Cholewowie – przedwojenni właściciele pensjonatu „Tatra”. Pani Stefania wiedziała o śmierci ojca, natomiast nieznane jej były losy matki. Owszem, będąc wtedy poza granicami Polski, pisała wielokrotnie w tej sprawie do Ustronia, ale nie otrzymywała żadnych wiadomości. Po zakończeniu wojny nie od razu wróciła do Polski. Pozostała w Zachodnich Niemczech. Wtedy też, w Ratzbonie, na podstawie oświadczenia koleżanki Agnieszki Trojek przed komisjami – polską i amerykańską, wróciła do swojego prawdziwego nazwiska. Przebywając na terenie Bawarii, przez prawie półtora roku uczestniczyła wraz z innymi nauczycielami uwolnionymi z obozów koncentracyjnych, m.in. z Dachau, w tworzeniu polskich szkół dla uchodźców. Takie właśnie polskie gimnazjum ukończył na terenie Austrii jej brat – Leon. Z tamtych powojennych czasów pani Stefanii utkwiło w pamięci przypadkowe spotkanie w Monachium z, cytowanym na wstępie niniejszego artykułu, ustroniakiem – doktorem Ottonem Lazarem (ur. w 1911 r., zm. w 1990 r.), który w latach 1945-1949 pracował w Niemczech Zachodnich.

Pracując w Ratzbonie i prowadząc tam polską szkołę, Stefania Cholewa rozważała możliwość pozostania na stałe za granicą – cały polski obóz zamierzano przenieść do Australii. Do czasu... Pewnego dnia dostała list anonimowy, z którego dowiedziała się, że jej matka także zginęła. Była jesień 1946 r. i właśnie odchodził ostatni transport uchodźców wojennych do Polski. Zdecydowała się jechać. Do Ustronia przybyła 24 listopada 1946 r., po tygodniowej podróży bydlęcym wagonem. Omijając rodzinną miejscowość, pojechała prosto do Wisły Głębiec, gdzie pracowała przed wojną i gdzie miała do załatwienia wiele spraw. W Wiśle pozostała przez następny tydzień.

Początkiem grudnia 1946 r. Stefania Cholewa po prawie pięciu latach nieobecności zawitała w progę domu rodzinnego. Przeżyła rozczarowanie. Willa „Tatra” była zajęta przez czterech obcych ludzi. Nie mogła nawet wrócić do własnego mieszkania na parterze, bo tam też zakwaterowano polskiego repatrianta z Francji. Tak wspomina te smutne, powojenne czasy: *Kiedy pod koniec 1946 r. wróciłam do Ustronia, to myślałam, że mnie tutaj jakoś inaczej przyjmą, przecież wszyscy wiedzieli, co się stało z moją rodziną podczas okupacji. Niestety, tak mnie właśnie Polska Ludowa przyjęła. Rodzice zginęli, a mnie nawet nie chciano oddać mieszkania we własnym domu. Na dodatek wszystko w tym domu było zrujnowane. Sprawiało to smutne wrażenie, że czasami się załamywałam. Ale jakoś powoli się „drapałam”. Rzeczywiście, willa „Tatra” była wtedy w ruinie. Okna powybijane, piękne, mosiężne, przedwojenne klamki ukradli okupacyjni lokatorzy, a na ich miejsce ustrońska gmina wstawiła drewniane. W budynku nie było wody, bo hydrofor też gdzieś zaginął. Nowi lokatorzy, przydzieleni przez Urząd Gminy z tzw. kwaterunku, czerpali wodę z przepływającego w pobliżu potoku Młynówka. Poza tym nie dbali o budynek, nie wykonywali żadnych koniecznych napraw, ani drobnych remontów.*

Zastając taką sytuację pani Stefania udała się do Franciszka Zawady, który w latach 1945-1950 pełnił funkcję przełożonego Gminnej Rady Narodowej w Ustroniu, z prośbą o przydział mieszkania we własnym domu. Ten obiecał, że sprawę załatwi. Zimą 1946/1947 r. spędziła w Wiśle Głębcach tymczasowo mieszkając u znajomych i na nowo podejmując pracę nauczycielki, tym razem w tamtejszej Szkole Podstawowej Nr 4.

Minęło kilka miesięcy, zbliżały się wakacje letnie, a wspomniani lokatorzy jakoś nie mieli ochoty wyprowadzić się z „Tatry”. Pani Stefania postanowiła więc poszukać pomocy w Cieszynie u starosty powiatowego. W krótkiej pisemnej prośbie wytłumaczyła swoją sytuację i do tygodnia, także kwaterunkowym nakazem, dostała upragnione lokum w swoim własnym domu, to jest pokój z kuchnią, w którym mieszka do dzisiaj. Przez następne cztery lata dzieliła swój dom pomiędzy siebie i trzech kwaterunkowych lokatorów. Miesięczny czynsz, jaki płacili za wynajęcie pokoju z kuchnią był symboliczny, żeby nie powiedzieć śmiesznie niski, bo można było za niego kupić jedynie klamkę do drzwi. Wspomniany repatriant z Francji wyprowadził się, a brat Leon studiował wtedy na Politechnice Śląskiej w Gliwicach i przyjeżdżał do Ustronia tylko w *weekendy*.

Taki stan rzeczy istniał do wczesnych lat 50. ubiegłego stulecia. Pani Stefania mieszkała w odzyskanej części willi „Tatra” pod ówczesnym adresem: Ustroń, ul. Ogrodowa 30, natomiast codziennie dojeżdżała autobusem do pracy w Wiśle Głębcach. Absorbująca praca zawodowa i związane z nią dojazdy na tyle pochłaniały jej czas i siły, że nie mogła tak aktywnie, jak jej matka w latach międzywojennych, dbać o dom i jego obęście. Znikły więc drewniane detale, ozdobna winorośl i inne elementy dekoracyjne, co nie znaczy, że „Tatra” ucierpiała na swoim zewnętrznym wyglądzie. W takiej sytuacji pewne rzeczy wymagały po prostu uproszczenia.

W 1951 r. Stefania i Leon Cholewowie sądownie odzyskali całą willę „Tatra”. Porządkując w Wydziale Ksiąg Wieczystych dokumentację związaną z historią budynku, znaleźli informację, że w latach 1941-1951 ich dom był własnością państwa, czyli Urzędu Gminy i to ustronńska gmina przydzieliła im lokatorów z tzw. kwaterunku. Do 1941 r. „Tatra” stanowiła prywatną własność ich rodziców – Anny i Rudolfa Cholewów i na tej podstawie po „smutnej” dekadzie dom został podzielony po połowie, pomiędzy panią Stefanią i jej brata Leona.

Powoli, z czasem, z budynku wyprowadzały się kolejne rodziny „powojennych” lokatorów. Leon Cholewa, mieszkający na stałe w Zabrze, miał już gdzie nocować, kiedy wraz z rodziną odwiedzał siostrę.

Czasy powojenne były okresem, w którym według ówczesnej polityki mieszkaniowej, gdy gospodarze posiadali tzw. nadmetraż, to administracja komunalna przydzielała im współlokatorów. Tak też było w przypadku willi „Tatra”. Po wyprowadzeniu wszystkich lokatorów jeden pokój zajęło Wojsko Ochrony Pogranicza (WOP).

Po zakończeniu II wojny światowej rozkazem Naczelnego Dowódcy Wojska Polskiego utworzono odrębny rodzaj sił zbrojnych, powołanych do ochrony granic Polski. We wszystkich miejscowościach przygranicznych rozlokowano brygady WOP-u. Dotyczyło to także Ustronia, grzbietem góry Czantoria graniczącego z Czechosłowacją. Jednostka wojskowa i stajnia mieściły się, w latach 1945-1956, w obecnym budynku hotelu „Ustroń” przy ul. Hutniczej 7. Oficerowie WOP-u mieszkali natomiast w okolicznych domach z nadmetrażem. Tym sposobem czterech z nich znalazło lokum właśnie w „Tatrze”. *A ileż było z nimi kłopotu, jak to z wojskowymi* – przyznaje pani Stefania.

W późnych latach 50. ubiegłego stulecia również i wojsko opuściło mury willi Cholewów. Właścicielka znów miała do dyspozycji wolne pokoje i, podobnie jak przed wojną jej matka, na powrót zaczęła przyjmować letników, kontynuując tym samym pensjonatowe tradycje „Tatry”.

W swoim archiwum domowym Stefania Cholewa przechowuje dwie „Książki Meldunkowe domu Nr 30 przy ul. Ogrodowej w Ustroniu powiat Cieszyn”, w których odnotowani są wszyscy wczasowicze, goszczący w jej willi, w drugiej połowie XX w.

Pierwsza książka obejmuje lata: 1962-1965, druga natomiast – okres od 1966 r. do 1985 r. Przez „Tatrę” przewinęło się wtedy wielu ludzi, około 170. Najwięcej w latach 1965-1972. Zazwyczaj były to czternasto bądź dwudziestodniowe pobyty urlopowo – wakacyjne w miesiącach letnich, to jest od czerwca do września, aczkolwiek zdarzały też i dłuższe – miesięczne, a nawet dwumiesięczne. Przyjeżdżali goście z różnych stron Polski, z Katowic, Sosnowca, Warszawy, Chorzowa, Bytomia – tych najwięcej zostało odnotowanych. Czasem na kartach meldunkowych pojawiają się te same imiona i nazwiska. Stąd wniosek, że ludziom podobało się wypoczywać w „Tatrze” i... wracali na następne wakacje. Tak było w przypadku pani Marii Witkowskiej z Warszawy oraz państwa: Józefy i Włodzimierza Marczewskich, Lidii i Zygmunta Sojeckich, Rozalii i Antoniego Uziembło, czy Eulalii i Ignacego Sznaperów – wszystkich z Katowic.

W owych czasach lato zwykł spędzać tutaj także prof. dr hab. Artur Aleksander Chwalibogowski (ur. w 1899 r., zm. w 1964 r.) – lekarz pediatra, wykładowca Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrze Rokitnicy. Pan profesor upodobał sobie Ustroń i twierdził, że jest jednym z najpiękniejszych polskich uzdrowisk.

Ulica *Ogrodowa* Nr *30* Lokal Nr *2* Str. *2*

Nr kolejny	Nazwisko i Imię	Imię rodzice	Data i miejsce urodzenia	Numer, seria i nr ewidencyjny lub inny dokument ewidencyjny tożsamości	Cofnięcie ewidencji	Zameldowanie		Wymeldowanie		Powrót do ewidencji i uwagi	U w a g i
						Data przybycia na pobyt czasowy	Data przybycia na zameldowanie	Data wyprzedzenia sta i dobyt	Data odwołania czasowej zameldowania i dobyt		
1	Behnich Karol	Karol	19.9.1901	0 824 33 Czerwica	Tamara	15.8.64	15.10.1961	15.10.1961	15.10.1961		
2	Behnich Anna	Anna	9.12.1912	0 824 33 Czerwica	11.11.65	15.8.64					
3	Behnich Stanisław	Karol	22.10.1920	0 824 33 Czerwica	11.11.65	15.8.64					
4	Chładowska Józefa	Janina	16.3.1901	0 824 33 Czerwica	Katowice	11.7.65		31.1.65			
5	Chładowski Włodzisław	Janina	20.10.1925	0 824 33 Czerwica	" "	11.7.65					
6	Borowski Bronisław	Bronisław	12.2.1902	0 824 33 Czerwica	Tamara	21.2.65		31.1.65			
7	Przybyła Halina	Halina	19.12.1912	0 824 33 Czerwica	Katowice	1/11.65		22.8.65			
8	Przybyła Ewelina	Halina	16.12.1917	10051332	Przebież	9/11.65					
9	Iskowska Janina	Janina	27.11.1911	0 824 33 Czerwica	Warszawa	12.11.65		22.1.65			
10	Figurski	Zygmunt	28.11.1917								
11	Legutowska Zoska	Janina	11.11.1911		Tamara	22.11.65					
12	Legutowska Zoska	Janina	11.11.1911	0 824 33 Czerwica	Tamara	22.11.65					
13	Marcela Magdalena	Magdalena	2.4.1917	0 824 33 Czerwica	Zabrze	12.11.65		21.1.65			
14	Marcela Marcela	Magdalena	2.4.1917	0 824 33 Czerwica	Zabrze	12.11.65		21.1.65			
15	Erenbood Beata	Beata	20.1.1911	0 824 33 Czerwica	Zyban	12.11.65		19.1.65			
16	Ulagowska Krystyna	Anna	15.11.1915	0 824 33 Czerwica	Katowice	30.2.65		2.3.65			

Strony z „Książki Meldunkowej domu Nr 30 przy ul. Ogrodowej w Ustroniu powiat Cieszyn” (z archiwum S.Cholewy)

Ponadto w willi przy ówczesnej ul. Ogrodowej 30 mieszkali także stali lokatorzy, których nazwiska odnotowano w ustrońskim „organie ewidencji i kontroli ruchu ludności”. Byli to między innymi: panie Helena Drozd, Helena Mrowiec, czy rodzina Lehrichów.

Obecnie w willi „Tatra” mieszka Stefania Cholewa wraz ze swoją bratową – panią Teodozją. Brat – Leon Cholewa zmarł w 2002 r.

Wracając jeszcze do lat 60. ubiegłego wieku. Pani Stefania pamięta również i takie zdarzenie, że kilkakrotnie nachodzili ją w domu przedstawiciele Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Ustroniu, pięcio lub siedmioosobowa komisja, informując, że ten pokój z kuchnią, które nakazem kwaterekowym przydzielono jej, w 1947 r., w swoim własnym domu, są za duże. Należy jeszcze dodać, że z tej kuchni korzystały także mieszkające u niej koleżanki – nauczycielki. Z czasem przedstawiciele Prezydium przestali prawowitej właścicielce „Tatry” „dokuczać”.

Trzy piece kaflowe ze strumińskiej fabryki Walentego Gnidzińskiego – dwa na parterze i jeden na piętrze, to wszystko, co zostało się do dzisiaj z przedwojennej willi „Tatra”. *Moje życie było ciężkie, ale nie nudne. No i jakoś przez to życie idę dalej. Napisałam do pewnej fundacji w Warszawie, aby mi pomogła załatwić odszkodowanie. Odpisali, że nie przysługuje mi ono jednak. Trzydzieści sześć lat przepracowałam w wiślańskim szkolnictwie, od 1980 r. jestem na emeryturze. Kłopotów miałam wiele, ale też spotkałam wielu życzliwych ludzi. Są też dobrzy ludzie na świecie. Moją dewizą życiową jest hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna” – ot, tak całą historię z willą „Tatra” podsumowuje pani Stefania Cholewa.*



Kwiecień 2007 r. Willa „Tatra” – współcześnie. Dom przy ul. Polnej 2 widnieje w ewidencji zabytków miasta Ustroń pod pozycją 332 (fot. Kazimierz Heczko)

Bożena Kubień

Willa „Olga” i źródło Karola – ustrońska spuścizna Karola Hoheisela

Nie tylko ustrońiakom, ale i wielu turystom oraz kuracjom znane jest źródło Karola, umiejscowione u podnóża pagórka Żor. Cóż może łączyć ten zabytek kultury materialnej ze stylową willą „Olga”, położoną w centrum naszego miasta, przy ul. Cieszyńskiej 1? Otóż zarówno źródło jak i zabytkowy budynek powstały z inicjatywy Karola Hoheisela, ongiś mieszkającego i pracującego w Ustroniu.



*Karol Hoheisel, ok. 1910 r.
(fot. z archiwum rodzinnej wnuczki Olgi Stysińskiej)*



*Karol Hoheisel z żoną Olgą i córką Anną
(ur. w 1902 r.), 1904 r., fot. H. Jandaurek,
Cieszyn (K.u.K. Hofphotograph, Teschen, Stephanie-Str.60) (z archiwum rodzinnej O. Stysińskiej)*

Na próżno szukać już dziś śladów tejże rodziny w naszej miejscowości. Chociaż Karol Hoheisel pochowany został na cmentarzu katolickim w centrum miasta, dziś już mogiła jego nie istnieje ani nie mieszkają tutaj jego potomkowie.

Aby nakreślić powody pojawienia się rodziny Hoheiselów w Ustroniu, należy cofnąć się ponad sto lat wstecz, kiedy to w 1906 r. ustrońskie zakłady przemysłowe sprzedane zostały przez ich ówczesnego właściciela Albrechta Fryderyka Rudolfa Habsburga „Austriackiemu Towarzystwu Górniczno-Hutniczemu” Spółka Akcyjna. Do robót fachowych sprowadzano wówczas pracowników zamiejscowych, pochodzących z innych terenów rozległej Monarchii Austro-Węgierskiej. Część z przybyłych tu hutniczych fachowców, których zadaniem było także wyszkolenie miejscowej kadry, osiadła w Ustroniu na stałe, powiększając liczbę jego mieszkańców o nowe rodziny.



Rodzinna fotografia z psem. Od lewej: Karol Hoheisel, córka Anna, żona Olga, ok. 1912 r. (z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)

Przykładem takiej właśnie rodziny byli Olga i Karol Hoheiselowie. Po długich poszukiwaniach odnalazłam w Gliwicach ich wnuczkę – panią Olgę Stysińską z domu Saubermann, dzięki uprzejmości której powstał poniższy tekst i ilustrujące go liczne zdjęcia z jej rodzinnego albumu.

Karol Hoheisel prawdopodobnie (tego dokładnie nie udało się ustalić wnuczce) był z pochodzenia Austriakiem. Urodził się 3 października 1873 r. Na przełomie XIX i XX wieku ożenił się z pochodzącą z Jabłonkowa Olgą z domu Wodecki. W 1902 r. przyszła na świat jedyna córka Olgi i Karola Hoheiselów – Anna, matka Olgi Stysińskiej.



Lata 20. XX w. Rynek w Katowicach z widokiem na ul. A. Mickiewicza (przed 1922 r. Schneiderstrasse). Na fotografii członkowie zakładowej Ochotniczej Straży Pożarnej z Ustrońa, a wśród nich Karol Hoheisel (trzeci z lewej). Kamienice widoczne z prawej strony zdjęcia zostały wyburzone, a na ich miejscu jest obecnie skwer. Z lewej strony – fragment zabudowy ul. A. Mickiewicza z nie istniejącym już dziś Domem Handlowym Boryńskiego (na pierwszym planie) – w tym miejscu, w 1974 r., wybudowano Dom Handlowy „Skarbek” * (z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)



Przy pomniku u źródła Karola, około 1917 r.
Pierwszy z lewej – Karol Hoheisel
(fot. ze zbiorów Muzeum Ustrońskiego)



Na polowaniu, około 1914 r. Karol Hoheisel
(trzeci z prawej) był zapalonym myśliwym.
Jego córka Anna – pierwsza z lewej
(fot. z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)

Państwo Hoheiselowie zamieszkali w Ustroniu w połowie pierwszej dekady ubiegłego stulecia. Okoliczność ta wyniknęła w związku z otrzymaniem przez pana Karola posady księgowego w zakładzie „Austriackiego Towarzystwa Górniczo-Hutniczego”. Ponadto żadne inne związki rodzinne nie łączyły ich z Ustroniem. Karol Hoheisel pełnił znamienitą funkcję pierwszego komendanta fabrycznej Ochotniczej Straży Pożarnej, założonej w 1907 r.

Wybuchła I wojna światowa. Nadeszły ostatnie lata Monarchii Austro-Węgierskiej... Karol Hoheisel nie brał udziału w działaniach wojennych. Zasłynął natomiast w owym czasie w Ustroniu jako jeden z fundatorów pomnika przy źródle Karola. Czasopismo „Ślązak” z dnia 16 czerwca 1917 r. tak wówczas informowało: *Na pamiątkę śp. cesarza Franciszka Józefa I i wstąpienia na tron cesarza Karola I wzniesiono pomnik w formie krzyża nad jednym źródłem w ociemku lasu między Lipowcem a Ustroniem. Szczególne zasługi około budowy pomnika poświęconego 3 bm. mieli pp.: K. Hoheisel, kasyer werkowy, L. Schöttner, forstmajster w Ustroniu, Busch, dyrektor cementowni w Golezowie i Schwarz kierownik fabryki w Ustroniu. Natomiast Emmerich Chroboczek w swej publikacji z 1918 r., dotyczącej historii powstania i rozwoju naszej miejscowości (*Geschichtliches über die Entstehung und Entwicklung des Ortes Ustron*), wspomina, iż źródło Karola zostało urządzone przez kasjera zakładu Karola Hoheisela jako miejsce spokojnego odpoczynku.*

Po I wojnie światowej państwo Hoheiselowie wzniesli w centrum Ustronia, przy obecnej ul. Cieszyńskiej 1, elegancką, stylową willę, której nadali nazwę „Olga” – od imienia żony pierwszego właściciela. Pierwotnie „Olga” funkcjonowała jako pensjonat i zarazem dom prywatny rodziny Hoheiselów.



Okolo 1920 r. Karol Hoheisel (pierwszy z lewej) gra na skrzypcach w jednej z ustrońskich restauracji (fot. z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)



Lata 20. XX w. Na pierwszym planie willa „Olga” (przed drobną przebudową części piętrowej od strony wschodniej). W przybudówce (z lewej strony zdjęcia) sklep z artykułami elektromechanicznymi, a potem mieszkanie (fot. z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)



Willa „Olga” (po lekkiej przebudowie części piętrowej od strony wschodniej), lata 30. XX w.
(fot. z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)



Główne wejście do willi „Olga”, druga połowa lat 30. XX w.
(fot. z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)

Pani Olga Stysińska nie udzieliła mi zbyt wielu informacji na temat działalności pensjonatu, ponieważ ona sama była wtedy dzieckiem, urodzonym w 1936 r. Według relacji jej matki państwo Hoheiselowie wynajmowali pokoje wczasowiczom. Natomiast jadalnia mieściła się w tej części budynku, gdzie obecnie znajduje się weranda. W latach międzywojennych „Olga” gościła przeważnie rodziny wojskowe, oficerów z Warszawy, a także ze Śląska i Zagłębia.



Z letnikami na Równicy. Pierwszy z prawej siedzi Karol Hoheisel. Lata 30. XX w.
(fot. z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)



Pierwsza połowa lat 30. XX w. Letnicy na stopniach przed wejściem do „Olgi” (od obecnej ul. I. Daszyńskiego, tam, gdzie dziś się wchodzi do apteki „Elba”). Pierwszy z prawej – Karol Hoheisel, trzecia z prawej – jego żona Olga Hoheisel, piąta z prawej – jego córka Anna, a szósty z prawej jego zięć – mąż Anny Rudolf Saubermann (fot. z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)

Karol Hoheisel był postacią znaną i szanowaną w międzywojennym Ustroniu. Potwierdzają to relacje najstarszych obecnie mieszkańców naszej miejscowości. W latach 1923-1933 zasiadał w radzie nadzorczej „Śląskich Kąpieli Borowinowych” Spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Na przełomie lat 20. i 30. minionego stulecia był także właścicielem prywatnego przedsiębiorstwa o nazwie „Iloka”. Firma zajmowała się najpierw sprzedażą węgla, a potem artykułów elektrotechnicznych. Siedziba przedsiębiorstwa mieściła się w małym budyneczku w okolicach obecnej ul. Cieszyńskiej 3 (dzisiejsza kwaciarnia). Przed II wojną światową prowadziła ją córka państwa Hoheiselów – Anna Saubermann, która w pierwszej połowie lat 30. XX w. wyszła za mąż za Rudolfa Saubermanna (ojca pani Olgi Stysińskiej), syna Stanisława Saubermanna – właściciela małego zakładu i sklepu piekarniczego w międzywojennym Ustroniu.

Karol Hoheisel zmarł 4 grudnia 1941 r. w Ustroniu po amputacji nogi, co miało związek z tym, iż chorował na cukrzycę.

Po II wojnie światowej dom rodziny Hoheiselów został skonfiskowany i zajęty (od połowy lat 40. do lat 60. XX w.) przez Organizację Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego (OM-TUR). Wówczas to przedwojenna willa nosiła nazwę „Dom Wypoczynkowy Młodzieży Zorganizowanej w Ustroniu”.

W tym miejscu warto dodać, iż w pierwszej połowie lat 50. minionego stulecia dawna „Olga” pełniła również funkcję internatu dla chłopców uczących się w ustrómskim Technikum Mechaniczno-Kuźniczym.



Za małym domkiem (sklepem z elektronarzędziami) był ciąg pomieszczeń gospodarczych, garaży i m.in. skład węgla „Iloka”. Przed garażem samochód Karola Hoheisela – an face siedzi jego właściciel, na masce – córka Anna, a na dachu samochodu leży letnik z Tarnowskich Gór. Około 1930 r. (fot. z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)



Księgowy Karol Hoheisel (w jasnej marynarce) na terenie fabryki Brevillier i Ska & A. Urban Synowie w Ustroniu. Okres międzywojenny (fot. z archiwum rodzinnego O. Stysińskiej)

W ręce rodziców pani Olgi Stysińskiej budynek oddano dopiero pod koniec lat 50. XX w. W 1962 r. zmarł Rudolf Saubermann. W połowie lat 60. XX w. Anna Saubermannowa postanowiła dom wystawić na sprzedaż, w wyniku czego zakupiła go Powiatowa Rada Narodowa w Cieszynie.

W kolejnych latach dawna willa „Olga” była w rękach różnych właścicieli, m.in. firmy „Savia” i pełniła różne funkcje, np. przychodni zdrowia, mieszcząc poradnie specjalistyczne: chirurgiczną, ginekologiczną, laryngologiczną, okulistyczną i rentgenowską. Kierownikiem placówki (do 1966 r.) był m.in. znany lekarz ginekolog Władysław Bruk-Stonawski.



„Dom Wypoczynkowy Młodzieży Zorganizowanej w Ustroniu”, około 1950 r.
(fot. ze zbiorów Piotra Szuby)

W 1996 r. obiekt nabył Stanisław Bartosik. Dzięki jego staraniom, pod koniec XX w., budynek przeszedł gruntowny remont i modernizację poprzez zastosowanie nowoczesnych materiałów i technologii, zachowując przy tym pierwotne cechy i detale architektoniczne. Obiekt wyróżnia, kryty elegancką dachówką ceramiczną, dach (pierwotnie dom był kryty blachą), nawiązujący swoim wyglądem do mansardu, w którym wprowadzono lukarny. Ciekawie prezentuje się również półkolista tympanon, widoczny w poddaszu, ozdobna luneta, a także wprowadzone elementy półkolistych nadproży okiennych. Pomimo różnych stylów architektonicznych cały budynek dawnej „Olgi” utrzymany jest w dosyć przejrzystych proporcjach.

Obecnie w tym pięknie odrestaurowanym, liczącym prawie 90 lat obiekcie funkcjonuje m.in. apteka „Elba”.

Przez kolejne dziesięciolecia Ustroń zamieszkiwały różne społeczności, w tym także obywatele wielonarodowej Monarchii Austro-Węgierskiej. Niejednokrotnie pozostawili po sobie coś znaczącego, chociaż ich nazwisk już nikt nie pamięta. Niechaj ten artykuł będzie motywacją dla czytelników, aby przypomnieli sobie osoby już zapomniane, o których jednak warto napisać ...



Kwiecień 2007 r. Willa „Olga” – współcześnie. Dom przy ul. Cieszyńskiej 1 widnieje w ewidencji zabytków miasta Ustroń pod pozycją 53 (fot. Kazimierz Heczko)

Wykaz źródeł:

Z. Białas: *Źródło Karola*. „Kalendarz Ustroński 2006”. Ustroń 2005, s. 261-267.

B. Kubień: *Wykaz ustrońskich przedsiębiorców z okresu od XVII wieku do 1945 roku w układzie chronologicznym*. „Pamiętnik Ustroński”. Ustroń 2005, s. 76 i 81.

Budowle i budynki. Ustroń znany i nieznan. Red. B. Kubień. Ustroń 2003.

R. Kincel: *Lata dwudzieste, lata trzydzieste ...* „Kalendarz Ustroński 2004”. Ustroń 2003, s. 44.

Wspomnienia ustrońskich. Ustroń 2001, s. 5 i 18.

Wielka miara stużenia. Z dziejów OSP Kuźni Ustroń. „Sonda” nr 14/1974.

Informacje udzielone przez Olgę Stysińską – wnuczkę Olgi i Karola Hoheiselów.

* Opis fotografii wg wskazówek historyka sztuki D. Konarzewskiego.

Przemysław Korcz

Willa „Antoinette”

Okres międzywojenny, a zwłaszcza przełom lat 20. i 30., był okresem zasadniczych zmian urbanistycznych w ustrońskim uzdrowisku. Pierwsze lata po odzyskaniu niepodległości nie przyniosły w tej materii zasadniczych zmian, co związane było z ogólną kondycją materialną tak mieszkańców Ustronia jak i potencjalnych inwestorów z innych terenów Polski. Równocześnie z powodu zmian politycznych, będących wynikiem wojny światowej, spadła znacznie liczba kuracjuszy odwiedzających Ustroń z krajów wchodzących do niedawna w skład Monarchii Austro-Węgierskiej. W nowo zaistniałej sytuacji pierwsze dziesięciolecie powojenne było więc czasem starań o pozyskanie kuracjuszy i inwestorów z terenów nowo odrodzonego państwa polskiego. W sposób naturalny ich najliczniejsza grupa pochodziła z województwa śląskiego, choć przybywali także z Łodzi, Warszawy i Krakowa, dla którego tradycyjnym i najpopularniejszym kurortem było Zakopane. Z czasem prócz osób przyjeżdżających do Ustronia wyłącznie na wypoczynek, pojawiła się grupa zainteresowana budową tu własnych willi lub pensjonatów. Stanowili ją ludzie wywodzący się z ówczesnych elit: przemysłowcy, prawnicy, lekarze, urzędnicy państwowi i nauczyciele. I choć niejednokrotnie ich jedyny związek z Ustroniem stanowiło posiadanie tu willi, bezsprzecznie to w dużej mierze oni przyczynili się do rozwoju i popularności tutejszego kurortu. Spacerując dzisiaj po Ustroniu w wielu miejscach napotykamy pięknie odnowione przedwojenne domy. Nie zdajemy sobie jednak niejednokrotnie sprawy, iż w okresie międzywojennym były one popularnymi i komfortowymi pensjonatami, których gośćmi czy też właścicielami były osoby ogólnie znane i szanowane nie tylko na Śląsku, ale również w całej Polsce. W poniższym artykule chciałbym przedstawić historię jednej z ustrońskich willi oraz rodziny będącej w jej posiadaniu, a mianowicie willi „Antoinette” i rodziny Małeckich.

JERZY KOZIEL
Właściciel tartaku i stolarni
w USTRONIU - Śląsk Cieszy.


Ustroń, dnia 2 stycznia 1930

Rachunek

dla Stanowczego Panstwa Małeckich, właśc. wille w Ustroniu

Data	Ilość	Płatne w miejscu bez skonta.	Cena	Kwota	
				zl	gr
1930					
1/1	1	ścianka płowidriatowa 125 m i 188 m na 270 m w gory do posklepionia po jednej stronie płowidriatowa i chęta posklepionia i przy mocowaniu osklepionia		118	
				41	50
			razem	159	50

Zpoważaniem
Antoinette Małecka
otrzymatam kapitał
JKP



Rachunek wystawiony przez Jerzego Kozieła, właściciela tartaku
(z archiwum Antoniego Małeckiego, znajdującego się obecnie w posiadaniu ks. Antoniego Sapoty)

Jedną z osób, które w połowie lat 20. ubiegłego wieku dostrzegły nie tylko klimatyczno-krajobrazowe walory Ustronia, ale także perspektywy jego rozwoju jako uzdrowiska był Ryszard Stokłosa, urzędnik państwowy z Katowic, posiadający w tym mieście kilka nieruchomości przy ul. Francuskiej. W roku 1926 zakupił on w Ustroniu parcelę, położoną przy drodze powiatowej, naprzeciwko stawu kajakowego, oznaczoną numerem 444. W niecały rok później firma Jana i Juliusza Stritzkich ze Skoczowa rozpoczęła na parceli Ryszarda Stokłosa budowę willi z przeznaczeniem na pensjonat. Do końca 1928 r. ukończono w stanie surowym podpiwniczenie oraz jedno piętro. Całość oddano w roku 1930. Nowo powstała willa otrzymała nazwę „Antoinette”. W tym miejscu warto zaznaczyć, iż budowa willi i pensjonatów w latach 20. i 30. ubiegłego wieku była bodajże pierwszym w historii Ustronia okresem, w którym w stosunkowo krótkim czasie powstało tak wiele murowanych, nowoczesnych i ciekawych architektonicznie budynków. Obiekty te nie tylko zmieniły urbanistyczny charakter Ustronia (w którym prócz kilku obiektów sakralnych i prywatnych dominowała architektura przemysłowa, funkcjonalna lecz mało interesująca), ale przyczyniły się również do ożywienia gospodarczego miasteczka. Większość materiałów, elementów wyposażenia oraz usług związanych z ich powstawaniem dostarczana była przez tutejszych przemysłowców. Willa „Antoinette” nie stanowiła tu wyjątku. Drewno, stolarzę okienną i drzwi dostarczył Jerzy Kozieł, właściciel tartaku i stolarni¹, farby, pokost oraz część wyposażenia, w tym łóżka, Alfons Jamróż, właściciel handlu towarów kolonialnych, żelaznych i materiałów budowlanych². Prawdopodobnie jednymi z nielicznych elementów wyposażenia willi i jej ogrodu, sprowadzonymi spoza Ustronia, były zamówione u Augusta Hoffmana z Gniezna, drzewa owocowe³.



Urząd gminny w Ustroniu potwierdza, że
fotografia z odwrotnej strony przedstawia stan budowy
p. Ryszarda Stokłosa w Ustroniu w dniu dzisiejszym.
Ustroniu, dnia 12/XII 1928.

*Budowa willi „Antoinette”, 12 grudzień 1928 r.
Z tyłu fotografii urzędowe potwierdzenie
stanu budowy
(z archiwum A. Mateckiego, znajdującego się obecnie w
posiadaniu ks. A. Sapoty)*



Wkrótce po wybudowaniu willi, Ryszard Stokłosa przekazał ją swojej córce Elżbiecie, zamężnej z porucznikiem Antonim Małeckim⁴. Antoni urodził się w 1892 r. w Kobylicach, w powiecie Koźle, rejencji opolskiej. W roku 1912 został powołany do odbycia służby wojskowej w armii niemieckiej. W związku z wybuchem wojny pozostał w jej szeregach, w randze chorążego, aż do listopada 1918 r. W czasie plebiscytu na Górnym Śląsku pełnił, w randze porucznika, aktywną służbę jako polski przedstawiciel w Policji Plebiscytowej w Gliwicach. W tym czasie prawdopodobnie po raz pierwszy przybył jako dowódca oddziału Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska do Cieszyna. W maju 1921 r. wybuchło trzecie powstanie śląskie. W polskich szeregach powstańczych walczył również porucznik Antoni Małecki, który trzy miesiące wcześniej wziął ślub z Elżbietą. Po zakończeniu powstania i ostatecznej decyzji Rady Ligi Narodów o podziale Górnego Śląska, Gliwice, w których mieszkali Małeccy przypadły Niemcom. W zaistniałej sytuacji, Antoni i Elżbieta, przenieśli się na tereny włączone do Polski. Ostatecznie, dzięki pomocy niedawnego przełożonego z Policji Plebiscytowej kpt. Wybrańca, uzyskali mieszkanie w domu jego siostry, pani Królikowej, w Mysłowicach przy ul. Polnej 10. W 1922 r. Antoni Małecki został zatrudniony w Magistracie Miasta Mysłowice w charakterze dyrektora Głównej Kasy Miejskiej.



Antoni Małecki z żoną Elżbietą i córką Janiną.
W lewym górnym rogu zmarła w 1943 r. córka Maria
(z archiwum A. Małeckiego, znajdującego się obecnie w posiadaniu ks. A. Sapoty)

Prócz pracy zawodowej angażował się w działalność w wielu organizacjach zawodowych, kombatanckich i społecznych. W całym okresie międzywojennym działał aktywnie w: Związku Urzędników i Pracowników Komunalnych, Związku Obrony Kresów Zachodnich, Związku Powstańców Śląskich, Lidze Morskiej i Kolonialnej,

Polskim Czerwonym Krzyżu oraz Polskim Towarzystwie Tatrzańskim. Równocześnie był komendantem Obrony Przeciwlotniczej na miasto Mysłowice. Za swoją działalność w tym okresie został odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi oraz Brązowym Krzyżem Ligi Obrony Przeciwpowietrznej i Przeciwgazowej. W 1923 r. na świat przyszło pierwsze dziecko Małeckich, córka Janina. W dwa lata później rodzina powiększyła się o drugą córkę Marię.

Ustroń, 31. 5. 1933.

Mój panie,
Pan Małecki
Mysłowice

Mój panie ~~proszę~~ prowadzono mi już kilka razy
portretację i mi bardzo się podobało, w tym miejscu, na którym
proszę wystawić kilka fotek. Proszę uprzejmie o przypisanie
mi ceny za 1 mu z przeliczeniem kosztów spracowania.

Mój panie oczekiwaniu proszę
z poważaniem
„ELIOS”
Zakład art. fotograficzny
wł. J. Skora
USTROŃ, Śląsk Ciesz.
Józef Skora

Oferta Józefa Skory właściciela zakładu i studia fotograficznego „Elios”
(z archiwum A. Małeckiego, znajdującego się obecnie w posiadaniu ks. A. Sapoty)

Z chwilą wejścia w posiadanie willi „Antoinette” Małecy rozpoczęli starania o wynajęcie jej z przeznaczeniem na pensjonat. Zachowała się obszerna korespondencja prowadzona w tej sprawie przez Antoniego z różnymi instytucjami województwa śląskiego. W 1931 r. zwrócił się z propozycją wynajmu do Urzędu Gminy Wielkie Hajduki, Urzędu Opieki Społecznej w Katowicach oraz Magistratu Królewskiej Huty. W roku następnym skierował ofertę do Ogólnomiejskiej Kasy Chorych w Katowicach, zaś w roku 1933 do Kasy Chorych w Bielsku. Jednak pomimo początkowego zainteresowania kontrahentów, żadna z powyższych instytucji nie zdecydowała

się na wynajęcie willi. W maju 1933 r. Małeccy otrzymali niespodziewanie ofertę z Ustronia, od właściciela zakładu i studia fotograficznego „Elios” J. Skory⁵. W liście, skierowanym do Antoniego, zwracał się z prośbą o określenie warunków finansowych dzierżawy, bądź kupna miejsca pod wystawienie nowego zakładu fotograficznego. Jednak i to przedsięwzięcie nie doczekało się realizacji. W zaistniałej sytuacji Małeccy postanowili dzierżawić pensjonat osobom prywatnym, podpisując z nimi umowy na okres jednego sezonu. Z zachowanych dokumentów wynika, iż pierwszą dzierżawczynią, w roku 1933, była Janina Piętówna, po niej prawdopodobnie aż do 1939 r. willę „Antoinette” dzierżawiła Regina Zylbersztajnowa. Ciekawym jest fakt, iż zarząd nad większością ustrońskich pensjonatów w okresie międzywojennym sprawowały kobiety, często panny pochodzenia żydowskiego.

PENSJONAT**PENSJONAT**

WILLA „ANTOINETTE” W USTRONIU

pod zarządem R. ZYLBERSZTAJNOWEJ

Wykwintna kuchnia, na żądanie jarska i dietetyczna.

POLECA:

**Słoneczne, komfortowe pokoje z utrzymaniem, duża sala jadalna,
duży ogród, taras, łazienka, radio i telefon.**

Przedwojenna reklama willi „Antoinette”

(z archiwum A. Małeckiego, znajdującego się obecnie w posiadaniu ks. A. Sapoty)

Dotychczasowe opracowania traktujące o działalności ustrońskich pensjonatów w okresie międzywojennym opierały się głównie na materiale wspomnieniowym oraz nielicznych publikacjach prasowych i folderach reklamowych. Prezentują one wykaz willi i pensjonatów, ich właścicieli oraz nieliczne fakty z ich działalności. Jednak dzięki Antoniemu Małeckiemu oraz jego spadkobiercom, zachowało się do naszych czasów pokaźne archiwum pensjonatu „Antoinette”. Materiały te dotąd nie opracowywane i niepublikowane są nieocenionym źródłem dla poznania warunków i zasad funkcjonowania tutejszych pensjonatów i willi, stosunków pomiędzy właścicielami i zarządcami, a także stosunków tych dwóch grup z władzami gminnymi i powiatowymi.

Jak wspominałem wyżej Małeccy, jak i również inni właściciele ustrońskich pensjonatów, dzierżawili swoje nieruchomości. Podstawą tych transakcji były umowy dzierżawy. Na ich podstawie możemy zorientować się w zakresie działania pensjo-

natów oraz w relacjach pomiędzy właścicielami i zarządcami.⁶ W przypadku willi „Antoinette” umowa zawierana była na okres jednego sezonu, od maja do września. Koszt dzierżawy w roku 1938 wynosił 3.100 zł i był rozłożony na kilka rat. Dla porównania urzędnicza pensja Antoniego Małeckiego wynosiła w tym czasie ok. 500 zł miesięcznie. Z umowy właściciele wyłączyli pokój z kuchnią znajdujący się na parterze, jedno pomieszczenie magazynowe, komórkę na węgiel i drzewo oraz część kurnika. Pomieszczenia te były przeznaczone do ich wyłącznego użytku w czasie pobytu w Ustroniu. Kontraktem nie był objęty również ogród przylegający do budynku. Nie wolno było zrywać w nim owoców, kwiatów oraz wypuszczać do niego drobiu i innych zwierząt. Zgodnie z warunkami umowy dzierżawiony obiekt miał być przeznaczony na pensjonat, przy czym starania o odpowiednią koncesję miał podjąć dzierżawca, w tym przypadku pani Regina Zylbersztajn. W jej gestii pozostawało również opłacanie wszelkich podatków gminnych, państwowych oraz kosztów prądu. Koszty wody były objęte czynszem, przy czym właściciele mieli prawo korzystać z niej bezpłatnie. Do umowy dołączono spis inwentarza oraz jak to określono „bielizny hotelowej”, za które materialnie odpowiadał dzierżawca. Paragraf 9 umowy zaznaczał: Bieliznę wolno używać wyłącznie do celów przeznaczonych, a w szczególności nie wolno używać bielizny pościelowej do nakrywania stołów lub ocierania talerzy. Na stołach krzesłach i parapetach okiennych nie wolno stawiać naczyń do mycia i prania. Stołów z pokoi nie wolno wynosić na ogród. Wszelkie naprawy pensjonatu dzierżawca mógł przeprowadzać wyłącznie za zgodą właścicieli, pod warunkiem osobistego poniesienia kosztów i z zastrzeżeniem, iż wszystkie wbudowane elementy przechodzą nieodpłatnie na ich własność. W czasie trwania umowy Małecy mieli prawo dokonywania napraw budynku, przy czym o ich konieczności miała decydować, jak to określono, „władza policji budowlanej w Ustroniu”. Właścicielom przysługiwało również prawo dokonywania kontroli pensjonatu, celem zbadania stanu instalacji elektrycznej, wodociągowej i inwentarza. Dzierżawca miał obowiązek oddania obiektu wraz z opisanym inwentarzem najpóźniej ostatniego dnia, na który opiewała umowa. Wszelkie spory pomiędzy stronami miał rozstrzygać Sąd Rejonowy w Katowicach. Z zachowanych dokumentów wynika jednak, iż współpraca pomiędzy Małeckimi a Regimą Zylbersztajn przebiegała bezkonfliktowo, co owocowało corocznym odnawianiem umowy.

Po podpisaniu umowy z właścicielami dzierżawca występował do Starostwa Powiatowego w Cieszynie o zezwolenie na prowadzenie pensjonatu. Pracownicy Starostwa dokonywali wizji lokalnej, w wyniku której wydawano zezwolenie wraz z odpowiednimi uprawnieniami i zaleceniami dla dzierżawcy. W przypadku willi „Antoinette” pierwsze zezwolenie na prowadzenie w niej pensjonatu otrzymała Janina Piętowa⁷. Na decyzji czytamy: Na podstawie wyniku odbytego dnia 3 lipca 1933 r. komisijnego dochodzenia udzielam Pani zezwolenia władzy przemysłowej na prowadzenie pensjonatu z następującymi uprawnieniami: nocowanie gości, podawanie potraw, podawanie kawy, herbaty, czekolady i innych gorących orzeźwiających napoi (...) Za Starostę dr Zagóra. Pozwolenie to zostało wydane pod warunkiem dokonania przez Antoniego i Elżbietę Małeckich, jako właścicieli, szeregu poprawek budowlanych. Nadzór nad zaleconymi pracami starostwo zleciło Urzędowi Gminnemu w Ustroniu, jako właściwej władzy budowlanej. Powyższe zalecenia warte są przytoczenia, dają nam bowiem możliwość zapoznania się z wymaganiami stawianymi ustrońskim pensjonatom w okresie międzywojennym. Ściany kuchni musiały być wymalowane do

wys. 1,5 m jasną farbą olejną, a okno kuchenne zaopatrzone w siatkę drucianą. Zlewy musiały być żelazne, wewnątrz emaliowane. Ściany działowe piwnic, tworzące spiżarnię, należało podciągnąć do wysokości stropu, otrzcinać i otynkować oraz zaopatrzyć w szczelne drzwi. Strychy winny być oddzielone szczelnymi, obitymi blachą drzwiami. Zbiorniki wody znajdujące się na strychu powinny być szczelnie zaizolowane. W celu zapewnienia bezpieczeństwa sanitarnego gości studnie należało zabezpieczyć pokrywą betonową z wentylacją lub drewnianą zamykaną na kłódkę. Wodę ze studni należało poddawać okresowym badaniom bakteriologicznym, a wyniki badań przedstawiać w Starostwie.

Pensjonat „Antoinette” przyjmował gości w latach 1933-1938. Z zachowanych dokumentów nie udało się ustalić czy przyjął ich także w roku 1939. W ofercie znajdowało się zakwaterowanie w dużych słonecznych pokojach, smaczne posiłki, na żądanie także jarskie i dietetyczne, duża sala jadalna, ogród, taras, łazienka, radio i telefon. Na wyposażeniu willi znajdowało się również orzechowe pianino firmy Steinberg, po wojnie „znacjonalizowane” i wywiezione do Społecznego Ogniska Muzycznego w Skoczowie⁸. Wewnętrzne życie pensjonatu regulował Regulamin ustanowiony przez zarząd. Goście przybywający do willi byli zobowiązani w ciągu 12 godzin zgłosić się do zarządu w celu zameldowania w Urzędzie Gminnym. Chęć odbycia dalszych wycieczek należało zgłosić z jednodniowym wyprzedzeniem, celem przygotowania zapasów turystycznych zamiast posiłków w pensjonacie. Śniadania podawano od godz. 8-9 oraz 9-10, obiady 13-15, podwieczorki 16-16,30, kolacje 20-21. Bez względu cisza obowiązywała pomiędzy godz. 14-16 oraz od 22 do 7 rano. W tych samych godzinach nie wolno było również dzwonić na służbę. Służby nie wolno było wysyłać poza

obrub pensjonatu bez zezwolenia zarządcy. Za otwarcie bramy po godz. 23 portierowi należało wypłacić dodatkowe wynagrodzenie. Najciekawszym punktem Regulaminu był paragraf 23 zabraniający wywoływania i kąpienia klisz fotograficznych w pokojach. Personel pensjonatu podlegał również restrykcyjnym wymaganiom, do których

REGULAMIN.

1. Osoby przybywające do willi obowiązane są zgłosić się do Zarządu w przeciągu 12 godzin, celem zameldowania w Urzędzie Gminnym.
2. Opłatę za mieszkanie i utrzymanie należy uiszczać co 10 dni z góry.
3. Wypowiedzenie pokoju zgłosić należy na 3 dni naprzód.
4. Za usługę dolicza się 10%, od rachunku.
5. Dalsze wycieczki należy zgłaszać do Zarządu w przeddzień wyjazdu do godz. 16-ej, celem przygotowania zapasów turystycznych zamiast posiłków w pensjonacie.
6. Za wszelkie uszkodzenia przechodzące za zakres zwykłego użytkowania, jak zniszczenie i splamienie mebli, zbitcie naczyń i lustra, wbijanie gwoździ w ścianę i t. p. płaci gość odpowiednio odszkodowanie.
7. Służby poza obręb pensjonatu bez zezwolenia Zarządu wysyłać nie wolno.
8. Za pieniądze i kosztowności niezłożone w Zarządzie za pokwitowaniem, Zarząd nie odpowiada.
9. Używanie wszelkiego rodzaju maszynki do gotowania surowo wzbronione.
10. Uprasza się na korytarzach i w pokojach zachować bezwzględny spokój od godz. 14-16 i od godz. 22-7 rano.
11. Nie dzwonić na służbę od 22-7.
12. Opuszczając pokój, klucz zostawić w Zarządzie, a wieczorem zgłosić światło.
13. Mebli pokojowych i pościeli nie wolno wynosić na balkon ani przenosić z pokoju do pokoju.
14. Nie zmieniać urządzenia pokoju bez uprzedniego zawiadomienia Zarządu.
15. Wrzucanie starych przedmiotów do muszli wodociągowej surowo wzbronione.
16. Wszelkie zażalenia wnosić wprost do Zarządu.
17. Za otwarcie bramy po godz. 23 należy się portierowi osobne wynagrodzenie.
18. Uprasza się o ciche otwieranie i zamykanie drzwi.
19. Uprasza się o ścisłe przestrzeganie przepisów.
20. Rozkład posiłków: śniadanie I. od 8-9, śniadanie II. od 9-10 obiad od 13-15, podwieczorek od 16-16³⁰, kolacja od 20-21.
21. Wszelkie urządzenia tak w pokojach jak i innych dla użytku P. T. Gości przeznaczonych ubikacjach, należy utrzymywać w najlepszym porządku, kładąc się na łóżko uprasza się odwijać kółkę i kłepę.
22. Podczas wiatru lub deszczu nie zostawiać otwartych drzwi balkonowych i okien.
23. Nie wywoływać ani kąpać fotografi w pokojach.

Zarząd.

Regulamin willi „Antoinette”

(z archiwum A. Maleckiego, znajdującego się obecnie w posiadaniu ks. A. Sapoty)

należał obowiązek uzyskania odpowiedniego świadectwa zdrowia wystawionego przez lekarza powiatowego. Na jednym z zachowanych zaświadczeń wystawionych przez dr J. Heczko czytamy: Stwierdza się, iż pokojowa pani Molówna nie jest objęta chorobą weneryczną, zaraźliwą ani żadną odrażającą chorobą skórą⁹.

Pensjonat „Antoinette” działał bez większych zakłóceń do jesieni 1938 r. Jednak w związku z coraz bardziej zaogniającym się konfliktem polsko-czesko-słowackim o Zaolzie, we wrześniu 1938 r. marszałek Edward Rydz-Śmigły wydał rozkaz sformowania Samodzielnej Grupy Operacyjnej Śląsk. Sztab grupy zlokalizowano w Skoczowie, natomiast wojsko rozlokowano w okolicznych miejscowościach. W związku z potrzebą zakwaterowania dużej liczby wojska, przełożony Gminy Ustroń wystosował pisma do właścicieli pensjonatów i willi, w których informował: Wobec możliwości zaistnienia konieczności zakwaterowania wojska proszę właścicieli budynków, którzy nie mieszkają w Ustroniu o odwrotne zapodanie do tutejszego Urzędu Gminnego nazwiska administratora budynku, posiadającego klucze do lokali podlegających zajęciu na przejściowe zakwaterowanie wojska. Administrator winien także wykonać zarządzenia wydane przez Urząd Gminy w związku z obroną ogniową i przeciwgazową¹⁰. Zarządzenie to wydane w Ustroniu 28 lipca 1938 r. przez naczelnika gminy Jana Nowaka nakazywało uprzętnąć strychy budynków z wszelkich materiałów łatwopalnych i zaopatrzyć je w materiały i sprzęt przeciwpożarowy (skrzynie z piaskiem, łopaty, naczynia z wodą, siekiery, bosaki) zdalny do natychmiastowego użytku¹¹. Z racji, iż umowa dzierżawy na rok 1938 opiewała do dnia 15 października, za wykonanie odpowiednich zarządzeń została odpowiedzialna zarządczyni willi pani Regina Zylbersztajn. Państwo Małeccy sprawowali pośredni nadzór na zaleceniami przy pomocy swojego przedstawiciela w Ustroniu pana Palowicza. Napięte wydarzenia końca 1938 i początku 1939 r. były niestety tylko zapowiedzią o wiele większej tragedii, która miała swój początek we wrześniu 1939 r. Ustrońska willa „Antoinette” już nigdy nie miała przyjąć gości, a jej historia jako pensjonatu dobiegła końca.

Wojenne losy Antoniego i Elżbiety Małeckich były typowe dla większości Ślązaków, którzy nie bali się odważnie zademonstrować swojej polskości. Na początku września Antoni Małeckie został ewakuowany wraz z Zarządem Miasta Mysłowice na wschód. Dostał się w okolice Równego, a następnie do Przemyśla. Do domu powrócił w ostatnich dniach grudnia. Wezwany do podpisania Volkslisty wraz z żoną przyjął DVL IV, która przyznawana była osobom pochodzenia niemieckiego, lecz spolonizowanym, przed wojną zamieszkanym nawet w antyniemiecką działalność. W styczniu 1940 r. został zatrudniony jako kierownik kasy w Zarządzie Miasta Jaworzna. Jednak już w kwietniu 1940 r. za udział w powstaniu i pracę plebiscytową został aresztowany w mieszkaniu swoich teściów w Katowicach i przewieziony do prowizorycznego obozu w Fabryce Schoena w Sosnowcu. W maju przetransportowano go do obozu w Dachau, a ostatecznie, w czerwcu trafił do bloku 18 obozu Mauthausen-Gusen, gdzie otrzymał numer 7803. W tym czasie rodzina pozostała w Mysłowicach żyła w bardzo ciężkich warunkach materialnych. Aby utrzymać matkę i chorującą siostrę Marię, Janina podjęła pracę w prywatnym Domu Sanitarnym w Katowicach. Nie kontynuowała nauki, maturę zdała dopiero w 1945 r. w wyzwolonej Polsce. Pomimo ciężkich warunków w domu żona i córki starały się wspomóc męża i ojca paczkami żywnościowymi, o co musiały wnosić specjalne prośby na piśmie. We wrześniu 1942 r. Antoni Małeckie został zwolniony z obozu i powrócił do domu w Mysłowicach. Jednak zarówno jemu jak i jego córkom nadal groziło niebezpieczeństwo.

Powiadomiono ich, że znajdują się na liście osób wytypowanych do wywiezienia na przymusowe roboty do Rzeszy. Jednak dzięki pomocy znajomej Marii Reis uniknęli wywózki. Również dzięki pomocy życzliwych osób w listopadzie 1942 r. Antoni Małecki znalazł zatrudnienie w Grundstückgesellschaft w Katowicach przy obliczaniu zarobków. Pracował tam aż do wyzwolenia. Gdy sytuacja zaczęła się uspokajać na rodzinę spadła kolejna tragedia. W wyniku długotrwałej choroby, w listopadzie 1943 r. zmarła młodsza córka Małeckich, Maria. Początek 1945 r. przyniósł Polakom mieszkającym na Śląsku długo wyczekiwaną wolność. Jednak zakończenie wojny nie dla wszystkich było zakończeniem strachu, szykan i upokorzeń. W marcu 1945 r. Antoni Małecki stanął przed Komisją Weryfikacyjną, gdzie musiał się tłumaczyć zarówno ze swojej działalności przedwojennej jak i losów wojennych. Został zwerifikowany pozytywnie. Już miesiąc wcześniej, ze względu na swoje doświadczenie i kwalifikacje, został zatrudniony w Śląskim Urzędzie Wojewódzkim w Wydziale Samorządowym. Po kilku dniach, decyzją wojewody został mianowany Naczelnikiem Wydziału Finansów w Zarządzie Miejskim Katowic. Oprócz pracy zawodowej, podobnie jak w okresie międzywojennym, angażował się w działalność społeczną. W sierpniu 1945 r. Rada Naczelna Związku Byłych Więźniów Ideowo-Politycznych z lat 1939-1945 w Krakowie wyraziła zgodę na utworzenie oddziału śląsko-dąbrowskiego. Antoni Małecki został wybrany skarbnikiem Zarządu Wojewódzkiego. Również od 1945 r. pełnił funkcję skarbnika w Prezydium Komitetu Budowy Pomnika „Czynu Powstańczego” na Górze św. Anny. Ta praca, w świetle zachowanych dokumentów, leżała mu szczególnie na sercu. We wrześniu 1953 r. w wieku 61 lat, Antoni Małecki został przeniesiony w stan spoczynku. Za swoją pracę zawodową i społeczną otrzymał: Srebrny Krzyż Zasługi (1946), Śląski Krzyż Powstańczy (1947), a w 1968 r. Rada Państwa odznaczyła go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Po przejściu na emeryturę, w 1954 r., Antoni Małecki przeniósł się na stałe do Ustronia. Jednak pomimo zajmowanego do niedawna stanowiska, pełnienia wielu odpowiedzialnych funkcji, odznaczeń i osobistych znajomości z wieloma ówczesnymi dygnitarzami, m.in. z gen. Jerzym Zientkiem, zajmował jedynie jeden pokój z kuchnią w swojej przedwojennej willi. Żona Antoniego, Elżbieta przyjechała do Ustronia rok wcześniej, a córka Janina zamieszkała tu już w roku 1951. Początkowo Elżbieta Małecka, a później Janina pełniły funkcję administratora upaństwowionej willi, w której dokwaterowanych było jeszcze kilka rodzin (Jan Stec, Robert Czyż i Petronela Musiał)¹². Z czasem stan zdrowia żony znacznie się pogorszył, a Antoni Małecki corocznie wystosowywał prośbę do Referatu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Ustroniu o przydział dodatkowego pokoju. Pomimo trudności związanych z warunkami mieszkaniowymi, chorobą żony i niedogodnościami komunikacyjnymi, nadal aktywnie uczestniczył w pracach związanych z budową Pomnika „Czynu Powstańczego”. Podczas uroczystości jego odsłonięcia znalazł się wśród gości honorowych. W 1961 r. zmarła Elżbieta Małecka z domu Stokłosa. Została pochowana obok córki Marii na cmentarzu katolickim przy ul. Francuskiej w Katowicach. W kilka lat później, w tym samym grobowcu, pochowano Antoniego Małeckiego.

I choć obecnie większość przedwojennych willi i pensjonatów nie pełni już swojej pierwotnej funkcji, są one jednak nadal wyróżniającymi się elementami na architektonicznej mapie miasta, a równocześnie namacalnym świadectwem jego kuracyjno-uzdrowiskowej tradycji.



Kwiecień 2007 r. Willa „Antoinette” – współcześnie. Obecnie Niepubliczne Przedszkole „Chatka Puchatka” w Ustroniu przy ul. 3 Maja 24 (fot. K. Heczko)

¹ Rachunek wystawiony przez Jerzego Kozła 2 VIII 1930 r. Wszystkie dokumenty oraz zdjęcia wykorzystane w powyższym tekście pochodzą z prywatnego archiwum Antoniego Małeckiego (dalej AAM), znajdującego się obecnie w posiadaniu ks. Antoniego Sapoty.

² AAM, rachunek wystawiony przez Alfonsa Jamróza 23 V 1933 r.

³ AAM, pismo z dnia 9 XI 1934 r.

⁴ Więcej na temat rodziny Małeckich w: Przemysław Korcz „Śląskie drogi – wspomnienie o Antonim Małeckim”, Kalendarz Ustroński 2007, str. 74-80.

⁵ AAM, pismo J. Skory do A. Małeckiego z dnia 31 V 1933 r.

⁶ AAM, umowa dzierżawy zawarta pomiędzy Elżbietą Małecką a Reginą Zylbersztajn 22 V 1938 r.

⁷ AAM, zezwolenie Starostwa Powiatowego w Cieszynie na prowadzenie pensjonatu Nr. G-4/87 z dnia 7 VII 1933 r.

⁸ AAM, potwierdzenie odbioru pianina nr 18301 z nieruchomości położonej w Ustroniu przy ul. 1 Maja 21 z dnia 12 X 1964 r.

⁹ AAM, dokument z dnia 22 VII 1937 r.

¹⁰ AAM, pismo Przełożenia Gminnego w Ustroniu z dnia 26 IX 1938 r.

¹¹ AAM, Ogłoszenie naczelnika Gminy Ustroń z dnia 28 VII 1938 r.

¹² W 2003 r. Janina Małecka, córka Antoniego, zgodnie z testamentem przekazała odzyskaną wcześniej willę nr 24 przy ul. 3 Maja proboszczowi parafii rzymskokatolickiej w Ustroniu. Obecnie w budynku mieści się Niepubliczne Przedszkole „Chatka Puchatka”.



Mgr Przemysław Korcz – farmaceuta, mieszkaniec Ustronia. Pracownik ustrońskiej apteki „Pod Najadą”. Członek Rady Beskidzkiej Okręgowej Izby Aptekarskiej, redaktor naczelny „Biuletynu Beskidzkiej Izby Aptekarskiej”. Autor wielu artykułów historycznych dotyczących Ustronia. Od 2005 r. członek Towarzystwa Miłośników Ustronia.

Bożena Kubień

„Relijanka” – willa słońcem zdobiona

Międzywojnie było czasem wielkich zmian technologicznych, społecznych i politycznych. Lansowano modny, nowoczesny styl życia, dodatkowo popularyzowany przez reklamy, foldery i czasopisma, docierające do szerokiego kręgu odbiorców. Promowano wystawy krajowe, rodzime firmy i produkty, akcje charytatywne, wydarzenia kulturalne, a także uzdrowiska.

Pensjonat „Relijanka” - Ustroń

poleca

piękne pokoje słoneczne z utrzymaniem. Kuchnia zdrowa

Reklama pensjonatu „Relijanka” pochodząca z prospektu „Zdrojowiska i uzdrowiska Beskidu Zachodniego” z 1939 r. (z archiwum Muzeum Ustrońskiego).

W 1939 roku, nakładem krakowskiego wydawnictwa „Polski Znicz”, ukazał się bezpłatny prospekt pt. „Zdrojowiska i uzdrowiska Beskidu Zachodniego”, zawierający informacje reklamowe o dwudziestu czterech wybranych ustrońskich willach i pensjonatach. Folder, jak każda tego typu broszura, istotny był dla promocji uzdrowiska, lecz z racji swojej objętości wszystko traktował w sposób bardzo wybiórczy. Pod koniec lat 30. ubiegłego stulecia w Ustroniu działało bowiem ponad siedemdziesiąt tego typu budynków letniskowych. We wspomnianym, przedwojennym prospekcie zetknęłam się z anonsem o następującej treści: *Pensjonat „Relijanka” – Ustroń poleca piękne pokoje słoneczne z utrzymaniem. Kuchnia zdrowa.*

Pierwszymi właścicielami willi byli Maria i Jan Kołderowie.



Maria Kołder z domu Kożusznik (1896-1979), lata 30. XX w. (fot. z archiwum rodzinnego Janiny i Pawła Gogólków)



Jan Kołder (1890-1974) – komendant Policji Państwowej w Ustroniu w latach 1924-1939, zdjęcie z lat 30. XX w. (fot. z archiwum rodzinnego J. i P. Gogólków)

Jan Kołder pochodził z Błędowic Dolnych na Zaolziu. Urodził się 16 listopada 1890 r., w domu nr 42, w rodzinie wielodzietnej. Był najstarszym z piętnaściorga dzieci Bernarda Kołdera (ur. 3 maja 1865 r., zm. 28 maja 1947 r.) i Janiny z domu Jeleń (ur. 1 czerwca 1870 r., zm. ok. 1950 r.).

Jego ojciec – kowal z zawodu, pracował na kopalni w Suchej na Zaolziu, natomiast matka zajmowała się gospodarstwem domowym i wychowywaniem liczного potomstwa. W Błędowicach Dolnych Jan ukończył szkołę powszechną.

W czasie I wojny światowej służył w wojsku austriackim, gdzie uzyskał stopień wojskowy zapewniający mu pierwszeństwo do zajmowania stanowisk państwowych w życiu zawodowym, w tym między innymi żandarma, milicjanta czy też policjanta. Z tą ostatnią funkcją Jan Kołder związał swoją dalszą karierę zawodową.

Tymczasem, po walkach Polaków z Czechami o Śląsk Cieszyński, w styczniu 1919 r. czyniono przygotowania do plebiscytu, który miał się odbyć w połowie 1920 r. i ostatecznie zdecydować o dalszych losach spornego terytorium. Podczas tych przygotowań Jan Kołder pełnił funkcję komendanta żandarmerii polskiej w Dąbrowie i Lutyni Polskiej na Zaolziu. Jednakże ostateczne rozstrzygnięcie „sprawy cieszyńskiej” zapadło w Paryżu 28 lipca 1920 r., po niekorzystnej dla Polski decyzji Rady Ambasadorów.

Dwa miesiące wcześniej, 27 kwietnia 1920 r., Jan Kołder zawarł związek małżeński z Marią Kozusznik, urodzoną 26 stycznia 1896 r. w Suchej Średniej, również na Zaolziu. Warto tutaj nadmienić, iż Kozusznikowie spokrewnieni byli z rodziną Bystroniów, z której wywodzili się dwaj słynni uczeni – językoznawca dr Jan Bystron (ur. w Datyniach Dolnych 13 czerwca 1860 r., zm. w Krakowie 30 czerwca 1902 r.) oraz jego syn – etnograf prof. Jan Stanisław Bystron (ur. w Krakowie 20 grudnia 1892 r., zm. w Warszawie 18 listopada 1964 r.).

Począwszy od kwietnia 1919 r. dokonywał się na terenach II Rzeczypospolitej proces zjednoczenia policji. Najpierw połączono Milicję Ludową z Policją Komunalną, a kilka miesięcy później wprowadzono ustawę o Policji Państwowej, stwarzającą podstawę prawną do zorganizowania jednolitej polskiej instytucji policyjnej. Wspomniany proces zespoleniowy zakończył się w połowie 1920 r. W tym właśnie czasie Jan Kołder dostał powołanie na stanowisko komendanta policji w Istebnej, które następnie sprawował przez cztery lata. W Istebnej przyszły na świat dwie córki Marii i Jana Kołderów – starsza Aurelia, urodzona 16 września 1921 r., oraz młodsza Janina, urodzona 16 lutego 1923 r.

W 1924 r. Jan Kołder został komendantem Policji Państwowej w Ustroniu. Funkcję tę pełnił przez 15 lat, do 1939 r. Przeniesienie to spowodowało, że rodzina Kołderów (oprócz Aurelii) związała z naszą miejscowością swoje dalsze życie rodzinne i zawodowe.

W okresie międzywojennym ustroński posterunek policji znajdował się w budynku przy ówczesnej ul. Głównej 59 (obecna ul. 3 Maja 13), wzniesionym około 1870 r. przez zarząd miejscowej huty. Funkcjonowała tam, podobnie jak dzisiaj, apteka „Pod Najadą”, do której wejście znajdowało się wtedy na ścianie bocznej domu, od strony południowej. Drzwi wejściowe do biura policji umiejscowione były od frontu obiektu, natomiast pozostałe lokale tej instytucji zajmowały lewą stronę kamienicy. Tam właśnie między innymi mieściło się mieszkanie służbowe (dwa pokoje z kuchnią), przeznaczone dla rodziny komendanta policji, które, do wybuchu II wojny światowej, zamieszkiwali Maria i Jan Kołderowie z córkami.



1924 r. Przed posterunkiem policji w Istebnej. W drugim rzędzie pierwszy z lewej stoi Jan Kolder. Przed nim, w pierwszym rzędzie, siedzi jego żona Maria wraz z córkami, starszą – Aurelią i młodszą – Janiną (fot. z archiwum rodzinnego J. i P. Gogólków)

Warto zaznaczyć, iż rodzice ustrońskiego komendanta – Janina i Bernard Kołderowie, mieli dwóch synów policjantów. Zawód ten wykonywał również młodszy brat Jana – Józef Kolder, urodzony w Błędowicach Dolnych 6 grudnia 1895 r. Pracował on głównie na Zaolziu, ale też i w Bielsku. W czasie okupacji Józef Kolder, będący w stopniu starszego przodownika Policji Województwa Śląskiego, dostał się do niewoli radzieckiej. Zginął w Miednoje, rozstrzelany w 1940 r.

Powróćmy do lat międzywojennych. Województwo śląskie, w obrębie którego leżał Ustroń, wykazywało podówczas najwyższy standard życiowy w kraju. Za sprawą polityki rozwoju regionu, prowadzonej przez wojewodę śląskiego dr. Michała Grażyńskiego (ur. w 1890 r., zm. w 1965 r.) – autora koncepcji rozbudowy i unowocześnienia Beskidu Śląskiego, na teren naszej miejscowości zaczęły wchodzić nowoczesne formy cywilizacyjne, a jednym z pierwszych ich sygnałów było doprowadzenie kolei do Polany, co nastąpiło w 1928 r. Inwestycja ta, wraz z budowaną w tym czasie drogą asfaltową, wydatnie usprawniła komunikację i łączność Ustronia z Katowicami oraz innymi miastami, skąd oczekiwano potencjalnych kuracjuszy.

W tym właśnie okresie w miasteczku zaczęły dokonywać się zasadnicze przemiany urbanistyczne, których unaocznieniem było zakrojone na szeroką skalę budownictwo indywidualne. Wśród urzędników, nauczycieli, bankowców, lekarzy, prawników *etc.*, czyli ludzi stanowiących ówczesne elity społeczne Ustronia, zapanowała moda na posiadanie własnej dużej willi i zarazem pensjonatu. W ten dosyć powszechny trend postanowili wpisać się również Maria i Jan Kołderowie.

Około 1932 r. zakupili od rodziny Banszlów parcelę, na której trzy lata później, w 1935 r., stanął dom zaprojektowany i wzniesiony przez firmę ustrońskiego budowniczego Jana Hanusa. Nazwano go – willą „Relijanka” – od imion córek właścicieli. W założeniach miała to być rodzinna posiadłość, użytkowana tylko w sezonie letnim jako pensjonat. Z chwilą wybuchu II wojny światowej stała się dla rodziny Kołderów stałym miejscem zamieszkania.



Willa „Relijanka” fotografowana przez Józefa Skorę zimą 1934 r., w okresie, kiedy ukończono jej budowę (fot. z archiwum rodzinnego J. i P. Gogółków)



Willa „Relijanka”, 1938 r. Na zdjęciu autorstwa Józefa Skory widoczne w oddali, od prawej strony: pogórek Kopieniec oraz tzw. Wyrchowina. Budynek na drugim planie to pensjonat „Jutrzenka” nauczyciela Karola Szwierki (fot. z archiwum rodzinnego J. i P. Gogółków)

Projekt obiektu nawiązywał do modnego w okresie międzywojennym układu architektonicznego. Główną dekorację „Relijanki” stanowiły tzw. słoneczka zakopiańskie, występujące w narożach trójkątnych szczytów poddasza, gdzie usytuowana została piętrowa część pensjonatu. Ciekawym dopełnieniem architektury willi był także, wkomponowany w jej wschodnią elewację, pięciokątny występ, w którym usytuowano werandę, zwieńczony tarasem z modernistyczną, żelazną balustradą. Wspomniana weranda spełniała także rolę małej jadalni, mieszczącej dwa, trzy stoliki.

W latach 1935-1937 „Relijankę” dzierżawiła Żydówka – Zofia Goldzweig, płacąc za wynajem tzw. czynsz umowny. Z jej to inicjatywy w sezonach letnich, trwających od 15 maja do 1 października, dom zapelniał się kuracjuszami i letnikami, głównie inteligencją żydowską z okolic Katowic, Będzina oraz Łodzi.

Pensjonat „Relijanka” dysponował 7 pokojami, w związku z czym jednorazowo mógł pomieścić od 15 do 20 gości.

W bieliznę pościelową zaopatrywano się w Bielsku. Część parterową domu zajmowały również jadalnia oraz weranda. W willi nie było centralnego ogrzewania, a niektóre pokoje ocieplały nowoczesne, bardzo ekonomiczne w eksploatacji piece „Watra” i „Znicz”, produkowane w miejscowej fabryce „Brevillier i Ska & A. Urban Synowie” na licencji jednej z firm wiedeńskich. Do budynku doprowadzony był wodociąg. Zimną wodę czerpano z hydroforów, zainstalowanych w przedpokojach zarówno na parterze, jak i na piętrze. Miednice i dzbanki spełniały natomiast rolę umywalki.

Maria Bukowczanowa z domu Troszok zatrudniona była w „Relijance” jako pokojówka i kelnerka. Pracowały z nią także dwie inne panie – kucharka i podkuchenna.

W latach 1938-1939 Maria Kołder samodzielnie już zajmowała się prowadzeniem pensjonatu. Zofia Goldzweig natomiast, począwszy od 1 czerwca 1939 r., swoją działalność przeniosła do nowo wzniesionej willi „Lotos” Anny i Pawła Lipowczanów, zlokalizowanej przy obecnej ul. Pięknej 8.

We wrześniu 1939 r. rodzina Kołderów została zmuszona do opuszczenia dotychczasowego mieszkania służbowego, ustroński posterunek zajęła bowiem niemiecka policja. Maria Kołder zamieszkała wraz z nastoletnimi córkami w willi „Relijanka”, natomiast Jan Kołder wyruszył na wojnę. W rejonie Podola po raz ostatni dane mu było widzieć się z młodszym bratem – Józefem, którego, jak już wspomniałam wcześniej, rozstrzelano w Miednoje w kilka miesięcy po tym spotkaniu.

Jan Kołder powrócił zaś do Ustronia – w tej ewakuacji pomogła mu nieznaczną znajomość języka niemieckiego – i rozpoczął pracę w miejscowym Wydziale Gminnym w charakterze ubezpieczyciela. Po wyzwoleniu był tam nadal zatrudniony, pracując w kasie do 1950 r., czyli do czasu przejścia na emeryturę.



1 lutego 1942 r. Rodzina Kołderów w willi „Relijanka” w bożonarodzeniowej scenerii. Na zdjęciu właściciele domu – Maria i Jan Kołderowie wraz z córkami – Aurelią (z lewej) i Janiną (z prawej)
(fot. z archiwum rodzinnego J. i P. Gogólków)

Natomiast siostry – Aurelia i Janina Kołderówne, czyli Relka i Janka, od imion których wzięła się nazwa willi „Relijanka”, w drugiej połowie lat 40. ubiegłego stulecia wyszły za mąż. Starsza – Aurelia poślubiła w 1946 r. Stanisława Żabę, kuzyna Władysława Kośmidra – właściciela apteki „Pod Najadą” i niedługo potem na zawsze wyjechała z Ustronia. Jak już wspomniałam wcześniej, w latach międzywojennych apteka oraz posterunek policji mieściły się w tym samym budynku, tam też Aurelia poznała swojego przyszłego męża. Stanisław Żaba był zatrudniony wówczas w ustrońskich zakładach kuźniczych. Później, krótko, pracował w Opolu, by w końcu osiąść wraz z żoną na stałe w Krakowie, w związku z podjęciem zatrudnienia w dziale elektrycznym uruchomionej w połowie lat 50. XX wieku Nowej Huty.

Młodsza zaś córka Marii i Jana Kołderów – Janina w 1947 r. wyszła za mąż za ustrońiaka Pawła Gogółkę (ur. 3 marca 1920 r.).

Tuż przed wybuchem II wojny światowej, w 1939 r., pani Janina ukończyła Gimnazjum im. Antoniego Osuchowskiego w Cieszynie. Pracowała między innymi jako sekretarka medyczna w Śląskim Szpitalu Reumatologicznym w Ustroniu Zawodziu, skąd, w 1983 r., przeszła na emeryturę.

Pan Paweł, technik z wykształcenia, większość swojego życia zawodowego związał ze swoją rodzinną miejscowością. Był długoletnim pracownikiem Kuźni Ustronń, a w latach 1945-1949 oraz 1958-1964 prowadził prywatną działalność jako rzemieślnik – modelarz odlewniczy. Od 1980 r. przebywa na emeryturze.

Podczas okupacji, od maja 1944 r. do kwietnia 1945 r., Paweł Gogółka więziony był w obozach koncentracyjnych w Cieszynie i Mysłowicach, a następnie w Gross-Rosen, Funfterchen oraz Flossenburgu. Obecnie działa w organizacjach kombatanckich, m.in. pełni funkcję prezesa Związku Więźniów Politycznych i wiceprezesa Związku Inwalidów Wojennych.

Janina i Paweł Gogółkowie, mieszkając w rodzinnej willi, do końca lat 50. ubiegłego stulecia zapraszali w progi „Relijanki” stałych gości, kontynuując tym samym jej przedwojenne, pensjonatowe tradycje. W dekadzie 1948-1958 pokój na piętrze willi każdego lata wynajmowali Irena i Stanisław Wiśniewscy z Warszawy, profesorowie tamtejszej Akademii Rolniczej. Zapamiętani zostali jako bardzo kulturalne, bezdzielne małżeństwo, zafascynowane ziemią cieszyńską, którą wtedy rokrocznie odwiedzali. To umiłowanie naszych stron związało ich na zawsze z Ustroniem, bowiem państwo Wiśniewscy zostali pochowani na miejscowym cmentarzu katolickim.

Do stałych gości willi „Relijanka” zaliczał się wtedy także doktor Jan Głajcar (ur. w 1932 r., zm. w 1984 r.), specjalista chorób wewnętrznych Szpitala Śląskiego w Cieszynie, wypoczywający tutaj z rodziną.

W połowie lat 50. XX wieku przedwojenny, ponad dwudziestoletni wówczas budynek willi uległ przebudowie, w wyniku której na zawsze utracił swój pierwotny, modernistyczny wygląd. Pięciokątny występ – werandę zaadaptowano na garaż, natomiast dawny taras został zabudowany, a w jego miejscu powstał dodatkowy pokój.

Janina i Paweł Gogółkowie mieszkali wraz z rodziną w willi „Relijanka” do 1975 r. Następnie, po uprzednim podziale majątku z siostrą pani Janiny – Aurelią, dom został sprzedany.

W latach 70. ubiegłego stulecia odeszli pierwsi właściciele przedwojennego pensjonatu, od których cała opisana wyżej historia się zaczęła. Jan Kołder zmarł 6 sierpnia 1974 r., a jego małżonka Maria pięć lat później – 9 września 1979 r.

18 września 1996 r. zmarła i została pochowana w Krakowie ich starsza córka – Aurelia Żaba.

Losy tego domu dane mi było poznać w sierpniu 2005 r., kiedy to miałam przyjemność wysłuchać wspomnień Janiny i Pawła Gogólków. To im przyszło ocalić od zapomnienia tę historię. Oni też pieczołowicie przechowują rodzinne fotografie, na których zachował się dawny obraz „Relijanki” – willi słońcem zdobionej.



Luty 2007 r. Willa „Relijanka” – współcześnie. Dom przy ul. 9 Listopada 14 widnieje w ewidencji zabytków miasta Ustroń pod pozycją 254 (fot. Dominik Konarzewski)

Wykaz źródeł:

Relacja Janiny (z domu Kolder) i Pawła Gogólków.

Dziesięciolecie Polski Odrodzonej. Księga pamiątkowa 1918–1928. Wydawca i redaktor naczelny: Marian Dąbrowski,

Wydawnictwo i nakład „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, „Światowida”, „Na Szerokim Świecie”, Kraków – Warszawa 1928, s. 140-141, 321-328.

Zdrojowiska i uzdrowiska Beskidu Zachodniego. Bezpлатny prospekt. Wydawnictwo „Polski Znicz”. Kraków 1939.

J. Gogółka: *Ze wspomnień córki policjanta*. „Kalendarz Ustroński 2004”. Ustroń 2003, s. 92-93.

J. Golec, S. Bojda. Słownik Biograficzny Ziemi Cieszyńskiej. T.1. Cieszyn 1993, s. 58-59, 108-109.

Wspomnienia pracowników Kuźni w Ustroniu. Red. L. Szkaradnik. Ustroń 2002, s. 48-49.

J. Chlebowczyk. Dwa wieki Kuźni Ustroń. Katowice 1972, s. 170.

E. Chojecka: *Pomiędzy historią a nowoczesnością. Treści ideowe Zamku Prezydenta RP w Wiśle*. W: Zamek Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w Wiśle. Red. J. Purchla. Kraków 2005, s. 19-20.

J. Pilch. Ustroń 1939-1945 (Przyczynek do dziejów ludności miasta w okresie wojny i okupacji). Ustroń 1978, s. 94.

H. Żyromska: *Willa „Lotos”*. „Kalendarz Ustroński 2002”. Ustroń 2001, s. 163-165.

Bożena Kubień

Była kiedyś w Ustroniu willa „Jasna”...

Była kiedyś w Ustroniu willa „Jasna”. Stała w centrum miasteczka otoczona gęstą, stwarzającą atmosferę sielskości, zielenią ogrodu. Okazały, piętrowy dom z poddaszem użytkowym, zaprojektowany przez Jana Hanusa, stanowił jeden z licznych przykładów międzywojennych realizacji ustrońskiego budowniczego. Historia willi sięga drugiej połowy lat 30. ubiegłego stulecia – jej budowa została zakończona w 1937 r. Przez ponad trzydzieści lat, do 1968 r., „Jasna” należała do rodziny Drobczyńskich – Klemensa i jego małżonki Józefy z domu Kozok.



Willa „Jasna”. Lata 50. XX w. (fot. z archiwum rodzinnego Eugenii Maciejczek)

O istnieniu willi „Jasna” nikt już w Ustroniu prawie nie pamięta. Nawet najstarsi mieszkańcy. Jakby pamięć o niej pędzący do przodu świat niechcący przykrył warstwą kurzu. Nie masz już, nie masz „Jasnej”... Stało się tak z prostej przyczyny. Otóż we wspomnianym 1968 r. budynek został sprzedany, a jego nowym właścicielem zostały Zakłady Naprawcze Taboru Kolejowego w Gliwicach, które w dawnej willi „Jasna” urządziły ośrodek rekreacyjno-wypoczynkowy dla swoich pracowników. Z czasem, powoli zacierał się też pierwotny kształt tego przedwojennego obiektu ...

Pamięć o „Jasnej” pielęgnuje natomiast pani Eugenia Maciejczek z domu Drobczyńska – córka pierwszych właścicieli budynku. To na podstawie jej wspomnień oraz zachowanych w rodzinnym archiwum starych fotografii nakreśliłam poniżej dzieje tej zapomnianej willi, która przed II wojną światową była znanym pensjonatem.

Korzenie rodzinne Józefy i Klemensa Drobczyńskich, a później ich całe życie nierozdzielnie związane było z ziemią ustrońską. Tutaj przyszli na świat, pracowali, wychowali dzieci. Tutaj też leżą pochowani na miejscowym cmentarzu katolickim.

Józefa Drobczyńska urodziła się 3 kwietnia 1901 r. Jej rodzice pochodzili z Ustroń Polany. Rodzina Klemensa Drobczyńskiego mieszkała natomiast w centrum miasteczka, nieopodal rynku, w domu istniejącym do dziś, chociaż przebudowanym, przy obecnej ul. Andrzeja Brody 3. Tam Klemens przyszedł na świat 15 maja 1897 r. Jego kuzynką była nauczycielka Franciszka Waszek z domu Husar.



Józefa i Klemens Drobczyńscy – właściciele willi „Jasna”. Lata 20. XX w.
(fot. z archiwum rodzinnej córki E. Maciejczek)

Od wczesnej młodości Klemens Drobczyński włączał się w działalność polskiego obozu narodowego, którego rozwój i wzrost sił na Śląsku Cieszyńskim szczególnie uwidoczniły się wraz z nastaniem drugiej dekady XX stulecia. Odzwierciedleniem jego aktywności w polskich środowiskach ówczesnego miasteczka było pełnienie funkcji członka Wydziału (zarządu) Związku Młodzieży Katolickiej na Śląsku „Zjednoczenie”. Z chwilą założenia oddziału tejże organizacji w Ustroniu, 19 października 1913 r., Związek liczył 30 osób. W jego władzach zasiadali między innymi: Józef Tomiczek, Józef Stec, Józef Husar i Jan Palowicz.

Klemens Drobczyński zatrudniony był w fabryce *Brevillier i Ska & A. Urban Synowie*. Wraz z żoną i dwójką dzieci – córką Eugenią (ur. w 1921 r.) oraz synem Leonem (ur. w 1924 r.) mieszkał w centrum miasteczka, przy obecnej ul. 3 Maja 16, w pochodzącym z ostatniego ćwierćwiecza XIX w. budynku fabrycznym, tzw. „Wielkim Domu”. Drobczyńscy zajmowali pokój z kuchnią na poddaszu w *giblu*. Pani Eugenia opowiada: *Tam było nam dobrze, ale nasze mieszkanie było za małe dla czteroosobowej rodziny, więc rodzice wymarzyli sobie własny, duży dom z przeznaczaniem jednego piętra na dochodowy pensjonat. Przed wojną istniała moda na*

prywatne pensjonaty, a wynajmowanie pokoi stanowiło dodatkowe źródło zarobku. Tak robiły wszystkie rodziny, które wtedy decydowały się na budowę tego typu domu. (...) Matka zajmowała się prowadzeniem gospodarstwa domowego, a ojciec pracował dorywczo w fabryce. Wtedy był bardzo wielki kryzys i ojciec właśnie na bezrobociu będąc rozpoczął budowę naszej willi ...

Tę smutną wówczas sytuację ustrońskiego przemysłu opisuje Józef Chlebowczyk w „Dwóch wiekach Kuźni Ustroń”: *Ostrze wielkiego kryzysu gospodarczego z całą bezwzględnością uderzyło przede wszystkim w załogę fabryki ustrońskiej. (...) Donosząc o kolejnej redukcji stanu zatrudnienia w fabryce ustrońskiej, jedno ze sprawozdań sytuacyjnych władz wojewódzkich z 1930 r. informuje: „W ciągu 3-9 lipca zwolniono z pracy 150 robotników, urlopowano 120, w pracy pozostaje 160”. Ograniczenie zatrudnienia przeprowadzono w praktyce w trojaki sposób: poprzez zwalnianie z pracy, okresowe urlopowanie oraz zmniejszanie liczby godzin przepracowanych w ciągu tygodnia.*

Regresja rodzi progresję. Światowy kryzys gospodarczy z lat 1929-1933, który dotknął również miejscowy przemysł, napędzał koniunkturę uzdrowisku. Malowniczo położony Ustroń stawał się wtedy jedną z najbardziej popularnych miejscowości letniskowych w Polsce. Jego łagodny, podgórski klimat ceniony był przez kuracjuszy, których liczba wzrastała z roku na rok. O walorach uzdrowiskowych Ustronia informowała również *Księga pamiątkowa 1918-1928*, wydana na Dziesięciolecie Polski Odrodzonej: (...) *Wzdłuż całego łańcucha Beskidu Śląskiego od Cieszyna po Bielsko, leży cały szereg letnisk i miejscowości klimatycznych, ściągających z roku na rok coraz to liczniejsze rzesze przyjezdnych z całej Polski. (...)*

Trzecim z rzędu zdrojowiskiem śląskim jest Ustroń leżący w południowo-zachodnim zakątku Rzeczypospolitej, tuż nad granicą czechosłowacką w pow. cieszyńskim. Ze wszystkich prawie stron otoczony wieńcem balsamicznych lasów Beskidów Zachodnich – posiada Ustroń nieopisany czar i piękno. Sama dolina przecięta środkiem wstęgą Wisły leży 356 m nad poziomem morza.

Pierwszą łaźnię zbudował książę Albrecht w roku 1804, a obecnie istnieją według najnowszych wymagań urządzone kąpiele borowinowe, oraz kąpiele mineralne, siarczane, solankowe, jodobromowe, elektryczne i kwasowęglowe. Szereg z komfortem urządzonych will może zaspokoić najwybredniejsze wymagania. Istnieją prześliczne dróżki do schroniska na Równicę, na Czantorię, wygodna plaża nad Wisłą i kąpiel falista. Poza tem w całej okolicy są mieszkania dla letników u czystych, kulturalnych Ślązaków, którzy starają się pobyt kuracuszom uprzyjemnić. (...)

Pensjonat państwa Drobczyńskich – willa „Jasna” – został oddany do użytku w 1937 r. jako dom pod adresem: Ustroń, numer 589. Budynek wzniesiono na parceli zakupionej od rodziny Romanów z pobliskiego Lipowca, posiadającej wtedy także ziemię w centrum Ustronia, w rejonie obecnych ulic: Mikołaja Reja i Marii Skłodowskiej-Curie.

Dom budowano tak zwanym systemem gospodarczym, bardzo oszczędnymi środkami – wspomina pani Eugenia. To były ciężkie czasy. A jednak moi rodzice, nie posiadając dostatecznych środków finansowych, zdecydowali się na tę budowę. Fundamenty pod dom robiła cała nasza rodzina. Mieliśmy zatrudnionego do pomocy tylko jednego „palera”, czyli majstra. Także kolejne prace przy budowie wspólnie wykonywaliśmy. Do dzisiaj odczuwam skutki zdrowotne tej ciężkiej pracy. Bolą mnie plecy, bo będąc młodą, kilkunastoletnią dziewczyną nosiłam cegłę, aż na piętro. Nasz dom zaprojektował budowniczy Jan Hanus, który był dobrym znajomym moich

rodziców. Od razu, po pracach wykończeniowych wewnątrz budynku, otwarliśmy pensjonat. Tam nie było nic specjalnego, aczkolwiek jak na owe czasy dom prezentował się całkiem przyzwoicie.



Plac budowy willi „Jasna”. Pierwsza z lewej: Józefa Drobczyńska, trzeci z lewej: Klemens Drobczyński. Połowa lat 30. XX w. W oddali Lipowski Groń (fot. z archiwum rodzinnego E. Maciejczek)

Elewacje willi „Jasna” posiadały bardzo oszczędną dekorację, przejawiającą się w postaci narożnych lizenów oraz gzymsów pomiędzyokiennych i wieńczących. Środkową część fasady wyróżniała dodatkowo niewielkiej wysokości attyka, lekko wystająca ponad dolną linię połaci dachu, zwieńczona zgeometryzowanym gzymsem koronującym. W polu tejże attyki umieszczono napis z nazwą willi – „Jasna”.

Pensjonat państwa Drobczyńskich reklamowany był w prospekcie *Zdrojowiska i uzdrowiska Beskidu Zachodniego*, który ukazał się w 1939 r., nakładem krakowskiego wydawnictwa „Polski Znicz”. Willa „Jasna” oferowała *piękne, słoneczne pokoje* oraz *doskonałą kuchnię warszawską, na żądanie dietetyczną*. Gościła letników do samego wybuchu II wojny światowej.

W Ustroniu letnikom się podobało, bo i życie wtedy było bardzo dobre – opowiada pani Eugenia. Moi rodzice nie poszukiwali wtedy wczasowiczów, po prostu ludzie sami przychodzili i wynajmowali u nas pokoje, tym bardziej, że cieszyliśmy się zawsze dobrą opinią. Odwiedzali nas przyzwoici, grzeczni Żydzi, którzy przeważnie przyjeżdżali z Warszawy. W willi było 13 bardzo ładnych pokoi, w tym 3 na poddaszu (2-dwuosobowe i 1-jednoosobowy) oraz duża kuchnia pensjonatowa. Pokoje na piętrze, na poddaszu oraz w dobudowanych werandach przeznaczone były dla letników. Część parterową domu zajmowała natomiast moja rodzina, czyli ja, rodzice oraz młodszy brat. Nasze mieszkanie ogrzewały dwa piece kaflowe, stojące w sypialni i jadalni, a także kozy. Wyższe kondygnacje budynku nie były ogrzewane, stąd wczasowiczów „Jasna” przyjmowała tylko latem.



*Pensjonat – willa „Jasna”, 1937 r. Przed budynkiem stoi Klemens Drobczyński
(fot. z archiwum rodzinnego E. Maciejczek)*

Z informacji podanej w cytowanym wyżej, przedwojennym prospekcie wynika, iż pensjonat państwa Drobczyńskich był *pod zarząd*em dwóch pań pochodzenia żydowskiego – Izabeli Fajertag i Salomei Winawerowej.

W tym miejscu warto zaznaczyć, iż w latach 30. minionego stulecia, właściciele większości ustrońskich pensjonatów nie mając doświadczenia w prowadzeniu tego rodzaju placówek oddawali je w dzierżawę przedsiębiorczym kobietom, zazwyczaj Żydówkom ze Śląska i Zagłębia, które profesjonalnie zarządzały ich interesami. Ustrońki zaś doskonaliły swoje umiejętności związane z prowadzeniem prywatnych pensjonatów na specjalnych szkoleniach inicjowanych od 1934 r. przez miejscowe koło Towarzystwa Polek. Zapewne uczestniczyła w nich także Józefa Drobczyńska, pełniąca od 12 marca 1939 r., we wspomnianej organizacji, funkcję skarbniczki.

Przywołując w pamięci raz jeszcze swoje przedwojenne wspomnienia z okresu wczesnej młodości pani Eugenia Maciejczek dodaje: *w latach 30. w sąsiedztwie naszego domu stały też inne wille. Naprzeciwko była „Basieńka”, należąca do*

Kazimierzy i Wacława Nowosielskich, a obok „Wesoła” państwa Mańczyków. Zarówno Nowosielscy jak i Mańczykowie mieli jedną córkę. Pamiętam oficera Teodora Mańczyka (funkcjonariusza straży granicznej, byłego powstańca śląskiego, przyp. B. K.) z czasów, gdy przeszedł już na emeryturę. To był bardzo dobry człowiek. W willi państwa Mańczyków Żydówka o nazwisku Finkelsteinowa prowadziła pensjonat. Pamiętam także Elżbietę i Antoniego Małeckich, którzy nieopodal mieli willę „Antoinette”. Nieco dalej zaś stała willa „Biała”, należąca do Żyda – Szymona Rosenberga (w budynku tym dzisiaj mieści się Przedszkole nr 1 przy ul. Partyzantów 9, przyp. B. K.). Żyliśmy tam wszyscy jak jedna, wielka rodzina. Nie było między nami żadnych zatargów. Latem wspólnie spędzaliśmy wolny czas nad rzeką Wisłą ...

Tymczasem zbliżała się II wojna światowa. Nastął wrzesień 1939 r. „Jasna” nie funkcjonowała już wtedy jako pensjonat, ale nadal była odwiedzana przez letników. Podczas okupacji Józefa Drobczyńska wciąż wynajmowała pokoje, nie działała natomiast kuchnia pensjonatowa. Jej mąż został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec, ale dzięki Bogu wrócił i tę wojenną zawieruchę rodzina Drobczyńskich jakoś przeżyła.

W okresie powojennym willa „Jasna” nie została objęta „Przymusowym Zarządzeniem Państwowym”, w przeciwieństwie do sąsiednich nieruchomości – „Basieńki” i „Wesołej”, które przejął Fundusz Wczasów Pracowniczych. Państwo Drobczyńscy nie prowadzili pensjonatu, jak to miało miejsce w latach 30. ubiegłego stulecia, ale latem nadal wynajmowali pokoje wczasowiczom na poddaszu. Nawiązane w tamtych latach znajomości przetrwały próbę czasu, bowiem z niektórymi byłymi letnikami do dnia dzisiejszego utrzymywany jest kontakt.

Natomiast na piętrze willi zamieszkała wtedy rodzina Maciejczek, czyli pani Eugenia z mężem i dwójką dzieci. Józefa i Klemens Drobczyńscy wraz z synem Leonem zajmowali, tak jak dawniej, część parterową budynku. Po II wojnie światowej w willi „Jasna” zamieszkiwała także nauczycielka Antonina Grabowska, mając do dyspozycji pokój z kuchnią.

Józefa Drobczyńska zmarła 12 stycznia 1966 r. Dwa lata później, 6 sierpnia 1968 r., odszedł Klemens Drobczyński. Wtedy też ich rodzina podjęła decyzję o sprzedaży willi „Jasna”.

Obiekt przez kolejnych prawie 30 lat funkcjonował jako Dom Wczasowy Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Gliwicach – drugiego właściciela tejże nieruchomości, która w międzyczasie dwukrotnie zmieniła adres: z Ustroń, ul. 9 Lipstopada 16 na: Ustroń, ul. Mikołaja Reja 8. W 1991 r. wspomniane wyżej zakłady ją



Józefa i Klemens Drobczyńscy z synem Leonem. Około 1945 r. W oddali Lipowski Groń (fot. z archiwum rodzinnego E. Maciejczek)

rozbudowały i zmodernizowały, nadając swemu ośrodkowi wypoczynkowemu nową nazwę: pensjonat „Anna”. Wtedy też obiekt definitywnie zatracił swój pierwotny wygląd oraz klimat przedwojennych czasów.



*Pierwsza połowa lat 60. XX w. Przed willą „Jasna”.
Pierwszy z prawej: Klemens Drobczyński, trzecia z lewej: Eugenia Maciejczek
(fot. z archiwum rodzinnego E. Maciejczek)*

Od 1997 r., liczący dziś 70 lat budynek, jest własnością Przedsiębiorstwa Usług Technicznych i Handlowych „Polcarbo” Sp. jawna z Jaworzna – firmy zajmującej się głównie sprzedażą oraz wydobywaniem węgla. Nadal funkcjonuje również jako pensjonat „Anna” w Ustroniu przy ul. Mikołaja Reja 8.

Po willi „Jasna” zaś pozostało tylko to wspomnienie ...

Wykaz źródeł:

- Wspomnienia Eugenii Maciejczek z domu Drobczyńskiej oraz Łucji Dyszlewskiej z domu Maciejczek. Dziesięciolecie Polski Odrodzonej. Księga pamiątkowa 1918-1928. Wydawca i redaktor naczelny: Marian Dąbrowski, Wydawnictwo i nakład „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, „Światowida”, „Na Szerokim Świecie”, Kraków – Warszawa 1928, s. 515.
- Zdrojowiska i uzdrowiska Beskidu Zachodniego. Bezplatny prospekt. Wydawnictwo „Polski Znicz”. Kraków 1939.
- J. Chlebowczyk. Dwa wieki Kuźni Ustroń. Katowice 1972, s. 182-183.
- R. Danel. Ustroń. Ustroń 1979, s. 51.
- K. Nowak: *Życie polityczne i społeczne*. W: Ustroń 1305-2005. T.1. Red. I. Panic. Ustroń 2005, s. 263, 311.
- Informacje uzyskane w pensjonacie „Anna” w Ustroniu przy ul. M. Reja 8.
- Strona internetowa: www.yellowpages.pl.

Lidia Troszok, Anna Gluza

Willa „Hanka” – „Światowid”, czyli dzieje domu rodziny Gluzów z Zawodzia

O naszym domu, willi położonej przy ulicy Szpitalnej w Ustroniu na Zawodziu, ukazywały się już wzmianki w wydawnictwach Towarzystwa Miłośników Ustronia. Teraz natomiast chcemy opisać historię jego powstania i jego dzieje do dnia dzisiejszego, ale aby tego dokonać musimy zacząć od biografii naszych rodziców. Rodzice nasi, Józef Gluza ur. w 1901 r. w Polanie i Anna Szczepańska z Brzeziny na Zawodziu ur. w 1907 r., poznali się w 1927 r. na zabawie. Ojciec był kolejjarzem i pracował jako dyżurny ruchu na stacji w Goleszowie. Matka, córka gospodarza z Zawodzia, pomagała rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa. Z dniem 1 sierpnia 1928 r. ojciec otrzymał przeniesienie do nowo otwartej stacji kolejowej w Polanie. Uznał, że czas założyć rodzinę. Napisał więc list do przyszłego teścia, Pawła Szczepańskiego z Brzeziny, prosząc w nim o rękę córki Andzi. Został przyjęty i 20 października 1928 r. odbył się ich ślub.



Rodzice – Anna i Józef Gluzowie, 1928 r. (fot. z archiwum rodzinnego Gluzów)

Matka w wianie od swojego ojca otrzymała dom w Hermanicach, tzw. „Weisówkę”, który dziadek kupił za 19.200 złotych. Jakiś czas rodzice mieszkali jeszcze u dziadków na Zawodziu, ale już w listopadzie przenieśli się do Hermanic, gdzie w czerwcu 1930 r. przyszłam na świat. Otrzymałam na chrzcie imię Lidia. 1 października 1933 r. ojciec został przeniesiony do Wisły Głębiec na stanowisko naczelnika stacji. Dlatego też 1 listopada tegoż roku przenieśliśmy się do Głębiec i zamieszkali w budynku stacyjnym. Ponieważ trwała już wtedy budowa sanatorium dziecięcego na Kubalonce, ojciec kupił w maju 1934 r. samochód ciężarowy za 4.000 złotych,

zatrudnił szofera i tym samochodem dowoził materiały na budowę tegoż sanatorium. Również później, w czasie wznoszenia naszego domu był wykorzystany do dowozu materiałów budowlanych. Niestety, wkrótce okazało się, że klimat w Głębcach nie sprzyja zdrowiu naszego ojca. Wilgoć i brak słońca (północny stok Mraźnicy) spowodowały, że ojciec zaczął chorować. Dlatego 31 marca 1936 r. przeprowadziliśmy się z powrotem do Ustronia, do dziadków na Zawodzie. Ojciec w dwa tygodnie później dostał przeniesienie do Bielska, gdzie zaczął pracować w kolejowej służbie handlowej jako starszy asystent.

Ponieważ rodzice dysponowali pewnymi oszczędnościami (około 6.000 złotych), a ojciec jako urzędnik państwowy też nie zarabiał źle, jeszcze w Głębcach zaczęli myśleć o budowie własnego domu lub kupnie willi Blanków „Natalii”, która w tym czasie była już własnością Powiatu Świętochłowice. Złożyli nawet ofertę kupna, lecz do transakcji nie doszło, dlatego w lutym 1936 r. rozpoczęli przygotowania prowadzące do zbudowania własnej willi. Złożyli w Gminie podanie o pozwolenie na budowę domu mieszkalnego na parceli nr 3555/1 w Ustroniu na Zawodzie, a o sporządzenie planów i kosztorysu zwrócili się do budowniczego Jana Hanusa. 5 maja zebrała się komisja budowlana i 7 maja został zatwierdzony przez Urząd Gminny plan sytuacyjny, i wydano zezwolenie na budowę domu.

Następnego dnia rozpoczęto wyrównywanie terenu pod magazynowanie piasku i żwiru, który wydobywano z koryta rzeki Wisły, na co rodzice otrzymali pozwolenie. Kupili nawet konia, którym stryj Karol zwoził żwir i piasek na budowę. Następnie zakupiono w cegielni Rudolfa Bobka w Nierodzimiu 60.000 sztuk cegieł, którą z kolei pomógł zwozić wuj matki, Józef Cholewa z Pustek. W trakcie budowy dokupiono jeszcze cegieł u tegoż pana Bobka oraz cegłę dziurawkę i rurki drenarskie w cegielni Jana i Juliusza Stritzkich w Skoczowie.

23 lipca 1936 r. dziadek przekazał notarialnie swej córce Annie dwie parcele, wspomnianą już o numerze 3555/1 i drugą nr 3556/1, położoną nad brzegiem i w skarpie rzeki Wisły (obecnie jej częśćka znajduje się w korycie rzeki pod wodą). Zanim przystąpiono do pierwszych wykopów rodzice wybrali, spośród kilku ofert, mistrza budowlanego, który prowadziłby i nadzorował roboty. Zdecydowali się na Jana Śliżę z Godziszowa, który nie tylko fachowo kierował robotami lecz był również pomysłodawcą pewnych zmian w projekcie. W związku z tym ojciec sporządził nowy plan budynku, który różnił się (zwłaszcza drugie piętro i poddasze) od planu Jana Hanusa. Teraz przygotowania i roboty ruszyły pełną parą. Ponieważ kosztorys domu w stanie surowym opiewał na kwotę przeszło 48.000 złotych, rodzice zwrócili się do Banku Gospodarstwa Krajowego i Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach o pożyczkę. Później zaciągnęli także pożyczkę w Komunalnej Kasie Oszczędności w Cieszynie. Pod koniec budowy sprzedano także dom w Hermanicach. Początkiem sierpnia zakupiono w firmie Zygmunta Moschkowitza w Bielsku żelazo walcowane do betonu i na dźwigary, także różnego rodzaju drut i gwoździe. W tej samej firmie kupiono też papę izolacyjną oraz dachową, lepek i asfalt, zaś blachę ocynkowaną w spółce „Śląski Przemysł Cynkowy” z Kostuchny. W Goleszowskiej Fabryce Portland-Cementu zakupiono cement Portland i „Siccifix”, wapno budowlane i wapień palony. W Państwowym Tartaku w Ustroniu nabyto 2 m³ desek. Żerdzie kupiono w Nadleśnictwach w Ustroniu i w Wiśle. W następnych miesiącach deski kupowano w tartakach panów Jerzego Koziela w Ustroniu, Adolfa Glogovszka w Hermanicach, Adama Poloka w Harbutowicach, Pawła Pilarczyka w Hermanicach oraz Franciszka

Steffka w Wiśle. Zaopatrzone się też w taczki i narzędzia potrzebne przy budowie. 10 sierpnia postawiono szopę na materiały i narzędzia, (która stoi do dziś, choć już mocno sfatygowana), wykopano dół na gaszone wapno i 17 sierpnia rozpoczęto kopanie wykopu pod fundamenty domu. Przy wykopach pracowało 8 robotników, płacono im wtedy 50 gr za godzinę pracy. Kopanie trwało 5 dni. Gdy wykopy były gotowe przystąpiono do betonowania ław fundamentowych. 1 września cieśla Jan Czyż wraz z pomocnikiem Janem Kłapsią rozpoczęli budowę szalunków na zewnętrzne, betonowe mury suterenu. W następnych dniach, po zabetonowaniu ścian suterenu, zaczęto murować ściany zewnętrzne i wewnętrzne nośne. Budowa postępowała sprawnie i tak 16 września betonowano już strop nad suterenami, 6 października strop nad parterem, 26 października nad pierwszym piętrem, a 11 listopada nad drugim. 19 listopada przystąpiono do budowy więźby, następnie wymurowano kominy i pokryto dach deskami. Teraz do pracy przystąpił blacharz, Karol Heczko. Pokryto dach blachą, wykonano rynny i okapy okienne. Tak więc, końcem listopada 1936 r. dom stanął w stanie surowym.

Przy stawianiu naszego domu pracowało i pomagało wiele osób. Bardzo zaangażowana była matka, która niejednokrotnie sama ciężko pracowała fizycznie, pomagał także dziadek, rewanżując się za pomoc rodziców przy budowie pensjonatu „Brzezinka”, który dziadek w 1929 r. wznosił dla swej młodszej córki Heleny.



Willa „Hanka” w stanie surowym, 1936 r.
(fot. z archiwum rodzinnego Gluzów)

Często do robót pomocniczych zatrudniano bezrobotnych. W notatkach ojca zachowały się listy płac robotników. Tak więc: Adam Wiselka zdejmował wierzchówkę z placu na żwir i piasek, Ernest Górniok i Ludwik Salachna wykopali dziurę na wapno oraz postawili szopę na cement i narzędzia, przy wykopie fundamentów pracowali Karol Gawlas, Ludwik Salachna, Paweł Gazur, Lazar, Jan Blacha, E. Górniok, Józef Wicher i Wilhelm Drozd. Oni też pracowali potem jako pomocnicy murarzy, a także wykonywali inne pomocnicze prace jak osiewanie piasku, dowożenie wody itp.

PENJONAT „BRZEZINKA“



USTROŃ (Śląsk Cieszyński)

Pensjonat „Brzezinka“ w Ustroniu (Śląsk Cieszyński)

najpiękniejszym beskidzkim kąpielisku i zdrojowiska, caprasza na sezon letni.
Wśród innych pensjonatów „Brzezinka“ wyróżnia się pięknym i dogodnym położeniem. Położony w lesie nad malowniczą doliną Gócinadową daje piękne widoki, możliwość prawdziwego wypoczynku i uroczych spacerów. Na miłośników gór czekają blaskie i dalsze szczyty beskidzkie.
Z dala od szczyt i gwaru znajduje się jednak prawie tuż obok ważnych punktów leczniczych i rozrywkowych: nowoczesnego basenu kąpielowego, kortów tenisowych, sal dancingowych i znanych z swej skuteczności kąpień borowinowych (reumatyzm, artretyzm, choroby kobiece). Borowina czarna, naturalna. Zarząd kąpień udziela w I. i III. terminie poważnych zniżek.
„Brzezinka“ obecnie po gruntownym remoncie jest pełnokomfortowym pensjonatem. Biejąca woda ciepła i zimna w każdym pokoju, łazienka, siłownia, radio.

Kuchnia wykwintna. Ceny bardzo przystępne.
Otwarty od 1 maja.

Wcześniejsze cenne zamówienia i zapłaty uprasza się kierować wprost do zarządcy pensjonatu.

Zarząd pensjonatu „Brzezinka“
HELENA SZCZEPAŃSKA

Folder reklamowy pensjonatu „Brzezinka“. Linoryt autorstwa Nory Szczepańskiej z około 1937 r. (z archiwum rodzinnego Gluzów)

Specjalna fabryka nowoczesnych pomp
KAROL OCHSNER i SYN
BIELSKO, Blichowa 44
Rok założenia 1872 Nr. tel. 1370

Wodoautomat EVO

i jego najważniejsze zalety:

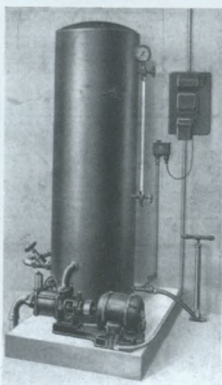
Najmniejsze, przez inne pompy nieosiągnięte zużycie mocy.

Pracuje zupełnie automatycznie.

Minimalny dozór.

Pompa posiada: wirniki, kierownice osłony stopniowe i sprzęgło z brązu.

Zawsze świeża i zimna woda.



E. BUDINER
URZĄDZENIA ZARZĄDOWO-TECHNICZNE
BIELSKO

Wodoautomat „Evo“ pochodzi z fabryki nowoczesnych pomp „Karol Ochsner i Syn“ z Bielska (z archiwum rodzinnego Gluzów)

Dla średniego zapotrzebowania ciepła
(większe dwory, kamienice i t.p.)
słuzę znany ze swej wysokiej doskonałości

Kocioł Strebel'a

Wynalazek

tego kotła spowodował przewrót w rozwoju ogrzewań centralnych.

Wolnostojący, żeliwny, członowy kocioł

zajął miejsce kotła z żelaza kulego, który jest duży, zajmuje dużo miejsca i jest o wiele mniej trwały.

40-letnie doświadczenie i wypróbowanie kotła Strebel'a

w wielu setkach tysięcy instalacji centralnego ogrzewania stworzyło dla kotła Strebel'a światową sławę. Z wzorowego jeszcze dziś ustroju



Seria II, Alfa.

kotła Strebel'a

Reklama Kotła Strebel'a do centralnego ogrzewania (z archiwum rodzinnego Gluzów)

Przy budowie zatrudnionych było w różnych okresach 8 murarzy (kilku tylko po kilkanaście dni) – Józef Grycz i Jerzy Sztekle pracowali od początku do doprowadzenia murów pod dach, czyli do 25 listopada 1936 r., pozostali: Karol Cińciała, Jan Sikora, Paweł Grochol, Teofil Grycz, Franciszek Franek i Sobel, różnie. Wypada tutaj także wspomnieć sąsiadów, którzy pomagali zwozić cegłę, deski, żwir czy piasek, byli to: Teofil Duster, Franciszek Baszczyński, Józef Strach. Lata 1937-1938 były czasem robót wykończeniowych. Przede wszystkim już w kwietniu 1937 r. zaczęto wywozić ziemię z wykopów i wyrównywać teren wokół budynku. Rozebrano rusztowania. Stolarz Jan Śliwka z Ustronia oraz Andrzej Szczepański, wuj matki, stolarz z Cieszyna, wykonali całą stolarkę budowlaną, czyli futryny, okna i drzwi. Okna zaszkliła firma Marii Jędrysik z Cieszyna. Następnie przystąpiono do budowy schodów. W międzyczasie rodzice już przeglądali oferty firm, które wykonałyby instalacje centralnego ogrzewania, wodno-kanalizacyjną i elektryczną. Zdecydowali się na firmę Eryka Budinera z Bielska, która założyła całą instalację wodno-kanalizacyjną, montując także wodoautomat czyli zbiornik na wodę z pompą i silnikiem elektrycznym z fabryki „Karol Ochsner i Syn” z Bielska, oraz instalację centralnego ogrzewania z kotłem Strebel’a.

Instalację elektryczną (punkty świetlne, kontakty, puszkę rozdzielczą, przewody pod tynkiem w rurach Bergmana, doprowadzenie do silnika itd.) wykonało Przedsiębiorstwo Elektrotechniczne Arnold Schenk ze Skoczowa. Bracia Schanzer ze Skoczowa dostarczyli *terazzo* na schody, tarasy i podłogi w łazienkach, a roboty lastrykowe wykonał Józef Hańderek. Materiał na piece kuchenne dostarczyła „Pierwsza Cieszyńska Fabryka Towarów Metalowych, Żelaznych i Czarnoblaszanych J. Pipersberg” z Cieszyna, a piece postawił zdun Józef Morawiec z Cieszyna. W firmie „Kera” Leona i Ernesta Grünfeldów w Cieszynie zakupiono parkiety dębowe, które ułożył parkieciarz Józef Siwy z Pastwisk. Od F. Steffka i A. Poloka zakupiono deski modrzewiowe na podłogi na drugim piętrze i do kuchni na parterze. Balustrady na schody i tarasy wykonał Józef Kubica z Ustronia. Tynk zewnętrzny z fasadami położyła firma Jerzego Widenki z Cieszyna. Pomieszczenia oraz wszystkie okna i drzwi pomalował Adam Kojma. Chciałabym tu przytoczyć fragment zachowanej instrukcji dla wykonawców, napisanej prawdopodobnie przez ojca, jako ciekawostkę. *„Kępnary na II piętro do sieni i pokoiku zrobić ze sztajfów, do pokoiku dać słabsze a do sieni silniejsze. Na I piętrze do pokoju (kuchni) dać kępnary ze sztajfów o ile będą dość długie i grube, tak samo można by dać sztaffy do sieni na I piętrze. Sztaffy wybierać tylko zdrowe. W sieniach tak na II piętrze jak i na I piętrze uważać na rury wodne, które idą z pokoju do wychodka, a które są zaraz na kraju od klatki schodowej. Deski podłogowe brzymowe są przeznaczone do sieni na II piętrze i do pokoju na parterze. Wychodka i przedsionka w suterrenach nie można jeszcze betonować, gdyż tam przyjdzie rura kanalizacyjna od łazienek. Taras na II piętrze wyrównać betonem tak, żeby woda tam nie stała (i to tylko w miejscu zagłębienia) a tą szlichtę, która się kruszy, odbić co się da. London wyciągnięty na II piętro spuścić tak żeby nie uszkodził okna ani tarasów.”* Ponieważ ojciec cały czas pracował zawodowo i tylko w wolnych chwilach nadzorował budowę domu, musiał zostawiać takie instrukcje na czas swej nieobecności. Wprawdzie w listopadzie 1937 r. został przeniesiony do Wisły, czyli bliżej domu, jednak praca zawodowa była dla ojca równie ważna jak budowa, był bowiem bardzo solidny w wykonywaniu nałożonych na niego obowiązków. Tak więc prace powoli dobiegały końca. Prąd doprowadzony, instalacja wodna

i kanalizacja gotowe, piece zainstalowane, trzeba było teraz pomyśleć o wyposażeniu w meble i urządzeniu pomieszczeń. W styczniu 1938 r. zamówili rodzice u stolarza Jana Śliwki potrzebną ilość szaf, stołów, krzeseł, nocnych szafek, tapczanów i innych rzeczy. Zakupiono też trochę żelaznych łóżek do pokoi na drugim piętrze. W sklepie Szymona Lipschitza w Ustroniu zakupiono koldry, obrusy, ścierki, ręczniki itp. Natomiast bieliznę pościelową uszyła Helena Wałachówna. Dom rodzice zbudowali ze wszystkimi wygodami i na ówczesne czasy uchodził za komfortowy. Miał elektryczne oświetlenie, bieżącą ciepłą i zimną wodę w łazienkach, centralne ogrzewanie, na każdej kondygnacji ubicając ze spluczką, a w pokojach przeznaczonych dla letników umywalki z bieżącą wodą. Poza tym duże okna, z których rozciąga się piękny widok na Ustroń i okoliczne góry, ma taras i balkony, na których można zażywać kąpiele słonecznych. Już w maju 1938 r. rodzice wyprowadzili się od dziadków i zamieszkali w suterenie pensjonatu „Brzezinka”, który prowadziła siostra matki Helena. Mieszkali tam do 24 lipca, w którym to dniu przeprowadzili się do swojego nowego domu. Wprawdzie dom nie był jeszcze całkowicie urządzony, także kopanie studni zaczęto dopiero w lipcu, nie mniej postanowiono wynająć kilka pokoi letnikom, aby choć trochę zarobić na spłatę długów zaciągniętych na budowę; całkowity koszt budowy wraz z wyposażeniem wyniósł prawie 100.000 złotych (notabene, długi zaciągnięte w bankach spłacali rodzice w czasie wojny i jeszcze po wojnie). W nowym już domu, w grudniu 1938 r., przyszła na świat moja siostra Anna. Było to w dzień św. Mikołaja, spodziewałam się, że po powrocie ze szkoły będą na mnie czekały prezenty, a tymczasem akuszerka oznajmiła mi, że mam siostrę. Byłam bardzo rozżalona, bo cóż to za prezent dla ośmiolatki – siostra! W 1939 r. zdołano umeblować i wyposażyć już wszystkie pokoje, dlatego rodzice postanowili latem otworzyć w willi pensjonat. Zatrudniono kucharza i posiłki wydawano na miejscu. Willa otrzymała nazwę „Hanka”. Niestety z powodu wybuchu wojny, goście zaczęli wyjeżdżać wcześniej i tylko przez 2 miesiące willa była pensjonatem. Zarobek zatem był niewielki i rodzice zostali z długami i bez oszczędności.

Pensjonat „Hanka“ Ustroń

położony w bardzo pięknym miejscu poleca pokoje słoneczne.
Kuchnia polska, wykwintna Radio. Telefon. Ceny umiarkowane.

Reklama pensjonatu „Hanka” pochodząca z prospektu Zdrojowiska i uzdrowiska Beskidu Zachodniego. Wydawnictwo „Polski Znicz”, Kraków 1939 r. (z archiwum Muzeum Ustrońskiego)

W pierwszych dniach okupacji zjechała do nas rodzina, wuj Jan Szczepański z żoną Norą i teściową Wandą Poczobutową. Tutaj w 1940 r. urodził się ich syn Artur. Po pewnym czasie wuj, ostrzeżony przez kolegę, musiał uciekać przed Gestapo. Wyjechał do Wrocławia, a po jakimś czasie, z żoną Norą, która do niego dojechała, do Wiednia, gdzie w 1942 r. dołączyła do nich teściowa z ich synem. W marcu 1942 r. urodził się nasz brat Jerzy, trzecie i ostatnie dziecko naszych rodziców. Jakis czas rodzice przyjmowali jeszcze letników przysyłanych przez magistrat, ale wkrótce zamieszkali w naszym domu profesorowie męskiego gimnazjum z Berlina, które z powodu bombardowań stolicy przeniesiono do Ustronia. Młodzież ulokowano w „Brzezince”. U nas natomiast, w suterenie, urządzono warsztat, w którym chłopcy

uczuli się majsterkowania. W 1944 r., z powodu zbliżającego się frontu, młodzież wraz ze swoimi nauczycielami wyjechała z powrotem do Niemiec (podobno ich transport został na terenie Czech zbombardowany i wszyscy zginęli). W ich miejsce przyszło cofające się ze wschodu i południa wojsko (w większości też bardzo młodzi ludzie), które w kwietniu 1945 r., gdy front był już w Strumieniu, definitywnie opuściło Ustroń. Po zakończeniu wojny, pod koniec 1945 r. Związek Zawodowy Górników wynajął 4 pokoje na pierwszym piętrze dla swoich pracowników zatrudnionych w „Brzezince”, która w tym czasie służyła już jako dom wczasowy dla górników z Górnego Śląska. W 1947 r. Centralny Zarząd Związku Zawodowego Górników (CZZZG) wydzierżawił pierwsze i drugie piętro także dla górników – wczasowiczów. Zawarto z rodzicami umowę, która miała obowiązywać do 31 grudnia 1950 r. Wczasowicze z naszego domu stołowali się w „Brzezince”, którą w międzyczasie przemianowano na „Górnik”.

1 czerwca 1948 r. powstał Fundusz Wczasów Pracowniczych (FWP), który zaczął przejmować wszystkie domy dzierżawione przez związki branżowe. Gdy więc rodzice po wygaśnięciu umowy zwrócili się do CZZZG o zwrot wynajmowanych pokoi, okazało się, że dysponuje nimi już FWP, który przejął je bez porozumienia się z właścicielami i bez przedłużenia umowy. FWP zaczął panoszyć się już w całym budynku. Zajął także sutereny, gdzie urządził świetlicę, a w naszej dawnej kuchni zamieszkała ich pracownica. Dom otrzymał nazwę „Światowid”. Nasza rodzina zajmowała od początku cały parter, którym FWP, na szczęście, nie mógł dysponować.



Dom Wczasowy „Górnik” na Zawodziu (dawny pensjonat „Brzezinka), 1954 r.
(fot. ze zbiorów Piotra Szuby)

Na podstawie Zarządzenia Ministra Gospodarki Komunalnej z dnia 12 lipca 1951 r., z dniem 31 lipca 1951 r. ustanowiono „Przymusowy Zarząd Państwowy” nad nieruchomością pensjonat „Światowid” Ustroń, Zawodzie 51, czyli nad naszym domem. Od tego momentu czynsz najmu oraz inne świadczenia nie były już regulowane. Oka-

zało się, że Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej Władysław Rychert, bez porozumienia się z właścicielami (a także nie powiadamiając członków Prezydium Gminnej Rady Narodowej o swej decyzji), zatwierdził wystawione przez Fundusz Wczasów Pracowniczych fałszywe dokumenty przekazujące zajmowane przez nich budynki mieszkalne pod przymusowy zarząd państwowy. Dokumenty były zafalszowane, czego pan Przewodniczący nie starał się nawet sprawdzić, co stwierdziła później komisja ministerialna, którą sprowadził mąż Lidii, Ludwik Troszok. Jak się okazało FWP napisał, że nasz dom był przedsiębiorstwem pensjonatowym, co było oczywistą nieprawdą. Cała więc sprawa została przeprowadzona bezprawnie i mimo zażaleń pisanych przez ojca do Gminnej Rady Narodowej w Ustroniu, Powiatowej Rady Narodowej w Cieszynie, Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach, Ministerstwa Gospodarki Komunalnej w Warszawie i wreszcie w marcu 1958 r. do Rady Państwa, nie cofnięto decyzji. FWP planował nawet usunąć z zajętych budynków ich właścicieli i upaństwić te domy, tak jak stało się z „Górnikiem”, który z mocy prawa, 8 marca 1958 r. został przejęty na własność państwa, bez jakiegokolwiek rekompensaty. Lidia, która w 1955 r. wyszła za mąż za Ludwika Troszoka, mieszkała z mężem, a potem i córką w jednym pokoju, który rodzice odstąpili im w swoim mieszkaniu na parterze. Rodzice obiecali im mieszkanie na piętrze, gdy tylko FWP opuści dom. Trzeba więc było o niego walczyć. Wobec tego teraz zięć, Ludwik Troszok zaczął pisać: do gen. Jerzego Ziętka, do tow. Edwarda Gierka, do Najwyższej Izby Kontroli, do Ministerstwa Gospodarki Komunalnej. Wreszcie w listopadzie 1958 r., wraz z radnym, panem Józefem Pokornym, pojechali do Warszawy by „walczyć” o zwrot bezprawnie zajętych budynków. Dla rodziny był to ogromny stres, przez cały czas ich nieobecności nie miała od nich żadnych wiadomości.



*Dom Wczasowy „Światowid”
(dawny pensjonat „Hanka”), lata 50. XX w.
(fot. ze zbiorów P. Szuby)*

A panowie przez tydzień chodzili od urzędu do urzędu, od Ministerstwa do Komitetu Centralnego, aż wreszcie się udało. Zarządzeniem Ministerstwa Gospodarki Komunalnej z dnia 5 grudnia 1958 r., Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej – Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej zawiadomiło, że komisyjne przekazanie pensjonatu „Światowid” na rzecz właścicieli nastąpi 5 stycznia 1959 r. Mocą tego samego zarządzenia odzyskano jeszcze „Darz Bór” państwa Kubeczków oraz „Helgę” pani Kubokowej. Domów, w których właściciele nie mieszkali, nie zwrócono. Domy te oddano właścicielom lub ich spadkobiercom dopiero po 1990 r. Niektóre były bardzo zniszczone i wymagały generalnego remontu jak np. „Brzezinka”, która zdążyła w międzyczasie zmienić nazwę na „Jarzębinka”. Willę tę odziedziczyli po siostrze Helenie prof. Jan Szczepański i nasza matka. Dom, mimo że bardzo zdewastowany, udało się sprzedać.

Kupił go pan Henryk Wierniewski i w tej chwili, ładnie odrestaurowany, jest jedną z piękniejszych willi w Ustroniu. Tutaj mała ciekawostka – w czasie prac remontowych znaleziono w stropie pudełko zapalek z 1929 r.



Pudełko zapalek znalezione w stropie dawnej „Brzezinki”. Obecnie pieczołowicie przechowywane przez Henryka Wierniewskiego (fot. Michał Pilch, 2007 r.)

Po oddaniu nam przez FWP zajmowanych kondygnacji, Lidia i Ludwik Troszowie wraz z córką Danielą zaraz przeprowadzili się na pierwsze piętro. Pokoje były umeblowane, bo szczęśliwie zostały się meble, które rodzice kupili w 1938 r. Aby jednak nikt nie czynił już zakusów na nasz dom, rodzice w kwietniu 1959 r. dokonali notarialnego podziału domu. I tak córka Lidia z mężem otrzymali pierwsze piętro, córka Anna drugie, a sobie pozostawili mieszkanie na parterze, w którym mieszkali od przeprowadzki w 1938 r. Nasz brat Jerzy uczył się wtedy w Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Cieszynie i po maturze zamierzał pójść na studia wyższe.

W tym czasie ojciec pracował w Katowicach w Dyrekcji PKP i myślał już o emeryturze. Codzienne dojeżdżanie do Katowic było dla niego męczące, tym bardziej, że odezwały się dawne dolegliwości (chorował m.in. na serce). Przeszedł na emeryturę w 1961 r., ale bez pracy nie wytrzymał długo. Zatrudnił się na 1/2 etatu w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej, w którym przepracował jeszcze kilka lat. Ponieważ zaczął poważnie chorować, zrezygnował z dalszej pracy. Zmarł we wrześniu 1971 r. w Katowicach w klinice po operacji prostaty.

W międzyczasie brat skończył studia, ożenił się i z żoną Grażyną zamieszkali w Cieszynie, gdzie po studiach podjęli pracę. W 1972 r. urodził im się syn Marcin. Bratowa po urlopie macierzyńskim wróciła do pracy, więc syna umieścili w żłobku. Niestety mały bardzo często chorował. Poprosili więc babcię, czyli naszą mamę, aby zajęła się małym i sprowadzili się do Ustronia. Matka odstąpiła im pokój na parterze. Ponieważ braterstwo byli zatrudnieni na kierowniczych stanowiskach i w związku z tym nieźle zarabiali, siostra Anna postanowiła podarować im mieszkanie na drugim piętrze. Było to mieszkanie letnie, bez ogrzewania, wymagało wielu przeróbek, na które Anny nie było stać. Tak więc braterstwo stali się właścicielami drugiego piętra, które trochę przerobili zabudowując duży taras i wysuwając balkon, co wizerunkowi

budynku nie zaszkoziło. Anna natomiast zamieszkała z matką na parterze, którego połowę odziedziczyła po ojcu. Matka zmarła w 1996 r. przeżywszy 89 lat.



Dom rodzin Gluzów i Troszków – wspólnie (fot. Bożena Kubień, 2002 r.)

Dom do dzisiejszego dnia jest własnością rodziny, która o niego dba, remontuje i pielęgnuje. W 2000 r. został umieszczony w ewidencji zabytków miasta Ustroń pod pozycją 442.



Lidia Troszk – kronikarka rodziny, zapalona turystka, prezes Miejskiego Koła Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Ustroniu. 15 czerwca 2007 r. została wyróżniona Honorowym Dyplomem Uznania „Za Zasługi dla Miasta Ustroń”.



Mgr Anna Gluza – długoletnia bibliotekarka Miejskiej Biblioteki Publicznej w Ustroniu, która na podstawie dokumentów ojca odtworzyła przebieg budowy domu rodzinnego.

Bożena Kubień

„Basieńka” – dawnej willi wspomnienie

Cóż pozostaje po ludziach? Fotografie, dokumenty, relacje bliskich, listy, strzępy informacji, wspomnienia... Ślady mogą być bardzo różnorodne. Jednymi zaś z najbardziej widocznych są domy – niemi świadkowie przeszłych wydarzeń, namacalne dowody istnienia ...

Spacerując dzisiaj po mieście napotykamy nieraz pięknie odnowione, interesujące architektonicznie, modernistyczne budynki, ogromny dorobek miejscowej kultury materialnej, przypominające nam o rozwoju ustrońskiego uzdrowiska i letniska w okresie międzywojennym. Wówczas, od połowy maja do Ustronia zjeżdżali kuracjusze i letnicy. Na deptakach pojawiały się grupy „miastowych”: panowie w jasnych ubraniach albo sportowych pumpkach do kolan oraz panie w zwiewnych sukienkach. Goście wprowadzali się do komfortowych willi i pensjonatów. W większości ich posiadaczami były rodziny: urzędnicze, nauczycielskie, lekarskie, prawnicze, wojskowe i kupieckie, tworzące miejscowe elity społeczne.

Najintensywniejszy rozwój Ustronia – przedwojennego kurortu przypadł na lata 1926-1939, będące okresem rządów wojewody śląskiego dr. Michała Grażyńskiego. Wówczas to, dzięki dotacjom władz wojewódzkich, poczyniono w miasteczku szereg inwestycji w widoczny sposób poszerzających jego dotychczasową uzdrowską infrastrukturę. Rozbudowa miejscowości oraz dbałość o estetykę podniosły atrakcyjność Ustronia przyczyniając się do zwiększenia liczby przybywających gości, a, co za tym idzie, ożywienia gospodarczego miasteczka.

Ustrońskie, od jesieni 1918 r. polskie uzdrowisko, powoli stawało się miejscem przyciągającym ludzi z terenów nowo odrodzonej Rzeczypospolitej, nie tylko ze względu na kurację czy wypoczynek, ale również na inwestycje. Wśród rodzin, które w latach 30. minionego stulecia dostrzegły walory naszej miejscowości i postanowiły wybudować tutaj własną willę, znaleźli się także, pochodzący ze Lwowa, państwo Nowosielscy.

Lekarz weterynarii Waław Nowosielski (ur. w 1903 r., zm. w 1982 r.) wraz z małżonką Kazimierą z domu Kreutz (ur. w 1904 r., zm. w 1968 r.) pojawił się w Ustroniu we wczesnych latach 30. minionego wieku. Przybył tutaj w związku z pracą zawodową, za namową szwagra doktora Jerzego Lewickiego – powiatowego lekarza weterynarii w Cieszynie. Zanim jednak państwo Nowosielscy postawili własny dom, wraz z córką Basią (ur. w 1933 r.) zamieszkali w 1934 r. na drugim piętrze kamienicy Anny i Jana Hanusów przy obecnej ul. Ignacego Daszyńskiego 19. Dwa lata później, około 1936 r., przenieśli się nieco bliżej miejsca, gdzie następnie stanęła ich willa, wynajmując mieszkanie w nowo wzniesionym budynku przy dzisiejszej ul. Partyzantów 5, należącym wtedy do leśniczego Jana Lipusa i jego żony Marii.

Kazimiera i Waław Nowosielscy, z racji pełnionych funkcji społecznych i zawodowych, byli w przedwojennym Ustroniu osobami powszechnie znanymi i szanowanymi. Pozostawali w przyjacielskich stosunkach między innymi z doktorem Władysławem Brukiem-Stonawskim, słynnym na ziemi cieszyńskiej specjalistą chorób kobiecych, w drugiej połowie lat 30. XX wieku pełniącym w naszej miejscowości funkcję lekarza zdrojowego. Doktor Nowosielski zawodowo zajmował się głównie badaniem mięsa na potrzeby miejscowych przedsiębiorców, właścicieli rzeźni i za-

kładów wyrobu wędlin – Roberta Grünkrauta oraz Ernesta Munka. Działał także, obok między innymi Józefa Tomaszka i Alfonsa Jamróza, w Stowarzyszeniu Właścicieli Realności, Pensjonatów i Przemysłu. Pani Kazimiera, od stanowiska męża – zgodnie z przyjętym w Polsce zwyczajem towarzyskim – zwana doktorową Nowosielską, w latach 1934-1936 przewodziła Towarzystwu Polek. Ustroński oddział tej prostanacyjnej organizacji, działającej na terenie województwa śląskiego od 1927 r., założony został 6 maja 1934 r. W jego władzach zasiadały panie tworzące miejscowe elity kobiece, między innymi: Maria Magdalena Nikodemowa, Helena Michalikowa, Antonina Grabowska, Anna Lazarowa, Pelagia Jarocka, Maria Kieconiowa, Józefa Drobczyńska, Helena Nowakowa, Stefania Górowa, Anna Kaszperowa, Maria Kołderowa, Maria Błaszczykowa i Anna Matulanka. Członkinie towarzystwa, popierając linię polityczną wojewody Grażyńskiego oraz akcentując jego wkład w rozwój gospodarczy Ustronia i Wisły, prowadziły rozliczne akcje na rzecz podniesienia poziomu kulturalnego i udziału kobiet w życiu społecznym. Z powodzeniem organizowały zbiórki na rzecz potrzebujących, imprezy dla dzieci, odczyty, wycieczki, a także różnorodne kursy i szkolenia, w programie których znalazły się również sprawy związane z prowadzeniem prywatnych pensjonatów.



*Kazimiera i Wacław Nowosielscy – właściciele pensjonatu „Basieńka”
(fot. z archiwum rodzinnego córki Barbary Nowosielskiej-Hajduczek)*

Zdobyta na nich wiedza i umiejętności sprawiły, iż Kazimiera Nowosielska, mając ku temu odpowiednie przygotowanie, swój własny pensjonat prowadziła sama, nie oddając nikomu w dzierżawę, jak to czynili wtedy inni właściciele.

Budowę willi „Basieńka” rozpoczęto w 1937 r. na parceli, położonej w centrum Ustronia w rejonie dzisiejszej ul. Mikołaja Reja 5, którą państwo Nowosielscy zakupili od rodziny Szlauerów. Rolnicy Szlauerowie (do domu których wchodziło się od strony obecnej ul. 3 Maja) prowadzili duże gospodarstwo, dostarczając mleko oraz

inne produkty okolicznym sąsiadom. Pensjonat wzniesiony został przez firmę ustrońskiego budowniczego Jana Hanusa, który był także projektantem obiektu. Całość oddano do użytku w 1938 r., a nazwa nowo powstałej willi była zdrobnieniem imienia córki właścicieli – Barbary.

Pensjonat państwa Nowosielskich był pierwotnie jednopiętrowy. W niedługim czasie, po oddaniu domu do użytku, jesienna wichura uszkodziła dach, który następnie ściągnięto i nadbudowano kolejną kondygnację. Obiekt zyskał drugie piętro i tak pozostało do dziś. Modernistyczny wygląd pensjonatu „Basieńka” był odzwierciedleniem awangardowych, nowoczesnych rozwiązań architektonicznych, tak charakterystycznych dla budownictwa okresu dwudziestolecia międzywojennego. Zgeometryzowana bryła budynku, płaskie dachy, przeszklone werandy oraz taras z żelazną balustradą tworzyły przejrzystą i zarazem funkcjonalną kompozycję willi.



Pensjonat „Basieńka”, 1939 r. Widok od strony południowo-zachodniej. W oddali góra Równica (fot. z archiwum rodzinnego B. Nowosielskiej-Hajduczek)

Pochodzący z późnych lat 30. minionego stulecia dom Kazimierzy i Wacława Nowosielskich był jednym z ostatnich pensjonatów, wzniesionych w naszej miejscowości przed wybuchem II wojny światowej. Stał zaś w otoczeniu innych, powstałych nieco wcześniej willi wypoczynkowych, stąd nasuwa się przypuszczenie, iż w tamtych czasach była to modna okolica pod względem inwestowania. Ustroński kurort zyskał już wtedy należyty rozgłos i renomę, o czym świadczą także fragmenty artykułu *Ustroń jako uzdrowisko i lotnisko* autorstwa Franciszka Popiołka, pochodzące z publikacji *Śląsk Cieszyński. Z życia gospodarczego*, wydanej w 1937 r., czyli w okresie, kiedy rozpoczynano budowę pensjonatu „Basieńka”: *Ustroń leży w południowej części wojew. śląskiego nad rzeką Wisłą. Na mapie Polski szukać Ustronia należy w najdalej na płd. zachód wysuniętej części Rzeczypospolitej, na południe od Cieszyna, tuż przy granicy polsko-czeskiej. Bezpośrednie połączenia kolejowe z wielkimi miastami Polski, oraz dalekobieżna komunikacja autobusowa zapewniają wygodną i szybką podróż do Ustronia.*

Uzdrowisko rozbudowane jest w dolinie rzeki Wisły i na stokach gór, stanowiących wspaniałe tło dla Ustronia. Dzięki tym górcom lesistym (Czantoria, Równica, Zor, Skalica, Jelenica), oraz położeniu na wysokości 340-450 m nad poziomem Bałtyku, Ustroń posiada doskonale warunki klimatyczne, charakteryzujące się dużym nasłonecznieniem i małą wilgotnością. Klimat Ustronia posiada wszelkie zalety klimatu podalpejskiego, zatem nadaje się dla tych wszystkich, dla których wskazany jest pobyt w górach, a którzy nie znoszą ostrego klimatu wysokogórskiego. (...).

Ustroń jest doskonale zaprowiantowany, okolice bowiem uzdrowiska posiadają charakter wybitnie rolniczy, toteż nie brak tu ani jarzyn, ani owoców. Zaznaczyć należy, że Ustroń jest pierwszym uzdrowiskiem polskim, którego szosy, aleje i dróżki obsadzono najlepszymi odmianami drzew owocowych. (...).

Urok zacisznych i ustronnych dolin, zbiegających się w rozległym kotle beskidzkim, (...) zdecydował o tym, że zaczęto tu zjeżdżać rokrocznie dla odpoczynku i kuracji. (...).

Życie uzdrowiska koncentruje się w lecie w obrębie dużego parku uzdrowiskowego, położonego nad brzegiem Wisły u stóp Równicy, a posiadającego wspaniałą basen kąpielowy, korty tenisowe, plażę nadwiślańską i sztuczny staw dla sportu wioślarskiego. (...).

Spacery i wycieczki są liczne i wspaniałe.

Wszystkie szlaki turystyczne są znakowane, a schroniska bardzo dobrze zagospodarowane. Z Cieszyna, Wisły i Bielska wygodna komunikacja autobusowa i kolejowa. (...). W najbliższym zaś sąsiedztwie, vis-à-vis „Basieńki” działały wówczas pensjonaty: „Jasna” Józefy i Klemensa Drobczyńskich (obecna ul. Mikołaja Reja 8) oraz „Wesoła” (obecna ul. Mikołaja Reja 10). Ten ostatni był własnością, pochodzącego ze Świętochłowic – Chropaczowa, Teodora Mańczyka (ur. w 1894 r., zm. w 1969 r.) – uczestnika Powstań Śląskich, żołnierza armii polskiej gen. Władysława Hallera, a także zasłużonego społecznika, którego imieniem nazwano dzisiaj jedną ze świętochłowickich ulic.

Drewniana tabliczka z napisem „Basieńka” umieszczona nad wejściem, zapraszała do pensjonatu. Willa liczyła 17 pokoi. Część parterową domu zajmowało prywatne mieszkanie właścicieli. Pierwsze i drugie piętro przeznaczono natomiast dla letników. Jednocześnie „Basieńka” mogła przyjąć nawet do 30 gości, w pokojach od jedno do pięcioosobowych. Drugie piętro budynku wykorzystywano jednakże tylko w okresie letnim, ze względu na cienkie ściany i brak ogrzewania. Parter i pierwsze piętro budynku ogrzewano zaś piecem znajdującym się w mieszkaniu właścicieli. Piec służył również do podgrzewania wody do mycia. Tylko Nowosielscy mieli prywatną kuchnię i łazienkę. Na pozostałych kondygnacjach była jedna wspólna łazienka dla całego piętra. Dodatkowo każdy pokój posiadał umywalkę. Ponadto mieszkanie właścicieli wyposażone było w aparat telefoniczny i radio.

W sezonie letnim pensjonat „Basieńka” zatrudniał sprzątaczkę. Nie prowadził natomiast jadłodajni – goście stołowali się w okolicznych restauracjach.

W willi Kazimierzy i Wacława Nowosielskich wypoczywali głównie Żydzi z rejonów Katowic i Sosnowca. Zamożniejsi wczasowicze przyjeżdżali do Ustronia prywatnymi samochodami, aczkolwiek większość przedwojennych letników wybierała podróż pociągiem. Na dworcu kolejowym czekali już na nich dorożkarze, którzy rozwozili gości do wybranych pensjonatów... „Basieńka” funkcjonowała tylko przez jeden rok, a właściwie to przez niepełne dwa letnie sezony, w latach 1938-1939. Jej dalszą działalność zniweczył bowiem wybuch II wojny światowej.

Jesienią 1939 r. państwo Nowosielscy opuścili Ustroń udając się na wschód, do rodzinnego Lwowa. Ich dużą willę zajęli Niemcy, urządzając w niej szpital wojskowy oraz przychodnię dla matki i dziecka. W jednej z sal (dawniej pokoju lub świetlicy) zorganizowano natomiast przedszkole z niemieckim personelem oraz polskimi kucharkami, do którego uczęszczało około 20 dzieci. Wśród nich, w 1940 r., znalazła się także Cecylia Kohut (ur. w 1934 r., zamężna Gałczyńska), która zachowała w pamięci to przedszkole, a także ... ciężkie, okute miedzianą blachą, wejściowe drzwi do budynku „Basienki”.

Na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow, 23 września 1939 r. Lwów włączony został do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i znajdował się pod okupacją sowiecką. Kazimiera Nowosielska, przebywając w tym czasie we Lwowie, pracowała w niemieckiej komisji rejestrującej na wyjazd do Generalnej Guberni. Tam, 29 czerwca 1941 r., zastała ją wkroczenie wojsk niemieckich – Lwów pozostawał zajęty przez Niemców do 23 lipca 1944 r.

Powojenne losy wiodły państwa Nowosielskich od miejscowości Końskie, przez Zduńską Wolę do Jastrzębia-Zdroju, gdzie zamieszkali na stałe w 1953 r. Bywali także w Ustroniu, odwiedzając z dorosłą już córką Barbarą swoją posiadłość.



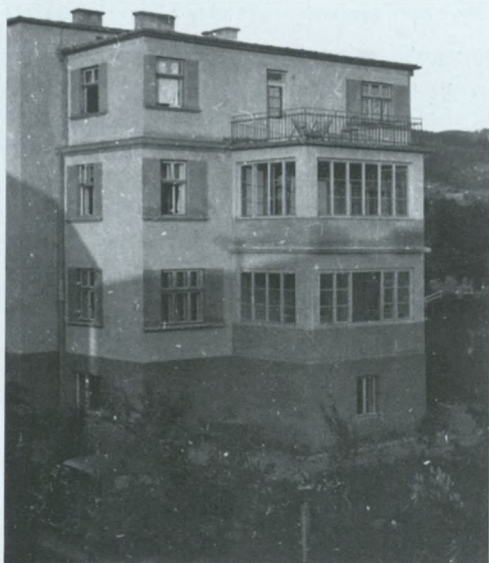
Na tarasie willi „Basienka”, 1950 r. Pierwsza z lewej – Barbara Nowosielska, córka właścicieli. W oddali masyw Skalicy
(fot. z archiwum rodzinnego B. Nowosielskiej-Hajduczek)



16 lutego 1957 r. Kazimiera i Wacław Nowosielscy z córką Barbarą
(fot. z archiwum rodzinnego B. Nowosielskiej-Hajduczek)



11 sierpień 1955 r. Barbara Nowosielska (pierwsza z prawej) ze znajomymi. W oddali, z prawej strony – willa „Basieńka”, z lewej strony – willa „Wesoła” Teodora Mańczyka. Widok od strony południowo-zachodniej. W tle masyw Równicy
(fot. z archiwum rodzinnego B. Nowosielskiej-Hajduczek)



Willa „Basieńka”, 1955 r. Widok od strony południowo-zachodniej
(fot. z archiwum rodzinnego B. Nowosielskiej-Hajduczek)

Z tego okresu pozostały fotografie ilustrujące niniejszy artykuł. Niestety, w 1954 r. pensjonat „Basieńka” został upaństwowiony. Parter willi zajęty był przez górników do celów wypoczynkowych, natomiast drugie piętro przejął Fundusz Wczasów Pracowniczych (FWP). Pierwsze piętro budynku oraz pomieszczenia w suterrenach wynajęły prywatne osoby, m.in. lekarz. W części przejętej przez FWP Nowosielscy zatrzymali dla siebie pokój z kuchnią – mieszkała tam siostra pani Kazimierzy – Janina Kreutz ze Lwowa (zm. w 1958 r.).

Powoli, z czasem, dawna „Basieńka” traciła swój pierwotny, modernistyczny wygląd. Zburzono werandę, dobudowano stołówkę... Willa otrzymała nową nazwę – Dom Wczasowy „Wypoczynek I” w Ustroniu przy (ówczesnej) ul. 9 Listopada 17 i wraz z przeciwległym budynkiem dawnego

pensjonatu „Wesoła” Teodora Mańczyka, czyli Domem Wczasowym „Wypoczynek II” w Ustroniu przy (ówczesnej) ul. 9 Listopada 18, działały od drugiej połowy lat 50. minionego wieku, dysponując kuchnią pod wspólnym kierownictwem.

W 1991 r. willa powróciła do swych prawowitych właścicieli. W międzyczasie zmarli Kazimiera i Waław Nowosielscy (leżą pochowani na starym cmentarzu w Jastrzębiu-Zdroju). Fundusz Wczasów Pracowniczych zwrócił zatem budynek ich córce – pani Barbarze Nowosielskiej-Hajduczek, która w 2004 r. sprzedała rzeczoną nieruchomości.

Właścicielem obiektu przy ul. Mikołaja Reja 5 jest dzisiaj prywatna osoba – handlowiec. W ostatnich latach budynek przeszedł gruntowny remont i modernizację. Niewiele pozostało obecnie z przedwojennego wyglądu dawnego pensjonatu „Basieńka”. Zachowały się jedynie elementy metaloplastyki w postaci gniazda masztu na flagę. Dom jednakże umieszczono w ewidencji zabytków naszego miasta pod pozycją 348.

Ustroń jest miejscowością, która zawsze fascynowała i przyciągała ludzi z zewnątrz, wykształconych, z inicjatywą, wznoszących tu swoje domy z myślą osiedlenia na stałe. Niewykluczone, iż tak też postąpiliby państwo Kazimiera i Waław Nowosielscy, gdyby nie zawierucha wojenna i późniejsza sytuacja polityczna związana z gospodarką lokalną. Historię willi „Basieńka” dane mi było poznać dzięki uprzejmości i pomocy córki jej pierwszych właścicieli – pani Barbary Nowosielskiej-Hajduczek, mieszkającej w Jastrzębiu-Zdroju. Niechaj ten artykuł wskrzesi w pamięci ustroniaków dawnych mieszkańców naszej miejscowości – niegdyś tak znanych, dziś zupełnie zapomnianych ...



3 luty 2007 r. Dawny pensjonat „Basieńka” – współcześnie, z zachowanym przedwojennym gniazdem masztu na flagę. Widok od strony północno-zachodniej
(fot. Dominik Konarzewski)

Wykaz źródeł:

Relacja Barbary Nowosielskiej-Hajduczek.

F. Popiołek: *Ustroń jako uzdrowisko i letnisko*. W: Śląsk Cieszyński. Z życia gospodarczego. Cieszyn 1937, s. 40-42.

Ustroń. Uzdrowisko beskidzkie na Śląsku. Folder reklamowy. Wydawnictwo „Wspólna Sprawa”. Warszawa 1961. R. Danel. Ustroń. Ustroń 1979, s. 51.

K. Nowak: *Elity społeczne Ustronia w okresie międzywojennym*. W: Studia z dziejów Ustronia. Ustroń 2000, s. 46-62.

A. Hanus-Dyrda, K. Hanus: *Nasz dom rodzinny. Wspomnienie o Janie Hanusie – budowniczym*. „Pamiętnik Ustroński Nr 12”. Ustroń 2005, s. 326.

K. Nowak: *Życie polityczne i społeczne*. W: Ustroń 1305–2005. T.1. Red. I. Panic. Ustroń 2005, s. 300-301, 310-311. *O wyjątkowym ustrońskim Bruku*. „Kalendarz Ustroński 2007”. Ustroń 2006, s. 81.

Strona internetowa: www.pl.wikipedia.org

Informacje udzielone przez: Cecylię Zofię Gałczyńską z domu Kohut oraz Bogusława Lipusa.

**II.
ZNANI
USTRONIACY –
Z URODZENIA
LUB WYBORU**

Michał Pilch

Ksiądz Karol Fryderyk Kotschy

Karol Fryderyk Kotschy urodził się w Cieszynie 25 stycznia 1789 roku. Jego ojciec Jan Bogumił przybył do Cieszyna z Pszczyny, gdzie był pisarzem na dworze Promnitzów oraz burmistrzem. Ojcem chrzestnym Karola był baron Fryderyk Kalisch, właściciel dóbr drogomyskich. Naukę w szkole cieszyńskiej pobierał w okresie wojen napoleońskich. Ze szkoły tej wyniósł zamiłowanie do przyrody, do badania i uprawy roślin, i drzew owocowych.

Karol po skończeniu szkół cieszyńskich dalszą naukę kontynuował na uniwersytecie w Lipsku. Tam w latach 1807-1810, oprócz studiów teologicznych, uczęszczał również na wykłady z medycyny i botaniki. W trakcie studiów odbył wiele wycieczek, głównie do krain nadreńskich. W czasie wędrówek szczególnie interesowało go stojące na bardzo wysokim poziomie sadownictwo i ogrodnictwo. Wśród studentów lipskich musiał się szczególnie wyróżniać, bo na uroczystościach jubileuszu 400 lat uniwersytetu Kotschemu powierzono niesienie laski marszałkowskiej. Po końcowych egzaminach razem z kolegą wyruszył piechotą do Paryża, aby zwiedzić tamtejsze muzea z bogatymi eksponatami starożytnej sztuki greckiej. W Paryżu trafił na ślub cesarza Napoleona z Marią Ludwiką, córką cesarza austriackiego. Trasa dalszej pieszej wędrówki prowadziła w górę doliny Renu. Po drodze zwiedzał zamki, sady i winnice. Dotarł aż do Szwajcarii, do Bugdorfu, gdzie był gościem Pestalozziego w jego zakładzie wychowawczym. Na Śląsk powrócił przez południowo-zachodnie Niemcy, Czechy i Morawy. Wędrując pieszo, miał doskonałą okazję do poznania obcych krajów, ich kultury i gospodarki wiejskiej. Po powrocie do Cieszyna został w 1811 roku ordynowany i powołany na stanowisko proboszcza do Ustronia. W Ustroniu służył zborowi przez 45 lat. Przez pierwszych 25 lat był równocześnie proboszczem w Goleszowie, do czasu kiedy tamtejsza parafia usamodzielniała się w 1837 roku.

W roku 1812 zawarł związek małżeński z Julią Schimko. Ze związku tego urodziło się 3 synów i 5 córek. Najstarszy z synów Teodor był znanym przyrodnikiem i podróżnikiem (patrz „Pamiętnik Ustroński” nr 12, strony 176-186), Herman był proboszczem w Jaworzu, najmłodszy Oskar proboszczem w Bystrzycy na Zaolziu.



Portret księdza Karola Kotschego, 1903 r.
(ze zbiorów parafii ewangelickiej w Ustroniu)

Działalność w Ustroniu i dla Ustronia

Po ordynacji przybył do Ustronia, który liczył już wówczas, z uwagi na rozwijający się przemysł hutniczy, około 2.000 mieszkańców. Na placu kościelnym zastał mały drewniany kościółek i drewnianą szkołę. Jedynym murowanym budynkiem była plebania. Teren parafii był bardzo rozległy. Należały do niej poza Ustroniem: Brenna, Górki, Cisownica, Nierodzim, Hermanice, Miedzyświeć, Wilamowice, Lipowiec, Harbutowice, Bładnice.

Jedną z pierwszych decyzji Kotschego jako proboszcza było wybudowanie kościoła, który byłby murowany i na tyle duży, aby zaspokoił potrzeby rozległej parafii. Zwrócił się do budowniczego Onderki ze Lwowa, który wykonał potrzebną dokumentację i podjął się jego wybudowania. Rozpoczęto gromadzenie potrzebnych materiałów i pieniędzy, nie tylko w ustronńskiej parafii, ale także w sąsiednich zborach i poza granicami monarchii austriackiej. Zbiórka pieniędzy nie przychodziła łatwo. Świadczą o tym pisma i petycje jakie ks. K. Kotschy wysyłał. Jedno z pism wysłał do zborów ewangelickich na Morawach.

Czcigodni i wysoce uczeni i szanowni bracia w urzędzie, ks. Pastorowie ewangelickich zborów na Morawie

Na ponagląjące żądanie mojego biednego zboru, który wielkie dzieło budowy domu modlitwy musiał rozpocząć, kieruje swoją prośbę do współbraci na Morawach.

Zechciejcie nam, jako bezpośredni kierownicy serc swych słuchaczy, każdy w swym zborze, powołać rzetelnych ludzi, aby mogli po domach przeprowadzić zbiórkę na nasz cel, wpisując na listy nazwisko swe i wysokość datku, i zebraną kwotę nam przekazać.

Znacie zapewne optakaną sytuację naszego zboru i jego wielkie przedsięwzięcie, którego kosztorys mimo największej prostoty budowy nie da się zmniejszyć. Zechciejcie nie odmawiać nam bratniej pomocy w naszej pilnej sprawie. Wesprzyjcie dzieło Pana, bracia moi, On wam wynagrodzi. Amen.

Ustroń, 2 kwietnia 1836 r.

*Karol Kotschy
Pastor*

Dzięki takiej pomocy i własnej ofiarności udało się rozpocząć budowę kościoła w 1835 r. dokończyć w 3 lata później. Początkowo był bez wieży, bo tylko taki można było wybudować. Po dobudowaniu wieży w latach 60. XIX stulecia pozostał w tej postaci do czasów współczesnych.

Poświęcenie kościoła odbyło się w dniu 25 lipca 1838 r. W kazaniu w czasie tej uroczystości ks. Wilhelm Raschke (Raszka) – proboszcz parafii w Bystrzycy powiedział między innymi:

(...) Dzień dzisiejszy jest świadectwem gorliwości wszystkich zborów śląskich, które usłyszawszy o potrzebie waszej z ubóstwa swego hojnie dawały dary. Również czynili tak bracia ewangelicy w Austrii, w Siedmiogrodzie, w Czechach, na Morawie, w Ilirii (dzisiejsza Słowenia), w Styrii, w Polsce i na Węgrzech. (...) Uroczystość dzisiejsza jest radością waszego wiernego duszpasterza, i nagrodą za jego usilną pracę, trudy i zachody; bez niego, wątpię czy byście to wielkie dzieło byli dokonali (...).

Z niemniejszą gorliwością jak budowanie kościoła, zajął się ks. Kotschy szkołami. Stara szkoła ustronńska z 1787 roku groziła zawaleniem. Została rozebrana i na jej miejscu w 1827 roku wybudowano nową. W 1835 roku po pożarze dachu zastąpiono go nowym i dobudowano wieżyczkę z dzwonem. W 1840 roku założono nową szkołę w Bładnicach, do której uczęszczały dzieci z Bładnic, Harbutowic i Miedzyświecia. Zorganizował także naukę w domach prywatnych w Ustroniu Polanie i Ustroniu

Dobce. Wszystkie one były szkołami wyznaniowymi i cały koszt ich utrzymania spoczywał na parafii, co w znacznym stopniu uszczuplało budżet kościelny. Problem zniknął dopiero po 1870 roku, kiedy szkoły te zostały upaństwowione.

W czasie studiów teologicznych, uczęszczał także na wykłady z medycyny. Zdobytą tam medyczną wiedzę wykorzystywał w praktyce w Ustroniu, który w tym czasie nie miał lekarza. Zastępował go z konieczności ks. Kotschy. Leczył ziołami, które pozyskiwał z założonego przez siebie ogrodu, zyskując sławę dobrego homeopaty. Za leczenie nie pobierał wynagrodzenia, chyba, że ktoś przyniósł mu kobiałkę raków za otrzymane zioła.

Drugim jego „zawodem” była pomologia. Już w czasie pieszej wędrowki, po ukończeniu studiów, zbierał nasiona kwiatów i drzew owocowych z myślą posiania ich u siebie. Tak postępował zawsze, kiedy dane mu było wyjeżdżać poza Ustron. Oglądając wiele ogrodów i sadów pełnych wspaniałych krzewów i drzew owocowych, chciał aby i na Śląsku takie powstały, w których rozdziły by się szlachetne owoce. Podczas całego pobytu w Ustroniu pracował nad rozwinięciem nowoczesnego sadownictwa. W farskim ogrodzie założył szkółkę drzewek owocowych, w której uczył chłopców ze szkoły sadić, rozmnażać, szczepić i hodować drzewka i krzewy owocowe. W ogrodach hodował także kwiaty, krzewy i egzotyczne rośliny, które sprowadzał niejednokrotnie z daleka. W jego ogrodzie rosło wiele odmian jabłoni, południowe drzewa oraz warzywa takie jak pomidory, kalafiory. Wyhodował kilka nowych odmian jabłek, z których najbardziej znane były „kocze głowy”. Pomarańczami i cytrynami, które rosły w jego szklarni, obdarowywał swojego przyjaciela z lat studenckich, księcia Karola Habsburga, który często przyjeżdżał do Ustronia. Założony i prowadzony przez niego ogród stał się znanym i popularnym daleko poza granicami Austrii. Do Ustronia przyjeżdżali uczeni i naukowcy, aby z ks. K. Kotschym prowadzić uczone dysputy na tematy związane z sadownictwem. Ustroniska fara bardzo często była pełna egzotycznych gości. Jeden z tych uczonych, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Ludwik Zejszner tak opisuje w „Bibliotece Warszawskiej” z 1850 roku swój pobyt w 1849 roku w Ustroniu:

(...) Do godnych wzmianki osobliwości Ustronia należy ogród ks. pastora Kotschego, odznaczający się wytwornymi kwiatami. Chociaż już spóźniona pora, (początek wrzeźnia) kwitło mnóstwo pięknych, niezwykłych róż i bratków olbrzymiej wielkości. Ruchy zeszłoroczne (1848) przyłożyły się dziwnym sposobem do wzbogacenia flory ogrodowej w Ustroniu. Ks. Kotschy, powszechnie szanowany w swej okolicy obrany został na deputowanego na sejm we Frankfurcie. Tam mając łatwość podróżowania, zwiedził cenniejsze ogrody niemieckie, belgijskie, francuskie i z niemałym plonem wrócił do domu. W tym roku wielce przyozdobił się ogród jego nieznanymi tutaj kwiatami (...).

Od początku swej pracy w Ustroniu ks. Kotschy dał się poznać jako dobry kaznodzieja i duszpasterz. Mówił językiem ludu. Bardzo często używał porównań obrazowych, wtrącając w nie wyrażenia gwarowe. Takie posługiwanie się miejscową gwarą dowodzi, że w domu mówiono po polsku i czytana była literatura staropolska. W swoich kazaniach karciał niepoprawnych pijaków, cudzołożników czy też gospodarzy wykorzystujących swoją czeladź. Szczególne zasługi położył na polu walki z plagą pijaństwa, jaka szerzyła się nie tylko w Ustroniu. Najbardziej znane jest jego *Kazanie domowe dla tych, którzyby pijaństwa wystrzegać się chcieli* znane bardziej pt. *Gorskie kapki ale zdrowe*. Przytoczone poniżej fragmenty pokazują jakim Kotschy posługiwał się językiem. Zachowana została oryginalna pisownia

Świadectwa wieku starodawnego wychwalają lud polskiego języka w okolicy Państwa Cieszyńskiego mieszkający względem nie jedney zdolności. Wzrost i siłę, owszem i krasę ciała z przymiotami ducha zgodną mu przypisują. Umysł jego śmiały i odważny, wodzom woyska znany. Miłość ku roli serdeczna, bądźby nie mało potu czoła się domagała. Nade wszystko ale ochotą do pobożności i gorliwą przychylność ku religii porządkom kościoła się tykającym (...)

Lecz niestetyż, od niektorego czasu ten lud na duszy i ciele tak pożegnany, oczywiscie z części upadać zaczyna. Sił cielesnych ubywa, zdolności tępieją, duch mężny się traci, rola utraca zacność swą zaczynając być nikomu tylko podrzutem pracy trudney, a pobożność, tu owdy się zda, iakoby iuż kształtem obłudnym odbyć rozumiała; oraz w domostwach powstają niecnoty i zbrodnie. (...) Jawno, ten lud się rozchorował.

Walka z nałogiem pijaństwa nie ograniczała się jedynie do napominania i karcenia z ambony. Jakie były stosowane przez ks. Kotschego metody możemy się przekonać z korespondencji, jaką w tej sprawie prowadził ze swoim przełożonym Seniorem ks. Józefem Schimko w Bielsku. W liście z dnia 30 października 1844 roku pisze:

W 16 niedzielę po Trójcy po kazaniu, w którym poruszono zanik religijności w życiu domowym i kościelnym, wezwał podpisany zborowników do zrzeczenia się w związek wstrzemięźliwości, któryby wspólnie mógł się przeciwstawiać nałogowi pijaństwa, bez względu na mogące nastąpić walki wewnętrzne i zewnętrzne. Po błogosławieństwie końcowym kazał postawić przed ołtarzem stół i położyć na nim księgę, w której mieli się wpisywać współbojownicy i potwierdzić swą decyzję przez podanie ręki pastorowi. Pozyskano tego dnia 435 członków dla życia w trzeźwości i do walki z pijaństwem.

Aż do 21 niedzieli po Trójcy zebrał niżej podpisany 1600 współbojowników do walki z pijaństwem, którzy zdeklarowali swą współpracę przez podpis i podanie ręki.

Odnosi się wrażenie, że budzi się w zborze poważniejsze trzeźwe życie. Dawniej bardzo licznie odwiedzane gospody liczą teraz przy zapowiedzianej muzyce tylko 3 pary taneczne, a szynkarze siedzą w niedziele przeważnie przed drzwiami i rozpiętnują dawne dobre czasy. Rozwiązano też pokątne wyszynki.

Podpisany jest również świadom tego, że dla tego świętego dzieła wyteżył wszystkie swoje siły i dlatego ośmiela się prosić Przewielebny Seniorat, by działał w tym kierunku, żeby i zbory najbliżej jemu położone zostały włączone do tej samej odnowy życia duchowo-religijnego, żeby i nauczycielom szkolnym zostały uchwalone wskazówki na konferencji i podane im do wykonania.

Karol Kotschy

Pastor

W następnym liście do Senioratu z dnia 10 maja 1845 roku ks. Kotschy informuje, że spośród zborowników już 830 mężczyzn i 1.231 niewiast przystąpiło do związku wstrzemięźliwości.

O sile jego przekonywania podczas kazań świadczy fakt, że kiedy w czasie lat głodowych (1845-1847) opuszczone dzieci i sieroty błąkały się głodne i bezdomne po Ustroniu, wygłosił jednej niedzieli tak wzruszające kazanie, że parafianie po jego wysłuchaniu przyszli do niego z postanowieniem zaopiekowania się sierotami. W latach późniejszych (1879) te przygarnięte dzieci, już jako osoby dorosłe, stały się założycielami istniejącego potem przez długie lata Domu Sierot w Ustroniu.

Dzięki ks. Kotschemu zdolni uczniowie ustronńskiej szkoły mogli dalej kontynuować naukę. Należał do nich zamieszkały na Lachowicach Jan Śliwka, późniejszy

autor podręczników szkolnych. Dostrzegł u niego wielkie zdolności i sfinansował jego dalszą naukę w szkołach cieszyńskich. Dzięki zachęce rodziców dalszą naukę kontynuował Jan Drozd, syn rolnika z Hermanic – był zasłużonym nauczycielem i ogrodnikiem w Grodziszczu oraz długoletnim sekretarzem Polskiego Towarzystwa Rolniczego w Cieszynie. Za namową ks. Kotschego chałupnik i hutnik Cholewa posłał swoich trzech synów na dalszą naukę do szkół. Paweł był pastorem w Galicji, a Jerzy i Adam nauczycielami, zapalonymi sadownikami i hodowcami drzewek owocowych.

W okresie Wiosny Ludów, nie z własnej woli, zaplątał się w wir spraw politycznych. Został wybrany zastępczym posłem do Europejskiego Parlamentu we Frankfurcie nad Menem. Rezygnacja jednego z posłów spowodowała, że przypadło mu w udziale zasiadanie w ławach poselskich. Nie interesowały go współczesne spory polityczne, a swój udział w obradach chciał wykorzystać, jeżeli by taka zaistniała potrzeba, do zaprezentowania kwestii wyznaniowych, w zakresie uniezależnienia kościoła ewangelickiego od katolickiego. Mówił o tym w jednym ze swoich wystąpień. To chyba spowodowało, że bardziej skłaniał się w kierunku rozwiązań proponowanych przez stronę niemiecką niż przez habsburską Austrię. Ta drobnostka zaważyła jednak na tym, że po powrocie z Frankfurtu rząd austriacki nie miał już do niego pełnego zaufania. Najbardziej jednak odczuł to jego syn Teodor, który mimo bardzo dużych osiągnięć na polu nauk przyrodniczych nie mógł uzyskać atrakcyjnej finansowo pracy.

Działalność pisarska

To najważniejsza, obok budowy kościoła w Ustroniu, pamiątka po życiu i działalności ks. Kotschego. Pisarstwem zajął się dość późno, kiedy miał prawie 40 lat. Pierwszym utworem jaki napisał był wiersz w języku łacińskim na cześć arcyksięcia Karola Habsburga, kiedy ten po raz pierwszy w 1828 roku odwiedził Ustroń. Był to jedyny jego utwór napisany nie po polsku.

Pierwsze jego utwory pochodzą z 1835 roku, roku rozpoczęcia budowy kościoła, i dotyczą spraw związanych z tym wydarzeniem. Warty przytoczenia w całości jest wiersz, który opisuje historię zbiorowego uczestnictwa i współpracy wszystkich gmin ówczesnej parafii w dziele stawiania nowego kościoła.

*Dom Boży wystawić mamy na ustrońskich łęgach
Śmiało sobie poczynamy w ubóstwa potęgach
Bo wiemy, że nam pomożesz
Który wszystko w świecie możesz
Ty łaskawy Boże*

*Ustronie duchem ochoty tak napelniasz trwale
Że mu dania i roboty ku twej wiecznej chwale
Staną się rozweseleniem
I serdecznym pocieszeniem
Nigdy obciążeniem*

*Gorliwości w Cisownicy wylejesz potoki
I gorliwi robotnicy staną w oba boki
Będą serdecznie pracować
Ofiary ohotnie dawać
Chwałę twą budować*

*Tak Nierodzim, Hermanice obczerstwisz miłością
Miedzyświeć, Wilamowice wesprzesz świętą radością
By wierni zawiadowali
Bud twój szczerze fedrowali
Chwałę twą wspierali*

*Wspominasz z darem ducha twego na członki zborowe
Gdyż dla poświęcenia swego k pracy są gotowe
W Górkach, Lipowcu, Bładnicach,
Na Borze, w Harbutowicach,
Na Breńskich dzielnicach*

*Niebo się nam przypatruje gory poglądają
Jako się kościół buduje, jak nie ustawają
A nad niebem i gorami
Żegna ojciec nad ojcami
Swych swymi darami*

*Nuż daj Panie przez ducha świętego
Byśmy doczekali radości kościoła nowego
Potem puszczasz sługę twego
Kiedyś do pokoju swego
Błogostawionego*

W latach 1844-1847 napisał i wydawał własnym nakładem popularne wtedy na Śląsku ulotki z życzeniami noworocznymi dla zborowników. Związane one były z problemami tamtych czasów: nasilającym się pijaństwem, garnięciem się wiernych do związków wstrzemięźliwości, zachęcaniem w ciężkich latach głodu do wytrwania.

Ważniejszymi od wierszy okolicznościowych i przygodnych ulotek były prace związane z tworzeniem i wydawaniem książek dla ewangelickich szkół wyznaniowych.

Najwcześniej, bo w 1833 roku, ukazał się Katechizm będący równocześnie elementarzem. W liście do Seniora ks. J. Schimko tak go opisuje:

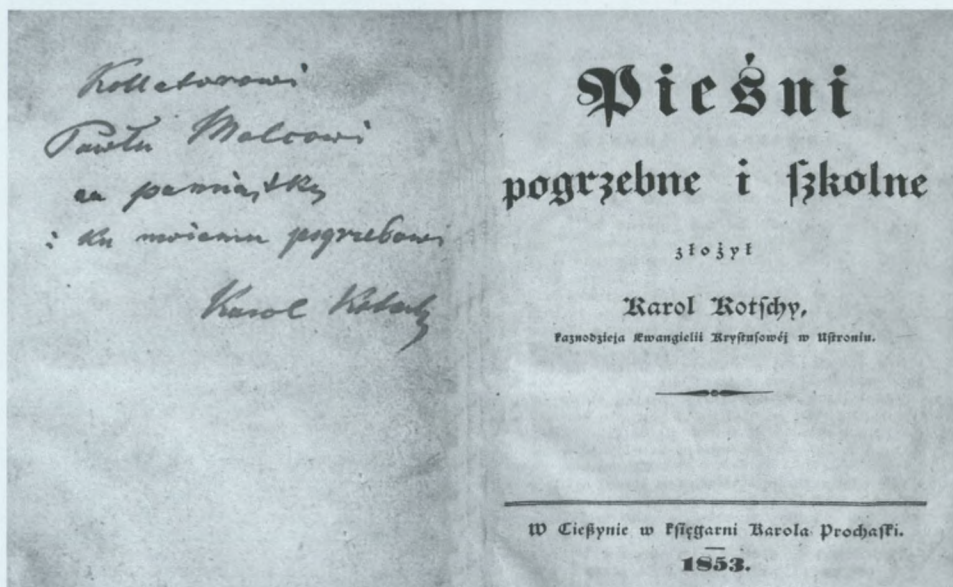
Przesyłam Ci nieraz omawiany Katechizm. Na pierwszej stronie jest krótki elementarz, który w naszych szkołach jest prawie nieznan. Potem następuje sam Katechizm. Oczyściłem treść zgodnie z językiem biblijnym od zwrotów pruskich. Dwa przykazania szkolne. Modlitwa Pańska i tabliczka mnożenia niech pozostaną jako dodatek. Tabliczka mnożenia może być przyklejona na ostatnią stronę.

Ponieważ doświadczenie nas uczy, że pewne czynniki chcą zepchnąć język polski na plan dalszy na rzecz języka czeskiego, to konieczną rzeczą będzie przytoczenie dowodów ukazania się tej książeczki np. że obecnie używany Katechizm musi być sprowadzany ze Śląska pruskiego za drogie pieniądze. Pieniądze nasze wydaje się za granicą, cena nabywanych Katechizmów jest zbyt wysoka, i Katechizm ten zawiera wiele niepotrzebnych rzeczy i to, że ta książeczka zagraniczna, licząc na pewny zbył, sprzedawana jest nieoprawna po 36 krajcarów, podczas gdy książeczka drukowana u nas i na lepszym papierze kosztowałaby tylko 15 kr.

Aby ta książka mogła być wydana jak najtańszym kosztem, każe przygotować papier u nas w Ustroniu, gratisowo zrobię korektę, dam zaliczkę w wysokości 5 florenów na wstępne koszty i myślę, że w ten sposób zrobię to, co należy do mnie.

Karol Kotschy

W 1853 roku w cieszyńskiej drukarni Karola Prochaski ukazało się ostatnie dzieło ks. Karola Kotschego z zakresu prac metodyczno-szkolnych. Były to „Pieśni pogrzebne i szkolne”. W założeniach konferencji pastoralnej w Ustroniu z 1850 roku miała to być praca zbiorowa ks. Karola Kotschego i ks. Wilhelma Raschke z Bystrzycy. Choroba wyłączyła ks. Raschke z prac nad kancjonałem i cały ciężar pracy musiał przejąć ks. Kotschy. Umiejętnie dobrał pieśni z kancjonałów polskich (głównie z kancjonału brzeskiego). Część przetłumaczył z kancjonału ks. Jerzego Trzanowskiego i kancjonałów niemieckich, a niektóre sam ułożył. Kancjonalik „Pieśni pogrzebne i szkolne” był na Śląsku Cieszyńskim pierwszym polskim śpiewnikiem.



Strona tytułowa książki „Pieśni pogrzebne i szkolne” oraz dedykacja autora (fot. M. Pilch)

Jeden ze śpiewników podarował swojemu parafianinowi i umieścił tam następującą dedykację: „Kawalerowi Pawłu Malcowi na pamiątkę i ku mojemu pogrzebowi”.

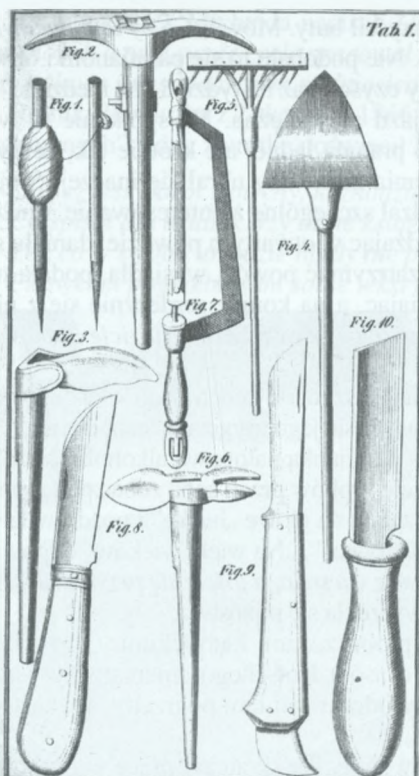
Całkiem inny charakter ma „Książeczka o sadach i owocu względem nabywania, wychowania, użytkowania: z baczeniem osobliwym na położenie klimatu Szląskiego”, wydana w Bernie Morawskim w 1844 roku.

Autor zawarł w niej całą swoją wiedzę na temat sadownictwa jaką zdobył na przestrzeni wielu lat. Na wstępie jest motto: *Nie mów, że już masz wyprawiony grunt twój, póki na nim jeszcze jedno miejsce próżne, gdzie by mogło stanąć drzewo owocowe.*

We wstępie pisze jak doszło do jej napisania:

Wybrałem z kilkuset gatunków, które mi z cudzych krajów dosyłano i pod ręką moją pielęgnowane były do użytku, te z których najurodzajniejsze i najwytrwalsze znajdziesz w książeczce... Każdy sobie wybrać może według upodobania swego zrazy w ogrodach moich w Ustroniu.

W 16. rozdziałach w sposób krótki i zwięzły, prostym językiem, informuje czytelników o wartościach owoców, ich odmianach i podaje sposoby pielęgnacji, zwracając uwagę na ich wartość przerobową.



Książeczka

o sadach i owocu

względem nabywania, wychowania,
pożytkowania; z baczeniem osobliwym
na położenie Klimatu Śląskiego,

pisał

Karol Kotschy.



W Bernie 1844.

Drukiem wdowy Stubelsof Kührera.

Strona tytułowa „Książeczki o sadach i owocu” oraz fragment jednej ze stron (fot. M. Pilch)

W książeczce czytelnik mógł znaleźć nie tylko informacje jak sadzić i pielęgnować drzewa owocowe. Były tam także porady kiedy i jak zbierać plony, i jak je przetwarzać, i jakich narzędzi należy używać. Jest tam także przepis jak zrobić powidła: *Powidło najzwyczajniej z śliw się warzy. Czym lepiej dojrzałe, tym zacniejsze. Warzą się śliwy na kotle, mieszając je ustawicznie by nie przygorzały, a tak długo, ażby kawałek na warzechę wzięty mocno się jej trzymał nie ciągnąc się w dół. Z gruszek obtupanych, wykrojonych też nagotujesz powidła pysznego słodkiego, gdybyś je w soku gruszanym tym samym sposobem do gęstości warzył.*

Umiał zachęcać do sadownictwa i do pracy w ogrodzie. Zimą, kiedy przychodził do szkoły na lekcje religii, przynosił ze sobą koszyk pełen pięknych jabłek, a pokazując je dzieciom, mówił: *Patrzcie dzieci, nie prawda, że piękne jabłuszka, przyniosłem je dla was. Teraz uczcie się pilnie, a na wiosnę pójdziemy do ogrodu, a ja wam pokażę i nauczę was, jak się to robi, aby drzewo z takimi owocami urosło.*

Książeczka ta stała się podręcznikiem dla wielu następnych pokoleń naszych sadowników. O jej aktualności może świadczyć fakt, że w 1975 roku prof. Pieniążek z Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach wydał ją w formie reprintu.

Ks. Karol Kotschy był człowiekiem niezwykle skromnym. Każdy kto przyszedł na ustrońską farę był zawsze gościnnie przyjmowany. Mimo wielu obowiązków zawsze potrafił znaleźć czas dla każdego, kto interesował się sadownictwem.

Skromnością graniczącą z niedbalstwem odznaczał się ubiór ks. Kotschego. Dłu-

goletniemu parobkowi nie pozwalał, aby mu czyścił buty. Mówił: *Co by tam pucował, niech idzie do ogrodu i robi co pożytecznego*. Nie podobało to się parafianom i obwinieli za to parobka. Wtedy to pozwolił mu buty czyścić raz na tydzień „na niedzielę”.

Kiedyś do Cieszyna zapowiedziała przyjazd arcyksiężna. Na spotkanie to wybrał się także ks. Kotschy. Ubrał spodnie co prawda ładne, ale krótkie tak, że było widać kopytka. Na nic się zdały przekonywania żony, aby ubrał się inaczej. Stojąc w szpalerze elegancko ubranych gości wzbudzał szczególne zainteresowanie. Ludzie śmiali się z jego ubioru. Arcyksiężna przejeżdżając w otwartym powozie kłaniała się na wszystkie strony. Przy Kotschym kazała zatrzymać powóz, wysiadła, podała mu rękę, przeszła z nim kawałek żywo rozmawiając, a na koniec serdecznie się z nim pożegnała. Wtedy Kotschy odchodząc, powiedział z uśmiechem: *Widzicie ludkowie, że człowiek więcej wart, niż szpatne galaty*.

Krażyło o Kotschym wiele anegdot. Jest to najlepszym dowodem jego wielkiej popularności i faktu jak głęboko w wyobraźnię ludu wryła się jego oryginalna osobowość.

Pewnego razu Kotschy spotkał się ze swoją parafianką nałogową alkoholizką. Kobieta wracała z wesela o zmroku. Gdy kilkanaście kroków przed sobą zobaczyła gromociela pijaństwa, aby nie zostać rozpoznaną, narzuciła na głowę „hackę” i pozdrowiła go po katolicku „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. „Na wieki wieków” odpowiedział Kotschy i dodał: *Witom was Stecko, dziepro z wiesiela, a toście się przybawili?* Po tym spotkaniu, jak opowiadali ludzie, kobieta wyrzekła się pijaństwa.

Żył w zgodzie i przyjaźni z ustrńskimi proboszczami katolickimi. Odwiedzali się wzajemnie i świadczyli sobie usługi. Za czasów Kotschego cmentarz był jeden – katolicki. Nieraz zdarzało się, że równolegle odprawiali tam pogrzeby, a wtedy po ich zakończeniu nawzajem się odprowadzali.

Był wielkim amatorem kręgielni. Często w lecie, jak skończył pracę w ogrodzie, wybierał się w górę Ustronia do tzw. „traktyerni”, gdzie z letnikami grał w kręgle do późnego wieczora. Uwielbiał też jazdę konną. Można było go spotkać na Równicy i Czantorii. Odwiedzał tamtejsze sałasze, aby posmakować żętycy, którą bardzo lubił. Pił ją codziennie przy śniadaniu, a dostarczali mu ją na farę parafianie – właściciele sałaszy. Jego pasją były także ptaki śpiewające. Pełno ich było nie tylko w ogrodzie, ale także w jednym z farskich pokoi.

Jeszcze za życia, a szczególnie po śmierci pojawiały się głosy dotyczące jego orientacji politycznej. Głosy takie odzywały się do czasu, kiedy w sprawie tej zabrał głos Jan Wantuła, pisząc:

Kotschy nad podziw rozumiał ducha czasu, i wiele z nowych ideałów było jego poglądem na życie i sprawy. Jego patriotyzm austriacki wcale nie był gorętszy od austrofilstwa choćby Stalmacha – jenoże ten ostatni miał zabarwienie słowiańskie. Kotschy, gdyby był młodszy, a żył jeszcze ze trzydzieści lat, byłby takim Polakiem jak ks. Jerzy Heczko, wydawca Kancjonału lub ks. Jerzy Janik. Od ludzi wychowanych w szkole o duchu niemiecko - austriackim, trudno wymagać więcej zamilowania do swojszczyzny śląsko - polskiej. Chciał ten lud wychować, oświecić i podnieść moralnie i materialnie, to też nie poprzestał na kazaniach, ale zaczął pisać i wydawać dziełka dla polskiego ludu – na rozmaite tematy (...).

Ks. Karol Kotschy zmarł w czasie kazania w dniu 9 lutego 1856 roku. Spoczywa na miejscowym cmentarzu katolickim, wtedy jedynym i wspólnym.

Po jego śmierci „Gwiazdka Cieszyńska” napisała: *Odszedł jeden z najznakomitszych w uczonym świecie mężów naszej krainy*.

Ks. Franciszek Michejda napisał: *On umiłował ten lud, znał jego język i chętnie nim mówił, a całe swoje życie pracował nad jego religijnym, moralnym, oświatowym, kulturalnym i gospodarczym podniesieniem.*

Rolnik Hławiczka z Żukowa w 1866 roku w „Lamentacjach nad siedmiu zmarłych duchownych” jedna zwrotkę poświęcił Kotschemu:

*Gdzież jest Karol Kotschy, kaznodziej ustroński,
Co spisał dla dzieciak trzy użyte książki?
Ten co w swoim urzędzie nigdy nie próżnował
I k swemu pogrzebu sam sobie tekst obrał.*



Nagrobek ks. Karola Kotschego (fot. M. Pilch, 2007 r.)

Bibliografia:

- J. Wantula. Rodzina Kotschych ustrońskich. Z archiwum Urszuli Wantuły-Rakowskiej.
J. Broda. O ustrońskim samotniku. Odczyt wygłoszony w PTEw. w Ustroniu w czerwcu 1985.
F. Michejda. Ks. Karol Kotschy. Cieszyn 1906.
Ks. W. Raschke. Kazania na lekcye niedzielne i świąteczne. Cieszyn 1888, s 568-576.



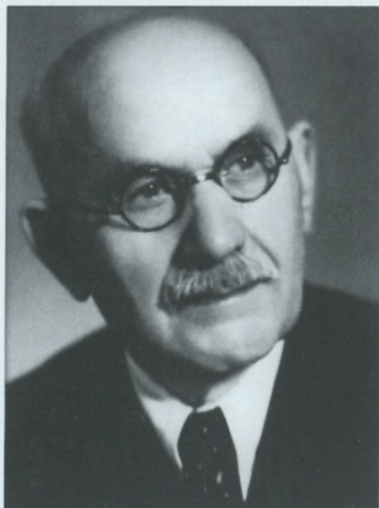
Mgr inż. Michał Pilch – absolwent Wydziału Elektrycznego Politechniki Śląskiej w Gliwicach, który ukończył w 1962 roku. Po studiach rozpoczął pracę w Fabryce Maszyn Elektrycznych CELMA w Cieszynie. Następnie pracował w Branżowym Ośrodku Badawczym – Rozwojowym KOMEL w Katowicach, Oddział Zamiejskowy w Cieszynie, a potem w firmie ELEKTRONARZĘDZIA „CELMA” w Golezowie. Działacz PTTK – długoletni Wiceprezes Oddziału PTTK „Beskid Śląski” w Cieszynie. Obecnie emeryt, posiada własną firmę zajmującą się doradztwem i wdrażaniem systemów jakości oraz przewodnictwem. Od 1992 roku należy do Towarzystwa Miłośników Ustronia, a aktualnie sprawuje funkcję Wiceprezesa Zarządu.

Jest przewodnikiem beskidzkim z uprawnieniami na całe polskie Beskidy oraz Honorowym Przewodnikiem Górskiej Odznaki Turystycznej (GOT).

Alicja Michałek

Mniej znana działalność księdza Pawła Nikodema

Ksiądz Senior Paweł Nikodem... Doskonały kaznodzieja, zaangażowany organizator, oddany społecznik, znakomity mówca, szeroko znany nie tylko w środowisku ewangelickim. Oczywistym faktem jest, iż na szeroko rozumianą pomoc tego wybitnego duszpasterza liczyć mogli Ci, którzy tylko jej potrzebowali. Niemniej jednak nie każdemu wiadomo, iż Paweł Nikodem posiadał również wykształcenie prawnicze, które sprawiało, iż wsparcie, jakie dawał wiernym było jeszcze bardziej cenne, a porady księdza Seniora rozstrzygały najbardziej zacięte spory.



*Ks. Senior Paweł Nikodem (1878-1954)
– teolog i prawnik
(fot. ze zbiorów Muzeum Ustronia)*

Dzięki inicjatywie pana Michała Pilcha z Towarzystwa Miłośników Ustronia udało mi się dotrzeć do protokołów spraw, które ksiądz Senior rozstrzygał w kancelarii Ewangelickiego Urzędu Parafialnego w Ustroniu. Sprawozdania pisane są rzetelnie, szczegółowo, trafnie obrazując realia lat 20. ubiegłego wieku, kiedy to zostały sporządzone. Dotyczą w dużym stopniu spraw majątkowych – podziału ziemi, kwestii jej przekazania dzieciom, międzysąsiedzkich sporów gruntowych. Niektóre relacje z pertraktacji ciągną się całymi stronkami, są pełne liczb i niedotrzymanych zobowiązań. Kolejną, niezmiernie burzliwą tematyką są konflikty małżeńskie, których wówczas nie brakowało. Był to czas, kiedy, przynajmniej na piśmie, nad miłością zdawały się górować kwestie wiana i zapisu poszczególnej ilości morgów i jochów. Do tego dochodziła wymowa rodziców i teściów, zatem o konflikty w wielopokoleniowych gospodarstwach nie było trudno.

Ksiądz Nikodem wysłuchał każdego potrzebującego, protokółując wiele skarg – tych błahych i tych poważnych, a nieraz i tragicznych. Zawsze dążył też do sprawiedliwych rozwiązań, satysfakcjonujących obie strony. Podpowiadał parafianom co robić, by zażegnać konflikt, otwierał ich oczy na kwestie, jakich nie byli świadomi. Jednakże złoty środek nie zawsze zostawał osiągnięty.

Warto zwrócić uwagę także na jeszcze jeden istotny aspekt – niezwykle autorytet, jakim cieszył się duszpasterz nie tylko w Ustroniu. Dzięki bezwzględnemu respektowi, poważaniu i niezmiennej wierze w trafność opinii księdza – prawnika sądowa droga rozstrzygnięcia konfliktów okazywała się niepotrzebna.

Poniżej cytuję kilka protokołów, starając się zachować przejrzystą egzemplifikację, gdyż wiele spraw jest do siebie podobnych. Oryginalne zwroty zostały zachowane.

**Protokół pojednania małżeńskiego spisany dnia 18 grudnia 1925 r.
w Ewangelickim Urzędzie Parafialnym.**

Małżonek Sikora Paweł opuścił swą żonę Zuzannę dnia 18 listopada 1925 r. i zabrał z sobą połowę żywności i wszystkie meble i sprzęty, które sam sprawił. Powodem odejścia było ustawiczne zarzucanie mu niewierności małżeńskiej, do której się nie przyznaje. Żona zarzuca mężowi, że smykał się po nocach i marnił pieniądze. Gdyby te dwa powody ustały, mogliby razem dobrze i szczęśliwie żyć.

Zatem powstaje następujący pakt zgody małżeńskiej:

Mąż żąda:

1. Aby mu żona nie ubliżała na czci/ nie zarzucała cudzołóstwa. A jeżeliby bez powodu ubliżała, ma ją mąż prawo nawet cielesnie ukarać
2. Aby porządek prowadziła, jak się na żonę należy, a mianowicie utrzymywała czystość w pomieszkaniu, odbywała bydło, trzymała dzieci w porządku, czyściła mu i reperowała bieliznę i ubrania do roboty i szanowała swoich ubiorów
3. Gdyby żona coś z tych warunków nie wypełniała, ma ją mąż prawo napomnieć, a żona ma go posłuchać

Do tego dodaje mąż jeszcze jeden warunek, a mianowicie, że żona ma w polu wszystko robić, co na żonę i gospodynię przynależy.

Żona żąda:

1. Aby mąż żył z nią w małżeństwie tak jak jej ślubował
2. Aby się po nocach nie smykał, ale przychodził do domu
3. Aby pieniądze dał na co potrzeba, szczególnie na wychowanie i ubranie dzieci
4. Aby się starał o całe utrzymanie życia i domu jak na męża przystoi

Po przeczytaniu tych wzajemnych warunków oświadczają obaj małżonkowie, że je w zupełności przyjmują i dotrzymywać będą, co stwierdzają własnoręcznym podpisem. Gdyby mimowolnie i naumyślnie warunków tych nie wypełniali, albo innym sposobem przyczynili się do uprzykrzenia życia drugiemu i rozłamowi małżeńskiej zgody, przyjmują na siebie w zupełności wszelką odpowiedzialność. Szczególnie gdyby nie dotrzymali wzajemnego sobie danego przed ołtarzem przyrzeczenia małżeńskiego i małżeńskiej wierności, przyjmują na siebie wszelką odpowiedzialność. Przy tem dodaje mąż, że jeśli żona dowiedzie mu cudzołóstwa, on oddaje jej swą połowę gruntu bezpłatnie.

**Protokół, spisany w ewangelickim Urzędzie Parafialnym w Ustroniu
dnia 17 stycznia 1925 r. Obecni podpisani:**

Paweł Golec, zagrodnik w Ustroniu nr 392, przyprowadził Karola Poloka, byłego wychowanka Domu Sierot w Ustroniu. Ten opowiada:

Dnia 17 kwietnia 1923 r. uciekłem z zakładu spowodu tego, że ukradłem 200 Mp i kupiłem sobie za nie cukierków, a ponieważ mnie potem posłano po te 200 Mp do Scharberta, a ja nie miałem cukierków zwrócić, uciekłem w stronę Skoczowa. W Hermanicach obok krzyża spotkałem furę, jadącą do Skoczowa, wsiadłem na nią i jechałem aż do miasta. Tak błąkałem się, aż mnie niejaki Romanek zaprowadził do Lemana, powroźnika w Skoczowie. U niego byłem 2 tygodnie, pomagałem staremu Lemanowi kręcić powrozy. Do szkoły nie chodziłem. Po dwóch tygodniach uciekłem, bo starzy Lemanowie spórni i wadzili się. Szedłem szukać służby. Na moście w Skoczowie spotkałem chłopca, który mi dał chleba i zaprowadził mnie do Brennej do Moskaly na starą drogę. Tam byłem aż do Jakóba 1924. W tym czasie wróciła ich córka Zuzanna do domu i mnie Moskala posłał aż idę dokąd chcę. Dał

mi surdut, walcuszki, koszulę i starą czapkę. Do szkoły tam nie chodziłem nic. Od niego poszedłem do Gruszczyka koło kościoła katolickiego w Brennej. Stamtąd zaprowadził mnie Gruszczyk zaraz wieczorem do Wisły, do Greni Jana w Tokarni. Tam byłem od Jakóba 1924 do 2 stycznia 1925. Do szkoły nie chodziłem. Dali mi tam spodnie, 2 koszule, mykę starą, stare kopyca i stare kierpce. 2 stycznia 1925 przyszedł po mnie Paweł Golec i zabrał mnie do siebie na służbę. W Brennej i na Wiśle pasłem krowy, w ziemie młotem i pomagałem w gospodarstwie. Legitymacyj nie miałem żadnych, mówiłem, że jestem rodem w Trzyńcu i mam 14 lat. (dopisek: we wszystkich służbach miał wszy).

N^o 26

Protokół przedślubny
spisany dnia 27. X. 1927.

obem: Hławiczka Paweł, submitt w kofir-
mie N^o 292. Sikorowa Zuzanna, żona uwi-
nogo w Ustroniu i p.

Hławińska Paweł oświadczają: że da synowi
Karolowi 2000 zł. dwadzieścia sztuk
które wypadai w razie śmierci piemiędzy
mija da 2 lat do dokoń, i spoceni wesele.

Sikorowa Zuzanna oświadczają w owoji
i usziw inieim, że da dary cenne
Hławińcu oświadczają, że poroada na wofime
imie z mowgi jowa w Galenim ju Polesen
- pny wrole - i to jule dady cenne, manqy
ktora jui ma, a rżwa koutawa 500 zł, wypr
Pa wyprawę i spoceni wesele
w Ustroniu dnia 27. X. 1927.

Hławiczka Paweł.
Sikorowa Zuzanna

Protokół przedślubny spisany dnia 27 października 1927 r. pomiędzy Pawłem Hławiczką z Ustronia – ojcem narzeczonego Karola Hławiczki oraz Zuzanną Sikorową – matką narzeczonej Zuzanny Sikorówny (dokument udośćpniał Michał Pilch)

**Protokół spisany w Ewangelickim Urzędzie Parafialnym
w Ustroniu dnia 2 września 1920 r. między podpisanymi małżonkami.**

Przedmiot: Dnia 1 września przyszła do podpisanego Urzędu Zuzanna Drozdowa i skarżyła na męża, że ciężko przy nim żyć...

Zawezwani odstawili się obaj i przed podpisanym wymówili.

Mąż żąda od swej żony niczego innego, tylko tego, żeby złości swej na niego, jeżeli ją rozgniewa nie zatrzymywała długo, jak to czyni obecnie gniewając się całe tygodnie.

Żona żąda od swego męża niczego innego, tylko żeby ją usłuchnął, kiedy go o co prosić będzie i żeby ją nie traktował jako służącą.

Obaj zgadzają się na te żądania uznając je za słuszne i przyrzekają je wypełniać.

Podpisany daje im tej rady, aby wszystko dobre i złe co tylko będzie między nimi wypowiedzieli sobie bez świadków i starali się dążyć do tego, żeby świat myślał, że oni są najszczęśliwszym małżeństwem, żeby starali się każdy dzień poświęcić choćby parę minut im samym, traktując stan małżeński jeszcze calej, jakby byli narzeczeni.

Układ pomiędzy Pawłem Szklorzem a jego żoną Maryanną, spisany w Ewangelickim Urzędzie Parafialnym w Ustroniu dnia 3 kwietnia 1921 r.

Paweł Szklorz dał swej żonie 1500 koron austriackich, z których wyłożyła 30 zł, na siedził Cieślarowi 30, Pinkasowi 30, a na kranz na blachę 25 zł, resztę wydała na potrzeby domu i na podróże do roboty i na pogrzeb dziecięcia.

Obaj zgadzają się, że kupu teraz nie będą pisali, bo pisanie kosztuje wielkie pieniądze, ale jak go będą pisali, to go dają na poły albo dają pieniądze które dał albo które da i które się nie wypotrzebują zaiścić.

Szklorz będzie chodził do roboty do Trzyńca i będzie dawał pieniądze żonie, a ona je zapisywać musi wiele i gdzie co daje. Żona mu przyrzekała wierność i dobroć. On jej nigdy nie będzie przezywał, ale się z nią obchodził spokojnie i dobrze.

Sądzić się nie będą, boby przesądzieli co mają.

Gdyby jeszcze powstały nieporozumienia między nimi, to powiedzą je pierwszemu księdzowi. Tą ugodę podpisują i zawierają ją pod nową przysięgą i uważają ją jako nowy ślub.

Protokół spisany w Ewangelickim Urzędzie Parafialnym w Ustroniu dnia 15 sierpnia 1924 r.

Paweł Cieślar, robotnik leśny w Ustroniu 204, podaje: dnia 1 sierpnia 1924 r. byłem rano o 6 godzinie po akuszerkę Ewę Czakon w Ustroniu, prosząc ją do mojej żony. Akuszerka Ewa Czakon powiedziała, że ma chłopca, którego nie może nikomu zostawić i dla tego nie może iść i nie pójdzie. Radziła iść po Polokową na Polanę. Ewa Czakon oczywiście nie poszła. Byłem też po Gojkę, ale tej nie było w domu, była w Hermanicach.

Protokół ugodowy, spisany w ewangelickim Urzędzie Parafialnym w Ustroniu, dnia 8 marca 1926 r. w obecności niżej podpisanych:

Małżonkowie Jerzy Wantulok i Zuzanna z domu Sikora brali ślub 14 kwietnia 1918. Od dnia ślubu aż do dziś byli najwięcej 8 tygodni razem, resztę żyją osobno. Na pytanie, z jakich powodów Jerzy Wantulok nie żył z żoną, podaje:

- 1. Że nie miał u niej żadnego porządku ani jeść nie otrzymał, także sobie musiał gotować w innym domu albo brać wikt od pracodawcy Kowali*
- 2. Że ona w dzień ślubu Pawła Cichego płakała nad tem, że popełniła głupstwo, bo sobie zabrała starego męża, a potem szukała towarzystwa innych mężczyzn, z bezszelerami chodziła po nocach, obcych mężczyzn przyjmowała u siebie wieczorem i w nocy*

3. Miała jako ślubna żona dwoje nieślubnych dzieci

4. Ona nie ma dla niego żadnej miłości i czyni mu pobyt z nią niemożliwy przez ustawiczne krawale („pyskowanie”)

Na pytanie, czy Jerzy Wantulok ma nadzieję, że jeszcze kiedy zejdą się i będą razem żyli, odpowiada, że on nie będzie z nią żyć, bo dłużej cierpieć nie chce.

Natomiast podaje jego żona Zuzanna:

1. Że mąż jej nie dawał jej nigdy żadnych pieniędzy, ale je zamykał w własnym kuferku z czego wnioskowała, że nie ma żadnej miłości do niej

2. Że nie chciał pozostać u Kowalów, ale zawsze chciał iść gdzieś indziej do pracy i na pomieszkanie, a ona nie chciała iść za nim, ponieważ tam u Kowalów jest zagospodarowaną i tam ma chleb

3. Że z nią nie żył jako mąż

Do tego podaje Jerzy Wantulok, że on chciał ją wyciągnąć z nierodzimego towarzystwa złego – a ona z nim iść nie chciała. Zuzanna Wantulok chce żyć z mężem. Natomiast jak mąż chce rozwód, niech jej płaci.

Przyprowadzona przez Jerzego Wantuloka jako świadek Anna Cichy z Ustronia nr 77 stwierdza, że Wantulokowie namówili się tylko przez pisma, że Wantuloczka huknęła się z bezszelarami często i poszła z jednym wieczorem, a wróciła dopiero o trzeciej, a kiedy jej świadek radził wziąć do towarzystwa swego męża Cichego, nie godziła się Wantulokowa na to.

Świadek widzi, że miłości między Wantulokami niema, natomiast jest wstręt, z powodu którego małżonkowie nie zejdą się więcej.

Wobec tego, że małżonkowie z 8 lat swego małżeństwa byli razem ledwie 8 tygodni, nie ma żadnych nadziei, żeby jeszcze kiedy szczęśliwie razem żyli.

Świadek Anna Cichy dodaje jeszcze, że ojciec Jerzy Wantulok poznał od roku niejaką Annę Nowotną, którą pokochał i którą by chciał wziąć za żonę.

Między temi dwoma istnieje prawdziwa platoniczna miłość, ale z powodu jej ojciec z Zuzanną Wantulokową szczęśliwie więcej żyć nie będzie.

Stwierdza się, że ślub Wantuloków był dnia 14 kwietnia 1918. pierwsze nieślubne dziecię Zuzanny Wantulok imieniem Karol narodziło się dnia 14 kwietnia 1919 drugie – Helena dnia 31 marca 1922.

Uгода małżeńska nie nastąpiła.

**Protokół, spisany w Ewangelickim Urzędzie Parafialnym w Ustroniu
dnia 12 maja 1924 r. z Anną Kluzową z Lipowca, nr 114.**

Anna Kluz była już dnia 11 maja u podpisanego i podała, że ją mąż jej bez powodu zbił, że od dłuższego czasu już nie żyją w zgodzie, ale ciągle powtarzają się sceny nie-miłe. Powodem jest niezyczliwość Kluzy do jej najstarszego dziecięcia i brak zajęcia męża, który nic nie zarabia, a jeszcze popija. Odkąd wysiedział za kradzież 3 miesiące, jest jeszcze gorszym. Ostatni raz, 10 maja, zbił ją również z tego powodu, że go rzekomo dziecię jej z pierwszego małżeństwa okłamała, co nawet nie było prawdą.

Kluzowa byłaby zdania żądać rozwodu.

Zawezwany listownie mąż nie zjawił się.

Zadecydowano: protokół zostawić w kancelarii parafialnej. Żona jeszcze będzie wyczekiwała cierpliwie, czy sam fakt wezwania go do mnie i spisania protokołu nie wywrze nań wrażenia i nie opamięta go. Kluzowa miała czarny siniąc pod lewym okiem, miała spuchnięte uszy i na czole guz i na łopatce guz, szyję spuchniętą.

**Protokół spisany w ewangelickim Urzędzie Parafialnym w Ustroniu
dnia 4 września 1924 r.**

Na żądanie Ewy Drozdowej zwołałem ją i jej męża Pawła w celu ugody małżeńskiej. Od dłuższego czasu żyją źle, bardzo źle. Ciągłe zwady i kłopoty. Mąż pije, a przyszedłszy do domu robi krawale. Ona uciekać musi od niego. Życie nie do wytrzymania. On podaje jako powód tego, że pije, że żona go zadziubuje i że od niego ucieka. Ona podaje jako powód uciekania, że się go boi i że po pijanemu robi krawale.

Wyrażono wspólnie nadzieję i wolę, że można razem żyć jeżeli on przestanie pić, a ona przestanie go zadziubować.

Ona godzi się na to i przyrzeka mu być pod wszelkich względem pomocna, by nie pił i nie odczuwał potrzeby pójścia do gospody. On oświadcza, że już wczoraj rzekł sobie, że dalej pić nie będzie i że tego dotrzyma.

Po tym przyrzeczeniach powzięto nowe zaufanie do siebie i małżonkowie odeszli zgodnie do domu.

**Protokół spisany w ewangelickim
Urzędzie Parafialnym w Ustroniu
dnia 9 października 1927 r.**

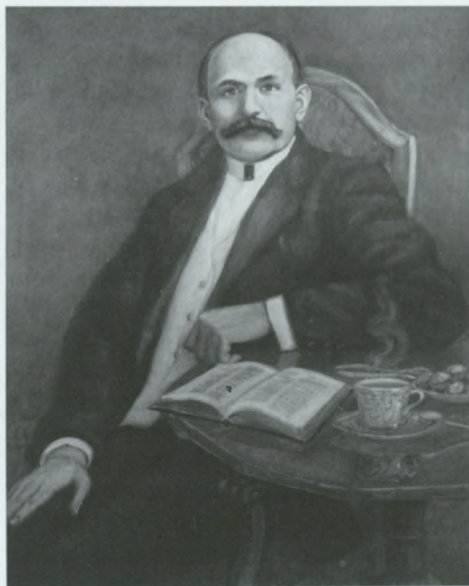
Obecni:

*Cichy Paweł, chałupnik w Ustroniu
284 i Lipowczan Jerzy, Goleiszów 214.*

Lipowczan Ludwik syn Jerzego bierze sobie córkę Cichego - Zuzannę. Lipowczan Jerzy oświadcza, że posiada w Goleiszowie 214 grunt chałupniczy i 7,2 morgi pola i ten grunt chałupniczy daje synowi Ludwikowi za 8 tys. zł, które spłacić powinien ojcu do pięć lat od dziś. Grunt odda ojciec synowi po pięciu latach od dziś. Co pięć lat gospodarować będą wspólnie. Na wymowę pozostawi sobie ojciec 2 i pół morgi ziemi. Cichy Paweł oświadcza, że da córce 6 tys. złotych do pięć lat od dziś, krowę, świnie, zwykłą wyprawę i sprawi wesele. Cichy powinien spłacać córkę według możliwości już od wesela, a syn Ludwik powinien spłacać grunt już od wesela według możliwości.

Cena rozumie się w złotych obecnej wartości.

Sprawy sporne rozstrzygać będzie sąd polubowny.



Portret ks. Seniora Pawła Nikodema (olej na płótnie o wymiarach 100 x 70 cm) namalowany w 2004 r. przez Iwonę Dzierżewicz-Wikarek (fot. M. Pilch, 2007 r.)

**Protokół spisany w ewangelickim Urzędzie Parafialnym w Ustroniu
dnia 6 listopada 1929 r.**

Obecni: Ks. Paweł Nikodem, Paweł Sikora z Ustronia 234, Anna Sikorowa z Goleiszowa nr 245 i Anna Bujok z Cisownicy nr 98.

Anna Sikorowa oświadcza jako matka Jana Sikory, który bierze sobie Marjan-

nę Bujokównę, że posiada grunt chatupniczy w Goleszowie Równi, składający się z domu mieszkalnego surowego i zabudowań gospodarczych i 3 i pół morgi pola na własność. Oprócz tego syn posiada joch pola, który zapłacili z matką wspólnie – bo matka dała tysiąc zł zaraz na początku i dalej razem z synem opłacała.

Sikorowa ma sześcioro dzieci. Jan jest najstarszym.

Sikorowa da synowi Janowi swą posiadłość całą za 7 tysięcy po 5 latach od ślubu. Aż do pięć lat utrzymywała będzie matka gospodarstwo sama, jednak da synowi zaraz po ślubie jeden pokój i komórkę na kuchnię, miejsce na krowę w chlewie, miejsce na świnię i oprócz tego jednego jochu na niego zapisanego jeszcze pół do użytkowania.

Matka da to synowi bezpłatnie pod tym warunkiem, że jej będzie pomagał gospodarować. Syn winien zapłacić należność zaraz po otrzymaniu kupu albo będzie musiał płacić zwykłe bankowe odsetki.

Matka da sobie zapisać wymowę, której rozmiary oznaczy przy kupie.

Bujokowa Anna oświadcza, że da córce zwykłą wyprawę, sprawi wesele, da dwie krowy, a zwłaszcza jedną na wiosnę 1930, a drugą, gdy przejmie gospodarstwo syn, jedną świnię i 4 tysiące złotych. Czas spłaty jeszcze zostanie umówiony.

Gdyby potrzeba jeszcze dalszych postanowień, zbiorą się strony w Ewangelickim Urzędzie Parafialnym, omówią je i spiszą. Gdyby wynikły sprzeczki, rozstrzygać je będzie sąd polubowny prezbiterstwa ustrońskiego.

Umowa przedślubna

Do podpisanego ewangelickiego Urzędu Parafialnego przychodzi pan Edward Suskiewicz, funkcjonariusz kolejowy w Potoku Wąskim zamieszkały i oświadcza:

Mój syn Eugeniusz Suskiewicz ukończył 5 klas gimnazjum w Staszowie, poczem poszedł do rocznej szkoły leśniczych w Zagórze, a następnie poszedł do Tomaszowa – Istebnego i Ustronia na posadę.

Na studiach utrzymywałem syna sam.

Ponieważ mamy sześcioro dzieci – jednego syna i pięć córek, z których trzy są zamężne, a dwie jeszcze pannami, a sam jestem funkcjonariuszem kolejowym pobierającym zaledwie dwieście i kilka złotych miesięcznie, nie mogę synowi dać niczego więcej ponad to, co mu już dałem, i też niczego mu nie przyrzekam. Natomiast też na pomoc syna jakkolwiek nie liczę.

Co do majątku narzeczonej stawia podpisany następujące propozycje:

Niech państwo Makulowie przepiszą już obecnie swą posiadłość na Suskiewiczów wspólnie, połowę dochodów pobierają młodzi a połowę rodzice, dzieci nie śmią niczem majątku obdłużyć aż do śmierci rodziców ani jej też sprzedać. Cenę spłaty mają ustanowić Makulowie.

P. Makulowa stawia propozycję następującą:

Majątek rodziców będzie należał do Suskiewiczów, spłatę Annie naliczą eksperci, a rodzice będą za życia pomagali dzieciom według sił i możliwości.

Podanie:

Dnia 10 marca 1927 r. przychodzi do Ewangelickiego Urzędu Parafialnego w Ustroniu Paweł Śliwka, rolnik z Górek Wielkich nr 34 i prosi o interwencję w sprawie małżeńskiej, podając, że żona jego Anna z Cholewów opuściła go już od przeszło tygodnia.

Protokół

majątkowy przedślubny, spisany
w Ewangelickim Urzędzie Parafialnym
w Ustroniu.

Obecny: Jerzy Śliwka z Cisownicy 83 osiwiadcza, że odda synowi Jerzemu grunt z 14 ha za 10,000 zł. Jerzy Śliwka kastrzeża sobie wymowę z tego gruntu. Wskazuje ^{opłaty} rok 1930 zobowiązuje się uiszczyć ojciec.

Paweł Gluza oswiadcza że da córce Ewie 3000 zł, ~~zawazem~~ 2000 zł zaraz po weselu, a 1000 zł po Nowym Roku, 2 krowy i 1 świnię. Wesele odprawia każdy ze swej strony.

W Ustroniu, dn. 10. października 1930.

Jerzy Śliwka
Paweł Gluza

Protokół majątkowy przedślubny spisany dnia 10 października 1930 r. pomiędzy Jerzym Kłodą z Cisownicy – ojcem narzeczonego Jerzego Kłody oraz Pawłem Gluzą – ojcem narzeczonej Ewy Gluzianki (dokument udostępnił M. Piłch)

Po wysłuchaniu jego żalów i zdania poszedłem zaraz osobiście do Cholewów w Ustroniu nr 325. Po dłuższej rozmowie z matką i córką przyszedłem do przekonania, że powodem sporów i niesnasków domowych i powodem odejścia żony z domu jest

1. Fakt, że Śliwkowie domagali się słownie, albo przynajmniej niedwuznacznie dawali poznać, żeby Cholewowie chcieli dać nareszcie przyobiecanych 2000 zł
2. Że Cholewowie pieniędzy postanowili nie dać, a żeby ojciec Śliwki zrobił z gruntem porządek, ponieważ przykład Kuboka – Kocjana podziałał na nich odstrasząco
3. Że na tem podłożu powstawały drobne usterki ze strony i winy wszystkich które jednak po usunięciu powodu powinny same zniknąć

Postanowiłem zwołać Śliwków i Cholewów na niedzielę dnia 13 marca 1927 do szkoły po nabożeństwie. Do rady prezbiterialnej powołałem listownie Pawła Golca, Morysa i Puczkę Adama z Cisownicy. Cholewowie i Śliwkowie mieli przyjść bez osobnego zaproszenia.

W niedzielę 13 marca 1927 odstawili się Paweł Śliwka z Wielkich Górek z rodzicami i Anna Śliwkowa rodz. Cholewa z rodzicami.

Z prezbiterstwa przyszedł tylko Paweł Golec. Dobrano Adama Sikorę z Hermanic. Zebranie trwało od 1. aż do 1/2 4. Zebrani wypowiedzieli swe żale i życzenia otwarcie i szczerze.

Odkryły one następujące niedomagania.

1. Ojciec Jerzy Śliwka nie chciał dać synowi kupu, choć mu odstąpił zupełnie gospodarowanie na gruncie. Powodem była obawa, by po wydaniu wszystkiego z ręki nie uciskano go i nie obchodzono się z nim źle.

2. Ojciec Jerzy Cholewa postanowił nie wypłacić przyrzeczonych 2000 zł wiano tak długo, ażby zięć jego miał kup. Powodem była obawa, że Jerzy Śliwka gruntu synowi Pawłowi w ogóle nie da, a w takim wypadku mogłaby córka jego wiano swe w ogóle utracić.

3. Anna z Cholewów Śliwkowa postanowiła odejść z Górek z tego powodu, że mąż jej miał płacić podatki z całego gruntu, choć brat jego młodszy miał otrzymać 7 morgów roli, a ojciec używał wymowy. Zamiar ten wykonała dnia 27 lutego 1927.

4. Na tem tle powstawały docinki i urazy utrudniające współzycie, zrywające dobre stosunki między gospodarzami i wymownikami, zakłócające spokój domowy i psujące wspólne współzycie małżeńskie.

Wspólna narada dnia 13 marca wydała jednak dobre owoce. Wykazała ona niezłomną dobrą wolę tak u dzieci jak u rodziców, dążącą mocno do niezrywania związku małżeńskiego i nieszkodzenia sobie nawzajem gospodarczo.

Obrazy zakończono następującymi oświadczeniami, zobowiązaniami i stwierdzeniami:

1. Ojciec Jerzy Śliwka oświadczył, że grunt swój we Wielkich Górkach nr 34 odda synowi swemu Pawłowi pod warunkami wymienionymi już w przygotowanym i zgromadzonym przeczytanym kupie, spisany przez nauczyciela Płatschka, a decyzji swej już ani nie cofnie ani nie zmieni warunków.

2. Ojciec Jerzy Cholewa oświadczył, że przyrzczone swej córce Annie wiano w wysokości 2000 zł wypłaci gotówką na rękę zięcia przy podpisaniu niniejszego protokołu, a żądać będzie intabulacji na gruncie zięcia na korzyść swej córki Anny 3200 zł, t.j. 200 zł wypłaconych gotówką, 800 zł wartości szacunkowej 2 krów i 400 zł wartości szacunkowej dwóch świń, które po weselu nowożeńcom do Górek odstawił, a młodzi Śliwkowie przyjęli.

3. Matka Zuzanna Cholewowa zażądała intabulacji wartości wszystkiego, co córce do Górek dali, np. siana, ziemniaków, zboża itp. Ponieważ ojciec Cholewa Jerzy przy temu żądaniu nie obstawał, a Śliwkowie się jemu sprzeciwiali, jako nie będącym we zwyczaju, odstąpiono od spełnienia tego postulatu.

4. Natomiast na intabulację zgodził się zięć i jego rodzice bez większego oporu.

5. Śliwkowie z Górek – rodzice i zięć zastrzegli sobie jednak by Anna z Cholewów Śliwkowa nie opuszczała męża i gruntu bez powodu, gdyż w przeciwnym razie miałby syn ich Paweł Śliwka prawo potrącenia z wiano wydatków na zastępowanie gospodyni i poniesione szkody gospodarcze.

6. W końcu przypomniałem nowożeńcom szóste przykazanie, które żąda od małżonków czystości w słowach i uczynkach, a bezkarnie nigdy i nigdzie nie może być gwałcone i zrywane. Przypomniałem im, że w oczach tej czystości dotrzymali, ale ze słowami nie liczyli się i niepotrzebnymi, nierozsądnymi i niemądrymi wywołali wiele burzy i niepokoju. Tak jak wobec obcych musimy się liczyć z każdym słowem, tak muszą się z każdym słowem liczyć małżonkowie wobec siebie wzajemnie. Tak jak obcym musimy dać im należną cześć, tym więcej czci musi dać mąż żonie, a żona mężowi.

Również przypominałem im czwarte przykazanie, które nakłada na dzieci święty obowiązek wierności i miłości i poddaństwa wobec rodziców. Na niewiastę przechodzą obowiązki dziecięcia z chwilą wstąpienia do domu jej męża.

Natomiast rodzice powinni dzieci jako rodzice, a nie jako tyranów strofować, nie jako niewolniki. A nade wszystko powinni im dobrze życzyć, gdyż powodzenie dzieci jest powodzeniem rodziców.

Wspólną modlitwą o ducha zgody i miłości zakończono zebranie, aby się w niedzielę, dnia 27 marca 1927 zebrać do podpisania protokołu i zrealizowania punktu drugiego.

Dnia 16 marca przyszła po południu do Ewangelickiego Urzędu Parafialnego matka – Cholewowa z Ustronia i prosiła o napisanie Śliwkom listu, aby na 27 nie odstawiali się, ponieważ oni pieniędzy nie wypłacą aż przy napisaniu kupu w Skoczowie. Staralem się ją odwieść od tego zamiaru, ale bezskutecznie. Nie dała się przekonać. Listu nie napisałem...



Budynek starej plebanii, w którym mieścił się Ewangelicki Urząd Parafialny. Tam ks. Senior Paweł Nikodem prowadził działalność prawniczą (fot. z początku XX w., ze zbiorów Urszuli Wantuły-Rakowskiej)

Artykuł ten dedykuję mojemu pradziadkowi Andrzejowi Chrapkowi, długoletniemu wójtowi w Lipowcu w okresie międzywojennym, który się z ks. Nikodemem bardzo przyjaźnił...



Mgr Alicja Michalek – etnolog, od 2002 r. zatrudniona w Muzeum Ustrońskim. Od 2001 r. współpracuje z „Pamiętnikiem Ustrońskim”.

Irena Maliborska

Maria Skalicka – jaką chcemy pamiętać



*Maria Skalicka w młodości, lata 40. XX w.
(fot. z archiwum Muzeum „Zbiory Marii Skalickiej”)*

Maria Skalicka żyła w latach 1923-2002. Urodziła się 19 sierpnia 1923 r. w Ustroniu na Śląsku Cieszyńskim. Naukę rozpoczęła w ewangelickiej Publicznej Szkole Powszechnej nr 2 w Ustroniu, potem wstąpiła do Państwowego Gimnazjum Kupieckiego w Cieszynie. W czasie okupacji zatrudniona przy pracach domowych, po wojnie kontynuowała naukę w liceum matematyczno-fizycznym w Bielsku, gdzie zdała maturę w 1948 r. Po studiach ekonomicznych we Wrocławiu, nakazem pracy, skierowana została w 1953 r. do Katowic, gdzie pracowała w Centralnym Zarządzie Budownictwa Węglowego oraz w Przedsiębiorstwie Budowlanym Przemysłu Węglowego. Zmarła 29 września 2002 r. w Katowicach, pochowana tamże, na cmentarzu przy ul. Francuskiej. W swojej działalności pozazawodowej była znanym i cenionym bibliofilem, kolekcjonerem dzieł sztuki i popularyzato-rem ziemi cieszyńskiej – jej historii, kultury, sztuki i ludzi. Była fundatorką i założycielką (1993 r.) Oddziału Muzeum Ustrońskiego „Zbiory Marii Skalickiej”. W latach 1980-2002 należała do Towarzystwa Miłośników Ustronia.

Postać tę bez wątpienia należy przypomnieć. Należy bowiem do grona osób najbardziej zasłużonych dla kultury Ustronia. Pięknie i na stałe wpisała się w historię naszego miasta. Rozkochana w rodzimej beskidzkiej ziemi przez całe życie z miłością i pasją kolekcjonowała wszystko, co z tą ziemią związane – stare pocztówki, książki, elementy strojów regionalnych, przedmioty użytkowe. Tę szlachetną pasję zaszczepił w niej w latach szkolnych nauczyciel geografii – Karol Brada, który zginął w obozie w Starobielsku. W swojej działalności nawiązała do najpiękniejszych tradycji cieszyńskich bibliofilów, którzy szerzyli kult książki polskiej na Śląsku Cieszyńskim, budząc i utrwalając tym samym narodową tożsamość. To przecież tu, na Śląsku Cieszyńskim odnaleziono w 1928 r. pierwszy polski ekslibris portretowy z 1612 r. (!) ks. Jerzego Trzanowskiego, pisarza i poety religijnego rodem z Cieszyna. Tu powstał odkryty przez znanego bibliofila i ludowego pisarza Jana Wantułę z Ustronia pierwszy polski ekslibris chłopski należący do kronikarza i właściciela biblioteki – Jury Gajdzyca z Cisownicy Małej koło Ustronia. Z szacunku do tej ziemi, z zafascynowania jej ludźmi, książką, jej historią i znaczeniem powstała bogata i piękna kolekcja Marii Skalickiej podarowana w 1993 r. miastu Ustron wraz z domem rodzinnym i ogrodem, stanowiąca obecnie Oddział Muzeum Ustrońskiego. Najwartościowsza jej część to

„cieszyńska”, a więc wszelkie świadectwa dotyczące dawnego i współczesnego życia kulturalnego, gospodarczego i artystycznego Cieszyna i ziemi cieszyńskiej. Czynna jest biblioteka książek ze zbiorów Marii Skalickiej. Korzystają z niej maturzyści, studenci i osoby starsze szukające materiałów do swoich publikacji. Warto w tym miejscu przypomnieć, iż fundatorka Muzeum podarowała w latach 1990-2002 Książnicy Cieszyńskiej około 1.400 cennych woluminów i tzw. „białych kruków” oraz znaczną część druków bibliofilskich. Drugą znaczącą grupę zbiorów Marii Skalickiej stanowią małe arcydzieła sztuki graficznej – ekslibrisy, których zebrała 3,5 tysiąca oraz bogata literatura ekslibrisologiczna, do których systematycznego zbierania cierpliwą kolekcjonerkę skłoniła również tradycja. Są także starodruki, druki bibliofilskie i unikatowe. W wyniku bezpośrednich kontaktów i więzów przyjaźni z wieloma polskimi artystami zgromadziła wyjątkowo cenną oryginalną grafikę i obrazy takich wybitnych twórców jak: Paweł Steller, Jan Wałach, Franciszek Józef Jaworski, Ludwik Konarzewski senior, Tadeusz Michał Siara, Zbigniew Józwick i inni. Na uwagę zasługuje też skromny, ale szczególnie wysmakowany zbiór medali – poczet królów i książąt polskich, dzieje oręża polskiego, medale z dziedziny kultury i sztuki, stare pieczęcie i monety.

Maria Skalicka była jednym z tych twórców kultury, którzy ściśle związani z własnym środowiskiem, doskonale rozumieli jego aspiracje i potrzeby kulturalne. Była człowiekiem nadzwyczaj skromnym, pracowitym i bezinteresownym. Dobra dla ludzi – cieszyła się ich wielkim szacunkiem i autorytetem. Była aktywnym członkiem i „dobrym duchem” wielu śląskich stowarzyszeń m.in. Śląskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki w Katowicach, Polskiego Towarzystwa Ewangelickiego, Śląskiego Oddziału Towarzystwa Chopinowskiego oraz honorowym członkiem Macierzy Ziemi Cieszyńskiej i Towarzystwa Miłośników Ustronia. Należała do osób wysoko cenionych w środowisku bibliotekarskim Katowic, a wśród kolekcjonerów pozostała niekwestionowanym autorytetem. Była współorganizatorem wieczorów muzycznych w kościele Zmartwychwstania Pańskiego w Katowicach. Prowadziła szeroką działalność popularnonaukową, wygłaszając m.in. odczyty o ks. Karolu Kotschym, Janie Sztwiertni, Karolu Miarce, Pawle Stellerze, Damianie Wieluchu z Jabłonkowa, Józefie Kiedroniu i innych. Na uwagę zasługuje także jej dorobek piśmienniczy. Publikowała swoje artykuły na łamach miesięcznika „Słowo i myśl”, opracowała m.in. szczegółową kronikę Oddziału Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki obejmującą lata 1968-1988 pt. „W kręgu bibliofilów polskich”. Wstępem opatrzyła druki bibliofilskie dotyczące Jana Wantuły i Tobiasza Wiszniewskiego. Na uwagę zasługuje też



*Maria Skalicka w swoim mieszkaniu, lata 80. XX w.
(fot. z archiwum Muzeum „Zbiory Marii Skalickiej”)*

fakt, iż była wieloletnim i wiernym członkiem Towarzystwa Miłośników Ustronia. I tutaj też nie miała sobie równych. Była jedynym członkiem tego Towarzystwa, która nie opuściła ani jednego zebrania, a przecież przyjeżdżała na te zebrania aż z Katowic. Współpracowała także ze znanym ustroniskim bibliofilem Józefem Pilchem, z którym łączyła ją bibliofilska przyjaźń. Wielki i znany jest też osobisty wkład i zaangażowanie Marii Skalickiej w sprawę powstania w Ustroniu pomnika beskidzkiego nauczyciela i kompozytora, którego z wielką atencją nazywała „Janem z Beskidu Sztwiertnią”. Z nadawanych jej licznych dyplomów i odznaczeń najbardziej ceniła sobie „Złotą Odznakę Zasłużonego dla Towarzystwa Przyjaciół Książki” nadaną 28 listopada 1988 r. z okazji jubileuszu dwudziestolecia istnienia Oddziału Śląskiego.

– A tak oto wspominają ją przyjaciele.

W 1993 r., z okazji otwarcia „Zbiorów Marii Skalickiej” muzycy **Bożena i Ryszard Gabrysiowie** z Katowic tak piszą: „Czujemy ją – niemalże rodzinnie – od samego początku współdziałań, jakie połączyły nas z Panią Marią w górnośląskiej Ekspozyturze Towarzystwa, któremu patronuje Fryderyk Chopin. Ta przyjaźń nie miała uwertury, powstała natychmiast, bez szumnych słów, jakby niepostrzeżenie, z całą naturalnością i trwale. Wiemy, że odczuło ów dar spolegliwej przyjaźni i oparcia wielu ludzi także w innych strefach – tam, gdzie obecna jest Maria Skalicka: wśród bibliofilów, w Macierzy Ziemi Cieszyńskiej, w Polskim Towarzystwie Ewangelickim czy Komitecie upamiętniającym dzieło Jana Sztwiertni. Istotę owego daru stanowi wewnętrzna jasność i przemożnie udzielająca się swoista „promienność” w przeżywaniu wydarzeń, wytworów sztuki, pamiątek rodzinnych dziejów; promienność sposobu życia nakierowanego na piękno i dobro. Łatwo tu dostrzec wielką tęsknotę za wszystkim, co *artystyczne*, pod warunkiem wszakże, iż artyzm nie zamyka się i nie wyczerpuje w skorupie własnej piękności, lecz scala *estetyczne* z *etycznym*. Jedno powinno być światłem i przedłużeniem drugiego. Nie przypadkowa to w tym miejscu dygresja, ale oczywiste echo niejednej naszej z Marią rozmowy. Nie będąc twórczynią opusów kompozytorskich, malarskich czy poetyckich należy Pani Maria Skalicka bez wątpienia do kręgu autentycznych *twórców kultury*. Uwieńczenie kolekcjonerskich lat stanowi wypełniony rzeczami pięknymi i ważkimi świadectwami przeszłości *dom* w Ustroniu, podarowany miastu urodzenia, małej i wielkiej Ojczyźnie. Ożywiony zbiorem książek, ekslibrisów, grafik i medali zbiorokami latami przez Panią Marię *komponowany*, będąc kiedyś jej kolebką, stał się z późniejszej perspektywy *celem* i wreszcie *dziełem autorskim*, aspektem „lekcji” o życiu godnym i celowym, odpowiedzią – jedną z wielu – odkrywającą sens i smak wędrowania przez świat tym, którzy nie wiedzą, jak i po co żyją, lub po ludzku zwątpili, *inaczej* niż Pani Maria, mocna zawsze siłą wytrwałej wiary. Tej, która wyraża się w otwartości, zaufaniu, w byciu dla kogoś drugiego, i tej najintymniejszej: wobec Boga. Bardzo piękna w dedykowanym Ustroniowi zbiorze wydaje się harmonia pomiędzy tym, co swojskie i co światowe. „Cieszyńska” stoją tu obok uniwersaliów, okazując się ich nierozzerwalną częścią, pryzmatem i barwą tożsamości niesionej, tak przez ekslibris z Cisownicy, starośląski kancjonał, jak przez medal z Chopinem. Jest tutaj miejsce zarówno dla „mistrzów mniejszych” i dla geniuszy, zatem i dla Jana Sztwiertni – stąd właśnie, jak Pani Maria, wyrosłego – i dla Chopina, obu przez nas, w różnym doborze pryzmatu pamięci, umiłowanych i jednakowo, podług każdemu właściwych proporcji, niezbędnych dzisiejszemu i nadchodzącemu światu”.

O bibliofilskich pasjach Marii Skalickiej pisze także pani **Danuta Musioł** we wspomnieniu „Książki mają swoje uśmiechy”: „Marię Skalicką poznałam w gronie osób ogarniętych wyjątkowo szlachetną pasją – „miłością do książek uczonych i pięknych”. Na jednym z comiesięcznych zebrań Oddziału Śląskiego Towarzystwa Przyjaciół Książki w Katowicach, a było to chyba w 1970 roku, z wielką życzliwością odniosła się do mnie miła i wzbudzająca sympatię Pani Maria, co przesądziło, że postanowiłam włączyć się do prac tego ciekawego zespołu ludzi. Wspólne uczestniczenie w ogólnopolskich zjazdach bibliofilskich, konferencjach, jubileuszach, aukcjach, wystawach, wycieczkach, spotkaniach organizowanych przez inne Towarzystwa, a także podobne umiłowanie przyrody, sztuki, świata – spowodowały, że od tamtych lat łączy nas żywa i wypróbowana przyjaźń, którą bardzo sobie cenię. Takie walory jej osobowości jak niezwykła pracowitość, rzetelność i znakomity zmysł organizacyjny spowodowały, że przełożeni i pracownicy do dziś wspominają Ją bardzo serdecznie. Dla pełniejszej charakterystyki Jej osobowości posłużę się cytatem z Jana Parandowskiego „... przyjacielem książki jestem od zawsze. Żyty, związany z książką jestem od dzieciństwa”. Pamiętam, jakie ogarnęło mnie wzruszenie, kiedy na wystawie dawnej książki dziecięcej z okazji III. Ogólnopolskiego Zjazdu Bibliofilów w Łodzi w 1987 roku Maria na próżno szukała swojej ukochanej lektury „*Stasia i Józki wędrowanie*”, odkrywającej najmłodszemu czytelnikowi tajemniczy świat baśni”.

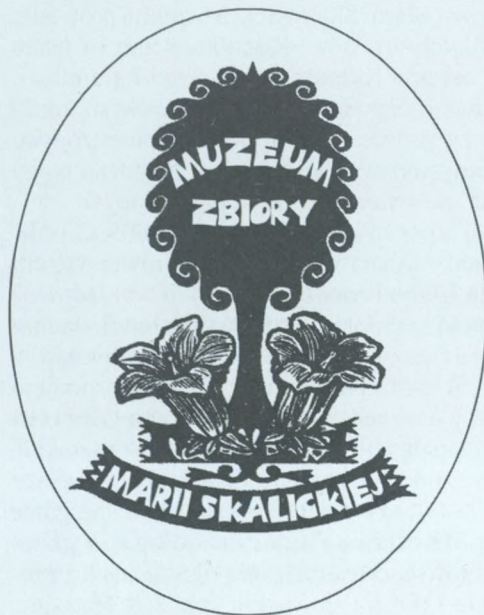
Mając przed sobą tak piękne wzory, trudno nie podążać drogą kontynuacji i naśladownictwa. Darowana przez Marię Skalicką placówka – choć położona w Ustroniu Brzegach, a więc nieco na uboczu centrum miasta – działa dziś ambitnie i prężnie, skutecznie przezwyciężając trudności. Atrakcyjna oferta kulturalna, liczna i wierna publiczność potwierdzają, iż działania podjęte przez Oddział Muzeum „Zbiory Marii Skalickiej” są trafne. Muzeum nasze ma charakter artystyczny i bibliofilski. Oprócz stałych ekspozycji pochodzących ze zbiorów Marii Skalickiej, Muzeum prowadzi galerię, w której prezentuje prace znakomitych artystów. Kontynuowane są także spotkania Klubu Propozycji. Ta ciekawa i otwarta formuła działalności kulturalnej, polegająca przede wszystkim na zbliżaniu ludzi, ożywianiu ich zainteresowań, możliwości i aktywności jest ogromnie cenna zwłaszcza dziś, w dobie „puszczonych rolet” i powszechnej technizacji życia. Pomysłodawcą tej idei jest nieodżałowany redaktor Władysław Oszelda, który „rozsiał” po świecie tę, jakże piękną, myśl.

Ostatni sezon „Zbiorów Marii Skalickiej”, począwszy od czerwca 2005 r., obfitował w wiele cennych inicjatyw. Nawiązano owocną współpracę z Uniwersytetem Śląskim (Katowice – Cieszyn). Na spotkania Klubu Propozycji przybyli wykładowcy tego Uniwersytetu. Prof. **Zygmunt Kłodnicki** – etnolog, który uzmysłowił słuchaczom „Ile jest w nas przeszłości”. Aż trudno uwierzyć jak wiele ze starych obyczajów i wierzeń tkwi w nas po dzień dzisiejszy. Z prof. **Tadeuszem Sławkiem** podjęto interesującą rozmowę „O życiu publicznym w Polsce”, a prof. **Katarzyna Olbrycht** starała się odpowiedzieć na przewrotnie zadane pytanie „Czy można żyć bez sztuki?” Konkluzja okazała się zaskakująca: otóż bez sztuki żyć można, ale nie można żyć bez *piękna*. A jeśli nie znajdujemy go w sztuce, wówczas musimy poszukać piękna gdzie indziej. Ciekawy temat prezentowała też dr **Mirosława Pindór**, teatrolog z Wydziału Etnologii i Nauk o Edukacji UŚ, która mówiła o teatrach na pograniczach i prezentowała swoją książkę pt. „Polsko-czeskie i polsko-słowackie kontakty teatralne. Cieszyn – Czeski Cieszyn 1945-1999”. Udział w tym spotkaniu wzięły także dyrektor Teatru Cieszyńskiego z Czeskiego Cieszyna, aktor Sceny Polskiej – **Karol Suszka**,

czytając wybrane fragmenty książki. Spotkanie ilustrowane było piosenkami poetyckimi, pochodzącymi z płyty „Divertimento cieszyńskie”, a wykonanymi przez aktorów tegoż teatru. Było więc nostalgiczne wspomnienie „Avion’u – czyli kawiarni, której nie ma”, śpiewano o magii teatru i podzielonego granicą Cieszyna. Teksty napisała czołowa zaolziańska poetka Renata Putzlacher, muzykę skomponował cieszyński Zbigniew Siwek, a całość przyjęta została przez słuchaczy z dużym aplauzem.

Zaproszono też **Danutę Sikorę** – wieloletnią bibliotekarkę UŚ w Cieszynie, pełniącą jednocześnie funkcję prezesa Uniwersytetu Trzeciego Wieku działającego przy tej uczelni. A spotkanie w naszym Klubie Propozycji pt. „Uniwersytet Trzeciego Wieku – szansą na drugą młodość” było w istocie jego promocją w Ustroniu. Idea tych bardzo już dziś popularnych w Polsce i na świecie placówek oświatowych polega głównie na aktywizacji intelektualnej i ruchowej oraz rozbudzeniu potencjału osób starszych, co stanowi działanie nie do przecenienia.

Nie zabrakło wystaw artystów związanych z cieszyńską wszechnicą. „Ekspresja drewna” – to efekt dłuta prof. **Jerzego Fobera**, prowadzącego Katedrę Rzeźby Instytutu Sztuki UŚ oraz studentów jego pracowni: **Łukasza Jędrzejczyka**, **Anny Kubczyk** i **Anety Mrzygłód**. Wystawa spodobała się na tyle, iż stała się inspiracją dla miejscowych twórców do organizowania w Ustroniu biennale lub triennale rzeźby. Uniwersytecki fotograf, jednocześnie prezes Cieszyńskiego Towarzystwa Fotograficznego, **Jerzy Pustelnik** prezentował wystawę fotografii artystycznej pn. „Cały ten jazz”. Artysta ten brał udział w 19 (!) edycjach *Jazz Jamboree* (w latach 1972-1991) oraz wielokrotnie w Festiwalu *Warsaw Summer Jazz Days* i innych. Wszystkie prezentowane na wystawie fotografie pochodziły z tych właśnie festiwalowych koncertów. A ileż było w nich muzyki!



Logo Muzeum „Zbiory Marii Skalickiej”
autorstwa Kazimierza Heczko, 2007 r.

Działalność wystawienniczą rozpoczęto wernisażem wystawy „Góry i inne motywy”. Były to pastele, grafika i ekslibris **Czesława Kazimierza Wosia**, świetnego grafika, zasłużonego artysty, który od 1985 r. organizuje w Muzeum Miasta Ostrowa Wielkopolskiego Międzynarodowe Biennale Małej Formy Graficznej i Ekslibrisu. Zbiór jego małych grafik i ekslibrisów wykonanych najczęściej techniką akwaforty zachwyca oko wrażliwego odbiorcy. Jest to ogród pełen wieloznacznych tajemnic duszy artysty. Jego prace charakteryzuje delikatność rysunku, kaligraficzna wręcz kreska, mistrzowskie wykonanie i precyzja równowagi kompozycyjnej. Wiele w nich traw, kwiatów, korzeni, rozdartych i spalonych drzew. Cały krajobraz znaków i symboliki, w którym każdy może odnaleźć swoje własne znaczenia. Wspomnieć należy także o stonowanych, łagodnych kolorach

– rozbielonych szarościach, zieleniach, sepiach, które każdej pracy nadają swoisty nastrój, podkreślając ich lekkość i ulotność. Dzięki artyście możliwa była również wystawa „Ekslibris muzyczny”, w której Czesław Kazimierz Woś prezentował własną kolekcję znaków własności książki, wykonanych w kilku technikach przez dwudziestu autorów z różnych krajów.

Na uwagę zasługują też inne wystawy organizowane w „Zbiorach Marii Skalickiej” – liczne, różnorodne i efektowne. Muzeum to ma charakter bibliofilski, a więc związany jest z książką, ekslibrisem i papierem w ogóle. Stąd pomysł na ukazywanie różnych form plastycznych, których tworzywem jest papier.

Anna Małecka-Beiersdorf z Krakowa – etnograf i plastyk od lat podejmuje starania o odrodzenie w Polsce unikalnej, zapomnianej, ale jakże pięknej żydowskiej wycinanki. Kiedyś występowała ona w rozmaitej formie w ludowej kulturze żydowskiej. Dziś jest przedmiotem zainteresowania wykwalifikowanych świetnych artystów. Upowszechnieniu tej oryginalnej zachwycającej sztuki służyła także prezentacja prac artystki w Muzeum na Brzegach. Corocznie, od 1994 r. pani Anna prowadzi warsztaty wycinanki żydowskiej na Festiwalu Kultury Żydowskiej w Krakowie. Prowadzi je także dla dzieci i młodzieży w Staromiejskim Centrum Młodzieży im. Janusza Korczaka w Krakowie. Również w naszym muzeum pod czujnym okiem artystki odbyły się takie warsztaty dla uczniów ustrońskiej Szkoły Podstawowej nr 1. Wystawa jej sztuki prezentowana była m.in. podczas Sympozjum KBWE w Centrum Młodzieży i na wielu innych prestiżowych wystawach. Dzięki pasji i wieloletniej pracy Anny Małeckiej-Beiersdorf wycinanka żydowska nie zaginie, a krakowski Kazimierz staje się, obok Izraela i USA, jeszcze jednym silnym ośrodkiem tej sztuki. Ekspozycji tej towarzyszyła wystawa przepięknych fotogramów **Wiesława H. Radwańskiego**, będących rodzajem dokumentacji pamiątek żydowskich na Śląsku Cieszyńskim. Niezwykła i milcząca była wymowa kamiennych macew na starym i nowym cmentarzu żydowskim w Cieszynie. Niesłychanie piękna symbioza starych drzew i kamieni. A wystawa nosiła tytuł „Pamięć Abrahama, Izaaka i Jakuba”.

Wycinanki żydowskie warte są uwagi z dwóch powodów: po pierwsze – jako specyficzny wyraz inspiracji kulturą Żydów, po drugie – jako interesująca, nietypowa i wzbudzająca uznanie technicznej precyzji forma wypowiedzi artystycznej.

Prawdziwie mistrzowską wycinankę prezentowała w „Zbiorach Marii Skalickiej” krakowska artystka **Marta Gołąb**, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych. Na co dzień zajmuje się twórczością graficzną i konserwacją malarstwa sztalugowego. Jednak od 14 lat jej prawdziwą pasją i miłością jest wycinanka żydowska. Po raz pierwszy zetknęła się z nią w 1994 r. na warsztatach wycinanki żydowskiej podczas Festiwalu Kultury Żydowskiej. Zafascynowana niezwykle poetyckim pięknem „żydowskiej kreski” podjęła indywidualne studia nad kulturą i sztuką Żydów łącznie z nauką języka hebrajskiego. Już po dwóch latach gotowa była jej pierwsza wystawa żydowskich wycinanek. I odtąd przez kolejne dziesięć lat towarzyszyła swoimi wystawami Festiwalowi Kultury Żydowskiej, za każdym razem z innym tematem. Były to m.in.: „Od szteti do Jeruzalaim”, „Mizrach”, „Pieśni nad Pieśniami”, „Rozety” i wiele innych. Fragmenty tych wystaw znalazły się także w naszym Muzeum. Szczególnie okazałe prezentowały się niezrównane mizrachy, ilustracje „Pieśni nad pieśniami”, a zwłaszcza kompletna wystawa rozet, mających swój pierwowzór w tradycyjnie białych rozetach przyklejanych na szybach okiennych podczas wiosennego święta Szawuot, zwanego też świętami pierwszych owoców, a odpowiadającego w tradycji

chrześcijańskiej Zielonym Świątkom. Rozety Marty Gołąb są wielobarwne, bowiem kolor jest dziś najważniejszym źródłem ekspresji artystki. O jej sztuce można by mówić bez końca, jednak nic nie zastąpi spotkania się na żywo z tym urzekającym, niepowtarzalnym dziełem plastycznym. Fragmenty psalmów i innych symbolicznych tekstów starotestamentowych, wycinanych ręcznie w otoczeniu przebogatej ornamentyki ze świata fauny i flory sprawiają, iż widz jest oczarowany niebywałym kunsztem artystki. Tradycyjnie wycinanka żydowska była domeną mężczyzn, którzy wycinali ją nożem szewskim. Pani Marta wykonuje je dziś japońskim skalpelem. Jej twórczość jest znana i wysoko ceniona zarówno w Polsce, jak w Europie, a także w Stanach Zjednoczonych i Izraelu.

Wystawa „Wycinanka krakowska” **Agaty Seweryn**, absolwentki Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej i członka Towarzystwa Przyjaciół Kultury Ludowej – była kolejną próbą autorki wskrzeszenia wycinanki krakowskiej, która zanikła w latach 40. XX wieku. Prezentowane w naszym Muzeum prace Agaty Seweryn zdobyły serca widzów. Od wielu lat artystka tworzy wycinanki inspirowane polską sztuką ludową. Wykorzystuje w nich ludowe motywy zdobnicze – haftu, ceramiki, malarstwa i rzeźby – nadając im własny styl. Wycinanka krakowska znana jest pod nazwą „fajerki”. Wycinana jest w białym papierze w kształcie drzewka, o liniach nie łączących się ze sobą, a następnie naklejana na wielobarwne tła. Innym jej rodzajem jest tzw. „wycinanka galicyjska” wykonywana z ręcznie barwionego papieru zwanego „galicyjskim”. Charakterystyczne dla niej jest powstanie z jednej kartki dwóch samoistnych wycinanek. Wykorzystuje się tu zarówno wycięte tło, jak i wycięty motyw. Prześliczne zwłaszcza były kolorowe wycinanki wzorowane na dawnych haftach krakowskich.

Na wystawę „Ulicami starego Krakowa” – XVIII i XIX. wieczne fotogramy najwybitniejszych krakowskich fotografików wypożyczyło Muzeum Historii Fotografii w Krakowie. Wśród znakomitych autorów nie zabrakło Stefana Arczyńskiego, Henryka Poddębskiego, Adama Bochnaka, Wilhelma Kleinberga, Stanisława Muchy, a przede wszystkim Ignacego Kriegera. Muzeum to jest jedyną w Polsce instytucją kultury, której przedmiotem zainteresowania jest fotografia. W jego zbiorach, oprócz fotografii historycznej, znajduje się bogaty zbiór aparatów i wyposażenia pracowni fotograficznych. Szczególną rolę pełni stale uzupełniany bogaty zbiór zdjęć będących dokumentacją ikonograficzną Krakowa. Tworzona jest też kolekcja współczesnej fotografii artystycznej – polskiej i światowej. Muzeum prowadzi szeroką działalność wystawienniczą w miejscu i poza Krakowem, także oświatową i edukacyjną z zakresu historii i techniki fotografii, udostępnia swe bogate zasoby biblioteczne.

Z bogatej spuścizny ekslibrisowej Marii Skalickiej wybrano najpiękniejsze graficznie ekslibrisy, tworząc interesującą stałą ich ekspozycję, która rozpoczyna się już w muzealnym korytarzu. Ekslibrisy podzielono tematycznie, są więc muzyczne, wojenne, satyryczne, dedykowane różnym instytucjom publicznym i zajmującym się książką, itp. Wśród autorów wiele znakomitości: Karol Baraniecki, Zbigniew Dolatowski, Zbigniew Józwicki, Andrzej Kot, Wojciech Łuczak, Klemens Raczak, Paweł Steller, Jadwiga Smykowska, Józef Wanag, Tyrsus Wenhryniewicz i inni.

Liczne i ciekawe były spotkania Klubu Propozycji. Poruszano najróżniejsze problemy i tematy: zdrowie, ekologia, podróże, kultura, sztuka, wspomnienia, literatura, itp. W cyklu spotkań etnograficznych wystąpili goście z Muzeum Beskidzkiego w Wiśle. Po najbardziej fundamentalne, fascynujące, a zarazem nieroz-

strzygnięte zagadnienia sięgnęły: etnolog i dyrektor muzeum **Małgorzata Kiereś** oraz etnograf **Agnieszka Bieleśz**, podejmując temat „Dobra i zła w podaniach i legendach Śląska Cieszyńskiego”. Innym razem z ogromnym znanstwem przedmiotu, o swoich najnowszych badaniach na temat „Dorocznej obrzędowości na pograniczu polsko-czesko-słowackim” mówiła Małgorzata Kiereś. Kolejnym gościem z Wisły był młody historyk sztuki **Michał Kawulok**, który zachwyił swoją prezentacją twórczości wybitnego istebniańskiego malarza i drzeworytnika Jana Wałacha, absolwenta krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, ucznia Józefa Mehoffera, a także Juliana Fałata, Ferdynanda Ruszczyca i Jana Stanisławskiego. Piękny i ciekawy temat przedstawiony został w prelekcji „Między ziemią a niebem” profesjonalnie i interesująco tak od strony biograficznej, jak artystycznej, a nawet anegdotycznej. Józef Wałach był wielkim malarzem, ale jednocześnie kimś bliskim, kimś z własnej wsi, z własnego podwórka, toteż młody prelegent rodem z Istebnej posługiwał się momentami, w swojej opowieści, także piękną, autentyczną gwarą istebniańską. Mówiono o zainteresowaniach artysty, stylu jego twórczości, a także o wydarzeniach z życia istebniańskiego mistrza, który jako człowiek szczerze przywiązany do swoich korzeni, na swoich płótnach, nie wahał się ukazywać wielodzietnej góralskiej matki jako Madonny. Znany też jest cały cykl jego obrazów traktujących o sadzeniu, okopywaniu i zbieraniu ziemniaków. Wykład wzbogacony był przeżroczami. Można też było zaopatrzyć się w *Kalendarz Istebniański* na 2007 rok w całości opracowany przez Michała Kawuloka, a poświęcony twórczości Jana Wałacha.

Wystąpili także członkowie ustrońskiego koła Polskiego Klubu Ekologicznego: dr **Eugeniusz Zielonka** w wykładzie „Dodatki »E« w żywności” oraz prof. **Gustaw Michna**, który mówił „O czynnikach środowiskowych mających wpływ na jakość żywności, a także o roli warzyw kapustnych w żywieniu”. Innym razem podjął też temat „Agroturystyki w Austrii”. O zdrowiu mówiła również dr **Alicja Kaleta** w prelekcji „Kontakty ze zwierzętami oraz ich wpływ na osoby starsze, chore i dzieci”.

Dużym zainteresowaniem cieszyła się prelekcja pn. „Kontrowersje wokół piramid w Gizie”. **Andrzej Kaplanek** – inżynier, podróżnik, znany ze swoich książek (m.in. „Tajemnicze Andy”, „Śladami Pierzastego Węża”, „Tropami Synów Słońca”) przedstawił i zilustrował przeżroczami sensacyjne materiały z ostatnich odkryć w Gizie.

Natomiast temat „Żydzi w kulturze polskiej” prezentowała ciekawie i niebanalnie, w swoim ilustrowanym wykładzie, **Bożena Szonowska**, młoda absolwentka Instytutu Studiów Żydowskich w Warszawie, współpracująca z organizacją Christian Friends of Israel, z którą dwukrotnie odwiedziła Izrael. Judaizm jako integralny system prawnobyczajowo-kulturalny oraz zjawiska społeczno-historyczno-kulturalne towarzyszące życiu Żydów, powodujące ich oddzielenie od reszty społeczeństwa, a jednocześnie niemalą w nich rolę, przedstawiony został ciekawie, wyczerpująco, z dużą dawką świeżego spojrzenia, wynikającego z osobistych przemyśleń i przekonań prelegentki. Wiele było przykładów udziału Żydów w kulturze polskiej. Szczególny jednak nacisk położono na bibliofilów i wydawców żyjących w Polsce w czasach zaborów, którzy pośrednio byli sprawcami obecności w polskich domach wielkiej literatury światowej, a z drugiej strony także polskich książek, a więc Polski w całej Europie.

Janowi Cholewie – ustrońskiemu bohaterowi podniebnych, wojennych szlaków, pilotowi Dywizjonów Bombowych 300 i 301 Polskich Sił Powietrznych RAF-u, heroicznemu obrońcy powstańczej Warszawy – poświęcona była wystawa „Mały Janek wzywa do apelu”, zorganizowana w 40. rocznicę jego śmierci. Wojennym losom

oraz harcerstwu, jego drugiej wielkiej życiowej pasji poświęcono wspomnieniowy „kominek harcerski”, zorganizowany wspólnie z córką **Nelly Cholewa** i ustrońskimi harcerzami z legendarnej już dziś Lotniczej Drużyny Harcerskiej „Jaskółki spod Czantorii”, której twórcą i niezrównanym szczepowym był właśnie Janek Cholewa.

W obszarze naszych działań znalazła się także literatura – zarówno poezja, jak proza. „Ziemia Cieszyńska sercem malowana” – to wieczór ze wspaniałą cieszyńską poetką **Beatą Sabbath**. Za podsumowanie wrażeń z tego spotkania posłużyć może retoryczne pytanie wygłoszone po prezentacji artystki: „I kto jeszcze dziś tak pięknie potrafi pisać o babci, o radościach i troskach codziennego życia, albo z taką prostotą i miłością śpiewać o rodzinnej ziemi?!” Innym razem cieszyńska poetka spotkała się w naszym Muzeum z gimnazjalistami i członkami kółek recytatorskich z ustrońskich szkół podstawowych. W tytule recenzji spotkania napisanej dla Gazety Ustrońskiej, Katarzyna Szkaradnik użyła pięknych słów „Wiersz jak podanie ręki”, bo istotnie poezja Beaty Sabbath jest miodem dla serca.

Prozę znakomitych literatów polskich przybliżyła, zachęcając do jej czytania, **Joanna Gawlikowska** – polonistka z cieszyńskiego liceum. „Pokochać książkę” pomóc miały wybrane fragmenty wybornych tekstów Jerzego Pilcha („Inne rozkosze”), Olgi Tokarczuk („Prawiek i inne czasy”) oraz Stefana Chwina („Hanemann”), które wprowadziły słuchaczy w urzekający literacki świat. W cytowanych utworach ludzie, miejsca, przedmioty i daty mają bowiem wymiar magiczny. Niepóźorne drobiazgi obrastają własną, niepowtarzalną historią, rzeczy mogą doświadczać wewnętrznych rozterek, ludziom żyjącym w różnych czasach los wyznacza najdziwniejsze ścieżki i stawia ich w sytuacjach i miejscach zupełnie nieoczekiwanych, natura z kolei otacza to wszystko swoimi nieokiełznanymi żywiołami.

Rozstrzygnięto I. Ogólnopolski Konkurs Poetycki pod patronatem Burmistrza Miasta Ustroń ogłoszony z okazji 700. lecia miasta. W czołówce znaleźli się ustroniacy Teresa Chwastek i Andrzej Pasterny oraz twórcy ze Śląska, Eugeniusz Depta i Katarzyna Młynarczyk. Dla laureatów były dyplomy i nagrody książkowe, zaś wszystkim obecnym dedykowano koncert „Czar wspomnień” w wykonaniu **Pawła Bączkowskiego**. Nie zabrakło w nim i największych przebojów światowych, ale i polskich piosenek; momentami zaś był to rodzaj „koncertu życzeń”. Uznano, że konkurs poetycki jest inicjatywą pożyteczną, wartą kontynuacji. Ogłoszono więc kolejną jego edycję, ale w nieco rozszerzonej formule pn. Konkurs Literacki „Wahadło czasu”.

Historie rodzinne ustroniaków prezentowane w cyklu „Stąd są moje korzenie” cieszyły się wielką popularnością. Spotkaliśmy się w gronie znacznych miejscowych rodzin, by wysłuchać „Sagi rodzinnej Nowaków z Ustronia”. Imprezę prowadził dr **Józef Nowak**, a uświetniła ją aktorka Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego z Czeskiego Cieszyna – **Halina Branna-Paseka**. Nikt z bardzo licznej publiczności na pewno nie zapomni wzruszającej historii miłości, mieszkających na Kresach członków rodziny Nowaków – Marii Sudolskiej i jej męża Wojciecha. Uroczy był też „Kolędowy Czas” – wigilijny wieczór z rodzinami Gluzów, Troszoków i Szczepańskich z Ustronia z udziałem siostrzenic prof. Jana Szczepańskiego – **Lidii Troszok** i **Anny Gluzy**, która śpiewała solo i prowadziła uczestników we wspólnym kolędowaniu. Obu tym spotkaniom towarzyszyły wystawy rodzinnych pamiątek i fotografii, które wzbudziły ogromne zainteresowanie.

Pomyślano też o miejscowych twórcach rękodzieła artystycznego. Szczególnie pięknie prezentuje się gablotą pracowni artystycznej „Kamena” z ręcznie malowaną

porcelaną **Barbary Majętny** – świetny przykład rodzimej twórczości ustrońskiej. Artystka zdobywała swe niezwykle umiejętności u najlepszych, przedwojennych mistrzów niemieckich. A niejednego w kraju i na świecie porcelana ta urzekła. Prezentujemy także – wykonany współcześnie w pracowni „Żywotek” **Urszuli Prus-Zamojskiej** z Cieszyna – wystawny żeński strój cieszyński, a w nim zwłaszcza piękny, biały i bogato haftowany *kabotek* oraz przede wszystkim *żywotek* cieszyński strojony przepysznym srebrnym haftem wykonanym misternie ściśle według dawnych wzorów. W tradycji bogatych cieszyńskich strojów były to hafty wykonywane srebrną lub złotą nicią. Taki też był pas i filigranowa biżuteria, niespotykana w innych regionach. **Kazimierz Wawrzyk**, miejscowy artysta, mistrz filigranu cieszyńskiego, uczeń słynnego złotnika cieszyńskiego – Franciszka Horaka, wykonał dla muzeum komplet srebrnej biżuterii, prezentowany obecnie wraz ze strojem. Nie sposób w tym miejscu pominąć niezawodnych sponsorów, którzy pomogli finansowo w wyeksponowaniu tych, jakże pięknych, miejscowych dzieł. Gąbłotę na porcelaną ufundowały firmy ustrońskie: *Zbójnicka Chata i Kosta*. Zaś strój cieszyński oraz mieszczącą go gąbłotę sponsorowało *Przedsiębiorstwo Uzdrowiskowe „Ustroń” S.A.*

Dużym zainteresowaniem ustrońiaków, jak i lokalnej prasy cieszyły się wystawy i spotkania w ramach całorocznego cyklu „Twórcza obecność Polaków na Zaolziu”. Trudno się temu dziwić, wielu mieszkańców Ustronia ma zaolziańskie korzenie. Zdecydowano się na pokazanie Polaków z Zaolzia, ponieważ są to nasi rodacy i bliscy sąsiedzi zza Olzy. Godna podziwu jest ich nieustanna, wielokierunkowa działalność na rzecz swojej małej Ojczyzny, praca mająca na celu zachowanie kultury polskiej i tożsamości narodowej Polaków na Zaolziu.

Cykl rozpoczął w styczniu 2006 r. znany folklorysta i etnolog, prof. **Daniel Ka-dlubiec**, który snuł niezwykłą, zimową gawędę „O Bożym Narodzeniu, czyli Godach na Śląsku Cieszyńskim”. Profesor wielokrotnie nawiązywał nie tylko do świąt, choinki, wigilijnych potraw i kołęd, ale także do pradawnych obyczajów związanych z końcem roku, kiedy to noc bywa najdłuższa względem dnia. A był to trudny czas zmagania się ciemności z światłością. Jak chroniono wtedy siebie, rodziny i domostwa, jakie śpiewano pieśni i jakie towarzyszyły im obrzędy. Było czego posłuchać!

Jabłonków – tradycyjną stolicę śląskiej Góralczyzny, uroczę miasteczko na Zaolziu, leżące po drugiej stronie Stożka, po drodze ze Śląska na Słowację, znane ongiś z swoich kolorowych jarmarków, przedstawił wyczerpująco – historycznie i etnograficznie – **Leszek Richter**, prezes Sekcji Ludoznawczej PZKO, na co dzień nauczyciel fizyki w polskim gimnazjum w Czeskim Cieszynie. Grała kapela jabłonkowska „Bukoń”, obecny był też **Jan Szymik**, poeta i autor wielu publikacji z dziedziny ludoznawstwa. Urok i barwność Jabłonkowa ukazał też w całej swej krasie **Antoni Szpyrc** na bajecznie kolorowych obrazkach malowanych na szkle. Wystawie tej towarzyszyła w „Zbiorach Marii Skalickiej” kolekcja starych jabłonkowskich fotografii i pocztówek. Rozkochany w rodzinnym mieście artysta napisał też pięknie ilustrowaną książkę „Jablunkov”, którą można było na Brzegach zakupić.

Uroczę wieczór z Melpomeną pod hasłem: „Minęło 55 lat, a my wciąż jesteśmy młodzi” zapewnili aktorzy Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego z Czeskiego Cieszyna – **Halina Branna-Paseka**, **Bronisław Liberda** i **Ryszard Malinowski** wraz z dyrektorem **Karolem Suszką**. Rozmawiano o blaskach i cieniach tego jedyne go w swoim rodzaju, polskiego zawodowego teatru, niezwykle zasłużonego dla naszej ojczystej społeczności i kultury polskiej na Zaolziu.

Ta piękna kraina za Olzą była zawsze ogromnie rozśpiewana i roztańczona, od lat obfitująca w setki chórów tudzież regionalnych zespołów tanecznych, w tym sensie nie mająca sobie równych. Ochoczo więc i wspólnie śpiewano w Oddziale Muzeum zaolziańskie *pieśniczki* przy świetnym akompaniamencie prof. **Daniela Kadłubca** (skrzypce) i dr. **Józefa Wierzgonia** (akordeon). Jako, że wtórowała ustrońska „Równica”, można sobie wyobrazić, iż wieczór okazał się naprawdę niezapomniany.

Wszystkie te spotkania połączono z wystawami: „Plakatu teatralnego Sceny Polskiej z Czeskiego Cieszyna” oraz „Akwafort Bronisława Liberdy” – malarza, grafika i muzyka, scenografa i korepetytora, długo współpracującego z naszym teatrem na Zaolziu, wieloletniego dyrektora artystycznego polskiego Teatru Kukielkowego „Bajka” w Czeskim Cieszynie, a także projektanta lalek.

Intrygującą kwestię „Polaków na Zaolziu dawniej i dziś” z dużą znajomością tematu prezentował **Józef Szymeczek** – historyk, prezes Kongresu Polaków w Republice Czeskiej, pracownik naukowy Uniwersytetu Ostrawskiego i doktorant Uniwersytetu Opolskiego. Wykładowca poruszył bardzo wiele interesujących zagadnień – od religii, poprzez naukę po życie codzienne czy zabawę. Naszych rodaków na Zaolziu, niestety, ubywa – ale chociaż w ciągu lat zaszły wewnątrz tej społeczności liczne przemiany, jest ona bardzo dobrze zorganizowana. Działa obecnie 26 polskich organizacji, mimo różnorodnego charakteru zjednoczonych w Kongres Polaków w Republice Czeskiej i w ramach niego realizujących wspólne cele.

W ramach cyklu prezentowane były dwie kolejne wystawy. Na ekspozycję „Grupa Dziesięciu z Zaolzia prezentuje ...” składały się fotografie Zaolziańskiego Towarzystwa Fotograficznego, zarówno czarno-białe, jak kolorowe o różnej tematyce (portret, akt, przyroda, przemysł, reportaż), poza tym nowoczesne eksperymenty np. fotografia wykonana telefonem komórkowym. Grupa ta współpracuje z Cieszyńskim Towarzystwem Fotograficznym wymieniając doświadczenia i organizując wspólne plenery i wystawy.



Wspólne śpiewanie przy akompaniamencie prof. Daniela Kadłubca (skrzypce) i dr. Józefa Wierzgonia (akordeon) (fot. z archiwum Muzeum „Zbiory Marii Skalickiej”)

„Pejzaż zaolziański w malarstwie **Oskara Pawłasa**” ukazany został subtelnie techniką olejną. Artysta nie tworzy nowych kierunków w sztuce, nie wskazuje nowych rozwiązań, jest niezależny od modnych akurat kierunków w sztuce. Pozostaje natomiast wierny własnej wizji świata oraz indywidualnemu stylowi, podobnie jak Zaolziu, które uznał za swoje miejsce na ziemi. Dzisiaj, kiedy najwięcej jest obywateli świata, niewielu ludzi, artystów tak mocno identyfikuje się ze swoimi korzeniami i tak wytrwale te korzenie pielęgnuje. W swoich obrazach odmalowuje radość życia, pogodę ducha, życzliwość dla ludzi i świata, zwłaszcza tego po drugiej stronie Olzy. Promocja antologii prozy i poezji „Po naszymu – pieszo i na skrzydłach” wspaniałej, samorodnej zaolziańskiej poetki z Nydku odbyła się pod hasłem „Malinowy świat **Anieli Kupiec**”. Wieczór prowadził, jak zwykle znakomicie, prof. Daniel Kadłubiec, a fragmenty książki czytała aktorka Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego z Czeskiego Cieszyna – Halina Branna-Paseka. A na deser zaśpiewała nasza niezrównana „Równica”. Nic dodać, nic ująć. Było pięknie i rodzinie. Wszystkich oczarowała wzruszająca poezja i jej 86. letnia autorka, za przykładem której warto poszukać swojego osobistego, baśniowego „malinowego świata”.

Warta przypomnienia jest prelekcja pt. „Macierz Szkolna na Zaolziu z perspektywy swych 86 lat” wygłoszona przez wieloletniego jej prezesa **Jana Brannego**. Trudne i skomplikowane były dzieje Macierzy Szkolnej wywodzącej się wprost z Macierzy Szkolnej Księstwa Cieszyńskiego, u kolebki której stał przede wszystkim Paweł Stalmach. W okresie Austro-Węgier skutecznie przeciwstawiała się ona zniemczaniu cieszyńskiego szkolnictwa, a co za tym idzie całego regionu. Dzięki powołaniu polskich gimnazjów w Cieszynie i Orłowej, Macierz Szkolna stworzyła na Śląsku Cieszyńskim zastęp rodzimej inteligencji i w rezultacie kraj ten mógł świadomie opowiedzieć się za przynależnością do Polski. Niestety, w 1920 r. Śląsk Cieszyński rozdarty został na dwie części granicą państwową na Olzie. Wówczas niezbędne było zorganizowanie Macierzy Szkolnej działającej w obrębie Republiki Czechosłowackiej. Ta część dawnej Macierzy podjęła kolejną walkę, tym razem przeciwko polityce czechizacji ziemi cieszyńskiej po drugiej stronie Olzy. Macierz wyrosła tam na organizację największą wśród innych, najbardziej umiłowaną i najbardziej jednoczącą Zaolzian pomimo wszelkich różnic politycznych, religijnych czy społecznych. Daleko przekraczała sferę szkolnictwa: opiekowała się biednymi dziećmi, ona też przede wszystkim dawała wyraz zaolziańskim aspiracjom kulturalnym, oświatowym, narodowym, takim jak wydawnictwa, a nawet początki profesjonalnego teatru. Zaolzianie marzyli, że kiedyś Polska obejmie ich kraj swoimi granicami. Marzenie to spełniło się na krótko, zostało jednak pogrzebane przez wojnę światową 1939-1945. Nazistowskie Niemcy przeznaczyły cały Śląsk Cieszyński do bezwzględnej germanizacji. Macierz i polskie szkolnictwo nie mogły dalej istnieć. Życiem przyplacili swą działalność przedwojenni prezesi zaolziańskiej Macierzy, dr Wacław Olszak i dyrektor orłowskiego gimnazjum Piotr Feliks. Sytuacja powojenna nie przywróciła Zaolzia Polsce, pozostawiając go po stronie czeskiej, która dyktowała warunki istnienia społeczności polskiej na Zaolziu, znacznie gorsze niż przed wojną. Przez długi czas nie można było nawet mówić o Macierzy, co najwyżej jako należącej do przeszłości. Na to wszystko nałożyła się epoka komunizmu. Trzeba było długo czekać na jej upadek, aby móc reaktywować nową Macierz Szkolną. Obecna jest legalną następczynią i spadkobierczynią dawnej, nielegalnie zlikwidowanej. Pomimo to strona czeska wciąż ociąga się z uznaniem prawa Macierzy do restytucji zabranego majątku i jeszcze długa droga pozostała do

realizacji tego prawa. Dzisiejsza Macierz na Zaolziu jest organizacją bardzo liczną, niestety mocno ogranicza ją brak bazy materialnej. Nie można jej porównać z Macierzą przedwojenną, która potrafiła utrzymać własne gimnazjum w Orłowej, a nierzadko wielodzietne rodziny polskie. Dziś Macierz walczy przede wszystkim o polskie państwowe szkoły i przedszkola, podejmuje szereg akcji kulturalnych i sportowych, i czyni nieustanne starania o odzyskanie majątku.



Pisarz zaolziański Kazimierz Kaszper podczas promocji swojej nowej książki (fot. z archiwum Muzeum „Zbiory Marii Skalickiej”)

W 2007 r. w „Zbiorach Marii Skalickiej” zorganizowano m.in.: wystawy twórców zaolziańskich – malarstwa **Bronisława Firli** i ekslibrisu **Zbigniewa Kubeczki**, spotkania w Klubie Propozycji – wykład prof. Daniela Kadłubca na temat „Europejskości Śląska Cieszyńskiego” oraz promocję najnowszej książki znakomitego pisarza zaolziańskiego **Kazimierza Kaszpera**, będącej zapisem biografii i rozmów z Polakami z jednej i drugiej strony Olzy.

W bieżącym roku mija piąta rocznica śmierci Marii Skalickiej. Dla uczczenia jej pamięci wydano publikację „Druki bibliofilskie i ekslibrisy ze zbiorów Marii Skalickiej”, a także, nawiązując do jej pracy na niwie muzycznej, zorganizowano koncert kameralny w wykonaniu grupy *Wałasi & Lasoniowie*.



Irena Maliborska – programista komputerowy, w latach 1993-2004 zatrudniona w Urzędzie Miejskim w Ustroniu. Od 2005 r. prowadzi Oddział Muzeum Ustrońskiego „Zbiory Marii Skalickiej”.

Profesor – ustroniak z wyboru

Rozmowa Elżbiety Sikory z prof. Mieczysławem Porębskim

Jest Pan wybitnym historykiem i krytykiem sztuki, naukowcem i pisarzem. Skąd to zainteresowanie?

Należę do rocznika, który ostatni zdążył jeszcze rozpocząć studia przed wybuchem drugiej wojny światowej, w 1938 r. Miałem wtedy 17 lat i interesowało mnie właściwie wszystko. Sztuka, literatura, historia, nauki ścisłe; architektura, a raczej urbanistyka w historycznym ujęciu Tadeusza Tołwińskiego. Mieszkaliśmy wtedy w Piekarach Śląskich (ojciec był tam dyrektorem gimnazjum), najbliższe było do Krakowa, stołecznego miasta moich rodziców. W Krakowie nie było wtedy politechniki, zdecydowałem się więc na historię sztuki, trochę na przekór, bo znacznie lepiej byłem zorientowany w problematyce literackiej. Prowincjusz, ze sztukami plastycznymi miałem kontakt właściwie żaden. Trochę reprodukcji, w domu był album zbiorów malarskich Luwru. Może zresztą i tutaj do wyboru przyczyniła się literatura – trudne, ale pasjonujące „Żywe kamienie” Wacława Berenta. Tryb studiowania był wówczas swobodny. Zapisalem się na historię sztuki, ale uczęszczałem również na zajęcia z archeologii pradziejowej i klasycznej (ojciec mój był filologiem klasycznym i germanistą); z nauk ścisłych – na logikę. I tak się zaczęło. Gdyby nie wojna, byłbym pewno został mediewistą (powojenną już pracę magisterską pisałem o ołtarzu mariackim Wita Stwosza). Udział w konspiracyjnym życiu artystycznym Krakowa sprawił, że górę wzięła sztuka współczesna, wiek XX.

Oprócz pracy akademickiej ma Pan na swoim koncie dorobek literacki. Jakich tematów głównie dotyczą Pana książki?

Akademickiego badacza obowiązuje wierność historycznej prawdzie, trud jej dociekania. Literat może sobie pozwolić na znacznie więcej, zawierzyć wyobraźni, ale cele i źródłowy warsztat są dość podobne. Liczy się – przynajmniej dla mnie – klasa pisarstwa, dobry język, odkrywczość spojrzenia, nade wszystko zaś nakład pracy i pracy. Pod tym ostatnim przynajmniej względem nie widzę większej różnicy pomiędzy moimi „Malowanymi dziejami” czy „Granicą współczesności” a „po-wieścią Z.” czy „Wakacjami Sinobrodego”, nad którymi pracuję obecnie.

Uczelnie, na których Pan wykladał skończyło wielu studentów. Czy są wśród nich znane dziś nazwiska?

Nazwisk nie wymienię, bo nie chciałbym nikogo pominąć, a uzbierałoby się ich sporo. Na samej Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie wykładałem przez 20 lat, potem, objąwszy wakującą katedrę historii sztuki nowoczesnej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie przez 15 lat. Miałem też przez parę semestrów wykłady w Szkole Filmowej w Łodzi i w tamtejszej Szkole Sztuk Plastycznych. Na moje wykłady przychodzili nie tylko własni studenci, ale i wielu zainteresowanych nimi słuchaczy (i słuchaczek) z zewnątrz. Wśród całego tego grona znajdują się czołowe nazwiska więcej niż jednej generacji malarzy, rzeźbiarzy, grafików, ludzi książki, teatru i filmu, naukowców niekoniecznie najbliższych sobie dyscyplin, profesura wyższych uczelni krajowych i zagranicznych, świat krytyki, nawet dwóch byłych ministrów III Rzeczypospolitej. Jeden z nich, którego doktoryzowałem objął po mnie wykłady na warszawskiej ASP, drugi – lekarz psychiatra – jest europejskim, unijnym parlamentarzystą.

W 13 numerze „Pamiętnika Ustrońskiego” przedstawione są ustrońskie rody. Pańskie nazwisko znalazło się tam z tytułu ożenku z ustrońską Anną Lazar – córką tutejszego sekretarza Urzędu Gminnego – Jerzego Lazara. Przez to w połowie stał się Pan ustrońsiakiem i wrósł korzeniami w ziemię cieszyńską. Czy Pan to odczuwa?

Do Ustronia przywiozła mnie po raz pierwszy z końcem 1947 r. moja przyszła żona, żeby mnie przedstawić swoim rodzicom. Hania studiowała jak i ja na UJ historię sztuki i zbierała mi brakujące w indeksie nomina, bo ja swoje przerwane przez wojnę studia kończyłem dość selektywnie, czasy były trudne, wiele rzeczy do zrobienia., wybierałem się na ciężko wywalczone francuskie stypendium do Paryża, zobaczyć Luwr nie w albumie tylko naprawdę. A Ustroń? Śląsk Cieszyński nie był dla mnie tak całkiem „nieznanym krajem”, sporo o nim wiedziałem, czytałem jeszcze w gimnazjum, mieliśmy jakiś harcerski obóz w Istebnej, potem, już z Piekar, ojciec zabierał mnie do Wisły na górskie wycieczki, podchodziliśmy puszczańskie głuszcze, mokliśmy na częstszych tam niż w reszcie Polski deszczach. I tak to właśnie się zaczęło.

Ze względów zawodowych mieszkaliście najpierw w Warszawie, a później w Krakowie. Które miejsce było Panu bliższe?

Z Krakowem związały mnie na dobre zaczęte przed wojną studia, lata okupacji i te „zaraz po wojnie”. Do Warszawy przenieśliśmy się z Hanią po moim powrocie z Paryża w 1950 r., gdy zacząłem tam pracę w Państwowym Instytucie Sztuki i na ASP. Nasz powrót do Krakowa to był 1970 r. Zachowałem tam po dziś dzień swoje profesorskie mieszkanie. Z grodem Kraka łączy mnie wciąż wiele, trudno jednak powiedzieć, z którą z naszych historycznych stolic więcej. Krążyłem między oboma szukając artystycznych kontaktów już w latach okupacji. A urodziłem się w trzeciej z tych stolic, wielkopolskim Gnieźnie. Po pierwszej wojnie ojciec brał tam udział w odbudowie polskiego szkolnictwa, często zresztą zmieniając posady. Po Gnieźnie była „Kongresówka” i Łask, potem znów Wielkopolska, Poznań, Kępno, Pomorze – Grudziądz, Gniew, Chełmża i na koniec Śląsk, Piekary. „Kamień, który się toczy, nie porasta mchem”, mówi francuskie przysłowie. Stąd i ja wszędzie czułem się po trochu u siebie i nie u siebie, nie tylko w kraju, ale i za granicą, w Paryżu, Wenecji, gdzie po wielokroć dane mi było powracać.

Ustroń to dom rodzinny żony, azyl, oaza ciszy i spokoju, z którym wiążą się wspomnienia, a także – sądę – miejsce, gdzie powstawały niektóre publikacje. Jaka jest waga Ustronia w porównaniu z tamtymi miastami?

Ustroń ma dla mnie, znany mi tak dobrze z dzieciństwa i lat szkolnych, niepowtarzalny urok małych, żyjących własnym skupionym życiem miejscowości, gdzie wszyscy są jakoś ze sobą rodzinnie i zawodowo powiązani, sobie tak czy inaczej znajomi i gdzie cała wielkość i groza świata jakby – do czasu, do czasu – nie docierały. Być może podświadomie tęskniłem za takim właśnie „miejscem na ziemi” i znalazłem je w Ustroniu. Jestem ustrońsiakiem z wyboru.

Na ziemi cieszyńskiej urodziły się dzieci – córka Joanna i syn Jerzy. Czy następne pokolenie poszło Pana śladem?

Nasza córka Asia (Joanna) urodziła się w Cieszynie. Gdy przenieśliśmy się z Warszawy do Krakowa, była już na studiach i tam je ukończyła. Młodszy od niej Jurek szkołę średnią kończył w Krakowie, studia wyższe dzielił między Kraków i – już samodzielnie – Warszawę. Obydwoje ukończyli architekturę, Joanna również matematykę na Uniwersytecie Warszawskim, Jurek wzornictwo przemysłowe na

warszawskiej ASP. W ten sposób zrealizowali to, od czego ja zacząć zamierzałem, ale nie zacząłem i myślę, że zrealizowali szczęśliwie i twórczo. Asia – dziś już na emeryturze – prezydowała fundacji „Muratora” „Dostępny Dom Własny”, a obecnie wróciła do pasjonującej ją zawsze problematyki kształtowania przestrzeni urbanistycznej i krajobrazowej, jest w tej dziedzinie poważnie liczącym się ekspertem. Jurek został profesorem na Wydziale Form Przemysłowych warszawskiej ASP, któremu teraz dziękuje. Jest też założycielem stołecznego Towarzystwa Projektowego, pomysłodawcą i współtwórcą wielu realizacji kształtujących śródmiejskie oblicze Warszawy.

Jest Pan dziadkiem dwóch wnuczek – Zuzanny i Ewy oraz wnuka Mateusza. Czy chciałby Pan, aby któreś z nich kontynuowało dzieło dziadka?

A wnuki? Mateusz poszedł śladami swego ojca, profesora logiki i jest doktoryzującym się właśnie programistą – informatykiem. Jego młodsza siostra Zuzanna studiuje na ASP, wybrała tę trudną i ambitną dziedzinę twórczości, jaką jest rzeźba. Córka Jurków, Ewa jest przed maturą, zainteresowania ma wszechstronne i pewno będzie miała te same trudności z wyborem, jakie przed laty miał jej dziadek.



Jerzy Lazar (1883-1952). Sekretarz Urzędu Gminnego w Ustroniu w latach 1909-1939 (fot. z archiwum rodzinnego prof. Mieczysława Porębskiego)

Wracając do Jerzego Lazara, jakie były kontakty z teściem, czy kiedykolwiek, jako wódcą gminy, wprowadzał Pana w tematy związane z rozwojem Ustronia ?

Wracamy do Ustronia. Mój teść był człowiekiem wielkiej skromności, niewiele mówił o swoich planach i osiągnięciach, a przecież jego sekretarzowanie, była to w dziejach Ustronia doba przełomu. To on właśnie dał początek tym przemianom,

które przekształciły staroświeckie, pamiętające jeszcze czasy *moorbadu* letnisko w wielkie nowoczesne uzdrowisko. Jemu zawdzięczamy drogę na Równicę, basen kąpielowy (którego rozbudowa tak nieszczęśliwie utknęła w miejscu), pomysł zagospodarowania doliny Jaszowca. A także lata codziennej gospodarskiej troski. Opowiadano mi, że „sekreciorz” swój dzień pracy w Urzędzie Gminnym zaczynał od rowerowego objazdu i żadne uszkodzenie nawierzchni, żaden zmurszały mur, obłamany konar nie uszły jego uwagi. Był zapalonym spółdzielcą i powojenna ustrońska spółdzielczość wiele miała mu do zawdzięczenia. Wysokiej kultury osobistej, miłośnik wielkiej literatury niemieckiej (innych szkół jak niemieckojęzyczne jeszcze w latach jego młodości w Ustroniu nie było), cenił sobie nade wszystko Johanna Wolfganga Goethego, Heinricha Heinego, Arthura Schopenhauera, stare wydania ich dzieł zachowały się w jego domowej bibliotece, obok popularnych krakowskich i warszawskich wydawnictw samokształceniowych, wśród których znalazła się również cenna pozycja Stanisława Brzozowskiego omawiająca w serii „książka dla wszystkich” poglądy Hipolita Taine’a (1902 r.). Były i ewangeliczne kalendarze, i pierwsze tutaj druki, i broszury socjalistyczne. O tym też wszystkim rozmawiał najchętniej.

Czy zdaniem Pana trafne i celowe było nazwanie alei parkowej koło domu imieniem Jerzego – ojca i Ottona – syna, Lazarów?

Aleję Jerzego i Ottona Lazarów mam przed swoimi oknami. Dziś jest to pięknie zadrzewiony park, ale ja pamiętam jeszcze na tym miejscu jedno wielkie kartoflisko. Zasługi dla Ustronia starszego brata mojej żony dra Ottona Lazara są równie znane jak jego ojca. Osiadły na skutek wojennych perturbacji w Stanach Zjednoczonych, w czasie swych dorocznych wakacyjnych pobytów w Ustroniu leczył darmowo najbardziej tego potrzebujących miejscowych i okolicznych pacjentów, których sam sobie dobierał i którzy z pewnością po dziś dzień mają go w swojej wdzięcznej pamięci. Nas z Hanią gościł u siebie w Newcomb, górniczej osadzie w Adirondakach, gdzie ordynował. Dzięki niemu mogliśmy poznać Amerykę nie tylko od strony wielkich metropolii, Nowego Jorku, Bostonu, Montrealu, ale i jej jakże fascynującego kulturowego i obyczajowego zaplecza.

Od urodzenia mieszkam w bezpośrednim sąsiedztwie domu Lazarów, nie mówiąc o powiązaniach rodzinnych. Przez to interesują mnie kontakty Pana ze znanymi ustrońskimi, którzy przewinęli się przez ten dom, np. prof. Jan Szczepeński – humanista, socjolog, Józef Pilch – bibliofil, historyk, czy inni.

O naszej przyjaźni z Janem Szczepeńskim i jego żoną – Norą pisałem w poświęconej mu księdze pamiątkowej, nie chciałbym się powtarzać. Pan Józef Pilch był spółdzielczym wychowankiem i partnerem mojego teścia, utrzymywaliśmy z nim serdeczne stosunki aż do jego odejścia, pamiętam jego bibliotekę, bezcenne ewangeliczne starodruki, jakie były dalsze jej koleje, nie bardzo mi wiadomo. Bliska przyjaźń łączyła też nas z księdzem Andrzejem Wantułą, synem słynnego chłopskiego bibliofila, mistrza mojego teścia, Jana Wantuły. On i jego żona, Julcia, gościli nas potem i w Warszawie, gdzie objął godność biskupią (nie zapomnę smaku jej znakomitej *warzonki*, przy której się tak dobrze gwarzyło). Z księdzem Andrzejem łączyły mnie też przejścia okupacyjne – hitlerowskie KZety. Ale wracanie do tych wspomnień nie było w naszym zwyczaju. Parę oszczędnych słów wystarczyło. Moich o Gross-Rosen i Sachsenhausen, Andrzeja „Z doliny cienia śmierci” w Mauthausen. Tak właśnie zatytułował niewielką książeczkę swoich wspomnień pisanych w formie opowiadań. Opublikowane nakładem Ewangelicko-Augsburskiej Parafii Polskiej w Londynie

(1947 r.), gdzie ich Autor znalazł się po wyzwoleniu, bezcenne źródło tragicznych losów bliskich mu ofiar. Dla mnie zaś równie bezcenna, подарowana mi pamiątka ustroniańskich i potem warszawskich spotkań i rozmów. Wśród bliskich nam ustroniańców trudno też nie wspomnieć o skuzynowanej z Hanią żonie poety – Broni Przybosiowej, o Wandzie i Julijce, ich córkach, ale to temat osobnej, wielowątkowej opowieści, która na Ustroniu ani się zaczyna, ani kończy. A młodsze pokolenie? Bardzo wysoko cenię dorobek badawczy, edytorski, twórczość pisarską i fotoreportaże mojej młodszej uniwersyteckiej koleżanki, Pani Grażyny Kubicy-Hellerowej. Nikt tak jak ona nie potrafił zobaczyć ustroniańskich ludzi, obyczajów, tradycji nie samym tylko chłodnym okiem etnologa. Bliska mi jest też droga naukowa trochę mojego ucznia, dziś wykładającego filozofię na cieszyńskim Wydziale Uniwersytetu Śląskiego, dra Marka Rembierza, czy jego kolegi z UŚ łowcy Parmenidesowego apeironu, profesora filozofii Darka Kuboka.

Przy okazji proszę jeszcze powiedzieć o swoich kontaktach ze znanymi ludźmi świata literatury, nauki i kultury nie pochodzącymi z Ustronia, a którzy także odwiedzali dom w Parku Lazarów, np. Tadeusz Różewicz.

Moi ustroniańscy goście to znów temat osobnej, wielowątkowej opowieści. Oczywiście Tadeusz Różewicz (nasze rozmowy o profesorskim „nożyku”). Ale i młodszy brat Tadeusza, Stanisław, który tutaj w gościnnych parafialnych wnętrzach Zboru kręcił swoje filmowe arcydzieło „Samotność we dwoje” (według opowiadania Karola Konińskiego „Straszny czwartej w domu pastora”). Ryszard Stanisławski, któremu towarzyszyłem w jego pełnej sukcesów działalności wystawowej w kraju i za granicą. Jego żona, znakomity krytyk sztuki, Urszula Czartoryska. Pamiętający o mnie wierni uczniowie i uczennice, których nie zliczę. I na tym chyba po-
przestaniemy.

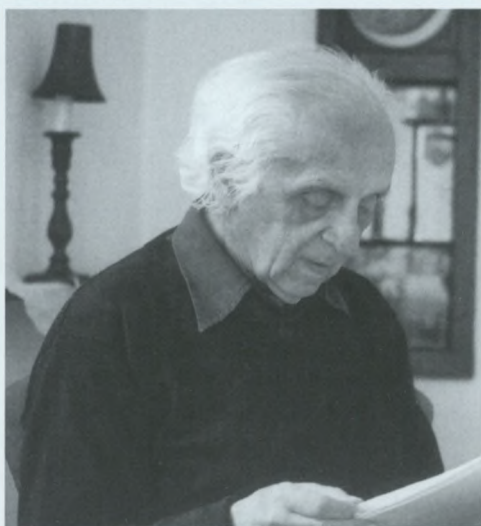
Jak z perspektywy czasu ocenia Pan dotychczasowe zmiany zachodzące w naszym mieście. Uważa Pan, że rozwój Ustronia idzie w dobrym kierunku, nie nasiąknięty otaczającą nas płytką, konsumpcyjną rzeczywistością?

Zmienia się świat, zmienia Ustroń. Czy na lepsze? Myślę, że jednak na lepsze. Nie wszystko jeszcze uległo globalnemu konsumpcjonizmowi, coraz bardziej liczy się regionalizacja, wielkie (Europa), średnie (nasza Rzeczypospolita wielu narodów) i małe, miejscowe ojczyzny, których Ustroń najlepszym może być przykładem i wzorcem.

Dziękując za rozmowę, życzę jeszcze wielu lat pasjonującej i owocnej pracy twórczej w dobrym zdrowiu, które jest najcenniejszą wartością.



*Na ganku w Ustroniu, około 1990 r. Anna Porębska, Tadeusz Różewicz, Mieczysław Porębski
(fot. z archiwum rodzinnego prof. M. Porębskiego)*



Prof. Mieczysław Porębski (ur. w 1921 r.) – wybitny humanista, historyk, teoretyk i krytyk sztuki, emerytowany profesor zwyczajny Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. W latach 1950-1969 wykładał w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, pracując równocześnie naukowo w Instytucie Sztuki i Pracowni Kultury Współczesnej PAN. W latach 1974-1986 kurator działów i konsultant Muzeum Narodowego w Krakowie. Autor rozpraw i studiów z zakresu historii sztuki XIX i XX w., teorii sztuki i kultury, w latach 1945-1966 uprawiał też krytykę artystyczną. Od młodości związany z artystami Grupy Krakowskiej – Tadeuszem Kantorem, Jerzym Nowosielskim, Andrzejem Wróblewskim. W 2002 r. uhonorowany doktoratem honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego.

Ważniejsze publikacje książkowe: „Sztuka naszego czasu” (1956 r.), „Malowane dzieje” (1961 r., wyd. 2 1962 r.), „Granica współczesności” (1965 r.), „Kubizm. Wprowadzenie do sztuki XX wieku” (1966 r., wyd. 2 1968 r., wyd. 3 uzupełnione 1980 r., wyd. 4 1986 r.), „Pożegnanie z krytyką” (1966 r., wyd. 2 rozszerzone 1983 r.), „Ikonosfera” (1972 r.), „Interregnum” (1975 r.), „Dzieje sztuki w zarysie” t. 1 (1976 r., wyd. 2 1979 r.), „Sztuka a informacja” (1986 r.), „Deska” (1997 r.), „po-wieść Z.” (1989 r.), „Galeria sztuki polskiej XIX w. w Sukiennicach” (2001 r.), „Polskość jako sytuacja” (2002 r.), „Nowosielski” (2003 r.), „Krytycy i sztuka” (2004 r.), „Spotkanie z Ablem” (w druku).



Elżbieta Sikora – pracownik Urzędu Miasta w Ustroniu w latach 1973-1990, działacz społeczny Towarzystwa Miłośników Ustronia oraz Towarzystwa Kształcenia Artystycznego, ławnik Sądu Rejonowego w Cieszynie. Inicjatorka, organizatorka i prezenterka licznych imprez kulturalnych na terenie Ustronia, m.in. 14. edycji festiwalu piosenki czeskiej i słowackiej, „Talk show burmistrzów”, benefisu animatora kultury Anny Robosz. Autorka wielu publikacji okazjonalnych i artykułów prasowych. Uhonorowana Herbem Pamiątkowym „Za zasługi dla miasta Ustronia” (1985 r.) oraz odznaką „Zasłużony działacz kultury” (2005 r.).

III.
WSPOMNIENIA

Otto Winecki – Windholz

Fordem-A z Ustronia do... Melbourne

Zima owego roku 1929 była sroga. Pewnego dnia, gdzieś pod koniec stycznia tata pojechał razem z naszym kierowcą – Rudolfem Tyrną do Bielska, aby odebrać samochód. Od kilku dni wiedzieliśmy, że tata kupił auto, które lada dzień miało być gotowe do odbioru. Oczywiście mojej sześciolatek wyobraźni widziałem siebie, siedzącego za kierownicą wspaniałego samochodu, bo już wówczas fascynowały mnie wszelkiego rodzaju maszyny, a auta znajdowały się na pierwszym miejscu moich zainteresowań. I oto dzień ten właśnie nadszedł. Od wczesnego popołudnia siedziałem jak wryty przy oknie sypialni, które wychodziło na ulicę, żeby broń Boże nie przegapić momentu powrotu taty z samochodem. Czas dłużył mi się okropnie.

Wreszcie zobaczyłem jak pod drzwiami wejściowe podjechało owo cudo – Ford-A z numerem rejestracyjnym SL – 38-08 ! Z okrzykiem „są, są, przyjechali!” wyleciałem przed dom, a za mną mama, brat Fredek i naturalnie nasza kochana babcia Joanna.



Kierowca Rudolf Tyrna i nowy nabytek rodziny Windholzów – Ford-A, 1929 r.
(fot. z archiwum autora)

Tata ledwo zdążył wysiąść z samochodu, a już byłem w środku na przednim siedzeniu obok Tyrny. Podniecony, z rozbieranymi oczyma, pochłaniałem wzrokiem widok kierownicy, tachometru i różnych guzików na tablicy rozdzielczej, dotykałem czego mogłem i tylko bałem się, aby Tyrna nie przerwał mi tej chwili radości i jak najdłużej pozwalał mi cieszyć się tą nową zabawką. Ale Tyrna, widząc moje podniecenie i wypieki na twarzy, uśmiechał się tylko dobrotliwie.

Cała nasza rodzina zgromadzona przed domem także wyrażała zadowolenie i chwaliła ten cud nowoczesnej techniki. Był to chyba czwarty samochód w Ustroniu i z pewnością najnowocześniejszy. Nie pamiętam już jakich perswazji użył tata, aby

mnie wyciągnąć z samochodu. Ale kiedy w końcu powiedział, że jak wysiądę to będę mógł pojechać z Tyrną, aby odstawić auto – wyskoczyłem jak z procy na ulicę. Jako, że w domu nie mieliśmy jeszcze garażu, tata uzyskał zgodę pani Eleonory Frąckowiak, że do czasu przystosowania naszej „drzewni” będziemy mogli korzystać z jej prawdziwego garażu przy, właśnie co wykończonej, nowej willi obok rynku. W owych czasach nie do pomyslenia było bowiem, aby samochód stał na ulicy, bo przy panującym mrozie groziło to zamarznięciem wody i poważnym uszkodzeniem silnika.

Tak więc późnym popołudniem, już niemal pod wieczór, usiadłem dumnie obok Tyrny i pojechaliśmy do wspomnianego garażu. Jak na owe czasy (byłem mały i nogi miałem krótkie) była to poważna odległość od domu, ale cieszyłem się, że przyjemność ta będzie trwała długo. Rozkoszowałem się więc „zawrotną” (może 40 km na godzinę) jazdą przez Ustroń. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce (nastąpiło to szybciej niż się spodziewałem), Tyrna wstawił auto do garażu, spuścił wodę z chłodnicy, aby przez noc nie zamarzła, a potem wziął mnie za rękę i pomaszerowaliśmy do domu. Dopiero teraz droga wydawała mi się bardzo długa, było zimno, a śnieg skrzypiał pod nogami. Ale byłem bardzo szczęśliwy i zasypywałem Tyrnę mnóstwem pytań. Chciałem wiedzieć wszystko co dotyczy samochodu, a Tyrna z dużą cierpliwością na wszelkie pytania mi odpowiadał.



Rudolf Tyrna i Ford-A przed domem rodziny Windholzów w Ustroniu przy obecnej ul. I. Daszyńskiego 72, 1931 r. (fot. z archiwum autora)

Kiedy dotarliśmy do domu było już ciemno i mróz coraz bardziej dawał się we znaki. Ręce i nogi miałem lodowate, ale serce było gorące i w głowie aż kręciło mi się od radości! Wpadłem do ciepłego domu i opowiadałem wszystkim o mojej cudownej przejażdżce. Tyrna, który mieszkał aż w Nierodzimiu pomaszerował dalej, 4 czy 5 kilometrów i bardzo go żalowałem. Przystosowanie „drzewni” nie trwało długo

i po 2-3 tygodniach mieliśmy już auto w swoim garażu. Tyrna przychodził wcześniej rano i zaczynał od codziennego rytuału, którym był rozruch silnika. Najpierw nalewał konewką ciepłą wodę do chłodnicy, a potem przez kilka minut rozluźniał ręczną „kurbłą” zastygły wał korbowy, by później już starterem uruchomić silnik. Udawało mu się to znakomicie, silnik warczał zadowolony, a Tyrna ocierał pot z czoła i sprawdzał stan oleju w silniku, i zapas benzyny, patrzył, czy opony są w porządku, czy działają światła i kierunkowskazy. Jeżeli tata miał zaplanowany jakiś wyjazd w danym dniu, to razem z Tyrną ładowali paczki z kawą na tylne siedzenie, by szybko dostarczyć ją klientom. Jeżeli wyjazdu tego dnia nie było, to Tyrna pilnie krzątał się koło auta. Trzeba powiedzieć, że auto zawsze błyszczało czystością i było idealnie zadbane. Moim najulubieńszym zajęciem było asystowanie Tyrnie przy pracy. Godzinami mogłem przyglądać się jego zgrabnym palcom, kiedy grzebał w silniku, tłumacząc mi co robi i co do czego służy. Pozwalał mi też asystować przy „pucowaniu”, tj. nacieraniu woskiem i polerowaniu lakierowanej karoserii. Czasami dla odprężenia brał mnie „na barana” i gonił po podwórku. Toteż pokochałem go prawdziwą miłością szczęśliwego dziecka, a wspomnienia z tego okresu wryły się na zawsze w mojej pamięci.



Rudolf Tyrna i Otek
Windholz w 1930 r.
– na Fordzie-A
(fot. z archiwum autora)

Kilka lat później, już po wybuchu wojny Rudolf Tyrna zapisał się w pamięci całej naszej rodziny w sposób zupełnie wyjątkowy. Od kilku lat nie pracował już u ojca i nie mieszkał nawet w Ustroniu. Ale w roku 1939 zjawiał się nagle i zaproponował ojcu, że na okres wojny weźmie do siebie na przechowanie wszystkie dokumenty, listy, fotografie i pamiątki rodzinne. Zwrócił je nam wszystkie, kiedy po latach tułaczki wróciliśmy do Ustronia w roku 1945.

Minęło... 78 lat od tych moich dziecięcych wspomnień z Ustronia. Przechodziłem w tym czasie różne koleje losu. Od 39 lat mieszkam w Australii. Mam żonę Krysę i 2 dorosłe córki, Joasię w Sydney i Oleńkę w Melbourne. Doczekaliśmy się także 5 wnuków. Obchodzimy wspólnie wszystkie rodzinne uroczystości, podczas których często rozmawiamy o przeszłości.

W marcu roku 2005 skończyłem 82 lata. Z tej okazji Oleńka i jej mąż Steven zaprosili nas na przejażdżkę, nie mówiąc dokąd jedziemy. Według trasy naszej jazdy próbowałem wydedukować cel tej eskapady, ale nic z tego nie wyszło, bo okolica była mi całkiem nieznaną. Razem z Krysą snuliśmy różne domysły, ale Ola i Steven

nic nie chcieli powiedzieć. Wreszcie stanęliśmy przed jakimś domem. Ola weszła do środka, a po chwili wróciła ze starszym mężczyzną. Przedstawiła nas, a wskazując na mnie powiedziała: „Oto nasz jubilat”. Mężczyzna – Rob Fretwell, bo tak się nazywał – złożył mi życzenia urodzinowe, a potem przeprosił na moment, podążając w kierunku garażu. Otworzył bramę i za chwilę zobaczyłem, że z garażu tyłem wyjeżdża jakiś samochód. Patrzyłem pod słońce, i nie mogłem niczego bliższego rozeznaczyć. Trwało to jakiś czas, aż nareszcie zobaczyłem! W pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć własnym oczom! Był to Ford-A, taki sam kolor, ten sam rocznik, tylko numer rejestracyjny inny – RF-029. Trudno opisać, co się działo w mojej głowie i sercu! Takie spotkanie po ...76 latach!!! Nacisnąłem na klakson, który zatrząbił tak samo jak nasz ustroński samochód!!! Czy to możliwe?



Melbourne, 29 marca 2005 r. – australijski rówieśnik przedwojennego Forda-A Windholzów i Otto Winecki – Windholz ... 76 lat starszy (fot. z archiwum autora)

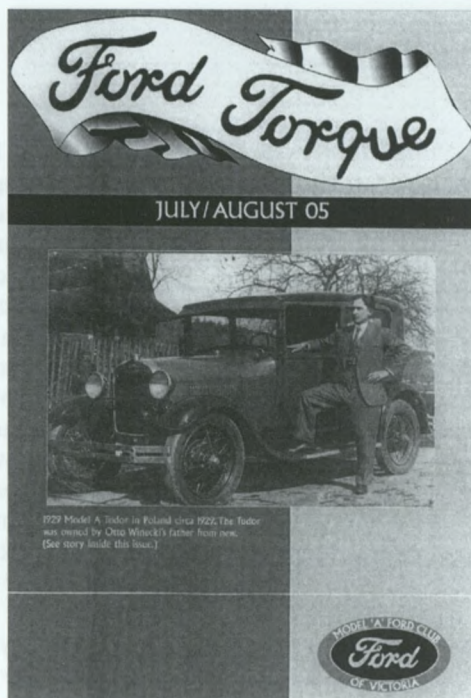
Oleńce, która jest bardzo emocjonalna, podejrzanie zaszklili się oczy, tak samo zresztą jak Krysi. A ja byłem zupełnie nieprzytomny!

Potem Rob zaprosił nas na przejażdżkę. Wsiedliśmy i pojechaliśmy do małej, czarującej podmiejskiej miejscowości i napiliśmy się dobrej kawy. I dopiero wtedy wyjaśniło się wszystko. Oleńka, wiedząc z licznych opowiadań o tym pierwszym w moim życiu samochodzie, o mojej miłości do niego i moim sentymentalnym usposobieniu, postanowiła przygotować dla mnie niezwykle prezent urodzinowy. Dowiedziała się, że w Melbourne istnieją kluby właścicieli tzw. *vintage* lub *veteran cars*, z których każdy skupia miłośników określonej marki samochodu. Tak więc trafiła do kilku klubów miłośników starych Fordów, a potem do klubu poszczególnych modeli.

Dotarła do prezesa *Model A Ford Club of Victoria* i zapytała o samochód rocznika 1928-1929. Było ich pięć. Kiedy następnie spytała o samochód w kolorze niebiesko-szarym – otrzymała numer telefonu jego właściciela – Roba Fretwella. Opowiedziała mu historię ustrońskiego samochodu i prosiła o zgodę na udział w „kospiracyjnym” spotkaniu z moją zamierzcłą przeszłością. Niespodzianka udała się cudownie. Moment naszego spotkania z autem został uwieczniony na video przez Stevena i dopiero kiedy później zobaczyłem siebie w telewizorze, zdałem sobie sprawę jak wielkie było moje zaskoczenie i wzruszenie.

Kilka tygodni potem Rob poprosił mnie o zgodę na umieszczenie reportażu z tego spotkania w samochodowym czasopiśmie klubowym. W jakiś czas później, w numerze lipcowo-sierpniowym *Ford Torque* został opublikowany obszerny artykuł wraz z fotografiami, a duże zdjęcie Rudolfa Tyny z naszym ustrońskim Fordem ukazało się na stronie tytułowej.

Tak oto połączyły się ze sobą dwa wydarzenia: jedno – w Ustroniu, w styczniu roku 1929, drugie – w Melbourne w marcu roku... 2005.



Oktadka lipcowo-sierpniowego numeru *Ford Torque* z 2005 r., w którym na stronie 10 Rob Fretwell opisał nostalgiczną historię Ottona Wineckiego – Windholza i samochodu Ford-A (z archiwum autora)



Otto Winecki – Windholz – urodził się 29 marca 1923 r. w Ustroniu jako syn Józefa i Selmy (z domu Ring) Windholzów. Uczęszczał do Szkoły Podstawowej Nr 2 i do Państwowego Gimnazjum Kupieckiego w Cieszynie. Pod koniec października 1939 r. został wywieziony do tworzącego się obozu koncentracyjnego w Nisku, skąd udało mu się zbiec i dostać do Lwowa. Tam został schwytyany przez NKWD i wywieziony do obozu pracy na Syberię. W końcu 1943 r. zgłosił się do tworzącej się w ZSRR Armii Kościuszkowskiej, z którą przeszedł cały jej szlak bojowy, zakończony w Berlinie, w maju 1945 r. Po zdaniu matury rozpoczął studia w Wyższej Szkole Handlu Morskiego w Sopocie, a w maju 1949 r. podjął pracę w Ministerstwie Handlu

Zagranicznego. W wyniku wydarzeń politycznych w latach 1967-1968, pozbawiony pracy, został zmuszony do opuszczenia kraju i osiedlił się wraz z rodziną w Melbourne, w Australii. Z żoną Krystyną są wieloletnimi (od 1994 r.) członkami Towarzystwa Miłośników Ustronia (do TMU należeli również jego dziadek Adolf Windholz w latach 1888-1906 i ojciec Józef Windholz w latach 1923-1961, a także jego wujkowie: Baruch Hechter (od 1888 r.) i Adolf Dattner (od 1903 r.), natomiast od 2004 r. członkiem TMU jest również jego córka – Sandra Leigh). Pozostaje w stałym, nieprzerwanym kontakcie ze swą ziemią ojczystą, którą co kilka lat odwiedza.

Julia Przyboś

Nora i Jan Szczepańscy – moja wakacyjna rodzina

Pojawili się w moim życiu, gdy miałam lat dziewięć. Z początkiem letnich wakacji mama wsadziła mnie w Warszawie do pociągu do Łodzi. To była moja pierwsza samodzielna podróż. Na peronie czekała nowa ciocia Nora. Była drobna, ubrana z wielkim smakiem, bardzo serdeczna. Ucałowała mnie jakby mnie znała od urodzenia. Poznałam też wtedy resztę członków rodziny Szczepańskich: babcię, wuja Jana, dorosłego w moich oczach Artura i o głowę wyższą, choć o rok ode mnie młodszą, Utę.

Największe wtedy wrażenie zrobiła na mnie babcia Poczobut-Odlanicka, zwana dobrotliwie (i za jej plecami) – Poczem albo wręcz Poczusiem. Gdy podrosłam mama mówiła o niej „babcia harcerz”. Była drobniotka, rezolutna i nade wszystko praktyczna. Nauczyła zięcia i wnuki mówić po francusku, bo w domu Szczepańskich mówiło się przy niej w języku Moliera. Praktykowała już to, co amerykańscy nauczyciele języków obcych nazywają teraz *total immersion*. W kuchni pamiętam na przykład słoiki z konfiturami jej roboty, z nalepkami po francusku i ... rosyjsku, bo chciała i ten język, który znała od dziecka, przekazać młodszemu pokoleniom. Jej właśnie zawdzięczam, że nie zapomniałam mówić po francusku, po odejściu Zouzou, która zajmowała się Wandą i mną od powrotu ze Szwajcarii aż do rozstania rodziców. Kiedy pojechaliliśmy na wakacje do Krynicy Morskiej, czytała nam po obiedzie *La Reine Margot* Aleksandra Dumasa. Niewiele z tej lektury rozumiałam i jeszcze mniej zapamiętałam. Jeszcze do niedawna nasza Zouzou czytała mi po francusku książki dla dzieci pióra hrabiny Ségur z domu Roztopszyn. Po latach przeczytałam *Królową*

Margot od deski do deski: pojedynki, miłosne schadzki, rzeź Hugenotów i na koniec ścięcie mieczem przystojnych i ognistych bohaterów. Myślę dziś, że wybór tej książki na leżakowanie miał cele pedagogiczne. Chodziło o wzbogacenie biernego słownictwa i może też o „oswojenie” dziewczynek z burzliwą historią Francji. A rzezie i egzekucje? Babcia Poczobut się nimi nie przejmowała. I słusznie, bo dziewczynki były za małe, by wszystko pojąć. Wtedy też usłyszałam po raz pierwszy o zapalczywym Rolandzie, roztopnym Oliwierze i smutnej Aude. Uta, która chyba jeszcze nie umiała dobrze czytać, rysowała z pasją średniowieczne zbroje i sceny z *Pieśni o Rolandzie*. W wieku, kiedy dziewczynki marzą jeszcze o Śpiących Królewnach, babcia potrafiła obudzić w Ucie, a Uta we mnie, dziecięcą fascynację dla średniowiecza.



Krynica Morska, lato 1956 r. Od lewej: Julia Przyboś, Jan Szczepański, Uta Szczepańska (fot. z archiwum rodzinnego Julii Przyboś)

Od tego pierwszego, pamiętnego lata 1956 roku Szczepańscy stali się dla mnie rodziną wakacyjną. Świetnie pamiętam pobyt w Jastrzębiej Górze. Wuj Jan zabierał Utę i mnie do latarni morskiej na Rozewiu. W czasie owych pokolacyjnych spacerów opowiadał nam przygody czerwonoskórego *gentlemana* Winetou, jego przyjaciela Old Surehanda i podstępnych Komanczy, którzy czyhali na ich skalpy. Cały dzień czekałam na następny odcinek, bo wuj Jan był wspaniałym opowiadaczem. Cowieczorny odcinek kończył w dramatycznym momencie według klasycznych reguł literatury bulwarowej. Myślę, że pracował wtedy nad *Czarnymi wampunami głoszącymi wojnę* i że naiwne pytania dziewczynek pomagały mu w jego pracy.

Miłość do legendarnego Dalekiego Zachodu została mi do dzisiaj. Gdy byłam nastolatką, oglądałam wszystkie westerny, które wchodziły na ekrany: oczywiście *W samo południe*, ale też jugosłowiańskie zakalce, w których Winetou mówił po serbsku! Teraz oglądam w telewizji filmy, które mi umknęły w młodości. A jednak mimo, że mieszkam od trzydziestu lat w Stanach Zjednoczonych, nie pojechałam jeszcze do Wielkiego Kanionu w Kolorado. Teraz dopiero, pisząc to krótkie wspomnienie rozumiałam, że boję się stracić wspaniałe wspomnienia z dzieciństwa.

Gdy Szczepańscy przenieśli się do Warszawy, moje kontakty z nimi zmieniły się. Jan zszedł na dalszy plan, a Nora stała się najukochańszą przybraną ciocią. Była jak zawsze serdeczna, pogodna i zrelaksowana. Miała w sobie lekkość i poczucie humoru, którymi potrafiła przebić mój upór nastolatki. Nora była najbliższą przyjaciółką matki i w kilku życiowych decyzjach pomogła mi jak najprawdziwsza matka. Potrafiła powiedzieć co trzeba, by rozładować sytuację i unikać dramatu.



Ustroń, lato 1957 r. Stoją siostrzenice Jana Szczepańskiego: Haneczka Gluza (z lewej) i Lila Troszok. Kucają: Uta Szczepańska (z lewej) i Julia Przyboś. W wózekku Daniela Troszok – córka Lili (fot. z archiwum rodzinnego J. Przyboś)



Na ustrońskim Zawodziu w ogrodzie willi Gluzów. Od lewej: Bronisława Przybosiowa, Nora Szczepańska, Jan Szczepański, malarka Hanna Rudzka-Cybisowa i Ewa Rudzka – żona Jerzego Rudzkiego, radcy prawnego z Warszawy (fot. z archiwum rodzinnego J. Przyboś)

Gdy po wielu latach przyjechałam po raz pierwszy w 1997 roku do matki, do Warszawy, pobięłam następnego ranka na Mokotowską. Bez zobaczenia Nory i Jana, zaraz po przyjeździe, mój pobyt w Warszawie był niepełny, nieautentyczny. Tak jak pamiętałam, byli serdeczni, otwarci na ludzi i ciekawi świata. Rozmawialiśmy tak jakby nie dzieliły nas lata rozłąki. Gdy byłam w Polsce, jeździłam do domku w Konstancinie, dokąd się przenieśli na stare lata. Nora zajmowała się chorym Janem ze spokojem i dobrotliwym humorem. I taka też zostanie mi w pamięci: mądra, oddana, pobłażliwa i nade wszystko pogodna nawet w tak ciężkiej sytuacji jak śmiertelna choroba towarzysza życia. Dla kogoś kto, jak ja, ciężko przeżył rozwód rodziców, Nora i Jan są wcieleniem Filemona i Baucis, legendarnych małżonków, którzy dożyli razem sędziwego wieku.



Dr Julia Przyboś urodziła się w Krakowie 15 stycznia 1947 r. W wieku kilku miesięcy wyjechała z rodzicami, Julianem i Bronisławą z Koźdoniów Przyboś do Szwajcarii, gdzie przebywała do 1952 r. W 1953 r. poszła do Szkoły Podstawowej w Krakowie. Po rozstaniu rodziców, w 1955 r. przeniósł się z siostrą Wandą i matką do Warszawy, gdzie ukończyła Szkołę Podstawową nr 48 i w 1964 r. Liceum Ogólnokształcące nr 14. Po zdaniu egzaminów wstępnych, kształciła się na Wydziale Filologii Romańskiej Uniwersytetu Warszawskiego. W 1969 r. napisała pracę magisterską z literatury francuskiej XX wieku. W styczniu 1970 r. wyjechała do Londynu, gdzie pracowała jako pomoc domowa i uczyła się języka angielskiego. W 1971 r.

dostała stypendium na studia doktoranckie w Yale University w New Haven, w stanie Connecticut. W 1977 r. obroniła doktorat z francuskiej literatury początku XIX wieku. W 1977 r. dostała pierwszą pracę uniwersytecką w Lafayette College w Pensylwanii. Od 1981 r. wykłada w Hunter College i w Graduate Center, City University of New York literaturę francuską i porównawczą. Od 1981 r. mieszka w Nowym Jorku z mężem Klaudiuszem Weissem, profesorem neurofizjologii w Mount Sinai School of Medicine.

Opublikowała we Francji książki z krytyki literackiej L'Entreprise mélodramatique i Zoom sur les Décadents. L'Entreprise mélodramatique została nagrodzona w Stanach Zjednoczonych Gilbert Chinard Literary Prize. W jej opracowaniu wyszły też Un sceptique s'il vous plaît Albert Lhermite i Emma, ou quelques lettres de femme Boucher de Perthes w „Bibliothèque romantique” paryskiego wydawnictwa José Corti. Obie te zapomniane książki spotkały się z bardzo przychylnym przyjęciem historyków literatury. Ponadto jest autorem licznych prac naukowych na temat wielu aspektów i autorów francuskich XIX wieku. Po polsku wyszły w 1989 r. „Trybun albo aktor szafotu – rewolucyjny melodramat” w Znak i w 1994 r. „Przykład geometrii fizjologicznej: metaliteracka zawartość »Tornistra na plecach« J.-K. Huysmansa” w Lettre internationale. W marcu 2007 r. wygłosiła na Columbia University w Nowym Jorku referat na temat powiązań sztuki „Igrzysko” Leopolda Staffa z francuską literaturą dekadencją.

Anna Robosz

Agnieszka Osiecka na ziemi cieszyńskiej

O Agnieszce pisałam już w mojej książce „To wszystko z nudów” (Cieszyn 1995). Nie chciałam się powtarzać. 9 października 2007 roku Agnieszka ukończyłaby 71 lat, natomiast 7 marca 2007 roku minęła jej 10. rocznica śmierci. Byłam 28 lat pod urokiem jej niezwyklej osobowości. Przeżyliśmy 24 spotkania autorskie. Połowa tych spotkań odbyła się na ziemi cieszyńskiej: Ustron (2), Wisła (3), Wisła Czarne (1), Istebna (2), Cieszyn (3), Skoczów (1). Nie robię notatek. Co mi pozostało w pamięci ?

Bohaterka mojego artykułu była osobą miłą, skromną i sympatyczną. Ta przygoda spotkaniowa zaczęła się 7 grudnia 1968 roku. Przed Domem Kultury „Prażakówka” w Ustroniu był piękny plakat autorstwa Karola Kubali, który, jak znam życie, nie zachował się. Honory gospodarza pełnił Jan Nowak, który mówił mi, że jest zwariowanym wielbicielem Agnieszki. Konstrukcja spotkań była następująca: ja prezentowałam jej życiorys, następnie kilka piosenek z taśmy lub płyt, z kolei ona prezentowała fragment swojej twórczości. Na końcu były pytania publiczności.

Agnieszka mieszkała w moim pokoju, w mieszkaniu moich rodziców. Od razu wiedziałam, że będzie się źle czuła w hotelu. Niedzielę miałyśmy wolną. Pojechaliśmy do Istebnej, do chaty Jana Kawuloka. Było piękne słońce i oszronione lasy w jego blasku. Agnieszka mówiła, że zwiedziła tyle świata, ale nie przypuszczała, że na ziemi cieszyńskiej jest tak pięknie. Jan Kawulok z córką Zuzanną zaprezentowali jej swój program. Pani Franciszka Kawulokowa powiedziała: *W gazetach o Pani pisały. Dobrze muszą być te piosenki, jeżeli Pani z nich żyje.* W niedzielne popołudnie miałyśmy trudności z wydostaniem się z Istebnej – brak autobusów. Podeszłam do wozu milicyjnego, wylegitymowałam się i poprosiłam o podwiezienie do Ustronia. Solenizantka grudniowa pani Maria Wajda z naszego bloku – matka doktor Lidii Knobloch zaprosiła nas na tort.

W poniedziałkowy rano pojechaliśmy rzucić okiem na Cieszyn. Wieczorem odbyło się spotkanie pod egidą Biblioteki Miejskiej w Wiśle. Sala kinowa była wypełniona po brzegi. W pewnym momencie profesor Aleksandra Hałaczowa zwróciła się do Agnieszki o napisanie tekstu piosenki dla Wisły. Agnieszka natomiast zwróciła się o pomoc do sali. Nauczycielka Maria Pilch powiedziała Agnieszce porzekadło: *Wesoło mi w zimie, wesoło mi w lecie, jeszcze mi weselej kiej dobrze na świecie.* Tekst powstał w ciągu 10 minut. Autorka obiecała tekst przesłać z Warszawy. W Warszawie zaczęła się zastanawiać, czy tekst przesłać z powrotem do Wisły ? Napisałam Agnieszce, że jej dobre imię na ziemi cieszyńskiej jest więcej warte niż ćwierć miliona (wtedy była to suma ogromna) utraconych tantiemów. W Warszawie taka historia nie obchodziłaby przysłowiowego psa z kulawą nogą. Agnieszka tekst przesłała.

7 marca 1969 roku po raz drugi zawitała na ziemię cieszyńską. Przyjechała w ostatniej chwili. Miałam uczucie pustki w głowie. W Klubie Propozycji redaktora Władysława Oszeldy w Cieszynie, gdyby pani Anna Gluza nie złapała mnie za rękę to zapomniałabym, że ma śpiewać piosenkę Agnieszki do muzyki Adama Sławińskiego *W dziką jabłoń cię zaklęłam* przy akompaniamencie Wandy Barowej. Czekają także recytatorki – Maria Dustor i Wanda Urbanek. Był nadkomplet publiczności. Wieczorem zaprosili nas na przyjęcie państwo Lidia i Tadeusz Niwińscy z Cieszyna. Byli państwo Krzanowscy, Zuberkwowie z Ustronia, pani Lidia Knobloch, pan

Jacek Ambroziak z Warszawy (mój kolega z lat szkolnych i studenckich, a w latach 90. minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego), no i ja. Syn państwa Niwińskich zagrał na fortepianie. Agnieszka była oczarowana spotkaniem w klubie i przyjęciem u państwa Niwińskich.



Agnieszka Osiecka wśród młodzieży sanatorium przeciwgruźliczego w Istebnej Kubalonce, 9 marca 1969 r.
(fot. z archiwum autorki)

Podczas drugiego pobytu Agnieszka napisała tekst *Beskidzie, Beskidzie*. 8 marca 1969 roku zaprosiła nas do salonu w Wiśle profesor Hańczowa. Zaprezentowała śpiewno-taneczną wersję piosenki *Wesoło mi w zimie*. Autorka była zadowolona tym wykonaniem i przesłała pani profesor tekst *Beskidzie, Beskidzie*. W niedzielę, 9 marca 1969 roku, byliśmy w godzinach popołudniowych w sanatorium przeciwgruźliczym w Istebnej Kubalonce. Młodzież witała Agnieszkę brawami na stojąco. Przeżycie dla młodzieży ogromne. Agnieszce przypadła do serca pani doktor Grażyna Mazur. Po ukazaniu się *Listów śpiewających*, książkę zadedykowała pani doktor. Zawiozłam tę książkę do sanatorium. Agnieszka mówiła mi, że zachwyca ją aktywność miast powiatu cieszyńskiego – jedno miasto aktywniejsze od drugiego.

Skoczów także stanął na wysokości zadania. Pani Janina Brudny przygotowała program *To wszystko z nudów Pani Agnieszko*. A na końcu było *100 lat dla*

Agnieszki. W Skoczowie podeszła do poetki nastolatka, której ojciec budował most w Białobrzegach (Agnieszka pisała o tym moście w jednej ze swoich piosenek).

We wrześniu 1970 roku Agnieszka była na spotkaniach zorganizowanych przez Miejskie Biblioteki w Ustroniu i Wiśle. Spotkała się także ze studentami w Wiśle Czarnem.

W październiku 1985 roku była drugi raz w Klubie Propozycji w Cieszynie. Ze względu na bardzo dużą ilość uczestników spotkania impreza odbyła się w sali widowiskowej Domu Narodowego. Państwo Oszeldowie bawili w Bułgarii. Pana redaktora „zastąpił” Kazimierz Fober. Szefową Domu Narodowego była wtedy Maria Gawlasowa.

Jeszcze raz Cieszyn, Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika. Był 1990 rok. Młodzież przygotowała do rozmowy z poetką polonistka Joanna Gawlińska. I nauczyciele, i młodzież byli Agnieszką zachwyceni. Na spotkaniu był także ówczesny nauczyciel Zbigniew Machej – poeta, obecnie w służbie dyplomatycznej.

O pobytach Agnieszki nie piszę chronologicznie. I tak tych dat jest bardzo dużo. Cofnę się do stycznia 1976 roku. Po wizycie w Lipowcu u mojego wujka Gustawa Janika i w Szkole Podstawowej nr 5 u kierownika Józefa Balcara, Agnieszka napisała

w mojej księdze pamiątkowej: *Od Lipowca piosnko leć. To nieważne, żeby mieć. Lecz by nam się, lecz by nam się chciało chcieć.*

W Pruchnej odwiedziłyśmy poetkę ludową Emilię Michalską. Z powodu awarii naszego samochodu konieczne było wzięcie taksówki. Agnieszka pojechała do Zabrza odwiedzić kompozytora Jacka Mikułę (*Sing Sing, Damą być*). Taksówka kosztowała 600 złotych. Agnieszka mówiła, że był to jej najdroższy bilet wstępu, jaki zapłaciła. Spotkanie z ludową poetką było ogromnym przeżyciem. Wieczorem w telewizji był musical Agnieszki *Łotrzyce* z udziałem Aleksandry Śląskiej i Anny Seniuk.

Jako widz byłam w katowickim Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki (KMPiK) na spotkaniu promocyjnym książki *Zabawy poufne*. Padło pytanie z sali: *Czy Pani zna Śląsk?* Agnieszka: *Uważam, że tak. Tu na sali siedzi pani w czarnym swetrze z posępną miną i zawsze znajdzie pretekst, żeby zorganizować spotkanie ze mną.*

Ulubionym miejscem Agnieszki w Ustroniu był deptak nad Wisłą, od restauracji „Oaza” w górę. Ostatni raz poetka była w Ustroniu w 1992 roku. Odwiedziła mnie w czasie choroby. Przyjechała z Poznania przez Katowice. Miała spotkanie autorskie w Jastrzębiu Zdroju. Jak pisałam poprzednio, podczas swoich pobytów na ziemi cieszyńskiej napisała dwa teksty: *Wesoło mi w zimie i Beskidzie, Beskidzie*. Po jej śmierci, muzykę do pierwszej piosenki napisała Katarzyna Gaertner. Byłam na premierze tej piosenki w Zespole Szkół im. Agnieszki Osieckiej w Warszawie. Natomiast *Beskidzie, Beskidzie* wzięł na warsztat Andrzej Zieliński ze „Skaldów”. Ta piosenka będzie w *Wielkim śpiewniku Agnieszki*, nr 6. W Warszawie powstała piosenka *Czantoria, góra w Beskidach* z muzyką Włodzimierza Korcza, którą wykonywała Halina Kunicka. Ta piosenka przeszła bez echa. Poetka z Zaolzia Renata Putzlacher miała oprowadzać Agnieszkę po Czeskim Cieszynie...

Agnieszka zmarła 7 marca 1997 roku. Nie wiedziałam o jej ciężkiej chorobie. Ostatni raz rozmawiałam z nią telefonicznie 3 marca. Miała dużo planów. Kalendarz Goleszowski z 2004 roku zamieścił mój artykuł *Moje fascynacje artystyczne – Agnieszka Osiecka*. Artykuł jest umieszczony w internecie, w dziale wspomnienia Fundacji „Okularnicy” im. Agnieszki Osieckiej.

Na koniec tej części chciałabym odnotować *Wieczorek wspomnień poświęcony Agnieszce*, który odbył się 15 maja 1998 roku w teatrze cieszyńskim, w ramach imprez Klubu Propozycji. Pięknie śpiewała Sława Przybylska, znakomicie akompaniował Janusz Sent, zapowiadał Jan Krzyżanowski.



Przed blokiem przy ul. Marii Konopnickiej 24 w Ustroniu. Od lewej: Agnieszka Osiecka, Brenda z Londynu i Anna Robosz, lata 70. XX w. (fot. z archiwum autorki)

To były refleksje na temat pobytów Agnieszki na ziemi cieszyńskiej. A teraz fragmenty korespondencji Agnieszki do mnie:

30.11.1968 ... *Przyjeżdżam w sobotę (pociąg + autobus) zgodnie z Pani instrukcjami... Gdybym tak mogła się przejść po Czeskim Cieszynie...*

10.12.1968 ... *Jeszcze raz dziękuję za wszystko, przede wszystkim zaś za to, iż (mimo choroby) poświęciła mi Pani tyle czasu i wysiłku. Nigdy nie zapomnę naszych wspaniałych, choć mroźnych, spacerów po Jaworzynce i Istebnej... Dziękuję też najgoręcej Pani Mamie za gościnność, dobroć i serdeczność...*

14.12.1968 ... *Wspaniale wspominam Pani strony i niedawno o nich rozmawiałam z malarzem Kobzdejem. Mówi, że jest z Wisły. Może z nim zrobicie sobie spotkanie? ...*

12.02.1969 ... *Co Ty masz z tym łamaniem kończyn. Jak będziesz tak nie uważać, to się wytworzy błędne koło (verte). Musisz więcej myśleć o pani Robosz, a mniej o pieśniach...*

05.03.1969 ... *Żenujesz mnie przygotowaniami do spotkań. Czy ja jestem tego warta?*

26.05.1969 ... *Kiedy są Dni Ziemi Beskidzkiej? ...*

17.02.1970 ... *Szkoda by było wizyty u Ciebie, bo na pewno najmiłsza ze wszystkich spotkań (a miałam ich mnóstwo – i w Koszalinie, i w Krakowie, i u nas w Warszawie – tu najgorsze – i w Kielcach, i Bóg wie gdzie – nawet w Ameryce). W każdym razie zobaczymy...*

27.04.1973 ... *Ale czy Ty w ogóle nie jesteś za życzliwa dla piosenek i ich autorów, i wykonawców. To są często całkiem nieciekawi ludzie, może mniej ciekawi, niż Twój w Sądzie i niż Ty sama...*

22.10.1985 ... *B. b. Dziękuję Ci za opiekę w czasie spotkań i przed i po. Także podziękuj w moim imieniu obu Paniom. Pozdrów przy okazji p. magistrą z „Macierzy”. Bardzo cenię takich ludzi...*

Przedostatnia kartka od Agnieszki

25.11.1996 ... *U mnie wszystko o.k., ale dręczą mnie listopadowe chandry. Może w grudniu będzie weselej ...*



Mgr Anna Robosz – urodzona w 1941 roku w Ustroniu. Sędzia z zawodu, animator kultury z zamiłowania. Ukończyła także Studium Podyplomowe Wiedzy o Teatrze, Filmie i Telewizji przy Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego. W 1979 roku Minister Kultury przyznał jej odznakę „Zasłużonego Działacza Kultury” na wniosek Biblioteki Wojewódzkiej w Biesku Białej. W 2004 roku obchodziła jubileusz 35. lecia działalności kulturalno-oświatowej. W tym samym roku otrzymała nagrodę Ministra Kultury na wniosek Towarzystwa Miłośników Ustronia. Władze miasta Ustronia przyznały jej odznakę honorową „Za zasługi dla miasta Ustronia”. Za własne pieniądze wydała książkę „To wszystko z nudów”, dotyczącą problematyki kulturalnej. Jako Sędzia Sądu Okręgowego, w 2006 roku, przeszła w stan spoczynku.

Lidia Szkaradnik

Jak niegdyś „Pamiętnik Ustroński” opracowywano

Sięgając pamięcią do początków cenionego dzisiaj periodyku, wydawanego przez Towarzystwo Miłośników Ustronia, należy osadzić wspomnienia w realiach schyłku PRL i ówczesnych możliwości edytorskich, gdyż dopiero wtedy będzie w pełni widoczny trud, jakiego podjął się zespół nazwany Komisją Historyczną TMU. Otóż w połowie lat 80. ubiegłego stulecia w administracji panowały maszyny do pisania, a szczyt postępu stanowiły takie uruchamiane energią elektryczną. Niestety, nie miałam okazji wypróbować podobnej nowości, gdyż nawet w latach 90. posługiwałam się jeszcze maszyną przedwojenną. Natomiast ogólnodostępny dziś sprzęt zwany popularnie kserokopiarką był nader rzadkim zjawiskiem i w Ustroniu takowego postępu 20 lat temu jeszcze nie doświadczano. Tak więc teksty do druku kreślono najpierw na brudno i dostarczano w rękopisie lub maszynopisie, a po dokonaniu niezbędnych poprawek przepisywano na maszynie. W razie konieczności jeszcze jakichś zmian lub gdy nastąpiła pomyłka, pewne partie materiału nanoszono na papier kolejny raz. Obecnie, zapisując treść w komputerze, wszelkie korekty wykonuje się w tej samej formie, cała operacja trwa zaś nieporównywalnie krócej. Warto też pamiętać, że gdy 20 lat temu przystępowano do realizacji „Pamiętnika”, stanowił on wydawnictwo niemal pionierskie w regionalnej publicystyce. Wtedy bowiem ukazywało się z rozmaitych względów nieporównywalnie mniej książek, a nawet broszurek niż dziś.



Towarzystwo Miłośników
Ustronia
zaprasza
mgr. Lidia Szkaradnik
na uroczyste zebranie członków
z okazji 100-lecia TMU,
które odbędzie się 2 grudnia 1988 r.
o godz. 17⁰⁰
w Muzeum Hutnictwa i
Kwincictwa im. Jana Jarockiego
w Ustroniu przy ul. Hutniczej 3.
L. Szkaradnik

Zaproszenie na uroczyste zebranie członków Towarzystwa Miłośników Ustronia z okazji 100. lecia istnienia stowarzyszenia, 2 grudnia 1988 r.
(ze zbiorów Muzeum Ustrońskiego)

Tymczasem w kwietniu 1988 r. Komisja Historyczna zdecydowała o wydaniu publikacji okolicznościowej na 100. lecie Towarzystwa Miłośników Ustronia, przypadające w połowie tamtego roku. *Spiritus movens* przedsięwzięcia był oczywiście przewodniczący tegoż zespołu, miejscowy historyk i pisarz regionalny Józef Pilch. Ponadto w skład komisji wchodził: Zygmunt Białas, Stanisław Niemczyk oraz Karol Gruszczyk i Karol Kubala, którzy rzadziej uczestniczyli w jej spotkaniach, a od 1987 r. autorka niniejszego artykułu. Należy tu przypomnieć, iż w 1983 r. TMU opublikowało broszurkę „Zasłużeni ludzie Ustronia”, w której Józef Pilch opracował zdecydowaną większość biogramów. On też załatwiał wszelkie sprawy konieczne, aby ta pozycja się ukazała, miał zatem przetarte szlaki oraz doświadczenie, gdy przygotowywał do druku „Pamiętnik Ustroński”.

Trudno by przywołać szczegóły tego ambitnego przedsięwzięcia, bo pamięć ludzka jakże jest zawodna, lecz na szczęście Józef Pilch zwykł skrupulatnie rejestrować wydarzenia (przecież całe dorosłe życie pisał kronikę), toteż założył dla Komisji Historycznej zeszyt szkolny formatu A5, gdzie dokonywano wpisu po każdym zebraniu. Niestety, formalne spotkania organizowano najwyżej dwa razy w roku i dzisiaj muszę przyznać, próbując odtworzyć pewne fakty, że należało notować o wiele więcej szczegółów. Pilch spisywał protokoły ze spotkań do 1987 r.; przejęłam po nim ten obowiązek i kontynuowałam notatki do 1995 r., a obecnie ów niepozorny rękopis znajduje się w Muzeum Ustrońskim.

Powracając do genezy omawianej publikacji, otóż w kwietniu 1988 r. postanowiono o wydawaniu periodyku, co uznano za najtrafniejsze przedsięwzięcie dla uczczenia 100. lecia TMU. Większość zebrań Komisji Historycznej miała miejsce w niezwykle gościnnym domu państwa Pilchów na Gojach, z kolei w latach 90. spotykano się już w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa, gdzie wówczas także magazynowano nie rozprowadzone po punktach sprzedaży kolejne edycje „Pamiętnika Ustrońskiego”.



Spotkanie członków i sympatyków Towarzystwa Miłośników Ustronia w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa, 1988 r. Od lewej: Zdzisław Pokorny, Karol Wądołny, Alojzy Waszek, Bogusław Binek, Karol Gruszczyk, Józef Pilch, Rudolf Mitreğa (tyłem), Stanisław Niemczyk (fot. ze zbiorów Muzeum Ustrońskiego)

W trakcie dyskusji nad nazwą wydawnictwa przyjęto propozycję prezesa TMU Stanisława Niemczyka – „Pamiętnik Ustroński”. Na tym samym spotkaniu Józef Pilch, który sprawę uprzednio dokładnie przemyślał, zaproponował tematy do pierwszego numeru. Zgodnie z jego planami miało to być wydawnictwo rocznicowe, bo przypadało akurat 100. lecie Towarzystwa Miłośników Ustronia oraz Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego, a także 70. lecie odzyskania niepodległości przez państwo polskie. Zaproponowano również teksty gwarowe. Spotkania robocze odbywały się wówczas najczęściej w trzyosobowym składzie, mianowicie: prezes TMU, przewodniczący Komisji Historycznej i autorka tych wspomnień.

W maju zapoznano się z treścią artykułów, spośród których większość przygotował Józef Pilch, co było charakterystyczne dla kolejnych edycji aż do ósmego numeru, mimo iż z czasem wydawnictwo stawało się coraz obszerniejsze. Miesiąc później opracowania znalazły się w maszynopisie, po wstępnej poprawie polonisty Stanisława Niemczyka, projekt okładki wykonał zaś Karol Kubala. Jedynie planowany tekst o środowisku naturalnym Ustronia autorstwa Zygmunta Białasa wycofano, gdyż wspólnie stwierdzono, że *„raport o fatalnym stanie ekologicznym naszego miasta do wydawnictwa jubileuszowego nie pasuje”*¹. W czerwcu spotkano się już ostatni raz przed wydaniem „Pamiętnika”, więc na temat dalszych prac organizacyjnych trzeba odwołać się wyłącznie do pamięci. Otóż, jak wspomniałam, wszelkie przygotowania, od uzgodnień z drukarnią w Cieszynie szczegółów merytorycznych, terminowych i finansowych po dystrybucję wydawnictwa, wziął na siebie Józef Pilch, który pozyskał finanse z magistratu. Warto przypomnieć, iż pierwszy numer liczył 16 stron (jeden arkusz drukarski), a zdecydowano się wydać go w nakładzie 1.000 egzemplarzy.

Natomiast uroczyste zebranie Towarzystwa Miłośników Ustronia z okazji jego 100. lecia urządzono w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa 2 grudnia 1988 r. i było to jedno z pierwszych spotkań w tym miejscu, urządzonych z poczęstunkiem za stołami. Wcześniej, prócz ceremonii otwarcia placówki oraz nadania jej imienia Jana Jarockiego, zorganizowano co prawda ponad 20 wernisaży wystaw czasowych (z których część miała charakter międzynarodowy jako imprezy towarzyszące Konkursowi Piosenki Czeskiej i Słowackiej), lecz w zakresie sprzętu instytucja ta prezentowała się jeszcze nader ubogo. Istniała bowiem dopiero dwa lata i nie dysponowała nawet skromnymi środkami do przyjęcia kilkudziesięciu gości, a zgromadziło się wówczas około 40 osób. Wśród przybyłych znajdowali się nie tylko członkowie Towarzystwa, ale także władze miasta czy osoby zainteresowane przeszłością Ustronia. Wydaje się dziś nieprawdopodobne, tymczasem nie było jeszcze na wyposażeniu placówki muzealnej stołów, krzeseł lub nawet szklanek czy talerzy, wszystko musiano więc pożyczać. Mam jednak nadzieję, że mimo to uczestnicy spotkania odnieśli pozytywne wrażenie. Zaproszenia napisane odręcznie i powielane przygotował Zarząd TMU. W latach następnych przybierały podobną formę, lecz na przedniej stronie zamieszczano logo – herb Ustronia, w otoku zaś nazwę Towarzystwa i rok 1888².

Na temat wspomnianej uroczystości ukazał się obszerny artykuł w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” (nr 50 z 1988 r.), który rozpoczął: *„Nakryte białymi obrusami stoły, talerze z kołaczami serowym i jabłkowym, nikle światło świec i swojsko brzmiące melodie »Szumi jawor« oraz »Płyniesz Olzo«, sączące się z dobrej aparatury nagłaśniającej, podłączonej do elektronicznego pianina. Fajarka podnosi temperaturę rozmarzenia, a niesiony przez dziewczęce głosy tekst skłania do refleksji...”*³.

Zebranie prowadził Stanisław Niemczyk, z kolei 100. letnią działalność TMU omówił Józef Pilch, autor artykułu na ten temat do inauguracyjnego „Pamiętnika Ustrońskiego”. On również przygotował tzw. żywą gazetę, zachęcając kilka osób do udziału w przedsięwzięciu. Oto, co napisał o tym „Głos”: „Świetny pomysł przewodniczącego Komisji Historycznej Józefa Pilcha na odświeżenie zbiorowej pamięci polegający na... stworzeniu nieskrępowanej atmosfery do wspomnień i zwierzeń. Oprócz pomysłodawcy skorzystali z tej formuły: dr Adam Cęckiewicz, Ferdynand Suchy, Oswald Szczurek, Rudolf Mitręga, Ludwik Troszok, Józef Kołaczyk, Renata Dubiel-Białas, Zdzisław Pokorny, Stanisław Niemczyk, Eugeniusz Zielonka, Bronisława Danel i gościnnie prezes Towarzystwa Miłośników Wisły Jan Krop”⁴.

Uczestnicy spotkania siedzieli za stołami ułożonymi w kształcie litery „U” i już wówczas „przi kołoczku i kawie rozprawiano ło ustrońskiej sprawie”⁵. Na tę okoliczność zorganizowano wystawę beskidzkich pejzaży miejscowych mistrzów pędzla, a uczennice z Ogniska Pracy Pozaszkolnej zaprezentowały cieszyńską poezję. Oczywiście najważniejszym punktem programu był z niecierpliwością oczekiwany „Pamiętnik Ustroński”, którego treść przybliżył prezes TMU.

ZARZĄD
TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW USTRONIA
UPRZEJMIE ZAPRASIA NA
ZWYCZAJNE WALNE ZGROMADZENIE
CZŁONKÓW TMU
KTÓRE ODBĘDZIE SIĘ W PIĄTEK 17 MARCA 1989 R.
W SALI POSIEDZEŃ M.R.N. W USTRONIU
O GODZ. 17⁰⁰ W I TERMINIE
17¹⁵ W II TERMINIE
BEZWZGLĘDU NA ILOŚĆ CZŁONKÓW

> PORZĄDEK OBRAD <

- 1 OTWARCIE ZWYCZAJNEGO WALNEGO ZGROMADZENIA
- 2 WYBÓR PRZEWODNICZĄCEGO
- 3 ODCYTANIE PROTOKOŁU Z WALNEGO ZGROMADZENIA W 1986 r.
- 4 SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI ZARZĄDU TMU 1986-1989 r.
- 5 SPRAWOZDANIE KOMISJI REWIZYJNEJ
- 6 DYSKUSJA NAD SPRAWOZDANIAMI
- 7 WYBÓR KOMISJI UCHWAŁ I WNIOSKÓW
- 8 UDZIELENIE ABSOLUTORIUM ZARZĄDOWI
- 9 WYBÓR NOWEGO ZARZĄDU
- 10 WOLNE WNIOSKI
- 11 ZAKOŃCZENIE

Zaproszenie na Zwyczajne
Walne Zgromadzenie człon-
ków Towarzystwa Miłośników
Ustronia 17 marca 1989 r.
(ze zbiorów Muzeum Ustrońskiego)

Wydawnictwo rozprowadzano poprzez księgarnie – ustronską i cieszyńską, kioski „Ruch”, miejscowe placówki kulturalne czy oświatowe oraz kościoły. Choć początkowo nieco się trudzono, aby sprzedać spory nakład – 1.000 egzemplarzy (część rozdano, m.in. autorom), jednak gdy ukazywały się kolejne edycje, była to już publikacja znana i pozytywnie oceniana, zatem dystrybucja stawała się z roku na rok coraz łatwiejsza.

Komisja Historyczna odnotowała następne spotkanie w czerwcu 1989 r. o godz. 18 w domu państwa Pilchów, w czteroosobowym składzie: S. Niemczyk, K. Kubala, L. Szkaradnik i J. Pilch. Ten ostatni poinformował, że kilka dni wcześniej Zarząd TMU postanowił wydać drugi zeszyt „Pamiętnika” i upoważnił do tego zadania powyższy zespół. Na zebraniu ustalono wstępnie tematy do nowego numeru. Zdecydowano drukować go przy wsparciu Urzędu Miejskiego, co miało pozwolić na przekroczenie 16 stron objętości oraz zwiększenie nakładu (przewidywano 1.500 sztuk). Z kolei w lipcu zobowiązano K. Kubalę do wykonania kserokopii odcisków dawnych pieczęci ze zbiorów J. Pilcha w bielskiej Fabryce Samochodów Małolitrażowych (FSM), bo nigdzie bliżej nie istniała taka możliwość. Reprodukcje zamieszczanych w tym i następnych numerach fotografii archiwalnych robił z kolei Dominik Dubiel. Rzecz jasna niemal wszystkie prace merytoryczne, organizacyjne i finansowe były na głowie przewodniczącego Kolegium Redakcyjnego. Spotkanie TMU połączone z prezentacją drugiej edycji „Pamiętnika” urządzono ponownie w ustronńskiej placówce muzealnej.

Trzeci zeszyt, wydany w 1990 r., został ufundowany przez Magdę Lazar – wdowę po lekarzu Ottonie Lazarze, urodzonym w Ustroniu. Zmarł on 15 stycznia tego roku w USA, a jego prochy sprowadzono do ziemi rodzinnej. Dzięki serdecznym kontaktom Józefa Pilcha z Lazarami rozwiązały się problemy finansowe publikacji, omawiający zaś numer (1.200 egzemplarzy) dedykowano zasłużonemu dla USA lekarzowi.

Tymczasem na spotkaniu Komisji Historycznej w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa w sierpniu 1991 r. Józef Pilch zreferował stan zaawansowania prac nad czwartym „Pamiętnikiem”. Sponsorowała go Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Społem” w Ustroniu, z kolei druk po raz pierwszy zlecono zakładowi poligraficznemu Jerzego Małysza w Górkach Małych. Periodyk z roku na rok stawał się obszerniejszy; czwarty numer liczył ponad 60 stron.

Był on dla mnie również swoistym wyzwaniem, ponieważ widząc, iż naszego przewodniczącego trapią przewlekłe niedomagania, zobowiązałam się przepisać opracowaną przez niego bibliografię do dziejów Ustronia, którą postanowił zamieścić w tym zeszycie. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka to iście benedyktyńska praca – kilkadziesiąt stron różnej wielkości, zawierających około 1.500 pozycji bibliograficznych. Należało je przepisać z wyjątkową dokładnością, aby opracowanie spełniało swoją rolę. Pamiętam, jak pocieszałam się w trakcie tej żmudnej pracy, że przecież autor bibliografii musiał poświęcić wiele lat, dokonując kwerendy niemal wszystkich cieszyńskich czasopism oraz książek, więc ja mogę mu pomóc, poświęcając miesiąc na przepisanie wykazu do druku. Pomogłam w ten sposób i sobie, do dziś bowiem korzystam z owego dorobku.

Z inicjatywy Józefa Pilcha postanowiono spopularyzować Ustroń na dawnej fotografii. Wystawę o takiej tematyce przygotowało Towarzystwo Miłośników Ustronia, a zdecydowaną większość zdjęć wybrał z własnych zbiorów i opisał pomysłodawca. Impreza poświęcona temu zagadnieniu odbyła się 23 marca 1992 r. w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa, poprzedzała ją zaś roczne zebranie członków TMU. Na pod-

stawie przygotowanego na spotkanie materiału fotograficznego J. Pilch opracował najobszerniejszy artykuł do piątego tomu „Pamiętnika Ustrońskiego”. Rocznik ten, sfinansowany ponownie przez PSS „Społem”, zbliżał się już do 90 stron objętości, lecz niestety zawierał sporo pomyłek, toteż na końcu zamieszczono całostronicową erratę. W zaproszeniu na wieczornicę, która odbyła się 11 grudnia 1992 r., tradycyjnie w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa, podkreślono jubileusz wydawnictwa. Na noworocznym spotkaniu Komisji Historycznej TMU, pełniącej równocześnie funkcję Komitetu Redakcyjnego, Józef Pilch oznajmił, że koszt opublikowania ostatniego numeru wynosił 22 mln zł, z kolei egzemplarz będzie sprzedawany po 11 tysięcy zł.

<p><i>Droga Pani Lidko!</i></p> <p><i>Przeczytałem i poprawiłem, Tadzio też coś przeczytał. Ogólnie nie dużo błędów, ale to już druga korekta.</i></p> <p><i>Panu Małyszowi przy oddawaniu pokorektowej szczotki proszę jeszcze „natukać”:</i></p> <ol style="list-style-type: none"> <i>1) Pod zdjęciami wykonać teksty, nazwiska drukiem</i> <i>2) Brak grafik Kubali, o których wspominaliśmy Małyszowi w liście z dn. 14.09.1993. Proszę tego dopilnować, bo Karol miałby słuszną pretensję</i> <i>3) Trzy grafiki Heczki wkładać po jednej między stronami artykułu Żyromskiego</i> <i>4) Proszę przypomnieć Małyszowi o białym dobrym papierze.</i> <p><i>Jak Pani otrzyma wydrukowany tekst</i></p>	<p><i>niezłoty, przez mnie zawiadomienie. Kłobi - wyrazem, wstawiamy porządkiem ustrągę. Kes- pół (1 godzinach poprzedzających) i owo- winy po treść. Proszę natomiast nie da- wać Panu Małyszowi przed ustrągę spotka- waniem - z wyjątkiem 1 egzemplarza dla mnie, który przesyłać będzie 4. Kapitał (mówi przez) i wyłączać błędy i nieaktualności</i></p> <p><i>Z podziwieniem</i></p> <p><i>J. Pilch</i></p> <p><i>Zawodzie 10.10.1993</i></p> <p><i>P.S. Ważność 1000 op. woiści reklamowe za darmo</i></p>
--	---

Jak wynika z zachowanych protokołów, w połowie 1993 r. poszczególnym autorom przydzielono tematy do następnej edycji. W październiku tego roku Józef Pilch przebywał w Szpitalu Uzdrawiskowym na Zawodziu, więc niektóre problemy organizacyjne musiał scedować na mnie. Zresztą już wcześniej w pewnych sprawach starałam się go wyręczać. W trakcie pobytu w ustrońskim szpitalu wolny czas wykorzystywał na korektę szóstego zeszytu, tego jakże bliskiego mu wydawnictwa i przekazywanie dyspozycji odnośnie do dalszych prac, o czym świadczy zachowany w moich zbiorach list:

„Droga Pani Lidko! Przeczytałem i poprawiłem, Tadzio też coś przeczytał. Ogólnie niedużo błędów, ale to już druga korekta. Panu Małyszowi przy oddawaniu pokorektowej szczotki proszę jeszcze „natukać”:

- 1) Pod zdjęciami wykonać teksty, nazwiska drukiem.
- 2) Brak grafik Kubali, o których wspominaliśmy Małyszowi w liście z dn. 14.09.1993. Proszę tego dopilnować, bo Karol miałby słuszną pretensję.
- 3) Trzy grafiki Heczki wkładać po jednej między stronami artykułu Żyromskiego.
- 4) Proszę przypomnieć Małyszowi o białym dobrym papierze.

Jak Pani otrzyma wydrukowany Pamiętnik, proszę mnie zawiadomić. Zrobimy, raczej zwołamy posiedzenie naszego Zespołu (w godzinach popołudniowych) i omówimy, co trzeba. Proszę nikomu nie dawać Pamiętnika przed naszym spotkaniem – z wyjątkiem 1 egzemplarza dla mnie, który przeczytałbym w Szpitalu (mam czas) i wyłapał błędy i chochliki.

*Z pozdrowieniem J. Pilch
Zawodzie 10.10.1993⁶*

13 grudnia nastąpiło walne zgromadzenie członków TMU, kiedy to wszyscy chętni mogli zapoznać się z szóstym numerem coraz bardziej poczytnego wydawnictwa. Również w późniejszych latach imprezy te przygotowywano w pierwszej dekadzie grudnia. Na kilka dni przed – jakbyśmy dziś powiedzieli – promocją nowego „Pamiętnika Ustrońskiego” przywożono go do placówki muzealnej. Tam natychmiast zbierał się zespół redakcyjny i dokonywano wstępnych oględzin, a prawie każdego roku konieczne były jakieś drobne korekty. Czytelnicy dawnych tomów periodyku mogą zauważyć wyrazy zakreślane oraz poprawiane, co całymi godzinami wykonywano kolejno we wszystkich egzemplarzach, nim znalazły one nabywcę.

Ósmy zeszyt okazał się najobszerniejszy. Został przygotowany do druku nieco wcześniej. Przewodniczący Kolegium Redakcyjnego nalegał na przyspieszenie przepisywania tekstów po poprawie, jakby chciał dopilnować wszystkich działań osobiście. Na początku października 1995 r. Józef Pilch, jak zwykle, czytał wstępny wydruk i nanosił korekty. To odpowiedzialne zadanie wykonywał w szpitalu do ostatnich chwil swego życia.

Od tamtych, bądź co bądź, pionierskich czasów, kiedy rozpoczynano pracę nad periodykiem Towarzystwa Miłośników Ustronia, minęło niemal 20 lat. Dzisiejszy „Pamiętnik Ustroński” z jego protoplastą łączy nazwa oraz zamiłowanie do rzetelnej prezentacji rodzimej historii. Natomiast tak szata zewnętrzna, jak objętość różni się nieporównywalnie. Inni też ludzie tworzyli ów dawny „Pamiętnik” i w innych okolicznościach przyszło im działać...

Przypisy:

¹ Muzeum Ustrońskie. Protokoły Komisji Historycznej Towarzystwa Miłośników Ustronia. Posiedzenie z 14 VI 1988.

² Zaproszenia i fotografie z imprez znajdują się w Muzeum Ustrońskim.

³ (k): *Miłośnicy Ustronia*. „Głos Ziemi Cieszyńskiej” nr 50 z 16-22 XII 1988, s. 4.

⁴ Tamże.

⁵ Tamże.

⁶ Korespondencja ze zbiorów autorki.



Dr Lidia Szkaradnik – historyk, od 1979 r. organizator i długoletni dyrektor Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa (od 2004 r. Muzeum Ustrońskie). Od 1980 r. członek Towarzystwa Miłośników Ustronia. W latach 1988-1995 pracowała w Komisji Historycznej i Zespole Redakcyjnym „Pamiętnika Ustrońskiego” (od numeru pierwszego do ósmego). Obecnie jest stałym współpracownikiem tego wydawnictwa.

Grażyna Kubica

Jutrznia

Czy można sobie wyobrazić coś bardziej luterskiego niż jutrznia? Jaką lepszą okazję żeby tę luterskość opisać? Jakież inny symboliczny skrót tej religijności łączący przez wieki wszystkich ustrońskich ewangelików, tych dawnych i tych obecnych?

Bo cóż każe nam się zrywać w tak wczesnej godzinie? Cóż każe wyniść spod ciepłych, świeżo przebranych, bielutkich pierzyn, cóż gna o piątej rano w mrok, w śnieg, w zawieruchę? Katolicy po pastercie jeszcze śpią, Żydzi śpią tym bardziej. Piąta rano to jest ewangelicka godzina.

Cóż bardziej podkreśla małość człowieka przed Bogiem niż konieczność przerwania sprawiedliwego snu po trudach świątecznych przygotowań? Po tych wszystkich porządkach od piekielnej piwnicy do niebieskiego strychu, po rytualnym szorowaniu podłóg w najciemniejszych nawet kątach, po morderczym praniu wszystkiego co się tylko da, po maglowaniu, prasowaniu, układaniu, wygładzaniu; po wieszaniu zasłon; po tym całym tytanicznym pieczeniu: sztrudli, pierników, makowców, ciastek, ciasteczek; po zabijaniu i smażeniu ryb, a nim nastały ryby po gotowaniu mniej wyszukanych potraw jak grysik na mleku polany masłem i posypyany tartym piernikiem; po mozolnym i cierpliwym lepieniu uszek, a nim one nastały – po przygotowywaniu kapusty na słodko; po warzeniu barszczu, gotowaniu jarzyn na sałatkę (każdy rodzaj w innym garnku żeby nie traciły smaku); po robieniu moczki z rybich głów; po sklejananiu starego łańcucha z kolorowego papieru i robieniu wymyślnych ozdób ze sreberrek po czekoladzie, z włoskich orzechów, z grzechoczących szyszek; po ubieraniu w to wszystko drzewka; po tajnym pakowaniu prezentów; po obawach czy aby damy radę zdążyć ze wszystkim przed pierwszą gwiazdką, choć wiadomo, że pierwsza gwiazdka i tak zawsze pojawia się dla dzieci za późno, a dla dorosłych za wcześnie; wreszcie po wsuwaniu ukradkiem pod obrus siana, po nakrywaniu do świątecznego stołu, po łamaniu się opłatkiem, przyniesionym tydzień wcześniej przez kościelnego w drewnianym kuferku; po szczególnie uroczystej w tym dniu stołowej modlitwie, wzbogaconej jeszcze dodatkowym ojczenaszem; i w końcu – po długo oczekiwanym obżarstwie, ale obżarstwie na luterską miarę, czyli umiarkowanym; po wróżeniu z orzechów czy przyszły rok będzie dla domowników dobry i zdrowy; a wreszcie – po zebraniu się przy choince, aby przedłużając ten świąteczny suspens ponad wszelką miarę śpiewać radosnym chórem *Bóg się rodzi, moc truchleje*, a potem zaraz *Cichą noc* w kilku wersjach językowych, by dojść do ewangelicznej pieśni *Dziateczki, dziateczki pośpieszcie się wraz Do żłobka w stajence, w godowy ten czas! Tam leży Dzieciątko, przypatrzcie mu się, To wam ku radości Bóg Ojciec Je śle*, (a każda z nich ma po dobre pięć zwrotek, które są wszystkie konsekwentnie wyśpiewane przez wyposażone w kancjonały ciotki ich szkolonymi w kościelnym chórze soprano i wspomagane przez barytony wujków, w tym śpiewie wyraża się artystyczny duch całej rodziny, a czerpie on siłę z nastroju tej świętej nocy, a usprawiedliwienie z obowiązku chwalenia Nowonarodzonego); a w końcu ku radości dzieci - po sprawdzeniu co też tego roku aniołek złożył pod choinką, po odgrywaniu zaskoczenia prezentami, dziwieniu się nimi, chwaleniu, przymierzaniu, przeglądaniu; po tym krótkim rozprężeniu, jakby przywołani słowami kaznodziei, aby pamiętać na Jezusa, który się wówczas narodził, a nie na siebie tylko i swoje dzieci, po tej karzącej uwadze, która

rozlega się w naszych sumieniach, wracamy do kancjonałów i ochoczo, choć trochę bardziej sennie, śpiewamy kolejne kolędy *Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi*, by zaraz przejść do *O błogostawiony, radością natchniony, Pełen łaski godowy czas! Na ten świat zgubiony Chrystus narodzony; cieszcie, cieszcie się chrześcijanie wraz!*, by wreszcie posiłkując się starym kancjonałem ks. Heczki w skórzanej oprawie, z kartkami zetłalymi od stuletniego śpiewania, intonować starą wersję trzynastozwrotkowej pieśni Marcina Lutra: *Z nieba idę wysokiego, Postuchajcie głosu mego! Wiele nowin Wam przynoszę, Dobrych, miłych, jak je głoszę*, ale zaraz potem zdrowy rozsądek zwycięża z nieposkromionym muzycznym zapalem i poczuciem lojalności w stosunku do Naszego Reformatora, wszyscy wstają, zbierają prezenty, z grubsza porządkują stół, chowają resztki do spiżarni, a po wynalezieniu tego udogodnienia - do lodówki, żeby móc do nich wrócić później, po jutrzni.

Pierwsi musieli wyruszać z domu ci co mieszkali najdalej: Gomole z Dobki, Puczkowie zza Goja, Kłody z Cisownicy, wychodzili pewnie koło czwartej, nie brali sań, bo kto by się końmi zajął w czasie nabożeństwa, szli na piechotę, pod gwiazdami, szli młodzi, a starzyki zostawali w domu, szli wzdłuż Wisły, albo drogą od Cieszyna, potem dołączali do nich ci z Polany: Kralowie, Lipowczanowie z Jaszowca, Ferfecy, Śliwkowie od Kubicy, Małyszowie, Heczkwowie, Lorek ze Skalicy, a z drugiej strony dochodzili już ci z Jelenicy: Puczkowie ze sigły i Puczek owczorz, Cieślary ze Żabiańca i Cieślary Cieszynioki, Szarcowie z wapiennika, Cichowie, Waclawiki, Pilch kolorz, Hławiczka i Niemcowie z pasiek, Wantuły z Goi, bo na jutrznie to i stary Jan chodził jak jeszcze był młodszy, Lisztwany, Kotasy, Drózd z końca, a wcześniej jeszcze pewnie wyruszał Jónek z Kępy, a po nim Cieślary z Wyrchowiny, Jurczok owczorz, co za nim czasami i jego pies przychodził do kościoła, Cieślar Filip, Kolarczykowie, Lorkowie, Kozłowie, a dołem od Hermanic ciągnęli już Lipowczanowie z dołku, Drozdowie, Sikorowie, a z nimi potem jeszcze ci z dolnego Zawodzia: Pilchowie, Cholewowie z pustek, Koenigowie, Kłapsiowie z Fenedyku, Cholewy, Błaszczyki, Podżorscy, Lipowczan od zugu, Kubice z Kościelnej, Blasbalgi, Szalbert, a na końcu Janikowie, jedyni ewangelicy w Lipowcu; a tym z górnego Zawodzia wcale nie było bliżej, szli Szczepańscy z Brzeziny, a z nimi mały Janek z siostrami zakutani w szale, szli Kłapsie, Malcowie, Śliwka pioskorz, Kowala, Gluzowie, a do tego jeszcze Gajdzice spod pierwszego numeru, Goszykowie, Błaszczykowie.

Szli i inni, a była ich mnogość wielka. Spływali ciemną rzeką z gór, a pod kościołem dawała się odczuć ich siła i siła ich wiary. Słychać było skrzypiący na śniegu tupot setek butów, czuło się mróz, surową pobożność: wbrew zimie i nocy, mimo śpiących sąsiadów.

A w kościele – jasność od świec zapalanych przy każdej ławce przez przychodzące po kolei rodziny, a w późniejszych czasach, od elektrycznych kryształowych żyrandoli zwisających z niebieskiego sklepienia; w kościele – grzmot organów sławiących narodziny Zbawiciela i potęgą kolędy dobywającej się z ust nawykłych do śpiewu, nie bojących się go, nie markujących: *W żłobie leży, niech więc bieży Ze wzruszenia trzęsą się mocne mury ustrońskiego kościoła, a z nimi mocne serca parafian. Drżą ręce tutejszych proboszczów. Bo przyszli wszyscy. Wszyscy duszpasterze stawili się na to nabożeństwo, które jest symbolem luterskiej pobożności. Jakżeby mogli nie przyjść tedy, nie nauczać, nie krzepić?*

Nowoczesnym zwyciężam od ołtarza krótko przemawia ksiądz Karol Kotschy, to on właśnie sto pięćdziesiąt lat temu zbudował ten kościół, a obok posadził wielki sad.

Mówi do miłych braci i sióstr o tym, że wielkim świętem jest, gdy na tronie cesarskim, albo królewskim zasiądzie nowy monarcha, a każdy poddany dzieląc ogólną radość wzdycha do Boga, by natchnął władcę duchem świętym i dał mu szczęśliwe panowanie, że jednak owa uroczystość jest ważna dla jednego tylko kraju, i że inaczej zupełnie jest w to święto, które dzisiaj obchodzimy, bo jest ono świętem dla całego świata. Wszyscy, bez względu na wiek i stan, powinniśmy być w dzień narodzenia dziecięcia świętego dziećmi w radości, jako nas apostoł napominał: Radujcie się, a znowu mówię radujcie się: Pan blisko jest. Atoli wprzód zaśpiewajmy naznaczoną pieśń.

I śpiewamy z kancjonałów kolejną pieśń według numerów wiszących na tablicach, albo robi to chór specjalnie na tę okoliczność przygotowywany przez Panią Dyrygentkę, która jest żoną organisty, albo Pana Dyrygenta – nauczyciela w naszej ewangelickiej szkole. Chór śpiewa pięknie, zbór słucha w skupieniu.

Potem wstępuje przed ołtarz ksiądz Jerzy Janik, który przyjmował w naszej parafii samego cesarza Franza Jozefa, a córka pastora – Helena ofiarowała najmiłościvszemu bukiet kwiatów. Ksiądz Janik odprawia liturgię, szczególnie dobitnie i szczególnie głośno, a potem, wzruszony, czyta tekst z psalmu czterdziestego dziewiątego, gdzie w wierszu drugim tak czytamy: „Słuchajcie tego wszyscy narodowie: bierzcie to w uszy wszyscy mieszkający na okręgu ziemi. Tak z ludu pospolitego, jako z ludzi zacnych: tak bogaty, jako ubogi”. Koniec liturgii. Kolejna pieśń. Chór.

Na kazalnicę wstępuje ksiądz Paweł Nikodem, nie po to żeby przypominać swe przeżycia wojenne, rozpamiętywać doświadczenie obozu, lecz by kazać o przyjściu Jezusa Chrystusa, Zbawiciela naszego, które jest radością wielką wszelkiemu ludowi, jest radością mądrym i prostaczkom, pobożnym i grzesznikom, młodym i sędziwym. Ksiądz Nikodem analizuje te kwestie wnikliwie, na przykładach, popada w kaznodziejskie zaciętrzewienie, o ile w Jego przypadku jest to w ogóle możliwe, bo zwykle mówi powoli, żeby nie rzec rozwlekle, gdyż uważa, że lud boży powinien w kościele znaleźć ukojenie i odpocząć po trudach doczesności, ale teraz najwyraźniej zawiesił tę teorię, bo jutrznia jest przecież symbolicznym skrótem luterskiej pobożności, więc wznosi się na wyżyny swych oratorskich umiejętności, daje popis homiletyczny, kaznodziejski majstersztyk i niech żałują ci, co się jeszcze nie urodzili, bo mogliby się nauczyć jak należy konstruować kazanie, napełniać je świętą treścią, i jak się je powinno wygłaszać; mogliby także zobaczyć jak się je rozumnie słucha i potrafi potem odtworzyć niemal słowo po słowie. Ksiądz Nikodem milknie na moment, po czym zadaje dramatyczne pytanie – któż może wyznawać: dziś się nam narodził Zbawiciel? Każe się słuchaczom nad tym zastanowić, po czym po kolejnej minucie zawieszenia głosu, odpowiada, że ten tylko, bracia i siostry, kto Syna Bożego w wierze przyjmuje jako dar łaski Bożej, ale także wyćwiką słowa jego nie gardzi, i co więcej – według przykazań jego żyje, a ponadto – wszystką nadzieję w Chrystusie pokłada. Czy wiedział ksiądz Nikodem, że pod sam koniec XX wieku katolicy przystali na tę jego wykładnię Pisma? Czy w niebie dyskutuje się teologiczne sofizmaty, czy jest to problem dla dusz sprawiedliwych wiecznej radości dostępujących? Zostawmy jednak te eschatologiczne rozważania, bowiem kazanie zmierza ku dramatycznemu finałowi, a ksiądz Nikodem resztkami kaznodziejskiego animuszu woła do swych domowników wiary, że noc przeminęła, a dzień się przybliżył, zorza poranna oświeca szczyty gór, świece jutrzenne bledną, bo słońce swym blaskiem okrywa ziemię i że tak właśnie zblednie żywot doczesny, gdy nas oświeci światłość, którą jest Jezus Chrystus. Amen.

Kancjonał

czyli

Śpiewnik dla chrześcian

ewangelickich

zebrany i ułożony za staraniem ewangelickiego duchowieństwa
w Śląsku austryackim.

Wydanie drugie.

Ciechyn, 1866.

Nakładca Ps. Jerzy Seczko. Drukarz Karol Prochaska.

Zasłuchani zborownicy powoli wracają do rzeczywistości, odkrztuszają uwięzły w gardłach kaszel, wycierają dzieciom nosy, trącają tych co zwykle drzemią, ale niepotrzebnie, bo dzisiaj nie spali; wszyscy są poruszeni do głębi, odmienieni w swym zaprzaństwie. Ksiądz Nikodem czyta ogłoszenia już innym głosem. Skończyła się magiczna chwila, dla której tu wszyscy przyszliśmy, dla której przedzieraliśmy się przez zasy, przez lody, przez manowce. Ostatnia pieśń nie brzmi już tak triumfalnie, śpiewamy ją pokorniejsi, cichsi, mniejsi, śpiewamy pochodzące z kancjonału Trzanowskiego słowa: *Zacna panna Pana przemilego Nam porodziła. Uwinąwszy, w żłóbku Syna swego Do snu złożyła. „Śpijże me dzieciątko, Śpij, me pacholątko” Tak mu śpiewała I dziękowała.*

Szary tłum wysypuje się z kościoła, a na zewnątrz, wbrew naszej pokrzepionej pobożności i metaforycznemu językowi kaznodziei, dalej królują ciemności, choć może istotnie nieco mniejsze. Brniemy w mrok i chłód świata rozgrzani w swej gorliwości i wierze, odczuwający niemal fizycznie ciepło bożej łaski. Wracamy do zimnego porządku ostygniętych domów. Pierwsi zaznają tego uczucia ci co mieszkają najbliżej kościoła, na Mariensztacie, na Kościelnej, na Stawowej, potem ci z górnego Ustronia, Zawozia, Hermanic, a gdy oni już dawno będą mieli pozapalane w piecach, gdy zdążą już się posilić smakowitymi resztkami z wigilijnej wieczerzy, gdy nakarmią zwierzęta i gdy rozleniwieni pomyślą o zanurzeniu się w błogim i usprawiedliwionym lenistwie, gdy zaczną już na dobre zasypiać, do domów będą dochodzić ci z Dobki, Jaszowca, Cisownicy. Ostatni będą pierwszymi - pomyślą tamci i rozpalą ogień, posilą się, zajmą się obejściem, a potem już nie będą mieli lenistwo, bo jutrzeńne zorze już dawno wstały, a lenistwo jest największym grzechem więc to nawet lepiej, że mieszkają tak daleko, bo nic ich nie wodzi na pokuszenie. I wyciągną postylle szwabachą drukowane, i te późniejsze, a wszystkie w skórę oprawne i będą czytać z nich kazania, śpiewać pieśni z kancjonałów, modlić się. I pomyślą, że przecież jutrznia jest tylko symbolem ich religijności, ale się na niej nie kończy, ani w niej nie wypełnia. I pomyślą jeszcze, że nadszedł czas, gdy uliczne latarnie rozświetlają ciemności, ociepla się klimat, a ludzie jeżdżą do kościoła samochodami. A przecież i tak pierwsi muszą wyruszać ci co mieszkają najdalej: Gomole z Dobki, Puczkowie z Goja, Kłody z Cisownicy ...



Dr Grażyna Kubica – pracuje w Zakładzie Antropologii Społecznej Instytutu Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Interesuje się problematyką mniejszości kulturowych (szczególnie śląskością, protestantyzmem, żydowskością), pamięcią społeczną, antropologią wizualną, a ostatnio także płcią kulturową i seksualnością. Jest autorką książek „Luteranie na Śląsku Cieszyńskim. Studium historyczno-socjologiczne”, „Siostry Malinowskiego, czyli kobiety nowoczesne na początku XX wieku”, redaktorką wydania „Dziennika w ścisłym znaczeniu tego wyrazu” Bronisława Malinowskiego oraz wielu artykułów. Na swym koncie ma również teksty literackie publikowane w „Gazecie Wyborczej”, „Słowie i Myśli”, „Kalendarzu Ustrońskim” oraz reportaże w „Rzeczpospolitej”. Zajmuje się także fotografią. Pierwsza jej indywidualna wystawa, „Obrazy miast różnych”, miała miejsce w ustrońskim Muzeum, a druga, „Człowiek – z obu stron obiektywu. Fotografia i antropologia” w Muzeum Etnograficznym w Krakowie.

Antoni Sapota

Katolickie Stowarzyszenie Kobiet

Wśród wielu stowarzyszeń, mających swoją siedzibę w Czytelni Katolickiej w Ustroniu, znajdowało się Katolickie Stowarzyszenie Kobiet, początkowo istniejące jako Związek Niewiast Katolickich. Porządkując materiały w naszym parafialnym archiwum i przygotowując temat Czytelni Katolickiej, natrafiłem na księgę protokołarną tegoż Stowarzyszenia z lat 1913-1935.

Bardzo się uradowałem, gdy w pewnym momencie do kancelarii parafialnej zawiątał nasz parafianin, pan Bolesław Kiecoń, który przyniósł drugi tom wyżej wspomnianych protokołów. Mając do dyspozycji zapisane z wielką starannością sprawozdania, można było bardzo dokładnie prześledzić działalność Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet w Ustroniu. Protokoły te dostarczają także wiele innych wiadomości dotyczących zarówno życia parafii św. Klemensa, jak i miejscowości oraz spraw politycznych i międzynarodowych z tamtego okresu.

16 marca 1913 roku, z inicjatywy Polskiego Związku Niewiast Katolickich w Cieszynie, w sali Czytelni Katolickiej, odbyło się zebranie około 150 osób. Wśród nich obecna była M. Dybowska, przewodnicząca Związku Polskich Niewiast Katolickich w Cieszynie oraz pani Jodłowska – kierowniczką kursów gospodarczych w Cieszynie. Przybyły one, aby udzielić wskazówek, pomocy i rady przy założeniu organizacji podobnej do tej, którą reprezentowały. Pani Dybowska, uzasadniając potrzebę organizowania się kobiet, mówiła: „Może organizować się mężczyzna, mąż, czemu miałoby to być kobiecie zakazane? O tylu rzeczach rozstrzyga sama kobieta i w domu i poza domem, na jej głowie jest tyle starań i trosk różnych. Nieraz nie potrafi sobie sama z tym dać rady, a w takich towarzystwach można omówić niejedno, poradzić się, pouczyć. My zresztą powinniśmy organizować się jako Katoliczki. Dziś wiara nasza święta katolicka poniewierana jest powszechnie, obojętność religijna szerzy się coraz więcej, jeszcze tylko kobiety, matki, żony dotychczas prawie same trzymają wysoko krzyż Chrystusowy i świętą wiarę wszczepiają w młodsze pokolenia. Jak zostaną kobiety same, znikąd podpory i rady, to u nich wkrótce niedobrze będzie. Więc łączyć się trzeba, łączyć w obronie świętej wiary naszej katolickiej”.

Założycielami Polskiego Związku Niewiast Katolickich byli: wikary ks. Dominik Ściskała i proboszcz ks. Józef Kupka, który potem przez wiele lat, aż do przejścia na emeryturę w 1932 roku, był opiekunem tej grupy kobiet. Związek na początku liczył 108 członkiń z Ustronia, Wisły i Hermanic.

W skład Zarządu Związku weszły: Maria Kowalówna, Karola Matuszkówna, Maria Mazurowa, Joanna Mrózkowa, Marcjanna Nowakowa, Zuzanna Sucha, Maria Stecowa, Maria Tomiczkówna, Anna Tomiczkowa.

Przewodniczącą została Maria Michalikowa – zwana później „prezeską”, sekretarką – Lina Kasparówna, a skarbnikiem – Gabriela Tomiczkówna.

Za prowadzenie kursów gospodarczych odpowiedzialne były: Maria Kozubówna, Lucyna i Maria Müllerówna.

Polski Związek Niewiast Katolickich zawiązał się w obronie wiary i polskości w czasach zaborów. Jak czytamy bowiem w jednym z protokołów: „(...) pięknym językiem macierzyńskim polskim zaczynają tu na Śląsku coraz więcej poniewierać,

chwałą cudze a śmieją się z nas. Gardzą językiem polskim, musimy na to nie pozwolić, musimy uczyć szanować swoje, czcić swój język macierzyński, musimy go pielęgnować, a na to trzeba byśmy się łączyły, organizowały razem. Na to trzeba siły wszystkie razem”.

Głównym zadaniem, jakie Związek sobie postawił, było podtrzymanie – przez zebrania miesięczne, odczyty, wieczorki i festyny – łączności między kobietami „mogącymi wiele zdziałać pośród swych rodzin dla zachowania ducha i tradycji katolickich”. Ważne było pielęgnowanie zwyczajów ludowych związanych z uroczystościami i świętami kościelnymi, jak np. „opłatek” czy „święcone”.

Spotkania miały odbywać się raz na miesiąc. Z każdego takiego spotkania sporządzany był dokładny protokół. Czytając te protokoły, można dowiedzieć się, jak wyglądała praca, jakie były plany i dokonania.

Taką ciekawostką jest wiadomość, że dla ustrońskich uczennic organizowane były kolacje. Kto był ich organizatorem nie wiadomo, w pewnym jednak momencie padła propozycja o ich zaniechaniu, co podczas posiedzenia Związku w dniu 8 lipca 1913 roku motywowano częściową niechęcią ze strony matek niektórych dziewcząt, jak i samych zainteresowanych, które „nie chcą pobierać kolacy”.

W sprawozdaniu z „czynności roku administracyjnego 1913/1914” czytamy: „Pierwsza publiczna czynność „Związku” to było wspólne wraz z Czytelnią urządzone dnia 24 marca 1913 „Święcone”, z którego „Związek” miał też i materialny zysk. Dnia 15 czerwca odbył się w ogrodzie „Czytelni” festyn, z pięknym programem, który dla nas i dla naszych gości pozostawił miłe wspomnienie. Od 1 lipca do 7 września 1913 odbywały się kursa gospodarcze i kurs szycia, które były od dawna dla nas pożądane. (...) Uczestniczki kursów urządziły dnia 24 sierpnia 1913 przedstawienie amatorskie, na którym odegrane zostały sztuki: »...« i »Rozwód Bartka z Magdą«. 22 listopada 1913 urządzono Odczyt z obrazami świetlnymi pod tyt.: »Królowa Jadwiga«”.

Na pierwszym Walnym Zgromadzeniu Polskiego Związku Niewiast Katolickich, które miało miejsce 22 marca 1914 roku, obecny był poseł ks. Józef Londzin. W swoim wystąpieniu przekonywał kobiety do konieczności organizowania się „zwłaszcza tu na Śląsku – gdzie tyle wrogów Kościoła katolickiego i narodowości polskiej; a ponieważ mężczyźni są często opieszali wobec takiej sprawy, więc apeluje się do kobiet”. Mówił, że: „mają też Niewiasty na celu rozwój ducha narodowego. Kobieta katol. winna agitować za naszą wiarą św., językiem polskim i stawać w obronie przeciw wrogom naszym”. Takie zadanie dla kobiet nie stanowiło niczego nowego, bowiem, jak przypomniał poseł ks. Londzin, „już w starym zakonie oswobodziła Judyta naród izraelski od napaści pogan”.

Warte przytoczenia są także słowa wykładu wygłoszonego 29 sierpnia 1920 roku przez ks. Leopolda Biłko. „Przedstawił obecne wypadki na granicach wschodnich i zachodnich Polski, wskazał na niebezpieczeństwo żydowskiego bolszewizmu i wezwał zebrane do spełnienia obowiązków, jakie obecnie ciążyą na polskiej niewieście katolickiej. Kobieta musi w pierwszym rządzie spełniać swe obowiązki w rodzinie, musi być najpierw żoną i matką. Ale to nie wystarczy. Musi się zajmować wypadkami na świecie, czytać gazety, książki, chodzić na wykłady, należeć do związku, inne do tego nakłaniać, wysyłać dzieci regularnie do szkoły, młodzież do stowarzyszeń, mężów do organizacji zawodowych. Inaczej wszystko opanują żywyioły stojące pod komendą żydowsko-bolszewickich organizacji”.

Podkreślona została ważna rola kobiety w wychowaniu dzieci. Teolog Mazur z Jabłonkowa, ukazując jak bardzo niszczący i zabójczy jest alkohol, nakłaniał kobiety, aby wzbudzały u dzieci „wstręt przeciw alkoholowi i ukazywać im niebezpieczne skutki pijaństwa”. Matka katolicka powinna współpracować z księdzem w nauczaniu dzieci religii, „ponieważ te 2 godz. nauki religii w szkole nie wystarczają, aby dzieci wszystko dokładnie pojęli”.

Protokół

*z posiedzenia Wydziału miejscowej grupy P. Z. N. K.
odbytego dnia 7. czerwca w lokalu kasytelni kat.*

*Obecni : Przewodn. Michalikowa, Bukowczanowa
M. Licha, Fiszcerowa, A. Licha, Martinkowa.
Nadto : Ks. Prob. Kupka i Ks. wikary Juroś.*

*Przebieg. Przewodnicząca wita serdeczniei stowry
zebrane i księży. Następnie ks. Probacz
zwraca się z prośbą do niewiast Związku,
aby zajęły się przyodzobieniem ołtarzy
przy uroczystości Bożego Ciała. Zebrane
z najwikszą chęcią skazują gotowioć do
tak pięknego i wnioistego dzieła i między
sobą układają podział tej pracy. Ks. Pro-
bacz daje wyraz swy radości i dziękuje
za poparcie jego prośby. Po krótkij jacer-
romowie, zamyka przewodnicząca zebrane*

W Ustroniu, dnia 8. czerwca 1914 r.

*Marya Michalikowa Marya Licha,
przewodn sekret.*

Protokół z posiedzenia Wydziału Polskiego Związku Niewiast Katolickich w Ustroniu, 8 czerwca 1914 r.
(dokument z archiwum parafii św. Klemensa w Ustroniu)

Wielką troską Związku było, by dzieci katolickie „pobierały naukę” w szkole katolickiej i od nauczycieli katolickich. Zaraz po zakończeniu wojny, w maju 1919 roku, namawiano rodziców, aby posyłać dzieci do polskich szkół w Cieszynie (prawdopodobnie chodziło o szkoły ponadpodstawowe). W tym samym czasie zabiegano także o odprawianie nabożeństw po polsku, a „nie tylko po niemiecku”. W sprawie nauki

dzieci składano memoriały: w 1926 roku i we wrześniu 1936 roku. Ten pierwszy złożono na ręce posła ks. Eugeniusza Brzuski, w czasie, kiedy został zaproszony do wygłoszenia w Czytelnicy Katolickiej referatu. „Rezolucja tak opiewała, żeby przy szkole I były tak siły nauczycielskie obsadzone, jak przy szkole II, same siły męskie i rzymsko-kat. Żeby nauczyciele uczyli dzieci w szkole śpiewu kościelnego i dalej żeby się też nauczyciele zajmowali młodzieżą pozaszkolną (...)”. Skutek rezolucji był pozytywny, bowiem z protokołu dowiadujemy się, że „(...) 2 siły nauczycielskie wyznania Ew. odeszły ze szkoły I i przyszedł nauczyciel Janiak katolik i uczy młodzież pozaszkolną, zajął się gorliwie tą młodzieżą (...)”.

Memoriał złożony w 1936 roku do wojewody śląskiego dotyczył możliwości posyłania dzieci do szkoły katolickiej, a nie ewangelickiej, jak tego nakazywały przepisy: „Zasadniczo prosi się o cofnięcie „Okólnika”, dać wolną rękę, chcemy dzieci posyłać do szkoły katolickiej, żeby nie były mieszane w szkole (...)”. Rodzice grozili nawet strajkiem, jednak sprawa została załatwiona pozytywnie, gdyż „nareszcie nadeszło z Inspektoratu zawiadomienie, gdzie kto chce tam niech posyła dzieci swoje do szkoły”.

Panie ze Związku były odpowiedzialne za przystrajanie ołtarzy na Boże Ciało, brały udział w procesjach i akademiach.

Wszystkie członkinie zostały zobligowane do płacenia miesięcznych składek, które były różne w poszczególnych latach, np. w 1934 roku wynosiły 2 zł rocznie. W okresie przedświątecznym, kiedy były potrzebne pieniądze na urządzenie „gwiazdki” dla ubogich czy „święconego”, były zbierane specjalne składki. Pieniądze zbierano także podczas festynów i bali czy „święconego”. Zawsze przy takich okazjach odnotowany był zysk i przychód do kasy związkowej. Zawsze też dbano, aby w kasie tej były pieniądze.

Pieniądze związkowe przeznaczano na bardzo różne cele, np. na prezenty (dla ks. Alfonsa Latochy, którego prymicje miały miejsce 21 czerwca 1931 roku, dla ks. Józefa Steca, kolejnego prymicjanta, który swoją pierwszą mszę św. odprawił 29 czerwca 1936 roku oraz dla ks. Walentego Herczyka – prymicjanta z 1938 roku), także z okazji jubileuszu 40-lecia kapłaństwa proboszcza ks. Józefa Kupki. Na dary do Rabki na Zakład św. Teresy od Dzieciątka Jezus (28 kwietnia 1928 roku), do Goleszowa na ołtarz i sztandar Bractwa Różańcowego (31 stycznia 1934 roku). Głównie jednak pieniądze wydawano na pomoc charytatywną.

W 1932 roku Związek podjął starania, aby „przyodziać” dzieci przystępujące do pierwszej Komunii św., szczególnie z rodzin bardzo biednych. Kupowano ubranka nawet dla kilkunastu osób – w 1936 roku dla 22 dzieci, w 1937 roku dla 18 dzieci czy w 1938 roku dla 20 dzieci.

Związek interesował się bardzo żywo potrzebami swojego kościoła parafialnego. W 1922 roku ofiarował 72 tysiące marek na dzwony, na naprawę zegara na wieży, w czasie trwania misji i ich renowacji złożył ofiarę na misje w wysokości 840 zł. W 1926 roku cały dochód ze „święconego”, czyli 614 zł, przekazał na malowanie kościoła. Składał ofiary na światło podczas nabożeństw majowych i różańcowych, na budowę szopki wystawionej w kościele w czasie Świąt Bożego Narodzenia.

Pomagał również potrzebującym członkiniom, udzielając pożyczek czy bezzwrotnych zapomóg. Była nawet rozważana propozycja utworzenia Funduszu Pogrzebowego (15 lutego 1931 roku), jednak z różnych względów nie udało się tego uczynić.

Skarbnikiem Związku Niewiast Katolickich, od początku jego istnienia, była Gabriela Tomiczówna, a potem Leokadia Kuhnowa, która zdała kasę w dniu 9 lipca

1933 roku nowej skarbniczce – Marcjannie Nowakowej. Warte podkreślenia jest również to, że pieniądze były zawsze bardzo dokładnie rozliczane, a wszystkie dochody i rozchody notowane. W jednym z protokołów czytamy, że powołano nawet osoby (Maria Kiecoń i Małgorzata Mańczykowa), które były upoważnione do skontrolowania wydatków (19 stycznia 1934 roku).

Protokół

Z posiedzenia Zarządu Związku Niewiast Kat.
zdnia 19. stycznia 1934. Obecne Panie: Michalikowa, Kamiawa
Matlochawa, Maszankowa, Nowakowa, Tomaszowska
Tamiaszkowska, Kaszperawa, Pasterna.

1. Michalikowa wite, zebrane Atankimie katolickim podrocznik
S. B. P. J. dno i daje do wiadomości zeby trzeba było zrobić
Ważne Zebranie, Sekretarka odrytuje protokoły co się
zrobiło za ten czas, całe sprawozdanie z działalności
Związku. Skarbniczka odrytuje dochody i rozchody
wybrała p. Hieronimowa i p. Mańczykowa za rewizorki
by przejrzeć rachunki czy zgadzają się i podpisać
że się odbyła rewizja. Umawiano jeszcze różne
sprawy biedny i jak by zrobić Ważne Zebranie.
Uchwalono na 4. lutego bo będzie sala w byłej wola
wysłać atankimion zaproszenia. Zaprosić p. Związek
i listywa albo Ks. pado Brusko albo Ks. pado Tomale
Na ten posiedzenie zamknięto.

Protokół z posiedzenia Zarządu Związku Niewiast Katolickich w Ustroniu, 19 stycznia 1934 r.
(dokument z archiwum parafii św. Klemensa w Ustroniu)

Panie ze Związku przepracowały wiele godzin przy budowie i poświęceniu nowej sali Czytelni Katolickiej. Wielokrotnie brały udział w poświęceniu sztandarów różnych stowarzyszeń katolickich, zarówno w kraju jak i za Olzą, ofiarując zawsze pewną kwotę na nowy sztandar. Związek zachęcał członkinie do udziału w pielgrzymkach, np. do Częstochowy, Kalwarii Zebrzydowskiej, Piekar Śląskich, Panewnik itd. Nie uchylał się od popierania budowy domów katolickich i przysyłał drobne ofiary na ten cel, np. do Wędryni, Czechowic, Dziedzic, do Ołtarzowa na Seminarium Duchowne Ks. Palotynów, Oświęcimia dla Ks. Salezjanów i jeszcze różne inne.

Lata wojny (I wojny światowej i polsko-czeskiej, przyp. red.) odbiły się na działalności Związku, ale jej nie zahamowały całkowicie. Związek nadal udzielał wsparcia biednym, opiekował się żołnierzami przebywającymi w szpitalu ustrońskim. Zabiegał też o przydział darów amerykańskich dla dzieci, nawiązał łączność z Katolicką Rodziną Sierocą i PCK w Cieszynie, które powstały w czasie wojny.

Polski Związek Niewiast katolickich
w Ustroniu dnia 10 czerwca 1920.

Do katolickiej Rodziny sierocej
w Cieszyńcu.

Strawnie dr L. 247/20 przekładamy niniejszem
sprawozdanie ze wsparciem udzielonego tutajsem
sierotom z funduszu H. P. S. w Cieszyńcu.
Obdarowań następujących siostry (wzrost)

1.)	Petersch Edwin (+ ojciec)	1.65 m	po 85K	140K 25
2.)	Latocha (+ ojciec i matka)	1.86 m	po 75	139 80
3.)	Korcz Anna (miesz.)	1.5 m	po 55	82K 50
4.)	Czarnik (+ ojciec)	1.50 m	po 55K	118K 25
5.)	Gogotka Helena (+ ojciec i matka)	1.25 m	po 55K	68K 75
6.)	Korcz Julian (+ ojciec)	1.5 m	po 75K	112K 50
7.)	Pimiczek (+ ojciec i matka)	1.5 m	po 75K	112K 50
8.)	Korcz Helena (+ ojciec)	1.5 m	po 75K	112K 50
9.)	Melnick Anna (miesz.)	1.5 m	po 75	112K 50
10.)	Myrnyk Helena (+ ojciec i matka)	1.75 m	po 75	131 25
11.)	Jesiołek (+ ojciec i matka)	1.5 m	po 85	124 50
12.)	Horwacik (rodzice ubodzy)	1.89 m	po 75	141 75
13.)	Ciecha zawodzi (miesz.)	1.75 m	po 75	112K 50
			1.10 m	po 55	60K 50
14.)	Ciechorek Karol (miesz.)	ubranie	po 35K	...	35 00 1/2
15.)	Dolereł Franciszek (miesz.)	ubranie	po 35	...	35K 00
16.)	Krysta Stanisław (+ ojciec)	ubranie	po 35	...	35K 00
17.)	Kojński (+ ojciec)	ubranie	po 35	...	35K 00
18.)	Smara (miesz.)	ubranie	po 35	...	35K 00
19.)	Kewek Alojzy (miesz.)	ubranie	po 35	...	35K 00
20.)	Michalczak (miesz.)	usparcie na pogrzeb	35K 00		
		razem		1817K 75 1/2

Sprawozdanie Polskiego Związku Niewiast Katolickich w Ustroniu z udzielonej pomocy Katolickiej Rodziny Sierocej w Cieszyńcu, 10 czerwca 1920 r.
(dokument z archiwum parafii św. Klemensa w Ustroniu)

Zajmował się kupnem i rozdziałem towarów łokciowych oraz obuwia pomiędzy ubogich. W 1920 roku zorganizował obiady dla dzieci, które wydawano w szkole. W jednym z protokołów z tego roku (12 marca) jest mowa o propozycji objęcia opieką ustrońskich sierot. Także w późniejszym okresie czytamy o udzieleniu wsparcia Katolickiej Rodzinie Sierociej w Cieszynie.

Związek żywo interesował się tym, co ważne było dla Polski. Świadczą o tym chociażby przesłane w dniu 15 maja 1928 roku gratulacje ks. Józefowi Londzinowi w związku z mianowaniem go prałatem domowym Jego Świątobliwości Ojca św. Piusa XI. Czytamy tam: „Przewielebny Księżę Kanoniku! Ustroński Związek Niewiast Katolickich cieszy się nad wyraz najnowszą nominacją Twoją, jaka Cię spotkała. Jednocześnie ma sobie za osobliwy zaszczyt złożyć Ci, Naprzewielebny Prałacie Domowy Jego Świątobliwości tą drogą swoje najserdeczniejsze gratulacje z okazji najnowszej nominacji w uznaniu nader licznych Twoich zasług położonych około dobra Twego ludu śląskiego, dla którego wszystkie swoje siły, wiele lat życia swego bezinteresownie poświęciłeś. Szczęść Boże”.

Już w kilka miesięcy później z wielkim żalem przeżywana była śmierć ks. Józefa Londzina, który odszedł do Pana 21 kwietnia 1929 roku. Protokół z dnia 2 maja jest wspomnieniem pośmiertnym. „(...) Pogrzeb ks. prałata Londzina odbył się 24 kwietnia przy bardzo licznym udziale duchowieństwa. Odprowadzono drogie szczątki zmarłego w otoczeniu Ks. dz. biskupa Lisieckiego, który prowadził kondukt pogrzebowy w liczbie 106 księży i kilkadziesiąt tysięcy ludności jakiej Cieszyn nie widział odprowadzał drogie zwłoki na cmentarz komunalny. Tam nad otwartą mogiłą zmarłego ks. prałata Londzina wygłoszono mowy pogrzebowe wszystkich stanów, dziękując mu za wszystką pracę dla ludu śląskiego, którego tak ukochał i dla którego żył, a śmierć przecięła pasmo jego życia. Gdy spuszczano drogie zwłoki do matki ziemi naszej 70 sztandarów rozchyliło swe skrzydła, by mu oddać ostatnią Cześć: Odpoczywaj w pokoju”.

„By mu oddać żywy pomnik uchwalili Komitet założyć żywy pomnik Imienia Ks. Londzina: Sierociniec i przytulisko dla starców w Międzywiciu”. Na ten cel Związek Niewiast Katolickich ofiarował 50 zł.

Podobnie było po śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego. Podczas zebrania, które odbyło się 26 maja 1935 roku „zmówiono za spokój jego duszy Ojciec nasz i Zdrowaś Maryja i Wieczny odpoczynek, 3 minutami milczenia uczczono pamięć Marszałka”. Brano liczny udział w nabożeństwach żałobnych. W późniejszym terminie została zorganizowana wycieczka do Krakowa „w celu zwiedzenia krypty na Wawelu dla złożenia czci Marszałkowi” i aby „sypać kopiec”.

W grudniu 1932 roku opiekunem Związku został nowy proboszcz, ks. Franciszek Pastucha, którego uroczysta instalacja w parafii miała miejsce 18 grudnia. Wspólnie obchodzono 20. lecie istnienia Związku. Ze względu na bardzo trudne i ciężkie czasy, charakteryzujące się kryzysem gospodarczym i ogromnym bezrobociem, postanowiono tę „uroczystość zrobić jak najskromniej”. W tym czasie Związek liczył 139 członkiń, w tym 14 członkiń Zarządu, a adres lokalu, gdzie odbywały się zebrania to Czytelnia Katolicka – takie dane przesłano do Starostwa w Cieszynie, w odpowiedzi na pytanie dotyczące stanu liczebnego.

W dniu 25 marca 1933 roku, w święto Zwiastowania Maryi Panny, została odprawiona uroczysta msza św., „podczas której wszystkie członkinie przystąpiły do Stołu Pańskiego”. W dniu 18 czerwca tegoż roku Związek został zaproszony do udziału

w obchodach jubileuszu 50. lecia istnienia „Związku Śląskich Katolików w Cieszyńskiem”. „Dużo członkiń z Ustronia wzięło udział w tej uroczystości, by pokazać, że i katolicy też umieją się stawiać na tę uroczystość” (pisownia oryginalna za protokołem). Kolejna ważna rocznica, na której nie zabrakło przedstawicielek ustrońskiego Związku, to 25. lecie istnienia Związku Niewiast Katolickich w Cieszynie. Panie wzięły również udział w otwarciu basenu kąpielowego w Ustroniu, co miało miejsce 2 lipca 1933 roku, przy udziale wojewody śląskiego Michała Grażyńskiego.

Panie: Maria Michalikowa, Marcjanna Nowakowa, Weronika Błahutowa i Pasterna zostały oddelegowane do udziału w Zjeździe Zarządu Związku Niewiast, który odbył się 10 września 1933 roku w Cieszynie, w sali „Dziedzictwa”. Do ścisłego Zarządu głównego weszła pani Nowakowa, natomiast do „szerszego Zarządu” wybrano Marię Michalikową i Weronikę Błahutową. Zarząd Główny miał się zbierać co kwartał „i omawiać sprawy bieżące”.

12 listopada 1933 roku została zorganizowana w Ustroniu uroczysta akademii dla uczczenia 50. lecia istnienia Związku na Śląsku. Poprzedzona była mszą św. odprawioną w intencji wszystkich zmarłych członków Związku Śląskich Katolików. Po wystąpieniach kolejnych mówców, m.in. posłów – Rudolfa Halfara i Karola Palarczyka, wszyscy obecni przeszli w pochodzie na cmentarz, aby tam złożyć wieńce na grobach zasłużonych – ks. Franciszka Pastuchy, ks. Józefa Skiby oraz Jerzego Nowaka.

Niecały rok trwała współpraca ks. Franciszka Pastuchy z ustrońskimi niewiastami; 8 października 1933 roku o godz. 10.00 „odbył się manifestacyjny pogrzeb zmarłego proboszcza, przy udziale 62 księży i dużo publiczności. Związek Niewiast zakupił wieńiec ze wstęgą i brał udział w pogrzebie i również wszystkie stowarzyszenia”.

W ciągu kolejnych kilku miesięcy parafią administrował ks. Maksymilian Kotowski, który również był doradcą Związku, ale „nie zawsze uczestniczył w comiesięcznych zebraniach”, na co skarżono się w kolejnych protokołach. 19 sierpnia 1934 roku opiekunem i doradcą Związku został nowy proboszcz, ks. Ludwik Kojzar.

Uroczysta instalacja w parafii miała miejsce 29 lipca 1934 roku. W uroczystości wzięło udział „75 księży, przedstawiciele stowarzyszeń katolickich, reprezentanci władz i urzędów, patronat rad parafialnych, Gmin, Szkół i innych (...)”.

W tym czasie w Polsce coraz częściej słychać było głosy o tworzeniu się Akcji Katolickiej. Między innymi podczas posiedzenia, które miało miejsce 10 maja 1934 roku Cieszynie, referatem na temat Akcji Katolickiej ks. Eugeniusz Brzuska zachęcał, aby „pojedyncze grupy przystępowały do Stowarzyszenia uprzywilejowanego, które podlega J.E. Ks. Biskupowi”. Zachęcał też członkinie, „żeby się trzymały razem, żeby Panie nie odstępowały od swojego Związku. Nie jest pożądanym, żeby członkinie przystępowały do Koła Polek, jeżeli jednak przystąpią, mogą nadal pozostać w Związku Niewiast Katolickich”. Również na posiedzeniu Głównego Zarządu, które miało miejsce 10 czerwca 1934 roku w Cieszynie mówiono na temat zmiany statusu Związku. Ks. radca Eugeniusz Brzuska ogłosił, że: „Związek Niewiast Katolickich będzie skasowany i powstanie na to miejsce inny związek pod tą samą nazwą albo inaczej się będzie nazywać, będzie podlegać J. Eks. Ks. Biskupowi i Kurji, a nie Starostwu jak dotychczas, wyjdzie z Kurji nowy statut i na tem będzie się opierać cały związek. W każdej parafii zostanie powołany taki związek i ks. prob. będzie Patronem tego Stowarzyszenia. Do końca lipca musi się Związek zgłosić do Starostwa o rozwiązanie P.Z.N. i zlikwidować je a potem założyć nowy Związek (...)”.

Protokół

Z posiedzenia Zarządu Związku Niewiast Kat. w Ustroniu które się odbyło dnia 19. sierpnia 1934 w sali krytelni Kat. z następującym programem:

1. Zagajenie.
2. Przywitanie nowego ks. proboszcza.
3. Datek na „Dom Kat” w Driedricach.
4. Nowy statut Związku.
5. Zebranie miesięczne Związku.

Obecni byli Ks. prob. L. Kojzara

P. P. M. Michalikowa, Kowakowa, Kaszperowa, Kamińska, Maszankowa, Jatuszkowa, Blahutowa, Pasternak.

Posiedzenie rozpoczęło słowami. Niech będzie pochwalony J. Chr. przem. Michalikowa wita w serdecznych słowach nowego ks. prob. i prawi go w imieniu Związku by zajęte się Z. N. K. i był naszym Opiekunem i doradcą.

Ks. prob. przemawia że się zajmie Związkiem. Podkreśla że Związek może dużo dobrego zdziałać w naszej parafii i wskazał na pewne sprawy, kteremi by się Związek mógł zająć. Uchwalono wystać 10 zł na „Dom Katołicki” do Driedric.

Co do nowego statutu uchwalono zarekazi na

Zarządzenie, głównego Zarządu w Ustroniu Na dzień 9. września, odbędzie się Zebranie miesięczne Z. N. K. Ks. prob. ogłosi to w kościele i zaprosi wszystkie niewiasty by się zjawiły jak najliczniej, by żadnej nie brakowało na tem zebraniu.

Pasternak

W Ustroniu 5. września 1934.

Michalikowa

Protokół z posiedzenia Zarządu Związku Niewiast Katolickich w Ustroniu, 19 sierpnia 1934 r.
(dokument z archiwum parafii św. Klemensa w Ustroniu)

Warto przytoczyć fragment protokołu z zebrania miesięcznego z dnia 9 września 1934 roku, zawierający słowa ks. Ludwika Kojzara. „Ks. prob. przemówił do zebranych niewiast i wskazał na sprawy, w jaki sposób ożywić pracę w Związku. Żyjemy w czasach przełomowych i sami nie wiemy, co dalej będzie. Już Biskupi zwołują zjazdy i interesują się sprawami naszej wiary katolickiej. Jeżeli Biskupi się naradzają to nie na darmo. Neopoganizm rozszerza się na całym świecie i są

kraje gdzie gwałtem się rozwija. W Rosji panuje bolszewizm i tak jak palec boży wtrąca ten kraj do upadku. Ale i nasza Polska też została pochłonięta takim prądem komunizmu. Polska ta, która ma taką chlubną kartę dziejową. Polska, która była przedmurzem chrześcijaństwa, chce i nadal w duchu katolickim pracować. Na to jest jedyny środek, a to jest Akcja Katolicka. Ta Akcja Katolicka organizuje się w całym świecie, żeby i osoby świeckie brały udział w pracy katolickiej, że każdy powinien się wyrobić i pracować na niwie społecznej. Z apelem do Was Panie. Trzeba żeby Związki współpracowały razem w Akcji Katolickiej i żeby osiągnąć wspólny cel”.

Podczas Walnego Zebrania, w dniu 24 lutego 1935 roku, w obecności ks. proboszcza Ludwika Kojzara i 104 członkiń, ogłoszono, „że Związek Niewiast Katolickich przestał istnieć”. Na jego miejsce powstało Katolickie Stowarzyszenie Kobiet Oddział w Ustroniu. Działalność Stowarzyszenia, oparta na nowym statucie, odtąd miała odbywać się w ramach Akcji Katolickiej i podlegać Jego Eksceleencji Ks. Biskupowi i Kurii w Katowicach. Stamtąd też napływały materiały i wskazówki do pracy. Opiekunem Stowarzyszenia został ks. proboszcz Ludwik Kojzar, a „prezeską” wybrano ponownie Marię Michalikową. Świętem patronalnym pozostał dzień 25 marca – święto Zwiastowania Maryi Panny, kiedy to członkinie brały udział we mszy św. i przystąpiły wspólnie do Komunii św. Stowarzyszenie zostało zarejestrowane w Starostwie, o czym poinformowano na zebraniu w dniu 30 kwietnia 1935 roku.

1 czerwca 1935 roku odbył się w Cieszynie kurs regionalny Akcji Katolickiej dla zarządów stowarzyszeń, zorganizowany przez ks. dyr. Bolesława Kominka. Wzięło w nim udział ponad 200 osób z 16 parafii z cieszyńskiego. Ustroń reprezentowały panie: Maria Kieconiowa, Machankowa i Pasterna. Wygłoszono pięć wykładów, mówili m.in. ks. infułat Wilhelm Kasperlik, prof. Stawiński, ks. dr Bolesław Kominek. O roli kobiety w Akcji Katolickiej mówiła mecenas Chmielowska: „Jak kobiety powinny pracować wśród rodziny, wśród swych bliskich, wśród całego otoczenia, wychowywać swe dzieci na dobrych katolików, kobieta ma być kapitanką ogniska domowego, nie upadać na duchu jeśli przyjdzie jakiś ciężar jakieś niepowodzenie, bo tego dzisiaj nie brak na świecie, ale uciekać się z ufnością w modlitwie do Maryi Panny bo Ona jest Wspomożycielką Wiernych, Ona nie opuści nikogo kto się do Niej ucieka. W rodzinie i dla rodziny we własnym domu, i w rodzinach niech szerzy kobieta katolicka hasło: „Chrystus uświęca rodziny”. Jeśli macie wiarę, pokażcie jej owoce, mówi jeden myśliciel. Jeśli jesteście katoliczkami, udowodnijcie to czynem, tak przemawia do Was Akcja Katolicka”.

Także i w późniejszym czasie na temat Akcji Katolickiej wygłoszonych zostało jeszcze wiele referatów, wykładów, pogadanek, a wszystko to dla lepszego zrozumienia potrzeby istnienia tej organizacji. Bardzo pouczający był referat wygłoszony przez sekretarkę generalną Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet w Katowicach, Marię Droźniewiczową, w dniu 4 sierpnia 1935 roku. Oto jego fragment: „(...) Do tej Akcji powołani są wszyscy katolicy, mamy ważne plany, mamy pracować pod kierunkiem duchowieństwa. Mężczyźni mają swoją siedzibę w Warszawie, kobiety w Poznaniu, a młodzież ma swą centralę w Poznaniu. Każde Stowarzyszenie ma swój statut, ważną rzeczą jest przeczytać statut (...), statut jest ułożony przez Episkopat a zatwierdzony przez rząd, władza państwowa ma prawo przyjąć na zebranie. Musimy odnowić wszystko w Chrystusie, nad tem mamy czuwać,

(...) uwikłać w treści tego czego nas naucza Kościół święty, żebyśmy byli prześlaknięci wiarą, żeby (...) pielęgnować zwyczaję katolickie, musimy się leczyć w sakramencie pokuty, liczyć się z rodzinami, bo jakie będą rodziny taki będzie Kościół, bo od rodziny zależy Ojczyzna. Rodzinę musimy podźwignąć, utworzyć takie warunki, mężczyzna ma tyle zarabiać żeby utrzymać rodzinę. (...) mamy wprowadzać intronizację Serca Jezusa w nasze serca, w nasze rodziny. Pracować na sobą, nad dziećmi i społeczeństwem, musimy szanować wiary katolickiej, to hasło Akcji Katolickiej, musimy odrodzić się w Chrystusie, Chrystus Król niech żyje w rodzinach, niech żyje w społeczeństwie. Tak wygląda nasza praca: Musimy się nie zająć polityką, jesteśmy organizacją apolityczną”.

Przy okazji udziału w tym zebraniu Maria Droźniewiczowa przeprowadziła wizytację ustrońskiego oddziału Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet. W księdze protokolarnej widnieje notatka: „Dnia 4 go sierpnia 1935 r. byłam na zebraniu oddziału Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet w Ustroniu. Przy tej sposobności przeprowadziłam wizytację, przeglądnęłam założone księgi oddziału i stwierdziłam, że wszystkie są należycie i wzorowo prowadzone. Poleciłam, aby prowadzono listę obecnych na zebraniach, by „Front Katolicki” składać do skoroszytu, by na zebraniach omawiano częściowo statut stowarzyszenia”.

Praca Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet nie różniła się od tego, co robiono dotychczas – nadal głównym zadaniem było organizowanie „święconego”, „gwiazdki”, „opłatka”, kiermaszów, festynów, wspomaganie biednych, „przyoblekanie” dzieci pierwszokomuniijnych. Kobiety brały udział w kursach oraz w różnego rodzaju uroczystościach, głównie kościelnych, a także w rekolekcjach i pielgrzymkach. Podczas spotkań miesięcznych był czas przeznaczony na krótką katechezę, bądź pogadankę religijną, tzw. kwadrans religijny. Tematyka była bardzo różna.

W dniach 1 i 15 września 1935 roku przedstawicielka z Ustronia, pani Pasterna wzięła udział w I Zjeździe Delegowanych, który odbył się w Panewnikach. „Zjazd tegoroczny miał policzyć własne siły, dać kierunek na przyszłość i zachęcić do pracy w kobiecej A.K. Z radością stwierdzić możemy, że Zjazd stanął na wysokości swego zadania, zbliżył nas i zjednoczył, obradował z powagą choć w ożywieniu, poruszył dużo spraw potrzebnych i ważnych”.

Członkinie Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet bardzo żywo włączyły się do obchodzonej po raz pierwszy w parafii w dniu 27 października 1935 roku uroczystości Chrystusa Króla. Zachęcały do licznego udziału w spowiedzi i Komunii św., a także w uroczystej sumie ku czci Chrystusa Króla oraz akademii, która miała się odbyć po niesporach w Czytelni Katolickiej. Wcześniej rozprowadzały naklejki, przeznaczone do dekoracji domów z tej okazji. Jak czytamy w notatce protokolarnej, „Święto Chrystusa Króla odbyło się uroczyście, nalepki rozprzedano, jeszcze brakło (...)”, a „Akademia (...) podniosła wszystkich na duchu”. Równie uroczyście obchodzono to święto w następnych latach.

Bardzo licznie wzięły udział ustrońskie kobiety w wielkim zjeździe Kobiet, który miał miejsce w dniach 26-28 września 1936 roku w Częstochowie, a na którym to spotkało się ponad 60 tys. kobiet z całej Polski.

Od 1936 roku każda kobieta należąca do Stowarzyszenia miała odznakę związkową, natomiast od 1937 roku Stowarzyszenie firmowało się sztandarem. Został on uroczyście poświęcony 1 sierpnia 1937 roku.

Sprawozdanie z Akademii ku czci Chrystusa Króla

Z okazji święta Chrystusa Króla odbyła się dnia 25. października, 1936 po uroczystych nabożeństwach uroczysta "Akademia" w sali Czytelni przy wyjątkowej prolegnacji uczestników

Program był następujący

- 1) Przywitanie uczestników zebranych przez ks. prof. Hojzara
2. Śpiew dziatwy szkolnej
3. Deklamacja (Pod kryżem)
4. Setnerka (O Chrystusie)
5. Referat wygłosił ks. wikary Sołtyśnik "Wychowanie i społeczeństwo"
6. Deklamacja (Zamieszanie kowe)
7. Śpiewy i piosenki
8. Podziękowanie i zakończenie ks. prof. Hojzara

Nastroj na Akademii był bardzo uroczysty i bardzo na niej obecny jak najlepszy odnośnik wrażeń, Jednym z wrażeń "My chcemy Boga" zakończono tę piękną uroczystość,

W Ustroniu 28. października 1936

Sprawozdanie z „Akademii ku czci Chrystusa Króla”, która miała miejsce 25 października 1936 roku w Ustroniu, w sali Czytelni Katolickiej (dokument z archiwum parafii św. Klemensa w Ustroniu)

Sprawozdanie z poświęcenia sztandaru:
 Katolickie Stowarzyszenie Kobiet w Ustroniu
 obchodziło w niedzielę 1. sierpnia 1937.

Uroczystości poświęcenia sztandaru.

Program uroczystości:

Godz 7 godz. - 9.30: powitanie gości na dworcu

" 10:- wyjazd z Cytelni Katolickiej po sztandar do S.S.

Boromeuszek i pochod ze sztandarem do kościoła,

Godz 10.15: poświęcenie sztandaru przed kościołem

" 10.45: Msz. św. w kościele

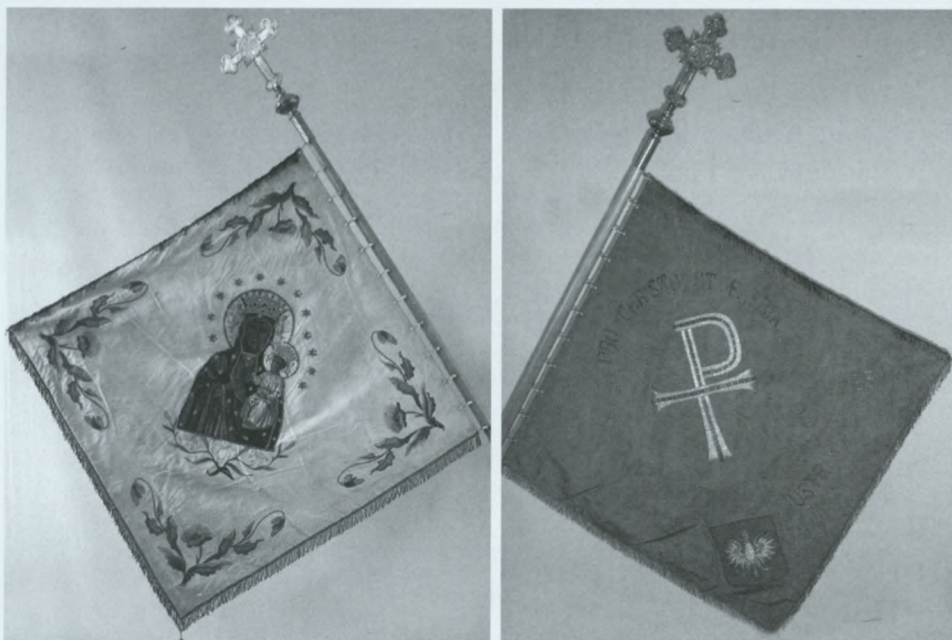
" 12.00: ubijanie gwóźdź w Cytelni Katolickiej i wpisanie
 się do księgi pamiątkowej.

Godz 13.00: Wspólny Obiad

Parafia Ustroniska, międzywata dnia 1. sierpnia podniosła uroczystości
 poświęcenia sztandaru miejscowego Oddziału Katol. Stow. Kobiet.
 Już wczesnym rankiem witano na dworcu gości i delegacje ze
 sztandarami z Dzierżyc, Chęchowa, Liszyna, Skorowa, Jawona
 W. Sty, Góleszowa, Jotelnaj, no i z za kordonu z Trzyńca.

O godz. 10. wyjazd z Cytelni pochod z muzyką po sztandar
 do S.S. Boromeuszek. Przed kościołem poświęcił sztandar nasz
 asystent ks. proboszcz Hojzar i odprawił uroczystą sumę z asystą;
 urupające karanie okolicznościowe wygłosił ks. wikary Trótyzik.
 Po nabożeństwie nastąpiło w Cytelni Kat. zdjęcie fotograficzne nowego
 sztandaru z rodzicami chrestnymi, wpisanie do księgi pamiątkowej.
 Po obiedzie ks. prob. w serdecznych słowach powitał zebranych, tak
 licnie przybyłych gości i delegacje ze sztandarami. P. Juraszkowa
 z Liszyna podkreśliła możliwości kat. kobiet w Ustroniu, które
 się już przed 24 laty zorganizowały do wspólnej i bożnej pracy.

Sprawozdanie z poświęcenia sztandaru Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet w Ustroniu, które odbyło
 się 1 sierpnia 1937 roku
 (dokument z archiwum parafii św. Klemensa w Ustroniu)



*Sztandar Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet w Ustroniu
(fot. Roman Langhammer, 2007 r.)*

Relacja i zdjęcia z tej uroczystości ukazały się w „Gościu Niedzielnym” i w „Gwiazdce Cieszyńskiej”. Od tego czasu dumnie manifestowano jego posiadanie podczas różnego rodzaju uroczystości, także tych wyjazdowych.

Wspomniane już zostało, że dla kobiet ważne były sprawy Polski. Szczególnie, gdy czasy stawały się coraz bardziej niespokojne. W 1936 roku wszystkie członkinie zobowiązane zostały do wzięcia udziału w uroczystościach z okazji przypadającej na dzień 11 listopada rocznicy Niepodległości Państwa Polskiego. Nadesłany z Katowic okólnik zachęcał kobiety do udziału w adoracji Najświętszego Sakramentu w dniu 14 listopada, który to dzień został ogłoszony dniem modlitwy i przebłagania o zwycięstwo katolicyzmu nad komunizmem.

Na początku marca 1938 roku przypadał jubileusz 25. lecia istnienia Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet. W protokole z dnia 25 września 1938 roku czytamy, że: „Jubileusz został odłożony, bo (...) panuje wielkie przygnębienie ludności, wisi nad nami groźba wojny z Czechami. Pamiętne to zebranie, pełno wojska w Ustroniu, dużo uciekinierów ze Śląska Zaolziańskiego, strach i smutek czai się u każdego, co dzień, to przynosi coś nowego a za kilka dni rozstrzygną się losy wojny. Oczekiwane ostatnie chwile, które by rozpętały straszną pożogę wojenną, ten ponury nastrój, te modlitwy błagalne do Boga, które płyną z serca ludzkości. Ale Pan Bóg ulitował się nad nami, nagle nastąpił zwrot, na falach eteru radia biegnie radosną nowina, że Czesi oddają Śląsk dobrowolnie Polsce. Z ust do ust idzie radosną wieść, że pokój uratowały, że Śląsk Zaolziański po 20 latach wróci do Macierzy. Radości nie było końca i my w naszej parafii złożyliśmy dziękczynne nabożeństwo Panu Bogu za odwrócenie od nas nieszczęścia wojny”.

W związku z takim rozwojem sytuacji politycznej kraju jubileusz ten został przełożony na 20 listopada 1938 roku. Z tej okazji zostało odprawione nabożeństwo z okolicznościowym kazaniem ks. prob. Ludwika Kojzara, który odprawił także uroczystą sumę. W godzinach popołudniowych odbył się „Kiermasz” z udziałem orkiestry wojskowej. Wtedy też nagrodzono dyplomami pamiątkowymi najbardziej zasłużone dla Związku osoby – „prezeskę” Marię Michalikową, ks. proboszcza Ludwika Kojzara oraz 12 członkiń. W części artystycznej odegrano zostało przedstawienie „Sztuczka”, a potem były tańce.

W ciągu 25 lat istnienia tej organizacji kobiecej odbyło się 179 zebrań Zarządu, 52 zebrania miesięczne oraz 18 zebrań walnych. Ostatnie miało miejsce 5 lutego 1939 roku. Odbyło się w „salce koło Ochronki” z udziałem ks. proboszcza Ludwika Kojzara oraz 65 niewiast. W tym dniu złożyła rezygnację Maria Michalikowa, która przez 25 lat pełniła funkcję prezesa. W związku z tym wybrano nowy zarząd, na czele z Marcjaną Nowakową, którą w pełnieniu funkcji skarbnika zastąpiła pani Kostkova. Nową sekretarką została pani Gałuszkowa. (Maria Michalikowa zmarła 8 kwietnia 1939 roku. Jej pogrzeb odbył się 10 kwietnia z udziałem wszystkich miejscowych członkiń. W pogrzebie wzięły także udział delegacje sąsiednich Oddziałów Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet – z Wisły, Goleiszowa, Górek i innych). W takim też składzie Zarządu odbyło się spotkanie w dniu 20 czerwca 1939 roku, z którego to dnia w księdze protokolarnej widnieje ostatni protokół. Informował on o przygotowaniach do mających się odbyć 29 czerwca 1939 roku prymicjach ks. Józefa Balcarka. Zapowiadany był również jubileusz 50. lecia istnienia Czytelni Katolickiej. Jak czytamy: „uroczystość ta miała być bardzo okazała, a do jej upiększenia przyczyni się cała Akcja Katolicka”. Jest także mowa o poświęceniu sztandaru Krucjaty Eucharystycznej (18 czerwca 1939 r.).

Na tym urywają się informacje o działalności Katolickiego Stowarzyszenia Kobiet. Wiemy tylko, że tak jak pozostałe organizacje, Stowarzyszenie musiało zawiesić swoją działalność na czas II wojny światowej. W latach późniejszych Stowarzyszenie najprawdopodobniej nie zostało reaktywowane, w kronikach parafialnych nie ma żadnych informacji na ten temat.

Do niniejszego opracowania wykorzystano materiały zawarte w księgach protokolarnych z lat 1913-1935 oraz z lat 1935-1939. Cytaty zostały użyte w oryginalnej pisowni.



Ks. kanonik Antoni Sapota – ur. 9 maja 1950 r. w Żyglinie. W 1977 r. obronił magisterium w krakowskim Wyższym Seminarium Duchownym, a święcenia kapłańskie otrzymał 12 kwietnia 1979 r. z rąk biskupa Herberta Bednorza w Katedrze Chrystusa Króla w Katowicach. W latach 1984-1995 był proboszczem parafii w Zaborzu. Od 1 lipca 1995 r. – proboszcz parafii rzymskokatolickiej pw. św. Klemensa w Ustroniu. Od 2005 r. należy do Towarzystwa Miłośników Ustronia.

Halina Rakowska-Dzierżewicz

Gawęda o ustrońskim harcerstwie (Związku Harcerstwa Polskiego) w latach powojennych 1945-1950

Motto

Jest nim piosenka, niejako hymn harcerski, który nam w latach minionych przyświecał, a w uszach pobrzmiwa i dziś:

*Pod lilii znakiem żyj, rośnij, wierz,
Wiara twa niech w niebo sięga!
Pod lilii znakiem ulatuj wzwyż,
Bo orla jest jej potęga.*

*Ref. A żeś jest wolny tej ziemi syn,
Swoje marzenia przekuwaj w czyn!*

*Pod lilii znakiem zamieniaj w czyn,
Moc ducha, cnotę i męstwo!
Pod lilii znakiem ulatuj wzwyż,
Jak orzeł leć po zwycięstwo!
Czuwaj!*

Dawno pogasły nasze harcerskie ogniska, ale ich żar, który skupiał naszą harcerską brać wokół nich, tli się jeszcze w naszych sercach, choć od tamtych „zielonych” i cudownych lat dzielą nas prawie już 62 lata. Łza się w oku kręci, kiedy wspomnienia o nich przywołuje nasza niedoskonała przecież pamięć... I, żeby je opisać, począwszy od zarania ponownego zawiązania się Hufca Związku Harcerstwa Polskiego w Ustroniu (ponownego, bo związek ten miał już wcześniejsze przedwojenne dzieje), trzeba było pamięć odświeżyć, aby przelać na papier niektóre epizody tamtych lat, w których dane mi było należeć do jego szeregów. Posłużyć musiałam się także wspomnieniami niejako współauterek niniejszego tekstu. Każda zapamiętała subiektywną historię tamtych zdarzeń. Stąd tytuł jaki wydał mi się odpowiedni do treści opowiadania, które przy ich pomocy udało mi się sklecić i z ich pamięcią i swoją się zmierzyć. Wielu z około trzystu osobowego hufca (a należeli doń także harcerze i harcerki z Wisły), odeszło już na wieczną wartę. I choć zdaję sobie sprawę, że opowiadanie to nie będzie doskonale (nie udało mi się bowiem dotrzeć do żadnych dokumentów, czy kronik z tego okresu), im, a szczególnie naszej hufcowej drużynie Annie Makulance i hufcowemu, druhowi Alojzemu Kłapsi, szczerze oddanym pracy dla nas, poświęcam te słowa.

Drużna Anna Makulanka miała nieocenione zasługi oraz wpływ na klimaty tworzone wśród nas w owe lata, co szczególnie oddźwięk miało na obozach harcerskich. Na kształtowanie się wizerunku hufca ustrońskiego oprócz druha Alojzego Kłapsi, wywarli także zasadniczy wpływ druhowie: Paweł Molin, o pseudonimie „Busiek”, Franek Wawrzyk, Rudek Kiecoń, Leon Błahut, Stanisław Słowiana, Staś Mendrek, Rudek Ogrodzki, popularnie zwany Dzidkiem, Paweł Jurzykowski, Jasiu Troszok, Ryszard Kohut, Jerzy Helwig (Kurt), Lotar Thüring, Paweł Witala, Józef Stec, bra-

cia Andrzej (Adek) i Adrian (Dolek) Pilchowie, Stanisław Grudzień i inni, których imion i nazwisk nie pamiętam. No i wreszcie ten, który „herosem” z wojny wrócił – Jasiu Cholewa (były lotnik Dywizjonu Bombowego, po stronie aliantów). Niektórym z nich przyszło znosić dole i niedole żołnierzy, nie z własnej lecz wymuszonej woli, także po stronie wroga. A któż może zaręczyć, że nie strzelali „Panu Bogu do okien”, miast do swoich? Kiedy tylko nadarzyła się okazja, ochoczo poddawali się aliantom w niewolę, by wkrótce potem walczyć po właściwej stronie. Zaś po stronie żeńskiej hufca, wyróżniały się: Andzia Kiecoń, Ela i Mania Goryłówna, Marta Małyszówna, Helenka Troszokówna, Irena Irecka, Stefania Gogólkówna, Bronisława Cholewianka (w czerwcu roku 2007 z nami się pożegnała), Olimpia Sadlik, Maria Paszcza, Zofia Nawrat, Alicja Tomica, Agnieszka Kubok, Krysia Chwastek i inne.



Hufcowa Anna Makulanka i hufcowy Alojzy Klapsia (na pierwszym planie) na capstrzyku w Ustroniu, 1946 r. (fot. z archiwum autorki)

Nadszedł rok 1945, szczęsny rok zakończenia zmagani wojennych. Mam za soba niespełna 4 lata uczęszczania do niemieckiej szkoły (innej w „Reichu” nie było). Po krótkiej przerwie w uczęszczaniu do szkoły (w miesiącach od połowy marca do około 1 maja), spowodowanej nalotami alianckich samolotów na front, który wydawał się nie mieć końca, nieopodal Ustronia, bo w Skoczowie, Górkach i w Lipowcu (a batalia trwać miała 5 miesięcy, od zimy do maja), nadchodzi wreszcie upragniona wolność. Niemcy przedtem w pośpiechu pakują manatki i opuszczają Ustroń. Ewakuują się z naszych domów i opłotków ostatnie oddziały wojska niemieckiego. Odmaszerowuje też w „nieznane” ostatnia kolumna zgłodniałych i zmęczonych długim marszem młodych chłopców – *Hitlerjugend*, których wiek można oszacować na 15 i 16 lat. Aż żal było na nich patrzeć, a stanowić mieli gwardię Adolfa Hitlera i wspomagać walczących żołnierzy niemieckich, których coraz więcej ubywało... I wreszcie zapadła błoga cisza. Przestały grać armaty i katusze, zwane organami Stalina, od których

we dnie i w nocy trzęsły się szyby w oknach. Pod dom nasz nadjeżdża na rowerze pierwszy radziecki zwiadowca i pyta: „*Kuda German*”? Po Germanach ani śladu. Pozostała jeno w bliskim sąsiedztwie zapora przeciwczołgowa (zbudowana z grubych bali drewnianych), na ul. Wermachtstrasse (obecnie ul. Ignacego Daszyńskiego) pomiędzy dwoma budynkami państwa Windholzów oraz rodziny Kuźników. Zapórę tę wkrótce rozebrano, by jak najrychlej umożliwić udroźnienie ulicy.

Przed dziesiątą otwierają się podwoje polskich szkół, do których udajemy się niejako z marszu. W szkołach oczekują nas inni już, bo polscy nauczyciele.

Daty nie pamiętam, ale gdzieś około 9 czy 10 maja – ja przyodziana w strój śląski wraz z dziewczynką w stroju krakowskim witamy na balkonie ustrońskiego ratusza polskiego pułkownika. Tą dziewczynką była Cecylia Kohutowna z „Zameczku” (obecnie Gałczyńska). Ponownie miałam się z nią spotkać po wielokroć na zbiórkach harcerskich, a potem dzielić z nią szkolną ławę, przez wszystkie lata wiślańskiego liceum. Studiowała ona później archeologię śródziemnomorską i dziennikarstwo na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Uzyskała również doktorat. Przyjaźnimy się do dziś. Ona to wówczas na ratuszowym balkonie deklamowała wiersz: *I ty i ja, jesteśmy stróżami jej granic...* Mnie zaś przypadło w udziale wręczenie panu pułkownikowi bukietu kwiatów. On zaś w podzięce, nie kryjąc wzruszenia, obie nas wycalował. Do dziś pamiętam, choć dopiero za parę dni miałam ukończyć 10 lat, że był bardzo przystojny. Było mu do twarzy w tej sztywnej rogatywce na głowie. W dzień ten na rynku zgromadziła się licznie ustrońska ludność. Pod balkon wkraczają byli partyzanci, ci którym udało się szczęśliwie przetrwać wojnę. Tych, którzy zginęli w czasie potyczki na stokach Czantorii, pochowano później, po ich ekshumacji, we wspólnej mogile na cmentarzu katolickim, a nasz harcerski Hufiec oddawał im honory w czasie pogrzebu.



Ustroń, 1945 r. Pogrzeb partyzantów
(fot. z archiwum autorki)

Po zorganizowaniu się szkół, po dwóch niespełna miesiącach przerwy w nauczaniu, z klasy czwartej przechodzimy do klasy piątej (by zmagać się ze zmianą pisowni, z niemieckiej na polską).

Już w czerwcu roku 1945 nasza nowa nauczycielka Anusia Makulanka namówiła liczną grupę dziewcząt do wstąpienia w szeregi Związku Harcerstwa Polskiego. Pełne emocji udajemy się z moją kuzynką Aleksandrą Sikorzanką i z mieszkającą po sąsiedzku moją przyjaciółką szkolną, Zosią Kostkówną do Szkoły nr 1 na rynku, by zapisać się do ZHP. Tam zastałyśmy już wiele entuzjastek, które czekały na wpisanie się na listę. Na tej pierwszej zbiórce doznałam zawodu, bo oto moje dwie towarzyszki zakwalifikowały się do druhen (rocznik 1934), a ja zaledwie o pół roku od nich młodsza (rocznik 1935) tylko do zuchów. Od lez zwilgotniały mi oczy, bo poczułam się niedowartościowana. W żalu ukoili mnie Stefcia Gogółkówna z Gojów, która była zastępową zuchów (Stefcia swoje dojrzałe lata przebywała w Wielkiej Brytanii, u boku swojego miłego, który po zmaganiach wojennych tam właśnie osiadł. Została jego żoną. Też już odmaszerowała w zaświaty, a jej ciało spoczywa na miejscowym cmentarzu katolickim). Drużynowymi zostały te sprawdzone przedwojenne druhy: Andzia Kiecoń, Marta Małysz, Ela Goryl, Bronisława Cholewa. Zastępowe: Iwona Il-ska, Janina Mrowiec, Stefania Gogółka, Irena Irecka, Olimpia Sadlik, Maria Paszcza, Zofia Nawrat, Helena Troszok, Alicja Tomica, Agnieszka Kubok. Zaczęły się regularne zbiórki. Formowały się drużyny i zastępy. Na zbiórkach ćwiczyłyśmy musztrę, uczyłyśmy się piosenek, prawa harcerskiego, alfabetu Morse'a, historii skautingu Roberta Baden-Powella, bo z tych tradycji między innymi polskie harcerstwo czerpało wzorce. Uczyłyśmy się też znaków do orientowania się w terenie, a także wiązania trudnych węzłów. Pierwszą naszą świetlicą, w której spotykałyśmy się także z harcerzami była sala w willi „Trzech Róż”. Później udzielała nam gościny pani Imiela-Wojtaszek w swoim pensjonacie w Ustroniu Poniwcu (późniejsze prewentorium). W bezpośrednim sąsiedztwie pensjonatu odbywały się nasze imprezy przy ognisku, w których uczestniczyła dość licznie miejscowa ludność, spragniona rozrywki, której w czasie wojny była pozbawiona. Tam też miałam przyjemność wystąpić w śpiewanym duecie z Janką Pasterny. Śpiewałyśmy piosenkę o Małgorzatce, która tańczyła z góralami i nie miała ochoty, na wezwania rodziców, powracać do domu za żadne talary... Piosenkę tę odśpiewałyśmy ze swadą, za co otrzymałyśmy gromkie brawa. Akompaniował nam na akordeonie druh Karol Bojda. Przyodziane byliśmy w stroje krakowskie. Oprócz ognisk były też imprezy nad stawem kajakowym w Ustroniu np. w Święto Morza, gdzie puszczałyśmy wianki na staw, łudząc się marzeniem, że dopłyną poprzez Młynówkę, potem Wisłę do Bałtyku. Było też wspaniałe przedstawienie na basenie w Wiśle, gdzie sążnistymi brawami nagrodzono występ Roberta i Bertranda z piosenki lwowskiej, w których wcieliły się dwie harcerki. Jedna z nich później miała zostać żoną Oldrzycha Sikory. Była nią Emilia Zabyszczan. Tam też oprócz innych występów, wystąpiłyśmy w roli Małgorzatki.

I tak nastał rok 1946: słoneczny majowy poranek. Ukonstytuowany został w pełni ustroński Hufiec Związku Harcerstwa Polskiego. Delegowane grupy harcerek i harcerzy w pełnym szyku wkraczają pod sztandarem i pod przewodem naszej hufcowej Anny Makulanki i hufcowego Alojzego Kłapsi, w progi kościoła katolickiego. Poczet sztandarowy udaje się też do kościoła ewangelickiego. W szarych mundurkach dziewczęta, a w kolorze khaki chłopcy (Boże jak mundur zmieni człowieka). Obchodzone jest po raz pierwszy po wojnie Święto 3 Maja – rocznicy uchwalenia Konstytucji.

A odnośnie mundurków, to zdobycie ich było nie lada problemem, bo w handlu szarego płótna brakowało. Toteż nasze mamy zmuszone były do farbowania białego na szare i szycia mundurków własnym staraniem. Przedwojenne harcerki wyciągały, z siebie tylko wiadomych miejsc, mundurki oryginalne. Niektóre miały też krajki, których im zazdrościłyśmy. Reszta harcerek musiała się zadowolić chustami wiązanymi pod szyją, spiętymi skuwką w kształcie lilijki. Wracając do Święta 3 maja, jaka wielka radość nas rozpiesza, gdy śpiewamy hymn harcerski *Wszystko co nasze Polsce oddamy* (później obchodzenie i świętowanie rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja było zakazane).

Następują po sobie kolejne zbiórki, zawsze owocujące nowymi umiejętnościami. Zdobywane też są w harcerskich eskapadach różne sprawności. I wreszcie grupa starszych nieco ode mnie dziewcząt została przygotowana do złożenia przyrzeczenia.

Nadchodzi grudzień roku 1946. W starej, nie istniejącej już szkole przy kościele katolickim, obchodzimy naszą pierwszą wigilijkę. Ze szkoły udajemy się w okolice Źródła Żelazistego w dolinę Gościradowca, pod stopy Równicy. Na małej ośnieżonej polance stoi przystrojona w świece choinka. Pod nogami błyszczą w świetle księżycy i świec kryształki śniegu. A tarcza księżycy nad nami ogromna i uśmiechnięta jak w bajce. Jest cisza wieczorna... W tej niepowtarzalnej scenerii grupa wyznaczonych dziewcząt składa przyrzeczenie, które przyjmuje hufcowa, drużna Anna Makulanka. Ceremonia ta kończy się przypięciem przez nią krzyży harcerskich do mundurków zaprzysiężonych harcerek. Mnie ten zaszczyt miał spotkać w mniej romantycznych okolicznościach.

Bierzemy udział w capstrzykach miejskich i innych uroczystościach państwowych. Idziemy w „dwustuluda” za świetną orkiestrą Kuźni Ustroń, pod batutą doskonałego dyrygenta Bolesława Midera. Na wietrze łopocze nasz sztandar, a za nim niesione są proporce. Serca rosną, gdy ludność skanduje na naszą cześć: „Niech żyją harcerki i harcerze”. W przerwach kiedy orkiestra nabiera oddechu, z naszych gardeł *Wyrывa się pieśń potężna, pieśń jak dzwon...*



Capstrzyk w Ustroniu, 1946 r. W pierwszym rzędzie od lewej: Bronisława Cholewianka, Paweł Molin i Andzia Kiecoń (fot. z archiwum autorki)

I tak po dwóch latach ćwiczeń, między innymi musztry, a także zbieraniu ziół, w celach zarobkowych i urządzaniu wspaniałego balu maskowego, dla uświetnienia którego dziewczęta przygotowały maski i kotyliony, a dochód z niego miał zasilić naszą obozową kasę, udajemy się na pierwszy trzydniowy obóz do Wisły Jawornika. A było to wiosną roku 1947, zaś w lipcu roku 1947 jedziemy na pierwszy obóz z prawdziwego zdarzenia, do wsi Obidowa, w okolicy Nowego Targu. Podróż nasza z całym ekwipunkiem i wojskowymi namiotami z UNR-y, a także z aprowizacją, odbywa się wagonami towarowymi. Sienniki, które służą w czasie podróży za siedzisko, potem miały być naszymi postaniami. Tydzień wcześniej do Obidowej pojechali harcerze. Niektórzy z nich, ci bardziej doświadczeni druhowie jak: Franek Wawrzyk, Franek Raszka, Staś Grudzień, Paweł Jurzykowski i Staś Słowiena mieli nam się przysłużyć jako kwatermistrzowie. Nad całością czuwał druż hufcowy, a zarazem komendant Alojzy Kłapsia. W tydzień później na podrzędnej stacyjce Lasek wysiadają harcerki. Czekamy na furmanki, załatwione przez harcerzy. Po załadowaniu furmanek naszymi plecakami i tornistrami oraz innym dobytkiem, zdążamy piechotą przez wieś Obidową i przez las, na miejsce naszego obozowania. Ostatnia furmanka, za której dowieszenie odpowiadają te od nas dojrzalsze dziewczęta, z Helenką Troszokówną na czele, wiezie niezbędne wiktuały. Jedzie po wybojach i wykrotach, jak i pozostałe furmanki. Jest to droga przez mękę, bo dopiero co wieś zmagala się z powodzią. Ostatecznie na miejsce dotarliśmy późnym wieczorem.

Na dużej leśnej polanie stała stara opuszczona leśniczówka, którą zajęła hufcowa – komendantka z grupą młodszych harcerek, do których i ja się zaliczałam. Pozostałe dziewczęta zakwaterowały się w dwóch namiotach. Obóz męski rozbił swoje namioty około 1 km dalej, licząc wzdłuż rzeczki, nad którą i my obozowałyśmy. Pawłowi Jurzykowskiemu przypadła przykra rola zaszlachtowania świni, zakupionej u miejscowych górali i oprawienia jej. Kiedy dotarliśmy na miejsce, tusza nieszczęsnego zwierzęcia wisiała już na hakach, nad korytem. Mięso i słonina odpowiednio zabezpieczone, przechowywane były potem w zimnej piwnicy leśniczówki i starczyć miały i musiały do końca obozu, czyli na dwa tygodnie.

Czekało nas zorganizowanie życia obozowego. A zaczęło się od zbudowania przez drużny pieca polowego. Zdunem głównym była moja kuzynka Aleksandra Sikorzanka, która z zadania wywiązała się znakomicie i w nagrodę za to dzieło otrzymała od naszej hufcowej krajkę do mundurka. Był to wspaniały dar na ówczesne czasy, bo wtedy jeszcze w handlu nieosiągalny. „Cepelia” jeszcze wtedy nie działała. Przywieziony z zaopatrzeniem duży kocioł, zagłębiony w obudowie pieca służył do gotowania zup i pierogów. Zaś drugie palenisko przykrywały stare blachy, znalezione w stodółce koło leśniczówki. Na nim smażona bywała jajecznica i inne dostępne nam „specjały”. Posiłki gotowały starsze harcerki pod „egidą” kuzynki naszej hufcowej (nazwiska jej nie pomnę), zwanej przez nas „ciotką”. My młodsze chodziłyśmy do lasu po gałęzie i chrust do pieców. Ale i nas dyżury w kuchni nie ominęły. Na zmianę bywałyśmy też podkuchennymi. Nieopodal pieców stały polowe stoły, zmontowane z desek staraniem naszych kwatermistrzów. Przy stołach konsumowałyśmy nasze posiłki poprzedzone krótką śpiewaną modlitwą: *Błogostaw Panie, dary twe, niech zdrowie dadzą nam.*

Po chleb i inne niezbędne artykuły spożywcze ruszał codziennie inny zastęp harcerek. Trzeba było pokonać drogę przez górę Obidową, około 12 km do Nowego Targu i z powrotem. Mnie te eskapady dawały się dotkliwie we znaki, z powodu uwierających klamer od pasów wpijających się w obojczyki, pod ciężarem chleba niesionego

w wojskowym tornistrze (wypożyczonego na czas obozu od byłego żołnierza Armii gen. Władysława Andersa, czołgisty, Franciszka Waniolki, który wraz z żoną i córką Marysią, po wojnie nasz dom zamieszkiwał). Do plecaka każda z nas solidarnie musiała załadować trzy chleby, co dawało wagę 6 kg. Ja miałam dopiero 12 lat i było to dla mnie trudne zadanie, mimo to dzielnie z innymi bez narzekania znosiłam tę udługę. Te, którym udało się skombinować tornister po żołnierzach *Wehrmachtu*, miały zadanie znacznie łatwiejsze, bo tornistry te były wygodniejsze i praktyczniejsze. Miałam tej różnicy doświadczyć na kolejnym obozie, gdzie była możliwość korzystania właśnie z takiego lepszego tornistra. W czasie „wędrowek” aprowizacyjnych spotykałyśmy na trasie dziwnych żołnierzy. Dziwnych, bo ich mundury były nietypowe. Niektórzy mieli mundury poniemieckie, inni takie, jakie widziałam na żołnierzach włoskich, walczących od „niechcenia”, z woli Benito Mussoliniego po stronie Niemiec. Miałam okazję pod koniec wojny zobaczyć ich w Ustroniu, jak rozsiedli się na schodach przed trafiką Andrzeja Palowicza i śpiewali przy akompaniamencie akordeonu. Było to cudowne wtedy dla mnie przeżycie i wydawało mi się, że przedtem nic piękniejszego nie słyszałam. Czy spotykani przez nas na trasie do Nowego Targu byli maruderami i nie chcieli się ujawniać? Czy też może byli to żołnierze Ukraińskiej Powstańczej Armii, albo też należeli do Brygady „Ognia” to tylko jeden Pan Bóg wie? Wobec nas zachowywali się grzecznie, nie nagabując nas. Stanowili dla nas nieodgadnioną tajemnicę.

Wieczorami odbywały się obowiązkowo ogniska, poprzedzone apelem. Przy ognisku były śpiewy z akompaniamentem akordeonu Krysi Czekałówny, a także gawędy do późnych godzin nocnych. Podczas apelu rozdzielane były warty. Pewnego popołudnia odwiedziła nasz obóz grupa ośmiu „cichociemnych” żołnierzy. Takich jakich spotykałyśmy na trasie do Nowego Targu. Na wszelki wypadek przykręcili do stołu karabin maszynowy, w razie gdyby ktoś niepowołany próbował zakłócić ich wizytę w naszym obozie. Początkowo wzbudzili swoim zachowaniem trochę niepokoju. Prosilili o wódkę i papierosy, czego, jako że harcerki i harcerze nie piją i nie palą, otrzymać nie mogli. Przyszła z nimi kobieta, od której kupili jagody. Poprosili więc o cukier. Nasza hufcowa, która w czasie tych odwiedzin zachowała zimną krew do końca, dała im cukier za darmo. Poczestowani zostali też herbatą i gościnną grochówką. Posiedzieli u nas czas jakiś, narabiali drewna na opał, podziękowali za ciepłe przyjęcie, zasalutowali i poszli w las, zapewniając nasze dowództwo o ich pieczy nad nami w razie zagrożenia. A czemu nas nawiedzili? Może byli spragnieni ciepła i atmosfery miłego, obozowego życia?

Z relacji Helenki Troszkównej dowiedziałam się (bo nie wszystkie miałyśmy możliwość zarejestrowania w całości przebiegu tej wizyty, zbierałyśmy w tym czasie chrust w lesie), że ogolili się też u nas, korzystając z ciepłej wody. Po odejściu tych „partyzantów”, jak zwykle zasiadłyśmy do kolacji bogatsze o wrażenia, a po apelu wieczornym do ogniska, by zaśpiewać kolejne znane nam pieśni, z których jedna brzmiała tak:

*Płonie ognisko i szumią knieje,
drużynowa jest wśród nas.
Opowiada starodawne dzieje,
bohaterski wskrzesza czas.
O rycerstwie spod kresowych stanic,
o obrońcach naszych polskich granic.
A ponad nami wiatr szumi wieje i dębowy huczy las...*

Po wieczornych śpiewach i zabawach, udawaliśmy się na spoczynek, a wartowniczką na wartę, która trwała dwie godziny, po czym następowała zmiana. Niekiedy szelest liści i pohukiwanie sowy przygotowało wartowniczkę o drżenie serc. Warty wartami, ale i tak nie obywało się bez wzajemnych podchodów pod obozy, męski ze strony harcerzek i odwrotnie nasz przez harcerzy i spuszczeniu linek z namiotów, co nocą nie było dla śpiących przyjemne. Podchody te musiały być wykonane perfekcyjnie, tak aby warty tych nocnych „wycieczek” nie zauważyły. Nie na darmo ćwiczone nas w pokonywaniu przeszkód i trudności. Wykonać powierzone zadanie i nie dać się złapać, oto dewiza, którą w nas wpajano. Skauting ma tradycje paramilitarne, stąd ćwiczenia przypominające ćwiczenia wojskowe (przynajmniej te podstawowe). To przecież głównie z harcerstwa czerpała ludzkie zasoby armia podziemna w czasie ostatniej wojny.

Z obozu w Obidowej udawaliśmy się też na wycieczki. Była wspinaczka na stromą górę Turbacz. Była też wspaniała wycieczka w Tatry, w której towarzyszyła nam grupa harcerzy z druhami Kłapsią na czele. Ośnieżone szczyty Tatr w środku lata wprawiały nas w nieopisany zachwyty. Spaliśmy potem w schronisku na Hali Gąsienicowej, a kolejnej nocy w willi „Palace”, obecnie przy ul. Tytusa Chałubińskiego (w czasie wojny była to siedziba Gestapo zwana „katownią Podhala”, tam torturowano i mordowano miejscową ludność). Spaliśmy tam jak susły, bo nie znałyśmy przerażającej historii tego obiektu. Aż dziw, że nas tam nie straszło. Miałyśmy też wraz z towarzyszącymi nam druhami możliwość wyjazdu na Kasprowy Wierch. Tam zastała nas burza. Zmuszeni byliśmy przeczekać ją w schronisku, w górnej stacji wyciągu. W tym czasie druh Alojzy Kłapsia podzielił się z nami smutną historią sprzed wojny, o grupie harcerzy żydowskich, którzy mimo ostrzeżeń udali się na górę Świnię. Tam zastała ich burza. Od uderzeń pioruna zginęło wtedy osiemnastu harcerzy. Ocalał jeden najmłodszy, który schował się pod nawisem skalnym. W czasie pobytu w Zakopanem byliśmy również na Giewoncie. Na przewężeniach pod szczytem, po obu stronach naszej wąziutkiej ścieżki, straszły otchłanią przepaście. Lazłyśmy prawie na czworakach. Mogłyśmy sobie na ironię zaśpiewać w myślach piosenkę:

*Jak dobrze nam zdobywać góry
i pełną piersią wchłaniać wiatr.
Prężnymi stopy deptać chmury
i palce ranić ostrzem Tatr.
Mieć w uszach szum,
strumieni śpiew
a w żyłach roztańczoną krew.
Hejże hej, hejże ha,
żyjmy więc póki czas,
bo kto wie, bo kto wie,
kiedy znowu ujrzę was.*

Na pamiątkę tasczyłam w plecaku kolorowe okruchy skalne, które potem pomógł mi na pewnym odcinku znieść Rudek Ogrodzki (Dzidek). Dane nam było także zwiedzić Dolinę Pięciu Stawów.

Kolejną imprezą turystyczną, którą zorganizowało nasze dowództwo, było zwiedzanie Krynicy, spływ Dunajcem, a potem wspinaczka na Trzy Korony i górę Sokolicę w Pieninach.



Obóz w Obidowej, 1947 r. Wycieczka na Kasprowy Wierch.
W drugim rządzie, druga z lewej – Halina Rakowska
(fot. z archiwum Barbary Biłek-Rzemieniuk)

Pod szczytem Sokolicy w małej chatynce mieszkał pustelnik. Pewnie udawał, że śpi w trumnie, która stała w izdebce, w celach komercyjnych, bo w izbie tej sprzedawał pamiątki. Zaś w drugim pokoju, stały na półkach gliniane, malowane wazoniki, w których mieszkaly i hasały bezkarnie oswojone gryzonie, czyli pospolite szczury. Prawdopodobnie pustelnik ten po skończeniu pracy udawał się na noc do wsi, by odpocząć w wygodnym łóżku, a raniem wędrował z powrotem do chatki. Czego się nie robi dla pieniędzy?

Generalnie nastrój w Obidowej był niepowtarzalny. Pełni wrażeń i animuszu wróciliśmy do Ustronia, by poprzez zbiórki, ćwiczenia w terenie, przegradzane ogniskami, przygotować się do kolejnego obozu, na który czekaliśmy z niecierpliwością.

Obóz w Pogorzelicach.

I tak nastał lipiec roku 1948. Jedziemy na drugi obóz, same dziewczęta (chłopcy udali się gdzieś w Kieleckie), do Pogorzelic koło Słupska. Jesteśmy już rutynowymi harcerkami. Znow w wagonach towarowych, na siennikach wypchanych słomą, po naszymu zwanych *strużokami*. Podróż trwała prawie trzy dni, bo nie zdołano jeszcze odbudować w pełni, zniszczonej w czasie wojny, infrastruktury kolejowej. Kilkakrotnie przetaczano nasz skład wagonów na boczne tory, bo trzeba było przepuścić pociągi z materiałami budowlanymi. „Cały Naród, a zwłaszcza Śląsk musiał odbudowywać kraj i stolicę”. Myśleliśmy się w czasie przymusowego postoju na stacjach kolejowych. W czasie jazdy za WC służyło wiadro, czyli „kibel”, zawieszony na zewnątrz przesuwnych drzwi wagonu. Podróż ta miała tę zaletę, że mogłyśmy się zapoznać z nocną i odpowiedzialną pracą kolejarzy. Zanim trafiłyśmy do Pogorzelic, w stronę Lęborka jechała cała komenda ZHP z Cieszyna. Nam ustroniankom i wiślankom przypadło raz spać z nimi w jakiejś tamtejszej szkole.



Potęgowo koło Pogorzelic, 1948 r. Budynek gajówki, w której mieściła się kwatera dowództwa obozu (fot. z archiwum autorki)

Obóz ten, w założeniach pierwotnych, miał być zorganizowany wspólnie z harcerkami z Cieszyna. Jednak już pierwszego dnia zanosilo się na to, że obóz ten będzie miał charakter bardziej kolonii letniej, aniżeli typowego zgrupowania harcerskiego zwłaszcza, że cieszyńianki chciały nas sobie podporządkować (na co zdecydowanie nie zgodziła się nasza hufcowa), a nam, zahartowanym w Obidowej, taki stan rzeczy by nie odpowiadał, toteż wobec tych okoliczności rozstałyśmy się z nimi bez żalu. Ruszyłyśmy pociągiem w dalszą drogę do miejsca w pośpiechu załatwionego przez naszą nieocenioną hufcową Annę Makulankę, do Pogorzelic, powiat Słupsk, by naszym, sprawdzonym w Obidowej zwyczajem, spędzać czas na obozie harcerskim. Drużna Anna Makulanka po porozumieniu się z Nadleśnictwem w Potęgowie, załatwiła dla nas murowaną, opuszczoną gajówkę z zabudowaniami gospodarczymi.

Oddano nam też do dyspozycji ogromną przylegającą do niej polanę, otoczoną dorodnym lasem. Wiwat leśnicy! W pobliżu gajówki przepływała rzeka i było też jezioro. Na tej uroczej polanie wśród traw rozbiłyśmy nasze UNR-owskie namioty. W gajówce zamieszkało dowództwo i młodsze harcerki.



Obóz w Pogorzelicach, 1948 r. Od lewej: nn, hufcowa Anna Makulanka, siostry Ela i Mania Gorylówna (fot. z archiwum autorki)

Nas „weteranki” dzielić miała od gajówki około 100 m odległość polany. Wokół, oprócz nadleśnictwa dobrze zachowanego, które ominęły szczęśliwie działania wojenne, tu i ówdzie stały opuszczone i wypalone domy, z których sterczały tylko kikuty kominów. Oprócz zwierzyny nie było w pobliżu żywej duszy. Za to było uroczo, zielono i słonecznie. Upał nie dawał się nam jednak we znaki, bo prawie codziennie zraszał polanę, prawie zawsze o tej samej porze, rzęsy i ciepły deszcz.

Tam pod lasem niektórym naszym wartowniczkom przyszło zetknąć się z dzikami. Szczególnie groźnie jawił się nam samotnik odyniec, jednak ten nas nigdy nie atakował. Do bliskiego spotkania doszło między wartowniczkami a lochą z prosiętami tuż nad ranem. Dziewczęta narobiły alarmu. Na widok napawającej grozą lochy, Zosia panikując, wczółgała się, sama nie wiedząc jak, do zasznurowanego na noc namiotu. Nie wiadomo było, kto bardziej był przestraszony, Zosia czy dzika świnia? Oswojoną przez leśniczego lochę z prosiętami w pasiastych „piżamkach” miałyśmy możliwość podziwiać u niego właśnie po raz pierwszy. A Zosia Kostkówna kiedy pełniła wartę, być może nuciła sobie piosenkę:

*Stałam na warcie w noc głuchą, ciemną,
Z bronią i w szarym mundurze,
Czasem zaszumią drzewa nade mną
I wzrok mój spocznie na chmurze*

*Ref. Nie boję się niczego, chociaż noc pełna trwóg,
pełna trwóg. Warta to coś miłego,
nade mną czuwa Bóg,
czuwa Bóg.*

*A gdy się skończy moje czuwanie,
To do namiotu powracam.
Legnę na swoje zwykłe postanie,
W krainę snów się obracam.*

Ref.

Jedyna broń jaka była nam dostępna, to był gwizdek oraz zwykła latarka na baterijkę (Zosi Kostkówny nie ma już niestety wśród nas).

Podobnie jak w Obidowej, same zbudowałyśmy piec polowy na podwórzu w pobliżu gajówki. W tym dziele znowu znaczny udział miała moja kuzynka Ola, potem Hanka Wawrzyczkówna, Stefcia Krystówna, Helenka Cicha i ja.

Nad rzeką koło gajówki ustawiłyśmy stoły do spożywania posiłków. Po zaopatrzeniu grupa harcerek udawała się do Słupska koleją (trzy przystanki). W koszach na bieliznę przywoziły niezbędne wiktuały oraz ryby. A na deser miałyśmy w lesie w bród borówek. Urozmaicałyśmy też naszą dietę grzybami, których w lesie było zatrzęsienie. Jagody i grzyby zbierałyśmy też na rzecz Nadleśnictwa w celach zarobkowych.

Apele poranne oraz wieczorne odbywały się koło namiotów, zaczynały się musztrą i śpiewaną, króciutką modlitwą harcerską: *Wstaje dzień, słońce już weszło z pól, weszło z gór, weszło z mórz, Bóg jest tuż.* A wieczorem: *Idzie noc, słońce już zeszło z pól, zeszło z łąk, zeszło z mórz. W cichym śnie spocznij już, Bóg jest tuż.* Po apelach wieczornych, a jeszcze przed modlitwą siadałyśmy jak zwykle przy ognisku, by śpiewać harcerskie i nastrojowe pieśni oraz gawędzić.



Obóz w Pogorzelicach, 1948 r. Występ o zmierzchu. Druga z prawej – Halina Rakowska
(fot. z archiwum autorki)

Któregoś popołudnia niektóre otrzymały zadanie przyniesienia żaru, do rozpalenia wieczornego ogniska. Ja miałam ruszyć na poszukiwanie ognia z Krysią Czekajówną. Poszłyśmy w las w kierunku północnym, w nieznaną... Idziemy leśną ścieżyną, robi się coraz mroczniej, co w sposób szczególnie odczuwałyśmy w nieznannej nam leśnej głuszy. Idziemy jak Jaś i Małgosia z bajki braci Grimm, z duszami na ramionach. Aż tu na szczęście, jak w tej bajce chatka czarownicy, naszym oczom ukazały się zabudowania nietkniętego, w wyniku działań wojennych, młyna i domu mieszkalnego. W małych okienkach domu świeciło się światło lampy naftowej. Zapukałyśmy do drzwi. Z drugiej strony usłyszałyśmy głos kobiecy, w języku niemieckim: *bitte* (proszę). Weszłyśmy do obszernej kuchni, gdzie za stołem siedziało trzech panów i zjadało z apetytem wieczerzę. My wyluszczyłyśmy przyczynę naszej wizyty. Znałyśmy przecież język niemiecki, po „zaliczeniu” prawie czterech klas w szkole, podczas okupacji. Jeden z panów pobiegł na dwór, do szopy i zmajstrował nam tambor (podziurawiona puszką po konserwie). Do tambora przykręcił ramię z drutu, zaś gospodyni nagarnęła do tego naczynia żaru z pieca. Podziękowałyśmy i pożegnałyśmy się z mieszkańcami młyna. Potem wywijając na zmianę dookoła ramienia tamborem, aby ogień nam nie wygasł, ruszyłyśmy pośpiesznie w drogę powrotną do obozu szczęśliwe, że oto nasz ogień, zdobyty w tak dziwnych okolicznościach, zapali wieczorne ognisko.

Oprócz codziennych zajęć obozowych, wykonywałyśmy też prace pożyteczne dla Nadleśnictwa, w ramach „Harcerskiej Służby Polsce”. Oprócz wyżej wspomnianych zajęć jak, zbieranie grzybów i jagód, pracowałyśmy też w szkółce leśnej, a także przy żniwach w Państwowych Gospodarstwach Rolnych. Otóż za lasem była wieś Runowo, z rozległym majątkiem ziemskim, po byłych właścicielach. W majątku tym zainstalowało się PGR właśnie. W pałacu po baronie, który teraz pracował w lesie jako drwal (miała go spotkać nasza hufcowa i z nim porozmawiać), zasiadał w jego gabinecie administrator tegoż gospodarstwa. Były zbiory zbóż. Do snopowiązałek

brakowało sznura, no i rąk do pracy, toteż chętnie byliśmy zatrudniane. Wiązałyśmy naszym słaśkim zwyczajem powrosła, potem obwiązywałyśmy nimi snopki, ustawiając je po kilka w rzędzie, celem ich wysuszenia. Przy okazji zwiedziliśmy pałac. Nieopodal stały inne zabudowania dworskie, a także gorzelnia. Do pałacu przylegał piękny park, a jego drzewostan stanowiły rozłożyste jabłonie. Weszliśmy do pałacu na parter. Tam w sali bibliotecznej ostały się przepiękne rzeźbione szafy, szklone szlifowanymi, kryształowymi szybami. W szafach tych wałało się w nieładzie zaledwie kilka książek. Reszta była wyszabrowana. Do biblioteki przylegała w amfiladzie sala balowa, a jeszcze dalej gabinet barona. Za biurkiem siedział teraz wygodnie rozpostarty w fotelu pan administrator PGR. Po marmurowych posadzkach i intarsjowanych parkietach, zarówno w bibliotece jak i w sali balowej, spacerowało beztrosko stadko kaczek, uroczo kwacząc. Indagowany o to pan administrator rzekł: „No cóż, nie ma innego wyjścia, skoro jest tylko ośmiu etatowych pracowników, to kaczki przynajmniej są na oku”. Zaś były właściciel włości, czyli pan baron w rozmowie z naszą hufcową rzekł, że z utratą dóbr się pogodził, żal mu tylko, że nikt tego, co stworzyły pokolenia jego antenatów nie szanuje, a wręcz zezwala się na totalne zniszczenie tego, co było przyteczne i piękne. Do pomieszczeń na piętrze z przestronnego holu wiodła monumentalna klatka schodowa, a balustradę wokół schodów stanowiły rzeźbione w mahoniu scenki rodzajowe, związane z polowaniem na dziki. Całość nad klatką schodową wieńczył zawieszony u sufitu potężny mosiężny żyrandol, około 3 m średnicy.

Pozwalam sobie w tym miejscu na dygresję. Otóż po latach miałam możliwość z dziećmi i mężem być w tych stronach na wczasach. Byliśmy w Ustroniu Morskim. Z ciekawości udaliśmy się też do Runowa. Pałac stał. Nie było jednak wokół niego żadnych zabudowań. Nie było też śladu po dawnym wspaniałym parku. Na jego terenie pobudowane zostały w międzyczasie domki pracowników PGR. W pałacu odbywały się kolonie letnie dla dzieci pracowników PKP. Po dawnym wystroju wewnątrz śladów nie było. Zmieniła się też diametralnie klatka schodowa. W miejsce wspaniałych ongiś schodów dębowych, wykonana została żelbetowa tandetna klatka schodowa, o nawierzchni, tak popularnego w owym czasie, lastrika. A balustradę stanowiły pręty ze stali zbrojeniowej, zaczynające się na poszczególnych stopniach, a kończące się pod sufitem (jak w więzieniu dla najbardziej niebezpiecznych przestępców). Wszędzie stały łóżka polowe. Żał było patrzeć na to dzieło bezmyślnej dewastacji, poprzedzone indolencją i ignorancją. Ale wracam do tematu.

W parku na jego obrzeżach, w pobliżu leśnego zagajnika, penetrując teren natrafiliśmy na ruiny kapliczki dworskiej. Ściany jej uległy zniszczeniu w czasie wojny, lub po...? Nie było też dachu. Do otwartej w posadzce krypty można było zaglądać bez przeszkód. Zniknęła bowiem płyta, która ongiś kryptę przykrywała. W krypcie była trumna bez wieka, w której spoczywał mężczyzna odziany w mundur (chyba z pierwszej wojny światowej?). Był zmumifikowany w sposób naturalny, a sądząc po dobrze zachowanym i pięknym uzębieniu musiał być człowiekiem młodym, kiedy stracił swoje ziemskie życie. Może na wojnie? Nogi miał bose, bo zdarto mu oficerki. Jak miałyśmy się dowiedzieć od miejscowych, uczynili to żołnierze radzieccy. A te zęby lśniły mu się, w rozchylonych ustach, kiedy uśmiechał się bezwiednie do słońca. Jedna z drухen, na imię miała Malina, figlarka jakich niewiele, zeszła po schodkach do krypty i patyczkiem spróbowała na ile mocno zęby tkwią mu w szczęce (kto wie, może to było jej pierwszym doświadczeniem ze stomatologią i może w skutek niego została potem dentystką?). Stuknęło cicho i jeden przedni ząb wpadł w głąb czaszki,

oszczerbiając denata dotkliwie. Wszystkim nam zrobiło się nieprzyjemnie i opuściliśmy to miejsce z niesmakiem i w zadumie.

Z Pogorzelic wyjechałyśmy na wycieczkę nad morze, do Ustki. Tam popłynęłyśmy kutrem rybackim, co niektóre dziewczęta odchorowały. Dopadła je choroba morska, bo kutrem rybackim trochę kołysało. Mnie ta niedogodność na szczęście ominęła. Późnym wieczorem dotarłyśmy do Gdyni. W porcie przy nabrzeżu stał olbrzymi, jak na nasze wyobrażenie, statek. Był to słynny „Batory”. Na drugi dzień odwiedziliśmy Westerplatte.

W czasie trwania naszego obozu zatoneły harcerki obozujące w Ustroniu Morskim. Kiedy taką wieść podało radio, rodzice nasi wpadli w panikę, sądząc, że spotkało to nas. Tamte dziewczęta i ich rodziny spotkała straszna tragedia. Nas Pan Bóg ochronił. Po tej wiadomości sprawdzonej już, że to nie nas dotknęło nieszczęście, dojechali do Pogorzelic rodzice Basi Biłek (Roman Biłek – dyrektor ustrońskiego tartaku i jego żona Zofia). Dotarł też do swej bogdanki Danusi Jaworskiej z Wisły, jej chłopak Andrzej Pilch zwany Adkiem (obecnie mąż i prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie).

Z Pogorzelic udałyśmy się też do sąsiedniej wsi. Tam w remizie strażackiej, na scenie dawałyśmy przedstawienia. Przed remizą zastałyśmy starca grającego profesjonalnie na drumli. Był jednym z przesiedleńców zza Buga, którzy po odejściu z tych terenów ludności niemieckiej a także Kaszubów, te tereny zasiedlali. W drodze powrotnej z Pogorzelic zwiedziliśmy pierwszą, powojenną wystawę Ziem Odzyskanych we Wrocławiu, która wywarła na nas wielkie wrażenie. Pełne bogatych przeżyć wróciłyśmy do domu, by dzielić się nimi z naszymi bliskimi.

Górzno koło Lęborka, rok 1950.

Był to ostatni obóz, w którym dane nam było uczestniczyć. Do Górzna pojechała cała Komenda Cieszyńska ZHP. Górzno, to nieduże, lecz dobrze zurbanizowane miasteczko. Harcerki pod komendą drużyny Kory ulokowały się w jego centrum, w szkole, zaś my ustronianki i wiślanki oraz grupa dziewcząt z Kończyc, nad jeziorem, poza miastem, wśród drzew. Nasze mieszkania składały się wyłącznie z namiotów. Teoretycznie było jak dawniej, lecz swobody już nie te... Inny był duch tego obozu. Czegoś, przynajmniej w moim odczuciu, tam brakowało. Nie było już z nami naszej kochanej hufcowej Anusi Makulanki. Dowodziła Ela Goryłówna. Była bardziej surowa i mniej wyrozumiała. Myślę, że wynikało to też między innymi z mniejszego doświadczenia w pracy z młodzieżą, które jako pedagog miała Anna Makulanka. Po drugiej stronie jeziora stacjonowali harcerze, do których my, te bardziej odważne, mniej subordynowane, przekradaliśmy się przez szuwały, a potem przez las, by popływać z chłopakami na łódkach, do których oni mieli dostęp, a my dziewczęta nie. Któregoś wieczora wróciłyśmy z tej eskapady trochę później niż należało i spóźniłyśmy się na apel wieczorny. Z naszego zachowania bardzo niezadowoleni byli nasi przełożeni. Byłyśmy powodem zgorzienia, oczywiście naszym zdaniem nieuzasadnionego, a zwłaszcza niektórych mamusi, które nie wiadomo po co, na nasz obóz harcerski, nie będąc harcerkami, się udały. Obrzydzały nam tylko życie obozowe. My przecież doskonale wiedziałyśmy co nam przystoi, a co nie. Obozu tego nie wspominam tak ciepło, jak dwa poprzednie, choć i on miał swoje uroki. Mimo że warunki na tym trzecim obozie były bardziej komfortowe, to czegoś tam jednak brakowało. My wyrosłyśmy na tradycjach skautingu Roberta Baden-Powella, a to nasze, powoli acz niepostrzeżenie,

zmieniało barwy z szarego (od naszych mundurków) na „czerwone”. A w dodatku w Górznie komarów było zatrzęsienie. Wszystkie chodziłyśmy w swędzących bąblach. Ja nie, bo zaopatrzyłam się w ustrońskiej aptece „Pod Najadą”, u Władysława Kośmidra, w odpowiedni specyfik przeciw tym małym bestiom. Był to środek, który produkowany był jeszcze dla wojska niemieckiego. Ostało się to antidotum przeciw komarom cudem jakimś w aptece i dało mi przeżyć ten obóz bez ukąszeń. Chciałam nim się podzielić z koleżankami z naszego namiotu, lecz odmówiły, bo śmierdziały im magnolie, a taki właśnie zapach on wydzielał.



Obóz w Górznie koło Łęborka, 1950 r. W pierwszym rzędzie Halina Rakowska (w białej bluzce i chustce na głowie) (fot. z archiwum autorki)

Wieczorami na pola uprawne wokół obozu wylegały stada dzików. Były plagą dla miejscowej ludności, zaś dla nas atrakcją. Okoliczna ludność solidarnie zbierała się wokół lasu, by walić w blachy, aby je odstraszyć. Co wieczór proceder ten powtarzał się od nowa, ale dziki były nieustraszone, co wprawiało mnie w nieopisany zachwyt. A już absolutnie urzekła mnie i wprawiał w bajkowy nastrój, cudowny, wspaniały dziki koń „Arab”, niczym wyłaniający się z chmur Pegaz, hasający po łąkach, którego, idąc do miasteczka, miałam możliwość nieraz spotykać. Ta jego niestrzyżona grzywa i ogon to było coś niepowtarzalnego. Miałam duszę na ramieniu kiedy mijałam go, a on stawał dęba. Może to była z jego strony chęć zabawy? A skąd pochodził? – zapewne z jakiejś opuszczonej stadniny. Któregoś dnia zmuszona byłam pojechać do dentysty do Brodnicy. Pojechałam samochodem zaopatrzeniowym z obozu męskiego. Tam zostałam zaproszona na obiad do restauracji i miałam przyjemność zakosztować po raz pierwszy i jak dotąd ostatni wspaniałości pieczeni z dzika. Tak dobrej potrawy z mięsa nigdy przedtem, ani potem w ustach nie miałam. W świetlicy domu kultury w śródmieściu odbywały się wspólne z harcerzami wieczorki i tańce. Niektóre dziewczęta doznawały, być może po raz pierwszy, zauroczeń, co i mnie spotkało.

Doznałam zawrotu głowy z chwilą, kiedy on, ten przystojny i wysoki brunet poprosił mnie do tańca, a potem odprowadził do obozu. Na ciche moje westchnienia udawał, że nie reaguje. Zapewne trochę mu się podobałam, ale on był już roslim kawalerem, a ja zaledwie tylko piętnastoletnią „szprotką”. On miał wtedy już dziewiętnaście lat. Na pożegnanie pocałował mnie zupełnie nie po bratersku. To zauroczenie nim, miało mi doskwierać jeszcze do końca lat gimnazjalnych. No cóż, nie ja jedna przechodziłam cierpienia z powodu strzały Amora, który mnie ustrzelił. Było, minęło, a on też już na wiecznej warcie.

Po powrocie z tego obozu mianowana zostałam drużynową w Bładnicach. Zbiórki odbywały się w tamtejszej szkole. W miejscowej świetlicy dałyśmy skromny spektakl taneczny. Na jedną z ostatnich zbiórek z moim udziałem przyjechała z Cieszyna druhna Kora. Była to oficjalna, aczkolwiek nie zapowiedziana wizyta. Jak zwykle rozpoczęłam ją tradycyjną zbiórką i musztrą oraz modlitwą harcorską:

O Panie Boże Ojczy Nasz, w opiece swej nas miej.

Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,

Nam pomoc zawsze chciej.

Wszak ciebie i ojczyznę miłując, chcemy żyć.

Harcerskim prawom w życia dniach, wiernymi zawsze być.

Na to druhna Kora zareagowała stanowczo, choć grzecznie, że teraz zbiórki będą musiały wyglądać inaczej... Rozpoczęła się na dobre epoka czerwonego harcerstwa, które miało skończyć z tradycjami skautingu Roberta Baden-Powella i wzorować się na pionierach radzieckich. Po tej nie satysfakcjonującej ani mnie, ani druhny Kory zbiórce, skończyła się moja wspaniała przygoda z harcerstwem i bycia drużynową. Sama w cichości serca postanowiłam z tej zabawy zrezygnować. Wracałam potem o zmierzchu do domu, na rowerze, bez świateł, a mandat z tego tytułu na posterunku Milicji Obywatelskiej zmuszony był zapłacić mój tato.



Wieczór sylwestrowy 1950 r. „Biały sen” – pierwszy występ baletu ustrońskiego na scenie „Prażakówki”. W pierwszym rzędzie, pierwsza z lewej, tańczy Halina Rakowska (fot. z archiwum autorki)

I tak po pięciu latach działalności ustrońskiego Hufca, zakończyła się pewna jego powojenna epoka. Późniejsza młodsza generacja młodzieży kontynuowała dalsze jego dzieje. Oficjalnie tak, jak chciały nadrzędne czynniki, ale jeśli odbywało się to pod wpływem i egidą Jasia Cholewy i jego żony, druha Kłapsi i Józefa Nowaka, między innymi przy ustrońskim technikum, to „partyzanckie” harcerstwo trwało jeszcze czas jakiś. Szczególne zasługi w tym mieli wyżej wymienieni. Może dalsze dzieje harcerstwa ustrońskiego ktoś dopisze lub też pomoże mu się reaktywować?

Nasza, przynajmniej nieduża grupa dawnych harcerek miała jeszcze kontakty z państwem Cholewów, w baraku po jeńcach radzieckich, przy ul. Cieszyńskiej. Tam uczęszczałyśmy na balet. W sylwestra roku 1950 odtńczyłyśmy na scenie „Prażakówki” „Biały sen”, w sukniach szytych głównie przez moją mamę z gazy opatrunkowej, takiej szerokiej, jak przeciętny materiał na sukienkę w metrażu.

Po tym przedstawieniu odbył się bal harcerski. Na tym ostatnim już balu harcerskim z naszym udziałem, przepiłam „brudzia”, herbatą, z Jasiem Cholewą. Propozycja oczywiście wyszła od niego. A ja pragnę zakończyć gawędę pieśnią refleksyjną, śpiewaną nieraz przez harcerki podczas naszych ognisk wieczornych:

*Płoną żary wiatr, usnął łańcuch Tatr.
Szumem wód swych kołysany,
Usnął, usnął ukochany...
Szumią wody na głębinach,
drzeźmią duchy, gdzieś w szczelinach.
Księżyc srebrne blaski śle, snu nie mąci nie.*

Oby znalazł się jakiś ustroński naśladowca Roberta Baden-Powella i wskrzesił do życia dobre duchy, które pomogą harcerstwu się odrodzić. Tego młodym ludziom, nie wiedzącym co robić z nadmiarem wolnego czasu, z całego serca życzę druheny i ja, która także dzięki ich wspomnieniom tamte harcerskie lata opisałam.

Czuwaj!

Postscriptum

Zanim wyjechaliśmy na obóz, przydzielona została nam jeszcze jedna kolejna harcówka. Była nią salka na piętrze „Prażakówki”. Z radosnym zapałem niektóre dziewczęta wzięły się do jej wyremontowania. Trzeba było doprowadzić do ładu ściany. Najpierw myte były mydłem z wodą, a potem zostały pobielone. Szczotkę i pompę do bielienia przyniosła z domu Krysia Czekaj, która wykazała się niezwykłą, jak na jej lata, inicjatywą. Zasługi miała też Mania Starzyk. Krysia radziła się swojego ojca jak zabrać się do dzieła. Ale i tak doszło do wypadku, który mógł skończyć się tragicznie, bo wylot pompy z wapnem miast na ścianę, niewłaściwie skierowany trysnął druhenom w oczy. Do domu przyszły całe ubielone. Ale za pracę społeczną przyznane im punkty zrekompensowały nieprzyjemność bycia nieprofesjonalnymi malarzami. Ojciec Krysi i jej brat Franek wykonali z drewna piękny krzyż harcerski. Zdobił on wtedy jedną ze ścian harcówki.

Prace społeczne wykonywały harcerki w ramach cotygodniowych zbiórek harcerskich. Ważnymi zadaniami było też wykonywanie dobrych uczynków i zdobywanie sprawności. Pewnego dnia, a było to na terenie Obidowej, dziewczęta wybrały się do wsi i skierowały swoje kroki do jednego gospodarstwa. Były to: Mania Starzyk, Krysia Czekaj i Helenka Cicha. I co zastały? Kozę spętaną na łańcuchu, którą trzeba

było uwolnić i uratować przed uduszeniem. Potem weszły do chaty, której drzwi były otwarte. Psy ujadają jak najęte, ale nikt im z domowników w tym nie przeszkodził. Śnać byli w polu. Harcerki zastały w dużej kuchni maleńkie dziecko w kołysce. Dziecko płakało. Siekły je roje much. Na ten widok rozplakała się i Krysia. A więc okazja do zrobienia dobrego uczynku jak znalazł. Na piecu stał duży żelazny garniec z ciepłą jeszcze wodą. Dziewczęta wzięły miednicę i dziecię wykąpały. Dziecko zastały leżące na słomie i na kawałku płóciennej koszuli, pogryzione nie tylko od much, lecz także od licznych pcheł. Jedna z dziewcząt pobiegła do obozu i przyniosła mydło i ręczniki. Jeden ręcznik podłożyły pod dziecko w kołysce, a drugim je obtarły. Gospodarze wrócili z pola od żniw utrudzeni i spoceni. Matka dziecka podziękowała dziewczętom i poczęstowała je kwaśnym mlekiem. A one potem wracały do obozu zadowolone, że spełniły dobry uczynek.

Sprawności harcerskie zdobywane były na Czantorii. Należały do nich biegi na azymut. Chodzenie ze znakami w terenie itp. Wielką trudnością było zdjęcie sztandaru z masztu, a ponieważ Krysia była mistrzynią we wspinaniu się na drzewa, toteż rola zdjęcia sztandaru przypadła jej. Idąc w góry zawsze taszczyłyśmy kocioł i inne niezbędne w prymitywnej kuchni narzędzia. Potem tam na górze, na przykład, Czantorii piekłyśmy placki i parzyłyśmy herbatę. Prace kuchenne odbywały się z towarzyszeniem akordeonu, na którym przygrywała Krysia, a reszta towarzystwa śpiewała pieśni harcerskie. Do pozyskania środków finansowych na obóz przyczyniła się też hodowla jedwabników w jednym z pomieszczeń „Prażakówki”, za którą odpowiadały nieliczne harcerki. Rudek Ogrodzki (Dzidek) w Górnicy poznał dziewczynę, która została jego żoną.

Do napisania wspomnień „Gawęda o ustrońskim harcerstwie (Związku Harcerstwa Polskiego) w latach powojennych 1945-1950” przyczyniły się harcerki: Barbara Biłek-Rzemieniuk, Krystyna Czekaj-Strzyż, Cecylia Kohut-Gałczyńska, Aleksandra Sikora-Tarczałowicz, Maria Starzyk-Łukosz, Olimpia Sadlik-Krejza, Helena Troszok-Jaronicka oraz Anna Wawrzyczek-Bury.



Mgr inż. arch. Halina Rakowska-Dzierżewicz – absolwentka Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej. Po studiach podjęła pracę w „Miastoprojekcie” w Cieszynie, później pracowała kolejno w: Biurze Projektowania Zakładów Włókienniczych w Łodzi Delegatura w Bielsku-Białej, Pracowni Budownictwa Ogólnego w Katowicach Oddział w Ustroniu, Hutniczym Przedsiębiorstwie Robót Remontowych na obiektach budowy Dzielnicy Leczniczo-Rehabilitacyjnej nr 13 i 14, a następnie w zarządzie budowy tej dzielnicy (Zarząd Budowy Dzielnicy Leczniczo-Rehabilitacyjnej w Ustroniu). Emerytka. Zarejestrowana w Izbie Inżynierów Architektów w Katowicach. Sporadycznie praktykuje. Jest członkiem Zarządu Towarzystwa Miłośników Ustronia, działa również w Polskim Związku Inżynierów i Techników Budownictwa oraz w Polskim Klubie Ekologicznym Koło w Ustroniu.

Portret autorstwa Iwony Dzierżewicz-Wikarek

Aleksandra Sikorzanka-Tarczałowicz

Wspomnienia z wycieczki na Babią Górę

Po dwóch obozach harcerskich, w których uczestniczyłam w roku 1947 w Obidowej koło Nowego Targu oraz w roku 1948 w Potęgowie koło Pogorzelic na Pomorzu, a które utkwiły mi w pamięci na całe lata, gdyż były to naprawdę obozy skautowskie, lato roku 1949 zapowiadało się nieatrakcyjnie, wręcz beznadziejnie. Z bliżej mi nie znanych powodów żadnych obozów harcerskich na ten rok nie zaplanowano. Przypuszczam, że przyczyną był brak środków finansowych na ich zorganizowanie, ale także i rozluźnienie się więzi wewnątrz drużyn harcerek, z uwagi na podjęcie przez większość z nas nauki w różnych szkołach średnich, mających siedziby poza Ustrońiem (Wisła, Cieszyn, Bielsko). Niektóre starsze harcerki podjęły już pracę i miały trudności z uzyskaniem dłuższych urlopów w odpowiednim terminie. Nam się jednak marzyło przeżycie jeszcze raz czegoś niezwykłego, tak naprawdę skautowskiego, związanego z poznaniem nieznanymi miejsc. Tak narodził się pomysł zorganizowania w małej grupie kilkudniowej wyprawy na Babią Górę, którym zaraziła nas drużna zastępowa Maryla Goryłówna. Ponieważ już wcześniej poznała tereny wokół Babiej Góry, została przewodniczką wyprawy.



„Zduny” na obozie w Potęgowie koło Pogorzelic, 1948 r. Od lewej: Halina Rakowska, Helena Cicha, Aleksandra Sikorzanka, Stefania Krystówna i Anna Wawrzyczkówna
(fot. z archiwum Barbary Biłek-Rzemieniuk)

Jednak nie było to takie proste. Ostatecznie zebrała się maleńka grupka, zaledwie czteroosobowa, a były to: Maryla Goryłówna – 18 lat, Marysia Starzykówna – 16 lat, Halinka Rakowska – 13 lat, Ola Sikorzanka – 14 lat.

Po uzyskaniu zgody rodziców na uczestnictwo w tej wycieczce, omówieniu spraw organizacyjnych i ustaleniu terminu (nie pamiętam dokładnej daty), zebrałyśmy się w godzinach wczesnorannych na dworcu kolejowym w Ustroniu. Każda z nas w mundurku harcerskim z ogromnym plecakiem z prowiantem i kocem. Z przesiadkami w Goleiszowie, Bielsku i Żywcu dotarłyśmy około południa do małej stacji kolejowej w Hucisku. Wyruszyłyśmy stąd pełne animuszu w kierunku schroniska na Markowych Szczawinach. Pogoda była piękna, więc szybko maszerowałyśmy szlakiem przez Koszarawę, a następnie przełęcz na Głuchaczkach, podziwiając wspaniałe widoki dookoła. Po pięknym dniu, nagle zaczęło się chmurzyć i musiałyśmy się skierować na halę Kamińskiego, gdzie dopadła nas burza, ale na szczęście znalazłyśmy przytulisko w chałupie u góralki. Tam poczęstowano nas wspaniałym ciastem z leśnymi owocami (poziomkami), które *gaździno* piekła na jakieś święto rodzinne. Tam też pozwolono nam sobie przygotować spanie na sianie, na strychu drewnianej chałupy, gdzie spędziłyśmy noc.

Jednak deszcz nie chciał ustąpić i do schroniska na Markowych Szczawinach wyruszyłyśmy następnego dnia po południu, tam spędziłyśmy drugą noc.

Rankiem, skoro świt, wyruszyłyśmy przez Przełęcz Jałowiecką na Małą Babią Górę. Po drodze miałyśmy pierwsze spotkanie z patrolem WOP-u. Żołnierze skutecznie nam wyperswadowali nasze plany wyjścia na szczyt Babiej Góry, uzasadniając to nieprzygotowaniem trasy, niebezpiecznej przy takiej zmiennej pogodzie oraz brakiem bazy turystycznej na szczycie (nie odbudowana po pożarze). Ponadto największą atrakcją tej góry są wspaniałe widoki we wszystkich kierunkach, a akurat w tym dniu po burzach szczyt Babiej był cały zasnuty mgłą, jak to mówią górale – *kurzył*, więc z widoków „nici”. Te argumenty skutecznie przemówiły do nas i przystałyśmy na zmianę planów.

Już przy pięknej pogodzie szłyśmy wzdłuż granicy polsko-czechosłowackiej w kierunku Pilska. Po drodze spędziłyśmy kolejną noc w górach, na sianku w góralskiej chacie. Na trasie tej byłyśmy wielokrotnie kontrolowane przez patrole wojskowe WOP-u i Straż Graniczną. W czasie jednej z nich (nie pamiętam ile ich było) kazano nam zawrócić do Korbielowa i zgłosić się do strażnicy WOP-u, gdzie miałyśmy dostać odpowiednie dokumenty z wyznaczeniem trasy, którą będziemy mogły pójść dalej. Czas w górach jednak szybko uciekał, a nam kończyły się zapasy żywności, więc wybierając inną trasę, żeby ominąć ewentualne następne patrole, skierowałyśmy się mimo wszystko w kierunku Pilska, a nie na Korbielów. Po jakimś czasie, rozległa panorama na górze wynagrodziła nam wszelkie dotychczasowe przeciwności, napotkane na szlaku. Ten widok mam w oczach do dziś. Po krótkim odpoczynku i napawaniu się widokami wszystko poszło już gładko. Wrócił humor i energia w nogach. Szybko pokonałyśmy Rysiankę, Halę Lipowską i przez Halę Boraczą dotarłyśmy do dworca kolejowego w Milówce. Odetchnęłyśmy głęboko, bo zdążyłyśmy na ostatni wieczorny pociąg w kierunku Bielska, a dalej do Ustronia – to już była fraszka. Zmęczenie i głód minął, i pamiętam, że całą drogę powrotną w prawie pustym wagonie śpiewałyśmy harcerskie piosenki.

Dzieląc się tymi wspomnieniami z życia harcerskiego młodzieży ustroniejskiej w okresie powojennym, chciałyśmy wyrazić najwyższe uznanie i złożyć hołd niezyszącej już naszej kochanej drużynie, hufcowej i nauczycielce Annie Makulance, która podjęła się bez żadnych rozkazów „z góry”, bez rozgłosu i czerpania z tego jakichkolwiek korzyści materialnych wskrzeszenia idei skautingu wśród tutejszych

dziewcząt, okaleczonych przeżyciami wojennymi. I zrobiła to w bardzo krótkim czasie. Harcerstwo było dla nas oknem na świat i szkołą życia. Wskazało jak sobie radzić z rzeczami trudnymi, jednocześnie pokazując rzeczy piękne i jak się nimi cieszyć. Pozwoliło nam godnie dorosnąć.

W setną rocznicę powstania idei skautingu na świecie wspominamy twe wysiłki i doceniamy twój dorobek oraz to, co dla nas zrobiłaś.

Czuwaj!



Hufcowa, drużynowe oraz zastępowe harcerek w Ustroniu, lata 50. XX w. W pierwszym rzędzie siedzą drużny (od lewej): drużynowa Marta Małysz, hufcowa Anna Makulanka, drużynowa Anna Kiecoń i drużynowa Elżbieta Goryl. W drugim rzędzie stoją zastępowe (od lewej): Ilona Iłska, Irena Morawiec, Stefania Gogółka, Irena Irecka, Olimpia Sadlik, Maria Paszcza i Zofia Nawrat. W trzecim rzędzie stoją zastępowe (od lewej): Helena Troszok, Alicja Tomica, Agnieszka Kubok (fot. z archiwum Heleny Troszok-Jaronickiej)



Mgr Aleksandra Sikorzanka-Tarczałowicz – absolwentka Liceum Ogólnokształcącego w Wiśle (1952 r.), a następnie Wydziału Przemysłu Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Katowicach (egzamin magisterski w październiku 1956 r. z zakresu ekonomiki przemysłu – tytuł magister ekonomii). W latach 1956-1959 pracowała w Walcowni Metali w Czechowicach-Dziedzicach. W okresie od 1959 r. do 1971 r. była kierownikiem Miejskiego Urzędu Statystycznego w Zabrze. W latach 1971-1990 pełniła funkcję kierownika wydziału w Urzędzie Miejskim w Zabrze. Od 1991 r. przebywa na emeryturze w Ustroniu.

Leon Mijał

Koło Łowieckie „Jelenica” w Ustroniu – gospodarka populacjami zwierzyny łownej w latach 1945-2006

I. Wstęp

Gospodarka łowiecka na Śląsku Cieszyńskim ma bardzo bogatą historię. Zcho- wało się wiele historycznych opisów polowań z udziałem przedstawicieli dworu Habsburgów, szczególnie znane są polowania na głuszce – obecnie gatunku zagrożo- nego wyginięciem i objętego ochroną. Budowane były do tego celu specjalne schrony myśliwskie, z których jeden znajduje się w Brennej pod Stołowem. Z czasów nam bliższych, znane są polowania w okresie międzywojennym na polach i w lasach oko- lic Puńcowa, Hażłacha, Pruchnej i Dębowca, w których uczestniczył m.in. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Ignacy Mościcki z przedstawicielami ówczesnego *establi- shmentu*. Na polowania zapraszani byli również goście zagraniczni z różnych krajów. W tym celu wybudowane były specjalne wiaty, gdzie w trakcie i po polowaniu spoży- wano posiłki, i dokonywano zbiorów przed i po zakończeniu pędzeń. Na zbiorowych polowaniach pozyskiwano głównie zające i bażanty, a na stawach kaczki. Indywidu- alne polowania w tych czasach związane były przede wszystkim z pozyskaniem sa- ren. W lasach prawie nieobecny był jeleń – gatunek, który był eliminowany z powodu szkód, jakie powodował w uprawach i młodnikach leśnych. Rzadko pojawiał się dzik, który był niepożądany z uwagi na szkody, jakie czynił w uprawach rolnych. Pozyska- nie dzika było taką rzadkością, że pisały o tym gazety, np. „Gwiazdka Cieszyńska” z 1854 r. – o polowaniu w okolicach Jabłonkowa: *W Łomnej przy Jabłonkowie my- śliwcy zastrzelili trzech dzików a jeszcze mówią, że 6 takich zwierząt w tamtejszych lasach i górach się znajduje. Jest to wielką rzadkością w naszej okolicy, gdzie od 36 lat nie ułowiono żadnego dzika. Domyślają się, że zwier ten zbiegł z ogrodu ksią- żęcego w Pszczynie i dostał się do naszych gór.* Cieszyn zapisał się również na trwałe w światowej historii myślistwa jako miejsce produkcji tzw. „cieszynek” – bogato zdobionej grawerunkiem i drogimi kamieniami broni myśliwskiej. Kolekcja tej broni znajduje się m.in. w zbiorach Muzeum Narodowego na Wawelu.

Do pięknych pamiątek z przeszłości, związanych z łowiectwem, należy również wybudowany w 1924 r. przez rodzinę Konczakowskich Dworek Myśliwski w Bren- nej z piękną kolekcją trofeów myśliwskich. Łowiectwo często kojarzone wyłącznie z polowaniem, jest również działalnością o charakterze gospodarczym. Polega głów- nie na gospodarowaniu populacjami zwierzyny łownej na określonym obszarze, gdzie najistotniejszym zadaniem jest ochrona i hodowla. Budowana jest cała sieć paśników, lizawek z solą, posypów dla bażantów, a także ambon.

W okresie zimowym wykładana jest karma w postaci m.in. siana, liściarki (wysu- szone pędy roślinności pozyskane z runa leśnego), zboża (owies, kukurydza, pszeni- ca). Podawana jest również sól mineralna w specjalnie przygotowanych lizawkach.

Myślistwo związane jest od zawsze z egzystencją człowieka. Najstarsze malowi- dła, wykonane ręką ludzką, przedstawiają sceny z polowań. Polowanie było sposo- bem na przeżycie dla ludzi przez tysiące lat. W dzisiejszych czasach stanowi połącze- nie działalności gospodarczej związanej z zagospodarowaniem łowiska, ze sposobem

przyjemnego spędzenia czasu w obcowaniu z naturą. Należy wspomnieć, że polowania inspirowały najznakomitszych twórców m.in. malarzy, pisarzy i rzeźbiarzy. Każdy z nas zna opisy polowań, jakie wyszły spod pióra Adama Mickiewicza, Henryka Sienkiewicza, Stefana Żeromskiego, Władysława Reymonta. Znane są piękne sceny z polowań stworzone przez Jerzego i Juliana Kossaków, Juliana Fałata, Aleksandra Gierymskiego i Józefa Brandta. Motywy myśliwskie spotykane są w rzeźbie, architekturze, zdobnictwie, często wykorzystywane również współcześnie. Prawie każdy zabytkowy pałac posiada kolekcję trofeów myśliwskich, salę myśliwską, powszechne jest używanie motywów myśliwskich w zdobieniach mebli i zastaw stołowych.

II. Powstanie Koła, członkowie, zarządy



Myśliwi na zbiorowej fotografii, Ustroń po 1945 r. (fot. ze zbiorów rodziny Franciszka Gańczarczyka)

Z zachowanych dokumentów i relacji kolegów myśliwych, Koło Łowieckie „Jelenica” założyli jesienią 1945 r., należący do Polskiego Związku Łowieckiego: Franciszek Gańczarczyk, ks. Ludwik Kojzar, Ludwik Podzorny, Józef Szczepański, Paweł Cholewa, Franciszek Kolder i Paweł Gawlas. W 1947 r. do ich grona dołączył Michał Gomola, a w 1948 r. Adam Zahraj. W latach czterdziestych XX w. na terenie Ustronia istniało również drugie Koło Łowieckie. Obydwa koła połączyły się pod koniec lat czterdziestych XX stulecia, z inicjatywy Józefa Szczepańskiego. Liczba członków Koła, z biegiem lat powiększała się, osiągając największy stan 40 członków w latach dziewięćdziesiątych XX w. Na dzień 31 marca 2006 r. Koło Łowieckie „Jelenica” liczyło 37 członków i 1 kandydata. Do Koła Łowieckiego „Jelenica”: w Ustroniu na-

leżało w okresie od 1945-2006 roku 80 członków. Nazwę „Jelenica” Koło Łowieckie w Ustroniu przyjęło na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym w dniu 3 maja 1980 r., nawiązując tym samym do nazwy, którą kiedyś nosiło. Pracą Koła kierują Zarządy wybierane na zebraniach sprawozdawczo-wyborczych, najczęściej w 3-5 osobowych składach. Na zebraniach sprawozdawczo-wyborczych wybierane są również Komisje Rewizyjne. Powoływani są także gospodarze Koła zajmujący się wykonywaniem i organizacją czynności związanych z zagospodarowaniem łowiska. Oprócz zebrań sprawozdawczo-wyborczych, organizowanych co kilka lat, co roku członkowie Koła spotykają się na zebraniach sprawozdawczych, zazwyczaj w miesiącu kwietniu, z uwagi na to, że rok gospodarczy dla łowiectwa trwa od 1 kwietnia do 31 marca roku następnego. Na zebraniach sprawozdawczych uchwalany jest budżet Koła, przyjmowane są sprawozdania z działalności Zarządu i uchwalane wewnętrzne zasady pracy na następny rok gospodarczy.

W skład Zarządu wchodzi: prezes, łowczy, skarbnik, sekretarz i czasami członek Zarządu. Funkcję prezesów Koła Łowieckiego „Jelenica” od 1945 r. pełnili: Franciszek Gańczarczyk, Edward Żidek, Henryk Lupinek, Ludwik Troszok i Franciszek Czekaj. Od 1995 r. do chwili obecnej prezesem Koła jest Henryk Chowaniok. Pierwszym łowczym Koła w latach 1945-1976 był Ludwik Podzorny. W okresie późniejszym łowczymi byli: Paweł Wiselka, Franciszek Czekaj, Karol Gluza, Paweł Hernik. Od 2000 r. funkcję łowczego pełni Edward Podzorski. Łowczy jest odpowiedzialny za gospodarkę łowiecką w Kole, m.in.: organizację dokarmiania zwierzyny, budowę urządzeń łowieckich, wydawanie i rozliczanie odstrzałów indywidualnych, prowadzenie polowań zbiorowych, inwentaryzację zwierzyny. Skarbnikami w Kole byli: Franciszek Gańczarczyk, Ludwik Troszok, Józef Szczepański, Jan Krzywoń, Władysław Michalik, Karol Gluza, Wiktor Żdan, Marek Żdan. Obecnie funkcję tę, od 1995 r. pełni Władysław Pilch. Rolę sekretarza pełnili: Józef Szczepański, Józef Gluza, Wiktor Żdan, Paweł Wiselka, Władysław Michalik, Paweł Hernik, Mirosław Kulis. Aktualnie, od 2000 r. sekretarzem Koła jest Joanna Kalinowska-Dyrda.

Kilku z myśliwych, założycieli Koła Łowieckiego „Jelenica” i późniejszych członków, polowało w Ustroniu już przed II wojną światową. Byli to m.in.: Franciszek Gańczarczyk, ks. Ludwik Kojzar, Adam Zahraj, Ludwik Macura i Paweł Cholewa.



Zbiorowe zdjęcie ustronńskich myśliwych, okres międzywojenny (fot. ze zbiorów rodziny F. Gańczarczyka)

W okresie międzywojennym tereny prywatne oraz państwowe enklawy do 100 hektarów wydierzały myśliwym gminy. W lasach państwowych gospodarkę łowiecką prowadziła administracja leśna. Pozwolenie na zakup i posiadanie broni wydawało Starostwo w Cieszynie. Tereny w granicach obecnego Ustronia były dzierżawione m.in. przez:

- Czarny las – Ludwik Manda
- Hermanice – ks. Ludwik Kojzar i Franciszek Gańczarczyk
- Goje i Jelenica – ks. Paweł Nikodem i Paweł Miech
- Lipowiec – gospodarze z Lipowca, m.in. Gustaw Janik, Paweł Cholewa i Jakub Maciejczek
- Zawodzie Dolne z Żorem – Franciszek Moskała i Franciszek Maciejczek
- Zawodzie Górne i Polana – pan Hansel – właściciel fabryk z Bielska
- Dobka – Franciszek Kasik.

Strażnikami i gospodarzami łowiska byli w tym czasie: Jan Puczek, Jerzy Bujok i Stanisław Michalski.



Ustrońscy myśliwi, okres międzywojenny (fot. ze zbiorów rodziny F. Gańczarczyka)

Do zadań strażnika należała ochrona łowiska przed kłusownikami, tępienie szkodników, dokarmianie zwierzyny oraz szacowanie szkód w uprawach rolnych wraz z przedstawicielem gminy. Strażnicy łowieccy odpowiedzialni byli również za organizację polowań zbiorowych. W okresie międzywojennym stosunkowo niewielka zabudowa, duży areal pól uprawnych i łąk, brak mechanizacji i sztucznego nawożenia w rolnictwie, stwarzał doskonałe warunki do bytowania zwierzyny drobnej takiej jak zajęce, kuropatwy i bażanty. W lasach Ustronia dość liczny był jarząbek, spotkać można było również dzisiaj nieobecny głuszca. Stosunkowo niewielki był udział sarny w łowisku, a do rzadkości należało spotkanie dzika i jelenia. Wielkim wydarzeniem był dokonany przez dr. Władysława Bruka w 1936 r. odstrzał jelenia byka

na Małej Czantorii. Intensywnie tępione były w łowisku drapieżniki tj. kuny i lisy, ale również psy i koty, które stanowiły zagrożenie dla zwierzyny drobnej. Odstrzału lisów i kun dokonywano przy użyciu strzelb, ale również odławiano je do różnego rodzaju pułapek. Z saren – rogaczy pozyskiwano wyłącznie sztuki o najładniejszym porożu. Nie pozyskiwano szpiczaków i widłaków tzw. „gablerów”. Odstrzał rogaacza można było nabyć również w nadleśnictwie. W Ustroniu, w przeciwieństwie do Brennej, rzadko dochodziło do kłusownictwa, chociaż w latach trzydziestych XX w. doszło do śmiertelnego postrzelenia kłusownika przez leśniczego.

Leśniczowie zatrudnieni w administracji leśnej posiadali służbowe karabiny. Na zwierzynę drobną urządzano polowania zbiorowe, na które zapraszał dzierżawca. Polowanie kończyło się zbiórką i posiłkiem. Każdy z myśliwych uczestniczących w polowaniu otrzymywał za darmo jedną sztukę zwierzyny. Na drugi dzień, w poniedziałek, organizowano polowanie na postrzałki, nie strzelano wówczas do zwierzyny zdrowej. Dzierżawca łowiska ponosił koszty odszkodowań łowieckich w uprawach rolnych nawet za zgryzaną przez sarny fasolę, finansował utrzymanie strażników łowieckich i dokarmianie zwierzyny. Dzierżawca nie był zobowiązany do sporządzania planów łowieckich.

III. Gospodarka łowiecka

Aktualnie Koło Łowieckie „Jelenica” dzierżawi obwód łowiecki nr 202 o powierzchni 5771 ha. Jest to obwód łowiecki leśny (lasy stanowią powierzchnię 4097 ha). Wydzierżawiany jest od Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Katowicach, położony na terenie miasta Ustronń oraz części gminy Brenna. Granice obwodu łowieckiego zaznaczone są na rysunku zamieszczonym na stronie 220.



*Jeden z pierwszych dzików upolowanych na terenie Ustronia, styczeń 1960 r.
(fot. ze zbiorów rodziny F. Gańczarczyka)*



Granice obwodu łowieckiego Koła Łowieckiego „Jelenica”

Gospodarowanie w obwodzie łowieckim obejmuje ochronę, hodowlę zwierzyny oraz jej pozyskanie. Hodowla zwierzyny polega m.in. na dokarmianiu poprzez budowę sieci paśników, wykładaniu karmy i soli mineralnych, zakładaniu i uprawie poletek łowieckich. Ilość paśników dla zwierzyny systematycznie się zwiększała, osiągając obecnie stan optymalny. W 1964 r. było 7 paśników, a w 1971 r. – 18 paśników dla zwierzyny płowej, 25 posypów dla bażantów i kuropatw oraz 28 gryzawek dla zajęcy. W 1976 r. ilość paśników dla zwierzyny płowej wzrosła do 44 sztuk, posypów dla bażantów było 18, a gryzawek dla zajęcy 25. W 1995 r. Koło dokarmiło zwierzynę w 8 paśnikach – magazynach dla jeleni i 43 paśnikach dla saren i jeleni oraz w 10 posypach dla bażantów. Zmniejszenie ilości paśników dla bażantów i zaniechanie dokarmiania zajęcy spowodowane jest bardzo istotnym zmniejszeniem się liczebności tych gatunków. Na dzień 31 marca 2006 r. Koło Łowieckie „Jelenica” prowadziło dokarmianie w 15 paśnikach – magazynach dla jeleni, 44 paśnikach dla saren i jeleni oraz 15 posypach dla bażantów. W ostatnich kilkunastu latach średnio w roku wyklada się około 10 ton karmy objętościowej, 3-7 ton karmy soczystej, 8-10 ton karmy treściwej, 1 tonę soli. Myśliwi uprawiają poletka łowieckie o powierzchni 6,17 ha oraz śródleśne łąki o powierzchni 0,20 ha. Na zagospodarowanie łowiska Koło wydaje rocznie około 60 tys. zł. Szczególną pozycję stanowią darowizny myśliwych w formie karmy i pracy społecznej w łowisku wycenionej na 25 tys. zł rocznie.

Pozyskanie i inwentaryzacja zwierzyny łownej wg stanu na 31 marca 2006 r.

Rok gospodarczy	Pozyskanie								
	Jeleń	w tym: byki	sarny	w tym rogacze	dziki	lisy	zające	bażanty	inne
1955	-	-	2	2	1	23	28	3	10 kuropatw.
1960	-	-	26	13	-	15	133	5	3
1961	1	1	16	8	-	7	150	22	1 głuszc
1964	-	-	13	1	-	29	95	31	-
1967	-	-	18	brak dan.	-	19	193	39	-
1969/70	-	-	29	12	-	25	96	38	-
1970/71	-	-	18	10	9	30	87	34	-
1974/75	-	-	37	18	1	22	110	31	-
1975/76	1	1	42	18	4	17	112	21	-
1978/79	-	-	34	17	1	28	42	20	-
1979/80	-	-	13	8	4	20	51	15	-
1981/82	1	1	40	22	2	8	40	15	-
1982/83	5	2	38	18	1	16	16	2	-
1983/84	3	2	39	19	2	22	50	17	-
1984/85	5	3	59	24	6	20	22	11	-
1985/86	10	3	62	26	4	17	28	3	-
1986/87	13	5	77	20	8	17	23	3	-
1987/88	10	5	39	17	10	34	24	2	-
1988/89	6	3	38	19	19	25	34	5	-
1989/90	8	4	42	19	23	16	32	-	-
1990/91	18	11	49	25	38	13	41	-	-
1991/92	22	8	59	26	25	22	11	-	-
1992/93	18	5	58	30	13	38	49	-	-
1993/94	17	5	60	23	11	17	22	-	-
1994/95	27	8	61	25	17	5	33	-	-
1995/96	24	9	69	28	23	3	35	-	2
1996/97	29	11	58	32	18	16	29	-	1
1997/98	26	11	73	33	15	17	15	1	1
1998/99	32	13	83	39	2	15	11	4	2
1999/00	21	9	74	34	2	20	15	-	4
2000/01	24	7	38	18	7	46	5	-	6
2001/02	24	6	21	20	21	18	7	-	2
2002/03	25	6	20	20	15	22	2	-	3
2003/04	25	6	44	33	1	21	6	2	3
2004/05	30	6	37	24	3	24	4	-	4
2005/06	29	6	22	20	3	12	-	-	-
Rok gospodarczy	Inwentaryzacja								
	Jeleń	w tym: byki	sarny	w tym rogacze	dziki	lisy	zające	bażanty	inne
1995/96	50	18	235	102	27	31	79	27	16
2004/05	107	52	219	109	39	65	69	67	29
2005/06	98	40	174	66	28	47	79	67	30

Bardzo ważną sferą działalności Koła jest ochrona łowiska. Polega ona nie tylko na zwalczaniu nielicznych przypadków kłusownictwa, ale również na obserwacji poszczególnych gatunków, ich stanu zdrowotnego i liczebności. Myśliwi wspomagają służby weterynaryjne w badaniu zdrowotności populacji m. in. dzików i lisów. Szczególnie ważnym rozwiązaniem, zapewniającym dokarmianie jeleni i saren w okresie zimowym, jest budowa i obsługa dużych paśników – magazynów, gdzie gromadzi się zapasy siana na całą zimę, co zapewnia zwierzyńce stały dostęp do karmy. Z zachowanych w archiwach danych, podobnie jak wcześniej opisane zagospodarowanie łowiska, przedstawić można pozyskanie zwierzyny łownej.

IV. Pozyskanie i inwentaryzacja zwierzyny

W wyniku II wojny światowej łowisko w Ustroniu było prawie całkowicie wyniszczone. Proces odbudowy populacji zwierzyny drobnej trwał kilka lat, a zwierzyny grubej o wiele dłużej. Najszybciej zwiększał się stan sarny od 2 sztuk pozyskanych w 1955 r. do 42 sztuk w sezonie 1975/1976 r. W roku gospodarczym 1979/1980 wstrzymano odstrzały z powodu dużej ilości padnięć w trakcie wyjątkowo surowej zimy 1978/1979. Podobną ilość padłych saren zanotowano w trakcie zimy 2005/2006, co również spowodowało ograniczenie do minimum odstrzałów kozłów i całkowite wstrzymanie odstrzału kóz i kozłat.

Jeleń na stałe pojawił się w łowisku na początku lat osiemdziesiątych XX w., podobnie jak dzik. Pierwszego jelenia byka pozyskano w 1961 r., co było wydarzeniem sensacyjnym. Kiedy w 1968 r. dokonano sanitarnego odstrzału jelenia byka nad rzeką Wisłą, sprawę badała sześciuosobowa komisja z udziałem służb weterynaryjnych.



*Ustrońscy myśliwi ze swoim łupem, listopad 1948 r.
(fot. ze zbiorów rodziny F. Gańczarczyka)*



Wystawa łowiecka w Muzeum Hutnictwa i Kuźnictwa w Ustroniu, sierpień 1995 r.
(fot. Michał Bożek, ze zbiorów Koła Łowieckiego „Jelenica”)



Uroczystość wręczenia sztandaru dla Koła Łowieckiego „Jelenica”, listopad 1997 r.
(fot. ze zbiorów Koła Łowieckiego „Jelenica”)



*Odprawa przed polowaniem hubertowskim
(fot. ze zbiorów Koła Łowieckiego „Jelenica”)*

Pierwszy dzik był pozyskany w 1955 r., a następny dopiero w 1959 r. Dopiero sezon łowiecki 1970/1971 okazał się udany, kiedy to pozyskano 9 dzików. W dekadzie lat siedemdziesiątych XX w., rocznie dokonywano odstrzału od 1 do 4 sztuk dzików. Duży przyrost ilości zwierzyny grubej tj. jeleni, saren i dzików nastąpił w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. W latach 2000–2006 stan ilościowy jeleni jeszcze wzrósł, natomiast nastąpił spadek liczebności dzików i saren, na co wpływ miały mroźne i śnieżne zimy, a także pojawienie się na stałe wilczej watahy oraz okresowo rysia. Ten ostatni drapieżnik przyczynia się szczególnie do zmniejszania ilości saren. Przedstawione w tabeli dane, na stronie 221, dotyczące inwentaryzacji zwierzyny łownej wg stanu na 31 marca 2006 r. pokazują, że w dalszym ciągu jest niski stan zajęcy oraz bażantów mimo zasilania łowiska, poprzez wypuszczenia w okresie ostatnich kilkunastu lat, kilkuset sztuk dorosłych kur i kogutów tego ostatniego gatunku.

Tekst opracowany został na podstawie relacji członków Koła spisanych w latach 1995–2006 oraz dokumentów źródłowych z zasobów archiwalnych Koła Łowieckiego „Jelenica” w Ustroniu i Nadleśnictwa Ustroń.



*Mgr inż. **Leon Mijał** – leśnik. Od 1990 r. Nadleśniczy Nadleśnictwa Ustroń. Autor wielu publikacji poświęconych ochronie przyrody, lasom i gospodarce leśnej.*

**V.
USTROŃSKIE
RODY**

Barbara Żyszkowska

O Cholewonym rodzie i trzech Blasbalżankach

To był inny świat. Prostota, serdeczność siostrzanych relacji, przyjaźnie, wspólne spędzanie wolnych chwil, życzliwość i otwartość. Oto w jesienne popołudnie roku 1934 do domu państwa Malców na Zawodzie podążają dwie siostry – Julia i Elżbieta z sercami przepełnionymi radością, że ich przyjaciółka Malka wkrótce stanie na ślubnym kobiercu. Czytam o tym w liście do trzeciej z sióstr – Karoliny, która w tym czasie przebywała na Górnym Śląsku, gdzie w okresie międzywojennym i po wojnie była nauczycielką. „Szczęście Malki – pisze moja mama Ela do swej starszej siostry – jest i naszą częścią. W ostatnią niedzielę poszłyśmy z Julcią do Malki. A droga do niej wszak zawsze tak piękna, a cel jej to chwila zapomnienia o troskach dnia powszedniego, pełna prostoty i ukojenia. Zdając sobie sprawę z tego, że to droga naprawdę ostatnia, było nam smutno i rzewnie”.

I mnie smutno i rzewnie, że nie posłucham już wspomnień z czasów ich młodości, że kiedy mogłam pytać i wiele się dowiedzieć, nie byłam zbyt dociekliwa w tym względzie. Dziś mogę się jedynie pokusić o przywołanie tych lat przez lekturę pamiętników mamy i cioci Julci. Tamten czas przybliżają mi też rozliczne listy – mamy do cioci Loli, cioci Julci do przyszłego męża, wówczas studenta teologii ewangelickiej w Warszawie. Ślady ich działalności znajduję na łamach „Pocła Ewangelickiego”. Poprzestaną na przedstawieniu ich życia w okresie międzywojennym i niech będzie to małym hołdem dla trzech tak bliskich memu sercu osób w 20. rocznicę śmierci jednej z nich – Julii Wantułowej, a wspomnienia te pozwolę sobie poprzedzić wiadomościami na temat historii rodu Cholewów, z którego pochodziła ich matka, a moja babcia Anna.



Julia z Malką Malcówną (Lipowczanową)
(fot. ze zbiorów autorki)

W „Herbarzu polskim i imionspisie zasłużonych w Polsce ludzi wszystkich stanów i czasów” wydanym drukiem Kornela Pillera we Lwowie roku Pańskiego 1855 pod hasłem „Cholewa” czytamy: „Według podań dawnych pisarzy, nadany został ów znak od Bolesława Śmiałego niejakiemu cieśli, zwanemu Cholewa, a to z tej okazji. Gdy ten król zapuścił się za nieprzyjacielem, który złupiwszy Polskę z plonem uchodził, a w głębokiej puszczy drogę mu utrudzała gąszcz zarosli, toć natrafił na pomienionego cieślę drzewo ociesującego: ten świadomy kniei, nie tylko że króla

z wojskiem jego manowcami wygodnie przeprowadził, ale i na koczującego najęzce nawiódł. Wnet wszczęła się żwawa walka, w której gdy jakiś zaciekły nieprzyjaciel na króla z orężem zapalczywie nacierał, toć ów cieśla stając w obronie monarchy, jedną klamrą nogę konia owego przeciwnika tak silnie podciął, że szwankować zaczął, poczem drugą samego żołnierza zahaczywszy, zwałił; a wyrwawszy mu oręż z pochwy, jego i wielu innych trupem położył. W nagrodę tej odwagi, nadał mu Bolesław te dwie klamry i miecz jako znak zaszczytu, nadto i połowę tego lasu w posiadanie.”

Nie dojdziemy dziś, czy tak naprawdę było. Do głowy by mi nie przyszło poszukiwać w herbarzu początków mego rodu, gdyby nie pewien tekst, który za pośrednictwem zaolziańskich przyjaciół wujostwa Wantułów znalazł się w posiadaniu rodziny w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Otóż swoimi korzeniami zainteresowała się, zamieszkała w Holandii, wnuczka pewnego Cholewy, który zginął w czasie pierwszej wojny światowej. Na jej prośbę Paweł Broda, siostrzeniec jej dziadka, zamieszkały po drugiej wojnie światowej w Austrii, zbadał sprawę, a relacje z wyników swych poszukiwań przekazał krewnej w liście, który i do nas dotarł. Oto jego obszernie fragmenty:

„Co dotyczy naszego herbu rodzinnego, składa się on z dwóch klamer ciesielskich i miecza, który nasz przodek, cieśla, otrzymał od Bolesława Śmiałego w roku 1065 po bitwie z pogańskimi Prusami, którzy stanowili słowiańskie plemię w północnej Polsce. (...)”

Historia naszej rodziny była opisana w starym, skórzanym modlitewniku. Modlitewnik ten dałem około roku 1911 mojemu gimnazjalnemu profesorowi. Ten zaś podarował go bibliotece uniwersyteckiej w Krakowie. W bibliotece tej jest obecnie zatrudniony nasz krewny, syn emerytowanego ewangelickiego biskupa Kotuli. Nie mógł jednak tego modlitewnika, a właściwie postylli, czyli zbioru kazań, znaleźć wśród wielu tysięcy książek, gdyż nie znałem tytułu.

Prawdą jest, że pewien Cholewa w XVI w. w Krakowie jako biskup Zygmunta, ostatniego polskiego króla z rodu Jagiellonów, sprawował w jego imieniu rządu, a więc jeszcze przed Reformacją w Polsce. W Galicji w roku 1772 (I rozbiór Polski, przyp. B. Ż.) po wcieleniu południowej Polski do Austrii było wiele szlacheckich rodzin, ponieważ wielu rolników otrzymywało tytuły szlacheckie za zasługi wojenne. Państwo miało z tego dobry interes. Tytuły szlacheckie przyznawano zapewne obywatelom, którzy płacili wysokie podatki. Tytuł szlachecki można też sobie było kupić. Nasi przodkowie, którzy prawdopodobnie jako arianie zostali w XVII w. lub później wypędzeni, nie zatroszczyli się o swój tytuł szlachecki, osiedlili się na Śląsku nad Wisłą w miejscowości Ustroń. (...)”

W XVII albo XVIII w. – jak mi opowiadał mój ojciec – musieli nasi przodkowie z powodu prześladowań religijnych opuścić okolice Krakowa i udali się na Śląsk w Beskidy. Osiedlili się w Ustroniu, uzdrowisku nad Wisłą. Tam wybudował nasz dziadek dwa domy, które się jeszcze po pierwszej wojnie światowej zachowały. (...)”

Ja, Paweł Broda, widziałem grób polskiego króla na cmentarzu obok kościoła w Ossiach.”

Autor listu napomknął też, że na grób monarchy udał się w czasie pierwszej wojny światowej Józef Piłsudski. Na przykościelnym cmentarzu w okolicach Klagenfurtu w Karyntii nad pięknym grobowcem, w którym spoczywają doczesne szczątki króla Bolesława Śmiałego, zapewne przystaje w zadumie niejedyn Polak.

Dwa domy postawione przez Cholewów w XVIII wieku! Ród Cholewów rozgałęział się z czasem coraz bardziej, świadomość wspólnego pnia stopniowo zanikała, trudno było wrócić do korzeni. Serce zabiło mi żywiej, kiedy przeczytałam w „Poście Ewangelickim” z roku 1926, że w roku 1882 chałupnik i robotnik Paweł Cholewa „własnym kosztem zapłacił śliczny obraz do ołtarza, przedstawiający *Wieczerszą Pańską*” dla kościoła Jakubowego w Ustroniu.

Oboje moi pradiadkowie ze strony babci nosili to samo nazwisko, panięskie bowiem nazwisko Marianny (Marii?) brzmi także Cholewa. Czyżby małżonkowie pochodzili z obu wspomnianych przez Pawła Brodę domów? Marianna (1852-1914), córka Jerzego Cholewy (1826-1879) i Anny z domu Hoxa (1832-1896), urodzona w Ustroniu na Pustkach w domu pod numerem 135, wyszła za mąż za Jerzego Cholewę (1848-1904) spod numeru 15. Dawniej numerowano domy według kolejności ich stawiania, zatem dom mego pradiadka należał do najstarszych. Prababcia miała brata Jerzego (1857-1946), z którego córką Ewą ożenił się Paweł Szczepański z Brzeziny – ojciec Anny, za mężem Gluzowej, Heleny (Pawłasowej) oraz Jana, który wspomina o tych koligacjach w rozdziale „Przodkowie” swej książki „Korzeniami wrosłem w ziemię”. Pamiętam też, że prof. Jan Szczepański nieraz podkreślał swe pokrewieństwo nie tylko z ks. Andrzejem Wantułą, ale i jego żoną Julią.



Marianna i Jerzy Cholewowie (fot. ze zbiorów autorki)

Pradiadkowie mieli dziewięcioro dzieci. Dwoje zmarło w dzieciństwie. Najstarsza z rodzeństwa, Zuzanna, wyszła za mąż za Śliżę i zamieszkała w Wendryni. Mieli sześciorgo dzieci. Syn Jan osiadł w Ustroniu, był dwukrotnie żonaty (pierwsza żona zmarła) i z dziewięciorga potomstwa jeden z synów zmarł w młodości na suchoty. Następna urodziła się Anna, moja babcia; o jej rodzinie będzie mowa dalej. Dwoje następnych w młodości wyemigrowało. Andrzej z żoną Ewą osiedli w Argentynie, mieli sześciorgo dzieci, bardzo tęsknili za krajem. Pisywali do mojej babci listy, uskarżając się na warunki klimatyczne, szarańczę, suszę i konieczność pilnowania dobytku przed kradzieżami. Listy pisali gwarą, bardzo prostym językiem.



Erwin (z lewej) i Rudek w roku 1913
(fot. ze zbiorów autorki)



Anna i Karol Blasbalgowie
(fot. ze zbiorów autorki)

O rok młodszą od Andrzeja córka Maria ze swym mężem Franciszkiem Kubińskim również udała się za chlebem za ocean, pozostawiając pod opieką wspomnianej już starszej o siedem lat siostry Anny Blasbalgowej, mojej babci, swego młodszego syna. Wkrótce potem wybuchła pierwsza wojna światowa, w związku z czym pobyt najmłodszej latorośli u ciotki w Ustroniu znacznie się przedłużył. Siostrzeniec Erwin właściwie wychował się w gronie kuzynostwa Blasbalgów, czuł się synem ciotki Hanki, mówił do niej „mamo” i tak ją też potem tytułował w czułych, pełnych tęsknoty, częstych listach z Chicago. Najmłodszy brat mojej babci nie zdążył założyć rodziny. Po wybuchu pierwszej wojny światowej Jerzego wcielono do armii austriackiej, zginął pod koniec jej trwania i pochowano go na cmentarzu wojskowym w okolicy Pettau w Austrii.

Moja babcia Anna (1876-1968) poślubiła w wieku 22 lat o cztery lata od siebie starszego Karola Marcina Blasbalga (1872-1922), mistrza szewskiego. Rodzina dziadka – jak wynika z zachowanych metryk – przywędrowała do Ustronia z Łopuchowej w powiecie ropczyckim. Zgodnie z ówczesnymi przepisami, jego ojciec Antoni po dziesięcioletnim pobycie w Ustroniu otrzymał w roku 1904 prawo do stałego w nim przebywania. W rodzinnym domu zachował się stosowny dokument podpisany przez burmistrza. Babcia była ewangeliczką, dziadek katolikiem, małżeństwo było więc wyznaniowo mieszane, a nad małżeńskim łóżem wisiały dwa ogromne oleodruki przedstawiające Pana Jezusa i Jego Świętą Matkę. W tamtym czasie panowały inne niż dziś zwyczaje w kwestii przynależności wyznaniowej potomstwa. Córki „szły” za mamą, synowie za ojcem. Dopóki dzieci były małe, problemu nie

było. Potem zdarzył się jeden przykry incydent, kiedy to syn po powrocie ze szkoły oświadczył, że ma słuchać jedynie ojca, ale po taktownej interwencji rodzica wszystko wróciło do normy.



Rodzina Blasbalgów w roku 1907. Od lewej: Andzia, Karola, Anna Blasbalgowa, Ela, Karol Blasbalg, Julcia i Herminka (fot. ze zbiorów autorki)

Babcia dostała w posagu niewielką parcelę; podobno ojciec chciał jej dać więcej ziemi, ale odmówiła, wybierając pomoc finansową, a część gruntu sprzedano kupcowi Wilhelmowi Scharbertowi, i to tę od strony głównej ulicy, bo babcia nie chciała mieszkać „przy ceście”. Budowa domu, do której przystąpili z dziadkiem pięć lat po zawarciu związku małżeńskiego, postępowała błyskawicznie, trwała – jak wynika z zachowanych dokumentów – cztery miesiące! Małżonkowie wprowadzili się do niego w roku 1903 z trzema córeczkami – Andzią (1899-1984), Herminką (1900-1908), której dane było przeżyć zaledwie osiem lat (zmarła na jakąś chorobę zakaźną) i Julcią (1901-1987). Potem przyszły na świat jeszcze dwie dziewczynki – Karolina (1904-1996) oraz Elżbieta (1905-2000) i wreszcie upragniony syn Rudek (1908-1962).

Dom był najpierw czteroizbowy, po kilku latach dobudowano od strony zachodniej dwa pokoje. Tam mieściły się gabinet i pracownia dziadka. Obie części rozdzielała ściana, z której prowadzą też drzwi do piwnicy i na strych. W tym solidnym, o grubych murach, częściowo podpiwniczonym budynku wszystkie pomieszczenia, a było ich wówczas sześć, miały po około 19 m². Podłogi wykonano z szerokich, grubych desek świerkowych (do dziś zachowały się w jednym z pokoi i kuchni). Przez wiele dziesięcioleci niemalowane, trzeba było co sobotę, a czasem i częściej szorować szczotką, czyli *drzić deliny kartaczem*, by się potem rozkoszować czystością i wspaniałym zapachem. Wygód niestety nie było. Wodę czerpało się ze studni, a kąpiel odbywała się w opiewanym przez Tadeusza Chyłę w „Balladzie o cysorzu” *zicbadzie*, czyli okrągłej waniencie cynowej z oparciem. Aby zaś dotrzeć do miejsca, gdzie nawet król piechotą chodzi, trzeba było przemierzyć podwórko.

Przed domem od strony południowej był niewielki ogródek warzywno-kwiatowy, rosło też kilka drzew i krzewów owocowych, a z okien rozciągał się widok na plac kościelny i sam kościół. Jeszcze w latach szśćdziesiątych ubiegłego wieku można było zrobić zdjęcie naszego domu z bramy przy ulicy Stawowej, a do kościoła chodziło się dróżką wzdłuż cmentarnego żywopłotu, przy którym można było przysiąc na ławeczce nieopodal naszej furtki. Nie ma już pięknej ścieżyny, drzew na cmentarzu też coraz mniej!

Do wybuchu pierwszej wojny światowej Blasbalgom powodziło się dobrze. „Bywało u nas – pisze w swym pamiętniku najmłodsza z córek, moja mama Ela – nieraz 7 czeladników i 3 uczniów. Ojciec był szeroko znany, robił doskonałe obuwie, a szczególnie dla ludzi ułomnych. Pamiętam, że raz odsyłano nawet coś do Lwowa”. Potem w związku z wybuchem pierwszej wojny światowej warunki finansowe uległy zmianie. Dziadek Karol był w wojsku, a po powrocie nie rozwinął działalności na większą skalę i w pracy pomagało mu już tylko dwóch czeladników. O jednym pisze moja mama, że strach go było do domu rodzinnego wypuszczać, bo potem trzeba było po niego jeździć, i to czasem wielokrotnie.

Niestety nie dane było dziadkowi długo żyć, śmierć zabrała go, zanim osiągnął półwiecze. Ten straszliwy i tak nieoczekiwany cios moja mama, wówczas szesnastoletnia dziewczyna, opisała trzy lata później w swym raptularzu, jakby się to zdarzyło poprzedniego dnia:

„Ojciec grał na harmonii. W tym dniu narzekał na straszny ból głowy. Wysłałam, tylko mama i kuzynek Ludwik zostali. Naraz ojciec zaczął usta wykrzywiać, a z jednego oka łzy zaczęły się lać. Odłożył harmonię i padł na łóżko. Na pytanie mamy, co Ci jest, odpowiedział, że go strasznie głowa boli. Ostatnie były to słowa ojca. Nie pomogło cucenie, przywołano dwóch doktorów. Ojciec umarł na udar mózgu. O godzinie wpół do jedenastej w nocy uklękliśmy wszyscy nad zwłokami ojca. Straszna to była chwila. Grom z jasnego nieba. Dotąd widzę te oczy szklane, nieruchome. I cóż wart człowiek wobec Twojej potęgi, o Boże. Przez dzień następny chodziłam jak we śnie. Gdy wokół mnie ludzie czasem chcieli zdobyć się na jakieś słowa pociechy, żalowałam ich sama, myśląc, jak wy nie umiecie uszanować bólu smutnych. Wystarczy dla mnie uścisk dłoni i jedno spojrzenie. W dzień pogrzebu było dżdżysto. Zjechali się krewni Ojca z zagranicy. Ojciec leżał w gabinecie, wszystkie sprzęty wyniesione, ściany kirem obite. Na stoliku za trumną był krucyfiks, pęk róż i paliły się świece, naokoło we wszystkich świecznikach również. O trzeciej godzinie zaczęli gromadzić się ludzie. I znów, jak ludzie nie umieją uszanować bólu smutnych. Gdy my, rodzina, stoimy koło trumny, przychodzi do matki jedna pani i mówi, że ojciec pewnie tylko zasnął. Na pożegnanie pocałowałam Ojca. O Boże. Gdy wyniesiono trumnę, uklękałam na to miejsce, jak i wszyscy. Na polu słoneczko zaświeciło – liczny, bardzo liczny tłum szedł za trumną przy dźwięku marsza żałobnego Chopina. Było mi tak błogo niewysłowienie, żebyłam szła życie całe w tym orszaku. W kościele katolickim woń kadzideł, łagodny dźwięk organ, śpiew chóru, przede mną przepiękny ołtarz, na katafalku trumna. W trumnie Ojciec, którego usta na zawsze zamknięte, serce kochające nas zimne. Gdyśmy byli w domu już, mama wstąpiła do gabinetu i zaczęła rzewnie szlochać. Karola i ja wzięłyśmy mamę, wyprowadziły do gości. Mdły zapach róż, świec spalonych i silna woń morfiny wiały tu w gabinecie. Odtąd często zapach róż przypomina mi te smutne chwile.”

Niezwykle trudno było wdowie i dzieciom poradzić sobie w nowej sytuacji. Jak wyglądało położenie rodziny? Najstarsza córka Andzia była już zamężna. Jej mąż Józef Kubica wybudował fabryczkę, w której produkował okucia mosiężne (o rodzinie Kubiców napisze wnuczka Grażyna, której ojciec Tadeusz w chwili śmierci dziadka miał pół roczku). Julia w roku 1916 ukończyła sześcioklasową szkołę ludową z najlepszymi z możliwych stopniami (podobnie moja mama), a potem „wyuczyła się rzemiosła krawiectwa damskiego”. Dokument nosi datę 27 września 1925. Zachowało się też kilka umów o naukę, ciocia bowiem przyjmowała uczennice do nauki szycia. Moja mama napisała w pamiętniku, że siostra „otworzyła salon mód”. Jeśli chodzi o edukację Karoliny i Eli, sprawa przedstawiała się tak: „Pomyślano o nas, czybyśmy mogły iść do szkół. Przyjaciół ojca, nauczyciel (Paweł Kurus, przyp. B. Ż.) zaproponował lekcje prywatne, a potem pojechać do miasta i zdać egzamin z trzeciej wydziałowej. Lecz pożał się, Boże, z tymi lekcjami. Myśmy się tylko wciąż uczyły, a nikt nas nie przesłuchiwał. A jakie było to uczenie – ja kilka razy coś przeczytałam i zapamiętałam sobie, a Karola uczyła się wciąż. Bywało czasem, my wybrane na lekcje spotykamy na progu postańca z radosną nowiną, że lekcji nie ma. Takie niespodzianki zdarzały się coraz częściej” – utyskiwała Ela. Z zachowanego świadectwa wynika, że w roku 1922 ukończyła eksternistycznie Publiczną Szkołę Wydziałową Żeńską im. Marii Konopnickiej w Cieszynie. Karolina zapewne ukończyła Seminarium Nauczycielskie, bo została nauczycielką robót ręcznych w Królewskiej Hucie, czyli dzisiejszym Chorzowie. Jedyne najmłodszemu z rodzeństwa dane było dalej się kształcić. Po czterech klasach Państwowego Gimnazjum im. Antoniego Osuchowskiego w Cieszynie, wujek Rudek przeszedł na Wydział Mechaniczno-Techniczny Wyższej Szkoły Przemysłowej w Bielsku, którą ukończył.



Julia w gronie uczennic.

*Od lewej – I rzęd: Karolina Cichy, Helena Czyżówna (Szlaurowa), Macurzanka; II rzęd: Helena Szwiertnianka (Przybyłowa), Julia Blasbalżanka (Wantułowa), Helena Sikorzanka (Hławiczkowa); III rzęd: Zuzanna Szwiertnianka (Sikorowa), Helena Makulanka (Suskiwiczowa), Edyta Wałachówna (Stanieczkowa), Emilia Śmitowska (Wallnerowa), Boguszówna (Niemczykowa), Saubermannówna (Sanecka)
(fot. ze zbiorów autorki)*

Przed laty wśród pamiętek rodzinnych natrafiłam na pamiętniki – cioci Julci i cytowany już mamy. Było to wzruszające odkrycie. Bardzo się ucieszyłam, że tak bliskie mi osoby czuły potrzebę opisywania przeżyć i zdarzeń. Może śmierć ojca wytworzyła w ich sercach i umysłach pustkę, i to pisanie było rodzajem terapii? Julia dedykowała swój pamiętnik człowiekowi, z którym po latach połączyła swój los. „Jędrkowi tych kilka wspomnień spisała Julia”. Ów „Jędrak” – przewijający się najpierw jako gimnazjalista, potem student na kartach obu pamiętników – to ks. Andrzej Wantuła

Podziwianie r. 1924 a.

..... Budei rostry smięca skryty
ziemi, srym zimnym satunem. Alugo
trzymaty ja w swem łobnem objęciu.
- Aż zbudziła się nadzieja, że zarwita
mieszna aż pierwszego razu stonko zobę,
męto ezame bawelki ziemi i drzewa, które
klegalnie wyciągaty do niego swe nagie
ramiona, przycisnęli do swego ciała
matę... I wóci mieszna, jak co roku...
Która mieszna w przyrodzie. Powitamy ja
z wóimielnem narodem, z obiem wojowniczym,
a usta nasze wpatki będą wyrazem dziękczynne

Pierwsza strona pamiętnika Julii
(ze zbiorów autorki)



Julia
(fot. ze zbiorów autorki)

(1905-1976), późniejszy pastor wiślański, profesor teologii i wieloletni biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce. Pamiętnik jest pełen poezji, bardzo dojrzały i nie waham się powiedzieć – wstrząsający. Zawiera tragizm losu niezwykle wrażliwej, inteligentnej dziewczyny. Są to dzieje duszy.

W dorosłość wkroczyła, kiedy żył jeszcze jej ojciec, była jego ulubienicą, nazywał ją swoją Perłą. Musiała być od małości niesłuchanie żywotna, bo opowiadała mi, że biegła już w dziewiątym miesiącu życia, co wprawiało wszystkich w wesołość. Była pogodna i dobra, a może początkowo też i nieco próżna, bo Ela wspomina w pamiętniku: „Julcia była ślicznym podlotkiem i słynęła z piękności. Kilka razy otrzymała nagrody piękności”, na innym miejscu, ubolewając nad lekceważeniem konkurentów, napisała: „Bawiło się to dziecko, bawiło”. Nieco dalej zachwycała się urodą starszej siostry: „Blask bił od jej wdzięcznej figurki, jej twarzyczka miła, oczy żywe i długie cienie, brwi czarne, wąskie, a włosy precudne, bujne, loki naturalne okalały te rysy anielskie. (...) Umiąta wpoić w duszę mą poczucie piękna natury i poezji”.

Z chwilą śmierci ojca skończył się w życiu Julii okres beztroski, poczuła się w pełni odpowiedzialna za mamę i młodsze rodzeństwo. Było to dla niej trudne wyzwanie, ale sprostała mu w pełni. W gęstym, w płóciennym oprawie koloru wrzosowego pamiętniku, zdobionym metalowym łbem końskim, opisała całą swą rozpacz i ból. Niewiele wolno mi z niego ujawnić, by nie naruszać sfery prywatności, ufam jednak, że granice intymności zostaną zachowane, jeśli zacytuję fragment pamiętnika ilustrujący charakter, ogromne poczucie obowiązku, wręcz tragizm położenia jego autorki, jej niezwykle wrażliwość:

„Nagła śmierć Ojca. – Rozpacz Mamy, która wyraziła się w słowach: Z czego my będziemy żyli? Mówiłam wtenczas do Mamy długo i uspokajałam ją. Przekonywałam ją, by nie rozpacziała, że ja zrobię wszystko, co będzie w mej mocy, by życie szło u nas dalej swoim normalnym biegiem. Chciałam i wiedziałam, że tak być musi. Rzuciłam się do pracy tak, jak mogłam. Przypominają mi się noce wytężonej pracy, straszne z bólem po stracie Ojca. (...) Zyskałam sobie w przeciągu krótkiego czasu zaufanie i szeroką klientelę. Wszelkie trudności, jakie mi mój zawód sprawiał, pokonywałam sama, nie mówiąc o nich nikomu. (...) Ile to czasem godzin trzeba poświęcić jakiemuś głupstwu, jakiejś ozdobie, której nikt nie docenił nawet. – A ktoś inny w ciągu tych samych godzin mógł przyjmować do siebie tyle piękna, bądź z książek, bądź z przyrody, bądź z różnych swoich upodobań i przyjemności”. Pisała, jak bardzo pragnęła się dalej kształcić, pogłębiać wiedzę, sięgać jak dawniej do ulubionych lektur, prowadzić ciekawe rozmowy. Czuła się jak w letargu. Kiedyś dała swemu przyszłemu mężowi do przeczytania fragment pamiętnika, zachęciła ją do dalszego pisania i powiedział, że lubi jej prozę.

Pamiętnik Eli, mojej mamy, najmłodszej z Blasbalżanek, pisany ołówkiem (!) w zwykłym w twardych, tekturowych okładkach zeszytach, rozpoczęty półtora roku później, ma zupełnie inny charakter i w przeciwieństwie do pamiętnika siostry nie był do końca owiany tajemnicą. Najpierw dorwał się do niego szesnastoletni braciszek, potem sama czytała go siostrom. Pisała go jednak w pełnej konspiracji na zimnym strychu, więc w miesiącach zimowych pisanie zazwyczaj ustawało. Wiele możemy się z niego dowiedzieć. Najpierw może tego, że na widok Jędrka, czyli późniejszego małżonka Julii, mocniej były serca wszystkich trzech Blasbalżanek. Karolina jednak zachowywała się tak odpychająco, że trudno było o nią zabiegać, Ela natomiast była egzaltowanym trzpiotem.



*Siostry na progu domu rodzinnego
(fot. ze zbiorów autorki)*

Oto pierwszy obrazek z pamiętnika rozpoczętego w sierpniu roku 1925: za oknem pluszcze deszcz, Julia i Karolina szyją, Ela gra na skrzypkach „W mogile ciemnej”, a za oknami rozlegają się oklaski. Potem okazuje się, że brawo bili Jędrzek i brat Rudek. Pada postanowienie, że panna Ela nie machnie smyczkiem przez cały następny rok. Wbrew zapowiedziom nadal jednak uczęszcza do pana Białego na lekcje.

Echo domowego muzykowania pobrzmiwa na kartach całego pamiętnika. Na pianinie grało całe rodzeństwo, na skrzypkach również Rudek. Mama pisze też o grze na cytrze, co mnie nieco dziwi. Grywano na pianinie na cztery ręce, czasem z akompaniamentem skrzypiec. Często słyszeć można było muzykę religijną, zwłaszcza chorały, deklamowano też wiersze. Dla zobrazowania dwa krótkie fragmenty: „Szłam

sobie jeszcze raz z Jędrkiem zagrać na pianinie. Jędrzek wziął skrzypki i tak ślicznie grał ze mną. Grałam chorał *Kto się w opiekę*, marsza żałobnego Chopina itp. Było mi tak dobrze. Potem podałam Jędrkowi list-piosenkę, śpiewał ją, a ja grałam. (...) Na pożegnanie zagraliśmy, a Julcia śpiewała. Ślicznie gra Jędrzek na skrzypkach, ślicznie”. I drugi: „Później zaczęło się zbierać towarzystwo – Julcia, p. Cieślar, Czaplą i Fojtek. Grałam im z Jędrkiem ten kawałek na cztery ręce. Byli nim zachwyceni, a my już nim znudzeni”.



Przed domem Blasbalgów. Od lewej: Julia, Hala Kubiczanka, Ela, nn, Ludwik Lipowczan (Fojtek), Ludwik Lipowczan (z Dołku), nn, Andrzej Wantuła, nn, Karola, Zuzanna Szwiertnianka (Sikorowa), Rudek Blasbalg (Karol Tymowicz), Emilia Smitowska (Wallnerowa), Dzieci: Jasio i Tadzio Kubicowie (fot. ze zbiorów autorki)

Autorka pamiętnika interesuje się historią Polski, a w kontynuowaniu tej pasji pomaga jej Jędrzek. Znajdujemy bowiem w pamiętniku wiadomość, że dostała od niego kartkę z Warszawy, iż wkrótce przyjeżdża i będzie ją egzaminował, a nieco dalej: „Byłam egzaminowana z historii Polski. Jest to satysfakcja, można się dowiedzieć, czy się w ogóle coś umie i pamięta”. Nie jest jej obca mitologia grecka. Jakiś znajomy pół żartem stwierdza, że mogłaby zrobić wykład. Z dumą odnotowała, że kiedyś mając w świeższej pamięci imiona greckich bogów, poprawiła Jędrka. Bardzo też lubiła się uczyć wierszy i deklamować je. Pomysły miała czasem niezwykle. Kto to widział, by wśród wesołej zabawy na weselu najstarszej siostry recytować „Konrada Wallenroda”? Co pomysleli sobie rozbawieni goście, słysząc nagle:

„Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza,
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza”.

Mama widać nie dostrzegła w tym nic niestosownego, bo jeszcze chwaliła się w pamiętniku: „Ja wtenczas deklamowałam wiersz *Alpuhara*. Wszyscy podziwiali mię i mówili, że szkoda zagrzebać takiego talentu. Rzeczywiście, nie chwając się, bardzo ładnie, z uczuciem deklamowałam. Postawili mię na krzesło, na końcu miałam lzy w oczach, z pewnością z tremy”.

Sporo w pamiętniku wzmianek o wystawianych przez młodzież sztukach teatralnych i odczytach (np. studenta Jadwiszczoka pt. „Złoty wiek Polski i Polska na drodze do upadku”), obchodach trzeciomajowych. 3 maja roku 1926 Macierz Szkolna urządziła wieczorek. Jędrzej Wantuła będący na miesiąc przed maturą wygłosił przedmowę. „Wzbudził u wszystkich podziw treścią i wymową. Gratulowano mu ze wszystkich stron, porównując go ze złotoustym Skargą. Grano też sztukę *Raclawickie kosy*. Julcia grała i była prześliczna” – zanotowała Ela. Wspomniała też o wieczorku Macierzy z okazji 900. letniej rocznicy koronacji Bolesława Chrobrego i swój występ w roli starej ciotki w „Panu Pośle”.

Młodzież chętnie chodziła również do Czytelni Katolickiej. Opis kurtyny znajdującej się w niej, dziś z takim pietyzmem odnowionej, zajmuje całą stronę pamiętnika. Mama wymienia wystawiane tam sztuki „Kucie kos” i „Zaręczyny w plantacjach”. Piszę też o innych przedstawieniach, nie wymieniając ich nazwy: „Grano dwie sztuki – pierwsza bardzo smutna, a druga niemoralna, ale wesola”. Udało mi się ustalić, że to przedstawienia grane 5 kwietnia roku 1926 – A. Staszczyka „Dziesiąty Pawilon” oraz „Pan Grajcarek idzie w kumy” nieznanego autora.

Z ogromnym przejęciem opisała mama podróż z bratem do rodziny swego ojca na Słowacji. Najpierw wstąpili do rodziny w Ostrawie, gdzie po raz pierwszy w życiu słuchali koncertów radiowych, potem znaleźli się u krewnych na wsi: „Wieczorem stryj siadał na ławie i grał na harmonii. Stryj, staruszek, z białym wąsem wyglądał jak dziadek leśny, a przy nim Mariszka, dziecina pogodna, jak rusalka. W kącie izby paliła się świeca. Siedzieliśmy w mroku, słuchając tęsknych piosenek Mariszki i stryjostwo też czasem coś nucili. Było to jak w bajce. Ile szczęścia i pogody jest czasem pod strzechą wieśniaków”.

Najbardziej jednak mama kochała swój dom rodzinny i siedząc w nim kiedyś samotnie w niedzielne popołudnie zanotowała: „U nas z każdego kątką w domu wieje ciepło zgody i spokoju rodzinnego”. Przejmowała się bardzo wieloma sprawami, opisywała wygląd i charakter swych przyjaciółek, kierując się w ocenie ich posunięciami. Bardzo ubolewała, kiedy jedna z nich storpedowała czynny udział młodzieży w dożynkach. Mianowicie Macierz chciała, by młodzież ewangelicka wystąpiła w pochodzie z sierpami, grabkami i kosami w pięknych, bogatych strojach śląskich. A ta koleżanka z pustoty nie chciała w stroju wystąpić „mimo to, że jej mama i wszystkie jej ciocie tak chodzą ubrane. Smutne to, że córce strój mamy się nie podoba. Rozwiały się dożynki dzięki dwom głosom, które doszły do sfer wyższych. Ks. Nikodem i nauczyciele byli oburzeni i mówili, że wobec tego nie warto urządzić dożynek. Dużo sobie swym nierozsądkiem (...) zaszkodziła”.

Ciocia Karolina tak oto została zaprezentowana w pamiętniku mamy: „Karola wtenczas wyrosła i zaczęła być ładna. Śliczna była w białej sukni, powiewnej. Miała bujne blond włosy, czarne oczy i brwi. Ona się wszystkim najwięcej podobała, Słowem, cud dziecko”. Była przedobłą osobą. Podobnie jak siostry bardzo uczynna i szlachetna, ale charakter miała bardziej zdecydowany. Moim dzieciom nie bez



Karola
(fot. ze zbiorów autorki)

dobroci bezinteresownej – czyjś gest serdeczny, uśmiech przyjazny – i coś nas do tych ludzi ciągnie, łącimy do nich, jak do bliskich. Ludzie miłości serce oddawczy, Bogu w nim dom czynią, a jeżeli my na nich patrząc, coś odczuwamy, to jest to tęsknota za dobrym Bogiem, który może znaleźć swój dom w sercu naszym”. W pamiętniku mama nazwała ciocię Karolę „aniołem niosącym ulgę”, ale w listach zdarzały się nie-raz słowa krytyki pod adresem siostrzyczki. Są tak pięknie sformułowane, że pozwolę



Haft Karoliny
(ze zbiorów autorki)

skrywanej dumy opowiadała, jak to kiedy babcię pytano: *Tóż jaki mająm ty dziecka?* wskazując na Lolkę odpowiadała: *Ta je nejspórnieszo* (najbardziej niegrzeczna). Listów z reguły nie pisała, a jeśli już nadszedł od niej jakiś, wszyscy przed przeczytaniem drżeli, że wydarzyło się nieszczęście. Niezmiennie też zawierały post scriptum: „Spal ten list”. Kiedyś moja mama ostro napisała, że listu nie spali ani nie życzy sobie, by jej listy uległy unicestwieniu. Dzięki spełnieniu tej prośby mam dziś stosik pięknych, pełnych poezji listów. Na chybił trafił wyjmuję z koperty jeden z nich i czytam: „Dobroć to jeden z cudownych blasków miłości, jeżeli go zapalamy, przy każdej sposobności czyniąc mądrze i dobrze, rozjaśnia nam życie i rozgrzewa duszę. Wielkim to szczęściem urodzić się dobrym. Nieraz przypominamy sobie spotykane odruchy

sobie przytoczyć fragment: „Odjechałaś – trochę się jeszcze gryzłam tą Twoją zaściankowością, drobiazgowością, narzucającą na małe rzeczy pozory ważności, tamującą naturalny bieg rzeczy, w ogóle swobodę”.

Ciocia pięknie haftowała i malowała. I dziś ściany zdobią pełne sztuki dzieła jej rąk – piękny orzeł w koronie na czerwonym tle i dzban z kwiatami, a także dwa niezłe obrazy olejne. Swoje zamiłowania sportowe realizowała, grając w tenisa. Wujek Rudek podkpiwał sobie z niej dobrodusznie, nazywając ją „pierwszą raketą Ustronia”, a koleżanki w listach pytały o postępy.

Moja mama od osiemnastego roku życia pracowała jako kasjerka w Spół-

dzielni Spożywców, zwanej popularnie Konsumem. Bardzo pięknie zapisała się w pamięci młodszego kolegi spółdzielcy, Józefa Pilcha, znanego potem historyka ziemi cieszyńskiej, działacza kulturalnego i bibliofila, który sklep i jego kasjerkę tak wspomina:

„Ten sklep, prymitywnie urządzony, bez wystawy, stawał się coraz bardziej popularny, miał coraz więcej odbiorców. Powiększał się również jego personel. Przypominam sobie dzień, w którym za ladą stanął młodziutki, energiczny ekspedient Irecki, a w niedługim czasie jeszcze młodsza od niego, sympatyczna kasjerka Blasbalżanka, która ogromnie lubiła dzieci, a myśmy ją nie tylko lubili, ale naprawdę kochali. Znała nasze charaktery, upodobania, często wypytywała, jak nam idzie nauka, kto uczy, czy kochamy naszego nauczyciela, czy

sluchamy rodziców, umiała poradzić, pocieszyć zatroskane dziecięce serca, nieraz obdarowywała karmelkiem, czy też jakimś ładnym kartonikiem.

Ta miła, zawsze uśmiechnięta dziewczuszka, nie tylko prowadziła kasę i w wolnych chwilach obsługiwała klientów, ale nas, szkolną dziatwę, wychowywała. Ile to razy przy odbieraniu karmelka czy kartoniku słuchałem takich słów *...ale za to musisz się dobrze uczyć w szkole, zawsze słuchać swoich rodziców, być grzecznym... a przede wszystkim wszystko kupować w naszym sklepie*. Kiedy z końcem kwartału otrzymaliśmy świadectwa szkolne, *nasza kasjerka*, jak ją nazywaliśmy, nieraz życzyła sobie je obejrzeć. Jeżeli stopnie były dobre – dostawało się karmelka. Traktowała wszystkich jednakowo; na równi z dzieckiem bogatego gospodarza czy urzędnika stawiała mnie, syna ubogiej wdowy, oberwańca z połatanymi spodniami, w łapciach ze świńskiej skóry, zwanych na Śląsku Cieszyńskim *kyrpcami*. Dzisiaj mogę powiedzieć, że poza domem rodzinnym i szkołą, trzecim wychowawcą dziatwy była miejscowa spółdzielnia spożywców, reprezentowana pod tym względem przez swoją kasjerkę Blasbalżankę. Uważałem odtąd, że kasjerka ze spółdzielni jest pierwszą osobą po nauczycielu, przed którą trzeba zdjąć czapkę na ulicy i grzecznie się uklonić.

Patrząc dzisiaj, już jako człowiek dojrzały, na te czasy, muszę stwierdzić, że kasjerka spółdzielni ustrońskiej, która bez przerwy, aż do wybuchu wojny w roku 1939, była tam zatrudniona, stała się nie tylko w pełnym tego słowa znaczeniu pracownikiem spółdzielczym, ale prawdziwym działaczem społecznym i pracownikiem społeczno samorządowym dla dziatwy szkolnej.”

Parę stron dalej Józef Pilch pisze:

„W Wiśle, naprzeciw sklepu stała nowa szkoła powszechna. Toteż dzieci stale odwiedzały prowadzony przeze mnie sklep spółdzielczy. Staralem się wpływać na maleństwa i wychowywać je metodami, jakie przed laty, gdy jeszcze sam byłem brzdącem, stosowała do mnie kasjerka sklepu głównego w Ustroniu. Może kiedyś po



Ela
(fot. ze zbiorów autorki)

latach – myślałem sobie – któreś z nich przypomni sobie *panoczka ze spółki* i scharakteryzuje jego postępowanie tak, jak ja to robię teraz w stosunku do panny Blasbalżanki” (ss.71 i 78-79).

Czyż można napisać pięknie!

W podarowanym mamie egzemplarzu wydanej w roku 1963 przez Zakład Wydawnictw CRS w Warszawie książki „Wspomnienia działaczy spółdzielczych”, z której pochodzą zacytowane słowa, widnieje dedykacja: „Milutkiej i kochanej kiedyś przez nas dzieciaków *kasjerce* p. Elżbiecie Dostalowej ofiaruje przyjaźnie J. Pilch.”



Karola i Ela w drodze do Visby
(fot. ze zbiorów autorki)

Jak już wspomniałam, dwoje z roduństwa babci wyemigrowało przed pierwszą wojną światową za ocean, natomiast siostrzeniec Erwin, który dzieciństwo spędził u swej cioci a mojej babci, wyruszył w marcu roku 1927, po trzydniowym pobycie u Andrzeja Wantuły w Warszawie, gdzie – jak napisał w liście już z Ameryki do cioci Karoliny - miał się „wysmienicie”, na pokładzie „George’a Washingtona” do swoich właściwie nieznanym rodziców i dwóch braci. Parę lat później do Ustroń przyjechała z wizytą jego mama. Pojawił się też wuj z Argentyny, który przekazał gospodarstwo dzieciom, zamieszkał w Buenos Aires i został misjonarzem. Częstymi gośćmi w naszym domu rodzinnym były też uroczsiostrzenice babci z Wendryni, a także rodzina dziadka ze Słowacji i Czech. Blasbalżanki mogły się więc nasłuchać i nacytać opowieści z dalekiego świata. Na pewno wielkie wrażenie wywarła relacja ze zwiedzania Nowego Jorku,

w którym siostra mojej babci spędziła, po powrocie z Polski z oczekującym tam na nią mężem, trzy dni. W pisanym gwarą liście zatytułowanym *Drodzy Przocielo* czytamy: „Widzieli my największą Radio Station z całego świata, to nas tam wszędzie w tym budynku pokludzili i wszystko my jako ty programy robią, wszystko my widzieli i rozmajte insze, strasznie długi most, co my szli pół godziny, wszystko się nóm bardzo podobało, w Hotelu my mieli izbe na 19 piętrze, to my tak moc z okna widzieli - rzyke Hudson”.

Blasbalżanki zaś raczej niewiele podróżowały. Uczestniczyły w spotkaniach młodzieży ewangelickiej. Pobyt na zjeździe w Warszawie zaowocował przyjaźniami, trwającymi potem przez długie lata. Wybrały się na „Zjazd Zborów i Towarzystw Ewangelickich” (tak podpisane jest zdjęcie w albumie) do Krakowa w roku 1929. Wiele natomiast chodziły po okolicznych górach, z rzadka wypuszczały się w Tatry. Latem roku 1935 Julia i Ela były ze swą mamą na Helu, a w następnym roku SS

„Kościszko” Karolina z Elały popłynęły „poprzez fale Bałtyku do miasta ruin i róż. Visby. Gotland, sierpień 1936” (napisała mama białym atramentem w swym albumie). Odwiedziły tam przebywającą w tym szwedzkim mieście na stażu naukowym przy-jaciółkę – przyrodniczkę Marysię Tschirschnitz. To ona po latach zasadziła przed naszym domem piękną metasekwoję. W roku 1939 podróż do Chicago planowała ciocia Karola, ale niestety z wiadomych względów musiała z tego zamiaru zrezygnować.

Ważną częścią życia Julii i Elżbiety stanowiła praca w Stowarzyszeniu Młodzieży Ewangelickiej, które w okresie międzywojennym przybrało nazwę Związek Polskiej Młodzieży Ewangelickiej. Było ono pierwszym polskim związkiem w Ustroniu i borykało się w pierwszym okresie z wieloma trudnościami. W roku 1898 (data powstania), a więc jeszcze w czasach zaboru austriackiego, część ewangelickiej społeczności Ustronia odniosła się do inicjatywy powołania tej organizacji z nieufnością z powodu nieświadomości narodowego. Nie wszystkim podobało się, że biblioteka młodzieżowa będzie miała w swoich zasobach wyłącznie polskie książki. Do grona założycieli należał Jan Wantuła, późniejszy teść Julii. Stowarzyszenie, początkowo nieliczne, rosło w siłę przy duchowym wsparciu takich osób, jak: dyrektor szkoły Jerzy Michejda, ks. Paweł Nikodem i nauczyciel Jan Wałach. Na Walnym Zebraniu w 30. lecie powstania powołano nowy Zarząd, w którego skład weszli: po raz trzeci Ludwik Lipowczan (z Dołku) jako prezes, Jerzy Czapla (przedstawił on historię związku od chwili jego powstania), J. Sztwiertnia, dwaj Sikorowie oraz obie Blasbalżanki.

Nie wiem, czy to było ich pierwsze członkostwo w Zarządzie i jak długo trwało. Zanim przytoczę wyłowione z „Posła Ewangelickiego” ślady działalności scenicznej obu sióstr, zatrzymam się na treści wykładu Julii Blasbalżanki, który wygłosiła na jednym z zebrań Stowarzyszenia. Ten pozbawiony tytułu rękopiśmienny tekst mówi o zadaniach młodzieży. Autorka zacytowała na wstępie myśl znanej ówczesznie działaczki młodzieżowej Marii Hornowskiej: „Na młodzieży ciąży więcej obowiązków niż na innych. Od jej oświaty, rozumu i ducha zależy w dużej mierze przyszłość ojczyzny i narodu”. Wskazała na potrzebę pracy, pracy nad sobą, nad zdobywaniem wiedzy. Młodość jest dobrem, którego nie można zmarnować. Stowarzyszenia istnieją m. in. po to, by pomóc młodym ludziom w kształceniu się. Spotkania nie mogą ograniczać się „do prowadzenia pustych rozmów i opowiadania dowcipów”. Należy na nich śmiało wypowiadać własne zdanie, by móc wymieniać poglądy, słuchać sądów innych. Celem stowarzyszenia jest zbliżanie młodych ludzi do siebie. Ma ono sobie stawiać wzniosłe cele. Podkreśliła trudności w pracy, w większym gronie (w roku 1928 do ZME należały 62 osoby), akcentowała zgubny wpływ ducha czasu. Zwróciła uwagę na odpowiedzialność wszystkich za dobre imię związku, na potrzebę wypracowania właściwej postawy moralnej, co w efekcie zachęciłoby do wyężonej pracy. Mówiła, jak wielkie znaczenie ma we wzajemnych relacjach szczerść i serdeczność, wzorowe postępowanie, samokrytycyzm, który powoduje też większą wyrozumiałość względem innych. Nawoływała do czytania dobrych książek w celu pogłębienia wiedzy. Za ważne uznała przygotowywanie wykładów (jeśli ktoś nie czuje się na siłach, mógłby coś odczytać). Religijność ma polegać nie tylko na uczęszczaniu na nabożeństwa, ale na wcielaniu w życie nauki Chrystusa. „Jest nas tylko garstka w Polsce” – mówiła. „I dlatego na zewnątrz ma nasz związek wielkie znaczenie. My musimy okazać, że jesteśmy dobrymi Polakami i dobrymi ewangelikami. Takie postępowanie wesprze Stowarzyszenie moralnie”. Poruszyła także sprawę urządzania wieczorków, w ogóle

działalności kulturalnej, nadmieniając o trudnościach lokalowych. Tu dodam, że oficjalnego otwarcia Domu Młodzieży „Prażakówka” dokonano dopiero w roku 1934, jednak już w roku 1928 urządzono, dzięki staraniom Zarządu, lokal dla młodzieży. Swoje wystąpienie Julia Blasbalzanka zakończyła apelem o gromadzenie funduszy na cele nie tylko Stowarzyszenia, lecz i ogólnokościelne słowami: „Jeżeli za młodu nie wyrobimy w sobie tej ofiarności i poparcia dla dobrych celów, to potem już będzie za późno”.

Najmłodsza z Blasbalzanków również przygotowywała materiały na spotkania młodzieżowe. Porywała się na rzeczy trudne, wśród pamiątek bowiem znalazłam referat zatytułowany: „Psychologia indywidualna Adlera”. Chylę czoła! W jednym z numerów „Posła” z roku 1936 czytamy: „Na każde wtorkowe zebranie Z.P.M.E. opracowuje jeden z członków tak zwany żywy dziennik. Składamy w nim próby własnej pracy myślowej i piśmiennej”. Po przeczytaniu tej informacji łatwiej mi było zrozumieć fragment listu mojej mamy do cioci Karoli z października roku 1936, w którym pisze o wizycie ks. Pawła Bocka, której celem było nakłonienie mojej mamy do napisania dziennika na najbliższe spotkanie. Wybrała temat „O kulturę serca” i po wygłoszeniu usłyszała, że ten dziennik był cudowny „jak jasny snop światła”.



„Pan Jowialski” – siedzi Ela, stoi druga od lewej Julia
(fot. ze zbiorów autorki)

Wieczorki urządzone przez młodzież ewangelicką skupioną w Stowarzyszeniu cieszyły się wielkim powodzeniem. Amatorzy wkładali wiele wysiłku i serca w swe przedsięwzięcia artystyczne. Niemały udział miały w tym obie Blasbalzanki. Nie dotarłam do pierwszych recenzji ich popisów scenicznych, które na pewno w przypadku Julii nie zaczęły się od ról w „Panie Pośle” Fijałkowskiego, wystawionym 3 stycznia roku 1926, bo Ela w pamiętniku parę miesięcy wcześniej notowała: „Julcia grała zawsze główne role. Grała jak artystka i gra, jest ulubienicą publiki. Ja też odgrywałam w sztuce *Wicek i Wacek* rolę jakiejś Maryski”. Julia natomiast napisała do Jędrzeja

Wantuły w związku z „Panem Posłem”, że ma dość ról młodych panienek i dlatego trudno jej było wczuć się w odtwarzaną postać. Z listu dowiadujemy się też, jak mozolne, męczące, pełne obaw i zniechęcenia były próby. Na szczęście sztukę przyjęto z najwyższym uznaniem. Oto fragment recenzji: „Córka *posta* – Jul. Blasbalżanka swą grą delikatną, nacechowaną głębokim zrozumieniem roli, filuterią zyskała ogólny aplauz i uznanie. Partnerem godnym jej był pan K. Hławiczka, który dołożył wszystkich starań, by rolę swą oddać należycie. Także żona *posta* (Gajdziczanka), Antek (L. Lipowczan), ciocia (E. Blasbalżanka) i dziedzic (P. Kozieł) swą piękną grą zadowolili wszystkich”. Rok później wystawiono „Dom otwarty” Michała Bałuckiego. W „Pośle Ewangelickim” brak szczegółów dotyczących gry aktorów, jest jedynie ogólna uwaga, że „niektóre amatorki wywiązały się ze swego zadania wprost znakomicie”. Przedstawienie poprzedził wykład studenta teologii Andrzeja Wantuły o rozwoju komedii od starożytności do epoki Michała Bałuckiego. W albumie rodzinnym mojej mamy jest zdjęcie młodego człowieka z podpisem „Mój partner ze sztuki *Dom otwarty*”, więc z pewnością w niej grała.

Wielkim sukcesem okazał się „Pan Jowialski”. Sala wypełniona po brzegi, recenzja znakomita! „I pp. Matulanka (Szambelanowa) i Julcia Blasbalżanka (Helena) stworzyły nadzwyczaj inteligentne kreacje. Miły nastrój niewymuszonej wesołości wprowadziła na scenę sympatyczna para staruszków Jowialskich (pp. Ela Blasbalżanka i Jerzy Czapła)” – doniósł „Poseł Ewangelicki” w numerze 6 z roku 1929. Julia co prawda odgrażała się w liście do Jędrka po tym przedstawieniu: „Już się moja kariera sceniczna na zawsze skończyła”, nie przerwała jej jednak i kilka razy jeszcze pięknie deklamowała wiersze, np. w roku 1928 z okazji 30. lecia ZPME recytowała „Proroka” Jerzego Żuławskiego w Hotelu Kuracyjnym, z okazji Święta Młodzieży w maju roku 1932, a także na akademii pasyjnej w roku 1934. I to zapewne o tym ostatnim występie przypomniała jej po latach w siostrzanym liście Ela: „Na otwarcie Prażakówki widzę Cię, kiedy mówisz wiersz *Święty Boże*. Ręce masz złożone na tle różowej aplikacji czarnej aksamitnej sukni. Piękne, niezapomniane czasy, dalekie, a zawsze w pamięci wyraźne, rzeźbiły nasze życie”.

Chciałabym na zakończenie poświęcić parę słów mojej babci, czyli *stareczce*, bo tak ją *po naszymu* nazywaliśmy. Była cicha, dobra, skromna, mądra, pracowita i religijna. Nie lubiła czczych, pustych rozmów i wołała każdą wolną chwilę spędzać nad książką niż na pogawędkach. Nie pamiętam, by podnosiła głos na kogoś. Była niezwykle taktowna. Kiedy byłam nieposłuszna, mówiła tylko „Basio, Basio” (tylko ona używała tej przedziwnej formy), a ja natychmiast wiedziałam, że przegięłam i było mi wstyd. Z przeżyć z nią związanych najbardziej utkwiło mi w pamięci wspólne, tylko z nią spędzanie w dzieciństwie Wielkiego Piątku. Mama musiała być tego dnia w pracy, a myśmy razem w smutku i z powagą świętowały ten najważniejszy dla ewangelików dzień. Stareczka otwierała oprawną w skórę, opatrzoną klamrami postyllę wileńskiego biskupa ks. Samuela Dambrowskiego i czytała z niej drukowane gotykiem kazanie, a potem śpiewaliśmy dziesięć wyznaczonych w kancjonale ks. Jerzego Heczki pieśni. Przez ostatnie lata swego długiego życia miała pogłębiające się kłopoty z pamięcią. Nawet wówczas, już tylko z przyzwyczajenia, brała w spracowane dłonie książkę. W tym schyłkowym czasie odżyły wspomnienia z wczesnej młodości. Bardzo też lubiła wtedy śpiewać hymn austriacki, wszak wychowała się pod miłościwym panowaniem Franciszka Józefa! Zwłaszcza kiedy pojawiali się

goście, ze zniewalającym uśmiechem proponowała, byśmy z nią zaśpiewali: „Boże wspieraj, Boże ochroń nam Cesarza i nasz kraj, tarczą wiary rządy osłoń, państwu Jego siłę daj”, bądź w wersji niemieckiej: *Gott erhalte, Gott beschütze unsern Kaiser, unser Land!* itd. Za PRL-u wprawiła kiedyś w konsternację odśpiewaniem tego hymnu komisję wyborczą...

Na koniec chciałabym zaprezentować moje ulubione zdjęcie, przedstawiające *stareczkę* z piszącą te słowa wnuczką Basią Dostalówną, wykonane w kuchni, do której w sobotnie popołudnia wnoszono sławetny *zicbad*.



„Stareczka” z wnuczką Basią Dostalówną, rok 1942
(fot. ze zbiorów autorki)



Mgr **Barbara Żyszkowska** z domu Dostal, ur. 27 stycznia 1941 r. w Ustroniu. Absolwentka kolejno: Szkoły Podstawowej nr 2 w Ustroniu, Liceum Ogólnokształcącego im. Pawła Stalmacha w Wiśle, Wydziału Filologii Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Pracę magisterską nt. odmiany wyrazów w gwarze Ustronia na tle gwar południowej Polski napisała pod kierunkiem prof. Witolda Doroszewskiego. Pracowała w Bibliotece Naukowej PAN, potem do roku 1979 w Redakcji „Zwiastuna” w Warszawie. Autorka: „Był wśród nas” (publikacja upamiętniająca 25. rocznicę śmierci ks. bp. Andrzeja Wantuły), „Matka Jezusa z kazaniach ks. Samuela Dambrowskiego”, „Sakrament Ołtarza w kazaniach ks. Samuela Dambrowskiego”, współautorka i redaktorka „Losów wojennych ks. Andrzeja Wantuły”. Od 2007 r. należy do Towarzystwa Miłośników Ustronia.

Bożena Kubień

Ustrońskie ślady rodziny Świstunów

Ludzie żyją tak długo, jak długo żyje pamięć o nich. I chociaż nie każdy tworzy wielkie dzieła, to każdy tworzy historię – rodzinną, swojej miejscowości, swojej ziemi oraz społeczności, wśród której przyszło mu żyć i pracować ...

Niechaj więc ocalone od zapomnienia losy rodziny Świstunów staną się kolejną próbą zapisania licznych, pustych kart z dziejów Ustronia.

W tym miejscu pragnę zaznaczyć, iż Świstunowie, a dokładnie – Karol Świstun, był osobą, która w widoczny sposób wpłynęła na rozwój naszej miejscowości w okresie międzywojennym. Z perspektywy lat można stwierdzić, że bez jego osobistych wpływów, znajomości oraz podjętych decyzji inaczej potoczyłyby się losy ustrońskiego uzdrowiska.



*Dom nauczyciela Jana Śliwki na ustrońskich Lachowicach, lata 30. XX w. (zburzony w połowie XX w.)
(fot. ze zbiorów Urszuli Wantuły-Rakowskiej)*

Celem przybliżenia historii jego rodziny oraz dokonań, należy cofnąć się do trzeciej dekady XIX stulecia, a dokładnie do 5 lutego 1823 r. Tego dnia bowiem, w Ustroniu, na Zawodziu Dolnym, przyszedł na świat **Jan Śliwka** – dziadek Doris ze Śliwków Świstunowej (małżonki wspomnianego Karola Świstuna), późniejszy, znany nauczyciel szkoły ewangelickiej w Cieszynie, a także zasłużony działacz narodowy i oświatowy.

Z badań nad genealogią opisywanej rodziny, przeprowadzonych przez Jana Sztefka, wynika, iż Jan Śliwka urodził się w przysiółku Lachowice, w domu numer 141, jako najstarszy syn Jerzego Śliwki (ur. 4 listopada 1792 r., zm. 29 kwietnia 1860 r.)

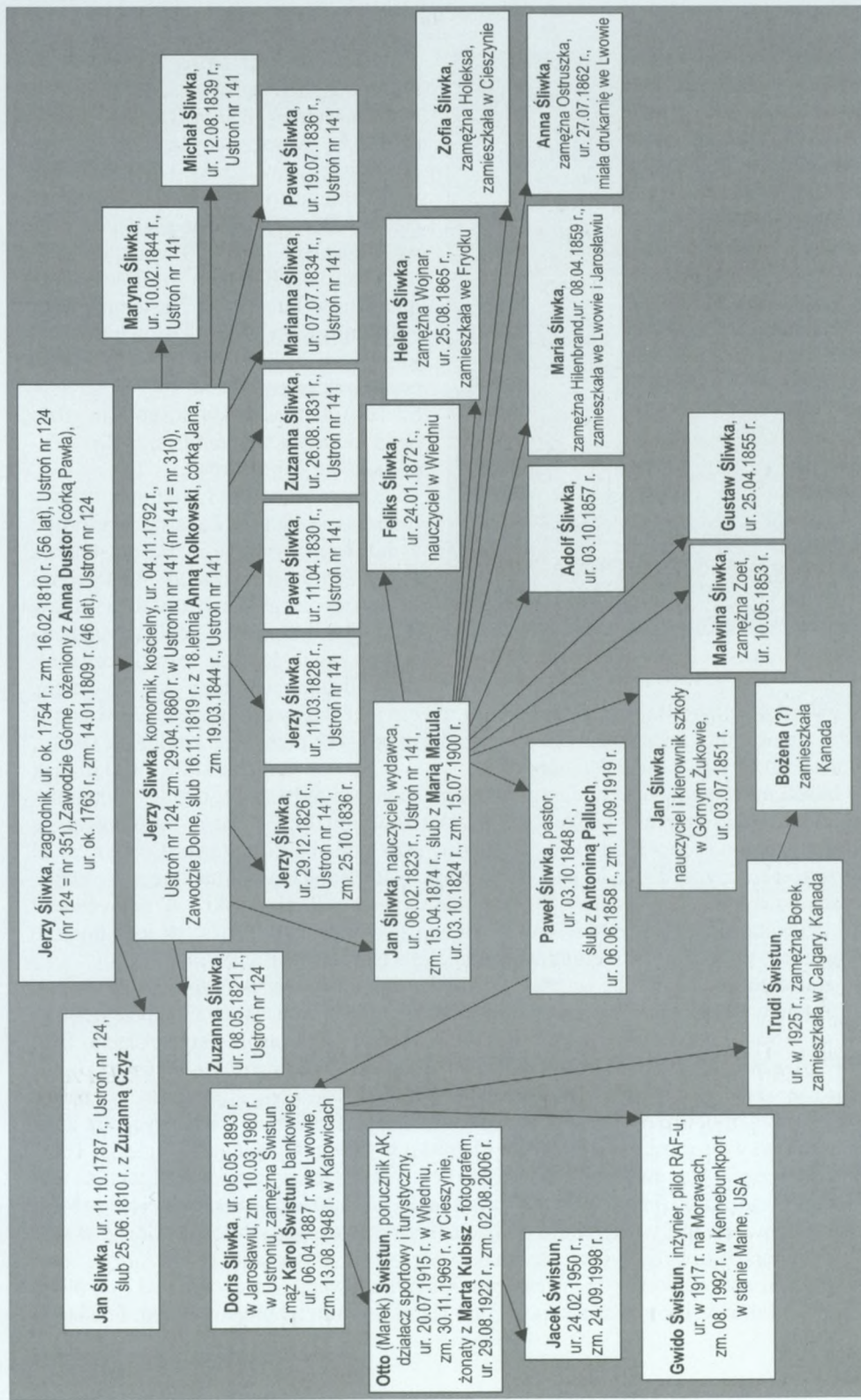
i Anny z Kolkowskich (ur. w 1801 r., zm. 19 marca 1844 r.). Przyszedł na świat w rodzinie komornika i kościelnego sługi, którego nie było stać na kształcenie swoich licznych – dziesięciorga dzieci. Ukończył szkołę ewangelicką w Ustroniu, a następnie, przy pomocy ks. Karola Kotschego, ewangelickie gimnazjum w Cieszynie. Znanymi ze swej energii i pracowitości, a także dużych zdolności pedagogicznych, odegrał Jan Śliwka istotną rolę w procesie budzenia świadomości narodowej na Śląsku Cieszyńskim, szczególnie po okresie Wiosny Ludów. Był współtwórcą nurtu polskiego w nauczaniu – autorem licznych polskich podręczników dla szkół ewangelickich, między innymi pierwszego elementarza *Początki czytania dla użytku szkół ludowych na Górnym Śląsku*, wydanego w 1852 r. Dał się również poznać jako organizator ruchu nauczycielskiego na Śląsku. Luźne dotychczas konferencje nauczycielskie przekształcił, w 1848 r., w Stowarzyszenie Nauczycieli Ewangelickich, które żądało między innymi: upaństwowienia szkół, wprowadzenia przymusu szkolnego dla dzieci między szóstym a trzynastym rokiem życia, zakazu przyjmowania dzieci do pracy oraz wprowadzenia języka polskiego jako wykładowego; i było stowarzyszeniem to prototypem późniejszego Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego. Walczył o nowoczesną, dobrze zorganizowaną, polską szkołę ludową – jedną z konferencji nauczycielskich takiej właśnie problematyce poświęconej, zorganizował w sierpniu 1858 r., w swoim rodzinnym Ustroniu.

Jan Śliwka rozwijał również ożywioną działalność na terenie cieszyńskiego zboru ewangelickiego. W latach 1861-1872 stał się współtwórcą nurtu polskiego w kościele ewangelickim, tym samym przyczyniając się do wyboru ks. dr. Leopolda Otto, po powstaniu styczniowym zmuszonego do opuszczenia Warszawy, na pastora zboru cieszyńskiego. Ks. Otto stał się bardzo ważną postacią w rozbudzaniu narodowego ducha wśród ewangelickiej ludności Śląska Cieszyńskiego. Brał czynny udział w działalności polskich instytucji, szczególnie w Stowarzyszeniu Nauczycieli Ewangelickich oraz w Czytelni Ludowej.

Jan Śliwka zmarł w Cieszynie, po ciężkiej chorobie, 15 kwietnia 1874 r., aczkolwiek przedwczesna śmierć nie przyćmiła jego dzieła, które okazało się dokonaniem trwałym.

Jan Śliwka był żonaty z **Marianną Matulaną** (ur. 3 października 1824 r., zm. 15 lipca 1900 r.) – córką mieszczanina cieszyńskiego. Dochowali się również liczne potomstwa – pięciu synów i pięciu córek. Najstarszy z ich dzieci – późniejszy pastor Senior **Paweł Śliwka** (ur. 3 października 1848 r., zm. 21 kwietnia 1908 r.) był zwierzchnikiem zboru ewangelickiego na zachodnią Galicję. Zmarł i pochowany został na cmentarzu ewangelickim w podkrakowskiej Wieliczce – jego ostatniej parafii. Tam, na nagrobku ks. Pawła Śliwki zachował się napis: *TU SPOCZYWA PAWEŁ ŚLIWKA PASTOR EWANGELICKI * 3 X 1848 + 21 IV 1908 DO CIEBIE PANIE WZDYCHA SERCE MOJE W TOBIEM POŁOŻYŁ JA UFANIE SWOJE PROSI O WESTCHNIENIE DO BOGA.*

Doris ze Śliwków Świstunowa przyszła na świat 5 maja 1893 r. w Jarosławiu, gdzie wówczas jej ojciec sprawował funkcję pastora na tamtejszej parafii. Była córką wspomnianego ks. Seniora Pawła Śliwki oraz **Antoniny z domu Palluch** (ur. 6 czerwca 1858 r., zm. 11 września 1919 r.), do rodziny której należała w XIX w. jedna z cieszyńskich drukarni.



Niektóre gałęzie drzewa genealogicznego rodzin Świątków (w opracowaniu Jana Szeffka) i Świątunów (w opracowaniu Bożeny Kubień)



Doris ze Śliwków Świstunowa (1893-1980), 1954 r.
(fot. z archiwum rodzinnego córki Trudi Borek)

Natomiast mąż Doris – **Karol Świstun** pochodził ze Lwowa, gdzie urodził się 6 kwietnia 1887 r. Tam też ukończył c.k. Akademię Handlową. Podczas I wojny światowej, jako porucznik w wojsku austriackim, walczył na froncie rosyjskim. W okresie po 1918 r. oraz we wczesnych latach 20. ubiegłego stulecia kierował Bankiem Austriacko-Węgierskim w Jarosławiu. Następnie, wraz z małżonką i synami – **Otonem (Markiem)** (ur. 20 lipca 1915 r. w Wiedniu) oraz **Gwidonem** (ur. w 1917 r. na Morawach), zamieszkał w Sosnowcu, gdzie objął kierownictwo tamtejszej Kasy Zapomogowo-Pożyczkowej.

20 stycznia 1924 r. na mocy ustawy o naprawie Skarbu Państwa i reformie walutowej (wymiana marki polskiej na złotego) ministra skarbu Władysława Grabskiego, założony został prywatny Bank Polski Spółka Akcyjna z siedzibą w Warszawie. Jego akcje, w drodze emisji publicznej, nabyli zwykli obywatele, w związku z czym Bank ten był w dużej mierze niezależny od ówczesnych władz II Rzeczypospolitej, jednakże realizował rządową politykę pieniężną. Do końca 1944 r. Bank Polski S.A. posiadał monopol państwowy na emisję banknotów, aczkolwiek w latach międzywojennych jego głównymi zadaniami były także: regulowanie obiegu pieniężnego oraz ułatwianie kredytu. We wrześniu 1939 r. Bank ewakuował się do Paryża, a następnie, od czerwca 1940 r. jego siedzibą pozostawał Londyn, skąd w 1946 r., decyzją Zarządu pod przewodnictwem Bohdana Winiarskiego, siedziba władz powróciła do Warszawy. Po II wojnie światowej Bank Polski S.A. nie wznowił już działalności, lecz wszedł w stan likwidacji zakończonej w 1952 r. W jego miejsce powołano, w 1945 r., całkiem nową jednostkę – Narodowy Bank Polski.

Karol Świstun właśnie, w połowie lat 20. minionego wieku, został mianowany dyrektorem Oddziału, opisanego wyżej Banku, w Sosnowcu. W 1929 r. przeniesiono go na to samo stanowisko, powierzając mu dyрекcję Oddziału Banku Polskiego S.A. w Katowicach. Będąc na tak odpowiedzialnym i zarazem wysokim stanowisku, a także żyjąc w wielkiej przyjaźni i współpracując blisko z wojewodą śląskim dr. Michałem Grażyńskim, mógł Karol Świstun podejmować decyzje związane z inwestycjami, jakie poczyniono w ustrońskim uzdrowisku i letnisku w latach 30. ubiegłego stulecia. Takie przedsięwzięcia były możliwe tylko dzięki dotacjom władz wojewódzkich, a co za tym idzie, prowadzącego finanse Urzędu Wojewódzkiego Śląskiego – Banku Polskiego S.A., na którego czele stał wtedy Karol Świstun. Telefon wojewody Michała Grażyńskiego do dyrektora Karola Świstuna, zaczynający się od słów: *Kochany panie Karolu*, znać było, iż sprawa dotyczyła inwestycji w Ustroniu lub najbliższej okolicy i była pilna, i nie do odmowy. Tym właśnie sposobem, Karol Świstun z ramienia Banku Polskiego

S.A. pomógł finansować w naszej miejscowości budowę między innymi basenu kąpielowego i przyległych kortów tenisowych. Ten nowoczesny, jak na owe czasy, kompleks rekreacyjno-sportowy oddano do użytku 2 lipca 1933 r., a uroczystości jego otwarcia dokonał dr Michał Grażyński w otoczeniu władz i urzędów. Podobnie rzecz się miała z Wojewódzkim Zakładem Leczniczo-Wychowawczym im. Józefa Piłsudskiego, czyli sanatorium w Istebnej Kubalonce, budowanym w latach 1931-1937, także dzięki pomocy finansowej Banku Polskiego S.A. Oddział w Katowicach.



2 lipca 1933 r. Uroczystość otwarcia basenu kąpielowego w Ustroniu. Wojewodzie śląskiemu dr. Michałowi Grażyńskiemu meldunek składa sierżant Pułku Strzelców Podhalańskich (fot. ze zbiorów Wojysława Suchty)



Zabudowania basenu kąpielowego w Ustroniu, wzniesionego dzięki dotacjom Urzędu Wojewódzkiego Śląskiego z pomocą finansową Banku Polskiego S.A. Oddział w Katowicach za dyrekcji Karola Świstuna (fot. ze zbiorów Muzeum Ustrońskiego)

W tym miejscu warty odnotowania jest również zapomniany fakt, iż Karol Świstun w latach 30. XX w. otrzymał tytuł „Honorowego Obywatela Ustronia”.

Dlaczego właśnie Karol Świstun i dlaczego właśnie Ustroń? Otóż bez wątpienia miało to związek z jego małżonką – Doris – wnuczką wspomnianego na wstępie nauczyciela Jana Śliwki z Lachowic na Zawodziu Dolnym i jej ustrońskimi korzeniami. Nie bez znaczenia pozostawał również fakt, iż państwo Świstunowie posiadali w Ustroniu dom, wakacyjną rezydencję – willę „Doris”.



Trudi Borek z domu Świstun, 1958 r.
(fot. z archiwum rodzinnego T. Borek)

W Kanadzie, w mieście Calgary mieszka pani **Trudi Borek z domu Świstun** (ur. w 1925 r.) – córka Doris i Karola Świstunów, która w liście, nadesłanym w czerwcu 2006 r., podzieliła się swoimi wspomnieniami – o rodzicach, braciach oraz o willi „Doris”. Dom ten, przy obecnej ul. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego 29, wpisany do ewidencji zabytków miasta Ustroń pod pozycją 135, stanowi namacalny i niestety dzisiaj już tylko jedyny ślad (basen kąpielowy w swoim pierwotnym wyglądzie nie istnieje) tego, co pozostało w naszej miejscowości dzięki zasługom Karola Świstuna oraz jego powszechnie szanowanej rodziny.

Do Ustronia przyjeżdżaliśmy wyłącznie na letnisko i to począwszy od 1925 r., aby uniknąć „złego powietrza” z katowickich hut i kopalń – wyjaśnia w swoim liście Trudi Borek. Dlatego też moi rodzice zdecydowali się wybudować tutaj willę, aby mieć wygodne mieszkanie dla rodziny na okres wakacji letnich i czasami zimowych..., no i pobyc trochę na świeżym, górskim powietrzu.

„Wywczasy” – tak miesięcznik „Dom Osiedle Mieszkanie” z lipca 1930 r. zatytułował artykuł poświęcony wypoczynkowi, któremu, jak przypuszczam, oddawała się wówczas w Ustroniu rodzina Świstunów: *Są chwile, gdy chce się uciec od najmiłszych nawet ścian własnego mieszkania, kiedy się pragnie bliższego zetknięcia z przyrodą, niż to, na które pozwala najbardziej nawet wypieszczony ogródek przy domu. Tęskni się do głębszego oddechu, do większej swobody, do innego krajobrazu, pożąda się ruchu i zmiany. Jeszcze mocniej potrzebę tę odczuwają ci, których udziałem jest mieszkanie złe, którym stale brak powietrza i słońca – to znaczy ci – najliczniejsi. Możliwość wyrwania się z kołowrotu codziennej pracy – urlop (...). Możliwość spędzenia tego urlopu w warunkach pozwalających na zbliżenie się z przyrodą, na radykalną zmianę sposobu bytowania, potęguje wielokrotnie znaczenie odpoczynku. (...).*

W tym celu właśnie, w późnych latach 20. ubiegłego stulecia Doris i Karol Świstunowie zakupili w Ustroniu, na tak zwanej *Wyrchowinie*, od rolnika Karola Banszla, spory kawałek ziemi o powierzchni 13.000 m² (1 ha 30 a), na której, w latach



Przed głównym wejściem do willi „Doris”. Od lewej: nn, Gwido Świstun, Doris Świstun, nn, Karol Świstun, Trudi Świstun, 1934 r. (fot. z archiwum rodzinnego T. Borek)



Willa „Doris” w Ustroniu – przedwojenna letnia rezydencja rodziny Świstunów, 1941 r. (fot. z archiwum rodzinnego T. Borek)



Przed willą „Doris”. Właścicielka Doris Świstunowa z dziećmi – Ottonem (Markiem) i Trudi (na ławce) oraz Gwidonem (w oknie), 1928 r. (fot. z archiwum rodzinnego T. Borek)

1928-1930, wzniesli swoją wakacyjną rezydencję, budynek o przedwojennym adresie: Ustroń 548, zwany willą „Doris” – od imienia żony właściciela. Projektantem domu i zarazem jego budowniczym był architekt Józef Kozieł z Bielska. Wokół rezydencji rozposzcierał się piękny ogród z altaną oraz ogromny sad – 365 drzew owocowych, w tym kilka włoskich orzechów, założony w 1929 r. przez sadownika Jana Wantułę na zlecenie gospodarzy.

Posiadłość Świstunów otaczały inne wille, wzniesione w sąsiedztwie, w podobnym okresie na *Wyrchowie*: „Jutrzenka” nauczycielstwa Zuzanny i Karola Sztwiertniów (przy obecnej ul. K. I. Gałczyńskiego 14), „Wierchy” inżynierostwa Jadwigi i Karola Duszanek (dzisiaj Żłobek Miejski przy ul. K. I. Gałczyńskiego 43) oraz pensjonat „Słoneczna” nauczycielstwa Joanny i Pawła Matulów (obecnie Wodociągi Ziemi Cieszyńskiej Sp. z o.o. przy ul. Myśliwskiej 10). Na ich tle, obrośnięta bluszczem willa „Doris” zdawała się odznaczać powagą oraz surowym dostojeństwem. Budynek wyróżniał

mansardowy dach oraz balustrady tralkowe zdobiące tarasy i schody prowadzące do domu, u wejścia którego znajdowały się stylowe drzwi, zwieńczone półkoliście nadświetlem.

Z chwilą przeniesienia Karola Świstuna do Katowic na stanowisko dyrektora tamtejszego Oddziału Banku Polskiego S.A., które nastąpiło w 1929 r., zmienił on wraz z rodziną swoje dotychczasowe miejsce zamieszkania z Sosnowca na to właśnie miasto. W swojej ustrońskiej posiadłości zaś spędzali Świstunowie wszystkie wakacje, święta oraz inne dni, wolne od pracy i nauki. *Wówczas moi rodzice* – wspomina pani Trudi – *byli bardzo zaprzyjaźnieni z sąsiadami – państwem Matulami, Duszankami, panią Zuzanną Sztwiertniową, a także z panią Marią Jurczokową – siostrą Jana Kozieła – dyrektora Banku Polskiego S.A. w Warszawie, pochodzącego z Lesznej Górnej. Wśród wielu znajomych mojego ojca był także kuzyn wspomnianego Jana Kozieła – Jerzy Kozieł, emerytowany dyrektor Oddziału Banku Polskiego S.A. w Chorzowie, urodzony w Ustroniu i posiadający tutaj willę „Ustronianka”.*

Willa „Doris” była malowniczo położonym, jednopiętrowym budynkiem. Jako jedna z nielicznych w tym czasie dysponowała łazienką z ciepłą i zimną wodą. Choć nie była typowym pensjonatem, przez całą dekadę lat 30. minionego stulecia gościła letników przyjeżdżających do Ustronia na wypoczynek. Prywatne, letnie mieszkanie właścicieli, składające się z czterech pokoi – dwóch dużych oraz dwóch

mniejszych na poddaszu, było na pierwszym piętrze. Tam mieściła się jadalnia oraz sypialnie gospodarzy i ich dzieci. Na tej kondygnacji urządzono również kuchnię oraz drugą służbówkę.



Początek lat 30. XX w. Stara, słomiana altana w ogrodzie państwa Świstunów, którą przed II wojną światową zerwał wiatr. W pierwszym rzędzie od lewej: Otto (Marek) Świstun, nn, Trudi Świstun. W drugim rzędzie od lewej: Doris Świstun, państwo Dobrowolscy z Warszawy, Karol Świstun, nn, nn, Jan Kozieł – dyrektor Banku Polskiego S.A. w Warszawie (fot. z archiwum rodzinnego T. Borek)

Natomiast część parterową domu, składającą się z czterech pokoi, kuchni, służbówki i łazienki, wynajmowała Żydówka z Sosnowca o nazwisku Rajkowa, prowadząca pensjonat „Słoneczna” Joanny i Pawła Matulów. Na jej zaproszenie w lipcu i sierpniu do willi „Doris” przyjeżdżali goście – zamożni Żydzi, fabrykanci i kupcy, przeważnie z Sosnowca oraz Warszawy. Parter budynku mogło wtedy swobodnie zamieszkiwać, jednocześnie dwanaście osób. *W latach dobrej koniunktury – pisze Trudi Borek – pani Rajkowa przerabiała także kuchnię oraz służbówkę na pokoje gościnne, uzyskując tym sposobem dodatkowe miejsce dla czterech osób. Pamiętam również, że przez kilka sezonów przyjeżdżał do nas na wypoczynek właściciel Międzynarodowego Banku Handlowego S.A. w Katowicach – dr Joachim Krieger z rodziną, swoją kucharką oraz pokojówką. Doktorostwo zajmowali cały parter naszej willi – wtedy nie zarządzała nim pani Rajkowa.*

Międzynarodowy Bank Handlowy S.A. w Katowicach istniał w latach 1922-1939. Z chwilą wybuchu II wojny światowej zawiesił swoją działalność, a jego właściciel – dr Joachim Krieger wyjechał do Francji, skąd następnie udał się do Stanów Zjednoczonych.

Zapraszani przez panią Rajkową goście willi „Doris” stołowali się w sąsiednim, dysponującym odpowiednim zapleczem kuchennym oraz dużą jadalnią, pensjonacie „Słoneczna”.



W ustrońskim ogrodzie państwa Świstunów. Trudi Świstun (pierwsza z lewej) z bratem Ottonem (Markiem) oraz kuzynką na dachu nowej altany, 1940 r. (fot. z archiwum rodzinnego T. Borek)



Dziesięcioletnia Trudi spacerująca z ojcem Karolem Świstunem po ul. Warszawskiej w Katowicach na wysokości kościoła ewangelicko-augsburskiego pw. Zmarłychwstania Pańskiego, 1935 r. (fot. z archiwum rodzinnego T. Borek)

Wspominając pracę i działalność Karola Świstuna w przedwojennych Katowicach i jego liczne na tym polu zasługi, nie sposób pominąć także Towarzystwa Polaków Ewangelików na Górnym Śląsku (TPE), którego wówczas był prezesem. Głównym celem tejże organizacji, powołanej do życia z dniem 28 lutego 1924 r., było przede wszystkim budzenie i podtrzymywanie polskiej świadomości narodowej wśród górnośląskiej ludności ewangelickiej. W dobie narastającego, mającego narodowe podłoże, konfliktu między niemieckim kierownictwem Ewangelickiego Kościoła Unijnego na Polskim Górnym Śląsku – posiadającego wtedy znaczne przywileje i niezależność od państwa polskiego, a tamtejszą mniejszością ewangelicką o polskiej świadomości narodowej, było TPE wybitnie wspierane, również finansowo, przez wojewodę śląskiego Michała Grażyńskiego. Stowarzyszenie krytykowało niewłaściwą, bo zmierzającą do germanizacji wszystkich wiernych, obsługę duszpasterską ewangelików polskiej narodowości przez niemieckich duchownych Kościoła Unijnego. Z ramienia TPE Karol Świstun sprawował pieczę nad ich parafiami na Górnym Śląsku. Razem z adwokatem dr. Władysławem Michejdą – walczącym o przyznanie Polakom – ewangelikom pełnych praw w Kościele Unijnym, był opiekunem zakładów opiekuńczo-wychowawczych „Eben-Ezer” w Dzięgielowie. Przyjaźnił się również z ustrońskim proboszczem – ks. Seniorem Pawłem Nikodemem.

Warty odnotowania jest również fakt, iż w latach 30. minionego stulecia Karol Świstun, za udzielanie finansowego wsparcia, otrzymał honorową – złotą odznakę Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej (LOPP). Ta powołana w 1928 r. ogólnonarodowa organizacja, posiadająca status stowarzyszenia wyższej użyteczności publicznej, zajmowała się głównie promocją lotnictwa sportowego, komunikacyjnego oraz wojskowego.

Wraz z wybuchem II wojny światowej willa „Doris” zakończyła dekadę swojej małej, aczkolwiek dochodowej działalności pensjonatowej. *Natomiast ja – wspomniana pani Trudi – z końcem sierpnia 1939 r. wyjechałam wraz z rodzicami do Lwowa, gdzie znaleźliśmy schronienie u kuzyna ojca – podpułkownika Wilhelma Rolanda, który wówczas był szefem intendencji 2 Pułku Lwowskiego, a później – w maju 1944 r., głównym kwatermistrzem bitwy o Monte Cassino. We Lwowie nasza rodzina przeżywała trudne chwile – panował głód i okropne mrozy. Polaków masowo deportowano do Rosji. Bolszewicy przychodzili w nocy, między godziną dwudziestą trzecią a drugą nad ranem, zabierali całe rodziny, ładowali do wagonów bydłęcych i wywozili za Ural.*

W 1940 r. udało nam się – po wielu tarapatach – wrócić do Ustronia. Zamieszkaliśmy wtedy z matką na pierwszym piętrze willi „Doris”. W latach 1940-1945 parter domu zajmował hitlerowiec z Żor – Waldemar Klos, który pracował w miejscowym Urzędzie Gminnym. Był szpiegiem, drzwi do swojego mieszkania miał stale uchylone i donosił na policję, o tym, kto nas odwiedza i że mówimy po polsku. Ojciec w tym czasie otrzymał pracę na terenie tzw. Generalnej Guberni, mieszkał wówczas u przyjaciela w Zawierciu i minęły prawie dwa lata od zakończenia okupacji, kiedy po tak długim okresie powrócił do Ustronia.

Rodzina ojca zaś, ta u której mieszkaliśmy we Lwowie, wiosną 1940 r. została wywieziona za Ural, gdzie zmuszono ich do ciężkiej pracy w kopalniach. Tam zginęli wszyscy ...

Pozostał jedynie kuzyn – Witold Roland, który szczęśliwie uratował się, wstępując do Armii gen. Władysława Andersa i wydostając z Rosji. Następnie brał udział w bitwie o Monte Cassino, gdzie właśnie jego ojciec, wspomniany wcześniej podpułkownik Wilhelm Roland – zawodowy oficer 2 Korpusu Polskiego, był głównym kwatermistrzem tej bitwy.

Po II wojnie światowej Witold Roland prawdopodobnie osiadł w Anglii.

Otto (Marek) Świstun był w okresie międzywojennym czynnym działaczem sportowym. Udzielał się w „Watrze” – pierwszym polskim klubie narciarskim na Śląsku oraz w ruchu turystycznym. Będąc studentem Akademii Handlowej w Krakowie należał do Klubu Sportowego „Ymca”, osiągając znaczące wyniki w pływaniu w zawodach o randze ogólnopolskiej.

W początkowym okresie okupacji Otto (Marek) Świstun ukrywał się wraz z kolegami w schronisku na Koziańcach, prowadzonym przez pana Halamę, który w późniejszych latach wojny został rozstrzelany za ukrywanie partyzantów. W 1941 r. uciekł do Krakowa i tam działał w Armii Krajowej (AK) w stopniu porucznika, uczestnicząc w licznych akcjach bojowych, za które odznaczony został po wojnie Krzyżem Partyzanckim. W 1945 r., kiedy Armia Czerwona zajęła Katowice, Urząd Bezpieczeństwa (UB) aresztował Polaków za przynależność do AK. *W tym czasie wielu kolegów brata wywiezionych zostało w głąb Rosji – pisze Trudi Borek – on sam zaś przesiedział sześć miesięcy w katowickim więzieniu.*

Po II wojnie światowej Otto (Marek) Świstun osiadł w Cieszynie – rodzinnym mieście swoich dziadków Śliwków i Palluchów, gdzie podjął pracę w zakładach „Olza”. W drugiej połowie lat 60. XX wieku został zastępcą dyrektora tego przedsiębiorstwa. Był ponadto długoletnim, zasłużonym działaczem cieszyńskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego (PTTK) oraz przewodnikiem turystycznym. Otto (Marek) Świstun należał także do inspiratorów narciarstwa

powojennej „Watry” – miał swój udział w zdobyciu przez nią, w 1948 r., tytułu najlepszego klubu narciarskiego Śląska. Pełnił również funkcję trenera i instruktora narciarskiego.



Otto (Marek) Świstun (1915-1969)
(fot. pochodzi z II tomu Słownika biograficznego ziemi cieszyńskiej. Red. J. Golec, S. Bojda. Cieszyn 1995)

Kiedy w 1936 r. wybudowano w Stanisławowie lotnisko z murami hangaru i portem lotniczym, w bardzo szybkim tempie założono tam również Szkołę Pilotów. Ogromna była w tym zasługa Zarządu Wojewódzkiego Okręgu LOOP, którą to organizację, o czym wspomniałam już wcześniej, Karol Świstun wspierał finansowo. Szkoła Pilotów w Stanisławowie stała się nowym gniazdem kresowych orłów i cieszyła się ogólną sympatią stanisławowskiego społeczeństwa.



Gwido Świstun jako pilot załogi
Dywizjonu Myśliwskiego 315 przy
angielskich, królewskich siłach
powietrznych (RAF)
(fot. pochodzi ze strony internetowej:
www.mysliwcy.pl)

Otto (Marek) Świstun zajmował się także fotografią oraz organizacją pokazów fotograficznych. Przypuszczalnie zainteresowanie to miało bezpośredni związek z zawodem jego żony – fotografki **Marty Świstun z domu Kubisz** (ur. 29 sierpnia 1922 r., zm. 2 sierpnia 2006 r.), córki znanego cieszyńskiego fotografa **Tadeusza Kubisza** (ur. 15 listopada 1880 r. w Gnojniku w rodzinie poety i nauczyciela **Jana Kubisza**, zm. 20 kwietnia 1964 r. w Cieszynie). W 1920 r. Tadeusz Kubisz otworzył w Cieszynie przy pl. Św. Krzyża 1 własny zakład fotograficzny, który po jego śmierci prowadziła córka – Marta Świstunowa.

Otto (Marek) Świstun zmarł w Cieszynie 30 listopada 1969 r. Z małżeństwa z Martą Kubiszówną miał syna **Jacka** (ur. 24 lutego 1950 r., zm. 24 września 1998 r.).

Z chwilą wybuchu II wojny światowej w tej szkole był właśnie Gwido Świstun – młodszy brat pani Trudi. *Wraz z nadejściem wojsk radzieckich – pisze – Gwido z kolegami wskoczył do samolotów i uciekli (póki benzyny starczyło) do Rumunii. Przedzierając się przez ten kraj dotarli do Morza Czarnego, a tam czekały już na nich statki angielskie, które zabrały ich do Szkocji.* Później, przez cały okres wojny, Gwido Świstun latał w polskich szwadronach królewskich sił powietrznych Wielkiej Brytanii – *Royal Air Force* (RAF). 18 sierpnia 1944 r. będąc pilotem samolotu PK-U HB833, wchodzącego w skład Dywizjonu Myśliwskiego 315, brał udział w *Rodeo 385* – operacji typu *ranger*, czyli swobodne wymiatanie na małej wysokości. Dywizjon 315 zniszczył wówczas szesnaście niemieckich samolotów FW190, nad ich lotniskiem we Francji, a jego dowódca – Eugeniusz Horbaczewski został odznaczony Złotym Krzyżem Orderu *Virtuti Militari*.

Po II wojnie światowej Gwido Świstun kontynuował na Politechnice Londyńskiej studia przerwane we Lwowie. W Londynie został inżynierem, tam też się ożenił. Następnie wraz z rodziną przeniósł się do Stanów Zjednoczonych, gdzie zamieszkał w miejscowości Kennebunkport w stanie Maine. Gwido Świstun zmarł w sierpniu 1992 r.

A wracając do Ustronia z drugiej połowy lat 40. ubiegłego stulecia... Willa „Doris” nie ucierpiała na skutek działań wojennych, nie uległa także znacznemu zniszczeniu. *Po II wojnie światowej – wspomina w swoim liście Trudi Borek – w lipcu 1945 r., cała nasza ustróńska posiadłość, składająca się z budynku willowego oraz przylegającego doń ogrodu i sadu, z uwagi na duży obszar – 13.000 m² została zajęta przez Powiatowy Urząd Ziemi w Cieszynie, który „nasadził” na niej repatrianta z Wołynia – Ukrainca Henryka Hadaszczaka wraz z rodziną.*

Oczywiście pozwolono nam mieszkać dalej w tym domu, ale żyliśmy w bardzo złych stosunkach z nowymi lokatorami. Hadaszczakowie rozmawiali tylko po ukraińsku i byli bardzo grubiańscy. Zdjęli także, a następnie zniszczyli szyld z napisem „Willa Doris”, umieszczony nad bramą wejściową do ogrodu. Awanturom nie było końca.

Mimo, iż zawsze byliśmy Polakami, komunistyczne władze Ustronia zdecydowały się naszą posiadłość wywłaszczyć.

Byliśmy z mamą bezsilne. W czasie, kiedy zabierano nam nasz przedwojenny majątek, starszy z braci – Marek siedział w katowickim więzieniu za przynależność do AK, a młodszy – Gwido kończył Politechnikę w Londynie. Ojciec natomiast był wtedy w Związku Radzieckim, skąd wrócił dopiero w 1947 r.

Moja matka nie mogła tego znieść. Będąc córką pastora Seniora, wychowaną w skromnej, porządnej rodzinie, nie umiała przeciwstawić się ówczesnemu „bandytyzmowi”, a co za tym idzie pogodzić się ze swoim „nowym losem”. Chorowała, miała poważne zaburzenia sercowe. „Chamstwo” tamtych czasów było niesamowite, a ja sama nie mogłam sobie dać rady z takim postępowaniem. Walczyłam nadaremnie. Najwięcej zaszkodził nam fakt, iż w styczniu 1940 r. uciekliśmy spod bolszewickiego reżimu ze Lwowa do Ustronia. Bałam się o życie matki, w związku z czym, w kwietniu 1946 r. wyprowadziliśmy się, pozostawiając dom rodzinny całkiem obcym ludziom.

Gwoli uzupełnienia dodam, iż zaraz po zakończeniu II wojny światowej, w willi „Doris” mieszkali także: Emilia Górecka – wdowa po leśniczym oraz Bolesław Mikesz – przełożony Gminy Ustron w latach 1952-1954. Od lat 50. XX wieku, po wprowadzeniu w naszej miejscowości nazw ulic, budynek ten otrzymał nowy adres: Ustron, ul. Jelenica 7.

13 sierpnia 1948 r. zmarł nagle w Katowicach Karol Świstun. *W początkach 1950 r. – pisze Trudi Borek – państwo Eleonora i Józef Frąckowiakowie – właściciele przedwojennej willi „Eleonora” w Ustroniu przy ul. A. Brody 2 zaproponowali, abym wraz z matką zamieszkała u nich. To kilkumiesięczne zaproszenie przemieniło się na długie lata, a w przypadku Doris Świstun, na bardzo długie lata. Tak się złożyło, że w lutym 1961 r. wyjechałam na stałe do Kanady. W połowie lat 70. ubiegłego wieku wspólnie z bratem Gwidonem kupiliśmy мамie mieszkanie na, dopiero co oddanym do użytku, osiedlu Manhattan.*

Po prawie ćwierćwieczu spędzonym w willi „Eleonora” Doris Świstun przeprowadziła się do swojego nowego lokum, w którym mieszkała aż do śmierci, to jest do 10 marca 1980 r. Została pochowana na cmentarzu ewangelickim w Cieszynie, przy głównej alei, w rodzinnym grobowcu. Swoje ostatnie miejsce spoczynku znalazł tam także jej mąż Karol Świstun oraz inni, mniej lub bardziej zasłużeni członkowie rodu:

Gottfried Palluch, Maria Palluch, Antonina Śliwka z domu Palluch, Marek Świstun, Marta Świstun oraz Jacek Świstun. Nieopodal natomiast znajduje się grób nauczyciela Jana Śliwki, od którego zaczęłam tę opowieść.

A przedwojenna willa „Doris” przez te wszystkie lata nie uległa większym przeróbkom, zachowując swój pierwotny kształt, naznaczony tym szczególnym pięknem zniszczenia. *Po 1989 r.*, – pisze pani Trudi – *czyli po okresie transformacji ustrojowej w Polsce, w zasadzie tylko ja zostałam jedyną żyjącą osobą z rodziny Świstunów. Ponieważ mieszkam od dawna w Kanadzie nie wiedziałam nic o reprivatyzacji w Polsce. W związku z tym nie poczyniłam żadnych starań, aby odzyskać naszą dawną własność. Do dnia dzisiejszego zatem dom pozostaje nadal w rodzinie Hadaszczaków.*

Po śmierci matki wszelkie rodzinne dokumenty zniszczyliśmy, aby nie budzić przykrych wspomnień i tym samym, razem z bratem Gwidonem jako ostatni żyjący z naszej rodziny, zakończyliśmy rozdział willi „Doris”. Pozostały nam tylko pamiątkowe fotografie. A ja – kończy swoje listowne wspomnienia Trudi Borek – mieszkając już od prawie pięćdziesięciu lat w Kanadzie, mam Ustroń zawsze w najmilszej pamięci i nadzieję, że będzie mi dane jeszcze raz wędrować wśród znajomych ulic.

Niechaj więc ten artykuł ocali od zapomnienia dzieje znanych niegdyś ustrońskich rodów Śliwków i Świstunów oraz ich zasłużonych członków, którzy wynieśli z rodzinnego domu umiłowanie tego co polskie.

Wykaz źródeł:

- Informacje i wspomnienia Trudi Borek z domu Świstun zawarte w liście z dnia 6 czerwca 2006 r. oraz przekazane w rozmowie telefonicznej z dnia 8 marca 2007 r.
- Towarzystwo Miłośników Ustronia. Zasłużeni ludzie Ustronia. Ustroń 1983.
- E. Buława: *Jan Śliwka – droga do ruchu polskiego*. „Pamiętnik Cieszyński T. 9”. Cieszyn 1994, s. 51-64.
- E. Buława: *Jan Śliwka – droga do ruchu polskiego (Część II)*. „Pamiętnik Cieszyński T. 12”. Cieszyn 1997, s. 46-74.
- G. Kubica-Heller. Luteranie na Śląsku Cieszyńskim. Bielsko-Biała 1996.
- L. Szkaradnik: *Szkolnictwo*. W: Ustroń 1305-2005. T. 1. Red. I. Panic. Ustroń 2005, s. 395.
- B. Kubiś: *Sport*. W: Ustroń 1305-2005. T. 1. Red. I. Panic. Ustroń 2005, s. 426.
- J. Golec, S. Bojda. Słownik biograficzny ziemi cieszyńskiej. T. 1. Cieszyn 1993, s. 168, 195-196.
- J. Golec, S. Bojda. Słownik biograficzny ziemi cieszyńskiej. T. 2. Cieszyn 1995, s. 233, 239.
- B. Michejda-Pinno: *Dr Władysław Michejda z Katowic. Jego walka o prawa Polaków pomiędzy dwoma wojnami o niepodległość Polski*. W: O polski Śląsk. Tadeusz Michejda (1895-1955), Władysław Michejda (1896-1943). Red. W. Nagengast. Katowice 2000, s. 63-127.
- J. B. Cynk. Polskie Siły Powietrzne w wojnie 1943-1945. T. 2. Gdańsk 2002, s. 465.
- „Dom Osiedle Mieszkanie” nr 7 z lipca 1930.
- Strony internetowe: www.myśliwcy.pl; www.vgcpoland.aleja.info; www.pl.wikipedia.org
- Informacji udzielił także: Bronisława Danel, Michał Pilch, Jan Sztetek oraz Dominik Konarzewski.
- Adres kontaktowy z Trudi Borek udostępnił Oldrzych Sikora.

Bożena Kubień

Szkic do portretu rodzin Brodów i Koźdoniów

Ród. To wyjątkowe słowo najczęściej odnosimy do osób pochodzących z jednego domu, tworzących długowieczną linię. Wśród znacznych, zasłużonych ustrońskich rodów jedno z najbardziej poczesnych miejsc zajmują Brodowie i Koźdoniowie. Wyszło z nich bowiem całe pokolenie polskiej inteligencji, działacze i obrońcy sprawy narodowej. Historia rodzin Brodów i Koźdoniów, od połowy XIX wieku, nierozrwalnie spleta się z losami ziemi ustrońskiej.

Anna z domu Sztwiertnia i Andrzej Brodowie

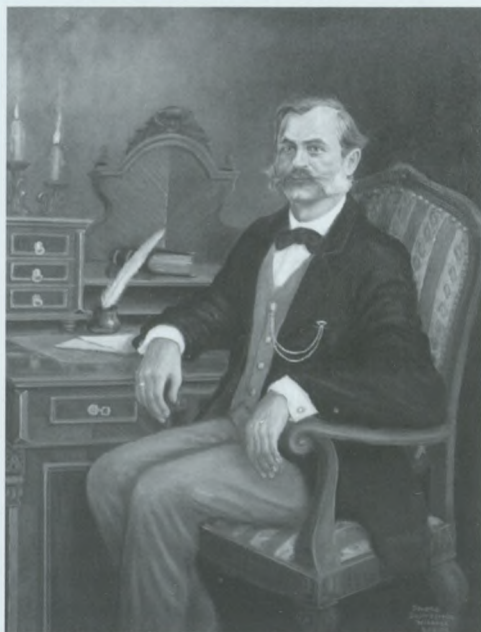
W XIX stuleciu rodzina Sztwiertniów należała do najzamożniejszych w Ustroniu, posiadała spory majątek – ziemię, znajdującą się w granicach obecnego centrum miasta, obejmującą teren pomiędzy dzisiejszymi ulicami Andrzeja Brody i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, a Osiedlem Manhatan i Rynkiem. Do nich także należały zabudowania zwane „Korabiem” – tak w staropolskim języku określano statek. Otóż miało to związek z tym, iż w dawnych czasach przez tereny te przepływała nieuregulowana rzeka Wisła, zmieniająca często podczas powodzi swoje koryto. Zabudowania Sztwiertniów powstały zaś na wzniesieniu i – jak statek Noego – nie dosięgła ich woda. Stąd najprawdopodobniej wzięła się nazwa „Korab”.

Ze wspomnianej rodziny Sztwiertniów pochodziła Anna Sztwiertnianka (ur. w 1837 r., zm. w 1905 r.), która około 1857 r. została żoną Andrzeja Brody (ur. 30 listopada 1832 r., zm. 15 stycznia 1902 r.) – pierwszego polskiego przełożonego Gminy Ustroń, zasłużonego działacza samorządowego, społecznego i narodowego.

Andrzej Broda przyszedł na świat w pobliskim Goleszowie, w rodzinie ewangelickiej, jako syn rolnika Jerzego Brody i Marii z domu Niemiec. Po ukończeniu szkoły ludowej w Goleszowie uczęszczał do Gimnazjum Ewangelickiego w Cieszynie, a później wyjechał na dwuletni kurs modelarstwa i rzeźbiarstwa meblowego do Wiednia. Następnie, po powrocie, podjął pracę w arcyksiążęcej hucie w Ustroniu w charakterze modelarza.

Po zawarciu związku małżeńskiego Andrzej Broda przeniósł się na stałe do Ustronia i zamieszkał wraz z żoną Anną w domu teściów. W 1860 r. urodziło im się jedyne dziecko – córka Anna Brodówna (zm. w 1941 r.). W latach 60. XIX wieku zakupił od Komory Kościelnej ziemię, położoną pomiędzy dzisiejszymi ulicami: Marii Konopnickiej, Andrzeja Brody, Piękną i Ignacego Daszyńskiego, sięgającą aż do terenu parafii rzymskokatolickiej pw. św. Klemensa w Ustroniu, w pobliżu której w 1870 r. wybudował duży, dwukondygnacyjny dom mieszkalny, numer realności 152 (przy obecnej ul. Marii Konopnickiej 7). Nieopodal zaś stanął mniejszy, parterowy budynek, numer 153 (przy ul. Marii Konopnickiej 5), składający się z części mieszkalnej oraz przybudówki, w której urządził duży warsztat stolarstwa artystycznego. Prowadził go do 1900 r., zatrudniając 2-3 pracowników. Andrzej Broda był nie tylko rzemieślnikiem, ale również artystą, spod dłuta którego wychodziły pięknie rzeźbione meble, które odrestaurowane, zachowały się do czasów współczesnych. W niedługim czasie wyroby Andrzeja Brody zyskały uznanie niemal na całym Śląsku. Wspecjalizował się również w modelarstwie, wykonując dla arcyksiążęcej odlewni w Ustroniu bardziej skomplikowane modele.

Przez ponad 40 lat Andrzej Broda odgrywał wybitną rolę w życiu samorządowym i gospodarczym Ustronia. Wiele czasu poświęcał na działalność społeczną, zyskując swoją postawą zaufanie miejscowej ludności. W związku z tym, z ramienia rolników i rękodzielników, wybrany został na członka miejscowego Wydziału Gminnego, którą to funkcję pełnił w latach 1861-1879 oraz 1882-1902.



Andrzej Broda – przełożony Gminy Ustron w latach 1882-1901. Portret (olej na płótnie o wymiarach 100 x 70 cm) namalowany w 2004 r. przez Iwonę Dzierżewicz-Wikarek zdobi gabinet Burmistrza Miasta Ustron (fot. Michał Pilch, 2007 r.)

W 1882 r. powierzono, wówczas pięćdziesięcioletniemu, Andrzejowi Brodzie stanowisko przełożonego Gminy Ustron. Z urzędu tego musiał niestety ustąpić dobrowolnie jesienią 1901 r., z przyczyn zdrowotnych – zmarł kilka miesięcy później.

Faktem jest, iż to jego prawie dwudziestoletnie sprawowanie funkcji polskiego przełożonego Gminy przypadło na okres intensywnych przeobrażeń społecznych, politycznych i gospodarczych miasteczka. Wówczas bowiem zasiadali we wspomnianym Wydziale przedstawiciele różnych sił i układów, odzwierciedlających zróżnicowanie społeczne Ustronia w ostatnich dwóch dekadach XIX stulecia: polscy rolnicy, rzemieślnicy, duchowni i nauczyciele; niemieckie i proniemieckie lobby hutnicze, a także żydowscy restauratorzy, kupcy oraz hotelarze. W takiej sytuacji – Polak, patriota Andrzej Broda, chcąc dobrze pełnić swoją funkcję – misję, musiał realizować program, zapewniający mu poparcie nie tylko polskich głosów, ale również innych sił społecznych obecnych w Wydziale.

Programem tym zaś było inwestowanie w rozwój gminy jako uzdrowiska, które okazało się na tyle trafione, iż to właśnie Andrzejowi Brodzie zawdzięcza znalezienie swojego, trwałego już miejsca na mapie wypoczynkowej Śląska Cieszyńskiego. Nadany miasteczku kierunek rozwoju, zakładający współistnienie ośrodka przemysłowego z miejscem uzdrowiskowym i letniskowym, został wówczas zaakceptowany także przez niepolskich członków kolejnych Wydziałów Gminnych i stanowiąc, podczas ich kadencji, spoiwo łączące różne grupy interesów.

Staraniem Andrzeja Brody z dniem 18 września 1882 r. Ustron został zaliczony do uzdrowisk austriackich. Przełożony popierał działalność oraz współpracował z powstałą w 1880 r. spółką akcyjną „Źródło Wisły”, która założyła park spacerowy oraz wybudowała hotel „Beskid” – obiekt podnoszący rangę kurortu. Był również jednym z głównych inicjatorów spółki „Pierwszy Austriacko-Śląski Zakład Kąpielowy w Ustroniu”, założonej w 1901 r. Rok ten wyznaczył początek nowoczesnego leczenia balneologicznego w naszej miejscowości. Z inicjatywy Andrzeja Brody

rozbudowano także, liczący bez mała 100 lat, hotel „Kuracyjny”, natomiast w 1901 r., po odkryciu na terenie Ustronia Dolnego pokładów borowiny, wybudowano nowe obiekty – Domu Zdrojowego oraz Zakładu Kąpielowego.

Andrzej Broda należał do członków – założycieli Towarzystwa Upiększenia w Ustroniu (1888 r.), którego kontynuatorem jest obecne Towarzystwo Miłośników Ustronia. Przez szereg lat pełnił w tejże organizacji funkcję członka Zarządu. Był ponadto współzałożycielem: „Kasyna Rolniczego” (1874 r.), Ochotniczej Straży Pożarnej (1895 r.) oraz Kasy Spółdzielczej.

Dzięki jego wielkiemu zaangażowaniu, w 1887 r. w miasteczku zorganizowano szpital gminny, a rok później Ustroń otrzymał regularne połączenie kolejowe przez Goleszów z Bielskiem i Cieszynem. Przełożony reprezentował także naszą miejscowość w Powiatowym Wydziale Drogowym w Skoczowie.

Autograf Andrzeja Brody

Warto odnotować również propolską postawę Andrzeja Brody w walce z germanizacją ustronńskiej ludności. W 1897 r., popierając wniosek wybitnego pedagoga Jerzego Michejdy (ur. w 1860 r., zm. w 1928 r.) oraz ks. Jerzego Janika (ur. w 1829 r., zm. w 1907 r.), udało mu się przeforsować uchwałę, by protokoły z posiedzeń Wydziału Gminnego i Rady Szkolnej pisane były w dwóch językach – po niemiecku i po polsku. Natomiast rachunkowość gminy oraz korespondencja (z wyjątkiem pism do Niemców) i inne księgi, od tamtego czasu były prowadzone tylko w języku polskim.

Jego poparcie i mecenat przyczyniły się do rozbudowy szkół powszechnych na terenie Ustronia oraz do przejęcia w 1901 r. przez gminę ewangelickiej szkoły prywatnej i przemianowania jej na publiczną szkołę ludową. W konsekwencji tychże decyzji, Andrzej Broda w dniu 23 października 1893 r. został wybrany członkiem Powiatowej Rady Szkolnej.

Na mapie ustronńskich dokonań Andrzeja Brody szczególne miejsce zajmuje inicjatywa budowy ratusza, zwanego też „Domem radnego”. Należy bowiem zaznaczyć, iż przez pierwszych dwanaście lat sprawowania funkcji przełożonego Gminy Ustroń, czyli od 1882 r. do 1894 r., Andrzej Broda urzędował oraz przyjmował petentów w swoim domu. Jego biuro mieściło się w jednym z pomieszczeń na parterze budynku. Do dnia dzisiejszego zachowała się zabytkowa tablica z okresu, kiedy dom Anny i Andrzeja Brodów pełnił funkcję Urzędu Gminy Ustroń.

29 września 1889 r. w sali hotelu „Lubożatzky”, pod przewodnictwem Andrzeja Brody odbyło się zebranie miejscowego Wydziału Gminnego z udziałem członków Towarzystwa Upiększenia w Ustroniu, na którym postanowiono wybudować ratusz, godny tej miejscowości. „Dom radnego” miał stanąć na skraju placu targowego, przy drodze powiatowej, a więc w miejscu, gdzie stoi obecnie. Planowano w nim umieszczenie sądu, biura ksiąg wieczystych, referatu podatkowego i urzędu pocztowego. Gmach ratusza, wybudowany według projektu pracownika Urzędu Budowlanego Komory Cieszyńskiej, Münstera, przez przedsiębiorcę budowlanego Fryderyka Fuldę z Cieszyna, oddano do użytku w czerwcu 1894 r.

Z tego okresu zachował się pisany piękną polszczyzną *Projekt budowy „Domu radnego” w Ustroniu*, skierowany do ustroniaków – podatników, którego fragmenty, zawierające oryginalną pisownię, stylistykę oraz interpunkcję, poniżej cytuję:

Projekt budowy „Domu radnego” w Ustroniu

Ustroń, miasteczko targowe, liczące około 4.000 mieszkańców, jest nie tylko uzdrowiskiem licznie odwiedzanym przez chorych, pragnących tutaj znaleźć ulgę w swoich cierpieniach, ale nadto stanie się ono w niedalekiej przyszłości, wskutek ułatwienia do niego przystępu przez zbudowanie drogi żelaznej, punktem zbornym dla turystów pragnących zwiedzać Beskiady. Każde miasteczko, zamieszkane przez obywateli dbających o rozwój swej rodzinnej miejscowości, posiada swój osobny „Dom radny”, w którym ojcowie miasta rozstrząsają najżywotniejsze kwestye, dotyczące dobra współmieszkańców.

W Ustroniu, dotychczas własnego „Domu radnego” nie mamy. Otóż kilku obywateli naszego miasteczka podjęło myśl zbudowania takowego.

Podjęmując myśl tę budowy „Domu radnego”, nie chodzi im tyle o upiększenie Ustronia jednym ładnym gmachem, ale chodzi im poważnie o to, aby w ten sposób znaleźć swoje własne, wspólne niejako ognisko, około którego wszystko i wszyscy mogliby się koncentrować. Że zaś „Dom radny” jest takim centrum koło którego wszystko się grupuje, to na dowód tego może posłużyć ten fakt, że historia miast wielkich jest zawsze ściśle związana z historią „Domu radnego”. I dziwić nas to nie może! Ratusz bowiem jest to punkt na który są skierowane oczy wszystkich obywateli; tam bowiem rozgrywają się wszystkie najżywotniejsze sprawy, tam ojcowie miasta radzą nad tem, w jaki sposób polepszyć byt obywateli, tam każdy znajduje radę i opiekę, tam zawsze może znaleźć sprawiedliwość. Każde więc miasteczko, które tylko zaczyna się podnosić i powiększać, uważa sobie za pierwszy obowiązek zbudowanie ratusza.

Czyż więc Ustroń, który posiada 2 kościoły, 4 szkoły, który szczyli się znacznie rozwinięty i znanym szeroko poza granicami monarchii przemysłem, pozostanie w tym kierunku w tyle po za innymi miastami i miasteczkami, i nie zdecyduje się na zbudowanie własnego „Ratusza”?! Sądźmy, że tak się nie stanie. Jeżeli obywatele ustrońscy nie zdecydują się na zbudowanie „Ratusza” ze względów patriotyzmu lokalnego i ambicji, polegającej na chęci jak największego upiększenia i rozwoju rodzinnego miasta, to będą do tego zmuszeni względami praktycznymi. Przypatrzmy się bowiem tylko pobieżnie dotychczasowym stosunkom a będziemy mieli następujący obraz. Reprezentanci miasta muszą się zbierać na narady w pokoju sklepionym, wyglądającym jak jakaś nędzna piwnica. Powiadamy nędzna i słusznie, jest bowiem tak mała, że wszyscy radni w niej pomieścić się nie mogą. Jak wszyscy 19 radnych, wejdzie do tego pokoju, to już drzwi absolutnie zamknąć nie można, o tem zaś żeby jeszcze tam jeden się zmieścił ani mowy być nie może. (...) Pominąwszy jednak to, że taka „sala radna” wyprost wstyd przynosi obywatelom ustrońskim, i że odbywanie w takiej sali narad, jest dla zdrowia radnych zabójcze, są jeszcze inne przyczyny, które powinny obywateli ustrońskich skłonić do popierania tej myśli: budowy własnego porządnego „Domu radnego”. - Z innych okoliczności, które powinny nas skłaniać do budowy gmachu ratuszowego, jest brak „Archiwum gminnego ustrońskiego”. Przez Archiwum gminne rozumiemy zbiór wszystkich ksiąg i papierów dotyczących spraw gminnych i to zbiór ksiąg gminnych nie tylko z ostatniego roku ale i z lat poprzednich. Z takim archiwum w Ustroniu się nie spotykamy a jedynie tylko dlatego, że nie ma odpowiedniego lokalu. W Ustroniu istnieje policyant, jednakowoż, gdzie on przebywa i gdzie w razie potrzeby możnaby go znaleźć, to dla większej ilości mieszkańców Ustronia jest tajemnicą, ale czy korzystną, to chyba nie. Czy jednak temu winien policyant ustroński, że go znaleźć nie można? Na to musimy odpowiedzieć, że nie. Wina i przyczyna leży w tem, że w Ustroniu nie ma „izby strażniczej” (...), w której policyant mógłby zawsze przebywać. Musimy jeszcze wspomnieć o „areszcie gminnym”. (...)

W całym dotychczasowym wywodzie przedstawiliśmy same fakta, nie nie przesadzając i nic nie zmniejszając. Z faktów tych wynika, że tak daleko być nie może i że wybudowanie „Domu radnego” jest nieodzownie potrzebne. (...)

Dom radny ma stanąć na placu targowym i to na miejscu, na którym stoi obecnie gospoda P. Ryszawego, chyląca się szybkim krokiem do upadku. Będzie on jedno-piętrowy i front jego będzie zwrócony na plac targowy. Będzie posiadać 3 bramy a mianowicie jedna brama będzie w środku a 2 inne po obu końcach ściany frontowej. Parter będzie posiadać 9 ubikacji. (...)

Na pierwszym piętrze będzie się znajdować „sala radna” i biuro burmistrza; w tym pokoju, który jest przeznaczony na biuro dla burmistrza, może być pomieszczone i archiwum gminne. Okna z tych ubikacji wychodzą na plac targowy. Do tych ubikacji, przylega parę pokoi, które mogą być wynajęte na mieszkanie dla któregoś z żonatych nauczycieli. (...) Sądzymy, że już do tego co powiedzieliśmy wyżej, nic więcej dodawać nie potrzebujemy. Całą sprawę przedstawiliśmy jasno i dokładnie, wszystkie korzyści udowodniliśmy cyframi, które też za nami najlepiej przemawiają, możemy więc tylko jeszcze raz wyrazić życzenie, aby projekt nasz nie pozostał tylko na papierze, ale rzeczywiście wszedł w wykonanie. Spodziewamy się, że życzenie nasze zostanie spełnione, że obywatele Ustronia i w tym także razie pozostaną wierni swojej dewizie: „łączenia zawsze pożytecznego z pięknem i ładem”!



Ratusz w Ustroniu zwany „Domem radnego”, wzniesiony w 1894 r. z inicjatywy m.in. Andrzeja Brody (fot. ze zbiorów Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie)

Andrzej Broda zmarł w Ustroniu w połowie stycznia 1902 r. Trzy lata później odszła jego małżonka Anna ze Sztwiertniów Brodowa. Oboje spoczęli na miejscowym cmentarzu ewangelickim.

Jego zasługi docenił ustroński samorząd gminny, który na posiedzeniu w dniu 27 maja 1903 r. postanowił zawiesić portret zasłużonego przełożonego w biurze Urzędu Gminnego. Obraz pozostał na tym miejscu do wybuchu II wojny światowej. Natomiast w 2004 r. w gabinecie Burmistrza Miasta Ustronń zawisł nowy portret Andrzeja Brody, namalowany przez Iwonę Dzierżewicz-Wikarek.

W 1945 r. ówczesne władze naszej miejscowości nazwały jedną z ustrońskich ulic, biegnącą niopodal zbudowanego przez niego domu, nazwiskiem Andrzeja Brody.

Anna z domu Broda i Paweł Koźdoniowie

Wspomniana wcześniej Anna Brodówna, jedyne dziecko Anny i Andrzeja Brodów, w 1883 r. wyszła za mąż za Pawła Koźdonia (ur. 9 września 1855 r., zm. 19 maja 1914 r.) – nauczyciela oraz inspektora szkół polskich na Śląsku, a także zasłużonego działacza społecznego i narodowego.



Portrety Anny z Brodów Koźdoniowej i Pawła Koźdonia z przełomu XIX i XX w. (z archiwum rodzinnego wnuczki Elżbiety Koźdoń-Buchty, fot. Kazimierz Heczko, 2007 r.)

Paweł Koźdoń przyszedł na świat w wielodzietnej rodzinie chłopskiej w Kojkowicach na Zaolziu. Był drugim z dziesięciorga dzieci Pawła Koźdonia (ur. około 1823 r., zm. 19 listopada 1873 r.) i Zuzanny z domu Kornas. Ukończył szkołę ludową w Cieszynie, a następnie w 1874 r., cieszyńskie Seminarium Nauczycielskie. Początkowo pracował w Kocobędzu, kontynuując równocześnie dalsze kształcenie, pozwalające mu uzyskać uprawnienia do nauczania w szkołach wydziałowych z językiem wykładowym niemieckim.

We wczesnych latach 80. XIX stulecia Paweł Koźdoń został kierownikiem szkoły w Boguminie, gdzie osiadł na stałe, zamieszkując, wraz ze świeżo poślubioną małżonką Anną z Brodów Koźdoniową, w mieszkaniu w kamienicy czynszowej.

Nieco wcześniej, w 1879 r. miejscowe grono nauczycielskie wybrało go delegatem do c.k. Rady Okręgowej we Frysztacie, które to stanowisko pełnił przez 32 lata, to jest do 1911 r. W tym czasie bowiem został powołany na stanowisko inspektora szkół polskich w powiecie frysztackim.

Paweł Koźdoń był pierwszym inspektorem polskich szkół na Śląsku, który otwarcie przyznawał się do narodowości polskiej i brał czynny udział w pracy narodowej. Dał się również poznać jako odważny obrońca praw nauczycielskich oraz interesów szkoły ludowej.

Warta odnotowania jest również jego działalność w Polskim Towarzystwie Pedagogicznym, a także w Towarzystwie Rolniczym, z ramienia którego przyczynił się do powstania parków publicznych w Boguminie. Kochał przyrodę, miał również wiele pasji, między innymi wycieczki krajoznawcze, ogrodnictwo oraz pszczelarstwo.

Świadectwo szkolne.

Włodzisław Paweł rodem z *Kojkowic* lat 10
 wieku mający uczeń *III* klasy ewangelickiej szkoły głównej w *Cieszynie*
 uczęszczał do tejże szkoły na publiczną naukę 7 roku szkolnym 1865 *z pilnie*
 zachował się pod względem obyczajów *bardzo dobrze* a przy *Dobrych*
 zdolnościach i pilności *stalej* postąpił w przedmiotach naukowych jak
 następuje:

W religii	<i>wcale dobrze</i>
„ historii biblijnej	<i>Dobnie</i>
„ czytaniu polskiem	<i>Dobnie</i>
„ czytaniu niemieckiem	<i>Dobnie</i>
„ języku polskim	<i>Dobnie</i>
„ języku niemieckim	<i>Dobnie Dobnie</i>
„ pisowni	<i>Dobnie Dobnie</i>
„ układach pisemnych	<i>wcale dobrze</i>
„ rachunkach	<i>Dobnie</i>
„ piękнопismie	<i>Dobnie Dobnie</i>
„ śpiewie	<i>Dobnie</i>
„ wiadomościach o świecie	<i>Dobnie</i>

W ogóle zrobił mianowany uczeń w naukach szkolnych *Dobnie*
 rzeczy, co się niniejszem zaświadcza.

Cieszyn dnia *8. Lutego* 1866 r.

Arnold Zlik
Ksiądz



J. Śliwa
nauczyciel.

Świadectwo szkolne Pawła Koźdonia – ukończenia trzeciej klasy ewangelickiej szkoły ludowej w Cieszynie, podpisane przez księdza Andrzeja Żlika oraz kierownika tejże szkoły – nauczyciela Jana Śliwkę rodem z Ustronia, 8 lutego 1866 r. (dokument z archiwum rodzinnego E. Koźdoń-Buchty)

W marcu 1873 r. Paweł Koźdoń, będąc wówczas studentem seminarium nauczycielskiego w Cieszynie, rozpoczął pisanie „Dzienników”, które, z przerwami, prowadził do marca 1878 r. Stanowią one żywy obraz odzwierciedlający stosunki społeczne, polityczne oraz obyczajowe występujące na Śląsku Cieszyńskim w latach 70. XIX wieku, widziany oczami osiemnastoletniego młodzieńca. Poniżej cytuję obszernie fragmenty tychże „Dzienników”, z zachowaniem oryginalnej pisowni, stylistyki oraz interpunkcji:

„Dzienniki” Pawła Koźdonia prowadzone od 10 marca 1873 r.
do 27 marca 1878 r. (z przerwami od 2 października 1874 r.
do 25 marca 1878 r.)*

Dziś, dnia 10. Marca roku 1873 licząc prawie 17 1/2 lat życia, zaczynam dzieło, do którego tyle zachęt czułem, osobliwie od naszego profesora Jana Pospischill , i ku czemu zawsze, albo przynajmniej do czegoś podobnego zawsze wewnętrznego popę czułem.

Zaczynając to, siedzę przy stole u p. Pawła Kukucza, kościelnego na Wyższej Bramie, o godzinie 3/4 10. Przy mnie po prawej siedzi brat Adam, ucząc się z *Zweites Sprach- und Lesebuch für ewang. Volksschulen „Nrob. Der Dankbare Wilde“*. Dwaj bracia, Jan i Paweł Stonawski z Końskiej pasują się z Zieliną Adamem na Zielinowym łóżku. Przy drugim stole siedzi Paweł Płoszek z Końskiej ucząc, a kolega mój Adam Grycz gotuje się na spoczynek, a w tej chwili, gdy to piszę modli się. Inni mieszkający ze mną t.j. Paweł Holesca, uczeń 3 gim. Klasy z Hermanic, Paweł Fryda z Puńcowa współuczeń brata, bracia Jan, Paweł Obracaj z Rychwałdu uczeń 1 gim. klasy śpią. (...)

W wstępie chcę umieścić okoliczności w jakich się znajduję: a) Rodzina: Familia jest liczna; Ojciec, Paweł Koźdoń, urodzony około 1823 a więc liczący circa 50 lat, chory na zapalenie płuc przeszedł 10 lat ma się teraz lepiej jak zeszłego roku 1872. Przed świętami Bożego Narodzenia; - jakże chętnie to piszę. Matka, Zuzanna Kornas, urodzona w Cieszynie, opuszczona sierota, wychowana przez moich dziadków, p. Hudeczków z Dziegielowa. Najstarszy brat Jan, urodzony 11. czerwca 1853, zastępuje biednego ojca, a ponieważ w 20. roku, więc powołany do wojska. Ku asencie mającej nastąpić w kwietniu ma los 26. Rodzice pracują nad uwolnieniem go zwróciwszy się do Komisarza policji, p. Polaka - do czego dopomóż im Boże! Następuje ja, Paweł, ur. 9. września 1855 a ochrzczony dnia 12. września 1855, konfirmowany przez D.r. Otto, pastora, dnia 2 maja /86. Dziecięce lata zbiegały zawsze błogo i miło, jak może każdemu innemu, a z dni tych pamiętne mi zostaną czasy starego pomieszkania i budowania nowego itp. Budowanie nowego działo się r. 1860 - budowniczy p. Dietrich - robotnicy morawcy, dalszy ciąg później. Anna, najstarsza siostra urodzona jeśli się nie mylę 1858 w jesieni. Konfirmowana przez D.r. Otto jak mi się zdaje r. 1871. Wyręcza potrosze matkę w niektórych robotach. Następująca siostra Maryanna umarła licząc 1/4 lata życia r. circa 1859. Następuje brat Adam, ur. circa 10. grudnia 1860, uczęszcza drugi rok niby dobrowolnie do czwartej klasy szk. głównej w Cieszynie ku p. Janowi Śliwce naucz. i dyrektorowi, teraz choremu, zastąpionego częścią przez syna swego Jana, częścią p. pastora A. Żlika i innych. Jerzy, brat ur. 1864 uczęszcza z bratem Józefem (...) do Puńcowskiej szkoły ludowej ku p. naucz. Janowi Szygutowi.

Poprzedzający Józefa brat, Andrzej umarł, licząc circa 1/3 lata. Andrzej (...) uczy się w domu, a tego roku ma z innymi braćmi uczęszczać do szkoły. Siostra Ewa (...) 18. Brat Karol, ur. 13 Maja (...). Najmłodsza z naszej familii Zuzanna w październiku we czwartek o 4 godzinie po południu zmarła na ospę. Jest to krótki rys familii

naszej. Boże szczęście jej, prowadź ją, aby nie zbłądziła, lecz wypuszczona była do owczarni Twojej! Spraw to o Panie, opiekę naszą! (...). Modociane lata zbiegały jak każdemu miło i błogo. (...). Snać razy bawilem młodszych braci i siostry, wożąc je w kolasce często z Pawłem Koźdoniem z Karłówki. Mając lat przeszło 5, zostałem za prowadzonym do Szkoły Puńcówskiej ku nauczycielowi Janowi Szygutowi. (...). Jak zwykle w szkółce wiejskiej szła nauka bardzo wolno, chociaż nie najgorzej. Brat Jan poszedł do Cieszyna do szkoły a rozmyśliwszy sobie tatulek, że dwaj niewiele więcej kosztować będziemy, wysłali i mnie do Cieszyna, zamiast 1go października szedłem pieszko z Janem w niedzielę kiermasza naszego czyli tak zwanego cesarskiego. Jan miał iść do pierwszej klasy gimnazjalnej, lecz nieprzyjęty poszedł do czwartej głównej ku p. Behschnittowi ja ku p. Janowi Sliwce. Chociażem nie byłem bardzo pilnym zawdzięczam jednak mojemu talentowi, że mi się dobrze wiodło. Jaki rezultat moich nauk był, o tym świadczą świadectwa, których nigdy nie myślę zgubić. Gdzieżem się wziął w Gimnazjum bywszy pierwiej w realnej! Mając zamiar zostać nauczycielem, miałem wystąpić z 2 realnej i wstąpić do preparandy. Ponieważ byłem jeszcze za młodym udali się tatulek na radę do p. Dr pastora Jępp. Otto. Zdanie jego było: Za młody; zamiast siedzieć w realnej darmo niechaj idzie do gimnazjum; wszakże łacińska mowa tak rozwija rozum i potrzebna. Usłuchałem rozsądnym i dobry ojciec, ażebym nie musiał pójść do pierwszej klasy, miałem pobierać lekcje w łacińskim języku. Czynilem to przez wakacje u p. profesora Gazdy i jego syna Emila. (...). Pojmowałem łaciński język dobrze, tak, że w drugiej klasie do najlepszych łacinników należałem. Zamiast do czwartej klasy poszedłem zaraz do preparandy czegom się wcale nie spodziewałem. (...) Rok ten nie był wesołym, bom w nim utraciłem mojego kochanego wujaszka, (um. marca 1872 w Ostrogu) który mi znaczny upominek pozostawił zwłaszcza 130 tomów książek i wielki zapas odzieży. (...). Opuściłem w poprzednich stronicach, wzmiankę uczynić o powodzi, tegoż roku 1872. Powódź była okropna w Czechach w Polsce a w Ślązku nie pamiętają tak wielkiej. Pozabierała gacie i mosty tak przy Cieszynie 3cia gać i łakę, odbudowaną przez oddział pionierów. Teraz rok szkolny 1872/1873. Już na początku nie powodziło mi się dobrze. (...) (...) ja z lekcji otrzymywałem 4,- zł miesięcznie za co sobie jeszcze książki kupuję, daję do oprawy, oszczędzam na inne pożyteczne rzeczy nie otrzymując od rodziców teraz żadnych pieniędzy. (...) Jeszcze chcę wzmiankę uczynić o temperaturze tego roku, to jest jesieni 1872 zimy i wiosny 1873. Jesień bardzo piękna, sucha, ciepła. Nadeszła zima, lecz zima bez śniegu, albowiem na Boże Narodzenie nie było śniegu, równie jak na Nowy Rok. Ciepło było podziwiałające, a drzewa zaczynały kwitnąć równie jak kwiaty, tak że na pogrzebie Napoleona III-go cesarza Francji były bukiety fiołków - na końcu stycznia lub początku lutego. Nareszcie napadał śnieg, zima trwała najwięcej 3 tygodnie, a mrozy dochodziły najwyżej do -14° -16° R. Z wożeniem lodu spieszono się nadzwyczajnie, a żywny i sanki nie bardzo były używane. Śnieg stał, słońce rozpedzało kilkudniowe deszcze i chmury a obecnie to jest od 22 do dziś t.j. 29 Marca trwa najpiękniejsza pogoda. Fiołki i inne kwiaty stroją łąki, pola okrywa zielona szata, a wielka część śpiewaków powróciła już. Jakże miło iść zbierać rośliny, jak miło wyjść na przechadzkę. Tego też nie omieszkuję. Tak byłem dnia 12. Marca 1873 byłem w srodę byłem po południu z moim uczniem Arturem Scholtis, jego siostrą Luizą i pewnym uczniem (...) aż w Końszczyńskim lesie czyli w Zabrzegach.

Dnia następnego 13 Marca wieczór byłem na odczycie p. Jana Kubiśza nauczyciela z Gnojnika w Czytelni Ludowej „O miłości w ogóle a o miłości Ojczyzny w szczególności”. Odczyt wzruszający, napominający młodzię szląką do prawdziwego ukochania Ojczyzny. (...)

Dnia następnego 20. Marca na odczycie Dr. I. Otto „O miłości”, odczyt pouczający i do zabawy. (...)

Dziś, w niedzielę wieczór jestem trochę przy chęci i wziąłem się do pióra. Do ob- szaru tego czasu padają Święta Wielkanocne 9/4. (...) W poniedziałek 14. Kw. na

1 rannym kazaniu, utrzymanym przez p. Pawła Sliwkę syna dyrektora szkoły głównej Ciesz. - kand. teolog. Oraz przy świętej wieczerzy pańskiej. Dalszy ciąg poniedziałku u starzyków w Dzięgielowie. Z resztą święta zbiegły miłe. W wtorek zbierałem szyp w moczynie i sadziłem go 15/4 w ogrodzie, pracowałem w ogrodzie, a w środę znów do Cieszyna marsz! Lecz skutki świąt nie najlepsze. Przywykły do swobody wiejskiego życia, zleniwiałem jakoś i muszę przyznać, że złe skutki się i we szkole pokazują. (...)

W piątek dnia 18. kwietnia (...). Na wieczór byliśmy w restauracji p. Pfeifera, gdzieśmy się nienajprzystojniej sprawowali. (...)

20/4 Dzień dzisiejszy, dzień bardzo pamiętny. Dzis 20 kw. ślub c.k. arcyks. Giseli, najstarszej córki c.k. cesarza i króla (...) z (...) Leopoldem, księciem bawarskim. Także zbor Ciesz. ew. brał udział na tej uroczystości, modlitwą dr. ks. Otto w niem. języku przy ołtarzu. (...)

Dzis dnia 20. Kw. został parobek Gafuszka uwięziony, konie zabrane, z powodu bardzo przedkiego jechania przez miasto, ponieważ był trochę za wiele wódki powąchał. (...)

1. Maja 1873. Dzis dnia 1. Maja 1873 rozpoczyna się wystawa światowa. (...)

2/5 w piątek, kupiłem nóż ogrodniczy za 110 kr czesk. (...)

3/6. (...). Gawęda poufna - , w Cieszynie na przechadzce z J. Kubiszem na zamku. We wtorek, to jest przed dwoma tygodniami byliśmy z prf. L. Fflerem w Trzeńcu obejrzeć hutę. (...)

25/6 środę dżdżystą wieczorem przechadzałem się z J. Kubiszem, pogadanka o Michajdzie i.t.d. (...)

Piątek o dniu nieszczęśliwy dla mnie. Jedno z moich nieszczęść jakimś sposobem powróciło, a tajemnica moja zdaje mi się zdradzona. O ja nieszczęśliwy, o skutki złego towarzysztwa! Dusza moja zakos zatruta / Biada mi! Ale złe może się da odwrócić. (...)

24/7 (...) U fotografa Iastrzbskiego daliśmy się fotografować a zwłaszcza: Ojciec, matka, Jan, ja, Anna, Ewa i Karol, który pierwszy raz w kościele był. (...)

15/8 rano według umowy byłem koło 5-tej u Kufisza w Dzięgielowie, gdzie miał czekać powóz z Gryczem. (...) Rano nie było ani jednej chmurki a przybywszy do Bazanowic jużśmy moknęli. W Ustroniu deszcz przestał padać a wyszedłszy od Bazanta ruszyliśmy dalej. Od „papierni” szliśmy pieszo aż do Wisły. Tam był odpust. (...)

Po obiedzie przechadzaliśmy się, byliśmy przy kat. kościele, tam także z Kotasem, Śniegoniem, z p. Pilchem, a jeszcze nim u Pilcha, byliśmy u p. Macury gdzie nas także pięknie przyjęto. Popołudniu byliśmy na groniu „Jarzembowski” zwanym. Tam stąd powracając mieliśmy ciekawe spotkanie z gospodarzem niejakim Cieslarem a jego sługą, obiema zaufanymi. Z kartów przyszło do kłótni zgola do bicia i pięści. (...) Rano wyborne śniadanie: koface, kawa nas czekała - a potem udaliśmy się w podróż na Baranią. Stawiliśmy się do gospody Halamy, tam nas częstował Szwiertnia, niegdys w Cieszynie studiujący. Wzięliśmy sobie kwartę wódki i bochenek chleba. Z Szwiertnią szliśmy aż do gospody p. Lewiego stąd sami czterej szliśmy ku „Baranii”. (...) Nareszcie o jedenastej stanęliśmy na wierzchu, a tu borówki - do licha. Długo szukaliśmy wody - napróżno, wreszcie na stronie Galicyi znaleźliśmy strumyczek. Na wierzchołku graliśmy od 12 do 4 popijając i zjadając. (...) Wracając do domu inną drogą lepszą przyszedliśmy do kolyby gdzieśmy sobie znów zagrali. (...) Pożegnawszy Macurę poszliśmy do Ustronia z Pilchem. Tam muzyka - w niedzielę. Wieczorem u Bazanta po wieczerze, a potem marsz! do Hermanic do Holesy na noc. Tam podobno chrzciny czy wywód bo przyszedłszy tam zastaliśmy odjeżdżających gości. Na wieczerze dali nam bryndzę i chleba a na noc poszliśmy do stodoły. Rano byliśmy w papierni a nie czekawszy śniadania poszliśmy do Ustronia 18/8 bo tam o siódmej miała być muzyka - i tak też było. Śniadanie wzięliśmy w Traktyrni. Także przy odprawianej uroczystości urodzin cesarskich byliśmy w kościele. O dwunastej udaliśmy się do domu. (...)

Po lekcjach poszedłem do domu z Gryczem paląc cygara. Od 24/9 zacząłem silniej palić i nie szkodzi mi to znacznie. (...)

19/10 1873. Niedziela. Rano wcześniej poszedłem z Gryczem do Kojkowic, ponieważ w sobotę z bratem Jerzym mi do domu przyjść kazano. Ojciec byli chorzy. (...)

22/10 Dnia - środa. Odbył się wybór do Rady Państwa; obranym został narodewiec J. Cienciała z Mistrzowic. (...)

8/11. Sobota. Jak zwykle. Wieczór w teatrze(...)

Bardzo smutne wspomnienie mam dziś notować, jedno z największych nieszczęść, które mnie spotkać mogło. Po niedzieli dnia 10/11 pogarszał się stan zdrowia kochanego ojca. (...)

19/11 dnia zdało się lepiej, dopiero popołudniu dostał bolenia brzucha okropnego. (...) W południe przyszła pastorka Żuzanna po nas, że ojcu bardzo źle że tam lekarz miał być: Poszedłem po dłuższym wahaniu, pędziłem - przyszedłszy ku lasowi Kajzarowemu w Puńcowie spotkałem Sikorę a od niego słyszałem te nieszczęsne słowa; już za późno idziecie, o 1/2 12 umarł ojciec. Ja nie płakałem, Adam płakał, o Żuzannie nie wiem. Także i matka jechała do Cieszyna - serca rozrywające to było spotkanie; (...)

22/11 (...) - sobota, dzień pogodny, ale okropny wiatr, a dnia tego odbył się pogrzeb. Pamiętny to dzień dla mnie i szczegóły jego zostaną zapewne tkwić w pamięci mojej. Obaj księża byli u nas, również Stalmachowie z córką i także moi koledzy Grycz, Piłch, Schedy i Heczko. Przez cały czas trwał najpiękniejszy porządek, pijanego nie było żadnego. Wieczór także wszystko swobodnie się skończyło. Nauczyciel Mrowiec z Łesznej zabawił dosyć długo u nas. (...)

Rok 1874

(...). Dzień 9/1 umarł prof. Karol Gazda inspektor alumneum ew. (...).

Niedziela 11. I 74 dzień pamiętny, dzień pogrzebu zmarłego prof. Gazdy. Studenci Gimnazjum i szkoły realnej musieli towarzyszyć pogrzebowi. Księżów było 4-ch; obaj Cieszyniacy, Janik z Ustronia i Glaicar z Drogomyśla. Kazanie niem. trzymał dr. Otto, polskie p. Glaicar, u grobu niemiecką p. Żlik polską p. Janik oprócz tego mówił student 3-ej klasy Bathalt z alumneum. (...)

25/III 1878

Po znacznej, bardzo znacznej - bo przeszło trzyletniej przerwie zabieram się do prowadzenia dalszego ciągu: „Dzienniki”. Co powodem tego: W nieposlednim rządzie artykuł Dr. Ochorowicza umieszczony w kilku numerach „Szkoły”: O kształceniu własnego charakteru”, który to artykuł we mnie to mocne postanowienie wzbudził, że „Dziennik” prowadzony być przeze mnie musi. Dr Ochorowicz twierdzi, że prowadzenie Dr do wykształcenia charakteru niezbędnie potrzebne, bez prowadzenia dziennika zauważa takowe za niemożliwe zgola: Udowadnia to bardzo ładnie - i zdania mi jego zupełnie się zgadzam.

II-go może niemniej wpływowy powód jest odczytany mi przez Wiśniowskiego autobiografa Dr Jerzego Webera, słynnego „Historyka” i literata. Autobiografia ta wzbudziła we mnie żywe i mocne przedsięwzięcia, ciągłe i niezmordowanie się kształcić, a jako bodziec do wytrwałości ma niniejszy Dziennik posłużyć. Dziś znowu prowadzłem z Wiśniowskim żywą dysputę, której główna treść: Postanowienie, niezmordowanie kształcić się!

Wielka zmiana zaszła od 3 lat w sposobie myślenia - zatem charakter „Dziennika” zupełnie innego nabierze może kolorytu.

27/III Przedsięwzięcie usilnego, pilnego, niezmordowanego pracowania nad dalszym się kształceniem, zdaje się zaczyna odnosić zwycięstwo nad opieszałością, co z wielkim zadowoleniem konstatuje. Cóż za rozkosz móż śmiało pomysleć: Używasz dobrze czasu - po pracy wolno ci odpocząć! Ale czy nie ostanie? Wstyd nie dowierzać własnej woli! Ciało musi się poddać panowaniu ducha! Dziś jakoś cierpliwości nie stało

- użyłem karania cielesnego - które jednak przyniosło pożądaný skutek - rozpedziło roztargnięcie. Co jednak nie może być uniewinnieniem - a więc na przyszłość zimnej krwi i rozwagi!



Grób nauczyciela Pawła Koźdonia (1855-1914) na cmentarzu w Boguminie na Zaolziu, 1 listopada 2004 r. (fot. z archiwum rodzinnego E. Koźdoń-Buchty)

Była osobą czytana, ogromnie pracowitą oraz bardzo wymagającą w stosunku do siebie i do swoich dzieci. Po wielu latach dopiero, z chwilą wybuchu II wojny światowej, sprowadziła się do matki na stałe najmłodsza córka Maria. Niedługo potem, w 1941 r. Anna Koźdoniowa zmarła. Została pochowana na cmentarzu ewangelickim w Ustroniu, w grobie rodzinnym Brodów. Jej mąż spoczywa zaś w Boguminie.

Maria z domu Kraszewska i Paweł Koźdoniowie

Najstarszy syn Anny i Pawła Koźdoniów – Paweł Koźdoń był z wykształcenia adwokatem, doktorem praw, absolwentem Uniwersytetu Wiedeńskiego. Jego żona Maria z Kraszewskich pochodziła z ziemi sądeckiej. Studiowała w Wiedniu literaturę niemiecką. Tam poznała Pawła Koźdonia, swojego przyszłego męża.

Maria i Paweł Koźdoniowie mieli trzy córki: Bronisławę Annę, Janinę Marię oraz Ewę, wszystkie urodzone w Krakowie.

Najstarsza **Bronisława Koźdoniówna** (ur. w 1912 r., zm. w 2000 r.), 2 lipca 1932 r. wyszła za mąż za **Juliana Przybosia** (ur. 5 marca 1901 r., zm. 6 października 1970 r.), poetę, eseistę oraz pedagoga – w latach 1927-1937 nauczyciela cieszyńskich szkół średnich – Państwowego Gimnazjum im. Antoniego Osuchowskiego, a następnie Państwowego Gimnazjum Matematyczno-Przyrodniczego.

Dwie młodsze córki Marii i Pawła Kożdoniów – **Jani-na Maria** (ur. około 1913 r., zm. około 1978 r.) oraz **Ewa** (ur. około 1921 r., zm. około 1999 r.) były niezamężne. Obie pracowały w zawodzie bankowca. Zmarły w Katowicach, tam też zostały pochowane na cmentarzu katolickim przy ul. Henryka Sienkiewicza.

Paweł Koźdoń, przedwojenny socjalista, był adwokatem w Cieszynie do 1939 r. Z chwilą wybuchu II wojny światowej, uciekł przez Węgry do Palestyny, gdzie pracował dla emigrantów. Po zakończeniu okupacji nie mógł już wrócić do ojczyzny. Zmarł w 1949 r. i został pochowany w Tel-Awivie.

Z małżeństwa Bronisławy i Juliana Przybosiów przyszły na świat dwie córki – starsza **Wanda** (ur. w 1942 r.) i młodsza **Julia** (ur. 15 stycznia 1947 r.). Obie od wielu lat mieszkają za granicą – Wanda w Paryżu, natomiast Julia w Nowym Jorku.

Najstarsza wnuczka Anny i Andrzeja Brodów – Bronisława Przybosiowa zmarła w Paryżu w 2000 r. Spoczęła na cmentarzu ewangelickim w Ustroniu, w rodzinnym grobie dziadków.

Czytelników szerzej zainteresowanych losami Bronisławy i Juliana Przybosiów odsyłam do artykułu Mariana Żyromskiego *Cieszyńskie lata Juliana Przybosi* oraz do rozmowy Elżbiety Sikory z Julią Przyboś *Córka sławnego ojca*, zamieszczonych w tym numerze „Pamiętnika Ustrońskiego”.

Otto Koźdoń

Niewiele wiemy o życiu drugiego syna Anny i Pawła Kożdoniów – Ottona Koźdonia. Wiadomo tylko, że podobnie jak jego starszy brat Paweł, studiował prawo na Uniwersytecie Wiedeńskim. Zmarł w młodości na gruźlicę płuc. Był bezzenny. Urodził się i został pochowany w Boguminie. Jego grób (dobrze utrzymany, szary, cenny marmur), mimo regularnego opłacania przez rodzinę, został zniszczony podczas przebudowy cmentarza, co miało miejsce w latach 80. XX wieku.



Bronisława Kożdoniówna (1912-2000), zamężna Przyboś (z lewej) z ciotką Marią Kożdoniówną (1893-1967), wczesne lata 20. XX w. (fot. z archiwum rodzinnego E. Koźdoń-Buchty)

Zofia Koźdoń

Była najstarszą córką Anny i Pawła Koźdoniów. Z zawodu nauczycielka – absolwentka Seminarium Nauczycielskiego w Bielsku. Niezamężna. Wstawiła się za życia pięknym śpiewem w czasie nabożeństw w kościele ewangelicko-augsburskim pw. Apostoła Jakuba Starszego w Ustroniu. Zofia Koźdoniówna zmarła w młodym wieku na płuca. Spoczęła na cmentarzu ewangelickim w Ustroniu, w rodzinnym grobie Brodów.



Wśród grona pedagogicznego, ok. 1912 r. W pierwszym rzędzie siedzą: Paweł Koźdoń – inspektor szkół polskich na Śląsku (czwarty od lewej), Zofia Koźdoniówna – nauczycielka, córka Anny i Pawła Koźdoniów (szósta z lewej) (fot. z archiwum rodzinnego E. Koźdoń-Buchty)

Anna z domu Koźdoń i Paweł Michejdowie

Druga córka Anny i Pawła Koźdoniów – Anna Koźdoniówna kształciła się w Seminarium Nauczycielskim w Cieszynie, a następnie w Bielsku. Do czasu zamążpójścia pracowała jako nauczycielka. Wyszła za mąż za doktora praw Pawła Michejdę (ur. 4 grudnia 1887 r., zm. 16 października 1940 r.) – wybitnego sędziego, adwokata, a także działacza społecznego. Pochodził ze znanej na Śląsku polskiej rodziny Michejdów. Przyszedł na świat w Olbrachcicach na Zaolziu jako syn Pawła i Ewy z Wałachów. Studiował prawo w Wiedniu oraz w Krakowie, gdzie w 1919 r. uzyskał doktorat praw na Uniwersytecie Jagiellońskim. Brał udział w I wojnie światowej jako żołnierz armii polskiej w stopniu oficera. Przez cały okres międzywojenny pracował w sądzie cieszyńskim w zawodzie prawnika – sędziego, a później adwokata. Angażował się wówczas w życie społeczne Cieszyna, działał w Polskim Związku Zachodnim, Macierzy Szkolnej oraz w Towarzystwie Teatru Polskiego.

Kiedy Anna Koźdoń-Michejdowa założyła rodzinę, otrzymała w spadku od matki Anny z Brodów Koźdoniowej dom przy obecnej ul. Marii Konopnickiej 5, w którego

przybudówce niegdyś mieścił się warsztat stolarski jej dziadka. Po śmierci Andrzeja Brody, jego zakład przestał istnieć, gdyż żaden z wnuków nie przejął po nim tego kunsztu. Anna i Paweł Michejdowie nadbudowali wówczas piętro w części mieszkalnej wspomnianego budynku, w której następnie zamieszkali, natomiast dawny warsztat dziadka Brody przerobili na mieszkanie do wynajęcia.

Ponadto Anna i Paweł Michejowie wybudowali w okresie międzywojennym jeszcze dwa domy. W 1931 r. stanęła w Ustroniu przy obecnej ul. Parkowej 8 nowoczesna, piętrowa willa, lecz właściciele nigdy w niej nie mieszkali. Wzniesiono ją celem wynajmowania pokoi czasowiczom oraz kuracjom – stanowiła ona po prostu lokatę przedwojennego kapitału, dorobek dr. Michejdy. W willi funkcjonował wówczas pensjonat (bez nazwy) przyjmujący letników, którym zarządzał ktoś obcy. W czasie II wojny światowej, w maju i czerwcu 1941 r., mieszkało tam 40 Besarabów. W tym czasie dom bardzo podupadł. Po 1945 r. ustrońską willę Michejdów upaństwowiono i objęto tak zwanym nakazem kwaterunkowym. Rodzina już nigdy tej nieruchomości nie odzyskała. W ostatnich latach budynek został zmodernizowany i nadbudowany o jedną kondygnację, przez co zatracił swój pierwotny wygląd.



*Willa Anny i Pawła Michejdów w Ustroniu przy obecnej ul. Parkowej 8, 1932 r.
(fot. pochodzi z miesięcznika „Architektura i budownictwo” nr 5/1932)*

Drugi dom Anny i Pawła Michejdów wzniesiony został w 1935 r. w Cieszynie, na wzgórzu przy obecnej ul. 3 Maja 15, w typie wolnostojącej podmiejskiej willi, gdzie dr Michejda urządził kancelarię adwokacką. Warto w tym miejscu zaznaczyć, iż obo

opisywane budynki zaprojektował wybitny architekt Tadeusz Michejda z Katowic, spokrewniony z właścicielami.

Wybuchła II wojna światowa. Dr Paweł Michejda jako ochotnik kampanii wrześniowej w 1939 r. dotarł ze swoją jednostką pod Lwów. 5 maja 1940 r. został aresztowany. Był więziony w Cieszynie, skąd skierowano go do obozu koncentracyjnego w Dachau, a stamtąd do obozu w Oranienburgu, gdzie zmarł 14 października 1940 r. jako więzień nr 30628.

Po wyzwoleniu wdowa Anna Michejdowa osiadła na stałe wraz z jedyną córką **Wandą** (zameżną **Kubica**) w Cieszynie, jednakże lato spędzała w Ustroniu, mieszkając w przybudówce domu otrzymanego w spadku od matki. Do jego części mieszkalnej, nadbudowanej w okresie międzywojennym, przydzielono lokatorów kwaterunkowych, cztery rodziny, między innymi państwa Zamarskich i panią Królową. Anna Michejdowa za zgodą Urzędu Miejskiego otrzymała tam jeden pokój na parterze.

Z domu tego wspomniane rodziny zostały wykwaterowane w marcu 1982 r. po pożarze budynku. W połowie lat 80. ubiegłego wieku wnuk Anny Michejdowej – **Krzysztof Kubica** zajął się remontem tejże nieruchomości, w której obecnie mieszka wraz ze swoją rodziną. Grób Anny i Pawła Michejdów znajduje się na cmentarzu ewangelickim w Ustroniu.

Maria Koźdoń

Maria Koźdoń (ur. w 1893 r., zm. w 1967 r.) zwana Micą była również nauczycielką. Idąc za przykładem dwóch starszych siostr ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Bielsku. Cechował ją wielki intelekt, znała język angielski i *perfect* niemiecki, interesowała się muzyką. Kochała przyrodę oraz zwierzęta.



Uczniowie czwartej klasy Polskiej Szkoły Ludowej w Boguminie na Zaolziu wraz ze swoją nauczycielką Marią Koźdoniówną, 9 maja 1921 r. (fot. z archiwum rodzinnego E. Koźdoń-Buchty)

Niezamężna Maria była bardzo zżyta ze swoim młodszym bratem Gustawem Koźdoniem – rodzeństwo ogromnie odpowiadało sobie psychicznie, koleje losu dzieliła z nim, a później także z jego rodziną.

Z chwilą wybuchu II wojny światowej, kiedy Gustaw Koźdoń został zesłany na Syberię, Marię wraz z bratową Jadwigą Koźdoniową oraz jej dwiema małymi córeczkami – Urszulą i Elżbietą, aresztowano podczas ucieczki do Ustronia, a następnie osadzono w obozie koncentracyjnym pod Pabianicami. Po kilku miesiącach przebywania w nieludzkich warunkach, uratowały się – w dużej mierze przyczyniła się do tego bardzo dobra znajomość przez Micę języka niemieckiego.

Na przełomie listopada i grudnia 1939 r. Marii Koźdoniówny udało się dotrzeć do Ustronia, gdzie zamieszkała u matki Anny z Brodów Koźdoniowej w rodzinnym domu. Jadwiga Koźdoniowa wraz z córeczkami dotarła tutaj dopiero w 1941 r., angażując się, z narażeniem życia, w działalność miejscowego ruchu oporu. W tym samym czasie zmarła Anna Koźdoniowa. Rodzinną posiadłość Anny i Andrzeja Brodów, to jest dom oraz ziemię, odziedziczyła po matce właśnie Maria Koźdoniówna – najmłodsza córka, która dalsze lata wojny spędziła w tym domu wraz z bratową Jadwigą i bratanicami, mieszkając na parterze. Piętro budynku zajęli natomiast Niemcy, rekwirując również pobliskie zabudowania gospodarcze dla swoich potrzeb.

Po wyzwoleniu, kiedy latem 1945 r. Gustaw Koźdoń, z nakazu wojskowego, musiał udać się do pracy na Ziemi Odzyskanej, zabierając ze sobą żonę i córeczki, Maria Koźdoniówna pozostała w Ustroniu sama. Wówczas to do jej domu dokwaterowano lokatorów – rodzinę Matuszków, którzy wyprowadzili się około 1955 r.

Natomiast na piętrze budynku mieszkał w latach 1945-1956 kapitan Anatol Falkowski (ur. 12 czerwca 1900 r., zm. 21 lutego 1976 r.) z Wojska Ochrony Pogranicza. Jednostka WOP-u mieściła się wówczas w obecnym budynku hotelu „Ustroń” przy ul. Hutniczej 7. Kapitan Falkowski był rosyjskiego pochodzenia, ale świetnie mówił po polsku. Podczas zamieszkiwania w domu Marii Koźdoń, starał się być bardzo uczynny dla właścicielki, posyłał żołnierzy, którzy wykonywali drobne naprawy w budynku. Latem odwiedzała go w Ustroniu małżonka oraz córka z małym dzieckiem. Anatol Falkowski został pochowany w Ustroniu na cmentarzu ewangelickim.

W latach 50. i 60. minionego stulecia wakacje letnie zwykle spędzać u cioci Micy w Ustroniu siostrzenice – Urszula i Elżbieta Koźdoniówne. Gustaw Koźdoń wówczas często tu bywał, opiekując się siostrą i pomagając jej w gospodarstwie domowym oraz w ogrodzie.

W połowie lat 60. XX wieku Maria Koźdoń zachorowała. Była leczona najpierw w Katowicach, gdzie wtedy mieszkał jej brat z rodziną, w klinice przy ul. Francuskiej, a następnie w szpitalu w Rybniku. Tam zmarła w czerwcu 1967 r. Spoczęła na cmentarzu ewangelickim w Ustroniu.

Jadwiga z domu Biłocha i Gustaw Koźdoniowie

Gustaw Koźdoń przyszedł na świat 15 lutego 1901 r. jako najmłodsze z sześciorga dzieci Anny i Pawła Koźdoniów i zarazem najmłodszy wnuk Anny i Andrzeja Brodów. Urodził się i dorastał w Boguminie na Zaolziu, tam też ukończył szkołę ludową, ale często przyjeżdżał wtedy do Ustronia, do rodzinnej posiadłości jego matki – Anny z Brodów Koźdoniowej.

Następnie uczęszczał do średniej szkoły rolniczej w Oberschersdorf (obecnie północne Czechy), którą ukończył zdobywając zawód agrotechnika. W okresie I wojny

światowej, będąc wówczas jeszcze niepełnoletnim młodzieńcem, za zgodą matki (ojciec Paweł Koźdoń zmarł w maju 1914 r.) zaciągnął się do Legionów Józefa Piłsudskiego i walczył o niepodległość Polski.

Jako absolwent średniej szkoły rolniczej zajmował się gospodarstwem w Ustrońcu, należącym w przeszłości do jego babci – Anny ze Sztwiertniów Brodowej. W latach 20. XX wieku przejął w dzierżawę majątek Frelichów koło Chybia i został jego głównym zarządcą.

Na początku lat 30. ubiegłego stulecia Gustaw Koźdoń wraz ze swoją siostrą Marią Koźdoniówną przeniósł się na wschód, gdzie objął majątek Leszczańce koło Buczacza na terenie Ukrainy. Tam poznał farmaceutkę Jadwigę Otylię Biłochównę, urodzoną w 1906 r. w Buczaczu, absolwentkę średniej szkoły aptekarskiej we Lwowie, z którą w 1936 r. zawarł związek małżeński. Pod koniec tego roku urodziła im się pierwsza córka – **Urszula**.

W 1937 r. dostał intratną ofertę pracy na Górnym Śląsku. Przez kolejne trzy lata zarządzał majątkami rolnymi w Baranowicach koło Żor, należącymi do najstarszego i największego w międzywojennej Polsce przedsiębiorstwa cynkowego Giesche S.A. z siedzibą w Katowicach. W Baranowicach, w 1939 r., przyszła na świat druga córka Jadwigi i Gustawa Koźdoniów – Elżbieta.



Zwiad meteorologiczny. Gustaw Koźdoń jako żołnierz I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, 1943 r.

(fot. z archiwum rodzinnego córki E. Koźdoń-Buchty)

Z chwilą wybuchu II wojny światowej zgłosił się jako ochotnik do armii „Kraków”, która w czasie kampanii wrześniowej została rozgromiona przez wojska niemieckie. Jego żona wraz z córkami znalazły w tym czasie schronienie w Buczaczu. Podczas przeprawy przez „zieloną granicę” Gustaw Koźdoń został schwytyany przez Rosjan pod zarzutem szpiegostwa (powodem było jego świadectwo maturalne z zaboru austriackiego znalezione przy nim w czasie kontroli) i zesłany na 25 lat do obozu przymusowych robót w Workucie na Syberii. Tam przez trzy lata, mieszkając w nieludzkich warunkach, pracował przy budowie peczorskiej linii kolejowej.

W międzyczasie nosił się z zamiarem wstąpienia do Armii Polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa, co niestety mu się nie udało. Pod koniec 1942 r. wraz z kilkunastoma towarzyszami swojej niedoli przeprawił się rzeką Wołgą nad Morze Kaspijskie, a stamtąd do Uzbekistanu, w okolicy miasta Samarkanda. W maju 1943 r.,

dzięki staraniom m.in. Wandy Wasilewskiej i gen. Władysława Sikorskiego, rząd radziecki wyraził zgodę na utworzenie I Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki pod dowództwem gen. Zygmunta Berlinga. Rejonem jej formowania były Sielce nad

Oką. Masowo napływali do niej polscy więźniowie wywiezieni w głąb Związku Radzieckiego, wśród których znalazł się Gustaw Koźdoń. Z I Dywizją Kościuszkowską przeszedł cały szlak bojowy, od Lenino przez Wał Pomorski do Berlina.

Z wojny powrócił w czerwcu 1945 r. W rodzinnym domu, w Ustroniu, czekały na niego kilkuletnie córki oraz żona, która w czasie okupacji, pracując w miejscowej aptece Władysława Kośmidra, równocześnie działała w Armii Krajowej i z narażeniem życia zaopatrywała partyzantów z Oddziału „Czantoria” w leki oraz środki opatrunkowe.

Po II wojnie światowej, latem 1945 r., rodzina Koźdoniów wyjechała na Ziemię Odzyskane, gdzie Gustaw Koźdoń, będąc wówczas jeszcze żołnierzem, o profesji agrotechnika, dostał wojskowy nakaz uruchamiania majątków poniemieckich na opolszczyźnie, w Kalinowie pod Górą Św. Anny.



Kalinów pod Górą Św. Anny na opolszczyźnie, gdzie w latach 1945-1954 agrotechnik Gustaw Koźdoń uruchamiał majątki poniemieckie (widokówka ze zbiorów Bożeny Kubiś)

W 1949 r. przeniósł się wraz z żoną i córkami do Katowic, gdzie podjął pracę w dziale administracyjno-gospodarczym Katowickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego, zajmując się między innymi zasiedlaniem opuszczonych mieszkań na Śląsku, głównie poniemieckich. Tam przebywał wraz z rodziną do połowy lat 60. XX w. W Katowicach jego żona pracowała w aptece szpitalnej kliniki przy ul. Francuskiej. Na Górnym Śląsku córki państwa Koźdoniów ukończyły studia wyższe i założyły rodziny.

W drugiej połowie lat 60. ubiegłego stulecia Jadwiga i Gustaw Koźdoniowie powrócili na stałe do Ustronia. Gustaw podjął wtedy pracę w Banku Rolnym w Cieszynie, a jego żona w aptecce w Skoczowie. Zamieszkali wówczas w stuletnim rodzinnym domu, wybudowanym przez dziadka – Andrzeja Brodę. W Ustroniu spędzili także wiek emerytalny.

Gustaw Koźdoń zmarł 31 lipca 1979 r., a jego żona rok później. Zostali pochowani na cmentarzu ewangelickim w Ustroniu, w rodzinnym grobie Brodów.

Pozostawili po sobie liczne fotografie i „polskie losy” tamtych trudnych lat, zapamiętane przez córkę – **Elżbietę Koźdoń-Buchtę**. Do przeczytania jej artykułu *Życie Gustawa Koźdonia pełne odwagi, pracowitości i szlachetności*, zamieszczonym w tym numerze „Pamiętnika Ustrońskiego”, zachęcam wszystkich Czytelników.

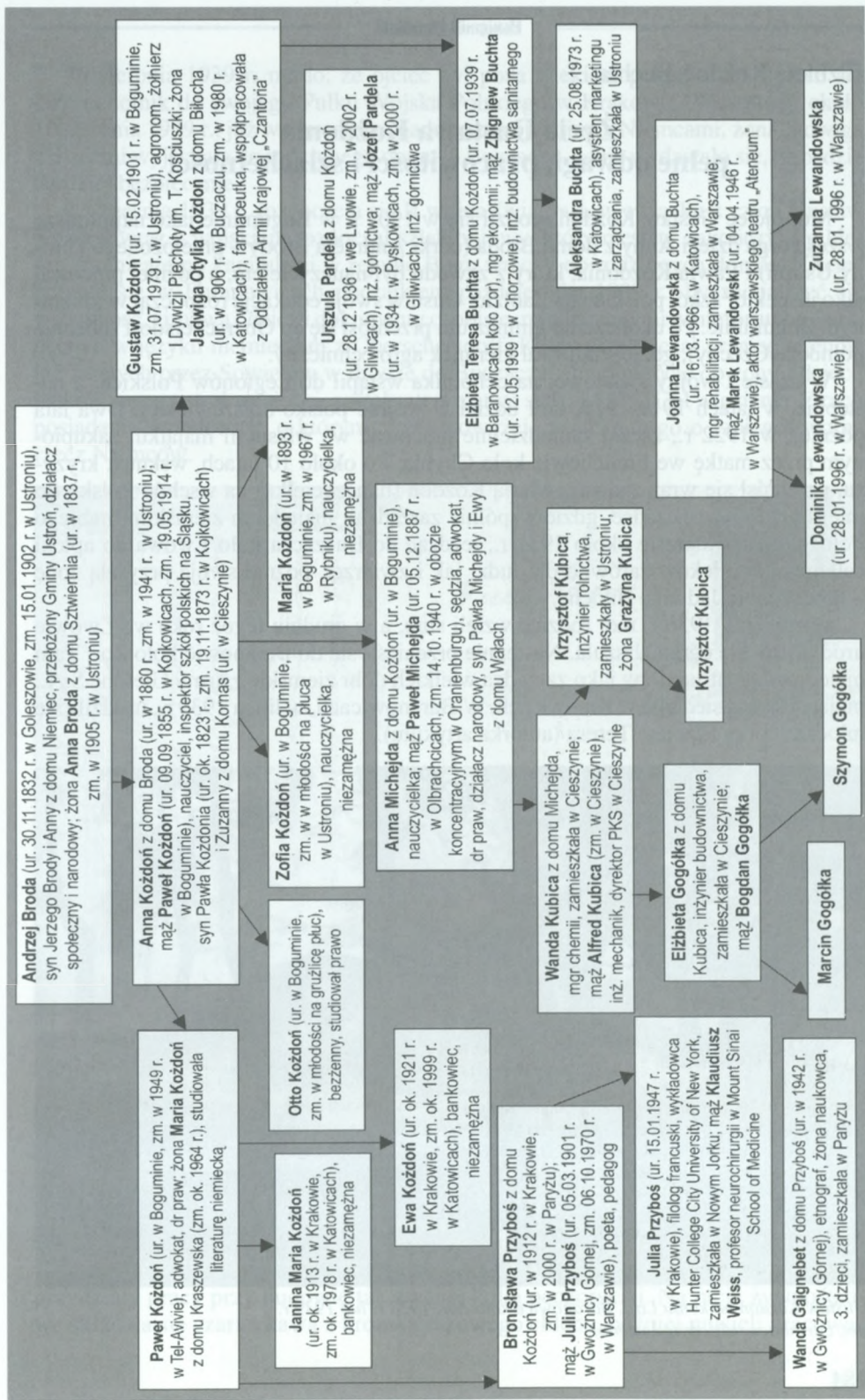
Dom rodzinny Brodów i Koźdoniów jest obecnie remontowany i odrestaurowywany, z zachowaniem wszystkich pierwotnych detali, przez Elżbietę Koźdoń-Buchtę, która zamieszkała w nim na stałe w 1984 r. Mieścił się w nim przecież pierwszy Urząd Gminy Ustroń, zanim wybudowano ratusz na Rynku. Jest to więc dom – symbol. Symbol polskości i siedziba rodzin, które z pewnością można by określić mianem „gniazd polskich”.



Zabytkowa tablica z lat 1882-1894, kiedy to dom Anny i Andrzeja Brodów pełnił funkcję Urzędu Gminy Ustroń (fot. Michał Pilch, 2004 r.)

Wykaz źródeł:

- * – kserokopię dokumentu z archiwum rodzinnego użyczyła Elżbieta Koźdoń-Buchta.
- Archiwum Państwowe w Katowicach, Oddział w Cieszynie. Akta Gminy Ustroń, sygn. 28.
- Informacje i wspomnienia Elżbiety Koźdoń-Buchty przekazane podczas wywiadów udzielonych w lipcu i grudniu 2005 r.
- Towarzystwo Miłośników Ustronia. Zasłużeni ludzie Ustronia. Ustroń 1983.
- K. Nowak: *Życie polityczne i społeczne*. W: Ustroń 1305-2005. T. 1. Red. I. Panic. Ustroń 2005, s. 244-249.
- B. Kubień: *Wykaz ustrońskich przedsiębiorców z okresu od XVII wieku do 1945 roku w układzie chronologicznym*. „Pamiętnik Ustroński Nr 12”. Ustroń 2005, s. 52-53.
- B. Poloczkowa: *Z dziejów ustrońskiego Ratusza*. „Pamiętnik Ustroński Nr 11”. Ustroń 2001, s. 15.
- Rozmowa Elżbiety Sikory z Julią Przyboś: *Córka sławnego ojca*. „Pamiętnik Ustroński Nr 13”. Ustroń 2007, s. 299-303.
- J. Golec, S. Bojda. Słownik biograficzny ziemi cieszyńskiej. T. 1. Cieszyn 1993, s. 194
- J. Golec, S. Bojda. Słownik biograficzny ziemi cieszyńskiej. T. 2. Cieszyn 1995, s. 109.
- J. Golec, S. Bojda. Słownik biograficzny ziemi cieszyńskiej. T. 3. Cieszyn 1998, s. 37-38.
- J. Pilch. Ustroń 1939-1945. Ustroń 1978, s. 61.
- B. Michejda-Pinno: *Dr Władysław Michejda z Katowic. Jego walka o prawa Polaków pomiędzy dwoma wojnami o niepodległość Polski*. W: O polski Śląsk. Tadeusz Michejda (1895-1955), Władysław Michejda (1896-1943). Red. W. Nagengast. Katowice 2000, s. 61.
- J. Jakubiec: *Manhatan na miejscu „Korabia”*. „Kalendarz Ustroński 2003”. Ustroń 2002, s. 113-115.



Drzewo genealogiczne rodzin Brodów i Koździejów (opracowała Bożena Kubień przy współpracy Elżbiety Koźdoń-Buchty)

Elżbieta Koźdoń-Buchta

Życie Gustawa Koźdonia pełne odwagi, pracowitości i szlachetności

Mój ojciec Gustaw Koźdoń urodził się w 1901 r. w Boguminie jako najmłodsze z sześciorga dzieci Anny z domu Broda (córki Andrzeja Brody – przełożonego Gminy Ustroń) i Pawła Koźdonia, który z zawodu był nauczycielem, a później pracował jako inspektor szkół polskich na Zaolziu. Gustaw swoją edukację rozpoczął w rodzinnym Boguminie. Po ukończeniu gimnazjum przeniósł się do Oberschersdorf (obecnie północne Czechy), gdzie studiował kierunek agrotechniczny.

W czasie I wojny światowej na ochotnika wstąpił do Legionów Polskich, a następnie, w latach 1919-1920, brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Dwa lata później, w 1922 r., zaczął samodzielnie pracować we własnym majątku, zakupionym przez matkę we Frelichowie koło Chybia. Po około 10 latach, wskutek kryzysu, przeniósł się wraz z siostrą Marią Koźdoń (nauczycielką) na wschód Polski, do miejscowości Leszczańce, gdzie wspólnie zarządzali majątkiem ziemskim hrabiego Potockiego. W okresie około 1931 r., jeżdżąc do Buczacza koło Lwowa do apteki celem zakupu leków zarówno dla ludzi jak i zwierząt, poznał swoją przyszłą żonę – farmaceutkę Jadwigę Biłochę.

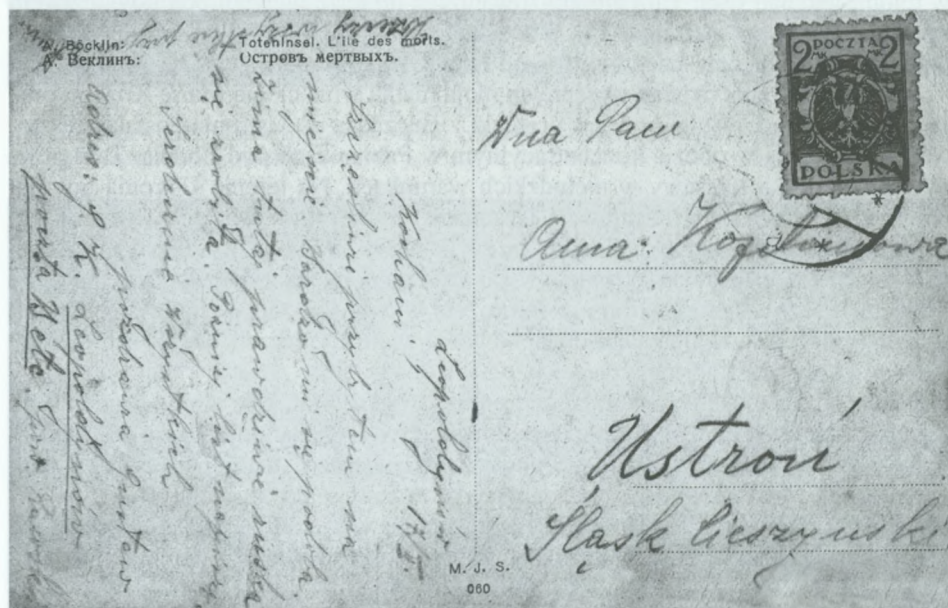
W styczniu 1936 r. moi rodzice wzięli ślub, a w grudniu tegoż roku we Lwowie urodziła im się córka Urszula. Następnie przenieśli się do Baranowic koło Żor. Tam ojciec został zatrudniony jako zarządca wielkich dóbr ziemskich firmy Giesche S.A., mającej swoją siedzibę w Katowicach. W Baranowicach, w lipcu 1939 r., urodziła się młodsza córka Elżbieta Teresa (autorka artykułu).



*Gustaw Koźdoń na koniu Liza. Baranowice koło Żor, 1938 r. lub 1939 r.
(fot. z archiwum rodzionego autorki)*

15 sierpnia 1939 r. mimo, że ojciec był poza wiekiem poborowym, zgłosił się jako ochotnik do swojego Pułku Wojska Polskiego w Krakowie. Wcześniej, około 10 sierpnia 1939 r., już w atmosferze nadchodzącej wojny z Niemcami, żona Jadwiga z dziećmi wyjechała do rodzinnego domu w Buczaczu, gdzie wydawało się, że będzie bardziej bezpiecznie.

1 września 1939 r. rozpoczęła się II wojna światowa, w związku z czym Gustaw Koźdoń wraz z wojskiem rozpoczął szlak bojowy, który niestety zakończył się klęską. Żołnierze po kapitulacji w rejonie Bugu wracali do rodzinnych domów. Ojciec pojawił się w Baranowicach początkiem października 1939 r., by zaopatrzyć się w żywność, zimową odzież i dokumenty osobiste, między innymi w niefortunne świadectwo w języku niemieckim z Oberschersdorf. Kiedy przekraczał granicę terenów już zajętych przez Sowietów w drodze do Buczacza, aby powrócić do żony i dzieci, natknął się na patrol sowiecki, został zatrzymany i skazany na 25 lat więzienia. Z racji posiadania świadectwa, o którym mowa powyżej, posądzono go o szpiegostwo na rzecz Niemców.



Pocztówka z Leopoldynowa z lutego 1940 r., adresowana do matki Anny Koźdoniowej z Ustronia, w której, ze zrozumiałych względów, Gustaw Koźdoń zawarł wręcz lakoniczne informacje o swoim „pobycie” na Syberii: „Wna Pani Anna Koźdoniowa Ustron Śląsk Cieszyński. Leopoldynów 17/II. Kochani! Szczęśliwie przybyłem na miejsce. Bardzo mi się podoba. Zima tutaj prawdziwie ruska się zrobiła. Później list napiszę. Serdecznie wszystkich pozdrawiam Gustaw, adres: G. K. Leopoldynów, poczta Belc, pow. Rawski. Ps. Rzeczy wszystkie przywozłem” (z archiwum rodzinnego autorki)

I tak właśnie znalazł się późną jesienią 1939 r. w rejonie Workuty na Syberii w obozie, gdzie nie było nawet baraków, a każdy ze „skazańców” musiał wygrzebać sobie norkę w ziemi i okryć się gałązkami świerku. Po paru tygodniach sami „skazani” wybudowali prowizoryczne baraki. Poszczególni więźniowie dostali przydziały pracy przy budowie tak zwanej kolei peczorskiej. Na racje żywnościowe składała się czarna kawa z kromką razowego chleba, później musieli pracować

przez wiele godzin na nasypie kolejowym, wreszcie, wieczorem, otrzymywali zupełną ugotowaną z kilku kawałków ryb z kromką chleba.

W takiej sytuacji ludzie byli wyczerpani fizycznie i umierali setkami. Nastąpiła zima, mrozy dochodziły do -40° C. Dzięki operatywnym działaniom generała Władysława Sikorskiego i Wandy Wasilewskiej doszło do weryfikacji wyroków i przez to ojciec znalazł się na liście zwolnionych. Wolni już więźniowie stanowili ogromny transport, który płynął barkami do Uzbekistanu w rejon Samarkandy. Warunki przewozu były wręcz tragiczne ze względu na przeludnienie barek, jak również brak żywności. Po dotarciu do Uzbekistanu okazało się, że polska Armia pod dowództwem generała Władysława Andersa już wyruszyła. „Więźniowie” pozostawieni samym sobie, gotowali byle jakie zupy, aby w ogóle przeżyć. Jeśli tylko mogli, pomagali Uzbekom w małych gospodarstwach przy naprawie narzędzi, a za to otrzymywali trochę winogron i ziarno na tak zwane podplomyki.

W 1943 r., gdy formowano I Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, po setkach kilometrów przebytych pieszo, byłym „więźniom” Syberii udało się przedostać w rejon Sielc nad Oką. Tam zmobilizowano ich do tejszej Dywizji pod dowództwem generała Zygmunta Berlinga. Tak przedstawiały się losy Gustawa Koźdonia, który przebył z Dywizją cały szlak bojowy, od Lenino po Berlin.

W czasie trwania działań wojennych moja matka wraz z ciocią Marią Koźdoń oraz ze mną i siostrą Urszulą, podczas ucieczki z Buczacza do Ustronia została aresztowana i osadzona w obozie koncentracyjnym w Pabianicach pod Łodzią. Tam przebywałyśmy kilka miesięcy w nieludzkich warunkach. Na terenie Ustronia powstał wówczas Oddział Armii Krajowej „Czantoria”, z którym współpracowała między innymi moja matka Jadwiga Koźdoń po wydostaniu się z obozu. Razem z dr. Zygmuntem Łysogórskim i dr. Wróblem w zakresie pomocy lekarskiej i lekowej, a także z Janem Błaszczykiem i Alfonsem Jamrózem w zakresie zaopatrzenia w żywność. Była to współpraca wymagająca dużej odwagi i wielu wyrzeczeń. Matka zatrudniona była wówczas w ustrońskiej aptece.

Mojego ojca Gustawa poznałam dopiero w wieku 6 lat, gdy wrócił do domu po ciężkich i wręcz tragicznych przeżyciach wojennych. Ojciec pojawił się w Ustroniu w maju 1945 r. Okoliczności jego powrotu były bardzo „teatralne”. Sprawił nam dzieciom tym faktem ogromną niespodziankę. Razem z siostrą bawiłyśmy się z synem sąsiada Asiukiem Kmiotowiczem przy studni w rodzinnej posiadłości przy ul. Marii Konopnickiej. Podjechało dwóch panów na rowerach w mundurach i jeden z nich zapytał, czy to Urszula i Terenia. Powiedział: *A ja jestem wasz tato*. Przez wszystkie długie lata okupacji wieczorne pacierze na kolanach z matką odmawiałyśmy w intencji powrotu ojca. Jako żołnierz I Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki dostał parę dni urlopu i w taki sposób po okresie sześciu lat, to jest 1939-1945, po raz pierwszy zobaczył swoją żonę i córki.

W 1945 r., jeszcze z rozkazu wojskowego, zajął się uruchamianiem poniemieckich majątków ziemskich na opolszczyźnie. Jako dziecko pamiętam sytuację, gdy do Kalinowa pod Górą św. Anny, gdzie ojciec pracował od świtu do nocy, któregoś dnia przepędzono około 100 krów z pomocy UNRY. Po trzech latach został powołany do pracy w Zjednoczeniu Przemysłu Węglowego w Katowicach. Przypominam sobie jak wielką radość sprawiały memu ojcu dobre zbiory ziemniaków, kapusty i zboża, które z Kalinowa szły transportem dla rodzin górniczych.



W rodzinnym domu w Ustroniu przy ul. M. Konopnickiej, lipiec 1973 r. Od prawej: Gustaw Koźdoń, żona Jadwiga Koźdoń, wnuczka Joanna Buchta, córka Elżbieta Koźdoń-Buchta, zięć Zbigniew Buchta (fot. z archiwum rodzinnego autorki)



Gustaw Koźdoń wśród członków ustronńskiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, 1974 r. I rząd od lewej: Jan Heczko, Gustaw Koźdoń, Piotr Szachowicz, Franciszek Zawada senior, Henryk Lupinek, Zbigniew Guzkiewicz, Jan Lipus, Anna Janusz, Józef Pilch. II rząd od lewej: Maria Przyłuska, Hermína Hanas, Anna Zakaszewska, Jan Skrzeczek, Anna Śliwka, Anna Żertka, Franciszka Starzyk, Paweł Rakowski, Emilia Cembala, Stanisława Puchowska, Paweł Gogółka, Maria Wawracz, Stanisław Głuski, Bolesław Ferfecki. III rząd od lewej: Stanisław Hanas, Józef Holeksa, Franciszek Zawada junior, Ludwik Gembarzewski, Wiliam Bura, Jan Troszok, Dominik Błażut, Antoni Kawecki, Paweł Wantulok, Jerzy Gwoździak, Stanisław Mierczy, Teofil Duster. IV rząd od lewej: Zenon Sadowski, Michał Gomola, Józef Glajc, Jan Jaworski, Józef Nogawczyk, Jan Zawada, Franciszek Kazimierzczak, Andrzej Pinkas, Alojzy Chowaniec, Henryk Hadaszczak (fot. ze zbiorów i wg opisu Ludwika Gembarzewskiego)



Gustaw Koźdoń z córką Elżbietą na Czantorii, 1968 r. (fot. z archiwum rodzinnego autorki)

W latach sześćdziesiątych XX wieku, po śmierci siostry Marii, ojciec przeniósł się do rodzinnego domu w Ustroniu. Podjął pracę w Banku Rolnym w Cieszynie, skąd przeszedł na zasłużoną emeryturę. Wtedy też zaangażował się w życie społeczne Ustronia, lecz wyczerpany pracą na Syberii, wojną i uruchamianiem ziem rolniczych pod Górą św. Anny, coraz bardziej podupadał na zdrowiu. Zmarł po ciężkiej chorobie w 1979 r. i spoczął na cmentarzu ewangelickim w grobie rodziny Brodów.



Elżbieta Koźdoń-Buchta z córkami Joanną i Aleksandrą – wnuczkami Gustawa Koźdonia, Katowice 1979 r. (fot. z archiwum rodzinnego autorki)

Jadwiga Koźdoń była człowiekiem o wielkim patriotyzmie. Przeżycia wojenne, działalność w Armii Krajowej i nieustanny lęk przed Gestapo osłabiły jej serce. Dużo chorowała. W 1970 r. w następstwie wylewu została lewostronnie sparaliżowana. Po rehabilitacji, między innymi w Reptach na Śląsku, zaczęła chodzić o kulach po mieszkaniu.

Bohater artykułu był ojcem surowym, wymagającym pracowitości – zarówno od siebie, jak i od dzieci. Stanowił pozytywny przykład męża i ojca, niezwykle szlachetnego i dobrego człowieka. Wiele razy organizował nam dzieciom wycieczki na Równicę, Czantorię, czy Stożek, zawsze opowiadając jakieś ciekawostki o przyrodzie, którą bardzo kochał. Tę miłość do przyrody zdołał zaszczyć także dwóm swoim wnuczkom. Choć jego życie nie było łatwe, zdążył przekazać nam najlepsze wzory, które zaowocowały umiejętnością znalezienia się w późniejszej, dorosłej rzeczywistości, propagując pracowitość, uczciwość, a nade wszystko szacunek dla ludzi.



Jadwiga Koźdoń na tarasie domu rodzinnego w Ustroniu, 1976 r.

(fot. z archiwum rodzinnego autorki)



Mgr Elżbieta Koźdoń-Buchta – absolwentka Akademii Ekonomicznej w Katowicach. Tematem jej pracy dyplomowej był „Rozwój Cieszyna po podziale miasta w 1920 roku”. Następnie otrzymała zlecenie z Wydziału Historii PAN i napisała pracę „Rozwój rzemiosła w Cieszynie od początków do 1938 roku” (egzemplarz ozdobny znajduje się w zbiorach Muzeum Śląska Cieszyńskiego w Cieszynie). W latach 1990-1993 była naczelnikiem Wydziału Kultury, Oświaty i Rekreacji w Urzędzie Miasta Ustroń. W okresie tym przyczyniła się do utworzenia Ogniska Muzycznego i Szkoły Języków Obcych pod patronatem Urzędu Miasta. Ponadto uczestniczyła w pracach organizacyjnych i podpisaniu partnerstwa miast. Obecnie jest na emeryturze.

Marian Żyromski

Cieszyńskie lata Juliana Przybośia

We wrześniu 1927 r. rozpoczął Julian Przyboś ponad dziesięcioletnią pracę w Cieszynie w Państwowym Gimnazjum im. Antoniego Osuchowskiego w charakterze nauczyciela języka polskiego i propedeutyki filozofii.

11 sierpnia 1927 r. poeta zwrócił się do Wydziału Oświecenia Publicznego w Katowicach z prośbą o posadę nauczyciela w Bielsku lub Królewskiej Hucie (obecnie Chorzów). O ile Królewska Huta mogła go pociągać swym wielkoprzemysłowym pejzażem, o tyle trudno wyjaśnić wybór Bielska. Znalazł się jednak ostatecznie w Cieszynie, bo tam była właśnie wolna posada nauczycielska i 1 września 1927 r. złożył przysięgę na ręce dyrektora Franciszka Popiołka.

Przybywając do Cieszyna miał już poeta za sobą spore doświadczenie pedagogiczne, prawie trzyletnią pracę (1924-1928) nauczycielską w Państwowym Gimnazjum i Seminarium Żeńskim w Sokalu nad Bugiem w woj. lwowskim, egzamin pisemny i ustny przed Państwową Komisją Egzaminacyjną dla Kandydatów na Nauczycieli Szkół. Do pracy w Państwowym Gimnazjum w Cieszynie przyjął go dyrektor Franciszek Popiołek. Przez rok był zatrudniony jako nauczyciel tymczasowy; pełne kwalifikacje uzyskał dopiero w czerwcu 1928 r. po zdaniu egzaminów z pedagogiki, metodyki języka polskiego, historii oraz filozofii.



Julian Przyboś – poeta, eseista, pedagog
(fot. ze zbiorów Mariana Żyromskiego)

W 1929 r. na mocy zarządzenia Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego gimnazjum cieszyńskie zostaje podzielone na dwie szkoły o różnych profilach: Państwowe Gimnazjum Klasyczne i Państwowe Gimnazjum Matematyczno-Przyrodnicze, do którego przydzielono Juliana Przybośia, a dyrektorem został Karol Grycz.

Z zachowanych dokumentów i wspomnień absolwentów wynika, że poeta podchodził do obowiązków pedagogicznych serio, choć nigdy nie traktował nauczania młodzieży za cel życia, o czym świadczy list do przyszłej żony (Bronisławy Koźdoń) z 15 maja 1932 r.: (...) *nie mam zamiaru tkwić ciągle w belferce, nauczycielstwo uważam za przykrą i przejściową niewolę, którą wcześniej czy później strząsnę ze siebie, żeby ocalić w sobie to, co uważam za wartościowe.*

Mówiąc o polskiej oświacie, również cieszyński wychowanek poety – Jan Szczepański stawiał go jako ideał

wychowawcy, mimo nie przestrzegania programu oraz głoszenia poglądów i opinii nie zawsze zgodnych z obowiązującymi, a swoje wspomnienie po śmierci poety zatytułował *Julian Przybós – nauczyciel*. Był nauczycielem dalekim od konwencjonalnych wyobrażeń. Na pewno wizytatorzy i inspektorzy szkolni mieli kłopoty z oceną jego metod nauczania.

Inny wychowanek tej samej klasy (matura 1932 r.) – Alfred Łaszowski wspomina: *Uczniów przeciętnych traktował zdawkowo i mało się nimi zajmował (...) naprawdę obchodzili go jedynie ci co chcieli dzięki niemu i przy nim się rozwijać. Tacy jak: Kornel Filipowicz, Zdzisław Nardelli albo Jan Szczepański. Jego wykłady przeznaczone były właśnie dla tych najlepszych.*

Mimo traktowania nauczycielstwa za *przejsściową niewolę*, pracę w szkole traktował bardzo poważnie i z dużym zaangażowaniem. Wygłaszał odczyty na konferencjach nauczycielskich, prowadził dla kolegów lekcje pokazowe. Uczestniczył w pracach Ogniska Metodycznego nauczycieli języka polskiego z Bielska i Cieszyna. Był organizatorem licznych wycieczek turystycznych oraz tak zwanych społecznych (obserwacja społeczeństwa pracującego): zwiedzanie drukarni, intrologatori, miejskiego muzeum, schroniska na Równicy; wycieczek towarzyskich, zabaw tanecznych, wieczorów kulturalno-rozrywkowych itp.

Praca nauczycielska zabierała mu wiele czasu (samiych wypracowań pisemnych z języka polskiego zadawano w jednej klasie od 32 do 36 w roku szkolnym) ale też i osiągał w niej bardzo dobre wyniki. Wszystkie oceny wizytatorów (Ernesta Farnika, M. Szoltysa) mają zdecydowanie charakter akceptujący. Opinia dyrektora Karola Grycza z 1931 r.: *Niektórzy uczniowie okazują dość znaczne wyrobienie literackie, zmysł obserwacyjny, czy wcale bujną wyobraźnię. Lekcja była interesująca.*

Uznanie dla Przybosia wyrażone nie tylko w manifestacji słownej. Wszystkie zabiegi nauczyciela o lepsze warunki kończyły się pomyślnie. Od 1931 r. otrzymał zniżkę godzin najpierw do 18, a następnie 12 godzin tygodniowo. W 1936 r. otrzymał płatny urlop na wyjazd z żoną do Paryża celem dogłębnego zbadania *Stosunków między nowymi prądami w literaturze francuskiej i polskiej*. Innym dowodem przyjaznych uczuć wobec poety i uznania dla jego pracy nauczycielskiej było nadanie mu przez wojewodę śląskiego Michała Grażyńskiego 2 maja 1938 r. „Brązowego medalu za długoletnią służbę”. Odznaczenie srebrnym medalem przewidziano na 1944 r.

Pobyt w Cieszynie z wielu powodów znaczący w życiu poety, przyniósł mu jeszcze jedno silne przeżycie, wielką miłość zakończoną tragedią. Marzena Skotnicówna



Alfred Łaszowski (1914-1997)
– krytyk literacki, publicysta,
prozaik, wychowanek Juliana
Przybosia
(fot. ze zbiorów M. Żyromskiego)



Kornel Filipowicz (1913-1990)
– powieściopisarz, publicysta,
wychowanek Juliana Przybosia
(fot. ze zbiorów M. Żyromskiego)

poznała Przybosią w Cieszynie, do którego przybyła w tym samym, 1927 r., co on. Łączyło ich głębsze uczucie, czego świadectwem jest cykl wierszy *Tobie*, zamieszczony w tomie *W głąb las* (1932), jak i opinia brata Marzeny, Jerzego Skotnicy, również ucznia Przybosią. Po wręczeniu świadectw maturalnych w czerwcu 1929 r. Marzena wyjechała do Zakopanego. Tragedia nastąpiła 6 października 1929 r., o czym powiadomiono poetę telegramem: *Marzena zginęła, odpadła wraz z siostrą Lidą w trakcie pokonywania południowej ściany Zamarłej Turni, obie dziewczyny poniosły śmierć na miejscu*. W drodze do Zakopanego już z Krakowa (7 października 1927 r.) Przyboś pisał do swej stryjenki: *Spotkał mnie straszny cios: oto jadę na pogrzeb najdroższej mi istoty. Czytaliście o śmierci dwu turystek na Zamarłej Turni? Umarły dwa wyniosłe i orle serca*. Po przyjeździe do Zakopanego poeta musiał zająć się pogrzebem, gdyż matka dziewcząt, zwana *tatrzańską Niobe* była zupełnie nieprzytomna z rozpaczy.

Z Tatr

Pamięci tatarniczki, która zginęła na Zamarłej Turni

Słyszę:

Kamienuje tę przestrzeń niewybuchły huk skal.

To – wrzask wody obdzieranej siklawą z łóżyska

I

gromobicie ciszy.

Ten świat, wzburzony przestraszonym spojrzeniem,

uciszę,

lecz –

Nie pomieszczę twojej śmierci w granitowej trumnie Tatr.

To zgrzyt

czekana,

okrzesany z echa,

to tylko cały twój świat,

skurczony w mojej garści na obrywie głazu;

to – gwałtownym uderzeniem serca powalony szczyt.

Na rozpacz – jakże go mało!

A groza – wygórowana!

Jak lekko

turnię zawisłą na rękach

utrzymać i nie paść,

gdy

w oczach przewraca się obnażona ziemia

do góry dnem krajobrazu,

niebo strącając w przepaść!

Jak cicho

w zatrzaśniętej pięści pochować Zamarłą.

Cieszyn po powrocie z pogrzebu Marzeny wydał się poecie jeszcze smutniejszy i teraz już niejako napiętnowany jej nieobecnością, aleja którą odbywali ranne spacery nad Olzą, przyprawiała o ból serca.

Przybywając do Cieszyna we wrześniu 1927 r. Przyboś miał na swoim koncie jako literat dwa tomiki wierszy: *Śruby* (Kraków 1926 r., nakładem *Zwrotnicy*), *Oburącz* (Kraków 1926 r., nakładem *Zwrotnicy*) i kilka artykułów literackich z wyraźną awangardową, antymłodopolską i antyskamandrycką orientacją. Jako poeta w Cieszynie rozwijał nadal swój talent. Po dwu tomikach sławiących zdobycze techniki i przemysłowienie tworzył poezję odmienną, o zabarwieniu satyrycznym, wydobywając z dookolnej rzeczywistości jej absurdalno-groteskowy aspekt.

Wiersze pisane w latach 1927-1928 włączył do tomu *Sponad* (1930). Pierwotnie Przyboś miał zamiar zatytułować tom *Dwadzieścia dziewięć*. Tom został wydany w Czeskim Cieszynie, w Zakładach Wydawniczych i Drukarskich Karola Prochaski w układzie graficznym Władysława Strzemińskiego jako pierwszy tom *biblioteki „a. r.”* (artystów rewolucyjnych). Do tomiku *Sponad* dołączono dwustronicową ulotkę *komunikat grupy „a. r.”* z programem artystów, do której należeli malarze: Katarzyna Kobro, Henryk Stażewski, Władysław Strzemiński oraz poeci: Julian Przyboś i Jan Brzękowski. Koszty wydania pokrył autor: 1974 zł za 400 egzemplarzy (pożyczka zaciągnięta w Wydziale Oświecenia Publicznego w Katowicach).

W 1932 r. opuścił cieszyńską drukarnię Pawła Mitręgi czwarty tom wierszy Przybosia zatytułowany *W głąb las*, opracowany graficznie także przez Władysława Strzemińskiego, ale w sposób bardziej konwencjonalny. W książce znalazły się cztery cykle wierszy: *Bogi* – poemat antyreligijny, *Tobie* – liryki miłosne (w dużej części poświęcone Marzenie Skotnicówniej), *Dalej brzoza* – utwory o motywach pejzażowych, i *Widzę* – utwory zaangażowane społecznie. Dla niektórych krytyków (Józef Maśliński) tom ten stanowi szczyt dokonań twórczych Juliana Przybosia.

Co dzień

Po schodach, piętrach, wzdłuż ścian korytarzy
Szwendam się i obijam, i nuda mnie miele
W murze i wapnie
aż mnie jeden zakurzony pokój zamknie,
osłupi,
i pada i mży nad głową w dzień i w nocy – sufit.
Skonany-m wśród zdjęć szkolnych jak pośród pustaci,
ja tępyimi pałami uczniów utłuczony belfer.

Lecz wystarczy niewiele:
w pierwszy lepszy wieczór jasny
wyjść za lasek zamiejski, ku polom w górze,
a
głowę porywa mi otchłań i migot przerażeń,
nie ma ziemi – tylko zawrót konstelacji
i wystawiony na cel sfer
przepastnych:
ja

ze zbioru *W głąb las*, 1932

Piąty tom wierszy Przybosia *Równanie serca* został wydany nakładem księgarni F. Hoesicka w Warszawie w 1938 r. Tom zawiera wiele wierszy autobiograficznych i śląskich, jak np. *Lipiec*, *Wiosna 1934*, *Nad Śląskiem*, *Król Huta – Wisła* i inne, w których dominuje fascynacja potęgą przemysłową tego regionu i zachwyty dla piękna beskidzkiego pejzażu.

Wydawać by się mogło, że poeta zadomowił się już w mieście i związał z nim trwale. Ci, którzy odwiedzali go w Cieszynie też odnosili podobne wrażenie. Jan Brzękowski wspomina: *Dobrze zachowałem w pamięci jego pokój, z którego był piękny widok z góry na ogrody. Panowała w nim doskonała atmosfera do pracy i nie dziwił się, że pomimo „belferki” pobyt w Cieszynie okazał się dla jego twórczości korzystny*. Były to jednak tylko pozory: w 1932 r. chciał przenieść się do Gimnazjum im. Joachima Lelewela lub jakiegokolwiek innego w Warszawie, co nie powiodło się z braku etatów. Myślni ciągle tkwił w Krakowie, przyjeżdżał tam przed każdym złożeniem nowego numeru *Zwrotnicy*, zaangażowany był we wszystkie polemiczne wystąpienia krakowskiej *Awangardy*, żywo współdziałał przy organizowaniu nowego pisma *Linia*.

2 lipca 1932 r. poeta poślubił w Katowicach cieszyniankę Bronisławę Annę Koźdoń, też absolwentkę gimnazjum cieszyńskiego (matura 1930 r.) – córkę aplikanta sądowego, dr. praw Pawła Koźdonia (juniora).



Bronisława i Julian Przybosiowie, lata 30. XX w.
(fot. ze zbiorów M. Żyromskiego)

Próba aktywnego włączenia się w sprawy cieszyńskie był udział w składzie redakcji *Zarania Śląskiego*. W 1929 r. wznowiono w Cieszynie wydawanie *Zarania Śląskiego* wychodzącego tu z przerwami od 1907 r., a wydawane przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze. W wieloosobowym składzie komitetu redakcji (Franciszek Popiołek, Ludwik Brożek, Gustaw Morcinek, Józef Pieter) Julian Przyboś był odpowiedzialny za dział poezji. Z zachowanej korespondencji Gustawa Morcinka widać, że liczone się ze zdaniem Przybosia, ale nie godzono się z jego stanowiskiem. Julian Przyboś miał zupełnie inną koncepcję kwartalnika a miejscowi regionaliści inną. Nazwisko poety pojawia się w kwartalniku sześciokrotnie. Zamieścił w nim dwa artykuły programowo-teoretyczne: *Prymitywizm i twórczość ludowa* (nr 2 z 1929 r.) oraz *Koniunktura literacka na Śląsku* (nr 1 z 1930 r.), w których nakreślił śmiały i nowoczesny plan rozwoju śląskiej kultury i sztuki, postulował poszerzenie tematyki pisma poza sprawy regionu. Oficjalnie wystąpił

z redakcji pisma w kwietniu 1932 r. prosząc o nieumieszczanie jego nazwiska w spisie członków redakcji. Mimo to jeszcze długo potem utrzymywał z kwartalnikiem więź ogłaszając tam swoje wiersze (*Król Huta – Wisła*, 1933 r., *Ballada o dalekich rzekach*, 1934 r., *Nad Śląskiem*, 1937 r.) oraz szkic *Linia i gwar* (1938 r.). Do pisma kierował swoich najzdolniejszych uczniów w ten sposób wpływając na treść literacką kwartalnika. W *Zaraniu Śląskim* swoje utwory zamieszczali wychowankowie Przybosia: Jan Szczepański, Kornel Filipowicz, Alfred Łaszowski i Florian Berek.

Po raz ostatni Przyboś oglądał Cieszyn w dniu napaści Niemiec hitlerowskich na Polskę. Tego dnia (1 września 1939 r.) w godzinach południowych wraz z rodziną pośpiesznie opuścił Bogumin i autem teścia przez Cieszyn, Bielsko udał się do Rzeszowa, gdzie zatrzymał się na krótko u mieszkającej tu rodziny.

Gdyby spróbować jakiegoś podsumowania dwunastoletniego pobytu Juliana Przybosia związanego z pracą w cieszyńskich gimnazjach, to trzeba stwierdzić, że były to ważne, owocne i w sumie pomyślne dlań lata. Potrafił bowiem zabezpieczyć sobie godziwą egzystencję w bardzo trudnych latach (kryzys ekonomiczny). Wydał w tym okresie najlepsze tomy wierszy, zdobył rozgłos wybitnego awangardowego poety. Tu założył rodzinę i ustabilizował swój byt. Spotkanie Przybosia ze Śląskiem wzbogaciło jego poezję w nowe motywy, dostarczyło nowych podniet twórczych. Na tle całej dotychczasowej twórczości poświęconej Beskidom zauważyć można odmienność artystyczną i oryginalność wierszy Przybosia.



Julian Przyboś ze starszą córką Wandą, Kraków 1946 r. (fot. ze zbiorów M. Żyromskiego)

Wieczór

*Te same gwiazdy
Wyszeptały wieczór jak zwierzenie
Latarnie wyszły z ciemnych bram na ulicę
i w powietrzu cicho stanęły
Zmrok łagodnie przemienia przestrzenie
Ogrody opuściły swoje drzewa
szare domki znad rzeki – wy płynęły
W niskich brzegach wśród olch płynie żal
Tylko horyzont uchyla nieba
księżycem
i droga długo wiedzie we wspomnienia
I twoje dłonie sięgą między nami dal*

Sponad, 1930

Latem cieszyńskim zawdzięcza poeta bardzo serdeczne przyjaźnie, trwające do końca życia. Te najserdeczniejsze to przyjaźń Marii Jaremy i Kornela Filipowicza, Alfreda Łaszowskiego oraz Nory i Jana Szczepańskich. Młodsza córka Juliana Przybosia – Julia, Norę i Jana Szczepańskich nazywa *moją wakacyjną rodziną*.



Nora i Jan Szczepańscy, Konstancin-Jeziorna, 4 lipca 1994 r. (fot. Janina Ciupek)



Julian Przyboś (1901-1970)
(fot. ze zbiorów M. Żyromskiego)

Po wojnie poeta odwiedzał ziemię cieszyńską. Kilka razy odwiedzał także Ustroń spędzając urlop u rodziny żony. W 1952 r. poeta przybył z Krakowa do Cieszyna w sprawach służbowych, a wkrótce potem napisał wiersz *U szkolnej muzy*, który stanowi wspomnienie spędzonych tu lat i doznanych przeżyć. Autograf tego utworu ofiarował Ludwikowi Brożkowi – miłośnikowi i największemu znawcy problematyki cieszyńskiej. W 1963 r. poeta spotkał się z młodzieżą Zespołu Techników Rolniczych w Cieszynie w ramach spotkań autorskich, a w *Księdze Pamiątkowej* napisał: *W Cieszynie po latach nieznanalazszy tamtego czasu, spotkałem wzruszenie młodsze o ćwierć wieku i to tyleż dojrzałsze.*

U szkolnej muzy

*Po długich latach, wróciwszy, idę tą samą aleją,
ale cieniściej niż niegdyś, a gwałtownie pustą,
jak gdyby w niej czas ustał,
świat zanikł, oplecioną gałęziami wokół
jak klon
z dziurą, którą wyfrunął jedwabnik.*

*U wylotu, nikogo ni ziębiąc, ni grzejąc,
pomniczek bohatera miejscowej zastugi
świeci czołem w upale.
A obok, gdzie dorastał zagajnik przyległy,
leży ścięty las czasu jak długi
i płynie po minionych latach rzeka dalej,
potoczyściej i szumniej,
jak gdyby z pni leżących jak z drzewców rozwinąć
miała płynną chorągiew ku mnie:
odbitą w fali czerwień nowej szkoły z cegły.*

*Pod oknami, gdzie słońce pławi się w piwoniach
przelewających barwę jak krew na zieloność
trawnika, równocześnie – z nagła brązowego,
ważka mierzy co sekunda zwiewnym metrem
bławatowe nic.*

*To tu skrócik skrzydlatego konia,
pasikonik,
znikł.
dosiedliśmy co w dzieciństwie, „wzbitym w radość” podzieloną
przez owo nic – a – nic smutku,
a dziś – patrz! – w roziskrzonych puchach mlecza,
w szczerym polu, w szczerym
powietrzu
utknął?
(I życie mi na chwilach zbiegło?)
Nie, to z furtki ogródka idą mi dzieci –
Nie: byli moi uczniowie, naprzeciw.*

*Towarzyszko każdego dzieciństwa, Nauczycielko,
prześpiewująca swój rym, głoskobarwę wszelką,
Eufonio w różowym szaliku!
Znów młoda biegiesz, powiewając niebieską chusteczką,
by wywołać wieczór –
i powłóczysz patrząc moim spojrzeniem wysoko,
gdzie mała zorza zniża się na cokół
i rudzieje w brązowej brodzie na pomniku,
żeby, gdy cię obejmę, w zaśnięciu zaniknąć.*

ze zbioru *Najmniej słów*, 1955

Literatura:

- J. Przyboś. Pisma zebrane, utwory poetyckie. T.1-2. Kraków 1984.
 J. Duk: *Cieszyński okres Juliana Przybosia*. „Kalendarz Cieszyński 1985”. Cieszyn 1984.
 K. Heska-Kwaśniewicz: *Śląskie lata i wiersze Juliana Przybosia*. W: Prace naukowe Uniwersytetu Śląskiego, nr 162. Katowice 1977.
 K. Heska-Kwaśniewicz. „Miłość jak przepaść” Julian Przyboś i góry. Katowice 1998.
 Z. Heinowski. Życie literackie na Śląsku w latach 1922-1939. Katowice 1969.
 J. Przyboś: *Nora i Jan Szczepańscy – moja wakacyjna rodzina*. „Pamiętnik Ustroński Nr 13”. Ustroń 2007.
 E. Rosner: *Cieszyńskie lata Przybosia*. „Poglądy” nr 3/1977.
 E. Rosner: *Julian Przyboś – turysta*. W: Cieszyńskie okruchy literackie. Cieszyn 1983.
 J. Szczepański: *Julian Przyboś – nauczyciel*. „Kultura”, nr 43/1970.
 Wspomnienia o Julianie Przybosiu. Opr. J. Szalimiński. Warszawa 1976.
 M. Żyromski: *Ustrońsko-cieszyńskie lata*. W: Jan Szczepański. Humanista – uczonek – państwowiec. Księga wspomnień. Red. K. Górski. Warszawa 2005.



Mgr Marian Żyromski – polonista, w latach 1958-1976 pedagog w Zespole Szkół Technicznych w Ustroniu, a od 1972 r. dyrektor tejże szkoły. Wykładowca na Uniwersytecie Śląskim w Cieszynie. Autor wielu artykułów do „Pamiętników Ustrońskich”.

Córka sławnego ojca

Z Julią Przyboś (prawnuczką Anny i Andrzeja Brodów,
wnuczką Marii i Pawła Koźdoniów, córką Bronisławy i Juliana Przybosiów)
rozmawia Elżbieta Sikora

Jesteś młodszą córką znanego polskiego poety Juliana Przybosa i ustronianki Bronisławy z domu Koźdoń. Proszę przybliżyć Czytelnikom „Pamiętnika Ustrońskiego” swoją postać ze szczególnym uwzględnieniem powiązań rodzinnych, ponieważ jednym z głównych tematów 13. numeru są ustrońskie rody, m.in. Brodów i Koźdoniów.

Matka moja, Bronisława Przyboś, nazywała się z domu Koźdoń. Była córką Pawła Koźdonia – adwokata i Marii z Kraszewskich rodem z ziemi sądeckiej. Dziadkowie poznali się w Wiedniu, gdzie dziadek studiował prawo, a babcia literaturę niemiecką. Matka Pawła Koźdonia – Anna była córką Andrzeja Brody, a moja matka była jej najstarszą wnuczką. Matka na drugie imię miała właśnie Anna, na cześć swej babki. Matka moja miała dwie siostry, Janinę Marię, młodszą zaledwie o kilkanaście miesięcy i o 9 lat młodszą Ewę. Siostry matki były niezamężne. Narzeczony Janiny Marii, zwanej Busią, zginął podczas okupacji w walce zbrojnej. W czasie II wojny światowej Ewa znalazła się z ojcem Pawłem Koźdoniem w Palestynie. O ile pamiętam, zamiast wyjść za mąż za oficera angielskiego, wołała wrócić po wojnie do Polski. Dziadek mój, Paweł Koźdoń, nie mógł wrócić do ojczyzny, bo jako przedwojenny socjalista wylądowałby w Polsce w komunistycznym więzieniu. Umarł i został pochowany w Tel-Awivie.



W ogrodzie poselstwa w Bernie. Julian Przyboś z córkami Wandą (z prawej) i Julią, 1950 r.
(fot. ze zbiorów Mariana Żyromskiego)

Ponieważ z Ustronia pochodzi Twoja mama, tym samym razem z siostrą Wandą, obecnie mieszkającą w Paryżu, macie tutaj swoje korzenie. Choć długie lata mieszkasz w Nowym Jorku, czy emocjonalnie odczuwasz jeszcze jakieś więzi z ziemią cieszyńską?

Ustroń był miejscem letnich wakacji i tak też w mojej pamięci pozostał. Był to sielankowy czas wolny od szkoły i obowiązków.

Co spowodowało, że osiedliłaś się akurat w Nowym Jorku?

Skończyłam studia magisterskie z filologii romańskiej w 1969 r. na Uniwersytecie Warszawskim. Wyjechałam z Polski w 1970 r. za chłopcem, który pojechał na studia do Stanów Zjednoczonych. Pojechałam najpierw do Londynu, gdzie pracowałam jako pomoc domowa i chodziłam do szkoły, by uczyć się angielskiego. W Londynie zdałam egzaminy kwalifikacyjne i dostałam stypendium na studia doktoranckie. Do New Haven w stanie Connecticut przyjechałam w 1971 r. Napisałam doktorat z literatury francuskiej na Uniwersytecie Yale. Stałą pracę uniwersytecką dostałam w Hunter College w Nowym Jorku.



Warszawa, 1961 r. Julia Przyboś z matką Bronisławą z Koźdoniów Przybosiową (fot. z archiwum rodzinnego Julii Przyboś)

O ile mi wiadomo, w Ustroniu przebywałaś dłużej niż siostra Wanda, obecnie mieszkająca w Paryżu. Zapamiętałaś jakieś szczególne zdarzenie, które zawsze kojarzyć się będzie z rodzinnymi stronami matki?

Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Ustronia, byłam bardzo zakatarzona i mama przykazała, abym broń Boże nie poszła na basen pływać. Pływanie dla mnie było wielką atrakcją, bo dotychczas kąpałam się tylko w Dunajcu albo w morzu, nigdy na basenie. Babcia Odlanicka-Poczobut (matka Nory Szczepańskiej) nie przejęła się zakazem i następnego dnia zabrała Utę i mnie na basen. Zaziębienie mi przeszło. Mam nadzieję, że i dziś dzieci cieszą się z kąpieli na tym z tradycjami obiekcie.

Dzięki rodzicom związana byłaś z takimi osobami świata nauki i kultury, jak m.in. prof. Jan Szczepański – ustroniak, humanista, socjolog, prof. Mieczysław Porębski – historyk sztuki, żonaty z Anną Lazar, córką tutejszego sekretarza Urzędu Gminy Jerzego Lazara, czy Otton Lazar – ustroniak, lekarz, brat Anny Porębskiej z domu Lazar, zamieszkały w USA. Jakie to były kontakty i czy one przetrwały?

Jan Szczepański i jego żona Eleonora (Nora) z Odlanickich – Poczobut to dla mnie wuj Jan i ciocia Nora. Anna Porębska z domu Lazar i jej mąż Mieczysław to dla mnie ciocia Hania i wuj Mietek. To moja najbliższa rodzina, bo z wyboru. Z rodziną ojca nie miałam żadnych kontaktów, a babcia Koźdoń i siostry matki mieszkały w Katowicach, i kontakt z nimi nie był na bieżąco, na co dzień. Babcie i ciotki widywałam w Katowicach, gdzie zatrzymywałam się jadąc na wakacje do Ustronia i w Ustroniu, gdzie przyjeżdżały na niedzielę spędzić czas z ich ciotką Anną z Koźdoniów Michej-

dową i Gustawem Koźdoniem, najmłodszym bratem dziadka i jego rodziną. Kiedy przyjechałam do Stanów Zjednoczonych, Otto Lazar, brat Hani Porębskiej i jego żona Magda z domu Grosse z Krakowa otoczyli mnie czułą opieką. Zapraszali na wszystkie ważne święta do Newcomb w stanie New York, gdzie Otto Lazar (zwany Ocina) był lekarzem. Dom ich był bardzo gościnnie, a oni dla mnie bardzo ciepłi i serdeczni. Gdy matka przyjeżdżała do nas, do Nowego Jorku, to zawsze jeździła odwiedzić Magdę i Ottona, który był jej kolegą szkolnym w Cieszynie.

To nie tajemnica, że wielka miłość nauczyciela i uczniicy nie zakończyła się *happy endem*. Rodzice rozstali się, a Wy pozostałyście na zawsze córkami sławnego ojca i tego faktu zmienić się nie da. W jaki sposób, z perspektywy lat, go wspominasz i patrzysz na jego osiągnięcia oraz dorobek literacki. Ma dla Ciebie to jakieś wyjątkowe znaczenie?

Ważne jest to, że rodzice przeżyli razem blisko dwadzieścia lat! To dużo dłużej niż wiele małżeństw. I w czasie tych wspólnych lat bardzo wiele razem dokonali. Kiedy był z matką, ojciec napisał najlepsze wiersze. Stworzył wspaniałe erotyki, a to rzecz bardzo dla polskiej literatury istotna, bo to forma poetycka u nas prawie nieznaną. Włosi, Francuzi, Anglicy mają piękną poezję erotyczną, Polacy niestety nie. W czasie wojny matka uratowała ojcu życie, wyciągając go dzięki energii, inteligencji i wytrwałości z Gestapo. I ojciec nigdy tego faktu nie zapominał. Matka zabiegała też o wyda-

wanie prac ojca. W okresie powojennym, kiedy panował w literaturze socrealizm, nie wydawano jego książek. O ile pamiętam, wydano jedynie w jego opracowaniu antologię folkloru polskiego pod tytułem „Jabłoneczka”. Dzięki zabiegom matki wyszedł jednak zbiór esejów pod tytułem „Czytając Mickiewicza”. Matka poszła do oficjela w Komitecie Centralnym PZPR i przekonała go, że nic niesocrealistycznego w tych esejach o Mickiewiczu nie ma. To, że rodzice rozstali się nie zmienia faktu, że matka zabiegała o to, by zabezpieczyć spuściznę literacką ojca. Druga żona ojca niebawem po jego śmierci wyszła ponownie za mąż i wyjechała na stałe do Belgii. To matka współpracowała z wydawcami jego dzieł poetyckich, udostępniając im papiery, które przez lata przechowała. Ojciec pisał i wrzucał bruliony do kosza. Matka owe bruliony z kosza wyjmowała i pieczołowicie wkładała do teczek. To dzięki jej zapobiegliwości badacz poezji Przybosia ma do dyspozycji bezcenne materiały. Na ich podstawie można bowiem odtworzyć proces myślowy, który doprowadził do ostatecznej formy wiersza. Do końca życia myślała o tym,



Ustroń, lato 1961 r. Przed domem Anny Michejdowej przy ul. M. Konopnickiej. Od prawej: Bronisława Przybosiowa, Jerzy Rudzki, Hanna Rudzka-Cybisowa (fot. z archiwum rodzinnego J. Przyboś)

jak uczcić setną rocznicę urodzin ojca, która przypadła na marzec 2001 r. Myślę, że owe zabiegi nadały sens jej życiu w ciężkiej chorobie. Setnej rocznicy urodzin ojca matka niestety nie dożyła.

Mówisz, że Wanda i ja zostałyśmy na zawsze córkami sławnego ojca i że tego faktu zmienić się nie da. To niezupełnie prawda. Wystarczy bowiem wyjechać z Polski, by ten fakt nie miał najmniejszego znaczenia. To przywiązywanie wagi nie do tego kim się jest, ale z kim się ma powiązania rodzinne jest z mojej perspektywy niezrozumiałe. W Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkam od ponad 30 lat, nikogo nie obchodzi kim był mój ojciec, matka albo dziadek. Liczy się tylko kim jestem ja, moja praca ze studentami i mój dorobek naukowy.



Bronisława Przybosiowa z córką Julią. Paryż, 1971 r. (fot. z archiwum rodzinnego J. Przyboś)



Na ustrońskim Zawodziu w ogrodzie willi Gluzów. Od lewej: Bronisława Przybosiowa, Ewa Rudzka, Hanna Rudzka-Cybisowa (fot. z archiwum rodzinnego J. Przyboś)

Czy i w jaki sposób uczestniczyłaś w życiu zawodowym ojca?

Na jesieni 1969 r. napisałam na maszynie, pod dyktando ojca, kilka „zapisków bez daty”, które wyszły już po śmierci ojca. Za namową matki, która chciała by i drugi tom „Utworów Poetyckich”, tom zawierający utwory napisane już po rozstaniu rodziców, był jak najlepiej udokumentowany, przeczytałam korespondencję ojca z Janem Brzękowskim zdeponowaną w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Niestety w tej korespondencji nie znalazłam niczego, co mogłoby naświetlić proces twórczy ojca.

Najowocniejszym w twórczości Juliana Przybosia był tzw. okres cieszyński, tu bowiem powstały tomiki pod tytułem „Sponad”, „W głąb las”, „Równanie serca”. Jak sądzisz, z czym wtedy wena ojca była związana, co było powodem, że piękno ziemi cieszyńskiej tak niezwykle utrwalił w swojej poezji?

Był to okres powrotu do natury po modernistycznym zachwycie maszyną i technologią. Myślę też, że młoda i piękna żona, rodem z okolic Cieszyna, umiała ojcu te pejzaże przybliżyć.

Masz jakiś ulubiony wiersz ojca, może tomik wierszy, których powstało przecież wiele?

Przejmujący jest dla mnie wiersz „Równanie serca” z 1938 r., bo w nowy, bolesny sposób nawiązuje do roli poety w społeczeństwie, które go nie rozumie. Pytanie i odpowiedź „Kim jestem? Wygnańcem ptaków” to oryginalne nawiązanie do sonetu Charles’a Baudelaira pod tytułem „Albatros”. Wspaniały jest też wiersz „Póki my żyjemy”, bo w kilku oszczędnych słowach wyraża tragedię wojny.

A może istnieją po rodzicach jakieś osobiste pamiątki mające dla Ciebie bezcenną wartość?

Tuż przed śmiercią matka podarowała mi na urodziny huculską ozdobną szkatułkę, którą dostała od ojca Pawła Koźdonia na dwunaste urodziny. Z podróży do Włoch ojciec przywiózł mi nakręcanego purpurowego osiołka, który stoi u mnie na półce z książkami. Okazuje się, że był to prezent poetycki, bo ojciec napisał kiedyś wiersz o purpurowym osiołku.

Z drugiego związku małżeńskiego Juliana Przybosia jest jeszcze najmłodsza siostra Uta. Utrzymujecie ze sobą stałe kontakty? Czy Wasze relacje rodzinne nie przesłaniają wydarzenia z przeszłości?

Z Utą, i Wandą, i ja mamy siostrzane stosunki. Uta gościła u nas w Nowym Jorku i jest mile widziana w Paryżu u Wandy. Bardzo też lubię Daniela Wróblewskiego, męża Uty.

W Ustroniu kilka lat temu, na cmentarzu ewangelickim, spoczęły prochy Waszej mamy Bronisławy, która dożyła sędziwego wieku, pozostał w spadku skrawek ziemi przy ul. A. Brody. Nie masz zamiaru kiedyś tu powrócić?

Właśnie skończyłam 60 lat i nie jest to wiek, w którym podejmuje się wielkie zmiany życiowe.

Czy scenariusz, jaki zgotowało życie Ciebie satysfakcjonuje, co zmieniłabyś, jeśli byłoby to możliwe?

Myślę, że życie nie pisze nam scenariuszy i że człowiek jest w dużym stopniu kowalem własnego losu. Mam pasjonujący zawód, który pozwala mi się rozwijać intelektualnie i bogate życie osobiste u boku wspaniałego człowieka. Jesteśmy w miarę zdrowi. Czego więcej chcieć od życia?

Przyjeżdżasz do Ustronia od czasu do czasu. Jak oceniasz zmiany jakie zaszły w naszym mieście w przeciągu kilkudziesięciu lat?

Ustroń był zawsze bardzo zadbanym miastem. Z dzieciństwa pamiętam piękne klomby kwiatowe. Dziś robi również wrażenie miasta zamożnego. Jest dużo wypełnionych ludźmi kawiarni i restauracji. Myślę, że rozwija się bardzo dobrze. Ale kiedy ustroniacy doczekają się nowego kina? O ile wiem jest tylko jedno na Zawodziu.

Dziękuję za rozmowę i życzę dalszych wspaniałych sukcesów na niwie naukowej oraz w życiu osobistym.



*Julian Przyboś z trzyletnią córką Julią.
Szwajcaria, Berno, 1950 r.
(fot. ze zbiorów M. Żyromskiego)*

Bożena Kubień

„Eleonora” – willa pachnąca ziołami. Saga rodu Frąckowiaków i Łysogórskich

Natura znaczy każdą roślinę od niej pochodzącą, k'czemu sposobną być może.

Paracelsus

Tradycja uprawy i zbierania ziół, ich przetwarzania, stosowania oraz obserwacji działania sięga samych początków ludzkiej cywilizacji.

Eleonora Frąckowiak, z powodzeniem prowadząca w Królewskiej Hucie ziołolecznictwo, lato zwykła spędzać w ustronim uzdrowisku wraz z mężem Józefem oraz córkami Heleną i Stefanią.



Willa „Eleonora” w Ustroniu przy ul. A. Brody 2, wybudowana w 1928 r. przez Eleonorę i Józefa Frąckowiaków, 6 stycznia 1934 r. (fot. z archiwum rodzinnego Joanny Wojciechowskiej)

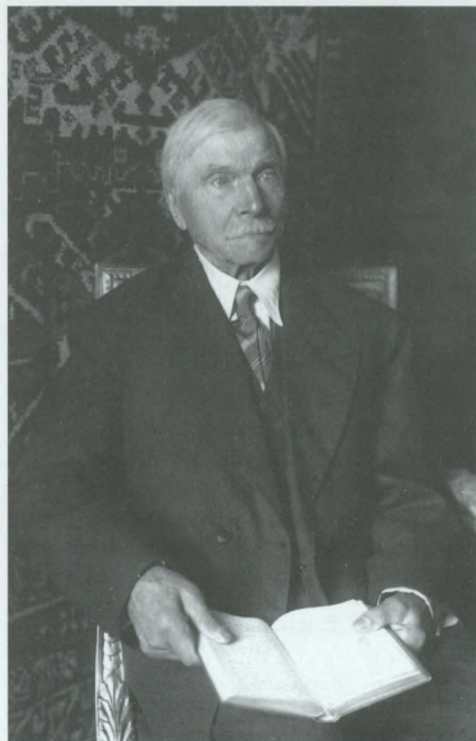
(...) Corocznie zjeżdżają do Ustronia setki kuracjuszków i potrzebujących wypoczynku na pobyt letni. Ludność chętnie odnajmuje im pokoje umeblowane i całe mieszkania, niestety jednak i tam, jak wszędzie zresztą, coraz trudniej jest o wolny pokój. Okolice jest nadzwyczaj zdrowa i piękna, zwłaszcza w lecie. (...) pobliskie góry całe pokryte są zielenią i kwieciami. (...) W połowie lat 20. ubiegłego stulecia, urodę takiego właśnie Ustronia jak w cytowanym powyżej fragmencie pochodzącym z *Dziennika Śląska Cieszyńskiego*, dostrzegli Eleonora i Józef Frąckowiakowie i po-

stanowili wnieść tutaj własną, dużą willę. Wówczas, na okres letniego wypoczynku, zwykli wynajmować pokoje w domu Anny z Koźdoniów Michejdowej, położonym w centrum miasteczka. Z chwilą, kiedy dojrzała w nich decyzja o wybudowaniu własnej willi, państwo Frąckowiakowie zakupili od wspomnianej rodziny Koźdoniów parcelę, położoną w sąsiedztwie, na której niedługo potem stanął rozłożysty, trzykondygnacyjny budynek z poddaszem użytkowym. Dom, o przedwojennym adresie: Ustroń numer 134, przy obecnej ul. Andrzeja Brody 2, otoczony ozdobnym parkanem, wzniesiony został pod koniec 1928 r., otrzymując nazwę „willa Eleonora” – od imienia jego właścicielki. Napis tej treści umieszczono we wnęce w słupku ogrodzeniowym, tuż przy wejściu na teren posiadłości.

Państwo Frąckowiakowie pochodzili z poznańskiego. Eleonora urodziła się 15 stycznia 1894 r. w szlacheckiej rodzinie Męczyńskich i wychodząc za mąż popełniła mezalians, jej małżonek bowiem wywodził się z prostego, nieherbowego rodu. Józef Frąckowiak przyszedł na świat 29 lutego 1887 r. w rodzinie, której członkowie dożywali zazwyczaj sędziwego wieku. Jego ojciec Klemens Frąckowiak (ur. 23 lutego 1838 r., zm. 22 stycznia 1939 r.) – uczestnik powstania 1863 r., zmarł licząc prawie 102 lata. Spoczął w rodzinnym grobowcu Frąckowiaków i Łysogórskich na cmentarzu katolickim w centrum Ustronia i był on prawdopodobnie jedynym mieszkańcem naszej miejscowości, walczącym w powstaniu styczniowym.

Eleonora i Józef Frąckowiakowie pobrali się około 1911 r. Niedługo potem kolejno urodzili się ich dwaj pierwsi synowie, którzy zmarli w wieku dziecięcym na koklusz. Krótco przed wybuchem I wojny światowej młodzi małżonkowie, w ramach emigracji zarobkowej, udali się w rejony Nadrenii-Westfalii, gdzie na kilka lat osiedli w miejscowości Gelsenkirchen, położonej w zachodniej części Niemiec w Zagłębiu Ruhry, niedaleko Kolonii. Tam przyszyli na świat ich dwie córki – Helena (ur. 12 września 1915 r.) i dwa lata młodsza – Stefania (ur. 27 października 1917 r.).

Przebywając w Gelsenkirchen Eleonora Frąckowiak ukończyła specjalną szkołę lecznictwa naturalnego, pozwalającą jej w następnych latach, z wielkim powodzeniem, zajmować się ziołolecznictwem. Wówczas zapanowała moda na przyrodolecznictwo, a nawet wytworzył się swego rodzaju pęd w kierunku naturoterapii, lecznictwa alternatywnego wobec farmakologii. Ogromnym zainteresowaniem cieszyło się wodolecznictwo, szczególnie kąpiele metodą księdza Sebastiana Kneippa (ur. w 1821 r., zm.



Powstaniec styczniowy – Klemens Frąckowiak (1838-1939). Królewska Huta, około 1930 r. (fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

w 1897 r.), kapelana klasztoru w Worishofen w Bawarii, wielkiego zwolennika hydroterapii. Duże powodzenie zyskały wtedy także balneoterapia oraz wiedza o leczniczym działaniu niektórych surowców roślinnych, czyli tradycyjne ziołolecznictwo.



Eleonora z Męczyńskich Frąckowiakowa (1894-1961) – absolwentka szkoły lecznictwa naturalnego, w latach 1922-1961 prowadząca ziołolecznictwo w Królewskiej Hucie (Chorzowie) i w Ustroniu. Królewska Huta, lata 20. XX w. (fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

Na fali szczególnego zainteresowania tą właśnie gałęzią medycyny naturalnej, Eleonora Frąckowiak postanowiła wykorzystać zdobytą w Niemczech wiedzę i umiejętności oraz swój niezaprzeczalny talent kobiety przedsiębiorczej do robienia interesów i rozwinęła ziołolecznictwo w Królewskiej Hucie (Königshütte), gdzie osiedliła się wraz z rodziną po powrocie do Polski. Miało to miejsce około 1922 r., po III powstaniu śląskim, kiedy to Królewska Huta (od 1934 r. Chorzów) została włączona do obszaru II Rzeczypospolitej.

Mieszkając w Królewskiej Hucie Frąckowiakowie wiodli dostatnie życie mieszczańskiej rodziny. Była to w głównej mierze zasługa *businesswoman* Eleonory, która, jak wspomnina jej wnuczka Lesława Łysogórska-Raszyk – *dominowała w związku małżeńskim i miała zmysł do robienia interesów*. W centrum miasta, w dzielnicy Flota, posiadali kamienicę, gdzie rozwinęli własny interes – Eleonora urządziła specjalny punkt, w którym zajmowała się sporządzaniem i sprzedażą mieszanek ziołowych, natomiast Józef Frąckowiak prowadził sklep obuwniczy.

Siostry Helena i Stefania Frąckowiakówny uczęszczały wówczas do polskiej szkoły, w której panował ostry rygor, a dzieci były nieraz bite przez nauczycieli. *Dziewczynki pobierały również dodatkowe lekcje malarstwa i gry na fortepianie. Uczyły się też gotowania oraz szycia, czyli były przygotowywane do roli dobrej żony, którą miały pełnić w przyszłości* – opowiada Joanna Wojciechowska, wnuczka Heleny.

Szczególnie Helena Frąckowiakówna przejawiała w młodości artystyczne uzdolnienia. Będąc nastolatką uczęszczała na lekcje rysunku do znanego chorzowskiego malarza – Józefa Bimlera, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Monachium. Do dzisiaj zachowało się w domu Joanny Wojciechowskiej sporo pięknych szkiców babci Heleny z lat 30. minionego stulecia, między innymi portret ustronńskiego doróżkarza Antoniego Grossa.

Z chwilą oddania do użytku willi „Eleonora” rodzina Frąckowiaków przeprowadziła się do Ustronia, co wcale nie znaczyło, że na zawsze rozstała się z Królewską Hutą. Nadal posiadali tam bowiem własną kamienicę. Gwoli uzupełnienia dodam, iż tuż

przed wybuchem II wojny światowej Józef Frąckowiak zakupił w centrum Chorzowa drugą kamienicę, należącą przedtem do pewnej żydowskiej rodziny, która w obliczu zbliżającego się zagrożenia ze strony III Rzeszy, przezornie opuściła to miasto. Zakup tejże nieruchomości stanowił dobrą inwestycję, lokatę przedwojennego kapitału. Dziś kamienica ta jest własnością prawnika Józefa Frąckowiaka – Marka Adamczyka.

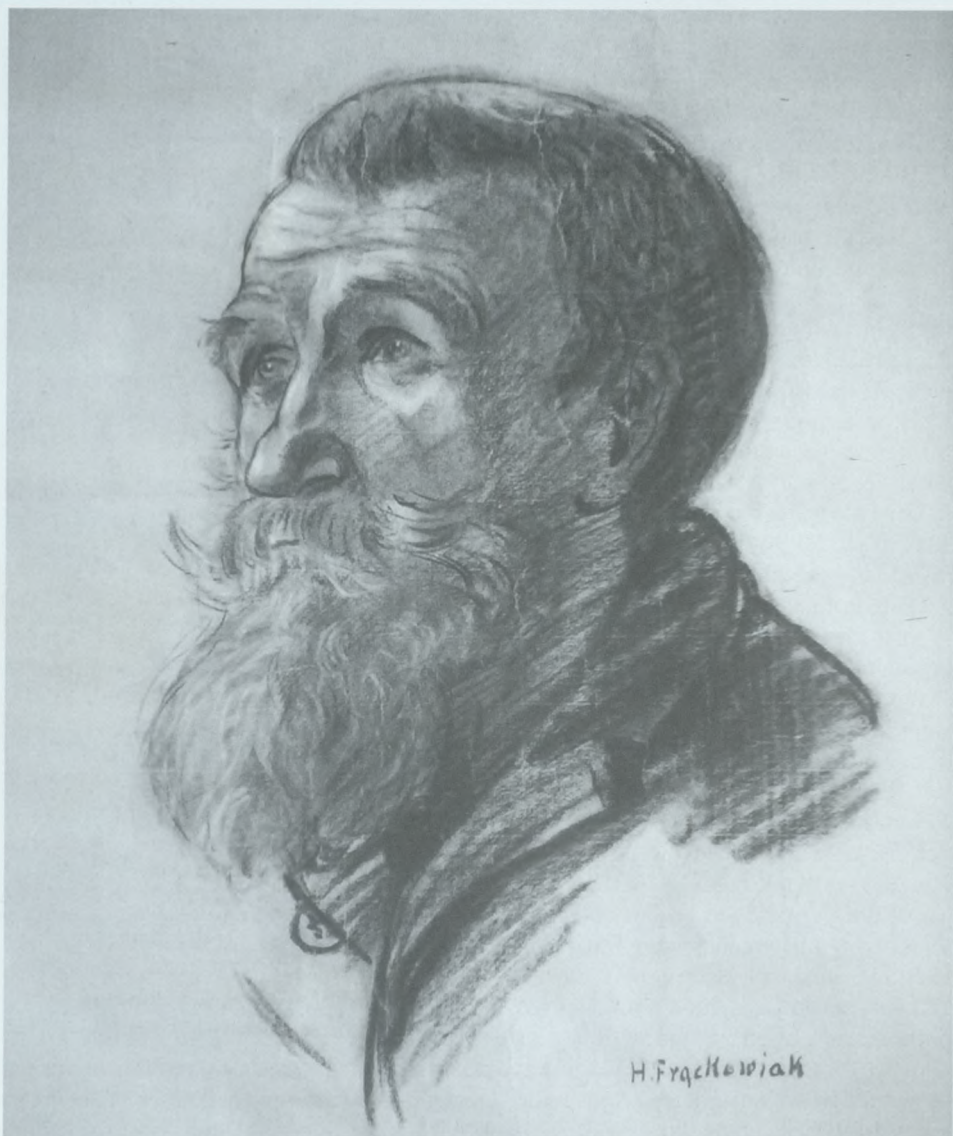
Budowa willi „Eleonora” postępowala szybko, trwała niespełna dwa lata. Dom wzniesiony został, mówiąc skrótowo „pod klucz”, przez firmę budowlaną na zlecenie właścicieli, którzy przyjeżdżając wówczas często do Ustronia, doglądali całości, oceniając jakość i stopień zaawansowania prac.

Przestronny, dwupiętrowy dom o interesującej modernistycznej architekturze, położony w centrum miejscowości, nieopodal ustrońskiego rynku, zdawał się jakby dominować nad okolicznymi budynkami. Z czasem willę zaczęły porastać pnącza dzikiego wina. W otaczającym ją ogrodzie urządzono basen. Z dużego, usytuowanego od strony północnej tarasu rozpościerał się widok na *koźdończyną* łąkę oraz na dom Maksymiliana Kudzi (obecnie hotel „Równica” przy ul. I. Daszyńskiego 1) i willę „Klara” (przy obecnej ul. Rynek 5), należącą wówczas do państwa Holzerów z Krakowa.

W drugiej połowie lat 30. ubiegłego wieku, na fali intensywnego rozwoju Ustronia jako miejscowości uzdrowsko-letniskowej, jego coraz większej popularności, a co za tym idzie wzrostem liczby odwiedzających to miejsce gości, państwo Frąckowiakowie, idąc za przykładem innych rodzin, postanowili utworzyć w swojej willi pensjonat. Liczyli na to, iż niemałe dochody mogliby czerpać z wynajmu pokoi. W związku z tym część domu, to jest poddasze oraz pomieszczenia w przybudówce wzniesionej na miejscu dawnego tarasu, postanowili przeznaczyć dla letników. Z myślą o przyszłych kuracuszach pensjonatu, urządzili w piwnicach eleganckie, specjalne łaźienki, mające służyć do kąpieli solankowych (solanki miały być skądś sprowadzane). Jak na owe czasy willa państwa Frąckowiaków była nowocześnie wyposażona, posiadała aparat telefoniczny oraz inne, rzadko wtedy spotykane udogodnienia, na przykład bidety. Tuż przed letnim sezonem 1939 r. pensjonat „Eleonora” ogłaszał się w prospekcie *Zdrojowiska i uzdrowiska Beskidu Zachodniego: (...) pełnokomfortowe pokoje słoneczne, parkowe ogrody, woda bieżąca ciepła i zimna. Kuchnia wykwintna pod zarządem Erny Lilienthal Nichtenhauserowej*. Wybuch II wojny światowej przekreślił dalsze, ambitne plany pensjonatowe „Eleonory”.



Józef Frąckowiak (1887-1972).
Królewska Huta, lata 20. XX w.
(fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)



Portret ustrońskiego dorożkarza Antoniego Grossa. Rysunek wykonany pastelą przez Helenę Frąckowiak, około 1930 r. (z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

Żaden kuracjusz nie zdążył już zaznać przyjemności kąpieli solankowych. Później eleganckie łaźienki zdemontowano i przebudowano na zwykłą piwnicę. 1 września 1939 r. nastąpiła bowiem inna rzeczywistość...

A wracając jeszcze do początku lat 30. minionego stulecia... W ustrońskiej posiadłości Frąckowiaków bawiło wówczas wielu przyjaciół, krewnych, znajomych, a przede wszystkim rodzina. Szczególnie liczne towarzystwo zjeżdżało tutaj na okres letniego wypoczynku. Córki właścicieli willi starały się umilić gościom pobyt, zwłaszcza młodzieży, zapraszając do gry w tenisa, czy organizując „herbatki” na tarasie.



Początek lat 30. XX w. Na tarasie willi „Eleonora” w Ustroniu. Córki właścicieli domu – Helena (druga z prawej) i Stefania (pierwsza z prawej) Frąckowiaków podejmują herbatkę kuzynki. W oddali widoczne fragmenty budynków usytuowanych w rejonie rynku, od lewej: Maksymiliana Kudzi (obecnie Hotel „Równica”), Szymona Lipschitza, Anny i Jana Tomiczków oraz willa „Klara” (obecnie ul. Rynek 5) (fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)



Początki krótkiej działalności „Eleonory” jako pensjonatu i zarazem „małego sanatorium” – kąpiele solankowe w specjalnie urządzonych łazienkach, mieszczących się w suterrenach willi, połowa lat 30. XX w. (fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

Dom rodziny Frąckowiaków, zwłaszcza za sprawą seniora rodu, powstańca styczniowego Klemensa Frąckowiaka, był ostoją polskości. Kulturowano w nim tradycje narodowe. Józef Frąckowiak posiadał sporą kolekcję książek – klasykę literatury polskiej. Helena Frąckowiakówna, jeszcze będąc dzieckiem, grała na fortepianie polskie pieśni patriotyczne. Szczególnie bliskie jej były te z okresu powstania listopadowego – *Warszawianka 1831 roku* z muzyką Karola Kurpińskiego oraz pieśni autorstwa Rajnolda Suchodolskiego (ur. w 1804 r., zm. w 1831 r.) – *Polonez Kościuszki*, *Dalej bracia do bułata*, *Witaj majowa jutrzenko*. W późniejszych latach rozbrzmiewały one w wykonaniu nie tylko jej ojca Józefa Frąckowiaka, ale także męża Zygmunta Łysogórskiego.



Początek lat 30. XX w. Helena (z raketą tenisową) i Stefania Frąckowiakówna przed wejściem do willi „Eleonora”
(fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

Helena Frąckowiak poznała swojego przyszłego małżonka w Królewskiej Hucie. Zygmunt Łysogórski był zawsze mile widzianym gościem w mieszkaniu jej rodziców. We wczesnych latach 30. XX wieku rodzina Frąckowiaków zamieszkiwała jeszcze w Chorzowie, natomiast letnie miesiące spędzała w Ustroniu, gdzie stała ich nowo wybudowana willa. *Pamiętam z opowiadań mamy* – wspomina Lesława Łysogórska-Raszka, iż wówczas, właśnie w Ustroniu uderzał do niej w konkury Otton Lazar, późniejszy lekarz, lecz ze względu na niski wzrost został odrzucony, bo mama była bardzo wysoka. W okresie narzeczeństwa Zygmunt Łysogórski spotykał się z swoją mamą w Królewskiej Hucie. *Rodzice moi byli sobie przeznaczeni. Tworzyli bardzo udane małżeństwo, a mama do końca swoich dni wspominała nieżyjącego już ojca.*

Zygmunt Łysogórski urodził się 27 kwietnia 1902 r. w Łysej Górze koło Siewierza, w powiecie zawierciańskim, jako piąty z siedmiorga dzieci Marcina Machury i Marii z domu Góralczyk. W archiwum rodzinnym wnuczki Joanny Wojciechowskiej zachował się pisany odręcznie wypis z aktu urodzenia Zygmunta Machury (Łysogórskiego)

datowany na dzień 6 grudnia 1929 r., który cytuję w wersji oryginalnej: *Rzeczpospolita Polska. Województwo Kieleckie: Djecezja Częstochowska. Starostwo Zawierciańskie. Dekanat Sączowski. Parafia Siewierz. Proboszcz i Urzędnik Stanu Cywilnego Rzymsko – Katolickiej parafii Siewierz oznajmia, że w księgach metrykalnych z roku 1902 pod liczbą 117 znajduje się następujący: Akt Urodzenia (w oryginale) Łysa Góra 117. Działo się w mieście Siewierzu 25 kwietnia (8 maja) 1902 roku o godzinie*

10-ej rano. Zjawił się Marcin Machura rolnik, mieszkaniec wsi Łysa – Góra, 39 lat, wraz ze świadkami, mieszkańcami tejże wsi Janem Sakwą gajowym koziegłowskich lasów 30 lat i Teodorem Lazarem leśniczym państwowym 38 lat i przedstawił nam niemowlę płci męskiej z oświadczeniem, iż urodziło się w Łysej – Górze 14 (27 kwietnia) bieżącego roku o godzinie 5-ej po południu, z jego żony Marjanny Machura z domu Góralczyk, 38 lat. Niemowlęciu temu dano przy chrzcie świętym udzielonym mu tegoż dnia przez niżej podpisanego proboszcza imię Zygmunt, a chrzestnymi byli: Ksiądz Julian Staniszewski z Siewierza i Marjanna Gorguń z Poręby Mrzygłodzkiej. Akt niniejszy był oświadczającym i świadkom przeczytany, a wobec niepiśmiennego ojca niemowlęcia i pierwszego świadka nami i Lazarem podpisany. Proboszcz parafii Siewierz podpisano ksiądz Grabowski i Teodor Lazar. Zgodność niniejszego wypisu z oryginałem zaświadczam Siewierz dnia 6 grudnia 1929 r. W zastępstwie utrzymującego akta Stanu Cywilnego ks. Jana Szczepka.

Zygmunt Łysogórski przyszedł na świat w wielodzietnej rodzinie chłopskiej. Machurowie byli prostymi ludźmi – opowiada jego córka Lesława Łysogórska-Raszyk, posiadali gospodarstwo w Łysej Górze, ale mieli ambicję, by wykształcić swoje dzieci. Wszystkie ukończyły studia wyższe. Adwokat, doktor praw Ignacy Łysogórski był pierwszym powojennym starostą cieszyńskim. Mój ojciec ukończył medycynę. Oni to właśnie zmienili nazwisko z Machura na Łysogórski. Po prostu nie lubili tego nazwiska. Nastąpiło to w maju 1932 r. na podstawie zezwolenia wojewody poznańskiego. Starszy brat Zygmunta – Stanisław Machura (ur. w 1900 r., zm. w 1965 r.) prawnik, mieszkał w Gdańsku. Inny z kolei brat – Florian Machura (ur. w 1905 r., zm. w 1981 r.) był nauczycielem. Najmłodsza siostra – Janina Machura (ur. w 1910 r., zm. w 1995 r.) również ukończyła prawo.

Wracając do Zygmunta Łysogórskiego... Do szkoły średniej uczęszczał początkowo w Sosnowcu, a następnie w Królewskiej Hucie, gdzie w 1923 r. ukończył Gimnazjum Matematyczno-Przyrodnicze. Od 20 maja 1919 r. do 15 października 1920 r. jako ochotnik 6 Pułku Ułanów uczestniczył w wojnie polsko-bolszewickiej. Później na krótko wstąpił do Seminarium Duchownego w Kielcach, po czym przez rok pracował w charakterze aspiranta w Sądzie Grodzkim w Mikołowie.



Helena z Frąckowiaków Łysogórska (1915-2003)
– żona nestora ustrońskich lekarzy, doktora Zygmunta Łysogórskiego, około 1939 r.
(fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)



Helena i Józef Frąckowiakowie ze starszą córką Heleną Łysogórką, fotografowani od strony południowej willi „Eleonora”, około 1935 r. (fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)



Pierwsza połowa lat 30. XX w. Siostry Helena i Stefania Frąckowiakówny (w sukienkach w paski) wraz z kuzynkami i znajomymi przed głównym wejściem do willi „Eleonora” (fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

L. 65/32

DYPLOM LEKARZA

MY,

Rektor Uniwersytetu Poznańskiego
i Dziekan Wydziału Lekarskiego tegoż Uniwersytetu oświadczamy co następuje:

Pan Łysogórski Zygmunt
rodem z Łysej-Góry, obywatel Rzeczp. Polskiej
po odbyciu ustawą przepisanych studiów lekarskich w Uniwersytecie
Poznańskim w latach od r. 1925 do r. 1931
i pomyślnem złożeniu przepisanych egzaminów otrzymał w myśl art. 95 ustawy
o szkołach akademickich z dnia 13 lipca 1920 r. (Dz. U. R. P. Nr. 72, poz. 494)
i zarządzenia Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z dnia
16 marca 1928 r. (Dz. Urz. Min. W. R. i O. P. Nr. 8, poz. 132) stopień

LEKARZA,

stanowiący dowód ukończenia uniwersyteckich studiów lekarskich i uprawniający do ubiegania się o stopień doktorski, a nadto dający prawo do wykonywania praktyki lekarskiej w granicach ustaw, obowiązujących w Rzeczypospolitej Polskiej.

Poznań, dnia 23 maja 1932 r.

REKTOR

DIEKAN

Dyplom ukończenia Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Poznańskiego
przez Zygmunta Łysogórskiego z dnia 23 maja 1932 r.
(z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)



Ustroń, pierwsza połowa lat 30. XX w. „Męska część” rodziny Frąckowiaków na tarasie willi „Eleonora”. Od lewej siedzą: Józef Frąckowiak, Klemens Frąckowiak, drugi syn Klemensa Frąckowiaka, a za nimi stoją jego synowie (fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

W 1925 r. rozpoczął studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Poznańskiego, które ukończył w 1931 r. (...) otrzymując stopień lekarza, uprawniający do ubiegania się o stopień doktorski oraz dający prawo do wykonywania praktyki lekarskiej na terenie Rzeczypospolitej Polskiej. Studiując, jednocześnie udzielał korepetycji. Niedługo potem uzyskał stopień doktora wszech nauk lekarskich. W 1929 r., jeszcze będąc studentem medycyny, rozpoczął pracę jako lekarz asystent w Wojewódzkim Zakładzie Psychiatrycznym w Owińskach pod Poznaniem. Po studiach odbył jednoroczny staż podyplomowy w Powiatowym Szpitalu w Będzinie. Od 1934 r. do 1939 r. był lekarzem okręgowym górniczej Spółki Brackiej. Wówczas pracował także w hutniczej kasie chorych oraz pełnił obowiązki lekarza szkolnego okręgu Nowa Wieś-Wirek- Halemba (w obecnych granicach Rudy Śląskiej).

Helena i Zygmunt Łysogórcy pobrali się w 1933 r. Ich ślub odbył się w Ustroniu, w kościele rzymskokatolickim pw. św. Klemensa, natomiast przyjęcie weselne miało miejsce w willi „Eleonora”.



Przyjęcie weselne Heleny i Zygmunta Łysogórskich we wnętrzach willi „Eleonora”, 1933 r. Od lewej: nn, Józef Frąckowiak, Helena Łysogórska, Zygmunt Łysogórski, Eleonora Frąckowiak, ks. Maksymilian Kotowski z parafii rzymskokatolickiej pw. św. Klemensa w Ustroniu, nn, nn, nn, nn (fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

10 grudnia 1934 r. przyszedł na świat ich syn – Włodzimierz, który zmarł we wczesnym dzieciństwie, 25 lutego 1937 r., na zapalenie wyrostka robaczkowego. Niedługo potem, 11 grudnia 1937 r., Helenie i Zygmuntowi Łysogórskim urodziła się pierwsza córka – Mirosława.

Dobiegała końca czwarta dekada XX stulecia. Krótko przed wybuchem II wojny światowej Eleonora i Józef Frąckowiakowie przeprowadzili się na stałe do Ustronia. Planowali rozwinąć tutaj, zapoczątkowaną w Królewskiej Hucie, dobrze prosperującą działalność ziołoleczniczą.

Natomiast ich zięć – Zygmunt Łysogórski pracując wówczas w rejonie Rudy Śląskiej, nad granicą polsko-niemiecką, zaangażował się w zwalczanie niemieckiej „piątej kolumny”, prowadzącej działalność dywersyjną i szpiegowską.

Końcem lata 1939 r., w obliczu zbliżającego się militarnego zagrożenia ze strony Niemiec, Helena Łysogórska,



Ośmiomiesięczny Włodzimierz zwany Włodeczkiem (1934-1937) – najstarsze dziecko Heleny i Zygmunta Łysogórskich w ogrodzie willi „Eleonora”, 9 sierpnia 1935 r.

(fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

a także jej siostra i kuzynka wraz z dziećmi opuściły Ustroń udając się na wschód. Uciekły samochodem Stefanią Frąckowiak, młodszej siostry Heleny, która jako młoda dziewczyna już przed wojną uzyskała prawo jazdy, co wówczas było rzadkością wśród kobiet. Kiedy jednak okazało się, że znad wschodniej granicy nadchodzi wojsko radzieckie, wróciły do Ustronia, do domu rodziców. Niedługo potem samochód Stefanii został zarekwirowany. Państwo Frąckowiakowie zamieszkiwali wówczas parter budynku, okazało się bowiem, iż pierwsze piętro willi „Eleonora” „przeznaczono” dla nowych, „wojennych lokatorów” – pewnej niemieckiej rodziny, która wyprowadziła się stamtąd dopiero pod koniec lat 40. ubiegłego wieku.

We wrześniu 1939 r. doktor Zygmunt Łysogórski ewakuował się wraz ze służbami sanitarnymi górniczej Spółki Brackiej do Kielc. Stamtąd udał się do Warszawy, a następnie, uciekając przed Niemcami, przedostał się na wschód, w rejony województwa poleskiego, gdzie podjął pracę w szpitalach w Drohiczyńcu i Kobryniu. Tam, 17 września 1939 r., przeżył wkroczenie Armii Czerwonej na ziemie polskie.

W obawie przed represjami stalinowskimi podjął decyzję powrotu do niemieckiej strefy okupacyjnej. W listopadzie 1939 r. przedostał się do Sosnowca, gdzie uprzedzono go, że jest poszukiwany przez Gestapo. Udał się więc, włączony do III Rzeszy rodzinne strony, do wsi Łysa Góra, gdzie, do jesieni 1940 r., udzielał pomocy lekarskiej miejscowej ludności.

Poszukiwany przez żandarmów niemieckich doktor Łysogórski uciekł do Zawiercia, skąd po kilku tygodniach kryjówki przedostał się przez zieloną granicę na teren Generalnej Guberni. Tam, w Częstochowie, rozpoczął trwającą aż do wyzwolenia, współpracę z polskim ruchem oporu.

Dzięki pomocy podziemia właśnie, lekarz objął kierownictwo warszawskiej, prywatnej Kliniki i Zakładu Położniczego dr. Samuela Zamkowego w dzielnicy Praga, gdzie mieścił się punkt kontaktowy konspiracji. Jesienią 1941 r. Gestapo rozszyfrowało jego działalność i doktor Łysogórski musiał opuścić Warszawę.

W tym czasie werbowano lekarzy do prac na byłych polskich kresach wschodnich, które w czerwcu 1941 r., w wyniku agresji III Rzeszy na Związek Radziecki, znalazły się w niemieckiej strefie okupacyjnej. Tak wspomina ten okres sam Zygmunt Łysogórski w liście z dnia 1 listopada 1968 r., skierowanym do Dionizego Moskici z Polskiego Towarzystwa Historii Medycyny w Katowicach Koszutce: (...) *Dołączyłem do transportu lekarzy z Warszawy, wysyłanych na Grodzieńszczyznę dla objęcia opieki lekarskiej nad tamtejszym terenem. Sytuacja była tam tego rodzaju, że władze radzieckie wszystkich polskich lekarzy ewakuowały w głąb kraju. Pozostali na miejscu tylko lekarze narodowości żydowskiej i białoruskiej. Władze niemieckie lekarzy Żydów umieściły w ghettach, a lekarzy Białorusinów, których była znikoma ilość, trzeba było zastąpić lekarzami polskimi, których importowano z Warszawy. Przydzielono mi szpital w Sopoćkiniach, który prowadziłem do wiosny roku 1942. W maju tegoż roku zostałem wezwany przez tzw. Amsarżta niemieckiego w Grodnie, który mi oświadczył, że w miejscowości Marcińkańce są tego rodzaju stosunki, iż tamtejsza ludność litewska skarży się na polskiego lekarza i odwrotnie, ów lekarz przysyła pisma z zażaleniami na nacjonalistyczne podejście tej ludności. Ów niemiecki Amsarżt oświadczył mi, że w tej sytuacji – po zasięgnięciu opinii czynników miarodajnych – postanawia uznać mnie za lekarza najbardziej nadającego się na ten teren i wystać mnie tam. (...) Sytuacja ułożyła się bardzo pozytywnie. Zadawolony byłem zarówno ja, jak i moi pacjenci. Ten stan rzeczy trwał do lipca 1943 r., kiedy jeden z lekarzy polskich (Dr. Skokowski) dostał*

się do organizacji podziemnej, rozszyfrował ją i wydał w ręce Gestapo. W następstwie tego większość członków tej organizacji podziemnej w dniu 13 lipca 1943 r. została wraz z rodzinami rozstrzelana. Ponieważ i ja do tej organizacji należałem, – musiałem uciekać i znalazłem się w Puszczy Ruskiej, w partyzantce polsko-białoruskiej. (...) Według relacji doktora Zygmunta Łysogórskiego, Niemcy rozstrzelali wówczas w Grodnie około osiemnastu rodzin, w tym trzy lekarskie.

<p>Anmeldung zur polizeilichen Einwohnererfassung Vor Ausfüllung die Erläuterungen auf der Rückseite lesen!</p> <p>Zgłoszenie celem policyjnego stwierdzenia ludności Czytajcie przed wypełnieniem objaśnienia odwrotnej strony!</p>	<p>Wohnort und Wohnung Miejsce zamieszkania i mieszkanie</p> <p>Kreis (Powiat): <u>Kawiercie</u></p> <p>Gemeinde (Gmina): <u>Siewierz</u></p> <p>Ortschaft (Miejscowość): <u>Lysa Góra</u></p> <p>Straße und Hausnummer: Ulica i nr. d. <u>Wymiany dokonał K.K. O. m. Cieszyńska</u></p>
--	---

1. Familienname (Nazwisko): Łysogórski
(Bei Frauen auch Geburtsname und gegebenenfalls Name aus der letzten früheren Ehe (u zameężnych kobiet również nazwisko panięskie i w danym wypadku ostatnio-wdowie)

2. Rufname (Imię): Zygmunt

3. Geburtstag, Monat und Jahr: 27. IV. 1902.
Dzień, miesiąc i rok urodzenia:

Geburtsort (miejsce urodzenia): Lysa Góra Gem. Siewierz Kreis Zawiercie
(auch Gemeinde und Kreis) (możliwie także gmina i powiat)

4. Geschlecht:*) männlich, weiblich
Płeć:*) męska, żeńska

5. Familienstand:*) ledig, verh., verw., gesch.
Stan cywilny:*) wolny na, żonaty-zameężna, widowa, rozwodzony-rozwódka

6. Religion (Wyznanie): rzym.-kat.

7. Volkszugehörigkeit:
Narodowość: poliska

8. Welche Sprache sprechen Sie zu Hause?
Który język, mówi się w domu? polskim

9. Seit wann sind Sie im neuen Reichsgebiet wohnhaft?
Od którego czasu mieszka W. P. na nowym obszarze Rzeszy? od urodzenia

10. Haben Sie in der polnischen Armee gedient?
Czy WP. służył w armii polskiej? nie Dienstgrad? -
Rang służbowy: -


11. Beruf (Zawód): lekarz
(genaue Angabe der Berufstätigkeit und Angabe, ob selbständig, Angestellter, Arbeiter usw.)
(dokładne podanie czynności zawodowej i czy samodzielnym, funkcyjnaruzem, robotnikiem i t. p.)

12. Sind Sie Eigentümer oder Miteigentümer eines Geschäftes?
Czy WP. właścicielem lub współwłaścicielem interesu? nie
eines Hauses (kamienicy)? tak
von Land (gruntu)? tak


13. Nur für Familien- und Haushaltungsvorstände:
Tylko dla głów rodzin lub gospodarstw domowych;
Zahl der im Haushalt lebenden Kinder unter 12 Jahren: 1
Ilość dzieci poniżej 12 lat żyjących w gospodarstwie domowym: 1

*) Nichtzutreffendes ist zu durchstreichen.
*) Niedotyczące przekreślić.

Raum für Stempel oder Siegelmarke.



Fingerabdruck (Odciskpalca)



und
Unterschrift des Gemeldeten:
Łysogórski Zygmunt
i podpis zgłoszonego:

„Palcówka” z odciskiem palca doktora Zygmunta Łysogórskiego. Dokument z okresu II wojny światowej (z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

Nadszedł bardzo nieprzyjemny moment, – pisze doktor w cytowanym liście do Dionizego Moski – kiedy pomiędzy polskimi i białoruskimi partyzantami doszło do zbrojnego konfliktu. (...) Opuściłem te szeregi i nawiązałem kontakt z Warszawą. (...) Otrzymałem odpowiednie papiery, na mocy których skierowany zostałem przez władze okupacyjne do wyjazdu na przyfrontowe tereny wschodnie celem przebadania stanu sanitarnego i zdrowotnego polskich kolumn pracowniczych przyfrontowych. (...) Udałem się do Częstochowy i stąd jesienią 1943 przedostałem się przez granicę na teren tzw. „Warthenau”, czyli Zawiercia. Tutaj zorganizowałem dla siebie ziemiankę w lasach zawierciańskich. Napotkałem przy swoich wędrówkach leśnych dwóch radzieckich uciekinierów – jeńców. Jeden z nich – to kpt. Mikołaj Szelest, pochodzący z Moskwy. Drugi zaś, Iwan Sawinczuk, był marynarzem floty bałtyckiej. W czasie przemierzania lasu znalazłem na wpół wycieńczonego żołnierza radzieckiego pochodzenia tatarskiego, imieniem Wasyl, którego doprowadziłem do naszej ziemianki i wyleczyłem. Niebawem nawiązałem kontakt z Armią Krajową (...). Zostałem zamianowany szefem sanitarnym dywizji śląskiej AK. Udzielałem pomocy lekarskiej rannym i chorym. Na mój wniosek delegowano mnie na Śląsk Cieszyński, zaopatrując mnie w fałszywe dokumenty (...) Tu wykonywałem zlecone mi zadania. (...)

Istotnie, począwszy od 1944 r. Zygmunt Łysogórski był lekarzem oddziałów partyzanckich Armii Krajowej w Beskidzie Śląskim. Udzielał pomocy ustrońskiemu oddziałowi partyzanckiemu „Czantoria”, współpracując wtedy między innymi z jego dowódcą – Klemensem Starzykiem, a także z farmaceutką Jadwigą Koźdoń, kupcem Alfonsem Jamrózem, Janem Bujokiem, Emilem Banachem, Janem Holeksą oraz majorem Wojska Polskiego Józefem Gajdzicą i jego żoną Zuzanną z Ustronia Jelenicy.

Familiennamen	G l u z a
Vornamen	Josef
Beruf	Büroangestellte
Wohnort	S o h r a u
Adolf Hitler	straße-Platz-Nr. 24
Kreis	Ples
Geburtsdag	28.5.1898
Geburtsort	Weichsel
Kreis	Teschen
Staatsangehörigkeit	Deutsch a.W.
Reichsbürger?	nein
Gestalt	gross
Augen	grau-grün
Haare	dunkelblond
Gesichtsform	oval
Besondere Kennzeichen	keine



Unterschrift des Inhabers

AUSWEIS – fałszywy dowód tożsamości doktora Zygmunta Łysogórskiego, wydany 7 lipca 1943 r. na nazwisko Józef Gluza (Josef Gluza). Takiego pseudonimu używał współpracując z ustrońskim Oddziałem Armii Krajowej „Czantoria” podczas II wojny światowej (z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

Działając w konspiracji Zygmunt Łysogórski używał pseudonimu „Józef Gluza”. Ukrywał się wówczas u swoich teściów w willi „Eleonora”.

Łączniczką Armii Krajowej, która doprowadzała doktora Łysogórskiego do potrzebujących pomocy, była jego szwagierka – Stefania Frąckowiak. Za zaangażowanie w niesienie pomocy partyzantom, młodszą córkę Eleonory i Józefa Frąckowiaków aresztowano w Ustroniu 18 kwietnia 1944 r. Więziono ją w Cieszynie, gdzie wzywaną na przesłuchanie, dotkliwie bito. Stamtąd została przetransportowana do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Znalazła się wówczas w bloku 11, zwanym blokiem śmierci, wśród ludzi przeznaczonych na zagładę. Dzięki wstawiennictwu rodziny, Stefania Frąckowiak uniknęła śmierci. Przeniesino ją do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie do wyzwolnia pracowała w kuchni. Została stamtąd zwolniona w maju 1945 r. jako więzień nr 55771. *Przebywając w obozie w Ravensbrück ciocia Stefania pomagała innym ludziom – opowiada Lesława Łysogórska-Raszyk. Pod ubraniem miała specjalne kieszenie, którymi wynosiła dla nich jedzenie z kuchni. Ciocia była bardzo pozytywną osobą. W tym czasie moja mama mieszkała wraz z moją starszą siostrą Mirosławą na gospodarstwie w Łysej Górze i tam, względnie spokojnie sobie żyły.*

W drugiej połowie lat 40. minionego wieku Stefania Frąckowiak wyszła za mąż za dyplomata – Bogusława Wawaka (ur. 15 listopada 1919 r., zm. 24 listopada 1987 r.). Państwo Wawakowie zamieszkali w Katowicach, w kamienicy przy ul. Żwirki i Wigury. Doczekali się dwójki dzieci – córka Ilona (obecnie lekarz) urodziła się w 1948 r., a syn Lesław (obecnie fotograf) w 1958 r. W 1964 r. Bogusław Wawak, w związku z pracą zawodową, wyjechał wraz z rodziną na placówkę dyplomatyczną do Pragi, a następnie do Niemiec. Z chwilą śmierci Józefa Frąckowiaka Stefania Wawak odziedziczyła po rodzicach mieszkanie na parterze ustrońskiej willi, w którym zamieszkała ze swoją rodziną po 1972 r.

Stefania Wawak zmarła 3 maja 1995 r. i wraz z mężem spoczęła na cmentarzu katolickim w Ustroniu.

Wracając do losów Zygmunta Łysogórskiego... W okresie od 18 lutego 1945 r. do maja 1945 r. doktor pracował w Szpitalu Miejskim w Bielsku. Wkrótce przyjechał na stałe do Ustronia, gdzie w trudnych, powojennych realiach podjął się odbudowy i zorganizowania od podstaw ustrońskiej służby zdrowia. Tak opisuje tę sytuację we wspomniana-



Stefania z Frąckowiaków Wawakowa (1917-1995) – w czasie okupacji łączniczka Armii Krajowej, żona dyplomaty Bogusława Wawaka. Katowice, koniec lat 40. XX w.

(fot. z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

nym liście do Dionizego Moski: (...) *Ponieważ brat mój, Dr. Ignacy Łysogórski, był pierwszym powojennym starostą cieszyńskim, – na jego wezwanie przyjechałem do Ustronia dla zorganizowania tu służby i opieki lekarskiej. Jako jedyny tutejszy lekarz, pracowałem na tym ogromnym terenie do 1958. Tylko na czas choroby lub urlopu przysyłano mi zastępstwo na określony czas. Musiałem pracować w dzień i w nocy, ponieważ nie było pogotowia ratunkowego. (...)*

Lek. Zygmunt
imię

Łysogórski
nazwisko

urodzony(a) 27.4.1902.

w Łysej Górze
zamieszkały(a) p. Zawiercie

w Ustroniu nr. 134

jest członkiem Izby Lekarskiej w Katowicach, uprawnionym w myśl art. 3 rozp. Prezydenta R. z dn. 25.12.1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 81) do wykonywania praktyki lekarskiej w Państwie Polskim.

Zarząd Izby Lekarskiej
prezes

sekretnarz

prezes

IZBA LEKARSKA ŚLĄSKO-DĄBROWSKA

Własnoręczny podpis

Legitymacja lekarska Nr 00741 doktora Zygmunta Łysogórskiego wydana po II wojnie światowej przez Izbę Lekarską Województwa Śląsko-Dąbrowskiego, uprawniająca do wykonywania praktyki lekarskiej w Państwie Polskim (z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

26 maja 1945 r. lekarz powiatowy Henryk Julian Bernacik (ur. w 1911 r., zm. w 1983 r.), późniejszy ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego w Szpitalu Śląskim w Cieszynie, upoważnił Zygmunta Łysogórskiego do zajęcia mieszkania w przedwojennej willi doktora Śniegonia w Ustroniu przy ul. Adama Mickiewicza 1. W tym miejscu warto wspomnieć, iż Franciszek Śniegoń (ur. w 1892 r., zm. 6 maja 1945 r.) był znanym ustróńskim lekarzem z okresu międzywojennego i z czasów okupacji hitlerowskiej. Jak podaje w swoich notatkach doktor Łysogórski, *dr Śniegoń został zamordowany przez NKWD w piwnicach ratusza.*

Helena i Zygmunt Łysogórscy wraz z córką Mirosławą zamieszkali zatem w mieszkaniu służbowym na pierwszym piętrze dawnej willi Franciszka Śniegonia, gdzie lekarz uruchomił Okręgowy Ośrodek Zdrowia w Ustroniu. Tam, w 1948 r. przyszła na świat ich druga córka – Lesława. Około 1949 r. rodzina Łysogórskich przeprowadziła się do willi „Eleonora”, zajmując mieszkanie zwolnione po wspomnianej wcześniej rodzinie niemieckiej – „wojennych lokatorach” państwa Frąckowiaków.

W ustrońskiej przychodni doktor Łysogórski zorganizował porodówkę oraz mały szpitalik, co miało bezpośredni związek z otrzymywaną wówczas z darów amerykańskich penicyliną, którą należało podawać co cztery godziny. Tak lekarz wspomina początki swojej pracy w Ustroniu w sprawozdaniu z dnia 31 marca 1954 r., skierowanym do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej: *W chwili wyzwolenia Ziemi Cieszyńskiej przez Armię Radziecką służba zdrowia na terenie uzdrowiska Ustroń prawie że nie istniała. Lekarz miejscowy Dr. Śniegoń został niezwłocznie po wyzwoleniu przez polskie władze bezpieczeństwa zaarrestowany za współpracę z okupantem, a przebywający w Ustroniu przypadkowo lekarz lwowski Stachy nie wykazał żadnego zainteresowania na odcinku zorganizowania normalnej służby zdrowia, lecząc od czasu do czasu prywatnie. Regularną służbę zdrowia na terenie Ustronia zorganizował dopiero w miesiącu czerwcu 1945 r. Dr. Zygmunt Łysogórski, przybyły do Ustronia ze swej chwilowej placówki w Bielsku, gdzie pracował na Oddziale Ginekologicznym w tamtejszym Szpitalu Miejskim.*

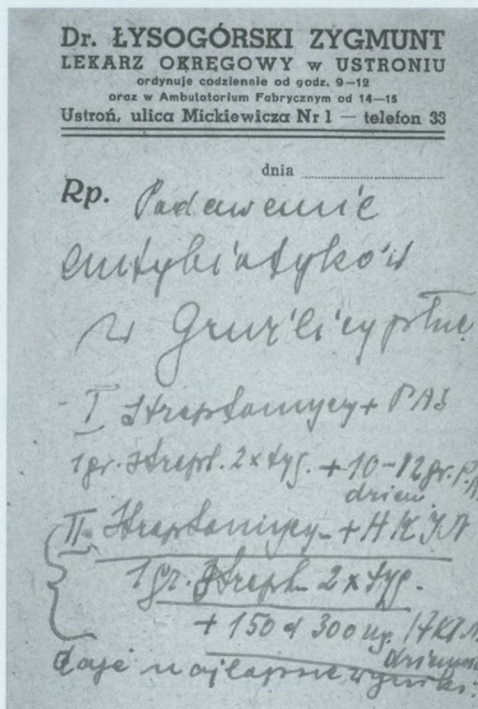
Pierwszym pociągnięciem wymienionego było zorganizowanie ambulatorium lekarskiego o charakterze uniwersalnym w budynku, będącym niegdyś własnością zmarłego Dr. Śniegonia. Do pracy w tymże ambulatorium przystąpił Dr. Łysogórski dobierając sobie do pomocy kwalifikowane pielęgniarki: Ob. Śliż Annę (siostrę Almę) oraz wkrótce potem Stępowską Ludwikę (siostrę Ludkę). (...)

(...) Zorganizowanie tej placówki zdrowia na terenie Ustronia było podówczas nakazem chwili, jako że Ustroń, jako miejscowość uzdrowiskowa gościła w tym właśnie okresie pokaźną liczbę kuracjuszy, których niepodobna było pozostawić bez opieki lekarskiej, a następnie dlatego, że Ustroń, który jest w pokaźnym stopniu uprzemysłowiony mógł poszczycić się uruchomieniem na pełną parę znajdującej się na jego terytorium największej w powiecie fabryki Brevillier & Urban, znanej dziś pod nazwą Kuźnia – Ustroń, której robotnicy i ich rodziny również nie mogli być pozbawieni



Koniec lat 40. XX w. Lekarze i pielęgniarki przed Okręgowym Ośrodkiem Zdrowia w Ustroniu. Od lewej: siostra Ludka Palowicz, doktor Zygmunt Łysogórski, siostra Alma Śliż, nn, siostra Hanka Zlochówna, nn (fot. Tadeusz Kopoczek, Cieszyn, z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

opieki lekarskiej o charakterze społecznej służby zdrowia. W krótki zresztą czas po tym ruszyły tu także inne zakłady pracy, jak Tartak Państwowy, Kamieniołomy, Wyrąb Drzewa w Lasach Państwowych i szereg pomniejszych warsztatów pracy. Tym ludziom należało zapewnić opiekę lekarską w ramach ubezpieczenia społecznego. (...)



Przykład porady lekarskiej dotyczącej podawania antybiotyków w gruźlicy płuc. Zapisek na receptę pochodzącej z drugiej połowy lat 40. XX w., kiedy doktor Zygmunt Łysogórski był jedynym lekarzem w Ustroniu

(z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

Tak we wspomnianym już sprawozdaniu z 31 marca 1954 r. doktor ocenia swój bez mała dziesięcioletni dorobek i osiągnięcia w organizacji ustrońskiej służby zdrowia: W chwili obecnej Okręgowy Ośrodek Zdrowia w Ustroniu obejmuje:

1/. Poradnię Przeciwgruźliczą z Roentgenem, którą prowadzi dr. Z. Łysogórski, będący jednocześnie kierownikiem Ośrodka Zdrowia i posiadający w tejże Poradni do pomocy dyplomowaną pielęgniarkę ob. Ziółkowską, oraz przyuczoną pielęgniarkę ob. Mańkę Marię.

2/. Poradnię Ogólną, którą prowadzi dr. Cęckiewicz Adam, mający do pomocy dypl. pielęgniarkę ob. Stępowską Ludwikę i pielęgniarkę przyuczoną ob. Folwarczną Edytę.

3/. Poradnię dla Matki i Dziecka, którą prowadzi dr. Cęckiewicz Adam, mający do pomocy pielęgniarkę dyplomowaną ob. Stanięczek Krystynę.

4/. Przychodnię lekarsko-dentystyczną nr 1 (mieszczącą się w obecnym Dziecięcym Ośrodku Zdrowia przy ul. 3 Maja 12, przyp. B. K.), którą prowadzi dentystka ob. Hanna Skoczylas (...), która w połowie lutego 1949 r. podjęła działalność na miejscu

W okresie powojennym, do lat 50. ubiegłego stulecia Zygmunt Łysogórski był jedynym lekarzem w Ustroniu i okolicy. Poza Okręgowym Ośrodkiem Zdrowia uruchomił, o czym wspomina w cytowanym wyżej sprawozdaniu, Ambulatorium Fabryczne Zakładów Kuźniczych, a także przedwojenny Zakład Balneologiczny. Pracował również jako ftyzjatra w Poradni Przeciwgruźliczej i w Państwowym Prewentorium dla Dzieci „Poniwiec” w Ustroniu oraz jako lekarz szkolny. Poza tym ojciec był często wzywany na wizyty domowe – opowiada Lesława Łysogórska-Raszyk. Nawet nocą. Zimą saniami przyjeżdżali po ojca – Ustroń, Polana, Nierodzim, Hermanice, Lipowiec..., to był bardzo rozległy teren.

Zygmunt Łysogórski cały czas podnosił swoje kwalifikacje zawodowe na licznych kursach i szkoleniach, między innymi z zakresu: chorób reumatycznych (Cieplice Śląskie, 1948 r.), rentgenologii (Kraków, 1950 r.), ftyzjatrii (Łódź, 1951 r.) i reumatologii (Katowice i Jastrzębie Zdrój, 1952 r.). W 1953 r. uzyskał specjalizację I stopnia w zakresie ftyzjatrii.

wysiedlonego z granic Rzeczypospolitej technika dentystycznego Emila Kohutka (...), mająca do pomocy asystentkę ob. Raudner Katarzynę.

5/. Przychodnię lekarsko-dentystyczną nr 2, którą prowadzi lekarz dentysta Tobolanka Zofia, mająca do pomocy asystentkę ob. Porębską Anielę.

6/. Poradnię dla Kobiet Ciężarnych, którą prowadzi dr. Cęckiewicz Adam, mający do pomocy dyplomowaną akuszerkę ob. Grycz Agnieszkę.

7/. Przychodnię Ambulatorium Lekarskie przy Kuźni – Ustroń, które prowadzi dr. Waclawik Paweł, mający do pomocy dyplomowanego felczera ob. Mańkę Alojzego oraz przyuczoną pielęgniarkę ob. Chowaniok Helenę. (...)



Państwowe Prewentorium dla Dzieci „Poniwiec” w Ustroniu, gdzie doktor Zygmunt Łysogórski pracował jako fizyjatra, 1953 r. (widokówka ze zbiorów Piotra Szuby)

W 1955 r. Zygmunt Łysogórski stał się obiektem pomówień. Okręgowa Komisja Kontroli Zawodowej przy Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Stalino-grodzie (Katowicach) uznała lekarza winnym wykroczenia zawodowego, zakazała pracy w powiecie cieszyńskim i wydała nakaz pracy w województwie rzeszowskim, w Ustrzykach Dolnych. Wspomniana nagonka miała jednakże podłoże polityczne. Doktor Łysogórski manifestował bowiem swoją antykomunistyczną postawę, która wyrażała się między innymi brakiem uczestnictwa w manifestacjach pierwszomajowych. Również jego okupacyjna współpraca z Armią Krajową predysponowała do represji przez stalinowców.

Po przemianach politycznych w Polsce, które miały miejsce w październiku 1956 r., pomówienia doktora Łysogórskiego okazały się bezpodstawne. W 1957 r. lekarz został zrehabilitowany i na powrót podjął pracę w Ustroniu.

W tym miejscu warta przytoczenia jest obrona doktora, z dnia 24 marca 1955 r., przez społeczeństwo ustrońskie w tamtych stalinowskich czasach: (...) *postanowiono w imieniu całego społeczeństwa Osiedla Ustroń wyrazić przekonanie, że Obyw. Dr Zygmunt Łysogórski posiada pełne zaufanie wśród miejscowego społeczeństwa i równocześnie przekreślić wszelkie zarzuty skierowane i czynione jemu z tego tytułu. Nie zauważono, by wyżej wymieniony kiedykolwiek nienależycie wywiązywał się ze swoich obowiązków jako lekarz i kierownik Ośrodka Zdrowia w Ustroniu.*

Urząd Wojewódzki Śląski
Wydział Zdrowia

Pieczęć Urzędu Wojewódzkiego

Nr. rej. L. Z-ZL 23a L 538

Katowice, dnia 14 marca 1950 r.

Zaświadczenie

o uprawnieniu do wykonywania praktyki lekarskiej

Na podstawie art. 6 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 25 września 1932 r. o wykonywaniu praktyki lekarskiej (Dz. U. R. P. Nr. 81, poz. 712) w brzmieniu obowiązującym w związku z § 4 ust. 2 rozporządzenia Ministra Zdrowia z dnia 29 października 1949 r. w sprawie rejestracji fachowych pracowników służby zdrowia oraz zezwoleń na przekroczenie normy ilościowej (Dz. U. R. P. Nr. 58, poz. 454) zaświadcza się, że:

Obywat. Eysogórski Zygmunt urodz. dnia 27 kwietnia 1902r.

w Łysej Górze pow. Zawiercie po przedłożeniu:

1. zaświadczenia wydanego przez Urząd Wojewódzki Poznański

2. dnia 3 kwietnia 1933 r. Nr. Z.L. II.2/33

3. -----

uprawniony (a) jest do stałego *) wykonywania praktyki lekarskiej

w Ustroniu pow. Cieszyn począwszy od dnia ----- **)



Za Wojewodę :

Juliusz Kępski
/Juliusz Kępski/
Naczelnik Wydziału

*) stałego, czasowego.

**) w przypadku uprawnienia czasowego podać także termin ważności.

D-1-11315 — Ł.Z.G. Oddz. Nr. 9 w Pabianicach. 30.000—zam. 155-50.

Zaświadczenie o uprawnieniu do wykonywania praktyki lekarskiej w Ustroniu dla doktora Zygmunta Eysogórskiego wydane przez Urząd Wojewódzki w Katowicach 14 marca 1950 r., na podstawie wcześniejszego dokumentu z Poznania z dnia 3 kwietnia 1933 r.
(z archiwum rodzinnej J. Wojciechowskiej)

Również Rada Zakładowa Związku Zawodowego Metalowców przy Przedsiębiorstwie Państwowym Kuźnia Ustroń (...) na plenarnej sesji w dniu 4 grudnia 1956 r. (...) uchwaliła (...), że dalsza dyskryminacja osoby dra Łysogórskiego nie znajduje w oczach robotników żadnego usprawiedliwienia, (...) powrotu do społecznej służby zdrowia wymienionego lekarza tu, na terenie Ustronia, domagają się tysiące osób, posiadające do jego wiedzy i doświadczenia lekarskiego pełne zaufanie (...).

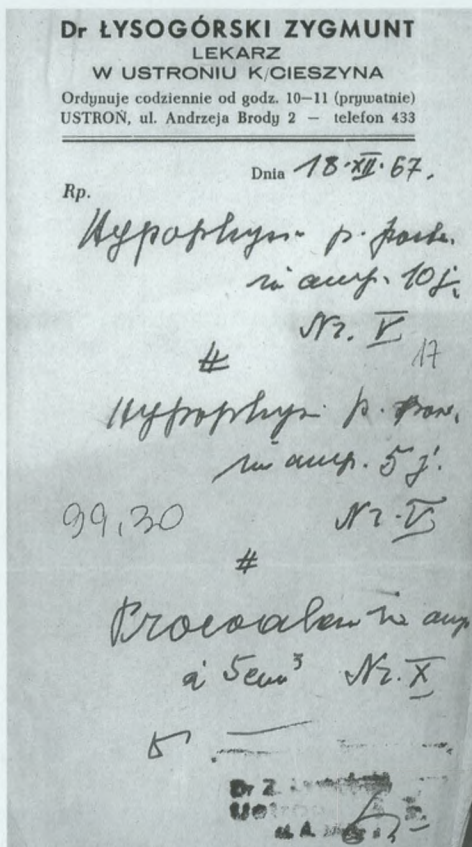
Ciężkie warunki okupacyjne, nerwowy tryb życia i intensywna praca zawodowa znacznie nadwyrężyły stan zdrowia ofiarnego lekarza, który w 1958 r. przeszedł na rentę inwalidzką. (...) doznałem zawału serca i usunąłem się z publicznej służby zdrowia – pisze w liście do Dionizego Moski.

Zygmunt Łysogórski nie zaniechał jednak praktyki lekarskiej, prywatnie poświęcił się bowiem ziołolecznictwu. Z nastaniem wyzwolenia jego teściowa – Eleonora Frąckowiak zrealizowała swoje przedwojenne plany rozwinięcia w Ustroniu działalności ziołoleczniczej. W związku z tym całą przybudówkę willi przeznaczono na suszarnię i przechowalnię ziół, sprowadzanych specjalnie do Ustronia z Mazur przez tamtejszych plantatorów.

Eleonora Frąckowiak odeszła 26 września 1961 r. Po jej śmierci, zapoczątkowane przez nią w latach międzywojennych ziołolecznictwo kontynuował, będący już wtedy na rencie, Zygmunt Łysogórski przy pomocy teścia – doktor wypisywał receptę, a Józef Frąckowiak odważał, paczkował, a następnie wydawał pacjentowi odpowiedni zestaw ziół.

Ta ich współpraca trwała przez całą dekadę lat 60. XX wieku. Zainteresowanie ojca ziołami wzięło się właśnie od teściowej – Eleonory Frąckowiak. Wtedy medycyna nie miała takiego jak dzisiaj zaplecza farmakologicznego – mówi Lesława Łysogórska-Raszyk. Pamiętam z dzieciństwa, że zawsze u nas było pełno pacjentów. Nie mieliśmy żadnych ogłoszeń, szyldów. Ludzie po prostu dowiadawali się sami. Przyjeżdżali z całej Polski. Początkowo pacjentów przyjmowała babcia, a później już mój ojciec, który zauważał, że picie ziół przez dłuższy okres czasu przynosi pozytywne efekty.

Wspomina o tym także doktor Łysogórski w przytaczanym już wielokrotnie liście do Dionizego Moski z listopada 1968 r.: (...) Muszę dodać, że spotkałem się z po-



Przykład recepty wydanej przez doktora Zygmunta Łysogórskiego 18 grudnia 1967 r. pochodzącej z czasów, kiedy lekarz był już na rencie, a równocześnie prowadził prywatną praktykę w willi „Eleonora” w Ustroniu przy ul. A. Brody 2 (z archiwum rodzinnego J. Wojciechowskiej)

ważnymi propozycjami wyjazdu do Austrii lub Czechostowacji dla zorganizowania na odpowiednim poziomie ziołolecznictwa. Z propozycji tych nie skorzystałem, ponieważ mam w opracowaniu cały szereg zagadnień z zakresu ziołolecznictwa, które chcę doprowadzić do końca. M.in. sprawę leczenia stwardnienia wieloogniskowego rozsianego (*sclerosis multiplex disseminata*), która to jednostka chorobowa jest przez światową medycynę uznana za nieuleczalną. Ja jednakże mogę poszczycić się tu poważnymi osiągnięciami leczniczymi. (...)

Zygmunt Łysogórski działał w wielu organizacjach społecznych i branżowych. Do 1939 r. był członkiem Towarzystwa Lekarzy Polaków na Śląsku, Związku Gospodarczego Lekarzy Województwa Śląskiego oraz Śląskiej Izby Lekarskiej. Należał także do Polskiego Związku Zachodniego i Polskiego Czerwonego Krzyża.

Utrzymywał także kontakty z innymi lekarzami, między innymi z doktorem Janem Raszykiem (ur. w 1890 r., zm. w 1973 r.) z Istebnej oraz z doktorami: Stanisławem Ujwary i Zbigniewem Jagodzińskim z Bielska, którzy bywali gośćmi w domu państwa Łysogórskich. Ponadto nestor ustrońskich lekarzy przyjaźnił się z artystami – mieszkającym w sąsiedztwie (w domu przy obecnej ul. Rynek 5) malarzem Franciszkiem Jaworskim (ur. w 1895 r., zm. w 1971 r.), którego materialnie wspomagał oraz z rodziną Konarzewskich, odwiedzając ich w Istebnej na Buczniku.

W latach 50. XX wieku rodzice byli bardzo zaprzyjaźnieni z państwem Jarockimi i Kobarskimi – wspomnia Lesawa Łysogórska-Raszyk. W niedzielę, po mszy wszyscy spotykali się przed kościołem i wyruszyli na spacer nad rzekę, a następnie zasiadali w ogródku kawiarni „Oaza” u państwa Koplów, spędzając czas na miłej pogawędce.

Gwoli uzupełnienia dodam, iż w okresie powojennym w „Eleonorze” mieszkali także lokatorzy. W latach 50. minionego stulecia mieszkanie w suterrenach wynajmowała rodzina Kuboków. Pani Kubokowa pełniła w willi rolę gospodyni, a jej mąż – kolejarz – był palaczem. Natomiast od około 1950 r. do połowy lat 70. XX wieku, pokój z kuchnią w mieszkaniu państwa Frąckowiaków, a następnie Wawaków zajmowała Doris Świstun.

Doktor Zygmunt Łysogórski zmarł 21 stycznia 1970 r. Dwa lata później, 19 kwietnia 1972 r. odszedł jego teść – Józef Frąckowiak. Zostali pochowani w rodzinnym grobowcu na cmentarzu katolickim w Ustroniu. 1 czerwca 2003 r. swoje ostatnie miejsce spoczynku znalazła tam także Helena z Frąckowiaków Łysogórska. Nieopodal zaś znajduje się grobowiec rodziny Machurów.

Tradycje zielarskie rodziny kontynuowała starsza córka Heleny i Zygmunta Łysogórskich – Mirosława Łysogórska-Adamczyk (zm. 4 lipca 1983 r.), farmaceutka, pracująca w ustrońskiej aptece „Pod Najadą”.

Natomiast młodsza z siostr – doktor Lesława Łysogórska-Raszyk poszła w ślady ojca, kończąc studia medyczne. Tę rodzinną tradycję przejęła także jej córka – doktor Joanna Wojciechowska, będąca również lekarzem.

Niniejszy artykuł powstał dzięki uprzejmości Pań: Lesławy Łysogórskiej-Raszyk i Joanny Wojciechowskiej, które poświęciły wiele czasu na wspomnienia o swoich przodkach oraz udostępniły fotografie i dokumenty z rodzinnego archiwum, ilustrujące ten tekst. Za współpracę i zaangażowanie obu Paniom serdecznie dziękuję.



*Uroczystości patriotyczne na ustrońskim rynku, 3 maja 1931 r. W oddali widoczne fragmenty budynków: willi „Eleonora” państwa Frąckowiaków (pierwsza z lewej), willi „Klara” państwa Holzerów (druga z lewej), domu Maksymiliana Kudzi (pierwszy z prawej)
(fot. ze zbiorów Muzeum Ustrońskiego)*

Wykaz źródeł:

- Informacje i wspomnienia Lesławy Łysogórskiej-Raszyk i Joanny Wojciechowskiej przekazane podczas wywiadu udzielonego w sierpniu 2005 r.
- List dra Zygmunta Łysogórskiego do Dionizego Moski z Polskiego Towarzystwa Historii Medycyny w Katowicach Koszutce, 1 listopada 1968 r. (dokument z archiwum rodzinnego udostępniła J. Wojciechowska).
- K. Brożek: *Zygmunt Łysogórski (1902-1970), lekarz, uczestnik antyhitlerowskiego i antystalinowskiego ruchu oporu*. „Medycyna Wiejska T. 28”. Lublin 1993, s. 163-169.
- K. Brożek: *Zygmunt Łysogórski (1902-1970)*. „Pamiętnik Cieszyński T. 9”. Cieszyn 1994, s. 155-161.
- A.P.: *Wspomnienie o lekarzu*. „Znad Olzy” z II 1999, s. 8.
- Sprawozdanie dra Z. Łysogórskiego z działalności Okręgowego Ośrodka Zdrowia w Ustroniu za czas od 1945 do końca 1953 r. do Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, 31 marca 1954 r. (dokument z archiwum rodzinnego udostępniła J. Wojciechowska).
- List dra med. Teodora Cienciły z Wisły z lutego 1970 r. (dokument z archiwum rodzinnego udostępniła J. Wojciechowska).
- Warszawianin o Ustroniu i Wisle*. „Dziennik Śląska Cieszyńskiego” z 3 VII 1923.
- J. Pilch. *Ustroń 1939-1945 (Przyczynek do dziejów ludności miasta w okresie wojny i okupacji)*. Ustroń 1978, s. 94.
- P. Korcz. *Ustrońskie cmentarze*. Ustroń 2005, s. 61-62, 72.
- J. Golec, S. Bojda. *Słownik biograficzny ziemi cieszyńskiej*. T. 3. Cieszyn 1998, s. 159.
- J. Golec, S. Bojda. *Słownik biograficzny ziemi cieszyńskiej*. T. 2. Cieszyn 1995, s. 21-22, 76-77.
- Zdrojowiska i uzdrowiska Beskidu Zachodniego*. Bezpłatny prospekt. Wydawnictwo „Polski Znicz”. Kraków 1939.
- K. Wencel: *Przyrodolecznictwo*. „Przyrodnik Ustroński Zeszyt 4”. Ustroń 2005, s. 37-44.
- J. Hierowski: *W leśnej głuszy*. „Głos Kombinatu” z II 1974.
- Cmentarz katolicki w Ustroniu.

Bożena Kubień

Gertruda z Hummlów Gotfrydowa – kobieta w hubertusie

Na początku XX wieku na Śląsku Cieszyńskim przynależność do niemieckiej grupy językowej deklarowało 76 tysięcy osób, co stanowiło około 18 % ogółu ludności. Skupieni byli przede wszystkim w miastach – najwięcej w Bielsku [84,3 %], Cieszynie [61,5 %], Strumieniu [54,5 %], Frydku [52,7 %] i Skoczowie [50,3 %] oraz w ich bezpośredniej okolicy. Na większości jednak obszaru stanowili minimalny odsetek populacji – w Ustroniu 7,8 %. Znaczenie polityczne Niemców daleko przewyższało ich liczebność i bazowało na bogactwie ekonomicznym oraz poparciu władzy politycznej. Na ziemi cieszyńskiej, pozbawionej przez setki lat politycznego związku z Macierzą, w XIX wieku przybysze niemieccy osiadali jako urzędnicy, inżynierowie, majstrzy, mistrzowie, a także kupcy, w związku z tworzeniem tutejszego przemysłu. W istocie, jeszcze w okresie międzywojennym Niemcy byli na tym terenie uprzywilejowaną, niekiedy wręcz hegemoniczną grupą narodową.



Gertruda Hummlówna w stroju męskim, 13 października 1938 r. (fot. z archiwum Wandy Hladky)

Pojawiła się w Ustroniu gdzieś we wczesnych latach 60. ubiegłego stulecia. Przyjechała z Katowic. Postawna, elegancka, ubrana „po męsku” kobieta budziła respekt wśród otoczenia. Po ponad dwudziestu latach zdecydowała się wrócić i znów na stałe zamieszkać w rodzinnej miejscowości, w swojej ogromnej willi. W tamtych czasach nie wszyscy miejscowi wiedzieli, że podczas II wojny światowej owa kobieta, nieraz z narażeniem własnego życia, uratowała wiele istnień ludzkich, pomagając Żydom z warszawskiego getta.

Nie chodzi o jej wygląd, gust, odmienne upodobania, przyzwyczajenia. Kiedy przyjrzymy się bliżej jej pogmatwanemu, pełnemu paradoksów życiu, otwiera się przed nami wiele skojarzeń, pojawiają się refleksje o ludziach, uczuciach, relacjach, wyborach...

Gertruda Gotfryd z domu Hummel. Jej losy oraz dzieje jej rodziny i domu – willi „Hummel” pamiętają dzisiaj już tylko nieliczni ustroniacy. Wanda Hladky, Mariola Stokłosa, Anna Kotecka, Danuta Cholewa, Bolesław Mider, a także, od niedawna już śp., Bronisława Danel... Tak oto powstał ten tekst. Próba skromnego szkicu historycznego dwóch zapomnianych ustrońskich rodzin niemieckiego pochodzenia – Langhammerów

i Hummlów, bardzo zacnych i szanowanych w naszej miejscowości na przełomie XIX i XX wieku oraz w latach międzywojennych. Dzisiaj ślady ich bytności w Ustroniu można odnaleźć przy ulicach 3 Maja 5 oraz 9 Listopada 18, gdzie stoją wybudowane przez nich domy oraz... na katolickim cmentarzu – tam znajdują się dwa stare, piękne grobowce, upamiętniające miejsce spoczynku niektórych członków tych rodzin.



Willa „Hummel” w Ustroniu przy obecnej ul. 9 Listopada 18 fotografowana przez Józefa Skorę, lata 30. XX w. (fot. z archiwum W. Hładky)

Langhammerowie i Hummlowie...

Dom przy obecnej ul. 9 Listopada 18 w Ustroniu pochodzi z 1904 r. Pierwotnie był niskim, parterowym, podpiwniczonym budynkiem (podziemne, o łukowatych sklepieniach piwnice znajdują się tylko pod połową domu, tą od strony zachodniej). Dopiero ojciec Gertrudy – Emil Hummel (ur. 5 lutego 1871 r., zm. 12 marca 1951 r.) nadbudował dom o jedną kondygnację i poddasze użytkowe. Miało to miejsce gdzieś na przełomie lat 1928/1929. Wówczas to nieruchomość otrzymała nazwę – willa „Hummel”, od nazwiska jej nowego właściciela. Pierwotnie bowiem dom ten należał do Anny Langhammerowej (ur. 10 maja 1854 r., zm. 9 lutego 1922 r.), wdowy po Rudolfie Langhammerze (ur. 13 kwietnia 1842 r., zm. 1 listopada 1885 r.) – teściowej Emila Hummla, babci Gertrudy.

Do rodziny Langhammerów, od mniej więcej połowy XIX wieku, należały ziemie położone w granicach obecnego ścisłego centrum Ustronia, w rejonie dzisiejszych ulic: 3 Maja, 9 Listopada oraz Leopolda Staffa. Tę ostatnią, obszarowo największą posiadłość, w okresie po II wojnie światowej zajął Fundusz Ziemi, a następnie przejął Bank Rolny z Cieszyna. Na niej to właśnie, w tamtych powojennych czasach, ustrońianki skupione w organizacji o nazwie – Liga Kobiet, sadiły ziemniaki.

Natomiast na pozostałych dwóch parcelach wzniesione zostały budynki mieszkalne. Dom przy ul. 9 Listopada 18 to wspomniana wyżej, późniejsza willa „Hummel”. Druga nieruchomość, posiadająca dawny adres: Ustron nr 50, przy ul. 3 Maja 5, wybudowana została na przełomie XIX i XX wieku. Jej właścicielem był człowiek o tym samym imieniu i nazwisku, co zmarły w 1885 r. mąż Anny Langhammerowej

– również Rudolf Langhammer (ur. 21 stycznia 1879 r. na Morawach, zm. 16 stycznia 1928 r. w Ustroniu). Nie udało mi się niestety ustalić powiązań rodzinnych łączących dwóch panów Langhammerów. Być może starszy Rudolf był ojcem młodszego Rudolfa? Istnieje ku temu bardzo duże prawdopodobieństwo.



Dom Rudolfa Langhammera – kupca i wydawcy kart pocztowych, przy obecnej ul. 3 Maja 5 w Ustroniu, lata 20. XX w. (fot. z archiwum Danuty Cholewy)

Przez niespełna pierwsze trzy dekady minionego stulecia Rudolf Langhammer (młodszy) był znanym kupcem w Ustroniu. W *Księdze Protokołów Spółkowej Kasy Oszczędności i Pożyczek w Ustroniu* Spółka zarejestrowana z nieograniczoną poręką, zachował się następujący zapis, datowany na dzień 4 czerwca 1916 r.: *Rudolf Langhammer, kupiec w Ustroniu, nr 50 prosi o pożyczkę w rachunku bieżącym do 7.000 K w celu zakupna cukru. Jako kaucję składa: IV pożyczkę wojenną na 1.000 K, polisę zabezpieczenia na życie w c. k. przywilejowanej Runione Adriatica di Jicurta w Tryeście na 4.000 K, taką samą polisę u tej samej firmy na 2.000 K. Oprócz tego podaje za ręczycieli: Karol Heller, dyrektor zakładu kąpielowego, Emil Hummel, urzędnik hutniczy i Lanik Jadwiga, urzędniczka poczty w Ustroniu. Pozwolono.*

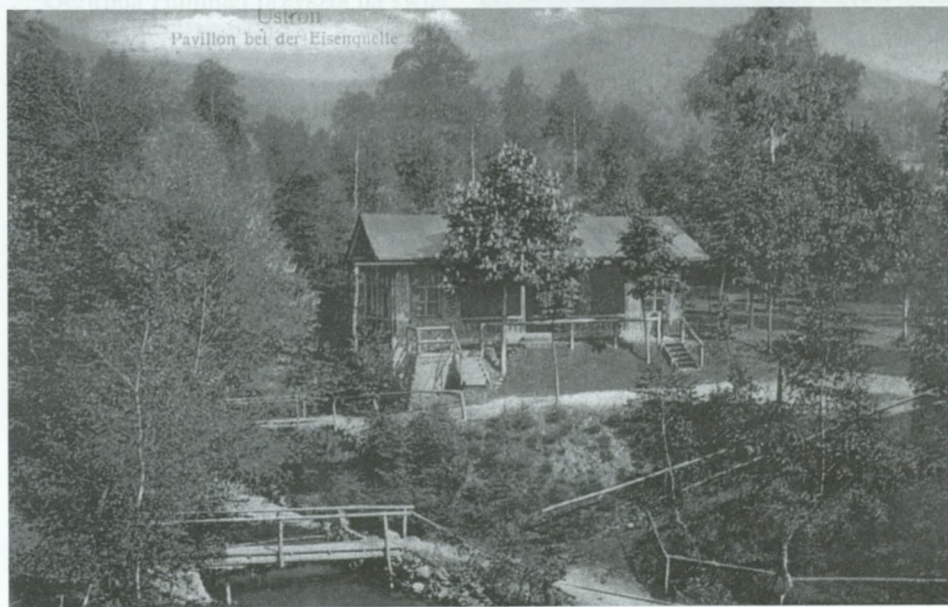
Posiadał także własne wydawnictwo kart pocztowych, które dzisiaj są cenione i poszukiwane przez kolekcjonerów starych widokówek. Ponadto, w 1909 r., kupiec zasiadał w gronie innych zamożniejszych ustroniaków pochodzenia niemieckiego, w zarządzie firmy związanej z branżą uzdrowiskową o nazwie – *Śląski Zakład Kąpielowy Spółka zarejestrowana z ograniczoną odpowiedzialnością w Ustroniu (Schlesisches Moorbat registrierte Genossenschaft mit beschränkter Haftung, Ustron).*

Po śmierci Rudolfa Langhammera, dom wraz z mieszczącym się na parterze budynku sklepem, wówczas posiadający adres: Ustroń, ul. Główna 50, odziedziczyła, na mocy testamentu spisanego 14 grudnia 1922 r., jego żona – Aniela Langhammerowa (ur. 5 marca 1870 r., zm. 30 listopada 1947 r.), córka Melchiora Melchera i Anny Doleżałek. Przyszła na świat w Węgierskiej Górze, ale od siódmego roku życia mieszkała w Ustroniu.



Aniela i Rudolf Langhammerowie, początek XX w. (fot. z archiwum D. Cholewy)

Rzeczoną nieruchomość Aniela Langhammerowa zapisała w testamencie swojemu siostrzeńcowi – Franciszkowi Doleżałkowi. Jej ostatnia wola spisana została na półtora roku przed śmiercią – 14 kwietnia 1946 r. w obecności trzech świadków: Ernesta Drobczyńskiego, dra Zygmunta Łysogóskiego oraz Pawła Steca.



Ustroń. Pawilon restauracyjny „Źródło Żelaziste”. Karta pocztowa wydana przez Rudolfa Langhammera na początku XX w. (ze zbiorów Ottona Wineckiego-Windholza)

Franciszek Doleżałek (ur. 6 stycznia 1914 r. w Ołomuńcu, zm. 25 marca 1970 r. w Ustroniu) był synem Franciszki Doleżałkównej – siostry Anieli i jako nieślubne dziecko został oddany na wychowanie do Ustronia, do rodziny Legierskich.

Po II wojnie światowej, w obawie przed utratą dziedziczonego po mężu – Niemcu z pochodzenia, majątku, schorowana już, bezdzietna Aniela Langhammerowa „przypomniała” sobie o istnieniu siostrzeńca i za namową Heleny Helwigowej przepisała dom przy ówczesnej ul. 1 Maja 4 Franciszkowi Doleżałkowi, w zamian za sprawowanie nad nią dożywotniej opieki oraz pochówku.



Aniela Langhammerowa, 1930 r.
(fot. z archiwum D. Cholewy)

W specjalnym pełnomocnictwie z dnia 12 czerwca 1946 r., udzielonym siostrzeńcowi przez ciotkę Anielę, czytamy: (...) *Mój Kochany! Z powodu mojego podeszłego wieku nie mogę podolać wszystkim moim obowiązkom, jakie się łączą z zawiadywaniem mojego majątku, w szczególności mojego budynku Nr. 50 w Ustroniu. Korzystam więc chętnie z Twoich usług i udzielam Ci niniejszym generalnego pełnomocnictwa, do zastępowania mnie we wszystkich sprawach przed Władzami Sądowymi, państwowo-administracyjnymi i skarbowymi oraz samorządowymi do składania w moim imieniu wszelkich oświadczeń (...).*

Skąd Hummlowie wzięli się w Ustroniu? Emil Hummel przybył tutaj wraz z rodziną, w związku z otrzymaniem nowej posady w fabryce *Brevillier i Ska & A. Urban Synowie*. Przedtem pracował jako urzędnik hutniczy w Trzyńcu na stanowisku głównego księgowego.



Emil Hummel w mundurze wojskowym Austro-Węgier w towarzystwie trzech wytwornych dam, lata 90. XIX w. (fot. z archiwum D. Cholewy)

Ponadto z Ustroniem łączyły go także więzy rodzinne. Pochodziła stąd bowiem jego pierwsza żona i matka jego dzieci – Anna Hummel z domu Langhammer (ur. 5 czerwca 1877 r., zm. 12 października 1926 r.), córka wspomnianych wyżej Anny i Rudolfa (starszego) Langhammerów.

W tym miejscu można wysnuć przypuszczenie, iż osoba Anny Hummlowej, „łączyła” rodziny Hummlów i Langhammerów, a co za tym idzie, także Rudolfa Langhammera (młodszeo). Istnieje zatem duże prawdopodobieństwo, iż Anna Hummlowa była jego starszą o dwa lata siostrą.

Gwoli uzupełnienia dodam, że Anna Hummlowa miała siostrę (jej imienia nie znamy), która wyszła za mąż za Rudolfa (kolejnego!) Hummla, brata Emila. Małżeństwo mieszkało wraz z dwójką synów w Ostrawie, równocześnie będąc właścicielami, w połowie z rodziną Emila, willi „Hummel”, odziedziczonej po Annie Langhammerowej. Po II wojnie światowej, na fali rozczarowania po klęsce Adolfa Hitlera, Rudolf Hummel i jego małżonka popełnili samobójstwo, odkręcając kurek z gazem... (!?). Miało to miejsce w ich domu w Ostrawie.

W okresie międzywojennym Emil Hummel aktywnie uczestniczył w życiu społecznym miasteczka. Był akcjonariuszem, a zarazem członkiem spółdzielni *Śląskie Zakłady Borowinowe w Ustroniu*. W latach 1923-1951 należał do Towarzystwa Miłośników Ustronia i z ramienia tejże organizacji, w 1930 r. i w 1933 r., sprawował nadzór nad funkcjonowaniem restauracji TMU – „Źródło Żelaziste”.

Gertruda Hummel przysła na świat w 1907 r. Była najmłodszym dzieckiem Emila Hummla i Anny z domu Langhammer. Początkowo wraz z rodzicami i dwoma starszymi braćmi mieszkała w Cieszynie. Około 1920 r. państwo Hummlowie przenieśli się z córką na stałe do Ustronia, do domu babci – Anny Langhammerowej, która niedługo potem zmarła.

Gertruda ukończyła siedmioklasową Szkołę Powszechną Nr 1 w Ustroniu, a następnie szkołę gospodarstwa domowego, prowadzoną przez Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia św. Karola Boromeusza w Cieszynie przy Górnym Rynku.

Niewiele wiemy o życiu braci Gertrudy. Wiadomo tylko, że chłopcy urodzili się w pierwszych latach XX wieku. Tak wynika z fotografii datowanej na 1915 r. Faktem jest, że bracia Gertrudy nigdy w Ustroniu na stałe nie mieszkali, ani nie odwiedzali tutaj siostry, ona też rzadko o nich mówiła. Oboje wyjechali na studia do Warszawy, gdzie prawdopodobnie osiadł jeden z braci i tam też zginął podczas II wojny światowej. Z kolei drugi brat wyjechał do Argentyny.



Emil Hummel – członek Towarzystwa Miłośników Ustronia w latach 1923-1951, około 1930 r.
(*fol. z archiwum W. Hładky*)



Anna Hummlowa z dziećmi: starszym synem (tym z Warszawy), młodszym synem (tym z Argentyny) i wówczas ośmioletnią córką Gertrudą, 1915 r. Zdjęcie zostało wykonane w atelier Erwina Jandaurka w Cieszynie przy ul. Stefanii 60 (obecnie ul. Głęboka) (fot. z archiwum W. Hladky)

W 1926 r. zmarła Anna Hummel. Przyczyną jej śmierci był brak krzepkości krwi, wykrwawiła się podczas operacji. Niedługo potem Emil Hummel ożenił się ponownie z Gretką z domu Riess (ur. 18 lutego 1887 r., zm. 22 sierpnia 1950 r.).

Druga żona Emila Hummla pochodziła z austriackiej rodziny Riessów, posiadającej w Cieszynie kamienicę (już dzisiaj nie istniejącą) w rejonie obecnej ul. Józefa Kiedronia, gdzie małżonkowie zamieszkali po ślubie.

Były wczesne lata 30. ubiegłego stulecia. Emil Hummel, po zakończeniu przebudowy oraz modernizacji domu odziedziczonego po teściowej, postanowił otworzyć w willi „Hummel” pensjonat. Zrobił to z myślą o jedynej córce, aby zapewnić jej źródło dochodu, a co za tym idzie, godziwy byt. Gertruda nie miała zawodu, więc wynajmowanie pokoi letnikom miało stanowić dla niej sposób zarabiania na życie.

I tak też się stało. Pensjonat Gertrudy Hummel działał przez całą dekadę lat 30. minionego wieku. Odwiedzany był głównie przez bogatych, warszawskich Żydów, spragnionych wypoczynku w ustrońskim uzdrowisku. Goście stołowali się w sąsiedującej z domem Hummlów willi „Relijanka”, należącej do Marii i Jana Kołderów. W prowadzeniu pensjonatu pomagała właścicielce Ewa Durczak, będąca niegdyś nianią małej Gertrudy.

Wokół budynku (tam, gdzie dzisiaj stoją domy rodzin Kotarskich i Świeczków) rozpościarał się duży sad oraz piękny ogród, który zdobiły kolorowe, szklane kule, stanowiące oryginalną, rzadko wówczas spotykaną dekorację. Otoczenie willi „Hummel” było czyste i zadbane, ściągano nawet buty przed domem. Krótko mówiąc, panował tam „niemiecki porządek”. Gertruda bardzo o to dbała, bo czystość w pensjonacie stanowiła jego główny atut, magnes przyciągający pod jej dach coraz to większe rzesze letników. Goście zatrzymywali się u niej przeważnie na okres około dwóch tygodni.

Gertrudę zawsze ciągnęło do Żydów – opowiada Wanda Hladky, uważała, że mężczyźni żydowskiego pochodzenia są dobrymi mężami. Mieszkając w Ustroniu bardzo przyjaźniła się z pewną bogatą żydowską rodziną Holzerów, do której przed wojną należała willa „Klara”, położona przy rynku, nad Bładniczką (obecny adres – Rynek 5, przyp. B. K.). Mieli syna Ottona i córkę Wandę, zwaną Wanduszą. Rodzina Holzerów na co dzień mieszkała w Krakowie. W willi „Klara” spędzali tylko weekendy, wakacje i święta. W czasie, kiedy przebywali poza Ustroniem, „Klara” opiekowali się stróże, którzy mieszkali w małym domku w ogrodzie przy posiadłości Holzerów (dzisiaj w tym budynku mieści się zegarmistrz przy ul. Andrzeja Brody, przyp. B. K.). Gertruda nazywała Holzerową „mamuską”.

W okresie II wojny światowej w willi „Klara” mieściła się siedziba młodzieżowej organizacji Hitlerjugend.

Paradoksem jest, iż krewni Gertrudy – Langhammerowie i Hummlowie byli rodzinami o poglądach proniemieckich, a ona wręcz przeciwnie – czuła się Polką, Polką – patriotką. Przypuszczalnie na ten jej światopogląd bezpośredni wpływ miała „znajomość” z Niemcem Hansem Schöttnerem, synem ustrońskiego nadleśniczego – Leona Schöttnera, zakończona w 1939 r.

Z chwilą wybuchu II wojny światowej Gertruda Hummel, ze względów osobistych, uciekła z Ustronia do Warszawy i tam bardzo zaangażowała się w niesienie pomocy Żydom. Uratowała między innymi swoją bliską przyjaciółkę Dianę i jej narzeczonego, których ukrywała w swoim mieszkaniu.

Już w latach międzywojennych Gertruda często jeździła do Warszawy, gdzie miała mnóstwo znajomych. Mieszkał tam również jej brat, któremu kiedyś, wykorzystując swoje znajomości, załatwiła pracę w stolicy.

W czasie okupacji trudniła się handlem. Tak zarabiała na życie. Jej ojciec zaś, będąc już wtedy na emeryturze, lata II wojny światowej spędził w Ustroniu, pełniąc



Rodzina Hummlów, początek lat 30. XX w. Siedzą: Emil Hummel z drugą żoną Gretką z domu Riess. Stoją od lewej: żona młodszego syna Hummlów, młodszy syn Hummlów, Gertruda Hummlówna, starszy syn Hummlów (fot. z archiwum W. Hladky)



Willa „Hummel” Ustroń

położona w centrum
z pięknym ogrodem,
poleca tanie, ładne
pokoje.

Reklama willi „Hummel” pochodząca z prospektu „Zdrojowiska i uzdrowiska Beskidu Zachodniego” z 1939 r. (z archiwum Muzeum Ustrońskiego)

funkcję kierownika kina „Uciecha”, które mieściło się w budynku dawnej Czytelni Katolickiej. W willi „Hummel” zorganizowano wówczas posterunek niemieckiej żandarmerii, zaś w piwnicach budynku urządzono więzienie.

1 kwietnia 1940 r. Niemcy rozpoczęli w Warszawie budowę murów. Miały wyznaczyć terytorium „obszaru zagrożonego epidemią”, żydowską dzielnicę. Ilu Żydów uratowała? Ilu wyprowadziła z getta na aryjską stronę? *Niewykluczone, że załatwiła im „lewe papiery”.* *Umiała po niemiecku, wiedziała komu napyskować* – mówi Wanda Hładky. W takim bowiem języku mówiło się na co dzień w domu Hummlów. *Była Polką, czuła się Polką. Gdyby była Niemką, to by nie uciekła z Ustronia z powodu Hansa Schöttnera* – dodaje pani Wanda. Jej imię i nazwisko oraz niemieckie korzenie sprawiły, że Gertruda Hummel miała możliwość pomocy, którą ofiarnie niosła.

W latach 60. XX wieku miała okazję otrzymać honorowy medal „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Wyróżnienie to od 1963 r. przyznaje Kapituła Instytutu Pamięci *Yad Vashem* w Izraelu, osobom nie-Żydom, które ratowały Żydów podczas *Holokaustu*, niejednokrotnie ryzykując własne życie. Ona jednak tej odznaki nie przyjęła...

W drugiej połowie lat 40. minionego stulecia Gertruda Hummel, w myśl swojej dawnej deklaracji, wyszła za mąż za żydowskiego dentystę o nazwisku Gotfryd (ur. w 1887 r.), który był od niej starszy o 20 lat. Gdy się pobierali (między 1947 r. a 1949 r.) ona miała 40-42 lata, a on 60-62 lata. Zamieszkała wtedy z mężem w Katowicach, gdzie Gotfryd prowadził razem z bratem gabinet dentystyczny, a ona pomagała im jako asystentka. To były czasy zaraz po wyzwoleniu, kiedy nie mogła mieszkać w swoim ustrońskim domu, bo w willi „Hummel” mieściła się wówczas (w latach 1945-1950) komenda milicji. Po kilku latach małżeństwa jej mąż uciekł z czterdzieści lat od siebie młodszą kobietą do Niemiec. Gotfrydowie nie mieli dzieci. Ciężko przeżyła rozwód. Zawiodła się. Na człowieku, czy na swojej przedwojennej deklaracji?



Gertruda Gotfrydowa jako asystentka dentystyczna w gabinecie swojego męża w Katowicach, lata 50. XX w. (fot. z archiwum W. Hładky)

Gertruda miała bardzo skomplikowane życie – mówi Mariola Stokłosa. To, że w czasie okupacji pomagała Żydom, bardzo jej samej w przyszłości pomogło, bo oni chętnie się za takie gesty odwdzięczali, a ona z tych „dowodów wdzięczności” korzystała. Przez to Gertruda, w drugiej połowie XX w., żyła na znacznie wyższym poziomie materialnym niż przeciętni ludzie. W tamtych czasach głębokiego PRL-u ona zawsze miała dolary, kawę, koniak, dużo rzeczy kupowała w Pewexie, dostawała paczki z zagranicy – dodaje pani Mariola.

Od czasu wyjazdu do Warszawy, co miało miejsce na początku wojny, Gertruda nie pojawiła się już więcej w Ustroniu. Na stałe zamieszkała tutaj znowu dopiero w 1963 r. Oczywiście, mieszkając z mężem w Katowicach odwiedzała czasem Ustroń, ale w zasadzie, w latach 50. XX wieku, nie miała tu po co przyjeżdżać, bo jej ojciec już wtedy nie żył.



Gertruda Gofryd – recepcjonistka ustrońskiego hotelu „Równica”, lata 60. XX w. (fot. z archiwum jej sąsiadki i opiekunki – Amy Koteckiej)



Personel ustrońskiego hotelu „Równica” w kawiarni podczas obchodów święta Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej, 1968 r. Od lewej: Wanda Broda – zastępca kierownika hotelu, żona milicjanta, Wanda Hladky – recepcjonistka, Helena Demel – recepcjonistka, Krystyna Hladky – księgową, Maria Śliwka – pokojówka, Franciszek Doleżałek – kierownik Zakładu Oczyszczania Miasta (fot. z archiwum W. Hladky)



Gertruda Hummlówna na nartach, lata 30. XX w.
(fot. z archiwum W. Hładky)

Paradoksem jest również, że Hummlom – Niemcom, ustrońskiej, przedwojennej willi nigdy po wyzwoleniu nie zabrano. Wynikało to chyba z faktu, że właścicielką domu była właśnie Gertruda, a nie jej rodzice. Gertruda, czyli osoba, która chociaż pochodziła z niemieckiej rodziny, zawsze deklarowała się jako Polka. Dlatego też po rozwodzie mogła wrócić do swojego domu, który został potraktowany jako mienie prywatne, należne polskiej obywatelce, a nie jako majątek ponemiecki w myśl dekretu z 1946 r.

Gwoli uzupełnienia dodam, że w willi „Hummel” oprócz Gertrudy, która zajmowała mieszkanie na parterze (od strony zachodniej) mieszkali wówczas także lokatorzy z tak zwanego kwaterunku, między innymi Wanda Brodowa (żona milicjanta) oraz państwo Mene-sowie i Freifeldowie.

W połowie lat 60. ubiegłego wieku Gertuda Gotfrzyd zatrudniła się w recepcji hotelu „Równica” w Ustroniu, bo po rozwodzie, powracając w rodzinne strony, została bez środków do życia. Wtedy też w pracy poznała Wandę Hładky, z którą potem łączyła ją długoletnia znajomość. Zamieszkała na parterze willi „Hummel” w mieszkaniu, z którego właśnie wyprowadzili się kwaterunkowi lokatorzy – rodzina Freifeldów. Później zaczęła sprzedawać odziedziczony po babci majątek.

Około 1977 r. przeszła na emeryturę. Przyjaźniła się wtedy z panią Pollachową i każdy dzień odwiedzała ją w domu państwa Helwigów przy Rynku, gdzie mieszkała. Będąc już w podeszłym wieku, schorowana, zawsze mogła liczyć na pomoc sąsiadki, a zarazem opiekunki – Anny Koteckiej.

Gotfrydowa dobrze sobie radziła z wykonywaniem męskich czynności, umiała przybić, wywiercić... Kiedy pracowałam razem w hotelu „Równica” – wspomina Wanda Hładky, pojechałyśmy na wycieczkę zakładową do NRD, do Drezna. Gdy tylko dotarłyśmy na miejsce Gertruda pierwsze co zrobiła to poszła do sklepu z artykułami rzemieślniczymi – kupowała siekiery, młotki, nożyce... Tylko takie rzeczy, nie interesowały ją ubrania. Chyba rzeczywiście dominowały w jej osobie tak zwane pierwiastki męskie.

Nie była zbyt ładna (chorowała na łuszczycę), ani zgrabna. Zawsze chodziła ubrana po męsku. Nosiała, popularny w latach 50. XX wieku, bardzo ciężki, zielony płaszcz typu hubertus, o wojskowym kroju, z pagonami, do tego krawat, spinki przy mankietach koszuli i kapelusze. Lubiła też stroje o sportowym fasonie. Ubierała zawsze odzież z długimi rękawami – nie pokazywała rąk. Nosiła spodnie, sportowe buty i paliła papierosy. Jedyną „kobiecą ekstrawagancją”, na jaką sobie pozwalała to długie, wypielęgnowane paznokcie malowane w czerwonych odcieniach.

Uprawiała sporty – jeździła na nartach, grała w tenisa. Prowadziła także auto. Była posiadaczką samochodu niemieckiej marki DKW (*Dampf Kraft Wagen = pojazd parowy*), szczególnie popularnej w Polsce w latach 30. minionego wieku, zwanego potocznie dekwką.

Gertruda Gotfryd zmarła w 1988 r. Spoczęła na cmentarzu katolickim w Ustroniu w rodzinnym grobowcu Langhammerów i Hummlów.

Gertruda była bardzo inteligentną kobietą – mimo swoich dziwactw. Jej życie – małżeństwo, rozwój, miłości, rozczarowania, głupoty, niekonsekwencje, szaleństwa, przyjaźnie z ludźmi z wyższych sfer, relacje z mężczyznami, miłosne uwikłania... To wszystko przypomina nam, jak pogmatwane jest życie, jak wiele wyborów, których dokonujemy, nie zależy od nas, a bywa wynikiem przypadku.

Polacy, Niemcy, Czesi, Żydzi, Rusini, Serbowie, Słowacy, Węgrzy, Włosi – mieszkańcy wielonarodowej Monarchii Austro-Węgierskiej. Wielu z nich mieszkało wówczas także w Ustroniu, przybывая tutaj głównie w związku z rozwojem lokalnego przemysłu i uzdrowiska. Wielonarodowość naszego regionu to dziedzictwo kultury, zapomniane dziedzictwo, o którym warto mówić i pisać.



Grobowce rodzin Langhammerów i Hummlów na cmentarzu katolickim w Ustroniu, 28 października 2007 r. (fot. Kazimierz Heczko)

Wykaz źródeł:

Informacje i wspomnienia Wandy Hładky przekazane w wywiadzie udzielonym w lutym 2006 r.
 Informacje uzyskane od: Marioli Stokłosy (w lutym 2006 r.), Danuty Cholewy (w grudniu 2006 r.), Anny Koteckiej (w październiku 2006 r.), Bronisławy Danel (w czerwcu 2006 r.) i Bronisława Midera (w październiku 2005 r.).
 Dokumenty z rodzinnego archiwum użyczyła Danuta Cholewa z domu Doleżalek.
 Księga protokołów Spółkowej Kasy Oszczędności i Pożyczek w Ustroniu Spółka zarejestrowana z nieograniczoną poręką 1911-1923 oraz Kasy Spółdzielczej w Ustroniu z nieograniczoną poręką 1926-1927.
 J. Pilch: *Rozwój Ustronia jako letniska i uzdrowiska*. „Pamiętnik Ustroński Nr 2”. Ustroń 1989, s. 7-8.

IV
USTRONIACY
A SPRAWY
SPOŁECZNO-
GOSPODARCZE

Tomasz Błahut

Ustroń w pryzmacie bankowości (1894-2006)

Banki – przedsiębiorstwa, których przedmiotem działania są operacje pieniężne, przede wszystkim gromadzenie czasowo wolnych w gospodarce środków w formie depozytów oraz ich redystrybucja poprzez udzielanie kredytów¹.

Pomimo upływu czasu, zmieniających się kultur oraz standardów życia społeczeństw, instytucją stale obecną na rynku, w gospodarce, jest bank bądź instytucja parabankowa.

W okresie niespełna 100 lat, to jest od 1788 roku do 1869 roku, działały na rzecz rolników tak zwane fundacje kontrybucyjne, zapewniające możliwość uzyskania wsparcia finansowego w formie pożyczki zbożowej². Pojawiające się z czasem większe bądź nawet nowe potrzeby ludności co do korzystania z usług bankowych, wzrost wymagań co do ich charakteru i rodzaju oraz chęć rozwijania przez banki rynku dotychczas obsługiwanych klientów, powodowały dynamiczny rozwój tego sektora. Po 1870 roku, w związku z rozwijającą się gospodarką na Śląsku pojawiły się: Wrocławski Bank Dyskontowy, Wrocławski Bank Wekslowy, Śląski Akcyjny Bank Ziemski, Śląski Bank Związkowy, Wrocławska Kasa Związkowa, Wrocławski Prowincjonalny Bank Wekslowy, Śląski Centralny Bank Rolniczy, Górnos Śląski Związek Kredytowy, Górnos Śląski Bank Handlowy oraz tak zwane banki specjalne³. Przyczyną, leżącą u podstaw stworzenia polskiej instytucji finansowej było pojawienie się potrzeb kredytowych rozwijającym branżom przemysłowym, rolniczym oraz kupieckim⁴. Na terenie Śląska Cieszyńskiego znamienitym wydarzeniem było powołanie do życia, w 1873 roku, polskiej spółdzielni pod nazwą Towarzystwo Oszczędności i Zaliczek.

Dla Ustronia oraz pobliskich miejscowości dostawę usług bankowych zapewniały:

Spółkowa Kasa Oszczędności i Pożyczek w Ustroniu

Spółka Zarejestrowana z Nieograniczoną Poręką w 1894 roku, tak zwana Kasa Reiffeisena. § 43 Statutu mówił o konieczności odbywania Walnego Zebrania dwa razy w roku. Zebranie, zwołane na 15 marca 1911 roku, *Spółkowej Kasy Oszczędności i Pożyczek* pozwoliło podsumować rok poprzedzający. Ustalono między innymi, że liczba członków Kasy wynosi 315 osób, kwota maksymalna pożyczki dla jednego członka to 5.000 K (koron) (w 1917 roku podwyższono ją do wysokości 30.000 K, w 1919 roku do 50.000 K, w tym dla Gminy Politycznej 120.000 K), zdecydowano także, aby udziały członków nieoprocentować, od wkładek płać 4 %, a od pożyczek żądać 5 %. Spółka finansowała różne potrzeby kredytobiorców, w tym między innymi: *budowę domu, reparaturę domu, zakupienie chałupy, wesele córki/syna, zakup realności, spłatę długów, zakupienie krowy i strawy, spłatę spadkobierców, pokrycie wydatków przy chorobie, zakupienie powozu, zakupienie materii* (materiału siewnego).

Pożyczki na ogół funkcjonowały za zachowaniem odpowiedniego zabezpieczenia ich spłaty. Najpowszechniejszą formą było wystąpienie ręczyciela (żyrant, poręczyciel) lub *intabulacyi* (wpis do księgi wieczystej hipotecznej lub gruntowej). Z uwagi na ogólne podrożenie kapitału pieniężnego, Walne Zebranie uchwaliło z dniem 1 stycznia 1913 roku podwyższenie oprocentowania wkładek do 4,50 % oraz po-

BANK EWANGELICKI
 SPÓŁDZ. z OGR. ODP.
 w USTRONIU

Telefon Nr. 22
 P. K. O. 405.919

przyjmuje wkłady na oszczędność w złotych i walutach obcych ewent. w złotych w złocie przy najwyższym oprocentowaniu.

Udziela pożyczek na dogodnych warunkach (% urzędowy). Zaliczka wszelkie interesa w zakres bankowości spółdzielczej wchodzące, jak inkaso weksli, czeków, przesyłek towarowych etc.

Reklama Banku Ewangelickiego w Ustroniu w „Kalendarzu Ewangelickim” z 1931 r.

Telefon Nr. 22. P. K. O. 405.919.

SPÓŁDZIELCZY
Bank Ewangelicki
 Spółdzielnia z nieograniczoną odpowiedzialnością
 w USTRONIU

przyjmuje wkłady oszczędnościowe w złotych i złotych w złocie. Za wkłady gwarantuje Spółdzielczy Bank Ewangelicki w Ustroniu kapitałem udziałowym, funduszem rezerwowym i nieograniczoną odpowiedzialnością członków. — Udziela członkom pożyczek na dogodnych warunkach. — Ponadto zaliczka inne operacje bankowe, jak inkaso weksli, czeków i papierów wartościowych. — Przeprowadza winkulacje towarowe.

Zamiatamy, że każdy jest kowalem własnego szczęścia.
 Zamiatamy, że każdy gros oszczędzony będzie nas wartościowo spotęsz.

Zamiatamy, że oszczędność jest jedyną drogą tworzenia rodzimych kapitałów, stanowiących ostateczną niezależność gospodarszą Państwa.

Reklama Banku Ewangelickiego w Ustroniu w „Kalendarzu Ewangelickim” z 1934 r.

SPÓŁDZIELCZY
BANK EWANGELICKI
 Spółdzielnia z odpowiedzialnością nieograniczoną
 Tel. 22. w USTRONIU Tel. 22.

przyjmuje wkłady oszczędnościowe w złotych i złotych w złocie. Za wkłady gwarantuje Spółdz. Bank Ewang. w Ustroniu kapitałem udziałowym, funduszem rezerwowym i nieograniczoną odpowiedzialnością członków. — Udziela członkom pożyczek na dogodnych warunkach. — Ponadto zaliczka inne operacje bankowe, jak inkaso weksli, czeków i papierów wartościowych. — Przeprowadza winkulacje towarowe.

P. K. O. 405.919. P. K. O. 405.919.

Reklama Banku Ewangelickiego w Ustroniu w „Kalendarzu Ewangelickim” z 1935 r.

życzek do 5,50 %. Tendencja ludności do wycofywania wkładek, spowodowana wojną bałkańską, była głównym powodem uzasadniającym podwyższenie oprocentowania. Zakładano, iż podwyższone oprocentowanie obowiązywać będzie krótki czas, to jest do chwili złagodzenia naprężonych stosunków w Europie. Faktycznie oprocentowanie obniżono z dniem 1 października 1915 roku.

Spółka, z uwagi na planowane uruchomienie stacji telefonu, udzieliła zapomogi w wysokości 100 K na realizację tego zadania.

Aktywność Kasy przejawiała się również przez zaangażowanie w tak zwany Oddział Asekuracyjny przy Spółkowej Kasie Oszczędności i Pożyczek. Projekt polegał na ubezpieczeniu ziemian od czterech ryzyk: (1) wynagrodzenia szkód za winą ziemianina lub z winy osób u niego zatrudnionych, (2) zapłat i świadczeń przewidzianych ordynacją służbową, a to z okazji zachorowania sług na skutek nieszczęśliwych wypadków w ruchu gospodarczym, (3) spłat przy kradzieży z włamaniem, (4) następstw nieszczęśliwych wypadków, których ziemianin sam dozna. Walne Zgromadzenie zwołane na dzień 6 kwietnia 1920 roku uchwaliło kolejną zmianę oprocentowania wkładek na 2,00 %, pożyczek 3,00 %, a jako dobrowolny datek na pokrycie kosztów kancelaryjnych dalszych 2,00 %. Od czerwca 1920 roku operowano kwotami wyrażanymi w markach (MK). Zmiany nastrojów społecznych, tendencje do wycofywania wkładek oraz ograniczenie gotowości zaciągania nowych pożyczek powodowały dalsze zmiany oprocentowania. 13 marca 1921 roku podjęto decyzję o podwyższeniu oprocentowania wkładek do 4 %, zaś od po-

życzek zdecydowano żądać 5,00 % plus dalsze 2,00 % na pokrycie kosztów administracyjnych. Każdy nowy członek zobowiązany był do wniesienia udziału w kwocie minimum 50 MK oraz wpisowego 10 MK. Dodatkowo członek mógł otrzymać pożyczkę w wysokości maksimum 100.000 MK z tym, że Spółki Spożywcze oraz Gminy Polityczne mogły liczyć na kwotę maksimum 1.000.000 MK. Wielkości te ulegały naturalnie przekształceniom i tak po raz kolejny, 10 lipca 1922 roku, podjęto decyzję o podwyższeniu limitów kredytowych dla członków do wysokości 500.000 MK oraz Spółek Spożywczych i Gmin Politycznych do 2.000.000 MK. Oprocentowanie wkładki ustalono na 5,00 % zaś pożyczki na 6,00 % plus 4,00 % dodatku drożyznianego

plus 1,00 % na koszty kancelaryjne. Stanowisko Przewodniczącego Zarządu Spółki piastował Paweł Ziętek, zaś po jego śmierci obowiązki spoczyły na Jerzym Michejdzie. Funkcję nadzorca nad funkcjonowaniem Kasy wykonywał do 1920 roku Jan Martinek. Po jego śmierci funkcję tę przejął kierownik szkoły w Rychwałdzkie J. Biłko. Zgodnie z treścią ustawy spółdzielczej z dnia 29 października 1920 roku Spółka zobligowana była dostosować Statut do przepisów prawa stanowiących wspomnianą ustawą.

Nasze hasło: *„Miejscowy pieniądz do miejscowej Spółdzielni na miejscowe potrzeby”*

Gminną, że każdy oszczędności gromadzić nas rozum w potrzebie.

**SPÓDZIELCZY
BANK EWANGELICKI**
z odpow. nieogr.

P. K. O. 301.745 w **Ustroniu** Tel. 22.

przyjmuje wkłady oszczędności już od 5— zł i płaci 5½% odsetek. Za wkłady oszczędnościowe gwarantuje Spółdzielnia przetroną gospodarką pożyczkową, funduszami rezerwowymi, kapitałem udziałowym i nieograniczoną odpowiedzialnością członków. Wkłady wypłaca punktualnie. Spółdzielnia rozpoczęła na nowo udzielanie kredytów wekslowych. Ważniejsze czynniki bilansowe na 31. III. 1937: kapitał udziałowy członków zł 25.032-, kapitał rezerwowo-żył 91.408-60, wkłady oszczędnościowe zł 435.249-24. R-ek żywoty: Bank Polski, Bielsko.

Reklama Banku Ewangelickiego w Ustroniu w „Kalendarzu Ewangelickim” z 1938 r.

NASZE HASŁO: *„MIEJSKOWY PIENIĄDZ DO MIEJSKOWEJ SPÓDZIELNI — NA MIEJSKIE POTRZEBY”*

PAMIĘTKA 28 KASOWY OSZCZĘDZIKOWY GOSPODZ. ROKIEM NASZ POTRZYMAĆ W POTRZYMAĆ

**SPÓDZIELCZY
Bank Ewangelicki w Ustroniu**
z odpowiedzialnością nieograniczoną

P.K.O. 301,745 TELEFON 22

przyjmuje wkłady oszczędnościowe już od 5— zł i płaci 5% odsetek. — Za wkłady oszczędnościowe gwarantuje Spółdzielnia przetroną gospodarką pożyczkową funduszami rezerwowymi, kapitałem udziałowym i nieograniczoną odpowiedzialnością członków. — Wkłady wypłaca punktualnie. Spółdzielnia udziela kredytów wekslowych i zastawia wszelkie czynności w zakresie bankowości wchodzące.

Ważniejsze czynniki bilansowe na 31 XII. 1937.
Kapitał udziałowy członków 25,000 zł. - Kapitał rezerwowo-żył 97,000 zł. - Wkłady oszczędnościowe 54,000 złotych.

Reklama Banku Ewangelickiego w Ustroniu w „Kalendarzu Ewangelickim” z 1939 r.

Przeprowadzone w dniu 2 października 1927 roku Walne Zgromadzenie Spółki wyraziło zgodę na połączenie ustronńskiej Kasy z ustronńskim **Bankiem Ewangelickim**. Instytucją przejmującą był Bank Ewangelicki⁵.

Bank Spółdzielczy

W 1945 roku założono w Ustroniu Gminną Kasę Spółdzielczą, która rok później zmieniła nazwę na Kasę Spółdzielczą w Ustroniu. Nazwa **Bank Spółdzielczy** funkcjonuje od 1975 roku. Pierwotnie siedziba Banku mieściła się w Urzędzie Miejskim w Ustroniu, w rynku. Wtedy to w latach 1961-1968 kierownikiem Kasy Spółdzielczej była Maria Cichy. Funkcję po niej przejęła Anna Drózd-Głowacka i pełniła ją do 1989 r. Od lipca 1989 r. dyrektorem Banku Spółdzielczego jest Halina Fober.



Dawna willa leśniczego Jana Lipusa w Ustroniu przy ul. Partyzantów 5, wybudowana w 1936 r., mieszcząca w latach 1981-2004 siedzibę Banku Spółdzielczego (fot. Tadeusz Kopoczek, 1963 r.)



Była siedziba Banku Spółdzielczego w Ustroniu przy ul. Partyzantów 5, 26 lipca 2006 r. (fot. Tomasz Błahut)



Obecna siedziba Banku Spółdzielczego w Ustroniu, 26 lipca 2006 r. (fot. T. Błahut)

W 1981 roku placówkę tę przeniesiono do przedwojennej willi przy ul. Partyzantów 5. Od 2002 roku zrzeszony jest w Banku Polskiej Spółdzielczości S. A. w Warszawie. W 2004 roku nastąpiło otwarcie nowego punktu kasowego w Ustroniu Nierodzimiu.

Z dniem 24 lipca 2006 roku Bank Spółdzielczy w Ustroniu rozpoczął pracę w nowym, nowoczesnym budynku przy ul. Ignacego Daszyńskiego 10 a.

Ustrońska placówka jest jednostką macierzystą (centralą) dla następujących jednostek podległych: (1) Bank Spółdzielczy Oddział Wisła, (2) Bank Spółdzielczy Oddział Istebna, (3) Punkt Kasowy w Jaworzynie, (4) Punkt Kasowy w Koniakowie, (5) Punkt Kasowy w Nierodzimiu. Bank dedykuje swoją ofertę zarówno osobom indywidualnym, firmom, spółkom jak i instytucjom *non profitowym*. Zakres działalności banku to rozliczenia bieżące, depozyty oraz produkty kredytowe.

Narodowy Bank Polski (NBP)

Powstał w 1945 roku jako bank refinansujący polski system bankowy. Idea stworzenia Banku Centralnego zrealizowała się w 1993 roku, kiedy w pełni zaprzestano obsługi klientów poza bankami i jednostkami budżetowymi. Wówczas wydzielono również ze struktur NBP działalność komercyjną, angażując się w działalność emisyjną pieniądza, tworzenie polityki pieniężno – kredytowej państwa, a także nadzór nad systemem bankowym⁶. Decyzja o utworzeniu Oddziału NBP w Ustroniu zapadła w grudniu 1949 roku, a misję tworzenia Oddziału powierzono Alfredowi Szatkowskiemu – Dyrektorowi Oddziału w Bielsku-Białej. Alfred Szatkowski zawarł porozumienie z Oddziałem Banku Rolnego w Cieszynie, którego celem była likwidacja Oddziału Banku Rolnego Oddział w Ustroniu, a następnie, w jego miejsce, powołanie Oddziału Narodowego Banku Polskiego. Praktycznie historia *Banku Rolnego Oddział w Ustroniu* kończy się z dniem 31 marca 1950 roku, zaś począwszy od 1 kwietnia 1950 roku rozpoczyna się nowy rozdział, historia ustrońskiego Oddziału NBP.



Dawna willa „Ustronianka” bankowca Jerzego Koziela, wybudowana w 1929 r., mieszcząca w latach 1956-1989 siedzibę Oddziału Narodowego Banku Polskiego w Ustroniu, lata 60. XX w.

(szkic ołówkiem Franciszka Jaworskiego, pochodzący z Kroniki Oddziału Narodowego Banku Polskiego w Ustroniu)

Powołana placówka w Ustroniu zrealizowała gruntowną przebudowę kamienicy w okresie od 1954 roku do 1956 roku, kiedy to stworzono jedną funkcjonalną całość dla potrzeb Banku, oddzielając się jednocześnie od drugiej, zamieszkałej części budynku. Ze względu na wymiar czasowy oraz zakres robót adaptacyjnych, Oddział mieścił się w budynku Prezydium Rady Narodowej w rynku. Efektem zakończonych prac remontowych było uzyskanie dla potrzeb bankowych dwóch kondygnacji. Pozostała część przeznaczona była na cele mieszkaniowe.



Wydział Kredytów Oddziału NBP w Ustroniu. Siedzą od prawej: Bronisława Krygiel, Elżbieta Plaskura, p. Wandzel, Janina Gałuszka, p. Nieboras, Bolesław Zuberek – naczelnik Wydziału Kredytów, Bernard Mróz i Jan Wałach, 11 marca 1964 r. (fot. ze zbiorów Jana Wałacha)



NBP Oddział w Ustroniu, 1962 r. (fot. ze zbiorów J. Wałacha)

Oddział NBP w pierwszej kolejności kierowany był przez Władysława Słodkiego (od 1950 roku do 1955 roku), a po jego śmierci obowiązki dyrektora sprawował Stanisław Galocz, który na własne życzenie zrezygnował z tej funkcji w 1961 roku, obejmując stanowisko zastępcy dyrektora do spraw administracyjno – handlowych Zakładów Kuźniczych. Późniejszym dyrektorem mianowany został Jan Wałach (od 1961 roku do 1967 roku), w okresie od 1967 roku do 1979 roku – Karol Retka. Urząd dyrektora Oddziału, po odejściu Karola Retki, objęła Elżbieta Plaskura, sprawując tę funkcję do końca funkcjonowania działalności komercyjnej NBP. Placówka prowadziła obsługę Przedsiębiorstw Państwowych oraz Jednostek Budżetowych. NBP nie obsługiwał rolników – była to grupa klientów obsługiwanych między innymi przez wyspecjalizowane w tym zakresie Banki Spółdzielcze⁷.

Bank Śląski S.A. / ING Bank Śląski S.A.

W związku ze zrealizowaną polityką wydzielenia ze struktur NBP działalności usługowej wobec ludności, obowiązki te przejęły tak zwane banki komercyjne, w tym również Bank Śląski. Powołany na mocy rozporządzenia Rady Ministrów w dniu 11 kwietnia 1988 roku Bank Śląski, rozpoczął swoją działalność operacyjną 1 lutego 1989 roku. Ustroński Oddział Narodowego Banku Polskiego przekształcony został w jedną z placówek Banku Śląskiego. Początkowo Bank działał jako przedsiębiorstwo państwowe, jednak z dniem 18 października 1991 roku rozpoczął nowy, ważny etap swej działalności – przekształcony został w spółkę akcyjną ze 100 % udziałem własności Skarbu Państwa. Istotą tworzenia spółki akcyjnej było pozyskanie kapitału zewnętrznego w drodze sprzedaży akcji. W dniu 13 stycznia 1994 roku holenderska grupa ING nabywa 25,9 % kapitału akcyjnego Banku. ING dokonywała w następnych latach jeszcze kilku

znacznych transakcji nabycia udziałów Banku tak, że w rezultacie 1 sierpnia 2001 roku posiadała 82,81 % liczby akcji i dokładnie tyle samo procent głosów na Walnym Zgromadzeniu. Bank Śląski wchodzący w skład grupy ING, począwszy od 6 września 2001 roku działa pod nazwą ING Bank Śląski S.A.⁸.

Zarządzanie placówką Banku Śląskiego / ING Bank Śląskiego S.A. w Ustroniu powierzone zostało od 1989 roku do 2000 roku Elżbiecie Plaskura. Po przejściu w 2000 roku Elżbiety Plaskura na emeryturę, do dnia dzisiejszego filia kierowana jest przez Halinę Cieślak. Gruntowny remont obiektu bankowego zrealizowano w 2002 roku. Oddział zachował swoją zewnętrzną elewację, jednak w dużym stopniu zmianom poddano układ pomieszczeń. Cały remont przeprowadzony był z zachowaniem funkcjonalności placówki, prowadzącej każdego dnia działalność usługową wobec swoich klientów. Segment obsługiwanych klientów uległ znacznemu rozszerzeniu co oznacza, iż w odróżnieniu do działalności NBP, Bank Śląski obsługiwał również osoby indywidualne, firmy, instytucje *non profitowe* oraz rolników. Zwiększony portfel klientów spowodował progresję proponowanych usług. Bank Śląski zapewniał wszystkim swoim klientom kompleksową obsługę w zakresie prowadzenia rachunków bieżących, rachunków depozytowych oraz kredytów. Stały rozwój instytucji spowodował pojawienie się zupełnie nowych usług na rynku, do których należy zaliczyć przede wszystkim: fundusze inwestycyjne, produkty obszaru *lending* oraz całą gamę produktów rynków finansowych.



Siedziba Banku Śląskiego S. A. / ING Banku Śląskiego S. A. przy ul. I. Daszyńskiego 6 w Ustroniu, 18 września 2006 r. (fot. T. Błahut)

PKO Bank Polski Spółka Akcyjna

Ekspozytura w Ustroniu powołana została do działania w sierpniu 1990 roku. Siedzibę placówki umiejscowiono w Ustroniu przy ul. Cieszyńskiej 15, gdzie funkcjonuje do dnia dzisiejszego.



Siedziba PKO Banku Polskiego S. A. przy ul. Cieszyńskiej 15 w Ustroniu, 27 lipca 2006 r. (fot. T. Błahut)

Ustrońska placówka PKO BP S. A. od momentu powstania działa jako jednostka bezpośrednio podległa Oddziałowi z Cieszyna. W okresie pierwszych 5 lat działalności, funkcję kierowniczą piastowała Jadwiga Mróz, zaś w okresie kolejnych 5 lat Ludmiła Śliwka. Od 2000 roku stanowisko dyrektora ustrońskiego Oddziału Banku PKO BP S. A. sprawuje Anna Hanzel. Bank kieruje swoją ofertą zarówno klientom indywidualnym, firmom jak i jednostkom budżetowym oraz *non profitowym*. Bank PKO BP S. A. prowadzi sprzedaż zarówno oferty depozytowej, kredytowej jak i rachunków bieżących.

Bank Pocztowy S.A.

Założony w 1990 roku, ściśle współpracujący między innymi z Państwowym Przedsiębiorstwem Użyteczności Publicznej *Poczta Polska*, która pełni rolę wykonawcy następujących czynności: (1) finansowe to jest obsługa kont, (2) pośrednictwo w zakresie sprzedaży i obsługi produktów, (3) niefinansowe związane z obsługą Pocztych kont, (4) faktyczne związane z działalnością bankową⁹. Bank Pocztowy proponuje szeroki, kompleksowy zakres usług dla każdego segmentu klientów.

SKOK Stefczyka

Utworzony w celu gromadzenia środków pieniężnych przez członków kasy oraz udzielania im niskoprocentowych pożyczek i kredytów w ramach samopomocy finansowej. SKOK udziela kredytów i pożyczek swoim członkom na okres maksymalnie 5 lat, z wyłączeniem finansowania celów związanych z prowadzeniem działalności gospodarczej.

Pomimo faktu, iż obecnie banki wprowadzają na rynek szereg rozwiązań ułatwiających regulowanie zobowiązań, *SKOK Stefczyka* posiada wiele możliwości sprawnego posługiwania się pieniądzem. Należy wskazać, iż bieżąco wykorzystywane rozliczenia gotówkowe i bezgotówkowe znane i stosowane były znacznie wcześniej. Początki rozliczeń bezgotówkowych to 2800 rok p.n.e., kiedy kupcy babilońscy wykorzystywali tak zwane przekazy pieniężne w formie glinianych tabliczek opiewających na konkretną wagę metali stosowanych w rozliczeniach towarowych. Pierwszymi pieniędzmi metalowymi opatrzonymi znakiem graficznym, wskazującym wartość posługiwano się już w VII wieku p.n.e. w Lidii. Czynnikiem mającym wpływ na powstanie pieniądza były gromadzenie przez władców pieniądza kruszcowego oraz stosowanie kwitów depozytowych¹⁰. Ponad tysiącletnia historia Polski wspomina różne jednostki pieniężne, a wśród nich między innymi: denar, grosz, dukat, tyńf, szeląg, marka polska oraz od 1924 roku złoty¹¹.

W celu umożliwienia dynamicznego rozwoju sektora usług bankowych, a także ograniczenia ryzyka udzielenia „złych kredytów” wiodące na Polskim rynku banki (w tym ING Bank Śląski S.A. oraz PKO BP S.A.) tworzą od 1997 roku odrębną instytucję nazwaną Biurem Informacji Kredytowej S.A., gromadzącą dane związane z rzetelnością wywiązywania się poszczególnych osób z posiadanych przezeń zobowiązań kredytowych. Gromadzone przez BIK informacje dotyczą zarówno posiadanych zobowiązań kredytowych jak i historii kredytowej klientów banków, SKOK-ów, tak indywidualnych jak i przedsiębiorców.

Przypisy:

¹ Encyklopedia popularna PWN. Warszawa 1997, s. 297.

² Księga pamiątkowa wydana z okazji 100. rocznicy powstania Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek w Cieszynie. Cieszyńskie Zakłady Przemysłu Terenowego Zakład Graficzny w Skoczowie 1974, s. 12.

³ Studia nad historią banków śląskich (do roku 1918). Zakład Narodowy im. Ossolińskich 1963 s. 166.

⁴ Tamże.

⁵ Opracowano na podstawie Księgi Protokołów Spółkowej Kasy Oszczędności i Zaliczek w Ustroniu za okres od 29 stycznia 1911 roku do 3 października 1927 roku.

⁶ Słownik ekonomiczny i finansowy. Wydawnictwo „Książnica” 1994 i 1995, s. 112.

⁷ Opracowano na podstawie Kroniki Oddziału Narodowego Banku Polskiego w Ustroniu.

⁸ www3.ingbank.pl/u235/navi/32213

⁹ www.pocztowy.pl/u235/navi/71

¹⁰ NBPortal.pl

¹¹ Tamże.



Mgr Tomasz Błahut – ukończył studia na kierunku handel zagraniczny w Śląskiej Wyższej Szkole Zarządzania im. Generała Jerzego Ziętka w Katowicach. Od ponad sześciu lat związany z ING Bankiem Śląskim S. A. Współprowadzący oficjalną wizytę w Ustroniu ambasadora Izraela w Polsce – Szewacha Weissza, w grudniu 2002 r. oraz spotkanie z Krystyną i Ottonem Wineckimi – Windholzami, w czerwcu 2004 r. w Muzeum Ustrońskim.

Michał Pilch

Ustroniacy w „Bieszczadach”

W połowie lat 60. ubiegłego stulecia Ustroń obiegra sensacyjna wiadomość: Adam Kupka i Andrzej Wiselka wyjeżdżają w Bieszczady. Nie traktowano tego postanowienia poważnie, a potwierdzają to osoby, które tamte czasy dobrze pamiętają. Nie bardzo sobie wyobrażano, że można się zdecydować opuścić urządzone domy, dobrą pracę i wyjechać w tereny gdzie nikt nie mieszka, nie są one zagospodarowane, nie ma dróg, prądu elektrycznego i wszelkich wygód, jakie miało się w Ustroniu, a wyjechać tam, gdzie trzeba będzie wszystko zaczynać od nowa. Wiadomość traktowano jako plotkę, która nigdy nie zostanie zrealizowana. Stało się jednak inaczej. Jesienią 1966 roku pierwsi osadnicy wyjechali z Ustronia, a byli to: Adam Kupka z żoną Emilią i dwoma synami z Ustronia Polany, Andrzej i Helena Pietraszkowie z trójką dzieci z Ustronia Dobki. Dołączył do nich brat Adama Kupki Karol z żoną Anną z trójką dzieci z Dolnego Żukowa na Zaolziu. Posiadał on polskie obywatelstwo i dlatego bez specjalnych zezwoleń mógł wyjechać z ówczesnej Czechosłowacji. Idea emigracji zrodziła się na Zaolziu wśród społeczności religijnej „Związek Stanowczych Chrześcijan”¹. Był to związek, który zarejestrowany został w Cieszynie jeszcze przed pierwszą wojną światową w 1910 roku. Po zakończeniu drugiej wojny światowej sytuacja wyznawców uległa pogorszeniu ze względu na szykany i utrudnienia ze strony komunistycznych władz Czechosłowacji². Przywódcy Związku rozpatrywali możliwość emigracji z Czechosłowacji. Początkowo nie była brana pod uwagę możliwość wyjazdu do Polski. Jednak kiedy na początku lat 60. ubiegłego stulecia pojawiła się możliwość osiedlenia się na niezamieszkałych terenach Bieszczad i Beskidu Niskiego, zainteresowano się taką możliwością. W Polsce w tamtych czasach, mimo panującego systemu komunistycznego, działalność kościołów i związków wyznaniowych była o wiele łatwiejsza.

W wyniku trwającej kilka lat akcji osiedleńczej na terenach Beskidu Niskiego zostały zasiedlone trzy wioski. W Woli Piotrowej w obecnym powiecie Sanockim zamieszkali osadnicy z polskiej części Śląska Cieszyńskiego, w tym z Ustronia oraz osadnicy z Zaolzia. Natomiast w Puławach i Wisłoczku koło Rymanowa w powiecie Krośnieńskim zamieszkały rodziny wyłącznie z Zaolzia.

Z geograficznego punktu widzenia wioski te leżą we wschodniej części Beskidu Niskiego. Potoczna nazwa osadnictwa w Bieszczadach wiąże się z akcją osiedleńczą jaka w tym czasie była prowadzona na terenie Bieszczad i Beskidu Niskiego. Granicą tych dwóch krain jest rzeka Oslawa, dopływ Sanu, płynąca 12 km od Woli Piotrowej. Tereny, na których leżą wspomniane wioski w przeszłości zamieszkałe były przez Łemków, grupę etniczną należącą do ukraińskiego obszaru językowego. Posługiwali się dialektem języka ukraińskiego z dość silnymi wpływami języka słowackiego i węgierskiego. Nazwa Łemków pochodzi od bardzo często używanego przez nich – zapożyczonego od Słowaków – słowa „łem” – tylko. Początkowo było to przezwisko, ale później zostało zaakceptowane i przyjęte przez samych Łemków. Pod względem wyznaniowym należeli do obrządku wschodniego – prawosławnego i grekokatolickiego. Zajmowali się pasterstwem jak i rolnictwem, a przewaga którejś z tych dziedzin gospodarki zależała od lokalnej sytuacji.

Pod koniec II wojny światowej Łemkowszczyzna znalazła się w polu działania Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). W latach 1947-1949, w ramach kontrower-

syjnej akcji „Wisła”, nastąpiło masowe wysiedlenie Łemków na tereny Ziemi Zachodnich. Wioski łemkowskie zostały spalone, ludność wywieziona, bez prawa powrotu na swoje tereny. Złagodzenie represji po 1956 roku tylko częściowo spowodowało powrót Łemków w swoje strony.



Rodzina Wiselków przed wyjazdem z Ustronia (fot. z archiwów Jerzego Wiselki)

Po latach, kiedy pogorzeliska, sady i pastwiska zarosły chwastami i krzakami, przystąpiono do zasiedlania tych terenów. Rozpoczęły się pierwsze rekonesansowe wyjazdy w tereny Beskidu Niskiego. W wyjazdach tych uczestniczyli także mieszkający na Zaolziu Polacy², bo to przecież głównie oni byli najbardziej zainteresowani przesiedleniem. Czasy te wspomina Jerzy Wiselka³. *Mój pierwszy przyjazd do Woli Piotrowej miał miejsce w 1965 roku. W pamięci zostały zupełne pustkowia, obszary nie uprawianej ziemi, a wszystko to porośnięte krzakami. Gmina Bukowsko nie była jeszcze zelektryfikowana, a jedyne murowane budynki to kościół, posterunek Milicji, przedwojenne więzienie, gdzie miała siedzibę Gminna Spółdzielnia oraz jeden budynek mieszkalny.*

Rozpoczęła się akcja poszukiwania miejsc, gdzie można się osiedlić. Zadania tego podjęli się Adam Kupka i Andrzej Wiselka. Wyjeżdżano w Bieszczady i Beskid Niski. Wielokrotnie bywali w Urzędzie Powiatowym i Banku Rolnym w Sanoku, Urzędzie Wojewódzkim w Rzeszowie. Najwięcej czasu na poszukiwanie miejsc do osiedlenia poświęcił Adam Kupka, który tak wspomina tamte czasy⁴. *Na mnie padł wybór abym się tym zajął. Odpowiedniej wioski szukałem 4 lata. Często bywałem w Banku Rolnym w Sanoku, bo oni wtedy sprzedawali tereny do zagospodarowania. Jeździłem na wskazane mi miejsca, ale nie odpowiadały one naszym wymaganiom. My chcieliśmy się osiedlić w miejscu gdzie jeszcze nikt nie mieszka. W proponowanych miejscowościach byli już pojedynczy osadnicy. W czasie kolejnego pobytu w Sanoku dowiedziałem się, że w najbliższym czasie rozpocznie się rozmiernianie Woli Piotrowej. Po wizji lokalnej na miejscu podjęliśmy decyzję: tak, ta miejscowość nam odpowiada i spełnia nasze oczekiwania. Poinformowaliśmy o tym Bank Rolny i poprosiliśmy o rezerwację dla nas całej wioski.*

Rozpoczęło się załatwianie wszystkich formalności związanych z zakupem terenów i zgodą na osadnictwo. Kiedy wszystko zostało załatwione Adam Kupka, jego brat Karol i Andrzej Pietroszek z rodzinami rozpoczęli przygotowania do wyjazdu. Był to 1966 rok.

Adam Kupka zakupił z demobilu stary traktor marki „Lanz-Buldog” i przyczepę. Na przyczepę załadowano materiały budowlane i narzędzia. Kawalkada taka złożona z traktora z przyczepą i jednego samochodu osobowego wyruszyła w nieznaną. Adam Kupka wspomina⁴. *Jechaliśmy na miejsce 4 dni. Po drodze nie omijały nas awarie pojazdów. W Kozach za Bielskiem naprawialiśmy koło w przyczepie, a w ostatnim dniu za Krosnem duże koło w traktorze. Po drodze spaliliśmy w namiotach. Wreszcie dojechaliśmy do Bukowska, skąd do Woli Piotrowej była już tylko polna droga. Zaczął padać deszcz i jazda traktorem była coraz trudniejsza, aż traktor utknął w błotnistej mazi. Pomógł nam wydostać się gospodarz, mieszkający tu „na dziko”. Zaoferował nam nocleg u siebie, ale nie skorzystaliśmy z jego propozycji. Dojechaliśmy do celu i pod rozłożystymi lipami, które rosną tu do dnia dzisiejszego, rozbiliśmy namioty. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce żona powiedziała do mnie „i gdzie ty mnie przywiózł”. Mieszkaliśmy w namiotach, a pogoda była różna. Bardzo często padał deszcz, czasami tak mocno, że namiot przemakał. Przystąpiliśmy do budowy z materiału przywiezionego z Ustronia małego baraczku. Trzeba się było bardzo śpieszyć, bo zbliżały się jesienne słoty i chłody. Kiedy go wybudowaliśmy stał się naszym pierwszym trwałym domem. Po pierwszej nocy, jaką w nim spędziliśmy wyglądaliśmy przez okno. Na zewnątrz leżała gruba warstwa świeżego śniegu, a namioty były całkowicie zasypane. Tak to Pan Bóg nas chronił.*



Ewa i Adam Kupkowie przed wyjazdem z Ustronia
(fot. z archiwum Adama Kupki)

W takich to prymitywnych warunkach przetrwali mroźną i śnieżną zimę 1966/1967. Na wiosnę 1967 roku przyjechali następni osadnicy z rodzinami. Byli to Andrzej Wiselka z Ustronia, Jan Gabryś z Nierodzimia i Paweł Śliwka z Harbutowic. Podobnie jak pierwsi osadnicy mieszkali w tymczasowych barakach, z których jeden zwany hotelem robotniczym służył za mieszkanie wszystkim tym, którzy przyjeżdżając tu wykorzystywali urlop, aby pomóc swoim krewnym.

Rozpoczęto budowę budynków gospodarczych, często uprzedzając wydawane później pozwolenia na budowę. Budowane były wg typowego projektu. Miały wymiary 9 x 21 metrów i składały się z 2 części. W części mieszkalnej była kuchnia 3 x 3 m, oraz pokój 3 x 5 m. Obok wejścia do mieszkania było wejście do części drugiej – gospodarczej. Tam były krowy i trzoda chlewna. Budynki te ze względu na formę i swoje funkcje były podobne do dawnych łemkowskich obiektów. Można je dzisiaj

oglądać w sanockim skansenie – Muzeum Etnograficznym. Różnica między nimi polegała na tym, że te ze skansenu były drewniane i kryte słomą, a te budowane przez osadników były murowane i kryte eternitem.



Helena i Andrzej Pietroszkowie przed wyjazdem z Ustronia (fot. z archiwum rodziny Pietroszków)

W dalszej kolejności wznoszono budynki mieszkalne. Przy wszystkich budowach charakterystyczna była pomoc krewnych i znajomych z polskiej i czeskiej części Śląska Cieszyńskiego. Z pomocą śpieszyli także sąsiedzi, szczególnie wtedy, gdy do realizacji jakiegoś zadania potrzebna była większa ilość rąk do pracy. Były to tak zwane „brygady”.

Nie było problemów ze zdobyciem materiałów budowlanych. Osadnicy otrzymywali je w pierwszej kolejności i bez problemów. Problemem był natomiast brak elektryczności, telefonu i drogi dojazdowej. Gościniec z Bukowska do Woli Piotrowej w okresie opadów deszczu wyglądał jak jedno wielkie bajoro. Wokół niego nie było rowów, a na przeważającym odcinku przebiegał w głębokim wąwozie. Nim przepędzono bydło i dojeżdżano do pobliskiego PGR-u. Droga przez wieś w ogóle nie istniała. Ówczesne władze powiatowe, widząc jak rozwija się osadnictwo i z jakim zapalem i zaangażowaniem powstaje nowa wieś, zmuszone zostały do podjęcia decyzji o budowie drogi przez wieś. Aby jednak ten zamiar zrealizować, konieczna była wcześniejsza naprawa tej istniejącej z Bukowska. Tu jednak zaczęły się problemy. Dyrektor Rejonu Dróg Publicznych oświadczył, że na razie nie jest to możliwe, bo po prostu tej drogi nie ma w planie. Dopiero po interwencji Andrzeja Wiselki w Urzędzie Wojewódzkim w Rzeszowie przekazane zostały środki na remont drogi z Bukowska do Woli Piotrowej i pod koniec lata w 1967 roku dojazd do wsi był już możliwy. Do szybkiego zakończenia jej budowy przyczyniła się też pogoda. Od czerwca do prawie samej zimy nie było żadnych opadów deszczu. Sprzyjająca aura pozwoliła dokończyć także budowę drogi przez wieś.

Późną jesienią 1965 roku do Bukowska została doprowadzona energia elektryczna, natomiast w Woli Piotrowej światło zabłyśło na przełomie października i listopada

1967 roku. Było to możliwe dzięki osobistemu zaangażowaniu wszystkich mieszkańców. Osadnicy za własne pieniądze i w czynie społecznym wybudowali 1,5 km linii wysokiego i 2 km linii niskiego napięcia. Jedyne transformator był darem Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Sanoku.



Wola Piotrowa, 1967 r. (fot. z archiwum A. Kupki)

Z funduszy prewencyjnych PZU w 1971 roku wybudowana została linia telefoniczna i zainstalowany został 1 aparat na korbkę w domu Andrzeja Wiselki. Początkowo czynny był jedynie 8 godzin, później już przez 24 godziny na dobę. Dziś nie ma domu bez telefonu stacjonarnego i co najmniej jednego komórkowego.



Wola Piotrowa w 1968 r. (fot. z archiwum rodziny Pietroszków)

Tamte pionierskie czasy tak wspomina Jerzy Wiselka³. *Najtrudniejsze było to, że jeszcze się budowało, a już prowadziło gospodarę. Patrząc na to z perspektywy czasu uważam, że był to błąd moich rodziców. Taka gospodarza nie była zbyt efektywna*

i bardzo mocno absorbowała siły. Pierwsze lata naszego pobytu w Woli Piotrowej utkwiły mi w pamięci z tego, że nie było u nas wróbli i jaskółek. Były natomiast roje much i innych owadów, które dokuczały naszym krowom i koniom.

Przed wyjazdem mieszkalem w Ustroniu i nie miałem wiele okazji zetknąć się z rolnictwem. Moje kontakty z gospodarką rolną miały miejsce u siostry ojca w Cisownicy. Tam trochę pomagałem, poznałem pracę z koniem, a i z krową też wiedziałem jak się obchodzić. Jako dziecko pomagałem także w pracach polowych u Błaszczyka, który był naszym sąsiadem. Nie była to praca przy koniach czy krowach, ale pomoc przy zbiorach w czasie żniw i podczas jesiennych wykopów. Pomagałem także Pani Błaszczykowej na ustrońskim targu sprzedawać jej produkty z gospodarstwa.

Z problemem braku wystarczającej wiedzy rolniczej borykali się prawie wszyscy osadnicy. Byli to przeważnie ludzie, którzy tu w Beskidzie Niskim po raz pierwszy zetknęli się z pracą na roli i to w dodatku w bardzo niekorzystnym terenie. Pola były zarośnięte krzakami i chwastami. Musieli zaczynać od podstaw, a wiedzę rolniczą zdobywali czytając fachowe książki. Miało to także i swoje dobre strony. Zdobyta w ten sposób wiedza zaowocowała potem w przyszłości tym, że gospodarstwa były prowadzone wzorowo, a plony przekraczały wielokrotnie te, jakie uzyskiwali mieszkańcy sąsiednich wiosek. Do Woli Piotrowej zaczęły przyjeżdżać wycieczki, aby podpatrywać stosowane tu metody gospodarowania.

Kiedy Andrzej Wiselka był w Banku Rolnym w Sanoku, to kierownik działu sprzedaży ziemi powiedział do swojego znajomego: *To jest osadnik z Woli Piotrowej – jak oni tu przyjeżdżali, to ja myślałem co to będą za osadnicy, wszyscy elegancko ubrani, w garniturach, a oni sobie radzą nad podziw*⁵.

Andrzej Wiselka cieszył się także w Woli Piotrowej dużym szacunkiem i uznaniem. Był uważany za przywódcę, czego dowodem było sprawowanie przez niego w latach 1968-1981 funkcji sołtysa.

Dzisiejsza wieś Wola Piotrowa położona jest na obszarze lemkowskijskiej wioski o tej samej nazwie, która przed spaleniem w 1946 roku liczyła ponad 100 numerów domów. Ze starej wioski pozostał tylko krzyż cerkiewny i kilka mocno zniszczonych nagrobków z dawnego cmentarza, na którego części znajduje się obecny cmentarz.



Osadnicy z Woli Piotrowej, 1968 r. (fot. z archiwum rodziny Pietroszków)

Wioska leży u podnóża rozległego Pasma Bukowicy, którego najwyższym punktem jest Tokarnia 778 m n.p.m. Na szczycie Tokarni stoi wieża nadajnika Radia Bieszczady. Wychodząc na jej szczyt podziwiać możemy widoki na Pogórze Bukowskie, a dalej na północ na Pogórze Dynowskie. W kierunku wschodnim przy dobrej widoczności dostrzec można bieszczadzkie połoniny. Grzbietem Pasma Bukowicy przebiega znakowany na czerwono Główny Szlak Beskidzki, który ma swój początek na dworcu kolejowym w Ustroniu.

Obecnie wieś liczy 54 budynki mieszkalne i 2 bloki na końcu wsi wybudowane dla pracowników leśnych. W 2005 roku we wsi mieszkały 324 osoby, w tym 90 osób w wieku do 18 lat. Są tu dwa sklepy, a w centrum stoi Dom Modlitwy wybudowany w 1984 roku jako replika Kościoła Braterskiego w Suchej Górnej na Zaolziu.

We wsi funkcjonują 4 Gospodarstwa Agroturystyczne, często odwiedzane zarówno latem jak i zimą. Rezerwować miejsca można telefonicznie lub przez internet. W pobliskim Karlikowie znajduje się najdłuższy w Beskidzie Niskim wyciąg narciarski z przepięknym trawiastym stokiem, a w niedalekiej Sieniawie sztuczne Jezioro Sieniawskie na Wisłoku. Wola Piotrowa posiada dogodne połączenia autobusowe. Codziennie kursuje 9 autobusów do Sanoka.



Dom modlitwy (fot. Michał Pilch)

We wsi istnieje 12 gospodarstw o intensywnej produkcji ze szczególnym nastawieniem na produkcję mleka dla Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Sanoku znanej z produkcji jogurtów. Wiele z tych gospodarstw produkuje ponad 100 tysięcy litrów mleka rocznie. Większość z założonych na początku akcji osadniczej gospodarstw istnieje do dnia dzisiejszego. Ci, którzy osiągnęli wiek emerytalny przepisali gospodarstwa na swoich spadkobierców. Dla

młodych jak wszędzie, w naszym kraju brakuje miejsc pracy. Niektórzy poprzez zawierane małżeństwa wyemigrowali do innych regionów Polski, nie zrywając jednak kontaktów z domem rodzinnym. Są i takie osoby, które poprzez zawarcie małżeństwa przyjechali i osiedlili się w Woli Piotrowej. Do nich należy Ustroniak Jerzy Sitek, który od 1970 roku jest mieszkańcem Woli Piotrowej. Sporo osób pracuje i mieszka w Sanoku lub w Krośnie.

W Woli Piotrowej działa Ewangeliczna Wspólnota Zielonoświątkowa. Ma ona charakter ewangeliczny, to znaczy że swe wyznanie wiary opiera wyłącznie na treści Pisma Świętego¹. W swej doktrynie nawiązuje do spuścizny duchowej okresu reformacji, jak również późniejszych ruchów przebudzeniowych w tradycyjnych kościołach. Wspólnota ma zasięg ogólnopolski i jest członkiem zwyczajnym Aliansu Ewangelicznego w Polsce.

Obecnie Wspólnota liczy około 500 wiernych skupionych w 6 zborach i dwóch placówkach. Prezbiterem Naczelnym jest brat Tadeusz Krzok, syn osadnika z Hażłacha, który jednocześnie jest pastorem zboru miejscowego i w Sanoku.

Rok 2006 to rok małego jubileuszu. Czterdzieści lat temu do Woli Piotrowej zawitali pierwsi osadnicy. Pytania, czy myślą czasami o powrocie nie postawiłem, bo uważam, że byłoby ono nie na miejscu. Tu pozostała ciężka, pełna wyrzeczeń praca.

Tu, rozpoczynając od podstaw, wybudowali piękną wioskę, która stała się dla nich małą ojczyzną. Przyjeżdżając zastali piękny krajobraz, ale bez tych minimalnych wygód jakie mieli w poprzednich miejscach zamieszkania. Nie było dróg, nie było prądu elektrycznego, telefonu, ale był zapał i ochota do pracy i radość z tego co na ich oczach, dzięki własnej ciężkiej pracy, powstawało. Mieszka tu już czwarte pokolenie osadników. Dla nich relacje z początków osadnictwa będą jak opowieść bajkowa. Po tamtych czasach pozostały wspomnienia i już pożółkłe i wyblakłe fotografie pokazujące pierwsze lata pobytu. Kiedy dzisiaj idziemy drogą przez wioskę, to mijamy ładne domy, zadbane obejścia, ogródki pełne kwitnących kwiatów i co najważniejsze, zawsze uśmiechniętych mieszkańców. Aż trudno uwierzyć, że to co teraz oglądamy powstało za życia jednego pokolenia, że jeszcze w nie tak odległej przeszłości były tu tylko puste pola. Na każdym kroku można dostrzec tu efekty protestanckiego etosu pracy.



Wola Piotrowa, 2006 r. (fot. Łukasz Pietroszek)

Kiedy rozmawiałem z Jerzym Wiselką o tamtych pionierskich latach powiedział:³ *Jak patrzę w przeszłość, to jestem pełen podziwu dla decyzji jaką podjęli moi rodzice. Jestem teraz w tym wieku jak mój ojciec, kiedy razem z mamą przyjechali do Woli Piotrowej, gdzie nie było niczego. Wszystko trzeba było zaczynać od nowa. Budować dom, drogę, instalować telefon. Gdyby mi dziś przyszło podjąć decyzję, taką jak mój ojciec, to chyba bym jej nie podjął. Nie dlatego, że nie byłem jej zwolennikiem, ale patrząc na te początki jestem świadom tego jak wiele musiał on w tym czasie włożyć pracy fizycznej i jakimi to było okupione wyrzeczeniami. Świadom jestem także tego jak niełatwa to była decyzja. Patrząc dzisiaj na to z perspektywy czasu uważam, że była to decyzja heroiczna.*

Kronika (fragmenty) wydarzeń osadnictwa w Woli Piotrowej⁶

1966	Przyjazd pierwszych osadników: z Ustronia Polany Adam Kupka z żoną Emilią i synami Zbyszkciem, i Karolem, z Ustronia Dobki Andrzej Pietroszek z żoną Emilią i z dziećmi: Romanem, Janiną i Władysławem, z Dolnego Żukowa Karol Kupka z żoną Heleną i dziećmi: Jerzym, Heleną i Ewą
1967- -68	Elektryfikacja wioski, Budowa drogi Przyjazd kolejnych osadników: z Ustronia Andrzej Wiselka z żoną Lidią i dziećmi: Jerzym, Urszulą i Piotrem, z Ustronia Janina Wiselka z synem Janem, z Nierodzimia Jan Gabryś z żoną Heleną i synem Janem z Nierodzimia Jan Badura, z Nierodzimia Józef Gabryś z żoną Zuzanną i córkami: Anielą, Ireną i Anną. Osiedlił się w Bukowsku w zakupionym domu.
1969	Ustanowienie w Woli Piotrowej sołectwa
1970	Zakup 70 ha ziemi z PGR Karlików, Uruchomienie komunikacji autobusowej z Sanoka Założenie we wsi telefonu
1972	Modernizacja drogi Bukowsko-Wola Piotrowa-Szczawne
1974	Rozpoczęcie prac melioracyjnych Rozpoczęcie budowy wodociągu
1975	Zakończenie melioracji Uruchomienie wodociągu Powołanie spółdzielni produkcyjnej
1981	Rejestracja Ewangelicznej Wspólnoty Zielonoświątkowej
1984	Oddanie do użytku kaplicy „Dom Modlitwy”
1991- -92	Budowa gazociągu
1998	Budowa i uruchomienie przekaźnika Radio Bieszczady
1999	Zakończenie telefonizacji Woli Piotrowej
2006	Uroczystości 40. osadnictwa w Woli Piotrowej

Przypisy:

¹ R. Czyż. Strzegąc ojców wiary. Przewodnik po wiślańskich wspólnotach religijnych. Wisła 2004.

² J. Szymeczek: *Za słowem idź*. „Kalendarz Śląski 2004”. Czeski Cieszyn 2003.

³ Zapis z relacji Jerzego Wiselki. Nagranie sierpień 2005. Wola Piotrowa.

⁴ Zapis z relacji Adama Kupki. Nagranie sierpień 2005. Wola Piotrowa.

⁵ A. Wiselka. Osadnictwo w Bieszczadach (maszynopis). Wola Piotrowa.

⁶ A. Byrt. Kronika osadnictwa w Woli Piotrowej 1996-2006. Wola Piotrowa.

Michał Pilch

Wytwórnia Naturalnych Wód Mineralnych „Ustroniana” Sp. z o. o.



Michał Bożek – właściciel
(fot. z archiwum WNM „Ustroniana” Sp. z o.o.)

Uzdrowskowe walory Ustronia znane są od wielu lat. Już w 1882 r., rozporządzeniem z dnia 18 września, Ustroń został zaliczony do uzdrowisk. Otrzymał wtedy komisję zdrojową i cesarsko – królewskiego inspektora. Kilka lat później, a było to w 1891 r., zainteresowano się znany już od dawna źródłem „Budziwód” pod Małą Czantorią. Umieszczono tu emaliowaną misę i umocowano na łańcuszku chochlę do nalewania wody. Wokół źródła posadzono drzewka i ustawiono ławki. Postawiona zaś obok tablica informowała jakie właściwości ma woda wypływająca ze źródła. I tak to przed 116. laty wyglądała pierwsza ustronńska rozlewnia wody mineralnej.

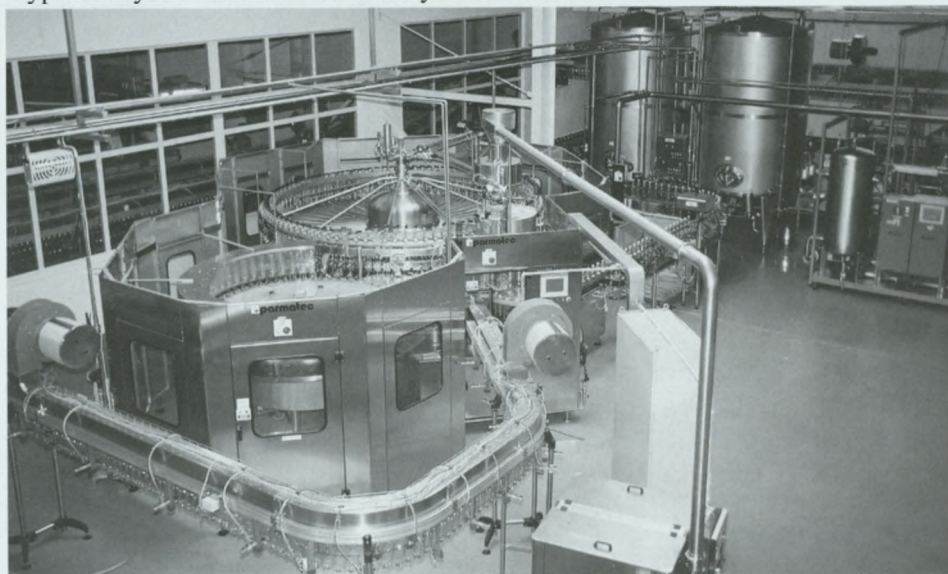
Dzisiaj kontynuatorem tej tradycji jest powstała w 1980 r. Wytwórnia Naturalnych Wód Mineralnych „Ustroniana” sp. z o.o. Jej założycielem i jedynym właścicielem był i jest Michał Bożek. Na początku swej działalności była niewielkim zakładem zatrudniającym 7. pracowników, a produkowała jedynie wody mineralne w opakowaniach szklanych 0,33 l. Szybko jednak przerodziła się w jedną z najprężniej działających firm produkujących wody mineralne w regionie, a później i w całym kraju.



Zakład produkcyjny nr 1 w Ustroniu (fot. z archiwum WNM „Ustroniana” Sp. z o.o.)

W 1994 r. „Ustroniana” rozpoczęła produkcję wody i napojów owocowych w drugim swoim zakładzie. Jest on zlokalizowany w malowniczo położonej części Ustronia – Jelenicy, na obszarze otuliny Parku Krajobrazowego Beskidu Śląskiego. Aktualnie zakład jest po gruntownej przebudowie. Zmodernizowano cały zabudowany teren. Powstała nowoczesna hala magazynowa i produkcyjna z najnowocze-

śniejszymi liniami do rozlewu wody mineralnej i napojów owocowych. Kolejną inwestycją był uruchomiony w 1994 r. zakład w Białej koło Prudnika, u podnóża Gór Opawskich. Zakład ten jest obecnie jednym z najnowocześniejszych i najlepiej wyposażonych zakładów rozlewniczych w Polsce.

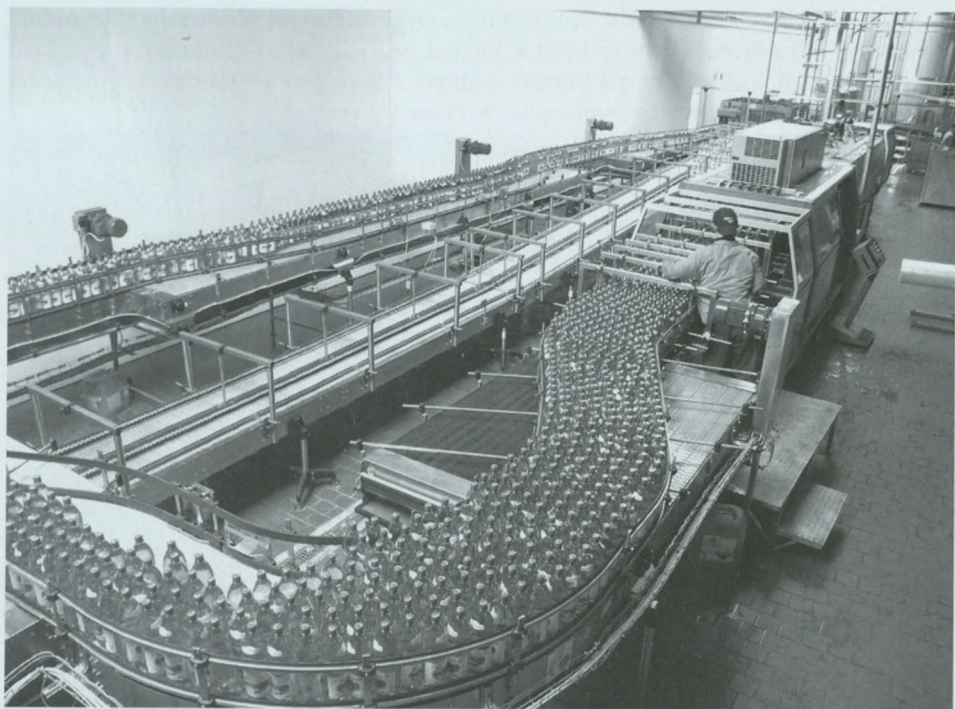


Zakład produkcyjny nr 1 w Ustroniu (fot. z archiwum WNM „Ustronianka” Sp. z o.o.)

W 2000 r. „Ustronianka” przejęła istniejące od 1963 r. Zakłady Wytwórcze „Czantoria” należące do Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem” w Ustroniu. Zakłady te posiadały bardzo bogatą tradycję w dziedzinie produkcji wód i napojów, szczególnie w opakowaniach szklanych na Górny Śląsk. Obecnie wyroby pod tą marką są sprzedawane w całym kraju.



Zakład produkcyjny nr 3 w Białej (fot. z archiwum WNM „Ustronianka” Sp. z o.o.)



Zakład produkcyjny nr 3 w Białej (fot. z archiwum WNM „Ustronianka” Sp. z o.o.)

Obecnie „Ustronianka” posiada 3 zakłady produkcyjne, w których produkowana jest Naturalna Woda Mineralna „Ustronianka”, „Czantoria”, a także soki „Finto” 0,25 l i napoje „Grappa”. Nazwa markowego produktu „Grappa” nawiązuje do lokalnej gwary gdzie słowo „grapa” oznacza górę, lub strome zbocze góry.



Zakład produkcyjny Czantoria (fot. z archiwum WNM „Ustronianka” Sp. z o.o.)

Wszystkie produkty wyprodukowane są na bazie wody wydobywanej ze studni głębinowych o głębokości do 100 m. Swoją jakość zawdzięczają ujęciom nawierconym w utworach geologicznych sięgających okresu kredy i czwartorzędu. Wyjątkowe walory smakowe i niska zawartość jonów sodowych $\text{Na}^+ < 10 \text{ mg/l}$ oraz średnia zawartość składników mineralnych poniżej 500 mg/l sprawia, że woda ta dostarcza niezbędnych składników mineralnych, jednak bez ryzyka ich nadmiernego spożycia w codziennej diecie. Najstarszym i najbardziej znanym ujęciem, należącym do „Ustronianki”, jest wymienione na wstępie źródło „Budziślód”. Wodzie tej w przeszłości przypisywano właściwości wzmagające apetyt. Teraz proces rozlewania odbywa się za pomocą najnowocześniejszych linii technologicznych, co daje możliwość uzyskiwania produktów o najwyższej jakości i pierwotnej czystości.



Zamek w Grodźcu (fot. z archiwum WNM „Ustronianka” Sp. z o.o.)

Firma posiada bardzo szeroki asortyment około 160 wyrobów. Produkuje wodę oraz napoje słodkie w szerokiej gamie opakowań: szklane o pojemność 0,33 l, oraz typu PET 0,5 l, 1,5 l, 2 l, 3 l, 5 l. Roczna produkcja firmy „Ustronianka” to 350 milionów litrów rocznie. „Ustronianka” posiada również w ofercie wodę w systemie 5 galonowym w pojemnikach 18,9 l. Sprzedaż prowadzą wydzielone oddziały w Warszawie, Rudzie Śląskiej, Białej k/Prudnika i Ustronia.

„Ustronianka” posiada rozwiniętą dystrybucję swoich produktów na terenie całej Polski. Współpracuje z około 300 hurtowniami, które obsługują rynek detaliczny oraz liczne zakłady pracy. Bezpośrednio z firmy zaopatrywanych jest około 20 dużych sieci handlowych, a samych kontrahentów – odbiorców galonów jest prawie 4.000.

W czasie swojej 27 letniej działalności „Ustronianka” Sp. z o. o. została wyróżniona wieloma prestiżowymi nagrodami. Dziennik „Puls Biznesu” przyznał firmie „Gazetę Biznesu” w latach 2000, 2002 i 2004. Wyróżnienie to jest potwierdzeniem przynależności do elitarnego grona najbardziej dynamicznie rozwijających się firm. Redakcja „Rzeczpospolitej” w 2002 r. w uznaniu za dynamikę i osiągnięcie efektywności przyznała firmie „Ustronianka” wyróżnienie „Dobra Firma”. Niezależny konkurs organizowany dla konsumentów przez „Gazetę Prawną – Przegląd Gospodarczy” przyniósł firmie Brązowy Laur Konsumenta w roku 2005, a w roku następnym Srebrny Laur Konsumenta. Firma posiada również certyfikat jakości produktów „Dobre bo Polskie”. W 1996 r. Komisja Konkursowa Międzynarodowych Targów Pomorza i Kujaw w Bydgoszczy podczas targów „Poldrink” przyznała „Złoty Medal” za wodę gazowaną „Ustronianka” 0,33 l i 1,5 l.

W uznaniu zasług właściciel firmy Michał Bożek odznaczony został przez Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego w 1999 r. Brązowym Krzyżem Zasługi, a w 2005 r. Złotym Krzyżem Zasługi. Burmistrz i Rada Miasta Ustronia wyróżniła Michała Bożka za zasługi dla Miasta Ustronia w 1996 r.

W czerwcu 2004 r. „Ustronianka” Sp. z o. o. uzyskała certyfikat na System Zarządzania Jakością zgodny z normą PN-EN ISO 9001:2000 oraz certyfikat potwierdzający, że funkcjonujący system HACCP jest zgodny z normami zawartymi w „Codex Alimentarius 1997”. Przyznane certyfikaty potwierdzają, że wysoka jakość dotyczy zarówno metod zarządzania, wyrobów i wszystkich czynności, i działań składających się na projektowanie, produkcję i sprzedaż wód mineralnych, soków i napojów.

„Ustronianka” jest znana ze swojej szerokiej działalności poza firmowej. Od wielu lat wspiera różne inicjatywy związane ze sportem zarówno te małe jak i wielkie wydarzenia sportowe. Objęła swoim patronatem znany klub sportowy, który obecnie nosi nazwę „KS Wisła Ustronianka”. Dzięki świadczonej pomocy w klubie mogą trenować młodzi utalentowani narciarze. Firma podejmuje również szeroko rozumianą lokalną jak i ogólnokrajową działalność kulturalną i charytatywną.

Właściciel Firmy Michał Bożek wraz z żoną Zuzanną zaangażowali się także w dzieło ratowania skarbów architektury cieszyńskiej. W 2004 r. zakupili grodziecki zamek należący do jednego z cenniejszych tego typu zabytków na obszarze Śląska Cieszyńskiego. W zamku oraz na terenie otaczającego go parku prowadzone są kompleksowe prace renowacyjne. Ich celem jest przywrócenie mu dawnej świetności i utworzenie zabytkowego „Zespołu parkowo-zamkowego w Grodźcu Śląskim”.

Bibliografia:

- J. Pilch: *Najstarsze towarzystwo miłośników swojej miejscowości na Ziemi Cieszyńskiej*. „Pamiętnik Ustroński Nr 1”. Ustroń 1988.
- Z. Białas: *Wody z utworów czwartorzędowych i kredowych eksploatowane przez Ustroniankę*. „Przyrodnik Ustroński Zeszyt 4”. Ustroń 2005.
- M. Makowski. *Szlacheckie siedziby na Śląsku Cieszyńskim*. Cieszyn 2005.

Michał Pilch

Zakład Obróbki Plastycznej Metali Karol Grelowski

Potwierdzone dokumentami początki kowalskiego rzemiosła w Ustroniu sięgają początków XIX wieku. Na przestrzeni XIX wieku i do 1939 roku funkcjonowało na obszarze naszej miejscowości 8 kuźni¹. Ich właściciele zaliczani byli do znanych i powszechnie szanowanych mieszkańców Ustronia. Byli członkami Rady Gminy Ustroń (Jan Cholewa w 1910 roku), a część z nich (Jan Podzorski, Paweł Bujok i Franciszek Szoblik) była członkami Powszechnego Zjednoczenia Gospodarczego Stanu Średniego w Cieszynie oddział w Ustroniu.



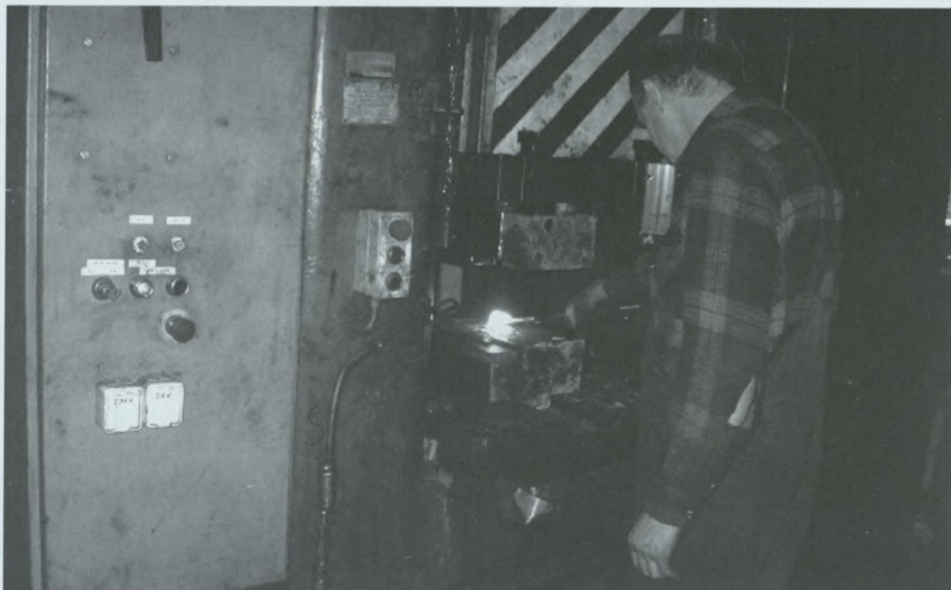
Zakład przy ul. Akacjowej w Ustroniu (fot. z archiwum ZOPM Karol Grelowski)

Kontynuatorem tych tradycji jest założony w 1983 roku przez Karola Grelowskiego i Henryka Rakowskiego zakład na wykonywanie rzemiosła kowalskiego w zakresie napraw narzędzi rolniczych i części do maszyn rolniczych oraz wytwarzania narzędzi rolniczych i odkuwek swobodnie, i matrycowo kutych. Mieścił się on przy ulicy Akacjowej. W listopadzie 1987 roku nastąpiły zmiany własnościowe. Od tego czasu jedynym właścicielem jest Karol Grelowski.

W początkach funkcjonowania zakładu świadczone usługi dla ustronńskiego rolnictwa. Wykonywano lemiesz do pługów, zęby do bron oraz naprawiano maszyny rolnicze. Produkowano także podkowy do podkuwania koni. Koni nie podkuwano, ale rozważano taką możliwość.

Później produkcja została poszerzona o odkuwki dla rzemieślników wykonujących części zamienne dla motoryzacji. Dla górnictwa węglowego produkowano tzw. „szyniaki”, czyli elementy do mocowania szyn do podłoża. Wykonano ich miliony sztuk. Także budownictwo i przemysł maszynowy wykorzystywał elementy kute

wyprodukowane w firmie. Od 1993 roku rozpoczęto produkcję kotwi budowlanych do betonu sprężystego. Obecnie ten asortyment jest głównym wyrobem dostarczanym na rynek krajowy i na eksport.



Zakład przy ul. Akacjowej, fragment hali produkcyjnej (fot. z archiwum ZOPM Karol Grelowski)

W roku 1993 rozpoczęto eksport do Norwegii, a od 1999 roku na rynek niemiecki. Wysyłane kotwy budowlane znalazły zastosowanie między innymi przy budowach: elektrowni atomowej w Szwajcarii, tunelu pod przełęczą św. Gotarda w Alpach, skoczni narciarskiej w Holmenkollenn, na platformach wiertniczych. Obecnie 85% produkcji wysyłane jest na eksport. Wyroby z firmy trafiają do Norwegii, Niemiec, Szwajcarii i na Słowację.



Nowa hala produkcyjna w Goleiszowie (fot. z archiwum ZOPM Karol Grelowski)

Wzrastająca produkcja i ciasnota pomieszczeń przy ulicy Akacyjowej zadecydowały o rozpoczęciu poszukiwań innej lokalizacji. Brano pod uwagę różne możliwości, w tym także hale produkcyjne Kuźni Ustroń. W końcu jednak zdecydowano się na Goleszowski Park Przemysłowy obejmujący obszar goleszowskiej „Celmy”. Po adaptacji części dotychczasowej zabudowy i wybudowaniu nowych pomieszczeń produkcyjnych rozpoczęto tam produkcję w 2006 roku.

Na samym początku w 1983 roku bezpośrednio w produkcji pracowały 2 osoby – Karol Grelowski i Leon Uchroński. Potem liczba pracowników w Ustroniu rosła, ale nie przekroczyła 20 osób. W nowym zakładzie w Goleszowie pracuje teraz 60 osób. Kiedy zakończy się budowa zakładu, ilość zatrudnionych będzie większa.

W trosce o wysoką jakość wytwarzanych wyrobów firma posiada własne laboratorium, w którym prowadzi się badania wytrzymałościowe. Firma korzysta również z badań wykonywanych przez autoryzowane laboratoria zewnętrzne.

Proces produkcji realizowany jest przy założeniu, że zawsze najważniejszy jest klient oraz spełnienie jego oczekiwań na każdym etapie wytwarzania, począwszy od rozpoznawania potrzeb, poprzez wytwarzanie wyrobu, a kończąc na dostarczaniu. Pomocnym w takim działaniu jest funkcjonujący w firmie system zarządzania jakością zgodny z ISO 9001. Nie jest on na razie potwierdzony uzyskanym certyfikatem, o którego uzyskanie firma zacznie się ubiegać po zakończeniu wszystkich prac związanych z pełnym uruchomieniem wybudowanych hal produkcyjnych. Nie wykluczone, że stanie się to w 2008 roku, kiedy minie 25 lat od powstania firmy.

Firma nie tylko produkuje wyroby, ale także wspiera działania różnych organizacji. Świadczą o tym przechowywane pisma z podziękowaniami za uzyskaną pomoc. Wspierano między innymi: Straż Pożarną w Ustroniu, Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe (GOPR), Parafię rzymsko-katolicką w Ustroniu Polanie, Fundację Dzieciom „Zdążyć z pomocą”, Towarzystwo Miłośników Ustronia przy okazji wydawania „Pamiętników Ustrońskich”.

Mimo, że działalność produkcyjna prowadzona jest poza Ustroniem, na terenie Goleszowa, to w planach jej właściciela jest zachowanie przy ul. Akacyjowej, w szczytkowej formie, działalności kuźniczej w zakresie świadczenia usług na potrzeby mieszkańców. W pobliżu wytyczona została „Ścieżka rycerska” na Czantorii. Może w przyszłości wędrujący nią turyści będą mieli okazję zobaczyć kuźnię i nabyć w niej pamiątki nawiązujące do legendy o śpiących rycerzach i kowalu, który podkuł im konie. Na razie wykonana została pamiątkowa podkova z okazji otwarcia „Ścieżki rycerskiej”.



Pamiątkowa podkova
(fot. z archiwum ZOPM Karol Grelowski)

Przypisy:

¹ B. Kubień: Wykaz ustrońskich przedsiębiorców z okresu od XVII wieku do 1945 roku w układzie chronologicznym. „Pamiętnik Ustroński Nr 12”, s. 69-71.

Paweł Broda, Henryk Słaby

Kształcenie dla potrzeb regionu – z historii Zespołu Szkół Policealnych ZDZ w Ustroniu

Zmieniająca się sytuacja społeczno-polityczna na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, otwarcie granic z państwami Europy Zachodniej, zachodzące procesy prywatyzacji oraz powstanie samorządów gminnych i powiatowych, stworzyły istotne przesłanki rozwoju gospodarki turystycznej w Polsce. Równocześnie określiły nowe niezbędne umiejętności i kwalifikacje dla kadr, zatrudnianych w turystyce. Gospodarka turystyczna potrzebuje ludzi o różnym poziomie wykształcenia. Istotną rolę do spełnienia mają pracownicy o średnim poziomie wykształcenia i zajmujący w strukturze zatrudnienia stanowiska związane z bezpośrednią obsługą klienta.

Wychodząc naprzeciw tym wyzwaniom, z dniem 1 października 1993 r. rozpoczęło w Ustroniu działalność Policealne Studium Zawodowe. Założycielem szkoły był Zakład Doskonalenia Zawodowego w Katowicach. Organizację nowej placówki powierzono dr. Pawłowi Brodzie, którego następnie powołano na stanowisko dyrektora tej szkoły.

Szkoła policealna funkcjonuje w zabytkowym budynku przy ulicy Stawowej, wybudowanym w 1870 r., stanowiącym wówczas siedzibę prywatnej szkoły ewangelickiej w Ustroniu. Jak podkreśla Jan Wantuła w swoich „Pamiętnikach”, była to prywatna szkoła ewangelicka, gdzie w odróżnieniu od innych uczono dzieci po polsku.



Siedziba Zespołu Szkół Policealnych w Ustroniu przy ul. Stawowej, mieszcząca się w zabytkowym budynku dawnej ewangelickiej Szkoły Powszechnej Nr 2 oraz pamiątkowa tablica ufundowana z okazji 200. lecia powstania szkoły, 2005 r. (fot. Henryk Słaby)

Otwarcie szkoły policealnej w Ustroniu o kierunku obsługa ruchu turystycznego było w pełni uzasadnione. Jest to miasto wczasowo – uzdrowiskowe, położone w dolinie Wisły wśród zalesionych gór Beskidu Śląskiego. Ustroń posiada rozbudowaną bazę noclegową, hotele, pensjonaty, schroniska młodzieżowe, prywatne kwatery oraz szpitale i sanatoria. Beskid Śląski to również jedno z najlepiej zagospodarowanych i najbardziej uczęszczanych turystycznie regionów Polskich w ciągu całego roku. To umiejscowienie pozwala na pełną realizację praktyk zawodowych przez naszych słuchaczy.

Rok szkolny 1993/1994 rozpoczęło 24 słuchaczy kierunku technik obsługi turystycznej. Kadre wykładowców stanowili również nauczyciele: mgr Anna Obec – język angielski, mgr inż. Emil Rymorz – język niemiecki, mgr Helena Cebo – język rosyjski, mgr Izabela Krężelok – żywienie człowieka, mgr Joanna Jończyk – maszynopisanie i korespondencja zawodowa, mgr Henryk Dziadek – ekonomika i organizacja turystyki oraz Halina Kazirod – przepisy prawne w turystyce i geografia turystyczna.

Od lutego 1994 r. uruchomiono drugi kierunek nauki pod nazwą: podstawy prawne i finansowe działalności firmy, na który zgłosiło się 25 słuchaczy. Kadra wykładowców została rozszerzona o: mgr Barbarę Nawrat – podstawy ekonomii i mgr Henryka Słabego – marketing. W czerwcu 1994 r. nastąpiła zmiana nazwy szkoły na Szkołę Policealną w Ustroniu. W dniu 6 czerwca 1995 r. kurator oświaty województwa bielskiego nadał szkole uprawnienia szkoły publicznej.

W czerwcu 1995 r. do egzaminu z przygotowania zawodowego przystąpiło 22 słuchaczy. Wszyscy zdali pomyślnie. W związku z dużą ilością słuchaczy, którzy rozpoczęli naukę w roku szkolnym 1995/1996, została również rozszerzona kadra o 5 nauczycieli. W całym cyklu kształcenia szczególny nacisk szkoła kładzie na naukę języków obcych. Aktualnie prowadzone są zajęcia z języków: niemieckiego, angielskiego i francuskiego. Nauka odbywa się w kilkusobowych grupach. Szczególną uwagę przywiązujemy do dobrego opanowania pracy na komputerze i umiejętności korzystania z internetu. Zajęcia szkolne wspomagane są szeroko technologią informacyjną. Wykorzystuje się m.in. rzutnik multimedialny, tablicę interaktywną. Szkoła posiada do dyspozycji słuchaczy, 2 duże pracownie komputerowe z 25 stanowiskami, ze stałym dostępem do internetu.

Każdy słuchacz musi zaliczyć, obok praktyk zawodowych, przynajmniej 2 wyjazdy instruktazowe, w czasie których prowadzi część wycieczki jako pilot, np. do Budapesztu, w Tatry Słowackie, Pragi, Wiednia, Chorwacji, Włoch, Grecji czy na Korsykę. Programy tych wyjazdów słuchacze muszą przygotować sami. Wyjazdy mają na celu przybliżenie słuchaczom trendów wypoczynku naszych rodaków oraz praktycznego przygotowania do podjęcia pracy zawodowej w sektorze turystycznym. Nauczyciele szkoły, posiadający uprawnienia pilota wycieczek, czuwają nad całością realizowanego programu i oceniają poczynania każdego słuchacza.

W 1997 r., po uprzednim podpisaniu umowy z Biurem Turystycznym „CENTEU-RO” z Budapesztu, dwudziestoczworodniową praktykę wakacyjną w Budapeszcie odbyło 23 słuchaczy a 3 – dwupółmiesięczną praktykę we Francji.

W dniu 9 maja 1997 r. przeprowadzony został w szkole pierwszy egzamin na pilota wycieczek zagranicznych. Zdało go 40 słuchaczy. Otrzymali oni czwartą kategorię pilota wycieczek zagranicznych nadaną przez Urząd Kultury Fizycznej i Sportu. Ogółem licencję pilota wycieczek zagranicznych uzyskało 131 słuchaczy.

Szkoła od początku jej istnienia jest członkiem Beskidzkiej Izby Turystyki w Bielsku-Białej. W dniu 1 września 1998 r. uruchomiono Niepubliczne Medyczne Stu-

dium Zawodowe w Ustroniu, kształcące w zawodzie fizjoterapii. Na pierwszy rok kształcenia przyjęto 28 słuchaczy. W związku z uruchomieniem kierunku zatrudniono 9 specjalistów – wykładowców.

Z dniem 1 września 1999 r. utworzono nowy kierunek – technik informatyk, co spowodowało rozszerzenie kadry wykładowców o 3 informatyków.

W 2003 r. otwarto następny kierunek – dietetyk. Do realizacji programu zatrudniono 3 nauczycieli w tej specjalności.

W okresie od 1 sierpnia 2002 r. do 31 lipca 2003 r. szkoła realizowała program wspólnoty europejskiej: *SOCRATES – COMENIUS*, pt. „MOSTY KSZTAŁCENIA KATOWICE – GÖRLITZ”, z partnerem *Aqua be GmbH* z Görlitz. W ramach programu został opracowany przewodnik multimedialny dla regionów Śląska w Polsce i Landu Saksonii w Niemczech.

W konkursie europejskim, towarzyszącym Rajdowi Wisły „Rowerem do Europy” przedstawiony został projekt „Spójrz na góry ze szczytów Beskidu Śląskiego”, opracowany przez słuchaczy szkoły pod kierunkiem mgr Ewy Leftwich zajął pierwsze miejsce.

Wyrazem uznania dla dorobku w kształceniu kadr turystycznych, dyrektor szkoły dr Paweł Broda otrzymał w październiku 2002 r. dyplom uznania „Za zasługi dla turystyki” przyznany przez Ministra Gospodarki – za efektywny udział w pracach nad kreowaniem wizerunku i rozwoju polskiej turystyki oraz osobiste zaangażowanie w podnoszeniu usług turystycznych.

Absolwenci naszej szkoły znajdują zatrudnienie w podmiotach gospodarczych, zajmujących się organizacją i obsługą turystyki czy sfery rehabilitacji, a w szczególności w biurach podróży, agencjach turystycznych, ośrodkach informacji turystycznej, jak również w organach administracji samorządowej, w domach wczasowych, pensjonatach i hotelach w różnych częściach Polski, jak i za jej granicami. Niektórzy absolwenci prowadzą własną działalność gospodarczą czy to w zakresie świadczenia usług turystycznych, kawiarni internetowych, czy usług rehabilitacji.

Od początku istnienia szkoły kwalifikacje zawodowe uzyskało łącznie do 2005 r. 881 absolwentów, w tym: 441 techników obsługi turystycznej, 132 techników fizjoterapii, 79 techników informatyków, 15 dietetyków i 214 specjalistów w zakresie zarządzania firmą. Kierunek zarządzania firmą z uwagi na nasylenie rynku lokalnego, został zlikwidowany w 2001 r.

W 2005 r. szkołę ukończyło 79 osób w tym: 13 informatyków, 21 techników obsługi turystycznej, 29 fizjoterapeutów, 15 techników. Natomiast w 2006 r. szkołę opuściła 57 absolwentów, w tym: 12 techników informatyków, 15 techników obsługi turystycznej, 19 fizjoterapeutów i 11 dietetyków.

W 2007 r. przy zreformowanym systemie egzaminów końcowych – odejścia od pisania prac dyplomowych na rzecz testowych egzaminów pisemnych szkołę opuściło: 8 informatyków, 11 techników obsługi turystycznej, 34 fizjoterapeutów, 12 dietetyków i 13 masażystów. Od 1 marca 2005 r. szkoła pracuje pod kierownictwem nowej dyrektor mgr Ewy Leftwich, która zastąpiła na tym stanowisku założyciela szkoły i jej wieloletniego dr. Pawła Brodę.

Uczelnia ciągle modernizuje i unowocześnia bazę dydaktyczną, między innymi w nauczaniu informatyki wykorzystuje się rzutnik multimedialny i tablice interaktywne w dwóch pracowniach komputerowych z 25 stanowiskami oraz stałym dostępem do internetu. W kształceniu dietetyków wielce pomocna jest nowoczesna, kompletnie wyposażona pracownia z bogatym zapleczem kuchennym do przygotowania posiłków.



*Egzamin 2005. Siedzą od prawej: Paweł Broda, Ewa Leftwich, Henryk Słaby.
Egzaminowany – Michał Skorupa (fot. z archiwum H. Słabego)*

2 czerwca 2006 r. uroczyście otwarto pracownię masażu z wyposażeniem dofinansowanym z funduszy unijnych w wysokości kilkunastu tysięcy złotych.

W związku z potrzebami naszego regionu turystyczno-rekreacyjno-uzdrowiskowego oraz mając na uwadze rehabilitację i opiekę nad ludźmi starszymi, otwarto nowy kierunek kształcenia – masażysta i terapeuta zajęciowy.

Prawie 15-letnia działalność Zespołu Szkół Policealnych ZDZ wskazuje na fakt, że jej uruchomienie było ze wszech miar potrzebne i nadal nie zmniejsza się jej przydatność w naszym mieście. W roku szkolnym 2007/2008 w szkole naukę pobiera 130 osób.



Dr Paweł Broda – urodzony w 1936 r., doktor nauk humanistycznych, założyciel i wieloletni dyrektor Szkoły Policealnej ZDZ w Ustroniu.



Mgr Henryk Słaby – urodzony w 1946 r., nauczyciel przedmiotów marketingu w Szkole Policealnej ZDZ w Ustroniu. Od 2003 r. członek Towarzystwa Miłośników Ustronia.



Panorama Ustronia, w tle Źor i Lipowski Groń, 1940 r. (pocztówka ze zbiorów Piotra Szuby)

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW USTRONIA
– lista członków

1. Bolesław BARTOSZEK Ustroń
2. Henryk BUSZKO Katowice
3. Jan BUSZKO Rybnik
4. Alicja CIEŚLAR Ustroń
5. Antoni DYRDA Ustroń
6. Iwona DZIERŻEWICZ-WIKAREK Ustroń
7. Stefan FIGIEL Ustroń
8. Aleksander FRANTA Chorzów
9. Andrzej GEORG Ustroń
10. Anna GLUZA Ustroń
11. Janina GUZKIEWICZ Ustroń
12. Anna GUZNAR Ustroń
13. Kazimierz HANUS Ustroń
14. Anna HANUS-DYRDA Ustroń
15. Bogusław HECZKO Ustroń
16. Kazimierz HECZKO Ustroń
17. Zdzisław JONSZTA Ustroń
18. Michał JURCZOK Ustroń
19. Zbigniew KOŁDER Cieszyn
20. Przemysław KORCZ Ustroń
21. Barbara KOZIEŁ-GAWROŃSKA Los Angeles (USA)
22. Karol KUBALA Ustroń
23. Bożena KUBIENŃ Ustroń
24. Maria LANGER Ustroń
25. Sandra LEIGH Melbourne (Australia)
26. Barbara MAJĘTNY Ustroń
27. Władysław MAJĘTNY Ustroń
28. Henryk MAŃKA Ustroń
29. Adam Matyszkowicz* Nowy Jork (USA)
30. Stanisław NIEMCZYK Ustroń
31. Irena OSTROWSKA Ustroń
32. Zofia PERLEGA Ustroń
33. Michał PILCH Ustroń
34. Rozalia PIOTROWSKA-RASZKA Ustroń
35. Paweł PUCZEK Katowice
36. Halina RAKOWSKA-DZIERŻEWICZ Ustroń
37. Henryk RASZKA Ustroń

38. Marek REMBIERZ Ustroń
39. Anna ROBOSZ Ustroń
40. Antoni SAPOTA Ustroń
41. Elżbieta SIKORA Ustroń
42. Henryk SŁABY Ustroń
43. Ireneusz SZARZEC Ustroń
44. Lidia SZKARADNIK Ustroń
45. Jan SZTEFEK Ustroń
46. Jan SZWARC Ustroń
47. Piotr TARCZAŁOWICZ Zabrze
48. Maria WALAWSKA Ustroń
49. Krystyna WINECKA – WINDHOLZ Melbourne (Australia)
50. Otto WINECKI – WINDHOLZ Melbourne (Australia)
51. Barbara ŻYSZKOWSKA Ustroń

* członek honorowy

Towarzystwo

A poleceniu parady Now. Mił. Ustronia, które się odbyło dnia 14. kwietnia 1926 w kancelarii gminnej. Obecni wszyscy członkowie.

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW USTRONIA

Rok założenia 1888

Siedziba Zarządu:

43-450 USTRON, Rynek 3a

tel. (0 33) 858-74-47,

fax 0 605 134 521

e-mail: tmubkubien@op.pl

jutmp@poczta.onet.pl

Władze Towarzystwa Miłośników Ustronia

kadencji 2003-2008

Zarząd:

Bożena KUBIEN – Prezes

Michał PILCH – Zastępca Prezesa

Jan SZTEFEK – Sekretarz

Anna GLUZA – Skarbnik

Karol KUBALA – Członek

Halina RAKOWSKA-DZIERZEWICZ – Członek

Elżbieta SIKORA – Członek

Komisja Rewizyjna:

Maria LANGER – Przewodnicząca

Stanisław NIEMCZYK – Członek

Rozalia PIOTROWSKA-RASZKA – Członek



Willa „Zameczek” na ustrońskim Zawodziu, około 1910 r. (pocztówka ze zbiorów Piotra Szuby)



Jesień w Ustroniu, 2007 r. (fot. Michał Pilch)



MISTRZ MASARSKI

Henryk Kania

ZPM Henryk Kania SA

43-200 Pszczyna, ul. Korczaka 5

infolinia 0801 333 330

www.zpmkania.com.pl



Zakłady Przetwórstwa Mięsnego Henryk Kania SA

(rok założenia 1990)

to:

- jedno z najnowocześniejszych przedsiębiorstw w branży mięsnej,
- producent ponad stu gatunków doskonałych wędzonek wieprzowych, kiełbas, produktów drobiowych i garmażeryjnych,
- wyselekcjonowany i sprowadzany z ekologicznych terenów surowiec,
- nowoczesne urządzenia i linie technologiczne,
- produkcja w warunkach zapewniających najwyższe standardy bezpieczeństwa





WYROBY HUTNICZE



USŁUGI TRANSPORTOWE 1÷25T,
CIĘCIE NA WYMIAR, DOSTAWY NA TELEFON,
KRÓTKIE TERMINY REALIZACJI

W CIĄGŁEJ SPRZEDAŻY PONAD 400 POZYCJI:

PRĘTY • BLACHY • PROFILE
RURY • KĄTOWNIKI • CEOWNIKI
DWUTEOWNIKI • PŁASKOWNIKI
SIATKI • DRUTY



PRODUKCJA ZBROJEŃ

- SŁUPÓW, PODCIĄGÓW, BELEK
- STRZEMION
- SIATEK ZBROJENIOWYCH
O DOWOLNYCH KSZTAŁTACH
I WYMIARACH



Cieszyn - Mnisztwo, ul. Spółdzielcza 17
tel./fax 033 85 20 928, 85 11 472
Zapraszamy Pon. - Pt. w godz. 7.00 - 16.00



Przedsiębiorstwo Techniczno-Handlowe

„EMI” Sp. z o.o.

43-450 Ustron, ul. Ogrodowa 26

tel./fax: 033 854 33 36, 854 44 18, 854 55 49

e-mail: biuro@emi-ustron.pl, www.emi-ustron.pl

Przedsiębiorstwo Techniczno-Handlowe „EMI” Sp. z o.o. w Ustroniu istnieje od 1990 roku. Specjalizujemy się w procesach oczyszczania ścieków. Nasze technologie stosowane są na terenie całej Polski w licznych oczyszczalniach ścieków przemysłowych, m.in. w zakładach mięsnych, spożywczych, koksowniach, garbarniach.

Oferujemy usługi w zakresie ochrony środowiska:

- Poradnictwo, ekspertyzy
- Projektowanie:
 - oczyszczalni ścieków
 - sieci wodno-kanalizacyjnych
 - przepompowni
- Produkcja i montaż urządzeń specjalistycznych
- Realizacja obiektów
- Komplektacja dostaw maszyn i urządzeń oraz aparatury kontrolno-pomiarowej
- Pomiary, automatyka, sterowanie
- Kompleksowe rozruchy mechaniczno-technologiczne
- Nadzór i serwis



ZAKŁAD OBRÓBKI PLASTYCZNEJ METALI KAROL GRELOWSKI



od 1983 r.

ul. Przemysłowa 10, 43-440 Goleszów
tel. +48 (33) 852 79 82
fax. +48 (33) 852 72 61



ul. Kasztanowa 9
43-450 Ustroń
tel./fax +48(33) 854 24 03

Zakład powstał w 1983 roku i od tego momentu z powodzeniem produkuje odkuwki matrycowe na gorąco dla przemysłu motoryzacyjnego, budowlanego i maszynowego. Od 1993 rozpoczął produkcję kotw budowlanych do betonu sprężystego i produkt ten stał się głównym asortymentem produkcji. Firma posiada urządzenia umożliwiające wykonanie odkuwek od 0,04 kg ze stali węglowych, stopowych oraz mosiądzu. Zakład gwarantuje wysoką jakość (ISO 9001), terminowe dostawy i konkurencyjne ceny. Do dostarczanych odkuwek dołącza świadectwo jakości oraz atest materiałowy. Odbiorcami wyrobów są klienci z całego kraju oraz kontrahenci zagraniczni z Niemiec, Szwajcarii, Norwegii, Czech i Słowacji



PRZEDSIĘBIORSTWO KOMUNALNE Spółka z o.o. w Ustroniu

43-450 Ustroń, ul. Konopnickiej 40, tel.: 033/ 854 35 00
<http://www.pk.ustron.pl>, e-mail: sppkustron@poczta.onet.pl

Nasza Firma oferuje następujące usługi:

- Wywóz odpadów komunalnych stałych i płynnych, odbiór odpadów segregowanych
- Odbiór odpadów niebezpiecznych (azbest, papa, świetlóvky)
- Odbiór odpadów wielkogabarytowych
- Odbiór odpadów i urządzeń elektrycznych i elektronicznych
- Utrzymanie zieleni i nasadzeń
- Obcinanie drzew i krzewów
- Wykonywanie dróg tłuczniowych i chodników
- Zamiatanie dróg i placów nowoczesną zamiatarką
- Prace koparko-ładowarką
- Prowadzenie akcji zimowej – odśnieżanie placów i chodników
- Transport ciągnikami i samochodami
- Montaż znaków drogowych
- Plakatowanie
- Handel paliwami i akcesoriami samochodowymi
- Wynajem nowych garaży przy ul. Konopnickiej



Zamiatarka uliczna w akcji



Nowe garaże przy ul. Konopnickiej



**PRZEDSIĘBIORSTWO Budownictwa
Inżynieryjno Hydrotechnicznego
„INZBUD” s.c.**

43-450 USTROŃ
ul. Sportowa 9

TEL. 0 33/8542290, 8542552, 8541970

Wykonujemy:

- * Zbiorniki wodne
- * Regulacje rzek i potoków
- * Oczyszczalnie ścieków
- * Kolektory sanitarne
- * Budowle wysokogórskie
- * Korty tenisowe
- * Małą architekturę
- * Beton towarowy
- * Usługi transportowe
i sprzętowe
- * Budownictwo mieszkaniowe



**Dysponujemy sprzętem specjalistycznym do wykonania
robót ziemnych i betonowych.**

**DWANAŚCIE
DĘBÓW**

SZKÓŁKA
drzew i krzewów ozdobnych

Ustroń, ul. J. Wantuły 100,
tel. 033 854 17 48, 601 396 648

Zapraszamy od pon. do sob.
od 9.00 do 17.00



Deszcz Na Zamówienie

Systemy nawadniające dla:
pól golfowych, boisk, rolnictwa, terenów zielonych i przemysłu



Perrot-Polska Sp. z o.o. 43-450 Ustroń, ul. J. Kreta 2 tel. 033/8575 101, 033/8575 102, fax: 033/8575 104 e-mail: perrot@perrot.pl www.perrot.pl

www.servicebud.ig.pl, e-mail: biuro@servicebud.ig.pl

Zbigniew Drózd

ul. Sportowa 7

tel. 033/8542891

fax 033/8541518



Service-Bud

Firma z 20-letnim doświadczeniem

Ustroń

Realizujemy nowe obiekty budowlane,
wykonujemy roboty remontowe, wykończeniowe
pokrycia dachów płaskich, izolacje tarasów.



18 LAT TRADYCJI

KOSTA

CENTRUM WYKOŃCZENIA MIESZKAŃ



BUDOWA, REMONT:
zaprawy, kleje, gładzie gipsowe, fugi,
systemy dociepleń, płyty kartonowo-gipsowe,
tynki, artykuły spawalnicze



ŚCIANY I SUFITY:
farby emulsyjne do wewnątrz i na zewnątrz,
rolety okienne, tapety, karnisze, boazeria ścienna,
akcesoria do drzwi i okien



USTROŃ, ul. Sportowa 7, tel. 0 33/854 28 93,
WISŁA, ul. 1 Maja 27, tel. 0 33/855 11 51
www.kosta.pl e-mail: kosta@kosta.com.pl



**Teletechnika
Carben**

e-mail: carben@telvnet.pl, <http://www.carben.ig.pl>

DOSTAWA, MONTAŻ, SERWIS:
central telefonicznych,
systemów alarmowych,
systemów telewizji przemysłowej,
Budowa:
sieci komputerowych,
sieci teletechnicznych,
przłączy internetowych,
kompleksowe okablowania obiektów,
(sieci elektryczne, sterowania okien,
żaluzji, itp.)
Usługi projektowe w wyżej
wymienionym zakresie



tel./fax 033 854 23 97,
033 854 54 74,
43-450 Ustroń, ul. 3 Maja 56,



Zajazd na Kępie

Ustroń, ul. Katowicka 11 50
tel. 033 854 58 64, 033 854 39 32
604 619 207, 600 210 593

*Specjalizujemy się
w organizowaniu
impresyj okolicznościowych:*

*uroczystości rodzinne, wesela,
przyjęcia ślubne, komunie, konfirmacje,
imprezy integracyjne, imprezy firmowe,
itp.*

„Chata na Zakrzosku”

Grażyna i Paweł Gomolowie
43-438 BRENNA ul. Pilarzy 48
Tel. 033/855-80-53; Mobile: 0 501 628 910

„Chata na Zakrzosku” to gospodarstwo agroturystyczne położone w zespole gospodarstwa wiejskiego na granicy Brennej i Ustronia. Leży na wysokości 696 m n.p.m. Do „Chaty na Zakrzosku” dojechać można od strony Ustronia, z doliny potoku Dobka. Stanowi ona doskonałe miejsce dla pieszych wycieczek na: Równicę, Kamienny, Trzy Kłopy czy Przełęcz Salmopolską. Jest także idealnym miejscem dla rodzinnego wypoczynku o każdej porze roku, dla ludzi ceniących ciszę i spokój oraz bezpośredni kontakt z przyrodą. Właściciele mają do dyspozycji gości: dwa pokoje 5-osobowe z nowoczesnymi łazienkami, w pełni wyposażoną kuchnię, jadalnię z kominkiem, sprzętem audio i telewizją satelitarną, salę do bilarda i innych gier. W „Chacie na Zakrzosku” gospodarze oferują nie tylko znakomite warunki socjalno-bytowe, ale również regionalną, deskładką kuchnię wszystko to w bardzo przystępnej cenie.





Pokoje Gościnne „Jędrus”

ul. Gościradowiec 10
tel. 033 854 22 17
tel./fax 033 854 25 04
kom. 0 601 077 066

Zameczek Dom Wczasowy

Małgorzata i Piotr Juraszek
43-450 Ustroń, ul. Gościradowiec 4-6
www.zameczek.turystyka-polska.pl



CAŁOROCZNY KOMPLEKS
REKREACYJNO-TURYSTYCZNO-SPORTOWY

extreme Park
Ustroń - Rownica
www.rownica.pl

tel. 033 856 48 48, 033 856 48 00
tel. kom. 0 604 293 219
e-mail: kontakt@rownica.pl

- ✓ Roller Coaster
- ✓ Tor pontonowy
- ✓ Centrum szkoleniowe
- ✓ Villa Jelenica
- ✓ Karczma biesiadna
- ✓ Mr Hamburger



Kolej Linowa „Czantoria” Sp. z o.o.

43-450 Ustroń, ul. 3 Maja 130

tel. 033 854 35 50

e-mail: czantoria@czantoria.com.pl

www.czantoria.com.pl

Trasy i wyciągi narciarskie

W sezonie zimowym czynne są dwie trasy narciarskie:

Trasa nr 1 czerwona o długości 1 900 m, sztucznie naśnieżana

Trasa nr 2 niebieska o długości 2 600 m

Dla narciarzy i snowboardzistów przeznaczono trzy wyciągi narciarskie oraz wyciąg krzeselkowy.

Przy górnej stacji Kolei Linowej usytuowane są dwa wyciągi narciarskie:

wyciąg talerzykowy STOKŁOSICA 198 m

wyciąg orczykowy FATURKA 670 m

przy dolnej stacji Kolei Linowej

wyciąg talerzykowy SOLISKO 340 m, oświetlony i sztucznie naśnieżany

ORLEN

**STACJA PALIW
KOWALCZYK – PETROL**

43-450 Ustroń, ul. Katowicka 7, tel. 033 854 38 91

VITAY	
FLOTA	
verva	
95	3,80
95	3,99
95	4,39
98	4,65
LPG	2,19

Czynna 24 h

Paliwo PKN ORLEN SA, LPG
Myjnia samochodowa ręczna

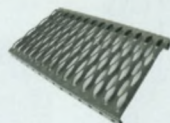


Ekochron
 43-426 Dębowiec
 Ogrodzona 115
 Woj. Śląskie, Polska
 tel. (033) 853 32 91
 fax. (033) 856 28 84
 e-mail: biuro@ekochron.pl



Firma P. P. EKOCHRON jest producentem wysokiej jakości osprzętu dachowego na każdy dach. Naszym zadaniem jest spełnianie oczekiwań naszych klientów oraz ciągłe doskonalenie w zakresie naszej działalności. Nasze produkty spełniają polskie oraz europejskie normy jakościowe. Firma P. P. EKOCHRON posiada także certyfikat jakości EN ISO 9001.

Do podstawowych produkowanych wyrobów należą: ławy kominiarskie, plotki przeciwnieigowe, rozbijacze śniegu, wsporniki do ław i plotków umożliwiające montaż na wszystkich rodzajach pokryć dachowych jak gonty, blachy trapezowe, blachodachówka, dachówki betonowe, ceramiczne oraz karpiówka.



plotki śniegowe

rozbijacze śniegu

stopnie kominiarskie

ławy kominiarskie



podesty magazynowe

pokrywy odwodnień liniowych

haki bezpieczeństwa

wsporniki plotków i ław



Zadbaj o swoje bezpieczeństwo z produktami marki Ekochron

FIRMA PRYWATNA PIOTR SZUBA

43-450 Ustroń, ul. Ogrodowa 4
tel., fax 033 854 33 68, 601 240 504,
e-mail: stiff3@poczta.wp.pl



Posiadamy certyfikat
autoryzowanego
wykonawcy
Firmy „Libet”

Firma wykonuje prace
w zakresie budowy dróg
i mostów, specjalizuje się
w tworzeniu
nawierzchni
z kostek betonowych
standardowych
i szlachetnych.



1986 - rok
założenia
Firmy



Towarzystwo
Miłośników Ustronia
2007 rok

ISSN 1643-6504